

Allan  
**FOLSOM**

Pojutrze





**Allan Folsom**, amerykański producent i scenarzysta filmowy, błyskotliwie zadebiutował w 1994 roku thrillerem **Pojutrze**. Porównywany do najlepszych powieści Forsytha i Ludluma, przyniósł mu międzynarodową sławę, rekordowe zaliczki od wydawców z całego świata oraz czołowe miejsca na listach bestsellerów w Ameryce, Europie i Azji. Krytycy zwrócili uwagę na talent pisarza w budowaniu skomplikowanej, wielowątkowej intrygi o

charakterze globalnego spisku oraz niesamowite tempo akcji. Wytwórnia Metro-Goldwyn-Mayer zapłaciła Folsomowi ponad milion dolarów za prawa filmowe.

## POJUTRZE

Paul Osborn, amerykański chirurg przebywający służbowo w Paryżu, napotyka przypadkowo mężczyznę, który przed 30 laty zamordował jego ojca. Mężczyźnie udaje się zbiec. Próbując go odnaleźć, Osborn wpada na trop międzynarodowej intrygi, której początki sięgają kapitulacji Trzeciej Rzeszy. Oficer policji z Los Angeles, przydzielony do Interpolu, prowadzi w Londynie dochodzenie w najdziwniejszej sprawie, z jaką miał kiedykolwiek do czynienia: serii zabójstw, w których odcięte ofiarom głowy morderca poddał „kryonizacji”, zamrażając je do temperatury zbliżonej do zera absolutnego. W Berlinie grupa najbogatszych niemieckich przemysłowców przygotowuje się do historycznego zjazdu połączonego z niezwyklej celebrazją... Co łączy wszystkie te wydarzenia? Czy są one zwiastunem najbardziej przerażającego spisku od zakończenia II wojny światowej?

ISBN 83-7359-290-3



9 788373 592902

DAAFD  
8/05  
02067

Allan  
**FOLSOM**  
Pojutrze

Z angielskiego przełożył JULIUSZ GARZTECKI

WARSZAWA 2005

Tytuł oryginału: THE DAY AFTER TOMORROW

Copyright © 1994 by Allan Folsom Ali rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2005

Copyright © for the Polish translation by Juliusz Garztecki 2005

Redakcja: Ewa Ciszowska/Jacek Ring Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 83-7359-290-3

Dystrybucja Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa  
tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155, (22)-535-0557 [www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)/[www.oramus.pl](http://www.oramus.pl)

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy

Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Sprzedaż wysyłkowa

Internetowe księgarnie wysyłkowe:

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.książki.wp.pl](http://www.książki.wp.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYLÓWICZ

adres dla korespondencji:

skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: B.M. Abedik S.A.. Poznań

**Karen...**

# 1

## **Paryż, poniedziałek 3 października, godzina 17.40 Brasserie Stella przy ulicy Saint-Antoine**

Paul Osborn siedział samotnie wśród rojnego i gwarne go tłumu powracających z pracy i gapił się na kieliszek czerwonego wina. Czuł się zmęczony, obolały i zakłopotany. Bez żadnego szczególnego powodu podniósł wzrok, a gdy to uczynił, doznał wstrząsu tak silnego, że aż ciężko westchnął. W drugim końcu sali zobaczył mordercę swego ojca. Prawie nie do pomyślenia, że to ten sam. A jednak nie miał żadnych wątpliwości. Najmniejszych. Rysy tej twarzy na zawsze wryły mu się w pamięć. Głęboko osadzone oczy, kwadratowa szczeka, uszy odstające prawie pod kątem prostym, zygzakowata blizna pod lewym okiem, ciągnąca się przez kość policzkową aż po górną wargę. Blizna nie była tak widoczna jak kiedyś, ale z pewnością ta sama. Tak jak i Osborn, mężczyzna siedział samotnie. W prawej dłoni trzymał papierosa, lewą obejmował brzeg filiżanki z kawą, w skupieniu czytał gazetę leżącą koło jego łokcia. Musiał mieć co najmniej pięćdziesiąt lat.

Z miejsca, gdzie siedział Osborn, trudno było ocenić jego wzrost. Może metr siedemdziesiąt, może trochę więcej. Krępy. Ważył zapewne z dziewięćdziesiąt kilogramów. Gruba szyja, ciało sprawiające wrażenie mocnego. Cera blada, krótko przycięte czarne kędzierzawe włosy ze śladami siwizny. Mężczyzna zdusił papierosa i zapalił następnego; rzucił przy tym okiem w stronę Osborna. A potem, odłożywszy zapałkę, powrócił do czytania gazety.

Osborn poczuł, jak jego serce zatrzymuje się na czas jednego uderzenia, a następnie krew znowu zaczyna płynąć mu w żyłach. Nagle ponownie znalazł się w Bostonie w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym.

Miał zaledwie dziesięć lat i wraz z ojcem szedł ulicą. Było to wczesnowiosenne popołudnie, słoneczne, lecz ciągle jeszcze chłodne. Ojciec, ubrany tylko w garnitur, wyszedł wcześniej z biura, by spotkać się z synem przy stacji metra Park Street. Przecięli narożnik parku Common, skręcili w Winter Street, i zanurzyli się w podnieconą ciżbę kupujących. Szli na wyprzedaż w Sklepie Sportowym Grogina. Przez całą zimę chłopiec zbierał pieniądze na nową rękawicę do baseballu, taką, jakie nosili gracze na pierwszej bazie. Model Trappera. Ojciec obiecał, że do każdego zaoszczędzonego dolara dołoży synowi drugiego. Wspólnie zebrali trzydzieści dwa. Sklep było już widać i ojciec uśmiechał się, gdy natarł na niego człowiek z blizną i kwadratową szczęką. Wynurzył się z tłumu i wbił ojcu w brzuch nóż rzeźnicki. Czyniąc to, spuścił wzrok i spostrzegł chłopca, zupełnie nie rozumującego, co się dzieje. Ich spojrzenia się spotkały. A potem tamten ruszył dalej, ojciec zaś zwałił się na trotuar.

Do dzisiaj pamiętał, co wtedy czuł, kiedy tak stał straszliwie samotny na chodniku, wśród gromadzących się gapiów, a ojciec patrzył na niego bezradnie, niczego nie rozumiejąc. Krew sączyła mu się przez palce, gdy odruchowo próbował wyciągnąć z brzucha narzędzie mordy. Nim tego dokonał, umarł.

Dwadzieścia osiem lat później i na innym kontynencie wspomnienie nagle się rozwiało. Paul Osborn poczuł, jak ogarnia go wściekłość. W okamgnieniu zerwał się z miejsca i przebiegł przez salę. Ułamek sekundy później dwaj mężczyźni, stolik i krzesła trzasnęły o ziemię. Paul czuł, jak jego palce zaciskają się na twardej niczym podeszwa szyi, jak wbija mu się w dłoń szczecina zarostu. W tej samej chwili pojął, że jego druga ręka, zaciśnięta w pięść, uderza wściekle, jak tłok silnika, miażdżąc ciało i kość, zdolna zatłuc tamtego na śmierć. Wokół nich wrzeszczeli ludzie, ale to nie robiło mu żadnej różnicy.

Nagle poczuł czyjeś ramię pod podbródkiem, czyjeś inne pod pachami, szarpały go do góry i odrywały od ofiary. Zaraz potem zderzył się z czymś twardym i padł na podłogę, niejasno zdając sobie sprawę, że obok niego spadają nakrycia. A później usłyszał, że ktoś krzyczy po francusku, by wezwano policję. Podniósłszy wzrok, zobaczył stojących nad nim trzech kelnerów w białych koszulach i czarnych kamizelkach. Za ich plecami człowiek z Bostonu niepewnie gramolił się na nogi, chwytając powietrze; z nosa tryskała mu krew. Gdy wstał, najwidoczniej zrozumiał, co się wydarzyło, i w przerażeniu spojrzął na napastnika. Nie przyjmując podsuwanej mu serwetki, nagle dał nura w tłum i wypadł na ulicę.

Osborn zerwał się natychmiast.

Kelnerzy zeszytnieli.

- Zejdźcie mi z drogi, do cholery! - wrzasnął.

Nie drgnęli.

Gdyby to był Nowy Jork czy Los Angeles, zawołałby, że tamten człowiek jest mordercą, i kazał wezwać policję. Ale tu był Paryż, a on ledwie potrafił zamówić kawę. Nie potrafiąc się porozumieć, zrobił jedyne, co mógł. Zaszarżował. Jeden z kelnerów uczynił ruch, jakby chciał go schwycić. Ale Osborn był od niego o piętnaście centymetrów wyższy, o dziesięć kilogramów cięższy i ruszył jak wytrawny futbolista. Opuściwszy niżej bark, uderzył nim z całej siły w pierś kelnera, odrzucając go na bok w stronę pozostałych, tak że wszyscy razem runęli na podłogę z głośnym łomotem, komicznie i bezradnie zwalając się jeden na drugiego na niewielkiej wolnej przestrzeni między kuchnią i wejściem. Osborn zaś wypadł za drzwi i zniknął.

Na dworze było ciemno i dżdżysto. Jak zwykle w godzinach szczytu, tłum zalegał ulice. Osborn wysunął się z ciżby i rozejrzał po chodniku przed sobą. Serce waliło mu z całej siły. Facet pobiegł w tę stronę, więc gdzie był, do cholery? Na pewno go zgubił. I wtedy ujrzał mordercę o pół przecznicy przed sobą, zdążającego przez ulicę Fourcy w stronę Sekwany.

Osborn przyśpieszył kroku. Krew go nadal zalewała, ale gwałtowny wybuch pochłonął większość morderczej wściekłości i powoli wracał mu rozsądek. Ojciec został zabity w Stanach Zjednoczonych, gdzie morderstwo nie ulega przedawnieniu. Ale czy tak samo jest we Francji? Czy istnieje między tymi dwoma krajami umowa o wzajemnej ekstradycji? A jeśli to Francuz, czy rząd francuski zgodzi się wysłać własnego obywatela do Stanów, gdzie czeka go proces o morderstwo?

Pół przecznicy dalej mężczyzna się obejrzał. Osborn skrył się w grupie przechodniów. Lepiej niech tamten myśli, że udało mu się umknąć, uspokoi się odrobinę, będzie mniej ostrożny. A wtedy da się zaskoczyć i Osborn może schwytą go w pojedynkę.

Światła się zmieniły, ruch na jezdni zamarł, tak samo jak i tłum. Osborn stał za kobietą z parasolem, człowiek z Bostonu znajdował się od niego nie dalej niż cztery metry. Znów wyraźnie ujrzał jego twarz. Najmniejszych wątpliwości. Przez dwadzieścia osiem lat widywał ją we śnie. Mógł ją przez sen narysować. Gdy tak stał, wściekłość znowu zaczęła w nim narastać.

Światła zmieniły się ponownie, mężczyzna przeszedł przez jezdnię na czele tłumu. Gdy dotarł do przeciwległego chodnika, obejrzał się i nie zauważwszy niczego podejrzanego, kontynuował marsz. Znajdowali się teraz



na moście Marii, przecinającym Wyspę Świętego Ludwika. Z prawej strony mieli katedrę Notre Dame. Jeszcze kilka minut, a przekroczą Sekwanę i znajdą się na jej lewym brzegu.

Przez chwilę Osborn miał przewagę. Spojrzał przed siebie w poszukiwaniu bocznej uliczki czy zaułka, gdzie mógłby wciągnąć tamtego, tak by nikt nic nie zauważył. Zadanie było trudne. Jeśli zacznie się poruszać zbyt szybko, może ściągnąć na siebie uwagę ściganego. Ale musi zrobić ruch, inaczej ryzykuje, że go zgubi, jeśli tamten nagle skręci w boczną ulicę lub przywoła taksówkę.

Deszcz przybrał na sile, a blask bijący od żółtych świateł przejeżdżających paryskich samochodów utrudniał widzenie. Wyprzedzający Paula mężczyzna skręcił na prawo w bulwar Saint-Germain i nieoczekiwanie przeszedł przez ulicę. Dokąd on idzie? I nagle Osborn zobaczył. Stacja metra. Jeśli znajdzie się w środku, tłum pochłonie go w jednej chwili. Osborn rzucił się do biegu, brutalnie roztrzając po drodze ludzi. Popędził przez jezdnię tuż przed nadjeżdżającymi samochodami. Ryk klaksonów sprawił, że mężczyzna się obejrzał. Na chwilę zamarł w miejscu, a potem pognął przed siebie. Osborn został zauważony, a jego ofiara zdała sobie sprawę, że jest ścigana.

Osborn prawie sfrunął po schodach do metra. Na dole ujrzał, jak tamten bierze bilet z automatu, a potem przepycha się przez tłum w stronę kołowrotów.

Obejrawszy się, ścigany dostrzegł zbiegającego pędem po schodach Osborna. Wyciągnął dłoń i wepchnął bilet do mechanizmu otwierającego wejście na peron. Zapora się usunęła, mężczyzna przeszedł. Skręcił w prawo i zniknął za rogiem.

Nie było czasu na bilet czy uruchamianie kołowrotku. Odepchnąwszy stojącą mu na drodze młodą kobietę, Osborn przeskoczył nad bramką, wyminął wysokiego Murzyna i pobiegł w stronę torów.

Pociąg stał już na stacji. Osborn ujrzał, jak tamten wsiada. Nagle drzwi się zasunęły i pociąg ruszył. Osborn przebiegł jeszcze kilka kroków, a potem zatrzymał się, ciężko dysząc, zziąjany. Przed sobą miał tylko błyszczące szyny i pusty tunel. Człowiek z Bostonu zniknął.

## 2

Michele Kanarack spojrzała poprzez stół, a potem wyciągnęła rękę. Jej oczy wypełniała miłość i przywiązanie. Henri Kanarack ujął jej dłoń i

popatrzył na żonę. Dziś były jego pięćdziesiąte drugie urodziny, ona miała trzydzieści cztery lata. Byli małżeństwem prawie od ośmiu lat, a właśnie po raz pierwszy mu powiedziała, że jest w ciąży.

-Ten wieczór jest zupełnie wyjątkowy - zauważyła.

-Tak. Zupełnie wyjątkowy. - Ucałował jej dłoń łagodnie, a potem wypuścił, by nalać z butelki czerwonego bordeaux.

-To ostatni raz - oznajmiła. - Aż do urodzenia dziecka. Żadnego picia podczas ciąży.

-W takim razie ja też nie będę pił. - Henri się uśmiechnął.

Na dworze lało jak z cebra. Wiatr grzechotał dachem i oknami.

Ich mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze pięciokondygnacyjnego budynku przy alei Verdier, w dzielnicy Montrouge. Henri Kanarack był piekarzem. Wychodził z domu co rano o piątej i nie wracał wcześniej niż o osiemnastej trzydzieści. Dojazd do piekarni koło Gare du Nord, w północnej części Paryża, zabierał mu blisko godzinę, podobnie też powrót. Długi dzień pracy. Ale był z tego zadowolony. Podobnie zadowolony był ze swego życia i z myśli, że po raz pierwszy zostanie ojcem, teraz, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. Przynajmniej do dzisiejszego wieczoru, kiedy w brasserie zaatakował go obcy człowiek, a potem gonił aż do stacji metra. Wyglądał na Amerykanina. Jakies trzydzieści pięć lat. Dobrze zbudowany i silny. Ubrany w drogą kurtkę sportową i dzinsy, jak biznesmen na wakacjach.

Kim on był, do cholery? Czemu to zrobił?

-Hej, dobrze się czujesz? - Michele popatrzyła na niego. Co się porobiło z Paryżem, jeśli w brasserie piekarz może zostać napadnięty przez zupełnie obcego człowieka? Chciała, by mąż zgłosił to policji, a potem znalazł adwokata i wytoczył proces właścicielowi brasserie.

-Tak - odparł. - Czuję się dobrze. - Nie chciał zgłaszać się na policję ani pozywać właściciela brasserie, choć lewe oko spuchło mu tak, że powieka niemal się zamknęła, a wargę miał nabrzmiąłą i czerwono-niebieską, w miejscu gdzie od uderzenia dzikusa przeciął ją górny ząb.

-Hej, zostanę ojcem - spróbował zmienić temat. - Proszę bez żadnych smutnych min. Nie dzisiaj.

Michele wstała od stołu, podeszła z tyłu do męża i objęła go za szyję.

-Chodźmy się kochać dla uczczenia życia. Wspaniałego wspólnego życia młodej Michele, starego Henriego i mającego się narodzić dziecka.

Henri odwrócił się i popatrzył jej w oczy, a potem się uśmiechnął. Jakże mógłby tego nie zrobić? Kochał ją.

Później, leżąc w ciemności i słuchając jej oddechu, próbował wyrzucić z umysłu obraz ciemnowłosego mężczyzny. Ale obraz nie dawał się usunąć. Ożywił głęboki, nieomal pierwotny strach, który Henri zawsze odczuwał: że bez względu na to, co zrobi albo jak daleko ucieknie, pewnego dnia zostanie odnaleziony.

### 3

Osborn widział ich rozmawiających na korytarzu. Przypuszczał, że o nim, ale nie miał pewności. A potem niski odszedł, a ten drugi wrócił przez szklane drzwi, z papierosem w jednej ręce i skoroszytem z brązowego papieru w drugiej.

- Chciałby pan się napić kawy, doktorze Osborn?

Młody i pewny siebie inspektor Maitrot był uprzejmy i mówił łagodnym głosem. Był również, co niezwykle jak na Francuza, wysokim blondynem.

- Chciałbym wiedzieć, jak długo zamierzacie mnie przetrzymywać.

Osborn został aresztowany przez policję za skok nad kołowrotem w metrze, co było pogwałceniem lokalnych przepisów. Podczas przesłuchania skłamał, mówiąc, że człowiek ów wcześniej napadł go i próbował ukraść mu portfel. Przez zupełny przypadek Osborn zobaczył go niedługo potem w brasserie.

- Jest pan lekarzem. - Maitrot czytał informacje z arkusza przypiętego do wewnętrznej okładki skoroszytu. - Amerykańskim chirurgiem ortopedą zwiedzającym Paryż. Przedtem brał pan udział w zjeździe lekarskim w Genewie. Mieszka pan w Los Angeles.

- Tak - odparł krótko Osborn. Opowiedział już to wszystko policji na stacji metra, umundurowanemu gliniarzowi wypełniającemu dokumenty gdzieś w innej części budynku oraz jakiemuś cywilnemu funkcjonariuszowi policji, który wziął od niego odciski wszystkich palców, wykonał zdjęcia do kartoteki i odbył wstępną rozmowę. Teraz, w tym małym oszklonym pokoju przesłuchań, Maitrot znów zaczynał wszystko od początku. Szczegół po szczególe.

- Nie wygląda pan na lekarza.

- Nie wygląda pan na policjanta - odrzekł lekkim tonem Osborn, starając się, by nie zabrzmiało to zgryźliwie.

Maitrot nie zareagował. Być może dlatego, że angielskim posługiwał się

z trudem. Ale miał rację, Osborn nie wyglądał na lekarza. Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ciemne włosy, brązowe oczy; ważył dziewięćdziesiąt pięć kilogramów, mimo to miał chłopięcą urodę, muskularne ciało i budowę studenta sportowca.

-Na jakim właściwie zjeździe był pan obecny?

-Nie byłem na nim „obecny”. Wygłosiłem referat na Światowym Kongresie Chirurgicznym. - Powstrzymał się przed powiedzeniem: Ile razy mam powtarzać to wszystko, czy wy, chłopcy, nie rozmawiacie ze sobą?

Powinien się bać, może nawet i bał się, ale nadal czuł zbyt wielkie podniecenie, by zdawać sobie z tego sprawę. Człowiek z Bostonu mógł teraz uciec, ale najważniejsze, że został odnaleziony! Przebywał tutaj, w Paryżu. A przy odrobinie szczęścia nie ruszy się stąd, w domu czy w jakimś barze będzie liżał rany i zastanawiał się, co też mu się przytrafiło.

-O czym był pański referat? Na jaki temat?

Osborn zamknął oczy i powoli policzył do pięciu.

-Już wam o tym mówiłem.

-Mnie pan tego nie mówił.

-O uszkodzeniach tylnego więzadła krzyżowego. To dotyczy kolana.

Osbornowi zaschło w ustach. Poprosił o szklanekę wody.

Maitrot albo nie zrozumiał, albo zignorował prośbę.

-Ile ma pan lat?

-Już pan to wie.

Maitrot podniósł wzrok.

-Trzydzieści osiem.

-Żonaty?

-Nie.

-Homoseksualista?

-Inspektorze, jestem rozwiedziony. Czy to panu odpowiada?

-Od jak dawna jest pan chirurgiem?

Osborn zamilkł. Maitrot powtórzył pytanie; dym z jego papierosa snuł się w stronę wentylatora w suficie.

-Sześć lat.

-Czy uważa pan, że jest pan wyjątkowo dobrym chirurgiem?

-Nie rozumiem, czemu zadaje mi pan te pytania. Nie mają nic wspólnego z powodem, dla którego zostałem aresztowany. Może pan zadzwonić do mego biura, by sprawdzić wszystko, co powiedziałem. - Osborn był wyczerpany i tracił cierpliwość. Ale równocześnie miał świadomość, że

jeśli chce się stąd wydostać, powinien uważać, co mówi. - Proszę posłuchać - powiedział tak spokojnie i z takim szacunkiem, na jakie potrafił się zdobyć. - Szedłem wam na rękę. Zrobiłem wszystko, co chcieliście. Odciski palców, zdjęcia, odpowiedzi na pytania, wszystko. A teraz proszę uprzejmie: chciałbym albo zostać zwolniony, albo zobaczyć się z konsulem amerykańskim.

- Napadł pan na obywatela francuskiego.

- Skąd pan wie, że to był francuski obywatel? - spytał bez zastanowienia Osborn.

Maitrot zignorował jego podniecenie.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Dlaczego? - Osborn zagapił się na niego z niedowierzaniem. Nie było dnia, w którym w jakiejś chwili nie słyszałby nadal odgłosu noża rzeźnickiego, wbijającego się w brzuch ojca. W którym by nie słyszał tego okropnego, nieoczekiwanego westchnienia. Nie widział znów przerażenia w jego oczach, gdy patrzył w górę, jakby pytając, co się stało, a równocześnie doskonale rozumiejąc co. Czyż nie patrzył, jak uginają się pod ojcem kolana, a jego ciało powoli osuwa na chodnik? Nie słyszał okropnego wrzasku obcego? Nie widział, jak ojciec przewraca się na bok i próbuje sięgnąć w górę, wiedząc, że umiera, bez słowa prosząc syna, by potrzymał go za rękę, by umniejszyć jego przerażenie? Przekazując mu bez słowa, że zawsze będzie go kochał.

- Tak. - Maitrot pochylił się i zduśił papierosa w stojącej między nimi na stole popielniczce. - Dlaczego pan to zrobił?

Osborn wyprostował się i znowu powtórzył kłamstwo.

- Przyleciałem na lotnisko Charles'a de Gaulle'a z Londynu. - Musiał uważać, by nie zmienić ani trochę swych wcześniejszych zeznań. - Jakiś człowiek napadł na mnie w toalecie męskiej i próbował ukraść mi portfel.

- Wygląda pan na sprawnego fizycznie. Czy to był ktoś dobrze zbudowany?

- Niezbyt. Po prostu chciał dostać mój portfel.

- Czy go zabrał?

- Nie. Uciekł.

- Czy zameldował pan o tym władzom lotniska?

- Nie.

- Dlaczego?

- Niczego nie ukradł, a ja niezbyt dobrze mówię po francusku, jak sam pan może stwierdzić.

Maitrot zapalił kolejnego papierosa i cisnął zapałkę do popielniczki.

- A później przez przypadek ujrzał go pan w brasserie, gdzie wstał pan na drinka'?

- Tak.

- Co miał pan zamiar zrobić? Zatrzymać go i oddać w ręce policji?

- Prawdą mówiąc, inspektorze, nie miałem pojęcia, co chcę zrobić. Po prostu to zrobiłem. Wściekłem się. Straciłem głowę.

Osborn wstał i popatrzył w drugą stronę, Maitrot zaś zanotował coś w skoroszycie. Cóż mógł powiedzieć inspektorowi? Że człowiek, którego ścigał, zakłuł na śmierć jego ojca w Bostonie, stan Massachusetts, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, w piątek 12 kwietnia 1966 roku? Że widział, jak ten człowiek to zrobił, i od tamtej pory nigdy - aż do chwili sprzed kilku godzin - go nie spotkał? Że bostońska policja z uwagą wysłuchiwała opowieści małego przerażonego chłopca, a potem przez lata całe próbowała odnaleźć mordercę, aż w końcu przyznała, że nic więcej nie może zrobić? O tak, całe postępowanie przebiegało prawidłowo. Miejsce zbrodni, analiza techniczna, autopsja, przesłuchania. Ale chłopiec nigdy wcześniej nie widział tego człowieka; jego matka nie potrafiła z opisu syna wywnioskować, czy zna kogoś takiego; na narzędziu zbrodni nie było odcisków palców; nóż kupiono w supermarkecie - i policja musiała się oprzeć na tym, co miała: zeznaniach dwóch innych naocznych świadków: Kathcrine Bamcs, sprzedawczyni w średnim wieku, pracującej w sklepie Jordana Marsha, oraz Leroya Greena, kustosa w Bostońskiej Bibliotece Publicznej. W chwili napadu oboje znajdowali się na chodniku i opowiedzieli niemal to samo co chłopiec. Niemniej pod koniec dochodzenia policja dysponowała dokładnie tym samym co na jego początku. Niczym. Toteż gdy Kevin O'Neil, młody, odważny detektyw z wydziału zabójstw, który zaprzyjaźnił się z Paulem i od początku prowadził śledztwo, został zabity przez podejrzanego, przeciw któremu zeznawał, teczkę sprawy George'a Osborna umieszczono w centralnym archiwum, obok setek teczek niewyjaśnionych przypadków. Dziś, prawie trzy dziesięciolecia później, Katherine Bames miała osiemdziesiątką i jako zgrzybiała staruszka przebywała w zakładzie w Maine, a Leroy Green nie żył. Tak więc praktycznie biorąc, Paul Osborn był jedynym pozostałym przy życiu świadkiem. Byłoby szaleństwem ze strony prokuratora, jakiegokolwiek prokuratora, oczekiwać, że trzydzieści lat po fakcie ława przysięgłych skaże człowieka na podstawie świadectwa syna ofiary, który w owym czasie miał dziesięć lat i widział podejrzanego nie dłużej niż przez dwie czy trzy sekundy. Prawda wyglądała tak, że mordercy po prostu się upiekło. I tego wieczoru, w paryskim

areszcie, prawda ta nadal obowiązywała. Gdyby nawet Osbornowi udało się przekonać policjantów, by spróbowali odnaleźć owego człowieka i aresztować, i tak nigdy nie postawiono by go przed sądem. Nie we Francji, nie w Ameryce, nigdzie, nawet za milion lat.

- Był pan dzisiaj w Londynie. Dzisiejszego ranka.

Nagle Osborn uświadomił sobie, że Maitrot nadal do niego mówi.

- Tak.

- Powiedział pan, że przybył pan do Paryża z Genewy.

- Przez Londyn.

- Po co pan tam pojechał?

- Jako turysta. Ale zachorowałem. Walczyłem całą dobę z jakimś świństwem.

- Gdzie się pan zatrzymał?

Osborn wyprostował się na krześle. Czego od niego chcą? Niech go zamkną lub wypuszczą. Nie ich interes, co robił w Londynie.

- Pytałem, gdzie się pan zatrzymał w Londynie?

Osborn był w Londynie z kobietą, również lekarką, odbywającą praktykę w jednym z paryskich szpitali; później dowiedział się, że jest kochanką pewnego wybitnego francuskiego polityka. Wówczas powiedziała mu tylko, że dyskrecja jest dla niej sprawą najwyższej wagi, i prosiła, by nie pytał dlaczego. Zgadając się na to, starannie wybrał hotel, znany z poszanowania tajemnic swych gości, i zameldował tylko siebie.

- Connaught - powiedział Osborn. Miał nadzieję, że hotel okaże się godny swojej reputacji.

- Czy był pan sam?

- Chyba wystarczy. - Osborn nagle odsunął krzesło od stoki i wstał. - Chcę się widzieć z konsulem amerykańskim. - Przez szklaną obudowę pomieszczenia Osborn zobaczył, jak umundurowany posterunkowy z pistoletem maszynowym na ramieniu odwraca się i patrzy na niego.

- Proszę się uspokoić, doktorze Osborn... Proszę usiąść - powiedział spokojnie Maitrot, a potem pochylił się, by coś zapisać w skoroszycie.

Osborn usiadł i z rozmysłem odwrócił wzrok od inspektora, mając nadzieję, że Maitrot pominie sprawę Londynu i przejdzie do następnego punktu. Według zegara ściennego dochodziła dwudziesta trzecia. W Los Angeles była wobec tego trzecia po południu. Do kogo mógłby zadzwonić? Nigdy w życiu nikt go nie aresztował... A potem przypomniał sobie, że

jednak. Miał piętnaście lat i chodził do męskiej szkoły, kiedy zatrzymano go za wrzucanie przez okno do klasy śnieżek w dniu Bożego Narodzenia. Zapytany, dlaczego to robił, odpowiedział zgodnie z prawdą: ponieważ nie miałem nic innego do roboty.

Dlaczego? Pytając, zawsze używano tego słowa. Ludzie w szkole. Policja. Nawet jego pacjenci. Dlaczego coś boli? Dlaczego zabieg chirurgiczny jest albo nie jest konieczny? Dlaczego boli nadal coś, co jak uważali, nie powinno? Dlaczego nie podawano im lekarstw, gdy uważali, że ich potrzebują? Dlaczego mogą robić to, a nie tamto? A potem czekali, by im to wyjaśnić. Zdawało się, że jego przeznaczeniem jest udzielanie odpowiedzi na pytanie „dlaczego”, a nie zadawanie go. Chociaż... zapamiętał, że dwukrotnie spytał „dlaczego?”. Najpierw swą pierwszą żonę, a potem drugą, gdy powiedziały, że go opuszczają. Ale teraz, w tym oszklonym policyjnym pokoju przesłuchań w centrum Paryża, siedząc naprzeciwko detektywa, który robił notatki i palił jednego papierosa za drugim, nagle zrozumiał, że to właśnie dla niego najważniejszym na świecie słowem jest: dlaczego? I chciał zadać je tylko raz. Człowiekowi, którego zapędził do metra: Dlaczego, skurwysynu, zamordowałeś mego ojca?

W tej samej chwili przyszło mu na myśl, że jeśli policja przesłuchiwała kelnerów w brasserie, może znać nazwisko owego człowieka. Szczególnie jeśli był stałym klientem lub płacił czekiem albo kartą kredytową. Osborn zaczekał, aż Maitrot skończy pisanie. A potem rzucił uprzejmym tonem:

-Czy mogę o coś spytać?

Maitrot podniósł na niego wzrok i kiwnął głową.

-Ten francuski obywatel, ten, na którego waszym zdaniem napałem... Czy wie pan, kim on jest?

-Nie - odparł Maitrot.

W tym samym momencie szklane drzwi się otworzyły, do środka wszedł drugi inspektor po cywilnemu i siadł naprzeciw Osborna. Nazywał się Barras. Popatrzył na Maitrota, który zrobił nieokreślony ruch głową. Barras był niski, miał ciemne włosy i czarne, ponuro spoglądające oczy. Wierzch jego dłoni porastały czarne włosy, paznokcie miał starannie przycięte.

-Awanturnicy nie są dobrze widziani we Francji. Lekarze nie stanowią tu wyjątku. Procedura deportacji jest prosta – powiedział obojętnym tonem Barras.

Deportacja! Na Boga, nie! - pomyślał Osborn. - Proszę, nie teraz! Nie po tylu latach! Nie teraz, gdy go wreszcie zobaczyłem. Gdy wiem, że żyje i gdzie się znajduje!



-Przepraszam - zaczął mówić, ukrywając przerażenie. - Bardzo przepraszam... Byłem wytracony z równowagi i to wszystko. Proszę mi wierzyć, to prawda.

Barras przyjrzał mu się uważnie.

-Jak długo zamierzał pan pozostać we Francji?

-Pięć dni - odparł Osborn. - By zwiedzić Paryż...

Barras zawahał się, a potem sięgnął do kieszeni marynarki.

-To pański paszport, doktorze. Gdy będzie pan gotów do wyjazdu, proszę do mnie przyjść, a zwrócę go panu.

Osborn popatrzył na Barrasa, a potem na Maitrota. Czyli tak to chcą załatwić. Bez deportacji, bez aresztowania, ale jednak pilnując go i mając pewność, że on o tym wie.

-Jest już późno - powiedział Maitrot, wstając. - Au revoir, doktorze Osborn.

Gdy Osborn wyszedł z budynku policji, była dwudziesta trzecia dwudzieścia pięć. Przestało padać i nad miastem zawisł jasny księżyc. Doktor zaczął przywoływać taksówkę, ale potem zdecydował, że wróci do hotelu pieszo. Pójdzie i pomyśli, co zrobić z człowiekiem, który nie był już wspomnieniem z dzieciństwa, ale realną istotą, żyjącą gdzieś tutaj, w paryskim tłumie. Człowiekiem, którego można odnaleźć, tylko należy uzbroić się w cierpliwość. Potem trzeba będzie go wypytać, a następnie... zamordować.

## 4

### Londyn

Ten sam jasny księżyc oświetlał zaułek tuż koło Charing Cross Road w dzielnicy teatrów. Uliczka miała kształt litery L, oba jej końce zagradzały taśmy, które policja rozciąga zwykle w miejscu zbrodni. Przechodnie zaglądali z obu stron, próbując dostrzec coś jeszcze oprócz umundurowanych policjantów i wyrobić sobie zdanie, co też tu się dzieje lub działo.

Ale to nie twarze tłumu ciekawskich przyciągały uwagę McVeya, lecz zupełnie inna twarz - mężczyzny rasy białej, między dwudziestym i dwudziestym piątym rokiem życia, o oczach groteskowo wybaluszonych. Pierwszy zobaczył ją w pojemniku dozorca teatralny, opróżniający po przedstawieniu kartony ze śmieciami. W zwykłym trybie zajęliby się tym detektywi z wydziału zabójstw policji stołecznej, ale tym razem stało się inaczej. Inspektor Jamison zadzwonił do mieszkania komandora Iana

Noble'a z Wydziału Specjalnego, który z kolei zatelefonował do McVeya do hotelu, budząc go z niespokojnego snu.

Wyraz twarzy ofiary właściwie nie interesował detektywów z policji stołecznej; chodziło o głowę. Po pierwsze, nie znaleziono ciała. Po drugie, wyglądała tak, jakby oddzielono ją od reszty ciała chirurgicznym cięciem. Gdzie się ta „reszta” znajdowała, można było tylko zgadywać; wyjaśnienie sprawy spadło na barki McVeya.

Gdy przyglądał się, jak dwóch lekarzy policyjnych ostrożnie wyjmując głowę z pojemnika na śmieci i wkłada do przezroczystego plastikowego worka, doszedł do wniosku, że detektywi inspektora Jamisona mieli rację: odcięcie zostało dokonane przez zawodowca. Jeśli nie chirurga, to przynajmniej przez kogoś mającego ostre chirurgiczne narzędzie i solidną znajomość uniwersyteckiego podręcznika anatomii.

„U podstawy szyi, gdzie styka się ona z obojczykiem, znajduje się połączenie tchawicy i przełyku, prowadzących odpowiednio do płuc i żołądka, oraz zwieracza dolnego, który odchodzi z boków chrząstek pierścieniowatych i chrząstek tarczowatych...”.

I dokładnie w tym miejscu głowę odcięto od reszty ciała; ani McVey, ani komandor Noble nie potrzebowali opinii fachowca, by to potwierdził. Chcieli natomiast wiedzieć, czy głowa została usunięta przed śmiercią, czy po niej, a jeśli to drugie, to jaka była przyczyna zgonu.

Autopsji głowy dokonuje się tak samo jak autopsji całego ciała, z tą różnicą, że „materiału” jest mniej.

Badania laboratoryjne zajmą od dwudziestu czterech godzin do trzech lub czterech dni. Ale McVey, komandor Noble oraz doktor Evan Michaels - młody, o dziecinnej twarzy patolog z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wezwany z domu pagerem - byli właściwie tego samego zdania. Głowę oddzielono od ciała po śmierci, a przyczyną zgonu mogła być śmiertelna dawka barbituratu, najprawdopodobniej nembutalu. Nie dawało to jednak odpowiedzi na pytanie, co spowodowało, że oczy nieboszczyka zostały tak wysadzone z oczodołów oraz jaka była przyczyna dwóch małych strużek krwi w kącikach jego ust. To by wskazywało na zatrucie cyjanowodorem, ale dowody nie były jednoznaczne.

McVey podrapał się za uchem i spojrzął na nawierzchnię ulicy.

- Teraz zapyta o czas zgonu - rzekł sucho Ian Noble, zwracając się do Michaela.

Pięćdziesięcioletni Noble był żonaty, miał dwie córki i czworo wnucząt. Krótko przycięte szpakowate włosy, kwadratowa szczeka i szczupła figura nadawały mu wygląd wojskowego starej daty, co nie było zresztą

niczym zaskakującym u byłego pułkownika wywiadu wojskowego i absolwenta Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst, promowanego w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym.

- Trudno powiedzieć - rzekł Michaels.

- Spróbuj. - McVey wlepił w niego swe szarozielone oczy. Chciał uzyskać jakąkolwiek odpowiedź. Wystarczyłby nawet domysł oparty na doświadczeniu.

- Jest bardzo mało krwi, prawie nic. Wie pan, trudno ocenić czas krzepnięcia. Mogę tylko powiedzieć, że głowa znajdowała się w miejscu, gdzie ją znaleziono, od pewnego czasu, ponieważ jej temperatura była niemal identyczna z temperaturą powietrza.

- Brak rigor mortis.

Michaels popatrzył na niego.

- Nie, na to nie wygląda. Jak pan wie, detektywie, stężenie pośmiertne zwykle zaczyna się po pięciu, sześciu godzinach; najpierw ogarnia górną część ciała, po jakichś dwunastu godzinach, a całe ciało mniej więcej po osiemnastu.

- Nie mamy całego ciała - zauważył McVey.

- Nie mamy.

Zapominając o służbowej sumienności, Michaels zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej było zostać tego wieczoru w domu, by ktoś inny miał przyjemność stawić czoło temu drażliwemu amerykańskiemu detektywowi z wydziału zabójstw, który zdawał się znać odpowiedzi na własne pytania, nim je jeszcze sformułował.

- McVey - odezwał się Noble z poważną miną - może zaczekalibyśmy na wyniki badań laboratoryjnych i pozwolili, by biedny doktor wrócił do domu na własne wesele?

- Dziś jest pańskie wesele? - spytał osłupiały McVey. - Dzisiejszego wieczoru?

- Było - odparł apatycznie Michaels.

- To po cholere odpowiadział pan na wezwanie pagera? Gdyby pan się nie zgłosił, wezwaliby kogoś innego. - McVey mówił to nie tylko szczerze, ale i z niedowierzaniem. - Co na to powiedziała pańska żona?

- Żeby nie odpowiadać na brzęczyk pagera.

- Cieszę się, że przynajmniej jedno z was wie, jak żyć.

- Cóż, to jest moja praca i pan o tym wie.

McVey uśmiechnął się w duchu. Albo ten młody patolog będzie prawdziwym profesjonalistą, albo też zastraszoną urzędnikiem państwowym. Którym z dwójga, można było tylko zgadywać.

- Jeśli skończyliśmy, co chcecie, żeby z tym zrobić? - spytał szorstko

Michaels. - Nigdy nie pracowałem dla policji stołecznej, a prawdę mówiąc dla Interpolu też nie.

McVey wzruszył ramionami i popatrzył na Noble'a.

-To mogę zrozumieć - powiedział. - Ja też nigdy wcześniej nie pracowałem dla stołecznej ani Interpolu. W jaki sposób i gdzie składujecie tutaj głowy?

-Składujemy głowy, McVey, w taki sam sposób jak ciała lub kawałki ciała. Opatrzone etykietą, jeśli to możliwe zaspawane w plastikowych torebkach i zamrożone. - Pora była zbyt późna, by Noble miał ochotę na żarty.

-Świetnie. - McVey wzruszył ramionami. Właściwie mógł uznać ten dzień za zakończony. Za kilka godzin w zaułku zaczną działać detektywi, wypytają absolutnie każdego, kto mógłby widzieć, co się działo koło śmietnika w godzinach przed znalezieniem głowy. Za dzień, dwa otrzymają z laboratorium raport z badań próbek tkanek oraz mieszków włosowych. Wezwany zostanie antropolog sądowy w celu ustalenia wieku ofiary.

Obaj policjanci odeszli, a doktor Michaels musiał głowę opatrzyć etykietą, zaspawać w plastiku oraz schłodzić w osobnej szufladzie, i dodatkowo umieścić adnotację, iż od tej chwili szuflada może być otwierana jedynie w obecności komandora Noble'a lub detektywa McVeya. Noble udał się do swego odnowionego czterokondygnacyjnego domu w Chelsea; McVey - do małego pokoiku hotelowego w zwodniczo niepozornym hotelu na Half Moon Street przy Green Park w Mayfair.

## 5

Na chrzcie w rzymskokatolickim kościele Marii Panny przy ówczesnej Leheigh Road w Rochester, w stanie Nowy Jork, w śnieżny dzień lutego tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, nadano mu imiona William Patrick Cavan McVey. Zarówno w szkółce parafialnej imienia kardynała Manninga, jak i w szkole średniej imienia Dona Bosca znany był wszystkim jako Paddy Mcvey, pierwszy syn sierżanta policji Murphy'ego McVeya. Ale dwadzieścia dziewięć lat po rozwiązaniu zagadki „mordów i tortur na zboczach pagórków w Los Angeles” nikt - ani przełożeni, ani koledzy detektywi, ani prasa, ani nawet własna żona - nie nazywał go inaczej, jak po prostu McVey.

Służył w policji Los Angeles jako detektyw od tysiąc dziewięćset Pięćdziesiątego piątego roku; pochował dwie żony, a trójce dzieci zapewnił

wykształcenie w college'ach. Gdy ukończył sześćdziesiąty piąty rok życia, próbował odejść na emeryturę. Nie dało rady. Telefon stale dzwonił. „Zatelefonujcie do McVeya, on wie wszystko na temat zarzynania prostytutek”. „Sprowadźcie McVeya, nie ma nic do roboty, to może przyjedzie, by rzucić na to okiem”. „Nie wiem, zadzwoń do McVeya”.

Wreszcie przeniósł się do chatki rybackiej, którą wybudował w górach koło Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego, i kazał wyłączyć telefon. Ale ledwie zdołał się rozpakować i podłączyć kabel telewizji, gdy starzy koledzy detektywi zaczęli się jeden po drugim pojawiać na wędkowanie. Niewiele czasu potrzebowali, by zacząć zadawać te same pytania, które poprzednio słyszał przez telefon. Wreszcie się poddał: zamknął chatkę na kłódkę i powrócił do pracy na pełny etat.

Nie upłynęły nawet dwa tygodnie od chwili, gdy zasiadł za swoim starym niklowanym stalowym biurkiem, na tym samym krześle z piszczącą rolką, w wydziale rozbojów i zabójstw, gdy szef detektywów Bill Woodward wszedł i zapytał, czy chciałby przejechać się do Europy, oczywiście ze zwrotem wszelkich wydatków. Każdy z pozostałych sześciu detektywów natychmiast złapałby się na taką przynętę. Natomiast McVey, wzruszywszy ramionami, zapytał, dlaczego i na jak długo. Nie przepadał za podróżami, a jeśli już wyjeżdżał, to zwykle w jakieś ciepłe okolice. Zbliżał się październik. W Europie będzie coraz zimniej, a on nienawidził zimna.

- O ile mi wiadomo, „na jak długo” zależy od ciebie. Natomiast „dlaczego” wynika z tego, że Interpol ma siedem pozbawionych głów trupów i nie wiedzą, co z tym robić.

Woodward podetknął McVeyowi pod nos skoroszyt i wyszedł.

McVey popatrzył za odchodzącym, rzucił okiem na pozostałych detektywów w pokoju, a potem wypił łyk zimnej kawy i otworzył skoroszyt, który w prawym górnym rogu miał czarną naklejkę, co w dokumentach Interpolu oznaczało niezidentyfikowane zwłoki i prośbę o wszelką możliwą pomoc. Naklejka była stara. Do tej chwili wszystkich denatów zidentyfikowano.

Dwa ciała znaleziono w Anglii, dwa we Francji, jedno w Belgii, jedno w Szwajcarii i jedno wyrzucone przez morze na brzeg blisko zachodniomiemieckiego portu Kilonia. Ciała mężczyzn w bardzo różnym wieku - od dwudziestu dwóch do pięćdziesięciu trzech lat. Wszyscy rasy białej i wszystkich, jak się zdawało, najpierw oszołomiono jakimś barbituratem, a potem odjęto im z chirurgiczną precyzją głowy: cięcie przeprowadzono dokładnie w tych samych punktach.

Zabójstw dokonano od lutego do września i wyglądały na całkowicie przypadkowe. Jednak zbyt dużo było podobieństw, by uznać je za zbieg okoliczności. Niemniej nic nie wskazywało na to, by ofiary znały się między sobą. Żadna nie była notowana ani nie prowadziła burzliwego życia. Całkowicie różniły się stopniem zamożności.

Sprawa wyglądała na jeszcze trudniejszą, gdy uwzględnili się statystykę. W ponad pięćdziesięciu procentach przypadków, gdy zdołano zidentyfikować ofiarę, wykrywano też mordercę. W tych siedmiu nie było nawet żadnego podejrzanego. Jednym słowem, eksperci policyjni pięciu krajów, włącznie ze specjalną jednostką dochodzeniową do spraw morderstw w Scotland Yardzie oraz Interpolem, nie mogli się poszczycić najmniejszym bodaj sukcesem, a prasa brukowa miała używanie. Z tych właśnie powodów wezwano z policji Los Angeles jednego z najlepszych na świecie specjalistów od zabójstw.

McVey najpierw udał się do Paryża, gdzie spotkał się z inspektorem porucznikiem Alexem Lebrunem z Pierwszej Sekcji Paryskiej Prefektury Policji, figlarnym łobuziakiem o szerokim uśmiechu, z nieodłącznym papierosem w zębach. Lebrun przedstawił go komandorowi Noble'owi ze Scotland Yardu oraz kapitanowi Yves'owi Cadoux, odpowiedzialnemu za tę sprawę w Interpolu. We czwórkę dokonali inspekcji miejsc zbrodni we Francji. Pierwsze było w Lyonie, na południe od Paryża, dwie godziny jazdy super-ekspresem TGV, i jak na ironię nie dalej niż półtora kilometra od siedziby Interpolu. Drugie - w alpejskim kurorcie narciarskim Chamonix. Później Cadoux i Noble towarzyszyli McVeyowi do miejsca zbrodni w Belgii: niedużej fabryczki na skraju Ostendy; w Szwajcarii: luksusowego hotelu z widokiem na Jezioro Genewskie w Lozannie; w Niemczech: skalistej zatoczki morskiej w odległości dwudziestu minut jazdy samochodem na północ od Kilonii. Wreszcie udali się do Anglii. Najpierw do małego mieszkania naprzeciw katedry w Salisbury, sto trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Londynu, następnie do samego Londynu, do prywatnej rezydencji przy skwerze w ekskluzywnej dzielnicy Kensington.

Później McVey spędził dziesięć dni w zimnym biurze na trzecim Piętrze budynku Scotland Yardu, studiując obszerne raporty policyjne o każdym z wypadków i nader często uznając za niezbędne Pokonferowanie z łanem Noble'em, który miał o wiele przestronniejsze i cieplejsze biuro na pierwszym piętrze. Dzięki przychyłności losu McVey uzyskał chwilę wytchnienia, gdy wezwano go do Los Angeles, gdzie przez dwa dni składał

zeznania przed sądem jako świadek w procesie oskarżonego o morderstwo wietnamskiego handlarza narkotyków. McVey aresztował go osobiście, w chwili gdy Wietnamczyk próbował zabić posługacza w restauracji, w której policjant jadł właśnie lunch. W rzeczywistości McVey nie zrobił nic bohaterskiego poza wsadzeniem lufy swego służbowego rewolweru kalibru .38 w ucho sprawcy i zaproponowaniem, by tamten odrobinę się odprężył.

Po procesie McVey miał wziąć dwa dni urlopu w sprawach osobistych, a dopiero potem wracać do Londynu. Ale udało mu się wcisnąć w ten termin jakąś operację jamy ustnej, którą dotąd uważał za całkowicie zbędną, i zmienić dwa dni w dwa tygodnie, których większość spędził na torze golfowym niedaleko Rose Bowl, gdzie ciepłe słońce, sączące się przez ciężki smog, pomagało mu w zastanawianiu się - pomiędzy uderzeniami w piłeczkę - nad zabójstwami.

Jak dotąd jedyną łączącą wszystkie ofiary nicią było chirurgiczne odcinanie ich głów. Ale poza tym nic się nie zgadzało. Trzy z ofiar zostały zabite w miejscach, gdzie je znaleziono. Pozostałe cztery zamordowano gdzie indziej, przy czym trzy ciśnięto na poboczach dróg, czwartą zaś porzucono koło portu w Kilonii. Była to najosobliwsza i najbardziej pogmatwana sprawa ze wszystkich, z jakimi McVey zetknął się przez lata pracy w wydziale zabójstw.

A gdy już odłożył swoje kije golfowe i powrócił do wilgoci londyńskiej, gdy wyczerpany i zdeorientowany długim lotem, ułożył się na czymś, co w tym hotelu uchodziło za poduszkę, i zamknął oczy, zadzwonił telefon, a Noble poinformował go, że do kompletu mają jeszcze jedną głowę.

Teraz, kwadrans po czwartej rano czasu londyńskiego, McVey siedział przy meblu służącym w ciasnym pokoiku za stół do pisania, mając przed sobą szklaneczkę z nalaną na dwa palce szkocką whisky Famous Grouse, i odbywał konferencję telefoniczną kablem Interpolu z Noble'em i kapitanem Cadoux z Lyonu.

Przed Cadoux, silnym, krępy męczyzną, z ogromnymi wąsami o zwisających końcach, które nieustannie zakreślał kciukiem i palcem wskazującym, leżał faks wstępnego raportu z autopsji przeprowadzonej przez młodego lekarza policyjnego Michaela. Zawierał on między innymi szczegółowy opis miejsca, w którym głowa została oddzielona od ciała. Idealnie w tym samym miejscu co pozostałe siedem głów.

- Zauważyliśmy to, Cadoux. Ale to nie wystarczy, abyśmy orzekli z całą pewnością, że te morderstwa są ze sobą powiązane - powiedział znużonym głosem McVey.

-Przedział wieku się zgadza.

-Nadal zbyt mało.

-McVey, muszę się przychylić do zdania kapitana Cadoux - rzekł Noble tak uprzejmie, jakby rozmawiali przy herbatce o piątej po południu.

McVey popatrzył na zegarek. Właściwie nie miał pojęcia, czy jest dzień, czy noc.

-Ale nawet jeśli nie są powiązane, to mają tak cholernie dużo wspólnego, że nie sposób tego zignorować - dokończył Noble.

-Świetnie... - rzekł McVey i wypowiedział na głos myśl, która mu od dawna krążyła po głowie. - Powinniście się zastanowić, kim jest ten szaleńiec, który tutaj u was tak bez wytchnienia pracuje.

Reakcja w Scotland Yardzie i Interpolu była identyczna.

-Myślisz, że to jeden i ten sam człowiek? - zapytali równocześnie.

-Nie wiem. Taaa... - przeciągnął sylabę McVey. - Taaa. Myślę, że to ten sam człowiek.

Wymówiwszy się tym, że spowodowana podróżą odrzutowcem zmianą czasu może go zwalić z nóg, i spytawszy, czy mogą dokończyć rozmowę później, McVey odłożył słuchawkę. Mógł zapytać, co sądzą o tych zbrodniach, ale nie zrobił tego. To oni prosili go o pomoc. A poza tym, gdyby uważali, że nie ma racji, powiedzieliby to. Zresztą i tak było to tylko przeczucie.

Wziął do ręki szklankę i wyjrzał przez okno. Po drugiej stronie ulicy znajdował się hotel równie niewielki jak ten, w którym się zatrzymał. W większości okien było ciemno, ale na trzecim piętrze dostrzegł nikielne światelko. Ktoś czytał albo być może zasnął, czytając, albo też pozostawił światło, wychodząc, i jeszcze nie wrócił. A może w pokoju znajdowało się ciało, które ktoś miał odkryć rano. To właśnie oznacza bycie detektywem: niekończące się warianty wszelkich sytuacji. Dopiero z czasem nabywa się wyczucia, które staje się drugą naturą człowieka; tego zmysłu mówiącego ci, co zastaniesz w pokoju, nim jeszcze do niego wszedłeś, co tam znajdziesz, jakiego rodzaju człowiek tam jest lub był poprzednio oraz co przeciwnik zamierza.

Ale z odciętą głową nie wiązały się żadne pokoje z przyćmionym światłem. Jeśli będą mieli szczęście, być może coś takiego w końcu się pojawi. Pokój, który zaprowadzi do innego pokoju i wreszcie do miejsca,



gdzie będzie zabójca. Ale na razie muszą zidentyfikować ofiarę.

McVey dopił, whisky, przetarł oczy i spojrzął na notatkę, którą zapisał w bloczku: Głowa/Artysta/Szkic/Gazeta/Identyfikacja.

## 6

O piątej rano paryskie ulice były opustoszałe. Metro zaczynało kursować o piątej trzydzieści i Henri Kanarack mógł liczyć tylko na to, że Agnes Demblon, główna księgowa w piekarni, gdzie pracował, podwiezie go na miejsce. I sumiennie, co dzień o czwartej czterdzieści pięć, podjeżdżała przed jego kamienicę białym pięcioletnim citroenem. I codziennie Michele Kanarack patrzyła z okna sypialni, jak jej mąż wychodzi na ulicę, wsiada do samochodu i odjeżdża z Agnes. A potem dokładniej okrywała się szlafrokiem, wracała do łóżka i leżała bezsennie, myśląc o Henrim i Agnes. Agnes była czterdziestodwuletnią starą panną, noszącą binokle, i nikt nawet przy największym wysiłku wyobraźni nie mógł uznać jej za pociągającą. Co takiego widział w niej Henri, czego brakowało mu w Michele? Michele była znacznie młodsza, tuzin razy przystojniejsza, znakomicie zbudowana. I zawsze dawała Henriemu tyle seksu, ile tylko chciał, co oczywiście wreszcie się zakończyło zajściem w ciążę.

Michele nie miała sposobu, by się tego dowiedzieć i oczywiście nigdy jej nie powiedziano, że to Agnes zapewniła Henriemu pracę w piekarni. Właściciel, niski, niecierpliwy człowiek nazwiskiem Lebec, nie był absolutnie zainteresowany przyjęciem nowego pracownika, zwłaszcza że musiałby ponieść koszty jego wykszolenia. Ale natychmiast zmienił zdanie, gdy Agnes zagroziła, że rzuci posadę. Księgowe klasy Agnes trudno było znaleźć, szczególnie tak obeznane z prawem podatkowym.

Tak więc Henri Kanarack został zatrudniony, szybko nauczył się zawodu, okazał się pracownikiem godnym zaufania i w przeciwieństwie do pozostałych niedomagającym się nieustannie podwyżki. Innymi słowy, był to pracownik idealny i Lebec nie miał powodu, by wyrzucać Agnes, że go wprowadziła na pokład. Lebec zadał wówczas tylko jedno pytanie: „Czemu Agnes jest zdecydowana zrezygnować z posady dla tak pospolitego i niczym niewyróżniającego się człowieka jak Henri Kanarack?”, Agnes odpowiedziała krótko: „Tak czy nie, monsieur Lebec?”. Ale to były stare dzieje...

Agnes zwołniała przed migającym światłem i rzuciła okiem na Kanaracka. Gdy wsiadał, zauważyła siniaki na jego twarzy, a teraz, w świetle padającym z tablicy rozdzielczej, prezentowały się jeszcze paskudniej.

-Znów pijesz. - Głos Agnes był zimny, niemal okrutny.

-Michele jest w ciąży - odparł, patrząc wprost przed siebie, w przecinającą ciemność smugi żółtego światła reflektorów.

-Upiłeś się z radości czy rozpaczy?

-Nie upiłem się. Jakiś człowiek na mnie napadł.

-Co za człowiek? - Agnes popatrzyła na niego.

-Nigdy przedtem go nie spotkałem.

-Co z nim zrobiłeś?

-Uciekłem. - Oczy Kanaracka trwały wlepione w drogę przed nimi.

-Nareszcie na starość robisz się sprytny.

-Nie, to co innego... - Kanarack odwrócił się, by na nią popatrzeć. - Byłem w brasserie Stella. Tej przy ulicy Saint-Antoine. Czytałem gazetę i popijałem kawę z ekspresu. Rzucił się na mnie bez żadnego powodu, obalił na podłogę i zaczął bić. Kelnerzy go odciągnęli, a ja uciekłem.

-Dlaczego wybrał właśnie ciebie?

-Nie wiem. - Kanarack znów popatrzył na drogę. Noc powoli się rozjaśniała. Automatyczne wyłączniki gasiły latarnie uliczne. - Potem mnie śledził. Szedł za mną na drugi brzeg Sekwany i do podziemnej stacji metra. Udało mi się wsiąść do pociągu, nim zdołał dobiec. Ja...

Agnes zmieniła bieg na niższy, zwalniając, by przepuścić mężczyznę spacerującego z psem. Minąwszy go, znów przyśpieszyła.

-Ty co?

-Podszedłem do okna wagonu. Zobaczyłem, że złapała go policja.

- Czyli policja na coś się jednak przydaje. Pewnie jakiś wariat.

-Raczej nie.

Agnes spojrzała na niego. Czegoś jeszcze jej nie powiedział.

- O co chodzi?

-To był Amerykanin.

Paul Osborn dotarł do swego hotelu przy alei Klebera za dziesięć pierwsza w nocy. Kwadrans później telefonował ze swojego pokoju do Los Angeles. Jego adwokat skontaktował go z innym adwokatem, który powiedział, że zatelefonuje w pewne miejsce i później oddzwoni. Telefon odezwał

się o pierwszej dwadzieścia. Rozmówca znajdował się w Paryżu. Nazywał się Jean Packard.

Pięć i pół godziny później Jean Packard siedział naprzeciw Paula Osborna w restauracji hotelowej. Miał czterdzieści dwa lata i wyglądał na niebywale sprawnego fizycznie. Włosy nosił krótko przycięte, ubranie luźno otulało żylaste ciało. Był bez krawata, koszulę miał rozpiętą pod szyją, być może po to, aby pokazać poszarpaną siedmiocentymetrową bliznę, biegnącą na ukos przez jego szyję. Packard najpierw służył w Legii Cudzoziemskiej, następnie był najemnikiem w Angoli, Tajlandii i Salwadorze. Obecnie pracował w Kolb International, według reklamy największej na świecie prywatnej firmie detektywistycznej.

- Niczego nie gwarantujemy, ale robimy wszystko, co w naszej mocy, i większości klientów zwykle to wystarcza – powiedział Packard i nieoczekiwanie się uśmiechnął.

Kelner przyniósł parującą kawę i małą tackę rogalików. Jean Packard nie tknął ani jednego, ani drugiego. Zamiast tego popatrzył Osbornowi prosto w oczy.

- Proszę pozwolić, że wyjaśnię - kontynuował. Mówił po angielsku z silnym obcym akcentem, ale można go było zrozumieć. - Wszyscy detektywi pracujący dla Kolb International zostali dokładnie prześwietleni, a ich wiarygodność jest nieskazitelna. Ale nie działamy jako pracownicy etatowi, lecz jako niezależni zleceniobiorcy. Zlecenia przyjmujemy za pośrednictwem biur regionalnych i dzielimy się z nimi przychodami. Poza tym o nic nie pytają. W rezultacie pracujemy całkowicie samodzielnie, chyba że zażądamy, by było inaczej. Zapewnienie klientowi dyskrecji jest dla nas najważniejsze. Dlatego kontaktujemy się jedynie w cztery oczy: detektyw i klient. Jest to coś, co mam nadzieję doceni pan w epoce, w której najtajniejsze informacje są natychmiast dostępne prawie dla każdego, kto zdecydowany jest za nie zapłacić. - Jean Packard wyciągnął rękę i zatrzymał przechodzącego kelnera, prosząc po francusku o szklanekę wody. Potem zwrócił się znów do Osborna i wyjaśnił pozostałe szczegóły procedury obowiązującej w Kolb International.

Gdy dochodzenie zostaje zakończone, wszelka dokumentacja dotycząca zadania - wszystkie materiały, skopiowane lub sfotografowane, z negatywami włącznie - zostają zwrócone klientowi. Następnie detektyw przekazuje do regionalnego biura Kolb rachunek rekompensujący poświęcony sprawie czas i poniesione wydatki, ono zaś ze swej strony wystawia rachunek klientowi.

Wrócił kelner.

Merci - rzekł Packard. A potem, napiwszy się, postawił szklanke na stole i spojrzął na Osborna. - Rozumie pan zatem, jak czysto, dyskretnie i prosto działamy.

Osborn się uśmiechnął. Nie tylko spodobał mu się ich sposób postępowania, ale także styl i sposób bycia prywatnego detektywa. Potrzebował kogoś, komu mógłby zaufać, a Jean Packard wyglądał na takiego właśnie człowieka. A nieodpowiedni człowiek z nieodpowiednim podejściem mógł spowodować paniczną ucieczkę człowieka z Bostonu i w konsekwencji wszystko zepsuć. I był jeszcze inny problem, ale Osborn nawet teraz nie miał pojęcia, jak go poruszyć. I wówczas sam Jean Packard ułatwił mu sytuację.

-Chciałbym zapytać, dlaczego chce pan znaleźć tę osobę, lecz wyczuwam, że wołałby pan mi o tym nie mówić.

-To sprawa osobista - odparł spokojnie Osborn.

Jean Packard skinął głową, przyjmując to wytłumaczenie.

Przez następne czterdzieści minut Osborn przekazał te wszystkie nie liczne szczegóły dotyczące człowieka, którego poszukiwał. Brasserie przy ulicy Saint-Antoine. Pora dnia, o której go tam zobaczył. Przy którym stole siedział. Co pił. Fakt, że palił. Trasa, którą następnie podążył, gdy myślał, że nikt go nie śledzi. Stacja metra przy bulwarze Saint-Germain, do której rzucił się nagle, gdy pojął, że jednak jest śledzony.

Zamknąwszy oczy i wywoławszy jego obraz w wyobraźni, Osborn starannie opisał wygląd fizyczny Henriego Kanaracka - tak jak widział go tutaj, ledwie przed kilkoma godzinami, oraz takiego, jakiego zapamiętał z Bostonu sprzed lat. Jean Packard odzywał się rzadko, czasem zadawał pytanie lub prosił o powtórzenie jakiegoś szczegółu. Nie robił też żadnych notatek, po prostu słuchał. Posiedzenie skończyło się tym, że Osborn dał Packardowi rysunek Henriego Kanaracka, sporządzony z pamięci, na hotelowym papierze listowym. Głęboko osadzone oczy, kwadratowa szczęka, poszarpana blizna pod lewym okiem, ostro opadająca przez kość policzkową do górnej wargi, uszy odstające prawie pod kątem prostym. Szkic był prymitywny, jakby wykonał go dziesięcioletni chłopiec. Jean Packard złożył go na pół i schował do kieszeni marynarki.

-Za dwa dni zgłoszę się do pana - powiedział. A potem, dopiwszy wodę, wstał i wyszedł.

Paul Osborn patrzył za nim przez długą chwilę, niepewny, jakie właściwie są jego uczucia ani co myśli. Przez najprostszy zbieg okoliczności, przypadkowy wybór miejsca na wypicie filiżanki Kawy w nieznanym mu mieście, wszystko się zmieniło i nadszedł dzień, którego się nie spodziewał. Nagle pojawiła się nadzieja. Nie tylko odwetu, ale i wykupienia się z

długiej i straszliwej niewoli, na którą skazał go morderca. Przez blisko trzy dziesięciolecia, od wieku chłopięcego po dorosłość, jego życie upływało na samotnej męce, pełnej okropności i koszmarów. Na nieustannym mimowolnym powtarzaniu w wyobraźni całego wydarzenia. Żył bezlitośnie popędzany przez dręczące poczucie winy, że w jakiś sposób śmierć ojca była spowodowana jego błędem, że w jakiś sposób można byłoby jej zapobiec, gdyby okazał się lepszym synem, bardziej czujnym, na czas ujrzał nóż, krzyknął ostrzegawczo, nawet go zasłonił. Ale to tylko część tej sprawy; był także jej mroczniejszy i nawet bardziej wyczerpujący go aspekt. Od chłopięctwa po wiek męski - składając wizyty u niezliczonej liczby psychoanalityków i terapeutów, uciekając w zawodowy sukces - bezskutecznie walczył z innym, jeszcze tragiczniejszym demonem. Z obezwładniającą, wyjaławiającą grozą odrzucenia, którą spowodował zabójca, dając koronny dowód na to, jak szybko można zniszczyć miłość.

Zostało mu to udowodnione wówczas i od tej pory zawsze okazywało się prawdą. Najpierw potwierdziły ją okoliczności jego życia z matką i ciotką, później, gdy dorósł, z kochankami i bliskimi przyjaciółkami. Wszystkie błędy jego dorosłego życia z tego wynikały. Choć rozumiał przyczynę, nadal nie potrafił opanować wynikających z niej emocji. W chwili gdy prawdziwa miłość czy prawdziwa przyjaźń były na wyciągnięcie ręki, straszliwe przerażenie, że mogą mu zostać brutalnie odebrane, wynurzało się z nieznanych głębin jaźni i zalewało go jak szalejący przypływ. I z tego samego miejsca wyrastała nieufność i zazdrość, którym nie miał siły się przeciwstawić. I wówczas, z czystego instynktu samozachowawczego, w okamgnieniu niszczył wszelką radość, miłość i zaufanie.

Ale dziś, po prawie trzydziestu latach, przyczyna jego choroby została wyodrębniona ze wszystkich objawów ubocznych. Znajdowała się tu, w Paryżu. A gdy ją zlokalizuje, nie będzie ani zawiadomienia policji, ani prób ekstradycji, ani odwoływania się do oficjalnego wymiaru sprawiedliwości. Człowiek ten, raz odnaleziony, zostanie postawiony twarzą w twarz z Paul'em, a potem szybko zlikwidowany; tym razem ofiara będzie znała swego zabójcę.

## 7

Dzień po pogrzebie ojca przeprowadzili się do siostry matki, mieszkającej w małym, piętrowym domku na Cape Cod.

Jego matka miała na imię Becky. Przypuszczał, że był to skrót od Elizabeth lub od Rebeki. Ale nigdy nie zapytał, a nikt nie mówił o niej inaczej jak Becky. Wyszła za ojca Paula, gdy miała ledwie dwadzieścia lat i jeszcze uczyła się w szkole pielęgniarstwskiej.

George David Osborn był mężczyzną przystojnym, ale cichym i skrytym. Przybył z Chicago do Bostonu, by studiować w Instytucie Technologicznym Massachusetts, i natychmiast po uzyskaniu dyplomu rozpoczął pracę w Raytheon, a później w Microtab, małej firmie projektowo-inżynierskiej w centrum zaawansowanych technologii przy Route 128. Paul wiedział o ojcu tyle tylko, że projektował instrumenty chirurgiczne. Jakże mianowicie, nie zapamiętał, gdyż był na to zbyt młody.

Pamiętał natomiast mgliście, jak po pogrzebie pakowali się i przeprowadzali ze swego wielkiego domu na przedmieściu Bostonu do znacznie mniejszego na Cape Cod. I że niemal natychmiast jego matka zaczęła pić.

Pamiętał wieczory, gdy przyrządzała kolację dla nich obojga, a potem pozwalała swojej wystygnąć i zamiast jeść, piła drink po drinku, dopóki nie straciła przytomności. Pamiętał, jak zaczynał się bać w miarę opróżniania przez nią kolejnych kieliszków i jak próbował nakłonić ją do jedzenia, którego nie tykała. Zamiast tego zaczynała się złościć. Najpierw na coś zupełnie błahego, ale potem złość zawsze skrupiałała się na nim. On ponosił winę za to, że nic nie zrobił! Nic, co by uratowało ojca. A gdyby ojciec żył, nadal mieszkaliby w ich pięknym domu pod Bostonem, a nie w tym małym domku na Cape Cod.

A później wściekłość zawsze obracała się przeciw zabójcy i życiu, na które ją skazał. A jeszcze potem przeciw policji, która była głupia i bezsilna, aż wreszcie przeciw niej samej: pogardzała sobą najbardziej ze wszystkich za to, że nie była taką matką, jaką powinna, że nie była zdolna dać sobie rady z następstwami takiej tragedii.

Czterdziestoletnia ciotka Paula, Dorothy, była o osiem lat starsza od swej siostry i niezamężna. Serdeczna i otyła, była prostą, miłą kobietą, uczęszczającą co niedziela do kościoła i udzielającą się społecznie. Sprowadziwszy Becky i Paula do swego domu, robiła wszystko, co w jej mocy, by siostra zebrała się wreszcie w sobie i rozpoczęła nowe życie. Zachęcała ją więc do przystąpienia do Kościoła oraz powrotu do szkoły pielęgniarstwskiej i zrobienia kariery zawodowej, z której po pewnym czasie mogłaby być dumna.

Dorothy to tylko urzędniczka zatrudniona w administracji okręgowej -

mówiła matka w połowie trzeciej szklanki canadian club, popijanej ginger ale. Co też ona mogła wiedzieć o okropnościach wychowywania dziecka pozbawionego ojca? Jakże mogła zrozumieć, że matka dziesięcioletniego chłopca musi być w domu, kiedy on wraca ze szkoły? Kto mu pomoże przy odrabianiu lekcji? Kto mu zrobi kolację? Upewni się, że nie wpadł w złe towarzystwo? Dorothy tego nie rozumiała. Nie potrafiła zrozumieć. I bez przerwy gadała o kościele, pracy zawodowej i normalnym życiu.

Becky przysięgała, że jest gotowa się wyprowadzić. Pieniądze z polisy ubezpieczeniowej męża powinny im wystarczyć na samodzielne życie, choćby i skromne, dopóki Paul nie ukończy wyższych studiów.

Becky nie rozumiała, że Dorothy nie mówiła tak naprawdę o kościele, pracy zawodowej i nowym życiu. Chodziło o picie. Ale Becky nie miała zamiaru przestać.

Osiem miesięcy i trzy dni później Becky Osborn wjechała do basenu portowego Barnstable Harbor swym samochodem i siedziała w nim, aż się utopiła. Właśnie zaczęła trzydziesty trzeci rok życia. Pogrzeb odbył się w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim w Yarmouth, piętnastego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Dzień był szary, zanosilo się na śnieg. W ceremonii uczestniczyło dwadzieścia osiem osób, wliczając w to Paula i Dorothy. W większości byli to przyjaciele Dorothy.

Czwartego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku ciotka Dorothy została prawną opiekunką jedenastoletniego Paula Osborna. Dwunastego stycznia tegoż roku wstąpił do Hartwick, utrzymywanej z publicznych funduszy prywatnej szkoły dla chłopców w Trenton, w stanie New Jersey. Miał tam mieszkać dziesięć miesięcy w roku przez następne siedem lat.

## 8

We wtorek rano londyńska prasa opublikowała wykonany przez artystę plastyka rysunek odciętej głowy. Określono go jako portret zaginionego mężczyzny i proszono wszystkich mogących udzielić jakichkolwiek informacji o uprzejme powiadomienie policji. Podano przy tym numer telefonu wraz ze wzmianką, że wszyscy telefonujący zachowają anonimowość, jeśli będą sobie tego życzyć. Policję miało rzekomo interesować tylko miejsce przebywania zaginionego, którego poszukuje zatroskana rodzina. Nie

wspomniano o tym, że sportretowano twarz człowieka, którego ciała jeszcze nie odnaleziono.

Do nadejścia nocy nie było ani jednego telefonu.

W Paryżu całkiem inny szkic pozwolił na uzyskanie lepszych rezultatów. Za zwykłą stufrankową łapówką Jean Packard zdołał odświeżyć pamięć jednego z kelnerów, którzy odciągnęli Paula Osborna od gardła Henriego Kanaracka, gdy ci dwaj walczyli na podłodze brasserie Stella.

Kelner, niewysoki człowieczek o małych, kobiecych dłoniach i podobnych manierach, widział Kanaracka już miesiąc wcześniej, gdy pracował w innej brasserie, która wkrótce potem została zamknięta z powodu pożaru. Podobnie jak do brasserie Stella, Kanarack przychodził samotnic, zamawiał kawę z ekspresu, a następnie rozkładał gazetę i wypalał papierosa. Pora dnia była mniej więcej ta sama: piąta po południu. Brasserie nazywała się Le Bois i mieściła przy bulwarze Magenta, w połowie drogi między Gare de l'Est i placem Republiki. Prosta linia, nakerślona między Le Bois i brasserie Stella, wyznaczyła najważniejsze stacje metra na tym obszarze. A ponieważ nieznanemu nie wyglądał na człowieka jeżdżącego taksówkami, można było w granicach rozsądku przyjąć, że przybywa tam albo samochodem, albo pieszo. Nie wydawało się prawdopodobne, aby parkował wóz w pobliżu jednej z tych kawiarni w godzinach wieczornego szczytu tylko po to, by przesiadywać samotnie nad filiżanką kawy z ekspresu. Zwykła logika podpowiadała, że przybywał pieszo.

Zarówno Osborn, jak kelner opisali, że mężczyzna miał na brodzie krótki zarost. To z kolei, w zestawieniu z jego manierami i wyglądem człowieka z klasy robotniczej, pozwoliło założyć, że znajdował się w drodze z pracy do domu. A ponieważ wstąpił na kawę co najmniej dwa razy, można było również przyjąć, że ma zwyczaj ofiarowywać sobie codziennie tę chwilę wytchnienia.

Teraz wystarczało, by Packard obszedł inne kawiarnie w okolicy. W razie niepowodzenia mógł posłużyć się metodą triangulacji, by znaleźć jeszcze inną kawiarnię, aż ktoś w końcu rozpozna człowieka ze szkicu Paula Osborna. Za każdym razem miał okazywać swą legitymację, wyjaśniać, że ten oto mężczyzna zaginął i że on sam został wynajęty przez rodzinę, by odnaleźć zaginionego.

Za czwartą próbą Packard trafił na kobietę, która rozpoznała warz na prymitywnym rysunku. Była to kasjerka w bistro przy ulicy Lucien, tuż koło bulwaru Magenta. Człowiek ze szkicu wstępował tu nieregularnie przez ostatnie dwa, trzy lata.



- Czy wie pani, jak on się nazywa, madame?

Na te słowa kobieta popatrzyła na niego ostro.

- Twierdzi pan, że prowadzi badania na zlecenie jego rodziny, a nie wie pan, jak się nazywa?

- Bardzo często jednego dnia nadaje sobie jedno nazwisko, a następnego inne.

- Czy to przestępca?

- To chory człowiek...

- Przepraszam. Ale nie, nie znam jego nazwiska...

- Może wie pani, gdzie pracuje?

- Nie. Ale wiem, że zwykle ma na marynarce jakiś drobny pył czy proszek. Zauważyłam to, ponieważ zawsze próbuje go strzepać. Jakby to był jakiś tik nerwowy.

- Firmy budowlane zostały wyeliminowane, ponieważ ogólnie rzecz biorąc, robotnicy budowlani nie noszą sportowych marynarek na co dzień do pracy.

Było tuż po siódmej wieczorem; Paul Osborn siedział z Jeanem Packardem w słabo oświetlonym kącie hotelowego baru. Packard obiecał, że skontaktuje się z nim w ciągu dwóch dni. Odezwał się wcześniej.

- Wygląda na to, że nasz człowiek pracuje w jakimś zapyłonym miejscu, a resztki pyłów osiadają nawet tam, gdzie wiesz swoją marynarkę. Zbadawszy firmy w promieniu półtora kilometra od trzech kawiarni, a więc w odległości nieco większej niż droga odbywana pieszo po dniu pracy, uznałem, że można zawęzić jego zawód do branży kosmetyków, suchych chemikaliów lub surowców piekarskich.

Jean Packard mówił spokojnym głosem. Jego informacje były zwięzłe i precyzyjne. Lecz Osborn słuchał ich jakby we śnie. Tydzień temu był w Genewie, nerwowo przygotowując się do referatu, który miał wygłosić na Światowym Kongresie Chirurgicznym. Teraz siedział w skąpo oświetlonym barze w Paryżu, słuchając obcego mężczyzny, który właśnie potwierdził, że człowiek z Bostonu żyje, chodzi ulicami Paryża, mieszka tu, pracuje, oddycha. Że ujrzana przez Osborna twarz była realna. Skóra, której dotykał, życie, które pulsowało mu pod palcami, w chwili gdy próbował go udusić, były realne.

- Jutro o tej samej porze będę miał dla pana jego nazwisko i adres - zakończył Packard.

- Dobrze. Bardzo dobrze - powiedział machinalnie Osborn.

Jean Packard przyglądał mu się przez chwilę, zanim wstał. Nie obchodziło go, co Osborn zrobi z otrzymaną informacją. Ale spojrzenie takie jak jego widywał już u innych ludzi. Dalekie, niespokojne i zdecydowane. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że człowiek, którego wyda siedzącemu przed nim Amerykaninowi, wkrótce umrze.

Wróciwszy do swego pokoju, Osborn rozebrał się i po raz drugi tego dnia wziął prysznic. Usiłował nie myśleć o dniu jutrzejszym. Gdy już pozna nazwisko tego człowieka, będzie wiedział, kim on jest, gdzie mieszka i wówczas zastanowi się nad resztą. Jak go przesłuchać i jak go zabić. Myślenie o tym w tej chwili było zbyt trudne i bolesne. Przypominało wszystko, co w jego życiu ponure i okropne: poczucie utraty, złość, winę, wściekłość, odosobnienie i samotność, lęk przed miłością spowodowany obawą, że może zostać odebrana.

Połowę twarzy miał pokrytą kremem do golenia i właśnie wycierał parę z lustra, gdy zadzwonił telefon.

- Tak - powiedział po prostu, spodziewając się, że to Jean Packard z jakimś zapomnianym szczegółem. Ale nie był to Jean Packard. Z holu na dole telefonowała Vera. Czy może przyjść do jego pokoju, czy też jest z kimś innym albo ma inne plany? Taka właśnie była. Grzeczna, delikatna, prawie niewinna. Gdy kochali się po raz pierwszy, zapytała nawet, czy może dotknąć jego penisa. Teraz przyszła, by się pożegnać, przynajmniej tak powiedziała.

Otworzył drzwi okryty tylko ręcznikiem i ujrzał ją w korytarzu drżącą, ze łzami w oczach. Weszła do środka, a on zamknął drzwi i ją pocałował. Odwzajemniła pocałunek, a potem padli sobie w ramiona. Jej garderoba została rozrzucona po całym pokoju. Wargami dotykał jej piersi, rękę wsuwał w cień pomiędzy jej udami. Później rozsunęła nogi, a on w nią wszedł z niewiarygodnym pożądaniem, śmiali się, lecz pojawiły się i łzy.

Dotychczas nikt nie żegnał się z nim w taki sposób i na pewno nikt w przyszłości tak się z nim nie pożegna.

Nikt.

## 9

Nazywała się Vera Monneray. Poznał ją w Genewie; podeszła do niego zaraz potem, jak wygłosił referat, i przedstawiła się. Powiedziała mu, że ukończyła akademię medyczną w Montpellier i odbywa pierwszy rok

praktyki w Centre Hospitalier Sainte-Anne w Paryżu. Jest tu sama i obchodzi właśnie swe dwudzieste szóste urodziny. Właściwie nie wiedziała, z jakiego powodu zachowuje się tak bezpośrednio, wiedziała tylko, że przyciągnął jej uwagę w tej samej chwili, gdy zaczął przemawiać. Było w nim coś takiego, że chciała go poznać. Przekonać się, jaki jest. Pobyć z nim choć przez krótką chwilę. Nie miała pojęcia, czy jest żonaty, czy nie. Nie obchodziło jej to. Gdyby powiedział, że jest żonaty i żona mu towarzyszy, albo po prostu, że jest zajęty, uścisnęłaby mu dłoń, oznajmiła, że podziwia jego referat, i odeszła. I na tym by się skończyło.

Ale nie powiedział.

Wyszli na dwór i kładką dla pieszych nad Rodanem przeszli do starej części miasta. Vera była inteligentna i pełna życia. Miała długie włosy, prawie tak czarne jak pióra kruka; potrafiła założyć je za ucho w taki sposób, że nie rozsypywały się bez względu na to, jak była ożywiona. Oczy, prawie tak ciemne jak włosy, promieniowały młodością i entuzjazmem dla długiego życia, które jeszcze miała przed sobą.

Nie upłynęło więcej niż dwadzieścia minut od chwili ich poznania, a już trzymali się za ręce. Tego wieczoru jedli razem kolację w cichej włoskiej restauracji tuż koło dzielnicy czerwonych latarni. To dziwne, że w Genewie jest ulica prostytutek. Jej reputacja miasta czekolady i zegarków, panująca w niej aura trzeźwości charakterystyczna dla międzynarodowego centrum finansowego w jakiś sposób nie zgadzały się z obcisłymi jak druga skóra, rozciągniętymi po udo spódniczkami dziwek ulicznych. Ale tak czy inaczej były tutaj, okupowały kilka przydzielonych im przecznic. Gdy je mijali, Vera uważnie przyglądała się Osbornowi. Czy jest spłoszony, zakłopotany, czy po cichu rozgląda się za okazją, czy też uważa, że życie jest, jakie jest? Wszystko naraz - pomyślała. - Wszystko.

Kolację, podobnie jak większość popołudnia, wypełniło w jeszcze większym stopniu delikatne, milczące badanie się wzajemne mężczyzny i kobiety, czujących do siebie instynktowny pociąg. Trzymanie się za ręce, wymiana spojrzeń, długie, badawcze wpatrywanie się sobie w oczy. Wielokrotnie Paul odczuwał podniecenie. Po raz pierwszy, gdy myszkowali w dziale pieczywa wielkiego supersamu. Tłoczyło się tam mnóstwo kupujących, a on był pewien, że wszystkie spojrzenia kierują się w okolice jego pachwin. Szybko chwyciwszy duży bochenek chleba, trzymał go dyskretnie przed sobą, udając równocześnie, że się rozgląda. Vera, spostrzegłszy

to, roześmiała się. Czuł się tak, jakby od bardzo dawna byli kochankami i wspólnie przeżywali dreszczyk emocji wywołany możliwością zdekonspirowania.

Po kolacji poszli na spacer wzdłuż ulicy des Alpes i przyglądali się wstającemu nad Jeziorem Genewskim księżycowi. Za ich plecami znajdował się hotel Paula, Beau-Rivage. Paul zaplanował to tak, by kolacja, spacer i cały wieczór zakończyły się w tym miejscu. A le teraz, gdy wszystko było na wyciągnięcie ręki, nagle okazało się, że nie jest tak pewny siebie, jak przypuszczał. Od jego rozwodu upłynęło mniej niż cztery miesiące; zbyt mało czasu, by odzyskać pewność siebie przystojnego kawalera i do tego uznanego lekarza. Próbował sobie przypomnieć, jak w dawnych czasach nakłaniał kobietę, by przyszła do jego pokoju. Miał pustkę w głowie, nie mógł sobie przypomnieć żadnych sztuczek. Okazało się, że nie musiał. Vera go wyprzedziła.

-Paul - powiedziała, uśmiechając się i biorąc go pod rękę, by się przytulić do niego i osłonić przed nadciągającym z jeziora nocnym chłodem - wiesz, zawsze należy pamiętać, że kobietę możesz mieć w łóżku tylko wtedy, gdy to ona podejmie taką decyzję.

-Tak? - rzucił z pokerową twarzą.

-To prawda.

Sięgnąwszy do kieszeni, wydobyl klucz i go uniósł.

-Do mojego pokoju hotelowego - oświadczył.

-Mam pociąg. TGV o dziesiątej do Paryża - oznajmiła rzeczowo, jakby było to coś, o czym powinien wiedzieć.

-Nie rozumiem. - Serce w nim zamarło. W ogóle nie wspomniała o pociągu ani o tym, że opuszcza Genewę tego wieczoru.

-Paul, dziś jest piątek. Mam coś do załatwienia w Paryżu podczas weekendu, a w poniedziałek w południe muszę być w Calais. To będą osiemdziesiąte pierwsze urodziny mojej babki.

-Co masz takiego do roboty w Paryżu, co nie może poczekać do następnego weekendu?

Vera tylko na niego popatrzyła. - Więc co? - powtórzył.

A gdybym ci powiedziała, że mam chłopaka?

- Czy zajęte swoimi chłopakami piękne praktykantki wymykają się z miasta, by podrywać nowych kochanków? Takie są obyczaje świata lekarskiego w Paryżu?

Nie poderwałam cię! - Vera cofnęła się oburzona. Tyle że w Kącikach jej ust pojawił się uśmiešek. Dostrzegł go, a ona zdała sobie z tego sprawę.

- Czy w Calais jest lotnisko? - zapytał.  
- Dlaczego pytasz? - wykręcała się od odpowiedzi.  
- Przecież odpowiedź jest taka prosta. - Uśmiechnął się. - Tak, jest lotnisko w Calais. Nie, nie ma lotniska w Calais.  
Oczy Very zabłyśły w świetle księżycy. Wietrzyk znad jeziora poruszył jej włosy.  
- Nie jestem pewna...  
- Ale w Paryżu jest lotnisko.  
- Dwa.  
- Wobec tego w poniedziałek rano możesz polecieć do Paryża i wsiąść do pociągu do Calais. - Jeśli chciała, by zaczął o nią zabiegać, był gotów.  
- Cóż bym robiła tutaj do poniedziałkowego ranka? - Tym razem jej uśmiech był nieco szerszy. Ale owszem, chciała, by o nią zabiegał.  
- To kobieta musi podjąć decyzję, żeby mężczyzna mógł ją mieć w łóżku - powiedział spokojnie i znowu podniósł klucz do swego pokoju.  
Vera spojrzała mu w oczy. I gdy tak na siebie patrzyli, wyciągnęła powoli rękę i wzięła klucz w palce.

## 10

Następnego ranka Osborn zdecydował, że dwa dni nie wystarczą. Vera właśnie wstała z łóżka; patrzył za nią, jak je okrąża i kieruje się do łazienki. Wyprostowana jak struna, bezwstydnie wysuwając do przodu małe, alabastrowe piersi, przeszła przez pokój z gracją dopiero co oswojonego zwierzęcia, nieświadomego swej wspaniałości. Pomyślał, że z rozmysłem nic na siebie nie włożyła; nawet koszulki z nadrukiem „Los Angeles Kings”, którą dał jej do spania, a na którą w ogóle nie spojrzała. Nie owinęła się też żadnym z leżących jeszcze na podłodze ręczników - porzuconych trofeów trzech długich intymnych zbliżeń pod prysznicem. Na swój sposób dawała mu do zrozumienia, że spędzona tu noc była żartem, którego wspomnienie zupełnie jej nie krępuje.

Gdzieś w godzinach poprzedzających świt, pomiędzy kolejnymi sesjami rozpusty, postanowili spędzić następny dzień na zwiedzaniu Szwajcarii pociągiem. Z Genewy do Lozanny, do Zurychu, do Lucerny. On chciałby też pojechać do Lugano nad granicą włoską, ale nie było na to czasu. Pamiętał, że zanim całkowicie wyczerpany zapadł w głęboki sen,

rozmyślał nad zachowaniem Lugano na następną wycieczkę. Lugano i Włochy.

Przyszło mu to do głowy, w momencie gdy usłyszał, że Vera wchodzi pod prysznic. Była sobota, pierwszy października. Vera musi być w Calais w poniedziałek, trzeciego. Tego samego dnia on miał rezerwację na samolot z Londynu do Los Angeles. A gdyby tak zamiast zwiedzać Szwajcarię, polecieć do Londynu? Mogli mieć dla siebie dzisiejszą noc, cały dzień i całą niedzielą noc w Londynie czy gdziekolwiek w Anglii, dokąd zechcą się udać. W poniedziałek rano odprowadzi ją na pociąg do Dover, a stamtąd Vera może przesiąść się na poduszkowiec albo prom płynący przez kanał La Manche prosto do Calais.

Sensowność tego rozwiązania objawiła mu się tak nagle, że bez namysłu sięgnął po telefon. Dopiero w chwili gdy rozmawiał z recepcjonistką, pytając, jak się połączyć z Air Europe, zdał sobie sprawę, że nadal jest nagi. Na dodatek miał też erekcję, która zdawała się występować przez większość czasu, kiedy Vera była gdzieś blisko. Nagle poczuł się jak nastolatek na potajemnym weekendzie. Tyle że jako nastolatek nigdy nie spędził potajemnie weekendu. Takie rzeczy zdarzały się innym, nie jemu. Choć silny i przystojny, pozostał prawiczkiem niemal do dwudziestego roku życia i uzyskania dyplomu uczelni medycznej. Nigdy nie robił rzeczy, jakie robili inni chłopcy. Przechwalał się co prawda, że on także; nie chciał wyjść na głupiego. Źródłem tego było, jak zawsze, to samo nikczemne uczucie: potężny i nie do opanowania lęk, że seks doprowadzi do przywiązania, a przywiązanie do miłości. A gdy tylko zaczynał pograżać się w miłości, było kwestią czasu, by zaczął ją niszczyć.

Początkowo Vera powiedziała „nie”: Anglia jest zbyt droga, decyzja podjęta pod wpływem impulsu. Ale wziął ją za rękę, przyciągnął i gorąco pocałował. I odparł, że nic nie jest droższe ani impulsywniejsze niż samo życie. I nic nie jest dla niego ważniejsze niż spędzenie z nią tylu godzin, ile tylko można. A to najłatwiej osiągnąć, jeśli dzisiaj polecą do Londynu. Mówił poważnie. Widziała to w jego oczach, gdy się odsunęła, by mu się przyjrzeć, i czuła to w jego dotyku, gdy uśmiechając się, pogłaskał wierzchem dłoni jej policzek.

Tak. - Uśmiechnęła się. - Tak, jedźmy do Anglii. Ale potem już koniec, zgoda? - Jej uśmiech zgasł i spoważniała po raz pierwszy od chwili, gdy się spotkali. - Paul, ty masz swą karierę zawodową, ja moją i chcę ją rozwijać.

Tak... - Wyszczrzył zęby i schylił się, by ją pocałować, ale się odsunęła.

- Nie. Najpierw powiedz, że się zgadzasz. Po Londynie już nigdy się nie zobaczymy.

- Praca ma dla ciebie tak wielkie znaczenie?

- Znaczenie ma to, co zrobiłam dotychczas, aby ukończyć uczelnię medyczną. I to, co mam jeszcze do zrobienia. Tak, ma tak wielkie znaczenie. Nie, nie mam zamiaru przeproszać, że to powiedziałam i że mówiłam serio.

- Wobec tego... - zrobił pauzę - zgadzam się.

Pobyt w Londynie przeleciał jak błyskawica. Vera chciała, by zatrzymali się w jakimś zapewniającym dyskrecję miejscu; gdzieś, gdzie nie spotka żadnego kolegi ze studiów czy profesora - „A może twego chłopaka?” - drażnił się Paul - i nie zostanie zaproszona na kolację, herbatę czy cokolwiek, z czego będzie się musiała wykręcać. Osborn wybrał Connought, jeden z najwytworniejszych, najmniejszych, najdyskretniejszych i najbardziej „angielskich” ze wszystkich londyńskich hoteli.

Mogli się nie niepokoić. Sobotni wieczór spędzili na Les Liaisons Dangereuses w Ambassadors Theatre, następnie poszli na kolację do Ivy po drugiej stronie ulicy, pospacerowali po dzielnicy teatralnej, od czasu do czasu wstępując po drodze do pubów na szampana, aż w końcu odbyli długą, okrężną podróż taksówką z powrotem do hotelu. Podczas jazdy zmysłowym i konspiracyjnym szeptem rzucili sobie nawzajem wyzwanie, by kochać się, nie zwracając na siebie uwagi taksówkarza. I udało się im. A przynajmniej tak sądzili. Resztę z trzydziestosześciodzinnego pobytu w Londynie spędzili w łóżku. I bynajmniej nie z powodu seksu ani wolnego wyboru. Najpierw Paul, a zaraz potem Vera padli ofiarą zatrucia pokarmowego albo gwałtownego ataku grypy. Mogli tylko mieć nadzieję, że przejdzie im po dwudziestu czterech godzinach. I tak się stało. Gdy nadszedł poniedziałkowy ranek i jechali taksówką na Victoria Station, oboje, choć z lekka osłabieni i nieco nadwerżeni, czuli się prawie całkowicie zdrowi.

- Okropny sposób spędzania weekendu w Londynie - powiedział, trzymając ją za rękę, gdy szli do pociągu.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- W zdrowiu i chorobie...

Później dziwiła się sama sobie, skąd jej to przyszło do głowy, zwłaszcza gdy zdała sobie sprawę, że powiedziała to poważnie. Właśnie tak; po

prostu zaakcentowała te słowa. Chciała je wypowiedzieć lekko i żartobliwie, ale zabrzmiały inaczej. Paul wziął ją wtedy w ramiona i pocałował. Pomyślała, że zapamięta ten pocałunek na całe życie: wspaniały i podniecający, a równocześnie przepojony siłą i wiarą w siebie, jakich nigdy jeszcze nie spotkała u żadnego mężczyzny.

Pamiętała, jak patrzyła na niego z okna przedziału, gdy pociąg ruszył. Jak stał tam na ogromnym dworcu kolejowym, wśród pociągów, szyn i ludzi. Z rękami założonymi na piersiach, goniący ją wzrokiem, ze smutnym, zakłopotanym uśmiechem; z każdym stukotem kół coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie pociąg opuścił stację i straciła go z oczu.

Paul Osborn pożegnał ją o siódmej trzydzieści rano w poniedziałek trzeciego października. Dwie i pół godziny później znalazł się w sklepie bezcłowym na lotnisku Heathrow, gdzie usiłował zabić czas do dwunastej, kiedy to miał wsiąść do samolotu do Los Angeles.

Oglądał T-shirty, kubki do kawy i małe ręczniczki z wydrukowanym planem sieci londyńskiego metra, kiedy złapał się na tym, że myśli o Verze. A potem zapowiedziano jego lot, więc przecisnął się przez morze drepczących w miejscu pasażerów do sali odlotów. Przez okno widział, jak jego boeing 747 British Airways tankuje paliwo i jak ładują do niego bagaże.

Odróciwszy się plecami do samolotu, popatrzył na zegarek. Była prawie jedenasta; Vera powinna się znajdować na pokładzie poduszki pływającego przez Cieśninę Kaletańską do Calais. Gdy dotrze do swej babki, będzie miała niewiele więcej niż dziewięćdziesiąt minut, by wybiec i złapać pociąg o czternastej do Paryża.

Uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie, jak Vera pomaga osiemdziesięcioletniej pani rozpakowywać prezenty urodzinowe, a potem żartuje z nią przy kawie i ciasteczkach, i zastanawiał się, czy przypadkiem coś o nim wspomni. I jeśli to zrobi, jaka będzie reakcja starszej pani. A potem oczyma wyobraźni ujrzał, jak obejmują się, żegnają i jak babka krytykuje ją za tak krótką wizytę, gdy Vera czeka na taksówkę, która ją zawiezie na stację. Osborn nie miał pojęcia, gdzie babka Vera mieszka w Calais, ani prawdę powiedziawszy, jak się nazywa. Czy była jej babką ze strony matki, czy ojca?

I w tym momencie pojął, że nie ma to żadnego znaczenia. Bo tak naprawdę myślał o tym, że Vera będzie w pociągu odjeżdżającym o czternastej z Calais do Paryża.



Po niecałych czterdziestu minutach jego bagaże zostały wyciągnięte z boeinga 747, a on stanął w kolejce do odlotu linią rejsową British Airways do Paryża.

## 11

Z okna przedziału pierwszej klasy Vera patrzyła, jak pociąg zwalnia i wjeżdża na stację. Przez kilka krótkich godzin spędzonych w pociągu próbowała się odprężyć i czytać. Ale jej myśli błądziły gdzie indziej i musiała odłożyć lekturę. Przede wszystkim, jaki impuls skłonił ją do przedstawienia się Paulowi Osbornowi w Genewie? I dlaczego spała z nim w Genewie, a potem pojechała do Londynu? Czy po prostu dlatego, że była niespokojna i działała pod wpływem kobiecego kaprysu, skłaniającego do poddania się urokowi przystojnego mężczyzny? Czy też, rzecz niezwykle rzadka, natychmiast wyczuła w nim pokrewną duszę, podobnie pojmującą życie, to, jakie może być i co osiągną, jeśli będą razem?

Nagle zdała sobie sprawę, że pociąg się zatrzymał; ludzie wstawali, zdejmowali bagaże z półek nad głowami i wychodzili. Była w Paryżu. Jutro wróci do pracy, a Londyn, Genewa i Paul Osborn pozostaną tylko wspomnieniem.

Z walizką w rękę wysiadła z wagonu i wraz z tłumem ruszyła peronem. Powietrze było wilgotne i duszne, jakby miało padać.

- Vera!

Podniosła wzrok.

- Paul? - zapytała zdziwiona.

- W zdrowiu i w chorobie. - Uśmiechnął się, wynurzając się koło niej z tłumu, i wziął od niej walizkę. Przyleciał z Londynu, a potem wziął taksówkę z lotniska na Gare du Nord. Zdążył jeszcze zamówić lot z Paryża do Los Angeles. W Paryżu zostanie pięć dni. Przez pięć dni będą ze sobą.

Chciał ją zabrać do domu, do jej mieszkania. Wiedział, że ma iść do pracy, ale chciał się z nią kochać przez cały czas, jaki ich od tego dzieli. Później zaś, gdy Vera skończy dyżur i wróci do domu, znów będą robić to samo. Przebywanie z nią, kochanie się z nią - tylko to było ważne.

- Nie mogę - powiedziała mu po prostu, rozłożyszczona, że w ogóle się pojawił. Jak śmiał narzucać się jej w taki sposób?

Nie takiej reakcji oczekiwał. Wspólnie spędzony czas tak ich przecież zbliżył, był doskonały, przepiękny miłością. I nie tylko on to czuł.

- Zgodziłeś się, że po Londynie więcej się nie zobaczymy.

- Oprócz kilku godzin w teatrze oraz kolacji Londyn nie okazał się nadzwyczajny, prawda? - Uśmiechnął się. - Chyba że wliczasz w to wymioty oraz wysoką gorączkę na przemian z zimnymi dreszczami.

Przez chwilę Vera milczała, a potem wyjawiała mu prawdę. Był ktoś inny.

Nie powinna ujawniać jego nazwiska, lecz we Francji to ktoś ważny i potężny i nie może się nigdy dowiedzieć o Genewie i Londynie. Zabolałoby go to głęboko, a ona tego nie chce. To wszystko między nimi, to, co ze sobą dzielili, po prostu się zdarzyło. Musiało się zdarzyć. Zasada jest taka, że kobieta przychodzi do mężczyzny tylko wtedy, gdy ma na to ochotę, i on o tym wie. Choć to bolesne, nie może i nie chce widzieć się z nim ponownie.

Dotarli do ruchomych schodów, pojechali w górę i wyszli na zewnątrz, na postój taksówek. Powiedział jej, jak nazywa się hotel przy alei Klebera, w którym zawsze zatrzymuje się w Paryżu. Będzie tam przez pięć dni. Chce się z nią jeszcze raz zobaczyć, choćby po to, by się pożegnać.

Vera odwróciła wzrok. Paul Osborn nie był podobny do żadnego mężczyzny, jakiego w życiu spotkała. Nawet dotknięty i rozczarowany, pozostał delikatny, łagodny i wyrozumiały. Ale przecież nie mogła ustąpić. Nie mógł stać się częścią jej życia. Nie istniało inne rozwiązanie.

-Przykro mi - powiedziała, patrząc na niego. A potem wsiadła do taksówki, zatrzasnęła drzwi i odjechała.

-Takie to proste - usłyszał własne, głośno wypowiedziane słowa.

Upłynęła mniej niż godzina, gdy zasiadł w brasserie, gdzieś w pobliżu ulicy Saint-Antoine, próbując wszystko to poskładać w całość. Gdyby nie zmienił planów i nie wsiadł do samolotu do Paryża, za kilka godzin lądowałby w Los Angeles; taksówką pojechałby do swego domu z widokiem na Pacyfik, odebrałby swego psa, retrievera chesapeake'a i sprawdził, czy jakiś jeleń nie przeskoczył płotu i nie zjadł mu róz. A następnego dnia wróciłby do pracy. Gdyby postąpił normalnie, taki byłby bieg rzeczy. Ale me Postąpił.

Liczyła się tylko Vera, taka, jaka była, i to, co w nim obudziła. Wszystko inne nie było nic warte. Tak przynajmniej myślał, chwili gdy podniósł wzrok i ujrzał człowieka z blizną.

## Środa, 5 października

Tuż po dziesiątej rano Henri Kanarack wstąpił do sklepiku spożywczego znajdującego się o pół przecznicy od piekarni. Nadal niepokoił go incydent z Amerykaninem, ale ponieważ w ciągu dwóch dni nic się nie wydarzyło, zaczynał się zgadzać zarówno ze swą żoną, jak i Agnes Demblon, że ów człowiek trafił na niewłaściwą osobę albo po prostu był wariatem. Pochylał się właśnie, by zabrać do pracy kilka butelek wody mineralnej, gdy właściciel sklepu, otyły i prawie ślepy, nagle wziął go za ramię i wciągnął do pokoju na zapleczu.

- Co się stało? - spytał oburzony Kanarack. - Płacę rachunki w terminie.

- Nie o to chodzi - powiedział Fodor, spoglądając przez grube szkła, by się upewnić, że żaden klient nie czeka przy kasie. Fodor był nie tylko właścicielem sklepiku, ale także kancelistą, kasjerem, zaopatrzeniowcem oraz dozorcą. - Był tu u mnie dzisiaj pewien człowiek. Prywatny detektyw z niezdatnym rysunkiem twojej twarzy.

- Co? - Kanarack poczuł, że serce mu skoczyło w piersi.

- Wszystkim go pokazywał. Wypytywał ludzi, czy cię znają.

- Coś mu powiedziałeś?

- Nie. Od razu się zorientowałem, że on czegoś chce. Inspektor skarbowy?

- Nie wiem. - Henri Kanarack odwrócił wzrok. Prywatny detektyw, który dotarł aż tak blisko. - Z jakiej był firmy? Masz może jego nazwisko?

Fodor kiwnął głową i wysunął szufladę spod stołu, który służył mu za biurko. Wyjął wizytówkę i podał Henriemu.

- Mówił, by zatelefonować, jeśli cię zobaczymy.

- My? Jacy my? - spytał Kanarack.

- Inni ludzie w sklepie. Pytał każdego. Na szczęście wszyscy byli obcy i nikt cię nie rozpoznał. Dokąd stąd poszedł i z kim rozmawiał, nie wiem. Na twoim miejscu zacząłbym się pilnować po powrocie do pracy.

Henri Kanarack nie zamierzał wrócić do pracy. W każdym razie nie tego dnia, być może już nigdy. Zerkając na wizytówkę, zadzwonił do piekarni i poprosił do telefonu Agnes.

- Amerykanin - powiedział. - Nasłał na mnie prywatnego detektywa. Jeśli się pokaże, postaraj się, żeby rozmawiał tylko z tobą. Dopilnuj, żeby nikt inny nic nie mówił. Nazywa się... - Kanarack ponownie spojrzął na wizytówkę - Jean Packard. Pracuje dla firmy Kolb International. - Nagle wpadł w złość. - Czemu pytasz, co masz mu powiedzieć? Powiedz, że już nie pracuję, i to od pewnego czasu. Gdyby chciał się dowiedzieć, jaki jest mój adres, to go nie znasz. Posłałaś do mnie jakieś papiery, gdy się zwolniłem, i wróciły z adnotacją, że nie zostawiłem żadnego adresu, pod który można by je odesłać. - Wyrzuciwszy to z siebie i obiecawszy, że zadzwoni do niej później, Kanarack pośpiesznie odwiesił słuchawkę.

Mniej niż w godzinę później Jean Packard wszedł do piekarni i zaczął się rozglądać. Rozmowy z dwoma innymi właścicielami sklepów oraz z młodym chłopcem, który przypadkiem obejrzał jego szkic, naprowadziły go na ten trop. Do piekarni przylegał z frontu mały sklepik, gdzie sprzedawano wczorajsze pieczywo. Z tyłu za nim widać było biuro, a jeszcze głębiej zamknięte drzwi, które, jak detektyw przypuszczał, wiodły do pomieszczeń, gdzie wypiekano chleb.

Starsza kobieta zapłaciła za dwa bochenki chleba i odwróciła się do wyjścia. Packard uśmiechnął się i otworzył przed nią drzwi.

- Merci beaucoup - powiedziała w przejściu.

Jean Packard skinął głową, a potem zwrócił się do młodej dziewczyny za ladą. Tutaj pracował człowiek, którego szukał. A zatem nie pokaże nikomu szkicu. Byłby to dla poszukiwanego sygnał, że ktoś za nim chodzi. Jean Packard potrzebował po prostu listy pracowników. Rzuciło się w oczy, że jest to mały zakład, zatrudniający nie więcej niż dziesięć do piętnastu osób. Wszyscy będą zarejestrowani w Centralnym Urzędzie Skarbowym. Komputer bez trudu wyszuka ich adresy domowe. Nie będzie trudno sprawdzić dane tych osób. Przez prostą eliminację uzyska nazwisko tego, o kogo chodzi.

Dziewczyna za ladą ubrana była w krótką, obcisłą spódniczkę, miała pantofle na wysokich obcasach, a kształtne nogi obleczone w siatkowe pończochy. Włosy ściągnęła w węzeł na czubku głowy, nosiła ogromne kolczyki w kształcie kół, a tuszu do rzęs i cieni do powiek, których użyła, wystarczyłoby na trzy dziewczyny. Należała do tego rodzaju pół dziewczyn, pół kobiet, które większość dnia spędzają w oczekiwaniu na wieczór.

Pracy za ladą piekarni nie uważała za szczególnie ekscytującą; po prostu pomagała jej pokrywać rachunki, do chwili gdy się lepiej ustawi.

- Bonjour - powiedział Packard z uśmiechem.

- Bonjour - odparła, także się uśmiechając. Widać było, że flirtowanie jest dla niej naturalnym odruchem.

Dziesięć minut później Packard wychodził z półtuzinem rogalików i listą zatrudnionych tutaj ludzi. Powiedział jej, że otwiera w okolicy nocny klub i chce przesłać miejscowym kupcom i ich personelowi zaproszenia na otwarcie. Bo to dobra reklama.

### 13

McVey zadrzał i nalał gorącej wody do wielkiego kubka z rysunkiem flagi brytyjskiej. Na dworze padał zimny deszcz, a nad Tamizą unosiła się lekka mgiełka. Barki płynęły w górę i w dół rzeki; na nadbrzeżnej drodze panował ożywiony ruch.

Rozejrzawszy się, znalazł małą plastikową łopatkę, leżącą na zaplamionym papierowym ręczniku, i do parującej wody dodał dwie porcje kawy bezkofeinowej Taster's Choice oraz łyżeczkę cukru. Taster's Choice udało mu się wypatrzeć w małym sklepiku spożywczym za rogiem, koło Scotland Yardu. Oplótszy dłońmi kubek, przełknął łyk kawy i znów popatrzył na leżący przed nim otwarty skoroszyt - listę znanych lub podejrzewanych wielokrotnych morderców w Europie: Holandii, zjednoczonych Niemczech, Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej; otrzymał go z Interpolu. Razem mniej więcej dwieście nazwisk. Niektórzy odsiedzieli tylko wyroki za drobniejsze przestępstwa i zostali zwolnieni, inni znajdowali się w więzieniu albo wyszli na wolność za kaucją, i oczekiwali na rozprawę, garstka nadal się ukrywała. Każdy z nich miał zostać sprawdzony. Nie przez McVeya, lecz przez detektywów z wydziałów zabójstw poszczególnych krajów. Kopie ich raportów McVey otrzyma faksem, gdy tylko zostaną sporządzone.

McVey nagle odsunął listę, wstał z miejsca i zaczął się przechadzać po pokoju, lekko zaciskając dłoń i w roztargnieniu pocierając kciuk małym palcem. Niepokoilo go od początku to samo; miał przecucie, że ten, kto chirurgicznie oddziela głowy od ciał, nie jest wielokrotnym mordercą ani nawet notowanym kryminalistą. Nagle wstrzymał tok myśli. Dlaczego miałby to być mężczyzna, a nie kobieta? W dzisiejszych czasach kobiety mają na równi z mężczyznami dostęp do wykształcenia medycznego. A

zważywszy na obecną modę na sprawność fizyczną, wiele kobiet mogło się pochwalić doskonałą kondycją.

Założył, że wszystkie zbrodnie są dziełem jednego człowieka. Jeśli miał rację, zawężało to zakres poszukiwań z ośmiu osób do jednej. Ale jego następne przypuszczenia: że morderca ma wykształcenie lekarskie, dostęp do narzędzi chirurgicznych, jest tej czy tamtej płci, a być może nie jest notowanym kryminalistą - skutecznie niwelowały wszelkie szanse, by go odnaleźć.

Nie miał w małym palcu potrzebnych danych statystycznych, ale jeśli zsumować wszystkich lekarzy, pielęgniarki, sanitariuszy, studentów medycyny, byłych studentów medycyny, koronerów, techników medycznych oraz profesorów uniwersyteckich, nie mówiąc już o mężczyznach i kobietach z wykształceniem lekarskim służących w siłach zbrojnych, to nawet ograniczając się do samej Wielkiej Brytanii i Europy, otrzymałoby się oszałamiające liczby. Nie szukali igły w stogu siana. Raczej było to podobne do morza ziarna niesionego wiatrem, a Interpol nie dysponował ogromną armią żniwiarzy, która by oddzieliła ziarno od plew, by wreszcie wykryć mordercę.

Dane do zbadania trzeba było zredukować i powinien to zrobić, tyle że musiałby mieć więcej przesłanek niż te, które mu przekazano. Najpierw przyszło mu do głowy, że może przeoczył ogniwo wiążące pierwsze morderstwo z ostatnim. Jeśli tak, to mógł to ustalić, tylko zaczynając całą robotę od początku i posiłkując się już konkretnym materiałem dowodowym - z autopsji głowy i siedmiu pozbawionych głów ciał.

Właśnie sięgał po słuchawkę, by zażądać danych, gdy zadzwonił telefon.

-McVey - powiedział automatycznie, podnosząc słuchawkę.

-Oui, McVey! Tu Lebrun, do usług!

Inspektor porucznik Lebrun z Pierwszej Sekcji Paryskiej Prefektury Policji był niewysokim mężczyzną, palącym bez przerwy papierosy. Powitał McVeya uściskiem i cmoknięciem w policzek, ledwie ten postawił stopę na francuskiej ziemi.

- Nie wiem, co to znaczy, jeśli w ogóle coś znaczy - powiedział teraz po angielsku. - Ale przeglądając raporty dzienne moich detektywów, natrafiłem na skargę złożoną z powodu zwykłego pobicia. Bardzo gwałtownego i w wielkiej złości, ale bez użycia broni. Nie o to jednak chodzi. Moją uwagę zwróciło to, że sprawcą jest chirurg ortopeda, Amerykanin, który w dodatku przebywał Londynie tego samego dnia, gdy wasz delikwent w zaułku stracił głowę. Wiem, że doktor był w Anglii, bo mam w ręku jego

paszport. Przyleciał o trzeciej dwadzieścia pięć po południu w sobotę. Wasz człowiek, zdaje się, został zabity właśnie w czasie tego weekendu. Zgadza się?

- Zgadza - potwierdził McVey. - Ale skąd wiemy, że ten chirurg pozostał w Anglii przez dwa dni? - zapytał. - Nie pamiętam, by francuski urzędnik imigracyjny osteplował mój paszport, gdy wylądowałem w Paryżu. Facet mógł tego samego dnia opuścić Anglię i przybyć do Francji.

- McVey, czy zawracałbym głowę tak wybitnemu policjantowi jak ty, nie posprawdzawszy tego i owego?

McVey poczuł się mile połączony.

- No nie wiem, a posprawdzałeś? - Uśmiechnął się.

- McVey, próbuję ci pomóc. Zamierzasz traktować to poważnie czy mam odłożyć słuchawkę?'

- Hej, Lebrun, nie odkładaj. Potrzebuję wszelkiej pomocy... - McVey wziął głęboki oddech. - Przepraszam. - Usłyszał, jak na drugim końcu linii Lebrun po francusku prosi o akta.

- Nazywa się Paul Osborn, doktor medycyny - powiedział chwilę później Lebrun. - Podaje, że mieszka w Pacific Palisades w Kalifornii. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Ja nie mogę sobie pozwolić na taki adres. Co jeszcze?

- Do karty zatrzymania dołączono wykaz rzeczy, które miał przy sobie w chwili, gdy został aresztowany. Jest tu opłacony kartą kredytową rachunek z hotelu Connaught w dzielnicy Mayfair z trzeciego października, to jest dnia, w którym się wymeldował. Prócz tego...

- Zaczekaj... - McVey pochylił się nad stertą skoroszytów na biurku i wyciągnął jeden z nich. - Mów dalej...

- Bilet na samolot British Airways z Londynu do Paryża, data ta sama.

Podczas gdy Lebrun mówił, McVey przeglądał wydruki komputerowe z kart drogowych, które policja stołeczna uzyskała z firm taksówkowych; obejmowały okres czterdziestu ośmiu godzin bezpośrednio poprzedzających znalezienie głowy, zawierały nazwiska i numery licencji kierowców taksówek, wykaz przejazdów do i z dzielnicy teatrów i informacje, gdzie i kiedy pasażerowie wsiadali i wysiadali.

- To jeszcze nie czyni z niego przestępca. - McVey odwracał strony wydruku, dopóki nie znalazł napisu Connaught. Powoli przesuwając po arkuszu palec, szukał ewentualnej informacji.

- Nie, tyle że on odpowiadał wymijająco. Nie chciał powiedzieć, co robił w Londynie. Oświadczył, że zachorował i spędził cały ten czas w pokoju.

McVey usłyszał własny jęk. W sprawach o morderstwo nigdy nic nie było łatwe.

-Od kiedy do kiedy? - zapytał z takim zapałem, jaki tylko udało mu się z siebie wykrzesać, i położył nogi na biurku.

-Od późnego wieczoru w sobotę do poniedziałku rano, kiedy to się wymeldował.

-Czy ktokolwiek go tam widział? - McVey spojrzął na swe buty i doszedł do wniosku, że musi je podzelać.

-Nie chciał o tym mówić.

-Przycisnęliście go?

-Nie było powodu, prócz tego zaczął wrzeszczeć, że chce adwokata. - Lebrun przerwał i McVey usłyszał, jak Francuz zapala papierosa, a potem wypuszcza dym. - Chcesz, żebyśmy go zatrzymali i ponownie przesłuchali?

Nagle McVey znalazł to, czego szukał. Sobota, 1 października, 23.11. Dwoje pasażerów z Leicester Square; wysiedli przy hotelu Connaught, 23.33. Nazwisko kierowcy brzmiało Mike Fisher. McVey wiedział aż nazbyt dobrze, że Leicester Square znajduje się w sercu dzielnicy teatrów i mniej niż dwie przecznice od uliczki, gdzie znaleziono głowę.

-Chcesz powiedzieć, że on jest na wolności? - McVey zdjął nogi z biurka. Czy Lebrun mógł zupełnie przypadkiem natknąć się na mordercę odcinającego głowy, a potem go wypuścić?

-McVey, staram się zrobić ci uprzejmość. Więc nie mów do mnie takim tonem. Nie mieliśmy podstaw, by go zatrzymać, a jak dotąd ofiara napaści nie zgłosiła się, by wnieść oskarżenie. Ale mamy jego paszport i wiemy, gdzie się zatrzymał w Paryżu. Będzie tutaj do końca tygodnia, a potem wraca do Los Angeles.

Lebrun był przyzwyczajonym facetem, wykonującym swoją robotę. Z pewnością nie uśmiechała mu się rola łącznika Paryskiej Prefektury Policji z Interpolem ani praca pod dowództwem kapitana Cadoux, sprawnego, o chłodnym sposobie bycia dyrektora do spraw śledczych Interpolu. Nie szalał też z radości z powodu współpracy z hollywoodzkim gliniarzem z La-la-landu ani nawet, prawdę mówiąc, z powodu konieczności rozmawiania po angielsku. Cóż, taki los urzędnika państwowego; McVey wiedział o tym aż nazbyt dobrze.

Lebrun - powiedział opanowanym głosem - prześlij mi faksem jego zdjęcia, a potem zaczekaj. Proszę...



Godzinę i dziesięć minut później policja stołeczna odnalazła Mike'a Fishera i doprowadziła zdumionego taksówkarza do McVeya, który poprosił go o potwierdzenie, że późnym wieczorem w sobotę miał kurs z Leicester Square do hotelu Connaught.

- Zgadza się, proszę pana. Mężczyzna i kobieta. Zakochane gołąbki, które myślały, że nie wiem, co tam robią na tylnym siedzeniu. - Fisher wyszczerzył zęby.

- Czy to ten mężczyzna? - McVey pokazał mu dostarczone przez policję francuską zdjęcie Osborna.

- Tak, to on. Bez żadnych wątpliwości.

Trzy minuty potem w biurze Lebruna zadzwonił telefon.

- Chcesz, żebyśmy go zdjęli? - spytał Lebrun.

- Nie, nic nie róbcie. Przyjeżdżam - powiedział McVey.

## 14

Trzy godziny później, gdy jego odrzutowiec wylądował na lotnisku Charles'a de Gaulle'a, McVey wiedział już nie tylko, gdzie Paul Osborn mieszka, ale i gdzie pracuje, jakie ma uprawnienia zawodowe, jakim jest kierowcą i że jest dwukrotnie rozwiedziony. Wiedział też, że został zatrzymany, a później zwolniony przez policję w Beverly Hills za to, że pobił parkingowego, który na postoju przed restauracją rozwalił prawy przedni błotnik jego nowego bmw. Jasne było, że Paul Osborn jest człowiekiem porywczym, ale dla McVeya równie jasne było to, że poszukiwany przez niego mężczyzna czy kobieta nie kieruje się wściekłością. Chociaż... nikt nie bywa wściekły przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pomiedzy atakami furii upływa dość czasu, by zabić człowieka, oddzielić jego głowę od ciała i umieścić szczątki w zaułku, na poboczu drogi, wrzucić do oceanu lub zostawić owinięte pościelą na kanapie w zimnym jednopokojowym mieszkaniu. A Paul Osborn jest wykwalifikowanym chirurgiem, z pewnością umiejącym oddzielić głowę od ciała.

Natomiast wątpliwym elementem sprawy było to, że zgodnie z wpisanymi do paszportu Paul Osborn nie znajdował się ani w Wielkiej Brytanii, ani na kontynencie europejskim, gdy popełniono pozostałe morderstwa. Co mogło oznaczać bardzo różne rzeczy: że jest niewinny; że nie jest tym, za kogo się podaje i może dysponować więcej niż jednym paszportem; że mógł odciąć głowę znaną w zaułku, ale nie pozostała. Wówczas stworzona przez McVeya teoria samotnego zabójcy byłaby fałszywa.

Tak więc w tej chwili McVey mógł traktować Osborna jako swego rodzaju zastępczego podejrzanego, powiązanego z ostatnią zbrodnią tylko przez zbieg czasu, miejsca i zawodu.

Niemniej to przynajmniej było coś. Bo jak dotąd nie mieli nic.

Paul Osborn odwrócił wzrok na chwilę, a potem znów spojrzął w stronę Jeana Packarda. Siedzieli w głównej sali La Coupole, gwarным miejscu spotkań na bulwarze Montparnasse na lewym brzegu Sekwany. Popijali tutaj Hemingway i wielu innych jemu podobnych. U przechodzącego kelnera Osborn zamówił dwa kieliszki białego bordeaux. Detektyw potrząsnął głową i zawrócił kelnera. Jean Packard nie brał alkoholu do ust. Poprosił o sok pomidorowy.

Osborn patrzył za odchodzącym kelnerem, a potem znów spojrzął na papierową serwetkę, którą Jean Packard wsunął mu do ręki, pośpiesznie coś na niej napisawszy. Było to nazwisko i adres: pan Henri Kanarack, aleja Verdier sto siedemdziesiąt pięć, mieszkania sześć, Montrouge.

Kelner przyniósł zamówione napoje i odszedł. Osborn znowu popatrzył na serwetkę, a potem złożył ją starannie i wsunął do kieszeni.

- Jest pan pewien? - powiedział, podnosząc wzrok na Francuza.

- Tak - odparł Jean Packard. Wyprostowawszy się na krześle, założył nogę na nogę i utkwiał wzrok w Paulu Osbornie.

Packard był twardy, bardzo dokładny, miał ogromne doświadczenie; Osborn zastanawiał się, jaką usłyszy odpowiedź, gdy wreszcie zada mu to pytanie. Sam był tylko lekarzem i jego próba zabicia Kanaracka, podjęta pod wpływem chwili i napadu wściekłości, oczywiście się nie powiodła. Ale Jean Packard był zawodowcem. Tak właśnie powiedział przy ich pierwszym spotkaniu. Czy zawodowy zabójca, działający jako najemny żołnierz przeciwko jakiemuś politycznemu czy wojskowemu przeciwnikowi w kraju Trzeciego Świata, różni się czymś od mordercy do wynajęcia z którejkolwiek metropolii świata? Być może splendor nie ten, lecz Osborn wątpił, by istniały inne różnice. Czynność jest taka sama, prawda? Płaca również. Zabija się, otrzymuje się zapłatę. Jakaż więc mogła być różnica?

Zastanawiam się... - zaczął ostrożnie - czy niekiedy nie pracuje pan na własną rękę.

- To znaczy?

- Pytam, czy pan niekiedy działa jako wolny strzelec. Nie przyjmuje zleceń spoza pańskiej firmy?

- To zależy od rodzaju zlecenia.

- Wzięłyby je pan pod uwagę?

- Czemu pan pyta?

- Wie pan, o co chodzi... - Osborn czuł, że pocałował mu się dłoń. Ostrożnie odstawił kieliszek, wziął serwetkę i wytarł nią ręce.

- Uważam, doktorze Osborn, że dostarczono panu to, co obiecano. Rachunek zostanie wystawiony przez firmę. Miło mi było pana poznać i życzę panu wiele szczęścia. - Położywszy na stoliku dwudziestofrankowy banknot za drinki, Jean Packard wstał. - Au revoir - powiedział, okrążył siedzącego przy sąsiednim stoliku młodego człowieka i odszedł.

Paul Osborn patrzył za nim, potem ujrzał przez wielkie, wychodzące na ulicę okna, jak Packard znika w tłumie popołudniowych przechodniów. Z roztargnieniem przeczesał włosy palcami. Przed chwilą poprosił kogoś, by zabił kogoś innego, i usłyszał odmowę. Co może zrobić: co już zrobił? Przez chwilę zapragnął nie być w Paryżu, nie spotkać Henriego Kanaracka.

Przymknąwszy oczy, starał się myśleć o czymś innym, wyrzucić to wszystko z głowy. W efekcie ujrzał grób ojca, a obok grób matki. Wizja trwała i zobaczył siebie samego, stojącego przy oknie w gabinecie dyrektora szkoły Hartwick i patrzącego, jak ciotka Dorothy, okryta starym futrem z szopów, wsiada do taksówki i odjeżdża wśród szalejącej burzy śnieżnej. Straszliwa samotność była nie do wytrzymania. Wciąż nie do wytrzymania. Rwący ból, dziś równie okrutny jak wówczas.

Zmusiwszy wyobraźnię, by przestała pracować, podniósł wzrok. Wokoło ludzie śmiali się i popijali, odpoczywając po pracy albo czekając na kolację. Ładna kobieta w brązowym kostiumie trzymała dłoń na kolanie mężczyzny, mówiła coś do niego i patrzyła mu w oczy. Wybuch śmiechu przy sąsiednim stoliku zmusił Osborna do odwrócenia głowy. Zaraz potem tuż koło niego zastukano w okno. Zobaczył stojącą na chodniku młodą kobietę, która zaglądała do środka, uśmiechając się. Przez chwilę myślał, że uśmiech skierowany jest do niego, a potem młody mężczyzna przy sąsiednim stoliku podskoczył, pomachał ręką i wybiegł na dwór na jej spotkanie.

Gdy Osborn miał dziesięć lat, pewien człowiek wyrwał mu serce. Teraz już wiedział, kim jest ten człowiek i gdzie mieszka. Nie ma odwrotu. Ani teraz, ani nigdy.

Za ojca, za matkę, za siebie samego.

Sukcynylocholina: błyskawicznie działający, depolaryzujący środek powodujący zwiótczenie mięśni. Transmisja nerwowo-mięśniowa zostaje zahamowana na tak długo, jak długo w miejscu podania sukcynylocholino jej stężenie jest dostateczne. Paraliż następujący po wstrzyknięciu domięśniowym może trwać od siedemdziesięciu pięciu sekund do trzech minut, ogólne odprężenie następuje po minucie.

Stanowiąc syntetyczny odpowiednik kurary, sukcynylocholina nie wpływa na świadomość ani na próg odczuwania bólu. Działa jak zwykły środek rozluźniający mięśnie, poczynając od mięśni unoszących powieki, przez mięśnie szczęki, kończyn, brzucha, przepony, inne mięśnie szkieletowe, aż po sterujące oddychaniem.

Używana jest podczas operacji, by uzyskać zwiótczenie mięśni szkieletowych, co pozwala na podawanie mniejszych dawek środków znieczulających.

Kroplówka z sukcynylocholino pozwala na utrzymywanie paraliżu podczas trwania operacji. Zwykły zastrzyk od 0,03 do 1,1 miligrama (dawki dla poszczególnych osób bywają różne), choć wywiera taki sam skutek, działa jednak tylko przez cztery do sześciu minut. Zaraz potem lek rozkłada się w organizmie, nie powodując szkód, nie można go też wykryć, ponieważ produkty rozpadu: kwas bursztynowy oraz cholina są w naturalny sposób obecne w ciele człowieka.

Starannie odmierzona dawka sukcynylocholino, podana w postaci zastrzyku, powoduje czasowy paraliż - powiedzmy akurat tak długi, by człowiek mógł się utopić - a potem znika bez śladu w organizmie.

Lekarzowi sądowemu, jeśli nie zbada całego ciała nieboszczyka przez lupę w nadziei odnalezienia maleńkiej ranki po ukłuciu igłą, nie pozostanie nic innego, jak orzec śmierć przez przypadkowe utonięcie.

W umyśle Osborna od początku, od pierwszego roku praktyki, gdy zaobserwował na sali operacyjnej skutki podawania sukcynylocholino, zaczął dojrzywać pomysł, co zrobi, gdy pewnego dnia morderca jakimś cudem się przed nim zmaterializuje. Eksperymentował z zastrzykami na myszach laboratoryjnych, a potem na samym sobie. W chwili gdy otworzył praktykę prywatną, znalazł dokładną dawkę sukcynylocholino, którą należy

wstrzyknąć mężczyźnie, aby go unieruchomić na sześć do siedmiu minut. Co w dostatecznie głębokiej wodzie przy braku kontroli nad mięśniami szkieletowymi lub oddechowymi wystarczy aż nadto, by ów mężczyzna się utopił.

Jego napad na Henriego Kanaracka był postępkami nierozsądnym, dokonany wyłącznie pod wpływem emocji: szoku na widok twarzy mordercy i wybuchu tłumionej przez lata wściekłości. Działając w ten sposób, odsłonił się zarówno przed Kanarackiem, jak i policją. Ale teraz już sprawa przycichła. Powinien więc uważać, aby znów nie poniosły go emocje, jak to się stało przed chwilą, gdy tak głupio próbował zaangażować Jeana Pacarda. Nie miał pojęcia, czemu to zrobił; być może ze strachu.

Morderstwo to niełatwa rzecz. Ale w końcu to przecież nie będzie morderstwo; ani trochę bardziej, niż gdyby trybunał skazał Kanaracka na komorę gazową. Co z pewnością by nastąpiło, gdyby wypadki potoczyły się inaczej. Ale stało się, jak się stało, i pogodziwszy się z tym, Osborn, pełen spokoju i pewności siebie, pojął, że sprawa między nim i tym Henrim Kanarackiem dotyczy tylko ich i odpowiedzialność za to, co się powinno stać, spada tylko na niego samego.

Wiedział, jak znaleźć Kanaracka. Niemniej nawet jeśli Kanarack podejrzewa, że jest ścigany, nie może się dowiedzieć, że został odnaleziony. Pomysł opierał się na tym, by go zaskoczyć, wciągnąć do jakiegoś zaułka czy innego ustronnego miejsca, wstrzyknąć mu sukcynylocholinę i wsadzić do oczekującego samochodu. Oczywiście Kanarack będzie się opierał i Osborn musi wziąć to pod uwagę. Rzeczą najważniejszą był zastrzyk. Gdy go robi, Osborn będzie musiał strzec Kanaracka już tylko przez sześćdziesiąt sekund, a potem tamten się odpręży. Po trzech minutach zostanie spalizowany.

Jeśli wszystko odbędzie się nocą, te początkowe minuty Osborn wykorzysta na wciągnięcie Kanaracka do samochodu i odjechanie z miejsca porwania gdzieś dalej, nad staw albo nawet lepiej nad rzekę o bystrym nurcie. Osborn po prostu wrzuci Kanaracka do wody. Jeśli zaś będzie miał czas, może nawet wlać mu do gardła trochę whisky. W ten sposób, gdy ciało zostanie wreszcie wyłowione, zarówno policja, jak i lekarz sądowy dojdą do wniosku, że człowiek ów pił, potknął się, wpadł do wody i utonął.

Doktor Paul Osborn będzie w tym momencie albo już w swym domu w Los Angeles, albo na pokładzie samolotu en faule. A jeśli nawet policja poskłada to wszystko w całość i zada sobie tyle trudu, by go wypytywać,

co mogą sugerować? Że człowiek zaatakowany przez niego w paryskiej brasserie był tym samym, który utopił się kilka dni później, i że wygląda to na coś więcej niż tylko zbieg okoliczności? Mało prawdopodobne.

Osborn nie miał pojęcia, jak daleki odbył spacer: od bulwaru Montparnasse do wieży Eiffla i na drugi brzeg Sekwany przez most Iéna, koło pałacu Chaillot i dalej aż do hotelu w alei Klebera; ani nawet o której wrócił czy jak długo siedział przy mahoniowym barze na parterze swego hotelu, gapiąc się na nietknięty, stojący przed nim koniak. Rzucił okiem na zegarek, co mu uzmysłowiło, że jest kilka minut po jedenastej. Nagle poczuł się wyczerpany. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł takie zmęczenie. Wstał, podpisał rachunek i już chciał wyjść, gdy przypomniał sobie, że nie dał barmanowi napiwku. Cofnąwszy się, położył na barze dwudziestofrankowy banknot.

-Merci beaucoup - powiedział barman.

-Bonsoir. - Osborn skinął głową, a potem uśmiechnął się lekko i wyszedł.

W tym momencie wzrok barmana przyciągnął uniesiony palec innego gościa, oddalonego o jakieś cztery metry. Mężczyzna siedział, nic nie mówiąc, i spoglądał do środka swego niemal opróżnionego kieliszka, trzeciego w ciągu półtorej godziny, które tu spędził. Był to szary człowieczek o siwiejących włosach, nierzucający się w oczy, samotny; należał do typu mężczyzn wysiadujących bez zwracania na siebie uwagi w barach hotelowych na całym świecie, w nadziei że zacznie się coś dziać.

-Oui, monsieur - rzucił barman, podszedłszy do klienta.

-To samo - powiedział McVey.

## 16

-To ty mi powiedz dlaczego!

Henri Kanarack był pijany. Ale nie aż tak, by utracić zdolność myślenia i bełkotać bez ładu i składu. Był pijany, ponieważ musiał, ponieważ nie miał dokąd pójść.

Dochodziła północ, a on na zmianę siedział lub spacerował wielkimi krokami po małym mieszkanku Agnes Demblon koło Porte d'Orleans, ledwie dziesięć minut jazdy samochodem od swojego mieszkania w Montrouge. Wcześniej tego samego wieczoru zadzwonił do Michele i powiedział,

że pan Lebec, właściciel piekarni, poprosił go, by mu towarzyszył w wyjeździe do Rouen, gdzie zamierzał otworzyć drugą piekarnię. Wróci za dzień, może nawet dwa. Michele ucieszyła się niezmiernie. Czy to oznacza, że Henri otrzyma awans? Że jeśli pan Lebec otworzy piekarnię w Rouen, Henri zostanie jej kierownikiem? Czy się przeprowadzą? Cudownie byłoby wychowywać dziecko z dala od szaleńczego zamętu Paryża.

- Nie wiem - odpowiedział ostro. Poproszono go, by pojechał, i tylko tyle wie. I z tymi słowami odwiesił słuchawkę. A teraz gapił się na Agnes Demblon i czekał, aż mu coś powie.

- A co chcesz, bym ci powiedziała? - spytała. - Że tak, być może Amerykanin cię rozpoznał i wynajął prywatnego detektywa, by cię odnalazł? Był w sklepie, a ta głupia dziewczyna podała mu nazwiska pracowników, trzeba więc założyć, że już cię odnalazł lub wkrótce to zrobi. I bez wątpienia złoży o tym raport Amerykaninowi. Zgoda, przypuścimy, że tak jest. I co teraz?

Oczy Henriego Kanaracka błyszczały. Potrząsnął głową, przechodząc przez pokój, by nalać sobie wina.

- Nie mogę zrozumieć, jak mógł mnie rozpoznać. Jest o jakieś dwanaście lat młodszy ode mnie, być może więcej. Byłem poza Stanami Zjednoczonymi przez dwadzieścia pięć lat. Piętnaście w Kanadzie, dziesięć tutaj.

- Henri, może to pomyłka. Może wziął cię za kogoś innego.

- To nie pomyłka.

- Skąd wiesz?

Kanarack wypił i odwrócił wzrok.

- Henri, jesteś obywatelem francuskim. Nic tu nie zrobiłeś. Po raz pierwszy w twoim życiu masz prawo po swojej stronie.

- Jeśli mnie odnaleźli, prawo nic nie znaczy. Jeśli to oni, jestem martwy. I ty to wiesz.

- To niemożliwe. Albert Merriman nie żyje. Ty tak. Któż po tylu latach mógłby to powiązać? A już szczególnie ktoś, kto miał dziesięć czy dwanaście lat, w chwili gdy wyjechałeś z Ameryki!

- To w takim razie po jakiego diabła depcze mi po piętach, he? - Kanarack wbił w nią gniewne spojrzenie. Zresztą trudno było powiedzieć, czy jest przerażony, czy zagniewany, czy jedno i drugie.

- Mają moje portrety pamięciowe z tamtych czasów. Policja... i oni też. Nie zmieniłem się aż tak bardzo. Zarówno jedna, jak i druga grupa mogła wysłać tego typa, by mnie odszukał.

- Henri... - odezwała się spokojnie Agnes. Powinien wreszcie logicznie pomyśleć. - Po co mieliby szukać człowieka, który nie żyje? A gdyby nawet tak było, dlaczego tutaj? Czy uważasz, że wysyłają tego człowieka do wszystkich miast na świecie, gdyż liczą, że przypadkiem wpadnie na ciebie na ulicy? - Agnes się uśmiechnęła. - Robisz z igły widły. Chodź, usiądź tu przy mnie - powiedziała łagodnie i poklepała zniszczony tapczan.

Sposób, w jaki na niego patrzyła, dźwięk jej głosu przypomniały mu dawne czasy, gdy była bardziej pociągająca niż teraz. Czasy, gdy z rozmysłem odsunęła się od niego, aby wyzwolił się spod jej uroku. Czasy, zanim zabroniła mu wstępu do swego łóżka po to, by po pewnym czasie przestał jej pragnąć. Ważne było, aby zatarł ślady całkowicie, przyswoił sobie francuską kulturę, stał się Francuzem. Musiał mieć żonę Francuzkę; Agnes Demblon nie mogła już dłużej stanowić części jego życia. Pojawiła się w nim ponownie, gdy nie mógł znaleźć pracy, i wówczas przekonała Lebeca, że potrzeba mu jeszcze jednego robotnika w piekarni. Ich stosunki były całkowicie platoniczne i takie pozostały, przynajmniej z jego punktu widzenia.

Co do Agnes, nie było dnia, aby na widok Henriego jej serce nie krwawiło. Nie było godziny ani chwili, w której nie chciałaby wziąć go w ramiona i zaciągnąć do łóżka. Wszystko zaaranżowała: pomogła mu upozorować jego śmierć, udawała jego żonę, gdy przekraczali granicę Kanady, załatwiła mu fałszywy paszport,, to ona przekonała go, że powinien opuścić Montreal i udać się do Francji. Dokonała tego wszystkiego; oddała go innej kobiecie. A wszystko dlatego, że tak bardzo go kochała.

- Agnes. Posłuchaj mnie.

Nie podszedł, by usiąść koło niej; stał na środku pokoju, patrząc na nią. Nie miał już szklanki w dłoni. W pokoju było absolutnie cicho. Nie dobiegały odgłosy ruchu ulicznego ani kłótni ludzi w mieszkaniu piętro niżej. Przemknęło jej przez głowę, że może mieszkająca tam para dała sobie urlop od nieustannych głośnych sporów i poszła do kina. Albo do łóżka. Popatrzyła na swoje paznokcie. Były długie, nierówne, dawno już powinna je obciąć.

- Agnes - powtórzył. Tym razem jego głos był ledwie głośniejszy od szeptu. - Musimy się dowiedzieć, czego nie wiemy. Rozumiesz?

Długo nie odrywała spojrzenia od paznokci, aż wreszcie podniosła głowę. Tak jak przypuszczała, opuścili go lęk, gniew i wściekłość. Zamiast nich pojawił się lodowaty chłód.



- Musimy.

- Je comprends - odrzekła półgłosem i znów spojrzała na paznokcie. - Je comprends. Rozumiem.

## 17

### 8.00 rano

Nastał czwartek, szósty października. Poranne niebo było zgodnie z prognozą pochmurne, siał zimny deszczyk. Osborn zamówił przy kontuarze filiżankę kawy, zaniósł ją do stolika i usiadł. Kawiarnię zapełniali ludzie śpieszący do pracy, kradnący kilka chwil przed powrotem do codziennej rutyny. Popijali kawę, skubali rogaliki, palili papierosy, przeglądali poranne dzienniki. Przy oddalonym stoliku pośpiesznie trajkotały po francusku dwie bizneswoman. Obok nich mężczyzna w ciemnym garniturze i z szopą jeszcze ciemniejszych włosów, podparłszy się łokciem, studiował „Le Monde”.

Osborn miał rezerwację na lot 003 Air France; startowali z lotniska Charles'a de Gaulle'a w sobotę ósmego października o siedemnastej, lądowali w Los Angeles o dziewiętnastej trzydzieści czasu pacyficznego tego samego wieczoru. Uznał za właściwe, zresztą zgodnie z planem, który poczynił, skontaktowanie się z detektywem Barrasem w komendzie policji, poinformowanie go o rezerwacji i czasie odlotu i grzeczne zapytanie, czy mógłby odebrać paszport. Gdy to załatwi, zajmie się całą resztą.

Ważne było, by zabił Kanaracka w piątkowy wieczór. Potrzebował osłony ciemności nie tylko do dokonania zbrodni, ale także by uniemożliwić zbyt szybko znalezienie ciała i to w okolicach Paryża. Po niezbyt długim namyśle doszedł do wniosku, że najwłaściwsza będzie Sekwana. Za Paryżem skręca na północny zachód i przez blisko dwieście kilometrów płynie przez francuską prowincję, aż w końcu wpada do Zatoki Sekwany i kanału La Manche koło Hawru. Jeśli uda mu się wrzucić Kanaracka do rzeki gdzieś na zachód od miasta po nastaniu ciemności w piątkowy wieczór, to wyjąwszy jakieś nieprzewidziane okoliczności, ciało zostanie odkryte najwcześniej w sobotę w ciągu dnia. Do tej pory, przy wartkim prądzie, powinno spłynąć pięćdziesiąt do sześćdziesięciu kilometrów w dół rzeki. A może nawet i więcej. Wzdęte, bez dokumentów osobistych... minie wiele dni, nim zostanie zidentyfikowane.

Osborn zdawał sobie sprawę, że potrzebuje alibi; musi udowodnić, że w chwili zabójstwa znajdował się gdzie indziej. Najłatwiej byłoby chyba z kinem. Kupi bilet, a potem, już wchodząc, wywoła spór z bileterką, tak by go zapamiętała i poświadczyła, że był w kinie. On też będzie miał dowód: odcinek biletu z datą i czasem rozpoczęcia seansu. Usiądzie w zaciemnionej sali, poczeka na początek filmu, a później wyslizgnie się przez boczne wyjście.

Cały harmonogram zależał od dziennego rozkładu zajęć Kanaracka. Zatelefonowawszy do piekarni, Osborn przekonał się, że jest otwarta od siódmej rano do siódmej wieczór i że świeże pieczywo z ostatniego wypieku będzie dostępne około czwartej po południu. W brasserie przy Saint-Antoine Osborn widział Kanaracka około szóstej. Od piekarni idzie się do brasserie co najmniej dwadzieścia minut, a ponieważ Kanarack po ataku Osborna poruszał się pieszo, można było spokojnie założyć, jak to wcześniej zrobił Jean Packard, że albo nie miał samochodu, albo nie posługiwał się nim, by dojeżdżać do pracy. Biorąc pod uwagę to wszystko, można było przyjąć, że Kanarack wychodził z pracy gdzieś między czwartą trzydzieści i piątą trzydzieści. Choć był ledwie początek października, dni stawały się wyraźnie krótsze. Przejrzawszy gazetę, Osborn upewnił się, że według prognozy deszcz ma padać przez wiele dni. Oznaczało to, że ściemni się jeszcze wcześniej. Bez wątplenia o piątą trzydzieści.

Teraz powinien wynająć samochód, by poszukać ustronnego miejsca nad Sekwaną na zachód od Paryża, a potem pojechać do piekarni i z powrotem, by się przekonać, że dobrze zapamiętał drogę.

Wreszcie wróci do piekarni i zaparkuje po przeciwnej stronie ulicy, oczywiście nie później niż o czwartej trzydzieści. Poczeka, aż Kanarack wyjdzie, i zobaczy, w którą stronę tamten się skieruje.

Podczas ich pierwszego spotkania Kanarack siedział sam, można więc było mieć nadzieję, że nie miał zwyczaju wychodzić z pracy w towarzystwie kolegów. Jeśli jednak z jakiegoś powodu miałby to uczynić w piątek wieczorem, Osborn zamierzał śledzić go z samochodu do chwili, gdy rozdzieli się ze swoim towarzystwem, i dopaść w najdogodniejszym miejscu po drodze. Gdyby zaś Kanarack szedł z kimś pieszo aż do metra, wówczas Osborn po prostu podjedzie pod jego kamienicę i tam poczeka. Nie chciał jednak tego robić bez absolutnej konieczności, ponieważ istniały realne szanse, że Kanarack w drodze do domu spotka znajomych lub sąsiadów.

Niemniej, gdyby to miała być jedyna możliwość, Osborn zaryzykuje. Bardzo chciałby mieć więcej niż jeden wieczór, by to wszystko przećwiczyć. Ale nie miał, a zatem cokolwiek się zdarzy, musi wykorzystać sytuację jak najlepiej.

- Cześć.

Osborn drgnął i podniósł głowę. Tak się pogrążył w rozmyślaniach, że nie zauważył wejścia Very. Szybko wstał i podsunął jej krzesło. Wracając na swoje miejsce, zobaczył zegar na ścianie za kontuarem. Była ósma dwadzieścia pięć. Rozejrzawszy się, stwierdził, że kawiarnia niemal zupełnie opustoszała.

- Czy mogę ci coś przynieść?

- Espresso, oui.

Podszedł do kontuaru, zamówił espresso i stał tam, czekając, aż barman przyrządzi kawę. Obejrawszy się przez ramię na Verę, przeniósł następnie spojrzenie poza nią, gdyż przypomniał sobie, po co się tu znalazł i czemu prosił ją o spotkanie po jej dyżurze w szpitalu.

Sukcynylocholina.

Dziś rano dwukrotnie już próbował ją kupić na własną receptę w tujejszych aptekach, ale za każdym razem mówiono mu, że lek można dostać tylko w aptekach szpitalnych, i ostrzegano, że będzie musiał przedstawić zgodę miejscowego lekarza. Telefon do najbliższej apteki szpitalnej to potwierdził. Tak, mają sukcynylocholinę. I tak, będzie mu potrzebna zgoda paryskiego lekarza.

Z początku Osborn zamierzał złożyć wizytę lekarzowi hotelowemu. Chodziło jednak o dość szczególny lek, tak że zbyt podejrzliwy doktor mógłby nawet zadzwonić na policję. Czas upływał i Osborn, nie znajdując innego sposobu, niechętnie pomyślał o Verze.

Zatelefonował do apteki w Centre Hospitalier Sainte-Anne, gdzie odbywała praktykę. Tak, mieli sukcynylocholinę. Być może, pomyślał, jeśli rozegra wszystko właściwie, ustna zgoda Very przekazana aptece wystarczy. Nie chciał w to wciągać żadnego ze znanych jej lekarzy; miał przygotowaną dla Very odpowiednią historyjkę, ale sprawienie, by uwierzył w nią ktokolwiek inny, mogło się okazać zbyt skomplikowane i ryzykowne.

Z wahaniem, przemyślawszy sprawę raz jeszcze, zatelefonował do niej do szpitala o szóstej trzydzieści i spytał, czy spotkałaby się z nim na kawie. Vera milczała przez chwilę i już się zaczął obawiać, że wykreśli się

w jakiś sposób, gdy wreszcie się zgodziła. Kończyła dyżur o siódmej, ale potem miała umówione spotkanie; mogła się z nim zobaczyć kilka minut po ósmej.

Niosąc espresso do stolika, Osborn przyglądał się Verze. Po trzydziestosześciodzinnej zmianie wyglądała wciąż rzeško i promiennie, właściwie pięknie. Siadając, nie potrafił się powstrzymać od wpatrywania się w nią, ona zaś, pochwywszy jego spojrzenie, uśmiechnęła się w odpowiedzi z czułością.

Było w Verze coś takiego, co nadawało życiu Paula inny wymiar, bez względu na to, o czym akurat myślał czy też co go właśnie pochłaniało. Pragnął być z nią związać się z nią na zawsze. Nic, cokolwiek jedno z nich miało kiedykolwiek uczynić, nie mogło być od tego ważniejsze. Cały kłopot w tym, że najpierw musiał zająć się Henrim Kanarackiem.

Pochyliwszy się, ujął jej dłoń. Niemal natychmiast wyrwała ją i położyła na kolanach.

-Nie rób tego - powiedziała, obrzucając trwożnym spojrzeniem wnętrza kawiarni.

-Czego się boisz? Że ktoś nas zobaczy?

-Tak. - Odwróciła wzrok, a potem podniosła filiżankę i wypita łyk kawy.

-Przyszłaś do mnie, pamiętasz? By się pożegnać... Czy on o tym wie?

Vera nagle odstawiała filiżankę i wstała, by odejść.

-Posłuchaj, przepraszam - powiedział. - Tego nie należało mówić. Wyjdźmy stąd i przespacerujmy się.

Zawahała się.

-Vera, rozmawiasz ze spotkanym w Genewie kolegą, który zaprosił cię na filiżankę kawy. A potem wyszliście razem na ulicę. On wrócił do Stanów i to by było wszystko. Zawodowa rozmowa między lekarzami. Dobra historyjka. Dobre zakończenie. Zgadza się?

Osborn przechylił głowę na bok, na szyi wystąpiły mu żyły. Nigdy dotąd nie widziała, by się złościł. Dziwne, ale sprawiło jej to przyjemność. Uśmiechnęła się.

-Zgadza się - odparła tonem małej dziewczynki.

Na dworze Osborn otworzył parasol, bo mżyło. Wyminąwszy czerwonego peugeota, przeszli przez jezdnię i skierowali się ulicą Sante w stronę szpitala.

Przy krawężniku stał zaparkowany biały ford. Za kierownicą siedział inspektor Lebrun, obok niego w fotelu pasażera McVey. Nie sądzę, byś znał tę dziewczynę - powiedział McVey, odprowadzając wzrokiem Osborna i Verę.

Lebrun przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Nie pytasz mnie, czy ją znam, tylko czy wiem, kim ona jest... Zgadza się? Zwroty francuskie i angielskie nie zawsze mają takie samo znaczenie...

McVey nie dowierzał, że człowiek może naprawdę mówić z papiero-sem bezustannie zwisającym z kącika ust. Kiedyś sam palił. Przez dwa miesiące po śmierci pierwszej żony. Miało go to powstrzymać od picia. Niewiele dawało, ale jednak. Gdy przestało zupełnie pomagać, rzucił pale-nie.

- Mówisz po angielsku lepiej niż ja po francusku. A zatem tak, pytam, czy wiesz, kim ona jest...

Lebrun uśmiechnął się i sięgnął po mikrofon radiotelefonu.

- Odpowiedź, przyjacielu, brzmi: jeszcze nie.

## 18

Drzewa wzdłuż bulwaru Saint-Jacques zaczęły żółknąć, przy-gotowując się do zrzucenia liści na zimę. Trochę ich już spadło, a deszcz spowodował, że asfalt stał się śliski. Gdy przechodzili przez jezdnię, Os-born wziął Verę pod ramię, by ją podtrzymać. Uśmiechnęła się na ten gest, ale gdy tylko stanęli z powrotem na chodniku, poprosiła, by ją puścił. Os-born się rozejrzał.

- Niepokoi cię kobieta z dziecinnym wózkiem czy starzec wyprowa-dzający psa na spacer?

- Oboje. Każde. Żadne - odparła bezbarwnie, z rozmysłem zachowu-jąc rezerwę, choć nie wiedziała, czemu to robi. Być może obawiała się, że ją ktoś zobaczy. A może w ogóle nie chciała z nim być albo właśnie chcia-ła, ale pragnęła, by to on podjął za nią decyzję.

Nieoczekiwanie przystanął.

- Nie ułatwiasz mi zadania.

Vera poczuła, jak jej serce zatrzymuje się na jedno uderzenie. Gdy odwróciła się do niego, ich spojrzenia się spotkały i popatrzyli na siebie tak, jak owej pierwszej nocy w Genewie, jak wtedy w Londynie, gdy wsadził ją do pociągu do Dover, i jak wtedy w jego pokoju hotelowym przy alei Klebera, gdy otworzył drzwi, nie mając na sobie nic prócz owiniętego w talii ręcznika.

- Czego ci nie ułatwiam?

I wówczas ją zaskoczył.

- Potrzebuję twojej pomocy i wydaje mi się, że z wielką trudnością przychodzi mi wykombinowanie, jak cię o nią poprosić.

Nie rozumiała, co miał na myśli.

Pod parasolem, którym osłaniał ich oboje, światło było słabe i rozproszone. Ledwie widział skraj białego kitla lekarskiego, który miała pod niebieskim anorakiem. Wyglądała w tym raczej jak członek górskiego pogotowia ratunkowego niż lekarz na praktyce w mieście. Złote kolczyki uczone płatków jej uszu, podobne do maleńkich kropelek deszczu, podkreślały szczupłość twarzy, a jej oczy wyglądały jak ogromne czarne jeziora.

- To naprawdę głupie. I nawet nie wiem, czy legalne. Wszyscy zachowują się tak, jakby nie było.

- To znaczy co? - O czym on mówi? Przecież ją opuszcza. Co ta sprawa ma z nimi wspólnego?

- Wypisałem sobie receptę na lek, który, jak się okazuje, dostępny jest tylko w aptekach szpitalnych i aby go otrzymać, potrzebuję zezwolenia od miejscowego lekarza. Nie znam tu żadnego i...

- Jaki lek? - Zaniepokojenie wyraziście odmalowało się na jej twarzy.  
- Jesteś chory?

- Nie - rzekł Osborn z uśmiechem.

- Więc o co chodzi?

- Ja... już ci powiedziałem, że to głupie - zaczął niepewnie, jakby był zakłopotany. - Gdy wrócę, mam wygłosić referat. Natychmiast jak wrócę. Z powodu niejkiej Very wzięłem dodatkowy tydzień urlopu, w czasie gdy powinienem był wrócić do pracy...

- Powiedz wreszcie, o co chodzi, dobrze? - Vera uśmiechnęła się i odprężyła. Wszystko, co robili razem, było wspaniałe, romantyczne i głęboko osobiste; włącznie z pomaganiem sobie nawzajem, gdy oboje zapadli na tę gripę w Londynie. Jeśli nie liczyć ich pierwszej rozmowy w Genewie, niewiele mówili o swoim życiu zawodowym. A teraz on prosił o coś banalnego, związanego właśnie z ich zawodem.

- Dzień po powrocie do Los Angeles mam wygłosić referat dla grupy anestezjologów. Początkowo miałem przemawiać trzeciego dnia, ale przesunęli to na pierwszy. Referat ma dotyczyć przedoperacyjnego przygotowania anestezjologicznego, w tym dozowania oraz efektywności sukcylocholinoły w nagłych wypadkach w terenie. Większość eksperymentów przeprowadziłem w laboratorium. Nie będę miał czasu po powrocie, ale mam być tutaj jeszcze przez dwa dni. Okazuje się, że muszę uzyskać zgodę francuskiego lekarza, zanim ktokolwiek mi to wyda. A jak powiedziałem, nie znam żadnego oprócz ciebie.

- Sobie chcesz to podać? - zdumiała się Vera. Słyszała, że inni lekarze robią to od czasu do czasu; sama była prawie gotowa spróbować jako studentka medycyny, ale w ostatniej chwili stchórzyła i zamiast tego przepisała dane z opublikowanej pracy.

- Od czasu wstąpienia do szkoły medycznej robiłem różne doświadczenia. - Na twarzy Osborna pojawił się szeroki uśmiech. - To dlatego jestem trochę dziwny. - Nagle wystawił język, wytrzeszczył oczy i zaczął się ciągnąć za ucho.

Vera roześmiała się. Nie wiedziała, że on potrafi błaznować.

Szybko puścił ucho i przestał się wyglupiać.

- Vera, potrzebuję sukcylinylocholiny i nie wiem, jak ją dostać. Możesz mi pomóc?

Mówił bardzo poważnie. Ta sprawa dotyczyła jego życia i pozycji. Nagle Vera zdała sobie sprawę, jak mało o nim wie, a równocześnie jak bardzo chciałaby się dowiedzieć więcej. Jakie są jego poglądy, w co wierzy? Co lubi, czego nie lubi? Co kocha, czego się boi, czego innym zazdrości? Jakich tajemnic nigdy nie podzielił z nią ani kimkolwiek innym? Z jakiego powodu rozpadły się jego dwa małżeństwa?

Czy wina była po stronie Paula, czy tamtych kobiet? A może po prostu źle wybrał. Albo... może było coś takiego głęboko w nim samym, co rozkładało jego związki, aż je zrujnowało. Od początku wyczuwała, że Paula coś dręczy. Nie potrafiła tego nazwać ani zrozumieć. To coś tkwiło w nim głęboko i zapewne utrzymywał to w tajemnicy. Ale przecież istniało. Teraz, gdy tak stał na deszczu pod parasolem, prosząc ją o pomoc, widziała, że ta sprawa naprawdę go pochłania. I nagle owładnęła nią przemożna chęć dowiedzenia się, co ukrywa, pocieszenia go i zrozumienia. Kierowała się uczuciem, nie świadomą myślą, i to właśnie było niebezpieczne. Przewadziło w rejony, gdzie jej nie zapraszał i gdzie - tego była pewna - nikt nigdy dotąd nie miał wstępu.

Nagle zdała sobie sprawę, że nadal stoją na rogu ulicy, a on do niej mówi.

- Pytałem, czy możesz mi pomóc. Spojrzawszy na niego, uśmiechnęła się.

- Tak - powiedziała. - Spróbuję.

## 19

Osborn stał przy kontuarze apteki szpitalnej, próbując odczytywać francuskie karty z życzeniami dobrego zdrowia, Vera zaś zabrała jego receptę i poszła na zaplecze. Podniósłszy na chwilę głowę, ujrzał gestykującego

i mówiącego coś aptekarza; Vera czekała z ręką opartą na biodrze. Osborn się odwrócił.

Być może wciągając ją w to, popełnił błąd. Jeśli kiedykolwiek go złapią, a prawda wyjdzie na jaw, ona zostanie postawiona przed sądem jako współwinna. Powinien jej powiedzieć, by dała spokój, i znaleźć inny sposób załatwienia się z Henrim Kanarackiem. Niezdarnie wsadził kartę, którą oglądał, z powrotem na stelaż i już miał się odwrócić, by pójść za Verą, kiedy zobaczył, że właśnie nadchodzi.

- Łatwiejsze niż kupowanie kondomów, a także mniej krepujące - oświadczyła, puszczając oko i mijając go.

Dwie minuty później byli na dworze i szli bulwarem Saint-Jacques. Sukcynylocholina i paczka strzykawek spoczywały w kieszeni sportowej kurtki Osborna.

- Dziękuję - powiedział spokojnym głosem, otworzył parasol i ujął go tak, by osłonić ich oboje. Zaczął padać jeszcze większy deszcz, więc zaproponował, by poszukali taksówki.

- A nie możemy po prostu się przejść? - zapytała Vera.

- Jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie też nie.

Wziął ją pod rękę, gdy na światłach przechodzili przez ulicę, a kiedy dotarli do przeciwległego chodnika, z rozmysłem puścił jej ramię. Vera uśmiechnęła się szeroko, a potem przez piętnaście minut szli przed siebie i milczeli.

Myśli Osborna skierowały się ku jego własnym sprawom. Tak czy owak poczuł wielką ulgę. Zdobycie succynylocholíny okazało się łatwiejsze, niż sobie wyobrażał. Natomiast nie podobało mu się, że okłamał i wykorzystał Verę, i niepokoiło go to w znacznie większym stopniu, niż początkowo przypuszczał. Ze wszystkich osób, jakie znał, Vera była ostatnią, którą chciałby z rozmysłem wykorzystać, nie mówiąc prawdy. A jednak to zrobił i zdobył lek. Ale czy miał jakiś wybór?

Dzień dzisiejszy różnił się od innych, a to, co Osborn robił, nie miało związku z codziennym życiem. Nadal dawne sprawy rzutowały na jego postępowanie. Sprawy tragiczne, które znali tylko on i Kanarack. I które tylko on i Kanarack mogli zakończyć. Znów go zaniepokoiła myśl, że jeśli pójdzie źle, Vera może zostać wmieszana, oskarżona o nieświadomy współudział. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie poszłaby do więzienia, ale jej kariera mogła zostać zrujnowana. Powinien pomyśleć o tym wcześniej, zanim w ogóle zwrócił się do niej z tą prośbą. Powinien, ale nie zrobił tego i teraz było po wszystkim. Trzeba się zastanowić, co dalej. Tak



by mieć pewność, że nic nie zawiedzie; że zarówno on, jak i Vera będą bezpieczni.

Nagle wzięła go za rękę i odwróciła twarzą do siebie. Gdy to uczyniła, zdała sobie sprawę, że doszli już aż do Jardin des Plantes, parku Narodowego Muzeum Przyrodniczego, i zbliżają się do Sekwany.

- O co chodzi? - zapytał zdumiony.

Usiłował popatrzeć jej w oczy i Vera zrozumiała, że wyrwała go z jakiegoś snu na jawie.

- Chcę, żebyś poszedł do mnie - powiedziała.

- Chcesz co? - Zupełnie nie mógł się połapać. Przechodnie w pośpiechu wymijali ich po obu stronach, a ogrodnicy pomimo deszczu przygotowywali sobie robotę na cały dzień.

- Powiedziałam, żebyśmy poszli do mnie.

- Dlaczego?

- Chciałabym ci zrobić kąpiel.

- Kąpiel?

- Tak.

Uśmiechnął się szerokim, chłopięcym uśmiechem.

- Niedawno bałaś się, że cię zobaczą w moim towarzystwie, a teraz zabierasz mnie do siebie?

- A co w tym złego?

Osborn zobaczył, że się zarumieniła.

- Na pewno wiesz, co robisz?

- Tak. Doszłam do wniosku, że chciałabym ci zrobić kąpiel, a w tym, co w twoim hotelu nazywają wanną, ledwie można by wykąpać małego psa.

- A co z tym Francuzikiem?

- Nie nazywaj go w ten sposób.

- Podaj mi jego nazwisko, a przestanę.

Przez chwilę Vera milczała.

- On mnie nie obchodzi - odparła wreszcie.

- Nie? - Osborn myślał, że dziewczyna się z nim drażni.

- Nie.

- Mówisz serio? - Przyjrzał się jej uważnie.

Zdecydowanie skinęła głową.

- Od kiedy?

- Od... nie wiem. Od kiedy tak zdecydowałam, to wszystko... - Nie miała zamiaru się nad tym zastanawiać.

Osborn nie wiedział, co ma o tym myśleć ani nawet co w tej chwili czuje. W poniedziałek oświadczyła, że nigdy już nie chce go widzieć. Że

ma kochanka, ważną we Francji osobistość. Dziś był czwartek, on został przyjęty, a kochanek odrzucony. Czy rzeczywiście obchodził ją do tego stopnia? Czy też tylko zmyśliła kochanka, aby pozbyć się Paula, chcąc w ten sposób zakończyć ten krótki romans?

Powiew wiatru znad rzeki poruszył jej włosami; założyła pasmo za ucho. Tak, wiedziała, jakie ryzyko podejmuje, ale nie obchodziło jej to. Wiedziała tylko tyle, że w tej chwili chce się kochać z Pauliem Osbornem we własnym mieszkaniu i we własnym łóżku. Chciała być z nim naprawdę. Tak długo, jak będą mogli. Od następnego dyżuru dzieliło ją czterdzieści osiem godzin. Francois był w Nowym Jorku i już od kilku dni się z nią nie kontaktował. Właściwie mogła swobodnie robić to, co chciała, kiedy chciała i gdzie chciała.

- Jestem zmęczona. Chcesz iść czy nie?

- Jesteś tego pewna?

- Tak - odrzekła.

Była za pięć dziesiąta rano.

## 20

Obudził ją dzwonek telefonu. Z początku nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Przez drzwi balkonowe uchylone na patio wpadał ostry blask. Dalej, za Sekwaną, popołudniowe słońce zrezygnowało z przebiccia się przez uparte chmury i znikło wśród nich. Ciągle jeszcze na wpół śpiąca Vera oparła się na łokciu i rozejrzała wokół. Wszędzie rozrzucona pościel. Jej pończochy i bielizna na podłodze, częściowo wsunięte pod łóżko. A potem otrzeźwiała i zrozumiała, że jest w swoim mieszkaniu, a telefon natarczywie dzwoni. Przykrywszy się skrajem prześcieradła, jakby rozmówca na drugim końcu linii mógł ją zobaczyć, podniosła słuchawkę.

- Oui?

- Vera Monneray?

Głos był męski. Nigdy przedtem go nie słyszała.

- Oui... - powtórzyła zdziwiona. Na drugim końcu rozległo się wyraźne pstryknięcie i połączenie przerwano. Odkładając słuchawkę, rozejrzała się. - Paul? - zawołała. - Paul?

Za drugim razem w jej głosie zabrzmiał niepokój. Nie usłyszała odpowiedzi, więc zrozumiała, że wyszedł. Wstała z łóżka i ujrzała swoją nagą sylwetkę w antycznym lustrze nad toaletką. Na prawo znajdowały się otwarte drzwi do łazienki. Na umywalce i na podłodze koło bidetu wałyły

się ręczniki. Zasłona łazienkowa spadła i leżała w poprzek wanny. Na drugim końcu łazienki jeden z jej pantofli pieczęłowicie ustawiono na zamkniętej pokrywie sedesu. Gdyby ktokolwiek teraz wszedł, nie miałby wątpliwości, że w tych dwóch pokojach i Bóg jeden wie gdzie jeszcze w mieszkaniu kochano się długo i namiętnie. Nigdy w życiu nie doświadczyła niczego podobnego jak w ubiegłych godzinach. Bolało ją całe ciało, to zaś, co nie bolało, było otarte i spuchnięte. Czuła się tak, jakby złączyła się cieleśnie z dzikim zwierzęciem, którego prymitywny szaf narastał z pchnięcia na pchnięcie, aż stał się gigantyczną burzą uczuć, która mogła minąć dopiero po całkowitym i ostatecznym wyczerpaniu.

Odwróciwszy się, znów ujrzała swoje odbicie w lustrze i podeszła bliżej. Nie była całkiem pewna, co tam widzi, prócz tego, że coś się zmieniło. Jej szczupła figura i małe piersi były takie same. Włosy, choć całkiem potargane, też wyglądały tak samo. To nie to. Było tak, jakby coś z niej uszło, a w to miejsce pojawiło się coś innego.

Nagle telefon znowu zadzwonił. Spojrzała nań przez ramię, rozdrażniona takim natręctwem. Nie przestawał dzwonić i wreszcie podniosła słuchawkę.

- Oui... - rzuciła niechętnie.

- Chwileczkę - rozległ się głos. To on dzwonił.

- Vera! Bonjour! - Głos Francois był głośny, ożywiony, rozkazujący.

Upłynęła chwila, nim odpowiedziała. A przez tę chwilę zrozumiała, że tym, co straciła, było jej dzieciństwo; że przekroczyła granicę, zza której nie było odwrotu. Przestała już być dotychczasową Verą. I jej życie też się zmieni, choć nie wiadomo, czy na lepsze, czy na gorsze.

- Bonjour - powiedziała wreszcie. - Bonjour, Francois.

Paul Osborn wyszedł z mieszkania Very tuż po dwunastej i metrem wrócił do hotelu. O drugiej, ubrany w sportową koszulkę, džinsy i sportowe buty, prowadził wynajętego ciemnoniebieskiego peugeota po alei Clichy. Starannie trzymając się planu miasta, dostarczonego przez agencję wynajmu samochodów, skręcił z ulicy Martre w prawo na szosę biegnącą wzdłuż Sekwany na północny wschód. W ciągu następnych dwudziestu minut trzykrotnie zatrzymywał się przy jej zjazdach i odgałęzieniach. Żadne nie wyglądało obiecująco.

Aż wreszcie o drugiej trzydzieści pięć minął obsadzoną drzewami drogę, która zdawała się prowadzić ku rzece. Zawrócił i skręcił w nią. Trzysta metrów dalej natrafił na zaciszny park, położony na pagórku tuż nad wschodnim brzegiem rzeki. Z tego, co zdołał dostrzec, park był wielkości mniej więcej dużego pola, otoczony drzewami, a jego granice wytyczała polna droga. Wjechawszy w nią, podążył przed siebie aż do miejsca, gdzie zakręcała na powrót ku szosie. I wówczas zobaczył to, czego szukał: ziemno-żwirową pochylnię, prowadzącą prosto do wody. Zatrzymał się, wysiadł i spojrzął za siebie. Szosa oddalona była o jakieś osiemset metrów, zaślaniały ją drzewa i gęste podszycie.

W lecie park położony nad rzeką zapewne był zatłoczony. Ale teraz, blisko trzeciej po południu, w deszczowy czwartek października, Osborn nie ujrzał żywej duszy.

Poszedł na szczyt pochylni i popatrzył w dół. Pod sobą poprzez drzewa ledwie widział rzekę. Ciemne niebo i mżawka pochłonęły wszystko wokół i wyglądało tak, jakby na świecie istniał tylko on. Pochylnia była stroma, poorana koleinami pojazdów zjeżdżających tędy na pomost, który niewątpliwie służył za miejsce wodowania małych łódek.

Gdy schodząc, zbliżył się do podnóża rampy, tworzącej tutaj płaszczyznę, ujrzał na skraju wody szereg gnijących pali, które przed wielu laty musiały stanowić podstawę znacznie obszerniejszego zejścia do wody. Kiedy i po co, kto wie? Ile armii przez ile wieków tędy przechodziło? Ilu ludzi szło przez to miejsce?

Cztery metry od skraju rzeki, może trochę dalej, żwir ustępował miejsca szaremu piaskowi, który przechodził w czerwony muł, sięgający brzegu. Tam Osborn zbadał twardość gruntu. Piasek był twardy, ale gdy wszedł na muł, jego buty się zapadły. Cofnął się, otrzepał obuwie, a potem znów spojrzął w kierunku wody. Tuż obok niego Sekwana płynęła leniwie, maleńkie fale cicho pluskały o brzeg. Niecałe trzydzieści metrów od tego miejsca wrzynał się w wodę cypel z kępą drzew. W tym miejscu nurt gwałtownie skręcał ku środkowi rzeki.

Osborn patrzył przez długą chwilę, aż nazbyt dobrze świadom tego, co robi. A potem, odwróciwszy się zdecydowanym ruchem, poszedł przez przystań ku kępie drzew u stóp wzgórza górującego nad wodą. Znalazł dużą gałąź, podniósł ją, wrócił na miejsce i cisnął do wody. Przez moment nic się nie działo, ale potem prąd powoli popchnął ją do przodu i zniósł w stronę drzew, i dalej, do głównego nurtu. Osborn spojrzął na zegarek. Wszystko to trwało dziesięć sekund. Jeszcze dwadzieścia i gałąź zniknęła z pola widzenia za skałą z kępą drzew.

Raz jeszcze poszedł do lasku. Szukał czegoś cięższego, najlepiej o masie człowieka. Po chwili trafił na wyrwany z ziemi pniak. Podniósł go z trudem, przytaszczył nad wodę, wszedł w muł i cisnął do rzeki. Pniak trwał w wodzie nieporuszony, podobnie jak przedtem gałąź, a potem pochwycił go prąd i pień ruszył wzdłuż brzegu. Gdy dotarł do zakrętu, zaczął płynąć szybciej i zdecydowanie kierował się w stronę głównego nurtu. Osborn znów popatrzył na zegarek. Trzydzieści dwie sekundy. Pień musiał ważyć ze dwadzieścia pięć kilo. Kanarack, jak oceniał, około dziewięćdziesięciu. Stosunek masy gałęzi do pnia był znacznie większy niż stosunek masy pnia do ciała Kanaracka, ale i gałąź, i pniak zniknęły z oczu niemal w tym samym czasie.

Gdy Osborn zaczął to pojmować, puls mu przyspieszył, pod pachami poczuł wilgoć. To się uda, tego był pewien! Osborn zaczął biec brzegiem, mijając drzewa, do miejsca, gdzie ląd wcinał się najgłębiej w nurt. Ujrzał, że woda jest tam głęboka i płynie bez przeszkód. Kanarack, bezradny pod wpływem sukcyliny, odpłył jak pień drzewa, przyspieszając w miarę zbliżania się do nurtu. Gdy jego ciało zostanie zepchnięte z przystani, w niecałą minutę powinno dotrzeć do środka rzeki, a tam pochwyci je główny nurt.

Teraz musiał się już tylko upewnić. Przedzierając się przez gęstą, wysoką trawę, krzaki i zarośla, posuwał się co najmniej kilometr z biegiem rzeki. Im dalej szedł, tym brzeg robił się bardziej stromy, a prąd przyspieszał. Dotarłszy do szczytu wzgórza, Osborn się zatrzymał. Rzeka płynęła bez przeszkód tak daleko, jak sięgał wzrokiem. Nie było na niej żadnych wysepek, piaszczystych łach ani zatorów ze zwałonych drzew. Nic prócz szybko płynącej wody, przecinającej otwartą okolicę. Co więcej, nie było tam miast, fabryk, domów mieszkalnych ani mostów. O ile mógł się zorientować, żadnego miejsca, z którego można by zauważyć porwany prądem przedmiot.

Szczególnie wśród deszczu i ciemności.

## 21

Lebrun i McVey śledzili Osborna i Verę do ogrodów Narodowego Muzeum Przyrodniczego. Tam przejął ich nieoznakowany wóz policyjny i tropił aż do mieszkania Very na Wyspie Świętego Ludwika.

Gdy tylko weszli do środka, Lebrun przez radio przekazał adres.

Czterdzieści sekund później otrzymali wydruk spisu mieszkańców budynku, a to dzięki sprawdzeniu w komputerze listy adresów dla doręzcycieli pocztowych.

Lebrun przebiegł go wzrokiem, a potem wręczył McVeyowi, który musiał włożyć okulary, by cokolwiek odczytać. Lista potwierdzała, że wszystkie sześć apartamentów pod numerem osiemnastym na Quai de Bethune było zamieszkałych. Dwa nazwiska podano tylko z inicjałami imion, co wskazywało na niezamężne kobiety. Jedna nazywała się M. Seyrig, druga V. Monneray. Francuskie spisy permis de conduire - praw jazdy - ujawniły, że chodziło o Monique Seyrig, lat sześćdziesiąt, i Verę Monneray, lat dwadzieścia sześć. Nie upłynęła nawet minuta, gdy w nieoznakowanym fordzie Lebruna pojawiła się w faksie kopia prawa jazdy Very Monneray. Fotografia przedstawiała towarzyszkę Paula Osborna.

I w tym właśnie momencie komenda nagle zarządziła przerwanie obserwacji. Lebruna zawiadomiono, że doktorem Paulem Osbornem interesuje się Interpol, a nie Paryska Prefektura Policji. Jeśli zaś Interpol pragnie, aby ktoś pilnował z drugiej strony ulicy Osborna zabawiającego się z jakąś panią, niech za to płaci; tutejszej policji na to nie stać.

McVey aż nazbyt dobrze wiedział, jak wygląda miejski budżet, nieustannie obcinany przez decydentów, tak więc, gdy Lebrun wysadził go pół godziny później przed komendą, przepraszając, mógł tylko wzruszyć ramionami i pójść do dwudrzwiowego beżowego opla, którego przydzielił mu Interpol. Od tej pory będzie musiał radzić sobie sam.

Co najmniej czterdzieści minut jeździł w kółko, szukając drogi powrotnej na Wyspę Świętego Ludwika, nim wreszcie odnalazł parking na tyłach domu Very Monneray. Mieszkała w dobrze utrzymanej, świeżo pomalowanej kamiennej budowli zdobionej sztukaterią, dom zajmował całą długość przecznicy. Wejścia dla służby - ciężkie, pozbawione okien drzwi - nadawały mu od strony podwórka wygląd zamkniętych koszar wojskowych.

McVey wysiadł i poszedł brukowaną ulicą do skrzyżowania za budynkiem. Deszcz i zimno nie były sprzymierzeńcami. Ani stara kamienna kostka, śliska jak diabli. Wyciągnął chustkę z tylnej kieszeni spodni i wytarłszy nos, złożył ją starannie wzdłuż załamań i schował z powrotem. Zaczął myśleć o ciepłym, mglistym dniu na terenie Rancho Park na Pico, tuż naprzeciw posiadłości Twentieth Century Fox. Herbata na mieście około ósmej, słońce właśnie zaczyna przygrzewać, w perspektywie pogaduszki

przez kilka godzin z trójką kumpli z wydziału zabójstw... detektywi odpoczywający od zajęć domowych w dniu wolnym od pracy.

Na skrzyżowaniu McVey skręcił w prawo i dotarł wreszcie do frontowej ściany budynku. Ku swemu zaskoczeniu znalazł się dosłownie nad Sekwaną. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby niemal dotknąć przepływające barki. Po drugiej stronie rzeki miasto przykrywała zaślona chmur, które jak okiem sięgnąć sunęły z lewa na prawo. Patrząc w górę, McVey doszedł do wniosku, że niemal z każdego mieszkania w tym budynku rozciąga się ten sam wspaniały widok.

Ile musi tu wynosić czynsz, u diabła? - pomyślał, a potem się uśmiechnął. To właśnie powiedziałby do swej drugiej żony Judy, jego jedynej prawdziwej towarzyszką życia. Ze swoją pierwszą żoną, Valerie, pobrali się, gdy chodził jeszcze do akademii policyjnej. Oboje byli zbyt młodzi na małżeństwo. Valerie pracowała jako kasjerka w supermarkecie, on zaś męczył się, by ukończyć akademię policyjną, a potem zaliczyć pierwsze lata służby. Dla Val nie była ważna praca ani kariera, lecz dzieci. Chciała mieć dwóch chłopców i dwie dziewczynki, zupełnie tak samo, jak było w jej rodzinie. McVey pracował trzeci rok w policji w Los Angeles, gdy zaszła w ciążę. Cztery miesiące później, gdy wyjechał w teren w sprawie kradzieży samochodu, poroniła w domu swej matki i w drodze do szpitala wykrwawiła się na śmierć.

Czemu o tym myślał? Główne wejście do domu Very Monneray ochraniała zdobna krata z kutego żelaza. Z holu spojrzął na niego portier w liberii i McVey już wiedział, że musiałyby mieć nakaz prokuratorski, aby dostać się do środka. Ale w zasadzie co by tam zastał? Osborna i pannę Monneray w łóżku? I na jakiej podstawie miał prawo przypuszczać, że któreś z nich nadal tam jest? Upłynęły już prawie dwie godziny od chwili, gdy Lebrun i jego zespół zostali wycofani z obserwacji.

Odwróciwszy się, McVey ruszył do swego wozu. Pięć minut później siedział za kierownicą opla, starając się wykombinować, jak by tu wydostać się z Wyspy Świętego Ludwika i wrócić do hotelu. Wyczerpany rozmyślaniami pod znakiem „stop” właśnie podjął ostateczną decyzję, by skręcić w prawo zamiast w lewo, gdy dostrzegł na rogu budkę telefoniczną. Zajechał drogę taksówce i zatrzymał się przy krawężniku. Wszedł do budki, otworzył książkę telefoniczną, poszukał V. Monneray, a potem wykręcił jej numer. Telefon długo nie odpowiadał i McVey był prawie gotów dać sobie spokój, gdy usłyszał głos kobiety.

- Vera Monneray? - zapytał.

Nastąpiła pauza, a potem...

-Oui - powiedziała.

Odwiesił słuchawkę. Przynajmniej jedno z nich jeszcze się lam znajdowało.

-Vera Monneray, numer osiemnaście Quai de Bethune? Nazwisko i adres? - McVey zamknął skoroszyt i wlepił wzrok w Lebruna. - To całe jej dossier...?

Lebrun zgniótł papierosa i kiwnął głową. Było kilka minut po szóstej wieczorem; siedzieli w ciasnym gabinecie Lebruna na czwartym piętrze w komendzie policji.

-Dziesięcioletnie dziecko, pisząc scenariusz dla telewizji, podałoby obszerniejszą charakterystykę - rzekł ostro McVey, co było u niego niezwykłe.

Większą część popołudnia spędził nielegalnie w pokoju hotelowym Paula Osborna, przeglądając jego rzeczy; znalazł stertę brudnej bielizny, czeki podróżne, witaminy, leki przeciwhistaminowe, proszki od bólu głowy i kondomy. Jeśli nie liczyć kondomów, nie natknął się na nic, czego by nie miał we własnym pokoju hotelowym. Nie był wrogiem prezerwatyw, ale od czasu gdy jego Judy zmarła przed czterema laty, seks przestał go interesować. Przez wszystkie lata ich małżeństwa rodziły się w jego głowie niestworzone fantazje na temat robienia tego z wszelkiego rodzaju kobietami, od nastolatek do podstarzałych panius. Spotkał zresztą i na jawie wystarczającą liczbę dam bardziej niż chętnych rozłożyć nogi przed detektywem z wydziału zabójstw... Nigdy jednak nie skorzystał z okazji. A gdy Judy odeszła, nic z tych rzeczy, nawet fantazje, nie budziło już jego zainteresowania. Czuł się jak człowiek, który myśli, że umiera z głodu, i nagle odkrywa, że w ogóle nie jest głodny.

Przelotne zainteresowanie McVeya wzbudziły tylko rachunki z restauracji, wetknięte za okładkę terminarza Osborna. Wystawiono je w piątek trzydziestego września oraz w sobotę pierwszego października. Piątkowy pochodził z Genewy, sobotni z Londynu. Oba opiewały na dwie osoby. Czyli w obu tych miastach Osborn zaprosił kogoś na kolację. Podobnie uczyniły setki tysięcy innych ludzi. Osborn powiedział paryskim detektywom, że w hotelu w Londynie przebywał sam. Zapewne w ogóle nie pytali go o kolację, bo i nie mieli powodu. Ani odrobinę większego niż McVey teraz, by wiązać Osborna z morderstwami połączonymi z odcinaniem głów.



Lebrun uśmiechnął się na widok bolesnego rozczarowania McVeya.

- Przyjacielu, zapominasz, że jesteś w Paryżu.

- A cóż to oznacza?

- To, mon ami, że dziesięcioletnie dziecko piszące scenariusz dla telewizji... - Lebrun zawiesił głos dla większego efektu - raczej nie sypia z premierem.

- Żartujesz. - McVeyowi opadła szczęka.

- Nie, nie żartuję - odparł Lebrun, zapalając kolejnego papierosa.

- Czy Osborn wie?

Lebrun wzruszył ramionami.

McVey rzucił mu groźne spojrzenie.

- A więc ona jest nietykalna, tak?

- Oui. - Lebrun uśmiechnął się leciutko. Starzy wyjadacze z wydziału zabójstw doprawdy powinni mieć tyle rozumu, by nie czuć zaskoczenia z powodu l'amour... nawet jeśli są Amerykanami. Ani tym bardziej nie powinno ich dziwić, jak beznadziejnie skomplikowany może okazać się taki wątek.

- Jeśli pozwolisz, wrócę do hotelu, a zaraz potem do Londynu. - McVey wstał. - A na przyszłość sprawdź swoich superpodejrzanych najpierw sam, dobrze?

- Coś mi się zdaje, że właśnie to ci zaproponowałem - odparł Lebrun, szczerząc zęby. - Być może przypomnisz sobie, że to ty wpadłeś na pomysł, by przylecieć do Paryża.

- Następnym razem odwiedź mnie od tego. - McVey ruszył w stronę drzwi.

- McVey. - Lebrun zdusił papierosa. - Próbowałem się z tobą skontaktować przez całe popołudnie.

McVey nie odpowiedział. Jego metody prowadzenia śledztwa nie zawsze były całkowicie legalne. I nie zawsze wciągał w nie kolegów.

- Zależało mi na tym - rzekł Lebrun.

- Czemu? - spytał obojętnym tonem McVey, zastanawiając się równocześnie, czy Lebrun coś wie i próbuje go wy badać.

Wyciągnąwszy górną szufladę biurka, Lebrun wyjął kolejny skoroszyt.

- Akurat mamy to na warsztacie - powiedział, wręczając go McVeyowi. - Przydałoby się nam twoje doświadczenie.

McVey mierzył go przez chwilę wzrokiem, a potem otworzył skoroszyt. Policyjne zdjęcia z miejsca zbrodni. Skrajnie brutalny mord. Mężczyzna zabity najprawdopodobniej w mieszkaniu. Oddzielne zdjęcia ukazywały

zbliżenia jego kolan. Każde zostało zmiażdżone jednym, potężnym wystrzałem z broni palnej.

-Colt produkcji amerykańskiej, kalibru .38, z tłumikiem. Znaleźliśmy go obok ofiary. Kolba owinięta plastrem. Brak odcisków palców i numerów seryjnych broni - mówił spokojnie Lebrun.

McVey spojrział na dwie następne fotografie. Pierwsza przedstawiała twarz mężczyzny; tak spuchniętą, że była trzykrotnie większa niż normalnie. Wysadzone z oczodołów oczy patrzyły ze zgrozą. Na szyi miał zacisniętą drucianą garotę, wyglądającą jakby zrobiono ją z wieszaka na ubranie. Drugie zdjęcie ukazywało okolice pachwin. Mężczyźnie odstrzelono genitalia.

-Jezu - wyszeptał McVey.

-Posłużono się tą samą bronią - objaśnił Lebrun.

-Ktoś chciał go zmusić do mówienia. - McVey podniósł głowę.

-Ja na jego miejscu powiedziałbym wszystko, czego by chcieli - rzekł Lebrun. - Dla samej nadziei, że mnie zabiją.

-Dlaczego mi to pokazujesz? - zapytał McVey. Pierwsza Prefektura Policji Paryskiej miała błyskotliwe osiągnięcia w wykrywaniu sprawców morderstw dokonanych na obszarze miasta; porada McVeya z pewnością nie była im potrzebna.

-Bo nie chcę, żebyś tak od razu popędził do Londynu. - Lebrun się uśmiechnął.

-Nie rozumiem. - McVey raz jeszcze spojrział na otwarty skoroszyt.

-Nazywał się Jean Packard. Był prywatnym detektywem, zatrudnionym w paryskim oddziale Kolb International. W poniedziałek doktor Paul Osborn wynajął go, bo chciał kogoś odnaleźć.

-Osborn?

Zapaliwszy następnego papierosa, Lebrun zdmuchnął zapałkę i skinął głową.

-To robota zawodowca, nie Osborna - ocenił McVey.

-Wiem. Technik znalazł brudny odcisk na kawałku stłuczonego szkła. Nie należał do Osborna, a my w naszym komputerze nie mamy nic, co by do niego pasowało. Więc wysłaliśmy to do kwatery głównej Interpolu w Lyonie.

-I?

-McVey, znaleźliśmy go ledwie tego ranka.

-Wciąż nie macie nic na Osborna - rzekł McVey z pewnością siebie.

- Nie, nie mamy - zgodził się Lebrun. - Może to być po prostu zbieg okoliczności.

McVey usiadł z powrotem.

Lebrun wziął skoroszyt i schował do szuflady.

- Myślisz pewnie, że sprawa jest już i tak dostatecznie skomplikowana, a ten cały Jean Packard nie ma nic wspólnego z naszymi pozabawionymi głów ciałami. Przyjechałeś jednak do Paryża z powodu Osborna, ponieważ pojawił się cień możliwości, że on ma z tym coś wspólnego. A teraz to. Toteż pytasz sam siebie, czy patrzymy dość daleko i wnikliwie, bo może jednak istnieje tu jakiś związek... Mam rację, McVey?

- Oui - odpowiedział McVey, podnosząc głowę.

## 22

Na dworze czekała ciemna limuzyna.

Vera patrzyła z okna sypialni, jak nadjeżdża. Ileż razy stawała w tym oknie, czekając, aż ujrzy ją wyjeżdżającą zza rogu? Ileż razy na jej widok czuła, jak jej serce drży z radości? A teraz wołałaby, aby ten wóz nie miał z nią nic wspólnego, by obserwowała go z innego apartamentu i by ta miłośćka dotyczyła kogoś innego.

Miała na sobie czarną sukienkę, czarne pończochy, kolczyki z pereł i pojedynczy sznur pereł na szyi. Na ramiona narzuciła krótką kurtkę ze srebrnych norek.

Kierowca otworzył tylne drzwi i Vera wsiadła. Chwilę później ruszyli.

O czwartej pięćdziesiąt pięć po południu Henri Kanarack umył ręce w umywalce dla pracowników piekarni, po czym wsunął kartę do zegara kontrolnego na ścianie i odbił ją na zakończenie dnia pracy. W korytarzyku, gdzie zawsze wiesział marynarkę, zastał czekającą na niego Agnes Demblon.

- Chcesz, bym cię podwiozła? - spytała.

- Dlaczego? Czy kiedykolwiek odwoziłaś mnie do domu? Nigdy. Zawsze zostawałaś, dopóki nie zrobiłaś kasy z całego dnia.

- Tak. Ale dziś wieczorem ja...

- Szczególnie dziś wieczorem - przerwał jej Kanarack. - Właśnie dziś wieczorem. Wszystko tak samo. Rozumiesz?

Nie patrząc na nią, włożył marynarkę, otworzył drzwi i wyszedł na deszcz. Szybko dotarł zaułkiem do ulicy od frontu. Skręciwszy za róg, podniósł kołnierz dla ochrony przed deszczem, a potem ruszył dalej. Była piąta dwie.

Po drugiej stronie ulicy, o dwie bramy dalej stał zaparkowany przy chodniku wynajęty ciemnoniebieski peugeot. Deszcz bił cienkimi strużkami w jego świeżo wywoskowaną karoserię. W ciemnym wnętrzu siedział za kierownicą Paul Osborn.

Na najbliższym rogu Kanarack skręcił w lewo w bulwar Magenta. W tej samej chwili Osborn przekręcił kluczyk w stacyjce, odjechał od krawężnika i podążył za nim. Na rogu skręcił w lewo, za Kanarackiem. Rzucił okiem na zegarek. Siedem po piątej, a już ciemno. Przez chwilę wydawało mu się, że zgubił Kanaracka. Ale zaraz dostrzegł go po tej samej stronie ulicy, idącego zdecydowanym krokiem, lecz jak się zdawało, bez pośpiechu. Sądząc po swobodnym zachowaniu, Kanarack najwyraźniej nie podejrzewał, że może być śledzony, a napad i pościg z tamtego wieczoru uznał za niezrozumiały incydent, wywołany przez wariata.

Kanarack zatrzymał się na światłach ulicznych. To samo zrobił Osborn. I natychmiast poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Czemu nie teraz? - odezwał się jakiś wewnętrzny głos. Odczekać, aż zejdzie z chodnika na jezdnię, skrócić, dodać gazu, walnąć go i odjechać! Nikt cię nie zobaczy. A jeśli nawet, kogo to obejdzie? Jeśli policja cię znajdzie, powiesz, że właśnie się do nich wybierałeś. Że zastanawiasz się, czy nie przejechałeś kogoś w deszczu i ciemności. Nie jesteś pewien. Rozglądałeś się, ale nikogo nie zauważyłeś. Co ci mogą odpowiedzieć? Skąd mogliby wiedzieć, że to ten sam człowiek? Przede wszystkim nie mają pojęcia, kto to wówczas był.

Nie, nie! Nawet o tym nie myśl! - odpowiedział sam sobie. Już za pierwszym razem prawie wszystko popsujesz z powodu emocji. A poza tym zabij go w taki sposób, a nigdy nie poznasz odpowiedzi na swoje pytanie; to chyba równie ważne jak zabicie go. A więc uspokój się, trzymaj się ściśle planu, a wszystko będzie dobrze.

Pierwszy zastrzyk sukcynylocholino spowoduje określone skutki; jego pierś ściśnie żelazna obręcz, będzie się dusił, bezradny i przerażony jak nigdy w życiu. Powiedziała by ci wszystko, gdyby mógł, ale nie będzie do tego zdolny.

A potem, z wolna, działanie leku zacznie ustępować i on to odczuje. Uśmiechnie się z zadowoleniem i pomyśli, że wygrał z tobą, kiedy nagle zrozumie, że zamierzasz dać mu drugi zastrzyk. powiesz mu, że o wiele silniejszy. Będzie myślał już tylko o tym drugim zastrzyku, o ponownym

przeżyciu tego horroru; w pełni świadomy, że będzie to gorsze, o wiele gorsze, jeśli to w ogóle możliwe. I wtedy odpowie na twoje pytanie, Paul. Wtedy powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Osborn spojrział na swe dłonie, zaciśnięte na kierownicy tak mocno, że aż kłykcie pobielają. Pomyślał, że jeśli ściśnie choć trochę mocniej, kierownica pęknie mu w rękach. Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, odprężył się; chęć natychmiastowego działania zgasła.

Kiedy światła się zmieniły, Kanarack przeszedł przez jezdnię. Musiał założyć, że jest śledzony albo przez Amerykanina, albo przez policję, choć w to akurat wątpił. W każdym razie nie powinien się zachowywać ani trochę inaczej niż zwykle: pięć dni w tygodniu, pięćdziesiąt tygodni w roku przez ubiegłe piętnaście lat. Wyjść z piekarni o piątej, zatrzymać się gdzieś po drodze na chwilę wytchnienia, potem metrem pojechać do domu.

W połowie następnej przecznicy znajdowała się brasserie Le Bois. Szedł równym, niespiesznym krokiem, wyglądał po prostu jak zwykły robotnik, zmęczony pod koniec dnia. Wyminąwszy młodą kobietę spacerującą z psem, dotarł do Le Bois, otworzył ciężkie oszklone drzwi i wszedł do środka.

Wewnątrz sala była zatłoczona i pełna hałasu i dymu. Kanarack rozejrzał się, próbując znaleźć stolik przy oknie, skąd można by obserwować ulicę, ale nie było wolnego. Niechętnie usiadł przy barze. Zamówiłszy espresso z anyżówką, spojrział ku drzwiom. Gdyby wszedł funkcjonariusz policji po cywilnemu, rozpozna go natychmiast po postawie i ruchach ciała, po sposobie, w jaki tamten rozejrzy się dokoła. A zresztą, po cywilnemu czy nie, wysokiego stopnia czy niskiego, wszyscy gliniarze świata noszą białe skarpetki i czarne obuwie.

Co innego Amerykanin. Zaatakował go tak nagle, że Kanarack ledwie widział jego twarz. A gdy Amerykanin gnał za nim do metra, Kanarackiem miały emocje, no i na stacji panował tłok. Pamiętał tylko tyle, że tamten miał z metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy i był bardzo silny.

Podano kawę. Przez minutę stała przed nim nietknięta. A potem łyknął odrobinę i poczuł ciepłą mieszaninę kawy z alkoholem. Czuł zaciśnięte na gardle dłonie Osborna, palce dziko wczepione w tchawicę, dłonie próbujące go udusić. Tego właśnie nie mógł zrozumieć. Jeśli Osborn zjawił się tutaj, by go zabić, czemu działał w taki sposób? Broń palna, nóż - oczywista sprawa. Ale gołymi rękami w zatłoczonym miejscu? To nie miało sensu.

Jean Packard też nie potrafił tego wyjaśnić.

Bez trudu dowiedział się, gdzie detektyw mieszka, choć jego numer telefonu oraz adres były zastrzeżone. Zatelefonował do biura Kolb International w Nowym Jorku dokładnie w chwili, gdy mieli zamykać. Mówiąc po angielsku z nieomylnie rozpoznawalnym amerykańskim akcentem, powiedział głosem pełnym emocji, że dzwoni ze swego samochodu, z okolic Fort Wayne w stanie Indiana. Rozpaczliwie szuka kontaktu ze swym przyrodnim bratem Jeanem Packardem, pracownikiem Kolb International, którego stracił z oczu od chwili, gdy ten przeniósł się do Paryża. Osiemdziesięcioletnia matka Packarda leży śmiertelnie chora w szpitalu w Fort Wayne i zapewne nie przeżyje nocy. Czy jakimś sposobem mógłby się skontaktować z przyrodnim bratem w jego miejscu zamieszkania?

Czas nowojorski jest o sześć godzin późniejszy od paryskiego. Szósta wieczorem w Nowym Jorku to północ w Paryżu. Dyżurny telefonista w Nowym Jorku porozumiał się z przełożonym. Był to całkowicie uzasadniony przypadek nieszczęścia w rodzinie. Biuro paryskie zamknięte. Co powinien zrobić? Tuż przed końcem pracy kierownik jak każdy człowiek śpieszył się do domu. Zawahawszy się jedynie na moment, zajrzał więc do międzynarodowego kodu komputerowego, a potem zezwolił na podanie paryskiego numeru telefonicznego Jeana Packarda jego przyrodniemu bratu w Indianie.

Brat cioteczny Agnes Demblon zatrudniony był jako dyspozytor straży pożarnej w Pierwszym Oddziale Straży Paryż Centrum. Numer telefonu pozwolił im odkryć adres. Nic łatwiejszego.

Godzinę później, o pierwszej piętnaście w nocy, Henri Kanarack stał przed kamienicą w północnej dzielnicy miasta, Porte de la Chapelle. Uplęnęło ledwie dwadzieścia minut i już schodził kuchennymi schodami, zostawiając za sobą to, co pozostało z Jeana Packarda, rozciągnięte na podłodze jego salonu.

Packard w końcu podał Kanarackowi nazwisko Paula Osborna i nazwę hotelu, w którym ten mieszkał w Paryżu. I to wszystko. Packard nie miał pojęcia, czemu Osborn zaatakował Kanaracka w brasserie, dlaczego wynajął detektywa z Kolb International, czy reprezentował inną osobę, czy też pracował dla kogoś innego. A Kanarack był pewien, że tamten powiedział prawdę. Jean Packard był twardy, ale nie aż tak twardy. Kanarack dobrze opanował swój zawód na początku lat sześćdziesiątych, gdy z dumą i z przyjemnością uczył się go w Siłach Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych. Jako dowódca plutonu głębokiego zwiadu w pierwszym okresie wojny wietnamskiej został gruntownie wyszkolony w sposobach

wyciągania najtajniejszych informacji z nawet najbardziej upartych wrogów.

Cały kłopot w tym, że w efekcie usłyszał od Jeana Packarda tylko nazwisko i adres, czyli wyłącznie to, co Osborn o sobie powiedział. Kanarack uznał, że Osborn musi być przedstawicielem Organizacji, który przyjechał, by go zlikwidować. Wprawdzie sfuszerował, ale nikt inny by go nie rozpoznał ani też nie miał powodu zabijać.

Najgorsze jest to, że jeśli nawet wyeliminuje Osborna, przyślą kogoś innego na jego miejsce. Pod warunkiem że się dowiedzą. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że Osborn był wolnym strzelcem, kimś w rodzaju łowcy nagród, któremu dawało się spis nazwisk z dołączonymi zdjęciami i obiecywało majątek, jeśli załatwi kogoś z listy. Jeżeli Osborn natknął się na niego przypadkiem i wynajął Jeana Packarda na własną rękę, wszystko jeszcze może się dobrze ułożyć.

Nagle poczuł powiew wiatru z zewnątrz, podniósł więc głowę. W drzwiach Le Bois stał mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym. Był wysoki, miał na głowie kapelusz i rozglądał się wokół. Najpierw obrzucił spojrzeniem zatłoczony taras, a potem popatrzył w kierunku baru. W tym momencie ujrzał wpatrującego się weń Henriego Kanaracka. Natychmiast odwrócił wzrok. Chwilę później pchnął drzwi wejściowe i zniknął. Kanarack się odprężył. Wysoki mężczyzna nie był gliniarzem ani Osbornem. Był nikim.

Po drugiej stronie ulicy Osborn siedział za kierownicą i przyglądał się, jak ten sam człowiek, wyszedłszy, ogląda się przez ramię w stronę drzwi, a potem odchodzi. Osborn wzruszył ramionami. Nie był to Kanarack.

Piekarz wszedł do Le Bois o piątej piętnaście. Teraz dochodziła za kwadrans szósta. Osborn czekał na niego naprzeciw piekarni już od czwartej. Miał dość czasu, by zbadać okolicę i wrócić do samochodu, zanim Kanarack wyszedł z pracy.

Przemierzywszy z pół tuzina przecznic w każdym kierunku, Osborn natknął się na trzy zaułki i dwie drogi dostawcze, prowadzące do zamkniętych magazynów przemysłowych. Każde z tych pięciu miejsc się nadawało. A jeśli jutro wieczorem Kanarack podąży tą samą trasą co dzisiaj, najlepsze z nich będzie można wykorzystać po drodze. Wąski zaułek bez wychodzących nań drzwi i bez latarni ulicznych, położony o mniej niż pół przecznicy od piekarni.

Ubrany w te same dżinsy i sportowe buty co teraz, skryje twarz pod

daszkiem marynarskiej czapki i poczeka w ciemności na przechodzącego Kanaracka. Ze strzykawką pełną sukcynylocholino w dłoni i jeszcze jedną, dla pewności, w kieszeni, skoczy na niego od tyłu. Zaciśnięwszy lewą rękę na jego szyi, szarpnie Kanarackiem w tył i w tym samym momencie mocno wbije mu igłę przez ubranie w prawy pośladek. Kanarack z pewnością zareaguje gwałtownie, ale Osborn potrzebował tylko czterech sekund na wykonanie zastrzyku. Potem niech Kanarack robi, co chce. Czy zaatakuje, czy zacznie uciekać, bez różnicy. Nie upłynie nawet dwadzieścia sekund, gdy jego nogi zaczną tracić czucie. Jeszcze dwadzieścia, a nie utrzymają go. Gdy tylko upadnie, Osborn znów się zbliży. Jeśli pojawią się jacyś przechodnie, powie, że to jego przyjaciel, Amerykanin, zachorował, a on pomaga mu wsiąść do czekającego przy krawężniku peugeota, by go zawieźć do przychodni lekarskiej. Kanarack, którego mięśnie szkieletowe zostaną sparaliżowane, nie będzie zdolny zaprotestować. Gdy tylko znajdą się w samochodzie i ruszą z miejsca, Kanarack, bezradny i przerażony, skoncentruje się tylko na jednym: na oddychaniu.

Potem, gdy będą mknąć przez Paryż ku brzegowi rzeki i odludnemu parkowi, działanie sukcynylocholino osłabnie i Kanarack zacznie swobodniej oddychać. Osborn uniesie drugą strzykawkę, powie jeńcowi, kim jest, i zagrozi mu wstrzyknięciem znacznie silniejszej dawki. Wtedy będzie mógł rozsiaść się wygodniej i spytać Kanaracka, czemu zamordował jego ojca. I bez wątpienia Kanarack mu to powie.

## 23

Pięć po szóstej Kanarack wyszedł z Le Bois i zupełnie nie kryjąc się, przemierzył dwie przecznice dzielące go od stacji metra naprzeciw Gare de l'Est.

Osborn patrzył za odchodzącym, a potem zapalił wewnętrzne światło i przyjrzał się leżącej obok niego na siedzeniu mapie. Pół godziny później, przejechawszy siedemnaście kilometrów, mijali kamienicę Kanaracka w Montrouge. Pozostawił wóz w bocznej ulicy, przeszedł półtorej przecznicy i stanął w cieniu naprzeciw domu Kanaracka. Piętnaście minut później pojawił się Kanarack i wszedł do środka. Od początku do końca, od piekarni do domu, nie było żadnych oznak, by spodziewał się, że jest śledzony lub coś mu grozi. Nic nie wskazywało na to, by zachowywał się inaczej niż co dzień. Osborn uśmiechnął się. Wszystko toczyło się zgodnie z jego planem.



O siódmej czterdzieści podjechał peugeotem pod wejście do swego hotelu, oddał kluczyki portierowi i wszedł do środka. Przechodząc przez hol, skręcił do recepcji i zapytał, czy są dla niego wiadomości.

- Nie, monsieur. Przykro mi. - Drobną brunetką uśmiechnęła się do niego zza kontuaru.

Osborn podziękował jej i odwrócił się. Z jednej strony miał nadzieję, że Vera zadzwoni, z drugiej jednak był zadowolony, iż tego nie zrobiła. Nie chciał, by cokolwiek go rozpraszało. Teraz musiał działać. Zastanawiał się, czemu właściwie powiedział detektywowi Barrasowi, że wyjeżdża za pięć dni. Równie dobrze mógł powiedzieć, że za tydzień czy dziesięć dni, nawet za dwa tygodnie. Przez brak czasu niemal tracił nad tym kontrolę. Wydarzenia następowały zbyt szybko. Szyki mógł mu pokrzyżować błąd czy nieprzewidziany wypadek. A jeśli Kanarack w nocy zachoruje i postanowi nie iść do pracy? Co wtedy? Pójdzie do jego mieszkania, wdrze się do środka i dokona tego tam? A co z innymi ludźmi? Żoną Kanaracka, rodziną, sąsiadami? Nie brał takiej możliwości pod uwagę. Nie było swobody manewru. Żadnej. Zupełnie jakby trzymał w ręce dynamit z zapalonym lontem. Ale co innego mógł zrobić, niż tylko realizować plan, w nadziei że wszystko dobrze pójdzie?

Osborn zmusił się, by przestać o tym myśleć, zawrócił sprzed wind i skierował się do sklepu z upominkami w poszukiwaniu anglojęzycznej gazety. Wziąwszy egzemplarz ze stelaża, stanął w kolejce do kasy. Przez chwilę jeszcze nękała go myśl, co by się zdarzyło, gdyby Jean Packard nie odnalazł Kanaracka tak szybko. Co by wówczas zrobił, wyjechał z Francji, a potem powrócił? Ale kiedy? Skąd mógł wiedzieć, czy policja nie oznakowała jego paszportu kodem elektronicznym, by wszczęto alarm, gdyby wrócił przed upływem określonego czasu? Po jakim czasie mógłby bezpiecznie powrócić? A co by zrobił, gdyby prywatny detektyw nie umiał namierzyć Kanaracka? Ale na szczęście tak się nie stało. Jean Packard dobrze wykonał swoją robotę i teraz do niego należała reszta. Odpręż się, powiedział do siebie, spoglądając w roztargnieniu na gazetę.

To nie mieściło się w głowie. Nie był przygotowany na widok twarzy Jeana Packarda, patrzącego nań spod wydrukowanego grubą czcionką tytułu na pierwszej stronie:

#### **ODRAŻAJĄCE MORDERSTWO PRYWATNEGO DETEKTYWA.**

Niżej widniał podtytuł: „Były najemnik bezlitośnie torturowany przed śmiercią”.

Sklep z pamiątkami zaczął wirować. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Osborn musiał oprzeć się dłonią o kontuar ze słodyczami, by to powstrzymać. Serce waliło mu jak młot, słyszał własny ciężki oddech. Odzyskawszy równowagę, ponownie spojrzął na gazetę. Twarz nadal tam była, jak również tytuł i słowa pod nim.

Gdzieś z oddali dobiegł go głos kasjera, pytającego, czy dobrze się czuje. Niezdecydowanie kiwnął głową i sięgnął do kieszeni po drobne. Zapłaciwszy za gazetę, zdołał wyjść ze sklepu i przez hol podążył do wind. Pewien był, iż Henri Kanarack, odkrywszy, że jest śledzony przez Jeana Packarda, zabił go. Szybko przebiegł artykuł wzrokiem, poszukując nazwiska Kanaracka. Nie znalazł. Napisano tylko, że prywatny detektyw został zamordowany we własnym mieszkaniu ubiegłej nocy i że policja odmówiła komentarzy na temat zarówno podejrzanych, jak i motywu zbrodni.

Dotarłszy do wind, znalazł się w grupie oczekujących, których ledwie zauważał. Trzech z nich mogło być japońskimi turystami, jeden był pospolicie wyglądającym człowiekiem w zmiętym szarym garniturze. Osborn odwrócił od nich wzrok i próbował skupić myśli. Drzwi windy otworzyły się i wysiadło dwóch biznesmenów. Czekający weszli do środka, Osborn wraz z nimi. Jeden z Japończyków nacisnął guzik piątego piętra. Człowiek w szarym garniturze dziewiątego, Osborn siódmego.

Drzwi się zasunęły i winda ruszyła do góry.

Co teraz? Od razu przyszły Osbornowi na myśl akta Packarda. Zaprowadzą policję wprost do niego, a następnie do Henriego Kanaracka. Ale zaraz przypomniał sobie wyjaśnienia Jeana Packarda na temat trybu pracy Kolb International. Jak Kolb dumny jest ze swego sposobu ochrony klientów. Jak jego detektywi pracują, zachowując pełną poufność danych klientów. Jak wszystkie akta przekazywane są klientom po zakończeniu dochodzenia i nie robi się żadnych kopii. Że Kolb na dobrą sprawę tylko gwarantuje profesjonalizm pracowników oraz pośredniczy przy wystawianiu rachunków. Ale Packard nie oddał Osbornowi żadnych akt. Gdzie się więc znajdowały?

Nagle Osborn przypomniał sobie własne zdumienie, gdy stwierdził, że detektyw niczego nie zapisuje. Być może akta nie istniały. Być może w dzisiejszych czasach takie były zasady gry prywatnego detektywa. Nie ujawniać nikomu informacji. Nazwisko i adres Kanaracka Osborn otrzymał dopiero w ostatniej chwili, odręcznie napisane na papierowej serwetce.

Serwetce nadal spoczywającej w kieszeni marynarki Osborna. Niewykluczone, że to były wszystkie akta tej sprawy.

Winda zatrzymała się na piątym piętrze i Japończycy wysiedli. Drzwi znów się zamknęły, winda ruszyła w górę. Osborn zerknął na człowieka w szarym garniturze. Niejasno przypominał mu kogoś, ale nie potrafił określić kogo. Chwilę później dotarli do siódmego piętra. Drzwi się otworzyły, Osborn wysiadł. To samo uczynił mężczyzna w szarym garniturze. Osborn poszedł korytarzem w jedną stronę, tamten w przeciwną.

Kierując się do swego pokoju, Osborn oddychał trochę lżej. Ustąpił początkowy wstrząs, wywołany śmiercią Jeana Packarda. Teraz potrzebował czasu na zastanowienie. A jeśli Packard ujawnił jego nazwisko i miejsce, gdzie się zatrzymał? Kanarack zamordował detektywa; czemu nie miałby spróbować zamordować i jego?

Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś idzie za nim korytarzem. Obejrząwszy się przez ramię, dostrzegł mężczyznę w szarym garniturze. W tej samej chwili przypomniał sobie, że tamten nacisnął guzik dziewiątego piętra, nie siódmego. Tuż przed Osbornem jakiś człowiek otworzył drzwi i wystawił na zewnątrz tacę hotelową pełną brudnych talerzy. Podniósł głowę, spojrzał na Osborna, po czym zamknął drzwi i rozległ się trzask zakładanego łańcucha.

Teraz on i mężczyzna zostali sami w korytarzu. Osborn wyczuł niebezpieczeństwo. Zatrzymał się nagle i odwrócił.

- Czego pan chce? - zapytał.

- Kilku chwil pańskiego czasu. - Odpowiedź McVeya brzmiała spokojnie i nie słychać było w niej ukrytej groźby. - Nazywam się McVey. Jestem z Los Angeles, tak samo jak pan.

Osborn przyjrzał mu się dokładnie. McVey miał około sześćdziesięciu pięciu lat i zaskakująco łagodne spojrzenie zielonych oczu; jego brązowe włosy zaczynały siwieć i przerzedzać się na czubku głowy. Ubranie nosił konfekcyjne, prawdopodobnie z magazynów Broadway lub Silverwoods. Jasnoniebieską koszulę miał z błyszczącego poliestru, krawat nie pasował ani do niej, ani do ubrania. Wyglądał zupełnie jak czyjś dziadek albo tak, jak być może wyglądałby ojciec Osborna, gdyby dożył tych lat. Paul odprężył się nieco.

- Czy ja pana znam? - zapytał.

- Jestem policjantem - powiedział McVey i pokazał mu swą odznakę Departamentu Policji Los Angeles.

Osborn poczuł, że serce skacze mu do gardła. W ciągu krótkiego czasu po raz drugi pomyślał, że może zemdleć. Wreszcie usłyszał własny głos:

Nie rozumiem. Czy stało się coś złego?

W korytarzu pojawiła się para w średnim wieku w strojach wieczorowych. McVey zrobił im miejsce. Mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową. Policjant poczekał, aż odejdą, a potem znów zwrócił się do Osborna.

- Może porozmawialibyśmy w środku. - Kiwnął głową w stronę drzwi pokoju. - Albo jeśli pan woli, na dole w barze.

McVey starał się zachowywać spokojnie. Jeśli Osborn ma się tam lepiej czuć, bar będzie równie odpowiedni jak pokój. Doktor nie umknie, zresztą nie będzie wiedział jak. Ponadto McVey już dokładnie obejrzał pokój Osborna.

Osborn z trudem panował nad sobą. Ostatecznie nic nie zrobił, w każdym razie jeszcze nie. Nawet posłużenie się Verą, by zdobyć sukcynylocholinę, nie było tak naprawdę nielegalne. Lekkie nagięcie prawa, ale przecież nie przestępstwo. Prócz tego cóż mógł znaczyć tutaj policjant z Los Angeles? Po prostu zachowaj spokój - powiedział sobie. Bądź uprzejmy, zorientuj się, czego on chce. Być może czegoś zupełnie nieistotnego.

- Nie, tu będzie dobrze - odparł Osborn. Otworzył drzwi i weszli do środka. - Proszę usiąść. - Zamknął drzwi i położył klucze oraz gazetę na stojącym z boku stoliku. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, umyję ręce.

- Ależ proszę. - McVey usiadł na brzegu łóżka i rozejrzał się dokoła, Osborn zaś udał się do łazienki. Pokój wyglądał tak samo jak wcześniej tego wieczoru, gdy detektyw pokazał swą złotą odznakę sprzątacze i dał jej dwieście franków za wpuszczenie go do środka.

- Napije się pan? - spytał Osborn, wycierając ręce.

- Jeśli pan ma ochotę...

- Mam tylko szkocką.

- Świetnie.

Osborn wrócił z na wpół opróżnioną butelką Johnnie Walkera. Wziął dwie sterylne zapakowane szklaneczki z emaliowanej tacy stojącej na imitacji stylowego biureczka, zdarł plastikową folię i nalał whisky.

- Przepraszam, ale nie mam lodu - rzucił.

- Nic nie szkodzi.

McVey skierował wzrok na adidasy Osborna. Były oblepione zaschniętym błotem.

- Biegał pan trochę?

Nie rozumiem? - powiedział Osborn, wręczając mu szklaneczkę.

- Buty ma pan zabłocone.

- Ja... - Osborn zawahał się, a potem szybko pokrył zmieszanie uśmiechem - poszedłem na spacer. Wymieniają kwiaty przed wieżą Eiffla. Przy takim deszczu nie sposób tamtędy przejść i nie wdępnąć w błoto.

McVey łyknął ze swej szklaneczki. Osborn mógł przez moment zastanowić się, czy tamten nie domyślił się kłamstwa. Ogrody koło wieży Eiffla naprawdę były rozkopane, spacerował tam poprzedniego dnia. Niemniej lepiej szybko zmienić temat.

- A więc? - rzucił.

- A więc... - McVey się zawahał - byłem w holu, gdy wszedł pan do sklepu z upominkami. Widziałem, jak zareagował pan na wiadomość w gazecie. - Kiwnął głową w stronę dziennika, który Osborn odłożył na boczny stolik.

Osborn pociągnął szkockiej. Pijał rzadko, ale po owym wieczorze, kiedy zobaczył i zaczął tropić Kanaracka, a potem tłumaczył się paryskiej policji, zadzwonił do obsługi hotelowej i zamówił whisky. Teraz, czując, jak spływa mu w przełyku, był zadowolony, że to zrobił.

- Dlatego pan przyszedł... - Osborn spojrzał McVeyowi prosto w oczy. Czyli wiedzieli. Zachowuj się normalnie, żadnych emocji. Wysonduj, co jeszcze wiedzą.

- Jak pan się zapewne orientuje, pan Packard pracował dla pewnej firmy międzynarodowej. Znajdowałem się akurat w Paryżu, kiedy to się wydarzyło. Rozpracowywałem wraz z francuską policją pewną sprawę, zupełnie z tym niezwiązaną. Ponieważ był pan jednym z ostatnich klientów pana Packarda... - McVey uśmiechnął się i wypił kolejny łyk szkockiej. - Policja paryska poprosiła mnie, bym przyszedł i porozmawiał z panem na ten temat. Jak Amerykanin z Amerykaninem. Chodzi o pańskie zdanie na temat tego, kto to mógł zrobić. Zdaje pan sobie sprawę, że nie jest to oficjalne, po prostu pomagam.

- Rozumiem. Ale nie wydaje mi się, bym mógł panu pomóc.

- Czy Packard wyglądał, jakby był czymś zaniepokojony?

- Jeśli był, nie wspomniał o tym.

- Czy mogę spytać, czemu go pan wynajął?

- Nie wynająłem go. Zwróciłem się do Kolb International. A oni go przysłali.

- Nie o to pytałem.

- Przepraszam pana, ale to sprawa osobista.

- Doktorze Osborn, rozmawiamy o zamordowaniu człowieka. - McVey mówił takim tonem, jakby zwracał się do ławy przysięgłych.

Osborn odstawił szklaneczkę. Nic nie zrobił, a czuł, że go oskarżają. To mu się nie podobało.

- Niech pan posłucha, detektywie McVey. Jean Packard po prostu dla mnie pracował. Nie żyje i przykro mi z tego powodu, ale nie mam najmniejszego pojęcia, kto to zrobił i dlaczego. Trafił pan na nie tego człowieka co trzeba! - Wcisnął ze złością dłonie w kieszenie marynarki. Poczuł pod palcami torebkę zawierającą sukcynylocholiny oraz paczkę strzykawek, które dostał od Very. Miał zamiar wyjąć je wcześniej, gdy wrócił do hotelu, by się przebrać na wycieczkę nad rzekę, ale zapomniał. Z powodu tego odkrycia zmienił ton: - Niech pan posłucha... przepraszam, nie miałem zamiaru warczeć na pana w ten sposób. To chyba szok spowodowany wiadomością, że zamordowano go w taki sposób... Jestem nieco wytrącony z równowagi.

- Niech pan pozwoli, że zapytam tylko, czy pan Packard wykonał to, co pan mu zlecił?

Osborn się zawahał. Czego on szuka? Wiedzą o Kanaracku czy nie? Jeśli powie „tak”, co wtedy? A jeśli „nie”, sprawa pozostaje otwarta.

- Doktorze Osborn?

- Tak - wydusił z siebie wreszcie Osborn.

McVey spoglądał na niego przez chwilę, a potem dokończył whisky. Przez chwilę trzymał opróżnioną szklaneczkę w dłoni, jakby nie wiedział, co z nią zrobić. A potem znowu skierował wzrok na Osborna.

- Zna pan Petera Hossbacha?

- Nie.

- Johna Cordella?

- Nie. - Osborn zachodził w głowę, o czym też McVey mówi.

- Friedricha Rustowa? - McVey założył nogę na nogę. Białe, bezwłose łydki ukazały się między skrajem jego skarpetek i brzegiem kalesonów.

- Nie - powtórzył Osborn. - Czy są podejrzani?

- Zaginęli, doktorze Osborn.

- Nigdy o nich nie słyszałem - odparł Osborn.

- O żadnym?

- Tak.

Hossbach był Niemcem, Cordell Anglikiem, a Rustow Belgiem.

McVey zapisał gdzieś w swoim wewnętrznym komputerze, że Osborn nie zawahał się ani nawet nie zrobił pauzy na dźwięk nazwiska któregośkolwiek z nich. Czynniki rozpoznania zerowy. Oczywiście mógł być doskonałym aktorem i kłamać. Jak to zwykle lekarze, gdy uważają, że pacjent

dla swego dobra nie powinien o czymś wiedzieć.

-Cóż, świat jest wielki i wiele spraw w nim się krzyżuje - powiedział McVey. - Moim zadaniem jest znaleźć nitkę prowadzącą do kłębka, gdzie wszystko to się płacze, a potem spróbować to rozsuptać.

McVey pochylił się i postawił szklaneczkę na stoliku obok leżących tam dwóch kompletów kluczy: jedna para do pokoju hotelowego Osborna, druga do samochodu, z przywieszoną na łańcuszku figurką średniowiecznego lwa heraldycznego.

-Dziękuję za poświęcenie mi czasu, doktorze Osborn. Przepraszam, że pana niepokoiłem. - McVey wstał.

-Drobiazg - rzekł Osborn, z całej siły starając się nie okazać, że poczuł ulgę. Rutynowe postępowanie policji. McVey tylko pomagał francuskim glinom, nic więcej.

Detektyw stanął już przy drzwiach i położył rękę na klamce, gdy nagle się odwrócił.

-Był pan w Londynie trzeciego października, zgadza się? - zapytał.

-Co? - Pytanie zaskoczyło Osborna.

-To było... - McVey wyjął małą karteczkę z portfela i spojrzał na nią - w poniedziałek.

-Nie wiem, o co panu chodzi.

-Był pan w Londynie?

-Tak...

-Po co?

-Ja... jechałem do domu ze zjazdu lekarskiego w Genewie. - Osborn stwierdził, że nagle zaczął się zacinać. Skąd McVey to wiedział? I co to ma wspólnego z Jeanem Packardem czy tymi zaginionymi mężczyznami?

-Jak długo pan tam pozostawał?

Osborn się zawahał. Co jest grane? Czego on szuka?

-Nie rozumiem, co to ma wspólnego z całą resztą - odparł, starając się mówić normalnym tonem.

-Ja przecież tylko pytam, doktorze. Na tym polega mój zawód. Na zadawaniu pytań. - McVey nie zamierzał popuścić, zanim otrzyma odpowiedź.

-Półtora dnia, mniej więcej... - ustąpił wreszcie Osborn.

-Zatrzymał się pan w hotelu Connaught.

-Tak. - Osborn poczuł, że spod prawej pachy ścieka mu strużka potu. Nagle McVey przestał mu przypominać czyjegokolwiek dziadka.

-Co pan tam robił?

Osborn poczuł, że czerwienieje ze złości. Został zapędzony w kozi róg; właściwie nie wiedział dlaczego i zupełnie mu się to nie podobało. Być może wiedzą o Kanaracku. Pewnie to była pułapka wymyślona po to, by zaczął mówić. Nie miał zamiaru. Jeśli McVey wie o Kanaracku, niech sam o nim wspomni.

-Detektywie, to wyłącznie moja prywatna sprawa, co robiłem w Londynie. I przestańmy o tym mówić.

-Niech pan posłucha, Paul - zaczął spokojnie McVey - Nie próbuję wtykać nosa w pańskie prywatne sprawy. Zajmuję się kilkoma zaginionymi osobami. Nie jest pan jedynym człowiekiem, z którym rozmawiam. Chciałbym tylko, aby się pan wyliczył z czasu spędzonego w Londynie.

-Być może powinienem wezwać adwokata.

-Jeśli tak pan uważa, to oczywiście. Jest tu telefon...

Osborn odwrócił wzrok.

-Przyjechałem tam w sobotę po południu, a w sobotę wieczór byłem w teatrze - powiedział głucho. - Poczułem się chory. Wróciłem do hotelu i pozostałem w pokoju do poniedziałku rano.

-Przez całą sobotnią noc i całą niedzielę.

-Zgadza się.

-I nie opuszczał pan pokoju.

-Nie.

-Wzywał pan obsługę?

-Nigdy nie dopadła pana taka dwudziestoczworgodzinna infekcja? Bez przerwy dreszcze, gorączka, biegunka na zmianę z antiperistalsis... Po angielsku oznacza to wymioty. Kto by wtedy chciał jeść.

-Był pan sam?

-Tak - szybko i zdecydowanie odpowiedział Osborn.

-I nikt inny pana nie widział?

-Przypuszczam, że nie.

McVey odczekał chwilę, a później cicho zapytał:

-Doktorze Osborn, czemu pan mnie okłamuje?

Tego wieczoru był czwartek. Nim McVey wyjechał z Londynu do Paryża po południu w środę, poprosił komandora Noble'a o sprawdzenie, jak przebiegał pobyt Osborna w hotelu Connaught. Noble zatelefonował po siódmej rano w czwartek. Osborn zameldował się w Connaught po południu w sobotę, wymeldował w poniedziałek rano. Był sam, ale wkrótce potem dołączyła do niego kobieta.



- Wypraszam sobie! - zaprotestował Osborn, próbując gniewem pokryć konsternację.

- Nie był pan sam. - McVey nie dał mu możliwości powtórnego zaprzeczenia. - Młoda kobieta. Ciemnowłosa. Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Nazywa się Vera Monneray. Odbył pan z nią stosunek podczas przejażdżki taksówką zeszłej soboty, na trasie z Leicester Square do hotelu Connaught.

- Jezu Chryste. - Osborn był oszołomiony. Niezgåębione były metody działania policji ani to, co wiedziała. Wreszcie kiwnął głową.

- Dla niej przyjechał pan do Paryża?

- Tak.

- Myślę, że również była chora przez cały ten czas.

- Tak, była...

- Dawno ją pan zna?

- Spotkałem ją w Genewie pod koniec zeszłego tygodnia. Pojechała ze mną do Londynu. Potem wyjechała do Paryża. Jest tu na praktyce.

- Praktyce?

- Lekarka. Zrobi doktorat.

Lekarka? McVey wpatrzył się w Osborna. Zadziwiająco, co można odkryć, jeśli się po prostu podłubie. I to by było wszystko, jeśli chodzi o Lebruna i jego „nietykalność”.

- Czemu pan o niej nie wspomniał?

- Powiedziałem już, że to sprawa osobista...

- Doktorze, ona jest pańskim alibi. Może potwierdzić, jak pan spędził czas w Londynie.

- Nie chcę jej w to wciągać.

- Czemu?

Osborn poczuł, że znów krew go zalewa. McVey wtykał nos w jego sprawy osobiste, formułował jakieś oskarżenia, a tego Osborn szczerze nienawidził.

- Chwileczkę. Sam pan powiedział, że nie ma tu żadnej władzy. Naprawdę nie muszę z panem rozmawiać!

- To prawda. Ale myślę, że pan może - odrzekł łagodnie McVey. - Policja paryska ma pański paszport. Jeśli zechcą, mogą pana oskarżyć o pobicie i podkreślić okoliczności obciążające. Ja oddaję im przysługę. Jeśli dojdą do wniosku, że z jakiegoś powodu utrudnia mi pan życie, mogą zmienić swoją decyzję co do wypuszczenia pana. Szczególnie teraz, gdy pańskie nazwisko wypłynęło w związku z morderstwem.

- Powiedziałem, że nie mam z tym nic wspólnego!

- Może nie - zgodził się McVey. - Ale może pan długo posiedzieć we francuskim więzieniu, nim oni dojdą do takiego samego wniosku.

Osborn poczuł się tak, jakby został właśnie wyciągnięty z pralki automatycznej i zaraz mieli go wsadzić do suszarki. Mógł tylko skapitulować.

- Być może, gdyby mi pan powiedział, o co dokładnie panu chodzi, mógłbym jakoś pomóc.

- Podczas weekendu zamordowano w Londynie człowieka. Chciałbym, aby wyjaśnił pan, co i kiedy tam robił. A wydaje się, że panna Monneray jest jedyną osobą, która może to potwierdzić. Oczywiście, że nie chce pan wplątywać jej w tę sprawę... ale właśnie przez to ją pan wplątuje. Jeśli pan woli, policja paryska ją sprowadzi i pogadamy na komendzie.

Do tej chwili Osborn robił wszystko, by trzymać Verę od tego z dala. Ale jeśli McVey zrealizuje swą groźbę, dowiedzą się o tym media. A wtedy wszystko: jego powiązanie z Jeanem Packardem, jego i Very potajemny pobyt w Londynie, relacja samej Very i tych, którzy ich widzieli - wszystko to dostanie się na pierwsze strony gazet. Politycy mogą robić z gwiazdkami i dziwkami, co chcą, w najgorszym razie przegrają jakieś wybory czy nominację, dziewczyny zaś trafią na okładki plotkarskich magazynów we wszystkich supermarketach świata, najprawdopodobniej sfotografowane w bikini. Ale kobieta, która ma wkrótce zostać doktorem medycyny, to coś zupełnie innego. Społeczeństwo nic lubi, by lekarze mieli ludzkie słabostki, istnieje zatem spore ryzyko, że Vera nie tylko zostanie usunięta z praktyki, ale zwicnie sobie również karierę. Szantaż to czy nie, McVey jak dotąd wszystko zachował w tajemnicy i właśnie proponował, by tak pozostało.

- To jest... - zaczął Osborn i odchrząknął. - To jest... - Nagle zrozumiał, że McVey niechcący otworzył mu furtkę. Nie tylko w sprawie Jeana Packarda, umożliwił także odkrycie, co wie policja.

- To jest co?

- Powód, dla którego wynająłem prywatnego detektywa - rzekł Osborn. Było to rozmyślne kłamstwo, ale musiał zaryzykować. Policja zapewne zbadała każdy skrawek papieru, jaki Jean Packard trzymał w swoim mieszkaniu. Ale przecież Packard prawie niczego nie zapisywał. Musieli więc chwytać się wszystkiego, nie zważając na metody, jakie zastosują. Nawet gdyby mieli posunąć się do wysyłania amerykańskiego gliniarza, by mu pogroził.

Ona ma kochanka. Nie chciała, żebym o tym wiedział. I nie dowiedziałbym się, gdybym nie pojechał za nią do Paryża. Zapytałem ją, kto to taki, ale nie chciała powiedzieć. Wściekłem się i postanowiłem to wykryć.

Jeśli ktoś tak sprytny i twardy jak McVey kupi jego historyjką, będzie to oznaczało, że policja nic nie wie na temat Kanaracka. Tym samym nie ma powodu, by Osborn nie mógł realizować swego planu.

- I Packard to wykrył.

- Tak.

- Powie mi pan?

Osborn odczekał dokładnie tyle, ile było trzeba, aby McVey doszedł do wniosku, że mówienie na ten temat jest dla niego czymś bolesnym. A potem cicho powiedział:

- Ona sypia z francuskim premierem.

McVey obrzucił Osborna przelotnym spojrzeniem. Odpowiedź była prawidłowa, taka, jakiej oczekiwał. Jeśli Osborn jeszcze coś ukrywał, McVey nie potrafił tego rozgryźć.

- Kiedyś mi to przejdzie. Jestem pewien, że pewnego dnia będą się nawet z tego śmiać. Ale nie teraz. - Wyznanie Osborna było przekonujące, wręcz sentymentalne. - Czy to wystarczająco osobiste?

## 24

McVey opuścił hotel i przeszedł przez jezdnię do swego wozu. Jeśli chodzi o Osborna, instynkt podpowiadał mu dwie rzeczy: po pierwsze, nie miał nic wspólnego z londyńskim morderstwem; po drugie, że Vera Monneray naprawdę go obchodzi, bez względu na to, z kim sypia.

Zamknąwszy drzwiczki opla, McVey zapiął pas bezpieczeństwa i uruchomił silnik. Włączył wycieraczki, myśląc, że deszcz chyba nigdy nie ustanie, zakręcił i skierował się w stronę swego hotelu. Reakcja Osborna niczym nie różniła się od reakcji większości przesłuchiwanego przez policję ludzi, szczególnie jeśli byli niewinni. Krzywa ich emocji zwykle przebiegała od szoku przez lęk do oburzenia, a kończyła się albo złością - niekiedy grożono wytoczeniem procesu detektywowi lub nawet całej policji - albo też uprzejmą wymianą zdań, podczas której gliniarz wyjaśniał, że jego pytania są zupełnie nieosobiste, że ma robotę do wykonania, przeproszał za zakłócenie spokoju i wychodził. Co właśnie McVey zrobił.

Osborn nie był tym, kogo poszukiwał. Verę Monneray mógł sobie zapamiętać jako jedną z mniej podejrzanych osób: kogoś z wykształceniem medycznym i przypuszczalnie pewnym doświadczeniem w zakresie chirurgii. Oprócz tego była w Londynie, gdy dokonano ostatniego morderstwa. Ale ona i Osborn zapewnią sobie wzajemnie alibi. Owej nocy mogli chorować, jak twierdził Osborn, lecz mogli też spędzić czas na pieszcotach. Nawet jeśli wyszła stamtąd na godzinę czy dwie, nikt w hotelu jej nie widział, a Osborn, ponieważ myśli, że ją kocha, i tak ją osłoni. Ponadto McVey był pewien, że jeśli zacznie ją sprawdzać, niemal na pewno okaże się czysta, nie notowana przez policję. A jeśli będzie dalej naciskał, postawi to Lebruna w złym świetle i ściągnie kłopoty na całą paryską policję.

Deszcz zaczął padać rzęsiściej, a McVey martwił się, że wie tyle samo na temat popełnionych morderstw co trzy tygodnie temu, gdy zajął się sprawą. Ale tak właśnie bywa z zabójstwami; jeśli nie uzyskuje się szybko wyników, zwykle ciągnie się to w ten sposób. Niekończące się gromadzenie szczegółów, setki fałszywych tropów, którymi trzeba podążać, by następnie je porzucać i podejmować na nowo. Meldunki, papierkowa robota, niezliczone rozmowy, które naruszały sfery prywatnego życia obcych ludzi. Czasami miewało się szczęście, w większości wypadków nie. Ludzie złościli się na ciebie i nie mogłeś ich za to winić. Ileż razy pytano go, czemu to robi? Czemu poświęcił swe życie tego rodzaju paskudnej, irytującej i makabrycznej robocie? Zwykle tylko wzruszał ramionami i odpowiadał, iż pewnego dnia po obudzeniu stwierdził, że właśnie w taki sposób zarabia na życie. Lecz w głębi ducha znał powód, dla którego się tym zajmował. Nie wiedział, skąd to do niego przyszło ani w jaki sposób nim zawładnęło. Ale miał świadomość, czym było: poczuciem, że również i zamordowani mają jakieś prawa. A także ich przyjaciele oraz rodziny, które ich kochały. Nie można było pozwolić, aby komukolwiek morderstwo uchodziło bezkarnie. Szczególnie jeśli czuło się właśnie w taki sposób oraz miało doświadczenie i władzę, by czegoś dokonać.

Zakręciwszy szerokim łukiem w lewo, McVey wjechał na most przez Sekwanę, chociaż w ogóle nie miał takiego zamiaru. Pogubił się zupełnie i nie miał pojęcia, gdzie jest. Nieoczekiwanie znalazł się w strumieniu pojazdów mijających wieżę Eiffla. W tym momencie jeden z owych drobiazgów, które często nie dawały mu spokoju po zakończonej rozmowie czy przesłuchaniu, zaczął wbijać szpileczki w ów szczególnie zakątek jego świadomości. Taki sam drobiazg jak ten, który dzisiejszego popołudnia

skłonił go do zatelefonowania do apartamentu Very Monneray, by się przekonać, kto podniesie słuchawkę.

Zjechał na lewy pas, skręcił na pierwszym skrzyżowaniu, a potem zawrócił. Jechał teraz wzdłuż skraju parku, a między drzewami mógł dostrzec daleką, oświetloną żelazną konstrukcję, stanowiącą podstawę wieży Eiffla. Tuż przed nim włączył się do ruchu samochód. McVey powoli minął to miejsce, a potem cofnął się i zaparkował. Wysiadając, podniósł kołnierz marynarki dla ochrony przed deszczem i zatarł ręce, by je ogrzać. Chwilę później szedł ścieżką, biegnącą wzdłuż skraju parku Pól Marsowych. W dali majaczyła wieża.

Na terenie parku panowały ciemności, trudno było coś zobaczyć. Zwisające nad ścieżką korony drzew nieco chroniły przed słońcem, próbował więc iść pod nimi. W ostrym nocnym powietrzu widział skraplający się własny oddech. Zaczął chuchać na dłonie, lecz wreszcie włożył je do kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego.

Ostrożnie okrążywszy sterczącą przy chodniku konstrukcję, przeszedł jakieś pięćdziesiąt metrów w kierunku oświetlonego miejsca, z którego mógł wyraźnie widzieć wznoszącą się w nocne niebo wieżę. Nagle poślizgnął się i prawie upadł. Gdy odzyskał równowagę, zrobił jeszcze kilka kroków w stronę, gdzie latarnia uliczna oświetlała parkową ławkę. Z wieży padło światło na miejsce, w którym przed chwilą się znajdował. Większość tego terenu była świeżo skopana i rzeczywiście sadzono tam nowe rośliny. Wsparł się jedną ręką o ławkę, uniósł nogę i popatrzył na but. Był mokry i pokryty błotem. Drugi także. Zadowolony zawrócił do samochodu. Po to właśnie tu przyszedł. Prosta konsekwencja prostej odpowiedzi na proste pytanie.

Osborn mówił prawdę na temat błota.

## 25

Michele Kanarack jeszcze nigdy nie widziała, by jej mąż był tak zimny i daleki.

Siedział w bieliźnie - zniszczonym T-shircie i spodenkach - i wyglądał przez kuchenne okno. Było dziesięć po dziewiątej wieczór. Wrócił z pracy o siódmej, zdjął ubranie i natychmiast wpełchnął je do pralki. Zaraz potem sięgnął po wino, ale wypił ledwie pół szklanki. Poprosił o kolację, zjadł ją w milczeniu i od tej pory się nie odezwał.

Michele patrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Wyrzucili go

z pracy, tego była pewna. Jak i dlaczego, nie miała pojęcia. Gdy rozmawiali po raz ostatni, powiadomił ją, że jedzie do Rouen z panem Lebekiem, by obejrzeć miejsce do założenia nowej piekarni. A teraz, gdy upłynęło niewiele więcej niż dwadzieścia cztery godziny, siedział w bieliźnie i gapił się w noc.

To właśnie Michele odziedziczyła po swym ojcu: noc. Gdy się urodziła, miał czterdzieści jeden lat. Był mechanikiem samochodowym.

Podczas wojny jako działacz podziemia spędzał po pracy każdego wieczoru trzy godziny na dachu kamienicy, gdzie mieszkał, skrycie śledząc i notując ruchy niemieckich pojazdów wojskowych na ulicy w dole. Siedemnaście lat po wojnie przyprowadził czteroletnią wówczas Michele do tego domu i zaprowadził na dach, by jej pokazać, co robił podczas okupacji. Ruch uliczny jak za sprawą magii przemienił się w strumień niemieckich czołgów, samochodów pancernych i motocykli. Przechodnie w niemieckich żołnierzy uzbrojonych w karabiny i broń maszynową. Nie miało żadnego znaczenia, że Michele nie rozumiała, czemu służyło jego działanie. Istotne było, że zabrał ją do tego budynku i w ciemności zaprowadził na dach, by podzielić się z nią swą tajemną i niebezpieczną przeszłością. Wciągnął ją w coś bardzo osobistego i osobliwego więc gdy go wspominała, liczyło się tylko to.

Teraz, patrząc na męża, żałowała, że nie jest podobny do jej ojca. Jeśli nowiny były złe, to trudno. Kochali się wzajemnie, byli małżeństwem, oczekiwali dziecka. Ciemności panujące na zewnątrz sprawiały, że tym trudniej było jej zrozumieć jego nagłe oddalenie.

W drugim końcu kuchni pralka zakończyła cykl i zatrzymała się. Henri wstał natychmiast, otworzył drzwiczki i wyciągnął swoje ubranie robocze. Popatrzawszy na nie, zaklął głośno, a potem przeszedł przez kuchnię i ze złością szarpnął drzwi szafki. Chwilę później wcisnął ciągle jeszcze mokre ubranie do plastikowego worka na śmiecie i zalepił go taśmą.

- Co robisz? - zapytała Michele.

Nagłym ruchem podniósł głowę.

- Chcę, żebyś wyjechała - oznajmił. - Do swojej siostry w Marsylii. Wróciła do panieńskiego nazwiska i rozpowiadała wszystkim, że cię porzuciłem, że jestem wszawym typem, a ty nie masz pojęcia, dokąd pojechałem.

- Co ty mówisz? - spytała w osłupieniu Michele.

- Rób, co ci powiedziałem. Chcę, żebyś wyjechała zaraz. Dziś wieczorem.

Henri, proszę cię, powiedz mi, co się stało złego.

W odpowiedzi Kanarack cisnął worek na śmieci i poszedł do sypialni.

- Henri, proszą... mogłabym pomóc... - Nagle zrozumiała, że on mówił poważnie. Śmiertelnie przerażona poszła za nim do sypialni i stojąc w drzwiach, zobaczyła, że Kanarack wyciąga spod łóżka dwie zniszczone walizy. Popchnął je w jej stronę.

- Weź je - zaproponował. - Dużo do nich zmieścisz.

- Nie! Jestem twoją żoną. O co ci, cholera, chodzi? Jak możesz mówić takie rzeczy i niczego nie wyjaśnić?

Kanarack długo na nią patrzył. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział jak. I nagle z zewnątrz dobiegł dźwięk klaksonu, a potem drugi. Michele zmrużyła oczy. Przepchnąwszy się koło niego, podeszła do okna. W dole na ulicy zobaczyła białego citroena Agnes Demblon z włączonym silnikiem i smugą spalin, unoszącą się w górę w nocnym powietrzu.

Henri spojrzał na nią.

- Kocham cię - powiedział. - Ale teraz jedź do Marsylii. Wyślę ci tam pieniądze.

Michele odskoczyła od niego.

- W ogóle nie byłeś w Rouen. Byłeś z nią!

Kanarack milczał.

- Wynos się stąd do diabła, skurwysynu. Idź do tej swojej przeklętej Agnes Demblon.

- To ty musisz pójść - odrzekł.

- Dlaczego? Bo ona się wprowadza?

- Jeśli to właśnie chciałaś usłyszeć, to tak. Zgoda, tak, ona się wprowadza.

- A niech cię piekło pochłonie, ty sukinsynu, i to na zawsze!

## 26

- Rozumiem - powiedział spokojnie i bez emocji Francois Christian. W dłoni trzymał kieliszek koniaku; zakręciwszy nim lekko, spojrzał w ogień.

Vera milczała. Porzucenie go było wystarczająco trudne, wiele mu zawdzięczała i nie chciała go obrazić, po prostu wstając i wychodząc, jakby była dziwką. Bo nią nie była.

Dochodziła dziesiąta. Właśnie skończyli kolację i siedzieli w obszernym salonie wspaniałego apartamentu przy ulicy Paula Valery'ego, między aleją Focha i Wiktora Hugo. Wiedziała, że Francois ma również dom na

wsi, w którym mieszka jego żona z trojgiem dzieci. Podejrzewała też, że może mieć więcej niż jeden apartament w mieście, lecz nigdy o to nie pytała. Nie pytała także, czy jest jego jedyną kochanką, choć sądziła, że nie.

Wypiwszy łyk kawy, podniosła głowę i spojrzała na niego. Włosy miał nadal ciemne, starannie przystrzyżone, z odrobiną siwizny na skroniach. W ciemnym garniturze w prążki, ze sztywnymi białymi mankietami wystającymi dokładnie tyle, ile trzeba, z mankietów dwurzędowej marynarki, wyglądał na arystokratę, którym zresztą był. Ślubna obrączka na jego lewej dłoni połyskiwała w blasku bijącym z kominka, gdy z roztargnieniem popijał koniak, patrząc w płomienie. Ileż razy te dłonie ją pieściły? Dotykały jej w charakterystyczny dla niego sposób?

Ojciec Very, Alexandre Baptiste Monneray, był wyższym zawodowym oficerem marynarki wojennej. We wczesnych latach jej życia wraz z matką i młodszym bratem podróżowali po świecie, a marszrutę wyznaczały służbowe przydziały ojca. Gdy miała szesnaście lat, ojciec przeszedł w stan spoczynku i został niezależnym konsultantem do spraw obrony narodowej. Wtedy wreszcie osiedli na stałe w obszernym domu na południu Francji.

Francois Christian, podówczas podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony, stał się wraz z innymi częstym gościem w ich domu. I tam właśnie zaczął się ich związek. Bo to Francois wiódł z nią długie rozmowy o sztuce, życiu i miłości. A także, pewnego bardzo osobliwego wieczoru, o kierunku jej studiów. Gdy powiedziała mu, że wybrała medycynę, był zdumiony.

Ależ to prawda, dowodziła. Nie tylko zamierzała zostać lekarką, była zdecydowana nią zostać. Jeśli nie z jakiegoś innego powodu, to dla wyzywającej obietnicy, którą rzuciła, mając sześć lat, gdy siedzieli przy niedzielnej kolacji, a rodzice dyskutowali o zawodach odpowiednich dla kobiet. Nieoczekiwanie oświadczyła, że zostanie lekarką. Ojciec spytał, czy mówi poważnie, a ona odrzekła, że tak. Pamiętała nawet lekki uśmieszek, z jakim zwrócił się do matki, akceptując wybór córki. Uśmieszek, który uznała za wyzwanie. Żadne z rodziców nie wierzyło, że Vera naprawdę chce i może tego dokonać. Wobec tego postanowiła, że dowiedzie im, iż się mylą. A w owej decydującej chwili coś się zdarzyło: ogarnęło ją białe światło i już takie błyszczące pozostało. A choć wiedziała, że nie może go ujrzeć nikt poza nią, rozgrzało ją, podniosło na duchu, tak że poczuła w sobie ogromną siłę; czegoś takiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Uznała to za potwierdzenie, że złożona ojcu obietnica się urzeczywistni, a jej los został przypieczętowany.



Tego samego popołudnia, gdy rozmawiała o wyborze studiów z Francois Christianem, znów zobaczyła znajome białe światło, więc powiedziała mu o tym. Uśmiechając się tak, jakby wszystko rozumiał, wziął jej dłoń w swoją i zdecydowanie zachęcił, by podążyła za swym marzeniem.

Jako dwudziestolatka ukończyła Uniwersytet Paryski i została natychmiast przyjęta do Akademii Medycznej w Montpellier. Ojciec zmiękł i udzielił jej swego całkowitego błogosławieństwa. Rok później, po świętach Bożego Narodzenia spędzonych z babką w Calais, zatrzymała się w Paryżu, by spotkać się z przyjaciółmi. Bez żadnego widocznego powodu nagle przyszło jej na myśl, by odwiedzić Francois Christiana, z którym nie widziała się od ponad trzech lat.

Traktowała to jako żart i uważała, że chce mu tylko powiedzieć „cześć”. Ale Francois był obecnie liderem Francuskiej Partii Demokratycznej i wielką figurą w polityce. Nie wiedząc, jak się przedrzeć przez zastępy podwładnych, poszła do jego biura i poprosiła, by ją przyjął. Ku jej zdumieniu wprowadzono ją do niego niemal natychmiast.

W chwili gdy wchodziła do pokoju, a on podniósł się na jej powitanie zza biurka, poczuła, że dzieje się coś niezwykłego. Kazał podać herbatę; usiedli przy oknie wychodzącym na ogród otaczający jego biuro. Gdy ją spotkał, miała szesnaście lat; teraz prawie dwadzieścia dwa. W ciągu niecałych sześciu lat zuchwała nastolatka stała się uderzająco piękną, wybitnie inteligentną i niezwykle podniecającą młodą kobietą. Gdyby sama w to nie wierzyła, jego zachowanie w pełni to potwierdzało; nie potrafiła oderwać od niego wzroku ani on od niej. Tego samego wieczoru przywiózł ją tutaj, do tego apartamentu. Zjedli razem kolację, a potem rozebrał ją na kanapie przy kominku, tej samej, na której teraz siedział. Seks z nim był najnaturalniejszą rzeczą w świecie. I uprawiali go przez następne cztery lata, nawet gdy został premierem. A teraz w jej życiu pojawił się Paul Osborn i odniosła wrażenie, że w kilka chwil wszystko się zmieniło.

- Dobrze - powiedział cicho, odwracając się ku niej. Popatrzył jej w oczy wzrokiem pełnym najgłębszej miłości i szacunku. - Rozumiem.

Z tymi słowami odstawił kieliszek i wstał. Spojrzał na nią raz jeszcze, jakby chciał utrwalić jej obraz w pamięci. Przez długą chwilę po prostu stał, aż wreszcie odwrócił się i wyszedł.

Osborn, siedząc na brzegu łóżka, wysłuchiwał skarg Jake'a Bergera na jego zażławione oczy, zakatarzony nos oraz trzydziestodwustopniowy upał, w którym Los Angeles gotowało się jak w kotle, w dodatku ogłoszono alarm pierwszego stopnia z powodu smogu. Berger paplał do telefonu, jadąc z Beverly Hills do swojego luksusowego biura w Century City. Fakt, że Osborn był w Paryżu, oddalony tysiące kilometrów, i najwyraźniej miał własne problemy, nie robił na nim żadnego wrażenia. Mówił tonem rozpieszczonego dziecka, zupełnie jakby nie był jednym z najlepszych adwokatów do spraw karnych w Los Angeles.

- Jake, posłuchaj mnie, proszę... - Paulowi wreszcie udało się wtrącić, a potem opowiedzieć, co się właśnie wydarzyło.

- Jesteś pewien, że to McVey? - spytał Berger.

- Znasz go?

- McVeya? Paul, jego zna każdy adwokat, który choć raz bronił podejrzanego o morderstwo w tym mieście! Twardy i dokładny, nieustępliwy jak pitbull. Gdy już raz się do czegoś weźmie, nie popuści, aż skończy. To, że się znalazł w Paryżu, nie jest dla mnie żadną niespodzianką. Od lat wydziały zabójstw na całym świecie zabiegają o jego pomoc. Tylko dlaczego interesuje się tobą?

- Nie wiem. Po prostu pojawił się i zaczął zadawać pytania.

- Paul. - Głos Bergera brzmiał niemal oficjalnie. - McVey, Interpol. On nie przesłuchiwałby cię ot tak sobie. Potrzebuję szczerzej odpowiedzi. Co się dzieje?

- Nie wiem - odparł Osborn bez chwili wahania.

Berger milczał przez chwilę, a potem przestrzegł go, by nie rozmawiał o sprawie z nikim innym, a gdyby McVey znów się u mego pojawił, Osborn ma zadzwonić do Los Angeles. Berger postara się zaraz dotrzeć do kogoś w Paryżu i wydostać paszport Osborna, tak aby ten mógł wynieść się stamtąd w diabły.

Nie - przerwał ostro Osborn. - Nic nie rób. Chciałem się tylko dowiedzieć czegoś o McVeyu, to wszystko. Dziękuję, że poświęciłeś mi czas.

Sukcynylocholina. Osborn dokładnie obejrzał buteleczkę pod lampą w łazience, a potem wrzucił ją do przyborów do golenia wraz z zapieczętowanym pakietem strzykawek, zamknął przybornik i schował go pod koszulami frakowymi w walizce, której dotąd jeszcze nie rozpakował.

Umył zęby, przełknął dwie tabletki nasenne, zamknął pokój na cztery spusty, a potem podszedł do łóżka i odsunął kołdrę. Siadając, zdał sobie sprawę, jak jest zmęczony. Z napięcia bolał go każdy mięsień.

Nie uległa wątpliwości, że McVey wytrącił go z równowagi, a telefon do Bergera był krzykiem o pomoc. Ale gdy już jednym tchem zrelacjonował mu wszystko, nagle zrozumiał, że zwrócił się do niewłaściwej osoby o niewłaściwym zawodzie, do kogoś o najwyższych kwalifikacjach do udzielania porad prawnych, ale nie duchowych. Prawda była taka, że błagał Bergera o wyciągnięcie go z Paryża i zdjęcie z haka, dokładnie tak, jak wcześniej próbował prosić Jeana Packarda o zabicie Kanaracka. Powinien raczej zadzwonić do swego psychologa w Santa Monica, tylko że wtedy musiałby wyznać, że ma zamiar kogoś zamordować. Prawo zobowiązywało psychologa do powiadomienia policji. Właściwie jedyną osobą, z którą mógł porozmawiać, była Vera. Ale przecież nie mógł jej tym obciążać.

W rzeczywistości nie robiło różnicy, komu się zwierzy, ostateczna decyzja i tak należała do niego. Albo dać spokój Kanarackowi, albo go zabić. McVey przyparł go do muru. Zręczny i doświadczony detektyw ani razu nie wspomniał o Kanaracku, ale skąd Osborn mógł mieć pewność, że o nim nie wiedział? Skąd mógł wiedzieć, że jeśli zacznie realizować swój plan, nie będzie obserwowany przez policję?

Zgasił lampę i ułożył się na łóżku w ciemności. Na dworze deszcz bębnił cicho w jego okno. Lampy z leżącej w dole alei Klebera oświetlały spływające po szybie kropelki i rzucały ich powiększony obraz na sufit nad jego głową. Zamknął oczy i pozwolił swym myślom podążyć ku Verze i temu, jak kochali się owego popołudnia. Widział ją nagą, siedzącą na nim, z głową odrzuconą do tyłu i plecami tak wygiętymi, że długie włosy muskały kostki jego nóg. Ruszała biodrami powoli i zmysłowo. Wyglądała jak rzeźba. Wcielenie wszystkiego, co kobiece. Dziewczyna, kobieta, matka. Twarda i elastyczna zarazem, nieskończenie silna i tak krucha, jakby miała zaraz zniknąć.

Prawda była taka, że kochał ją i zależało mu na niej w sposób, jakiego nigdy dotychczas nie doświadczył. Doszły do głosu jego najskrytsze pragnienia, głód uczuć, przeżywał zdumienie tym, jak naprawdę może wyglądać zachłanna miłość dwojga ludzi. I wiedział ponad wszelką wątpliwość,

że gdyby oboje mieli umrzeć w tym momencie, odrodziliby się w niezmiernym przestworzu, przybierając jakąkolwiek formę czy kształt, i pozostałoby na zawsze spleceni w uścisku.

Czy ta wizja była romantyczna, dziecinna czy transcendentna, nie robiło żadnej różnicy, ponieważ Paul Osborn w nią wierzył. I wiedział, że Vera na swój sposób odczuwa to samo. Udowodniła to dzisiaj. A to wyjaśniało resztę: jeśli on i Vera mieli być z sobą nadal, nie mógł pozwolić swemu wewnętrznemu demonowi, by zniszczył przywiązanie, ledwie tylko on zacząłby je odczuwać. Tym razem zniszczony musi zostać demon. Nieubłagane i na zawsze. Bez względu na to, jak to będzie trudne, niebezpieczne czy ryzykowne.

Gdy tabletki wreszcie zaczęły działać i powoli ogarniał go sen, demon zmaterializował się przed nim. Był groźny, przygarbiony i nosił przykurzoną marynarkę. Choć było ciemno, Osborn ujrzał, jak demon podnosi głowę. Oczy miał głęboko osadzone i wlepione w Paula, uszy odstające pod ostrym kątem. Głowę trzymał odwróconą, Paul nie mógł więc widzieć wyraźnie jego twarzy, ale instynktownie wiedział, że demon ma kwadratową szczękę i bliźnię biegnącą przez kość policzkową aż do górnej wargi.

I nie było wątpliwości. Najmniejszej.

Ujrzał Henriego Kanaracka.

## 28

Klik.

McVey bez patrzenia wiedział, że jest siedemnaście po trzeciej rano, bo gdy ostatnim razem spojrzął na zegar, była trzecia jedenaście. Zegary cyfrowe miały jakoby działać bezgłośnie. Ale jeśli się ich słuchało, pstryknięcia dochodziły. A McVey, rozmyślając, słuchał i liczył trzaski.

Po wizycie u Osborna i wieczornym wypadzie w deszczu pod wieżę Eiffla wrócił do hotelu za dziesięć jedenasta. Małeńka restauracja hotelowa była zamknięta, a i do pokoju nie mógł nic zamówić, ponieważ tego tu nie praktykowano. Właśnie tego rodzaju wyjazdy z pokryciem wszelkich wydatków fundował Interpol. Hotel, w którym ledwie dało się mieszkać, z wyblakłymi wykładzinami dywanowymi i zapadniętym łóżkiem, serwujący posiłki wyłącznie pomiędzy szóstą i dziewiątą rano oraz szóstą i dziewiątą wieczór.

Do wyboru pozostało mu albo wyjście na deszcz w poszukiwaniu jakiejś czynnej restauracji, albo skorzystanie z „grzecznościowego baru” - maleńkiej, słabo chłodzącej szafki, wcisniętej pomiędzy coś, co służyło jako szafa na ubrania, i łazienkę, która miała tę właściwość, że każde użycie natrysku powodowało kompletne zalanie podłogi.

McVey nie wybierał się z powrotem na deszcz, musiał więc skorzystać z „grzecznościowego baru” albo obejść się smakiem. Otworzywszy barek malutkim kluczem przyczepionym do klucza do pokoju, znalazł wewnątrz trochę sera, krakersy i trójkątną szwajcarską czekoladę. Pogrzebał głębiej i odkrył też pół butelki wina sancerre, które okazało się całkiem przyzwoite. Później, gdy otworzył szufladę biurka, by sprawdzić cennik „grzecznościowego baru”, dowiedział się, czemu sancerre było tak dobre. Pół butelki kosztowało sto pięćdziesiąt franków, mniej więcej trzydzieści dolarów. Dla konesera psie pieniądze, dla gliniarza - fortuna.

O jedenastej trzydzieści przestał się wściekać, zdjął ubranie i właśnie miał wejść pod prysznic, gdy zadzwonił telefon. Komandor Noble ze Scotland Yardu dzwonił ze swego domu w Chelsea.

- Nie rozłączaj się, McVey, dobrze? - powiedział Noble. - Mam na drugiej linii Michaela, patologa z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, i muszę wykombinować, jak by tu zorganizować połączenie konferencyjne.

Owinąwszy się ręcznikiem, McVey usiadł na plastikowym blacie biurka naprzeciw swego łóżka.

- McVey? Jesteś tam?

- Tak.

- Doktor Michaels?

McVey usłyszał głos młodego lekarza policyjnego.

- Jestem.

- No to w porządku. Doktorze Michaels, proszę powtórzyć naszemu przyjacielowi McVeyowi to, co powiedział mi pan przed chwilą.

- To dotyczy odciętej głowy.

- Zidentyfikowaliście, do kogo należała? - ożywił się McVey

- Jeszcze nie. Może to, co doktor Michaels ma do powiedzenia, pomoże wyjaśnić, czemu identyfikacja jest tak kłopotliwa - odrzekł Noble. - Doktorze Michaels, proszę kontynuować.

- Tak, oczywiście. - Lekarz odchrząknął. - Jak pan pamięta, detektywie McVey, gdy znaleziono odciętą głowę, było w niej bardzo mało krwi, co utrudniało ocenę okresu krzepnięcia i ustalenie czasu zgonu. Niemniej

sądziłem, że mając nieco więcej danych, podam wam rozsądny przedział czasowy, w którym ten gość został zamordowany. No cóż, okazało się, że nic z tego.

-Nie rozumiem - odezwał się McVey.

-Zmierzyłem temperaturę głowy i pobrałem nieco próbek tkanek, które wysłałem do laboratorium analitycznego.

-I...? - McVey ziewnął. Robiło się późno i bardziej zaczął interesować go sen niż morderstwo.

-Głowa została zamrożona. Zamrożona, a potem odmrożona, zanim pozostawiono ją w zaułku.

-Jest pan pewien?

-Tak.

-Nie powiem, że nie widywałem czegoś takiego wcześniej – rzekł McVey. - Ale zwykle można to stwierdzić natychmiast, ponieważ wewnętrzne tkanki mózgu wymagają długiego czasu, by odtajać. Wewnętrzna część głowy jest chłodniejsza niż warstwy otaczające.

-Ale nie w tym wypadku. Była całkowicie odtajała.

-Proszę kontynuować - ponaglił Noble.

-Nie dawał mi spokoju fakt, że pod naciskiem palców ruszała się skóra na twarzy, co by było normalne, gdyby głowa nie została zamrożona.

-Co pan chce przez to powiedzieć?

-Posłałem całą głowę do doktora Stephena Richmana, specjalisty mikropatologii w Królewskim Kolegium Patologii. Gdy tylko się na to natknął, natychmiast do mnie zadzwonił.

-A na co się natknął? - McVey tracił cierpliwość.

-Nasz przyjaciel miał w czaszce metalową płytkę. Niewątpliwie rezultat jakiegoś zabiegu chirurgicznego mózgu, wykonanego lata temu. Tkanka mózgowa nie ujawniłaby niczego, ale metal owszem. Głowę zamrożono do temperatury bliskiej zera bezwzględnemu.

-O tej porze w nocy robię się nieco tępy, doktorze. To, co pan mówi, jest dla mnie za trudne.

-Z punktu widzenia nauki o niskich temperaturach zera bezwzględnego nie można osiągnąć. Krótko mówiąc, jest to temperatura hipotetyczna. Nawet zbliżenie się do niej wymaga skrajnie skomplikowanych technik laboratoryjnych, posługiwania się albo płynnym helem, albo chłodzeniem magnetycznym.

-Jak zimne jest to zero bezwzględne? - McVey nigdy nic słyszał o czymś takim.

W kategoriach technicznych?

-W jakichkolwiek kategoriach.

- Minus dwieście siedemdziesiąt trzy przecinek piętnaście stopni Celsjusza, czyli minus czterysta pięćdziesiąt dziewięć przecinek sześćdziesiąt siedem stopni Fahrenheita.

- Jezu Chryste, to prawie pięćset stopni poniżej zera!

- No tak, prawie.

- Zakładając, że się osiągnęło zero bezwzględne, czego się można spodziewać?

- Właśnie się z tym zaznajomiłem, McVey - wtrącił Noble. - Oznacza to stan, w którym niemal wszystkie mchy cząsteczek ustają.

- Każdy jej atom byłby absolutnie nieruchomy - uzupełnił Michaels.

Klik.

Tym razem McVey popatrzył na zegar. 3.18, piątek, 7 października.

Ani komandor Noble, ani doktor Michaels nie mieli pojęcia, po co ktoś miałby zamrażać głowę do tego stopnia, a potem ją wyrzucać. Także McVey nie wiedział. Istniała możliwość, że pochodzi ona z jednego z tych przedsięwzięć kriogenicznych, które przyjmują ciała świeżo zmarłych i poddają je głębokiemu zamrożeniu, w nadziei że w przyszłości, gdy stworzone zostanie lekarstwo przeciw chorobie, która zabiła nieboszczyka, ciała będzie można odmrozić, popracować nad nimi, a potem przywrócić do życia. Dla wszystkich naukowców na świecie była to iluzja, ale ludzie kupowali takie usługi, i to w legalnie działających przedsiębiorstwach.

W Wielkiej Brytanii istniały takie dwa. Jedno w Londynie, drugie w Edynburgu i Scotland Yard miał się nimi zająć natychmiast tego ranka. Być może ich nieznanomy nic został zamordowany, tylko głowa została oddzielona od jego ciała po śmierci i legalnie przechowywana. Być może zapłacił oszczędnościami całego życia za zlecenie głębokiego zamrożenia własnej głowy. Ludzie wyczyniali bardziej zwariowane rzeczy.

McVey zakończył rozmowę, informując, że jutro wraca do Londynu, i prosząc, by siedmiu zdekapitowanym ciałom zrobiono prześwietlenie rentgenowskie i sprawdzono, czy w którymkolwiek nie ma sztucznego stawu biodrowego, śruby łączącej połamane kości - jednym słowem jakiegoś metalu. Doktor Richards mógłby wówczas określić, czy i one zostały poddane głębokiemu zamrożeniu.

Niewykluczone, że to przełom w ich poszukiwaniach; ten dziwny,

nieprzewidywalny „czynnik przypadkowy”, zwykle znajdujący się tuż pod nosem prowadzącego dochodzenie, ale na pierwszy, drugi, trzeci, a nawet dziesiąty rzut oka pozostający niezauważony. Czynnikiem, który niemal zawsze powodował, że wszystko przyjmowało nowy obrót w trudnych sprawach o morderstwo, oczywiście jeśli prowadzący śledztwo gliniarz był dość wytrwały, by całość przemyśleć od początku jeszcze ten jeden, ostatni raz.

Klik.

3.19

McVey wstał z krzesła, odsunął koce i zwałił się na łóżko. Już był kolejny dzień. Ledwie pamiętał czwartek. Nie płacono mu należycie za pracę o tej porze. Ale nigdy żadnemu glinie nic płacono należycie.

Być może znaleźli trop, który ich gdzieś zaprowadzi; zapewne jednak nigdzie, podobnie jak sprawa z Osbornem. Miły facet, zmartwiony i zakochany. Co za zbieg okoliczności: wyjechać w podróż służbową i zakochać się w dziewczynie premiera.

McVey już miał zgasić światło, gdy zauważył schnące pod stołem swoje zabłocone buty. Wstał, wzdychając, podniósł je i ostrożnie podążył do łazienki.

Klik.

3.24

McVey wsunął się w pościel, przewrócił na bok i zgasił światło, a potem oparł się o poduszkę.

Gdyby Judy jeszcze żyła, pojechałaby z nim w tę podróż. Jeśli nie liczyć wycieczek na wędkowanie nad Wielkie Jezioro Niedźwiedzie, jedynym miejscem, do którego razem podróżowali, były Hawaje. Dwa tygodnie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku. Na wakacje w Europie nigdy nie było ich stać. Cóż, tym razem mogliby sobie pozwolić. Nie byłaby to podróż pierwszą klasą, ale kto by tam zwracał na to uwagę, Interpol by zapłacił.

Klik.

3.26

- Błoto! - nagle powiedział na głos McVey i usiadł.

Zapalił światło, odrzucił pościel i poszedł do łazienki. Podniósł jeden but



i obejrzał go. Potem drugi. Oblepiające je błoto było szare, prawie czarne. Błoto na adidasach Osborna było czerwone.

## 29

Gdy pociąg wyjeżdżał z Gare de Lyon, kierując się do Marsylii, Michele Kanarack podniosła głowę, by popatrzeć na zegar w górze. Była szósta pięćdziesiąt cztery rano. Nie miała bagażu, tylko damską torebkę. Kwadrans po tym, jak ujrzała z okna ich mieszkania czekającego na ulicy Citroëna Agnes Demblon, wsiadła do taksówki. Na dworcu kupiła bilet drugiej klasy do Marsylii, a potem znalazła miejsce na ławce i usiadła. Miała czekać prawie dziewięć godzin, ale to jej nie obchodziło.

Od Henriego nie chciała nic, nawet ich dziecka, poczętego w miłości osiem tygodni wcześniej. Wydarzenia działały się w oszałamiającym tempie. Tym bardziej że nic ich nie zapowiadało.

Pociąg zaczął nabierać szybkości i Paryż stał się rozmazaną plamą. Przed dwudziestu czterema godzinami jej świat był ciepły i pełen życia. Każdego dnia ciąży przepelniała ją coraz większą radością. I nagle, jakby za machnięciem ręki, wszystko znikło. Wszystko. Była zdradzana i okłamywana. Co więcej, głupia. Powinna zdawać sobie sprawę z władzy, jaką ta suka Agnes miała nad jej mężem. Być może wiedziała, lecz nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Mogła mieć pretensję tylko do siebie. Któżż żona pozwoliłaby, aby jej męża dzień po dniu niezamężna kobieta zawoziła do pracy i odwoziła z powrotem, bez względu na to, jak mało tamta była pociągająca? Ale ileż razy Henri ją zapewniał: „Najdroższa, Agnes to tylko dawna znajoma, stara panna. Jak mógłbym się nią interesować?”.

„Najdroższa”. Na wspomnienie sposobu, w jaki to mówił, zbierało jej się na wymioty. W tej chwili właściwie mogłaby zabić ich oboje bez chwili zastanowienia.

Za oknem miasto zastąpiły pola. Z rykiem przemknął obok pociąg zdążający do Paryża. Michele Kanarack nigdy już nie pojedzie do Paryża. Koniec z Henrim i wszystkim, co go dotyczy. Skończone. Jej siostra będzie musiała to zrozumieć i niech nie próbuje jej namawiać do powrotu.

Co on powiedział? „Wróć do panieńskiego nazwiska”.

Tak właśnie zrobi. Natychmiast, gdy tylko znajdzie pracę i będzie

mogła sobie pozwolić na adwokata. Oparłszy się plecami o siedzenie zamknęła oczy i zaczęła się wsłuchiwać w stukot kół pociągu, który przyśpieszał, kierując się na południe Francji. Dziś jest piąty października. Dokładnie za miesiąc i dwa dni przypada ósma rocznica jej ślubu z Henrim.

W Paryżu Henri Kanarack, skurczony w pozycji płodowej, spał w miękkim fotelu w salonie Agnes Demblon. O czwartej czterdzieści pięć odwiózł Agnes do pracy, a potem citroenem wrócił do jej mieszkania. Jego własne przy alei Verdier sto siedemdziesiąt pięć było puste. Ktokolwiek tam przyjdzie, nie zastanie nikogo ani nie znajdzie żadnych śladów, które zdradzą, dokąd udali się domownicy. Zielona plastikowa torba na śmieci, zawierająca jego ubranie robocze, bieliznę, buty i skarpetki, została ciśnięta do kotła centralnego ogrzewania w piwnicy i w ciągu kilku sekund zniknęła. Wszystko, co miał na sobie, gdy mordował Jeana Packarda, teraz już pofrunęło w nocnym powietrzu i leżało rozrzucone w mikroskopijnych drobinkach po całym obszarze Montrouge.

Piętnaście kilometrów od niego, na drugim brzegu Sekwany, Agnes Demblon siedziała przy biurku na drugim piętrze piekarni, wypisując rachunki do inkasa, zawsze wysyłane piątego każdego miesiąca. Zawiadomiła Lebeca i pozostałych, że Henri Kanarack został wezwany poza miasto w sprawach rodzinnych i prawdopodobnie nie zgłosi się do pracy co najmniej przez tydzień. O szóstej trzydzieści umieściła odręczne notatki nad telefonem w maleńkiej centralce oraz przy kontuarze od frontu, polecające natychmiast kierować do niej wszelkie zapytania o pana Kanaracka.

Niemal w tej samej chwili McVey ostrożnie szedł przez park Pola Marsowego przed wieżą Eiffla. W świetle dżdżystego poranka widać było ten sam prostokątny ogród, który opuścił zeszłej nocy. Widział rozkopane ścieżki - najwyraźniej zamierzano inaczej rozplanować ogród, i inne, jeszcze nie skopane, przecinające się w odstępach mniej więcej pięćdziesięciometrowych. Przeszedłszy wzdłuż całego parku po jednej jego stronie, przeciął go i wynurzył się po przeciwnej, uważnie przyglądając się po drodze ziemi. Wszędzie była szaroczarna, znów oblepiła mu buty.

Zatrzymał się i odwrócił, by sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył, zobaczył, że zbliża się ku niemu parkowy dozorca. Dozorca nie mówił po angielsku, a francuszczyzna McVeya była horrendalna. Niemniej spróbował.

- Czerwona gleba. Rozumie pan? Czerwona gleba. Jest tu taka? - spytał McVey, pokazując palcem na ziemię.

- Czerweba? - odparł człowiek.

- Nie. Czerwona. Kolor czerwony. Czer-wo-ny - przesyłabizował.

- Czer-wo-ny - powtórzył strażnik, a potem popatrzył na detektywa jak na wariata.

Zbyt wczesny był rano na to wszystko. Skontaktuje się z Lebrunem i przywiezie go tu, by zadawał pytania.

- Pardon - powiedział z najlepszym akcentem, na jaki mógł się zdobyć, i już miał odejść, gdy ujrzał czerwoną chustkę, wystającą z tylnej kieszeni rozmówcy. Wskazując ją, rzekł: - Czerwony.

Strażnik wyszarpnął ją z kieszeni i podał McVeyowi.

- Nie. Nie. - McVey zrobił gest przeczenia. - Kolor.

- Ach! - Mężczyzna poweselał. - La couleur!

- La couleur! - powtórzył triumfalnie McVey.

- Rouge - oznajmił strażnik.

- Rouge - powtórzył McVey, próbując wymówić francuskie „r” jak prawdziwy paryżanin. A potem pochylił się i zagarnął dłonią garść szarego błota. - Rouge? - zapytał.

- La terrain?

McVey kiwnął głową.

- Rouge terrain? - Wskazał szerokim gestem otaczające ich ogrody.

Mężczyzna wpatrzył się w niego.

- Rouge terrain? - spytał, a potem powtórzył gest McVeya.

- Oui! - rozpromienił się McVey.

- Non - odparł zapytany.

- Non?

- Non!

Po powrocie do hotelu McVey zatelefonował do Lebruna, by powieścić mu, że szykuje się do podróży powrotnej do Londynu, a ponadto nęka go niepokojąca myśl, iż Osborn nie jest tak czysty, jak początkowo myślał. Warto go chyba mieć na oku aż do jutra, kiedy to ma odebrać paszport i odlecieć do Los Angeles.

- Aha - dodał - on ma kluczyki do peugeota.

Trzydzieści minut później, pięć po ósmej, nieoznakowany wóz policyjny zaparkował naprzeciw hotelu Osborna w alei Klebera. Detektyw po

cywilnemu rozpiął pas bezpieczeństwa i wyprostował się, przygotowując na oczekiwanie. „Omyłkowy” telefon potwierdził obecność Osborna w pokoju. Sprawdzenie agencji wynajmu samochodów dostarczyło danych o roku produkcji, kolorze i numerze rejestracyjnym wynajętego przez Osborna peugeota.

Dziesięć po ósmej inny nieoznakowany wóz policyjny odebrał McVeya z hotelu, by dzięki uprzejmości inspektora Lebruna i Pierwszej Paryskiej Prefektury Policji odwieźć detektywa na lotnisko.

Kwadrans później nadal znajdowali się w mieście. McVey zdążył już na tyle zapoznać się z Paryżem, by wiedzieć, że kierowca nie wjechał na drogę szybkiego ruchu prowadzącą do lotniska. I miał rację. Pięć minut później wjechali do garażu komendy policji.

O ósmej czterdzieści pięć, nadal mając na sobie ten sam pomieyty, szary garnitur, który stał się jego znakiem firmowym, McVey siedział naprzeciw Lebruna przy biurku i studiował fotografię odcisku palca. Zdjęcie ukazywało cały palec. Był to wyraźny, uporządkowany obraz, sporządzony z plamy na rozbitym kawałku szkła, znalezionym przez techników w wydziału zabójstw w mieszkaniu Jeana Packarda.

- Znasz doktora Hugo Klasa? - spytał Lebrun, zapalając papierosa i spoglądając na pusty ekran swego komputera.

- Niemiecki ekspert od odcisków palców - powiedział McVey, odkładając zdjęcie do skoroszytu i zamykając go. - Bo co?

- Chciałeś spytać o dokładność wyczyszczenia odbitki, zgadza się?

McVey kiwnął głową.

- Klass obecnie pracuje w centrali Interpolu. Wraz z artystą od komputerów pracował nad pierwotną plamą tak długo, aż uzyskali czytelny obraz daktyloskopijny. Następnie Rudolf Haider w Interpolu wiedeńskim wykonał test sprawdzający za pomocą nowego typu kryminalistycznego komparatora optycznego, który skonstruował wraz z Klassem. „Inteligentna” bomba nie trafiłaby dokładniej.

Lebrun znowu popatrzył na ekran swego komputera. Oczekiwał odpowiedzi na wniosek o identyfikację skierowany do Centralnego Archiwum Informacji Kryminalnych w siedzibie Interpolu w Lyonie. Jego pierwsze zapytanie dotyczyło Europy i ekran wyświetlił „nie figuruje w aktach”. Następne „nie figuruje w aktach” dotyczyło Ameryki Północnej. Po raz trzeci zadysponował „automatyczne wyszukanie informacji” i skierował polecenie do komputera przeglądającego „dane wcześniejsze”.

McVey schylił się i wziął kubek czarnej kawy. Bez względu na to, jak usilnie próbował być współczesnym policjantem i korzystać z wszelkich

nowinek technicznych, nie potrafił wyrugować z umysłu nawyków starej szkoły. Z jego punktu widzenia należało posuwać się na piechotę, aż się dotarło do swojego człowieka i zebrało dowody na to, co zrobił. Wtedy brało się do niego mano y mano, aż pękł. Niemniej wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał skapitulować i odrobinę ułatwić sobie życie. Wstał z miejsca, obszedł biurko, stanął za Lebrunem i spojrzął na ekran. W tym momencie nadeszły „wcześniejsze dane” z akt Interpolu w Waszyngtonie. Siedem sekund później na ekranie zaczęły przesuwać się informacje. Nazwisko MERRIMAN, ALBERT JOHN, poszukiwany za morderstwo, usiłowanie morderstwa, napad z bronią w rękę, wymuszenie... Floryda, New Jersey, Rhode Island, Massachusetts.

- Miły facet - orzekł McVey.

Ekran na chwilę opustoszał, a potem pojawiła się jedna linijka: Zmarły, Nowy Jork, 22 grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego.

- Zmarły? - powiedział Lebrun.

- Twój cwany komputer znalazł nam nieboszczyka, który morduje ludzi w Paryżu. Jak to wytłumaczysz prasie? - zapytał z kamienną twarzą McVey.

Lebrun uznał to za afront.

- Oczywiście Merriman sfingował swoją śmierć i pojawił się z nową tożsamością.

- Albo tak, albo Klass i Haider nie są aż tacy rewelacyjni. - McVey uśmiechnął się.

- Nie lubisz Europejczyków, McVey? - spytał poważnie Lebrun.

- Tylko gdy mówią w języku, którego nie rozumiem. - McVey zrobił kilka kroków, popatrzył na sufit, a potem wrócił na poprzednie miejsce. - Przypuścimy, że ty, Klass i Haider macie rację i że to Merriman. Czemu wylazłby po tylu latach z ukrycia i wykończył prywatnego detektywa?

- Bo coś go zmusiło. Zapewne coś, nad czym pracował Jean Packard.

Na ekranie Lebruna pojawiła się komenda:

RYSOPIS - ZDJĘCIE POLICYJNE - ODCISKI PALCÓW - T/N?

Lebrun przycisnął na klawiaturze „T”.

Ekran opustoszał, a potem pojawiła się na nim następna komenda: TYLKO FAKS - T/N?

Lebrun znów nacisnął „T”. Dwie minuty później zdjęcie, rysopis i odciski palców Alberta Merrimana wysunęły się z drukarki.

Zdjęcie przedstawiało o trzydzieści lat młodszego Henriego Kanaracka.

Lebrun przyjrzał mu się uważnie, a potem wręczył McVeyowi.

- Nie znam - oświadczył McVey.

Strzepnąwszy z rękawa popiół z papierosa, Lebrun podniósł słuchawkę telefonu i powiedział komuś na drugim końcu przewodu, by wrócił do mieszkania Jeana Packarda oraz jego biura w Kolb International i przeszedł je dokładniej, niż to zrobiono za pierwszym razem.

- Proponowałbym także, aby wasz policyjny plastik zobaczył, czy może wykonać szkic portretu Alberta Merrimana z uwzględnieniem progresji wiekowej. - McVey podniósł zniszczoną skórzaną torbę, służącą mu równocześnie jako walizka i podręczny zestaw laboratoryjny, podziękował Lebrunowi za kawę i dodał: - Wiesz, gdzie mnie szukać w Londynie, jeśli twój chłopczek Osborn zrobi cokolwiek, czego nie powinien, przed odlotem do Los Angeles. - Z tymi słowami ruszył w stronę drzwi.

- McVey - powiedział Lebrun, gdy detektyw do nich dotarł. - Albert Merriman zmarł w... Nowym Jorku.

McVey zatrzymał się i odwrócił powoli, ale akurat na czas, by ujrzeć, jak na twarz Lebruna wypęta uśmiech.

- W imię braterstwa broni, McVey. Zatelefonujesz, s'il vous plait?

- W imię braterstwa broni?

- Oui.

## 30

Niedaleko budynku przy ulicy Cite, gdzie przy telefonie Lebruna siedział McVey, próbując połączyć się z Departamentem Policji Nowego Jorku, Vera Monneray szła przez most Tournelle, w roztertargnieniu spoglądając na ruch na Sekwanie.

Dobrze zrobiła, że zakończyła swój związek z Francois Christianem. Zerwanie sprawiło mu ból, choć starała się dokonać tego łagodnie i z dużym szacunkiem. Powtarzała sobie, że nie rzuciła jednego z najbardziej cenionych członków rządu francuskiego dla jakiegoś chirurga ortopedy z Los Angeles. Tak naprawdę ani ona, ani Francois nie mogliby kontynuować tego tak jak dotychczas, gdyż każde z nich się rozwijało. A przecież życie bez rozwoju oznacza wędnięcie i wreszcie umieranie.

To, co uczyniła, było tylko aktem samoobrony. Gdyby nie ona, to w przyszłości zrobiłby to Francois, gdy wreszcie pogodzi się z faktem, że jego prawdziwą miłością są żona i dzieci.

Dotarłszy do szczytu długich schodów, odwróciła się i spojrzała na Paryż. Było tak, jakby zobaczyła zakręt Sekwany i wielkie łuki Notre Dame po raz pierwszy. Drzewa, dachy domów i ruch na bulwarze były dla niej czymś tak nowym jak romantyczne szczyboty przechodniów. Francois Christian to wspaniały mężczyzna; wdzięczna była losowi, że przez pewien czas stanowił część jej życia. Ale teraz była równie wdzięczna, że to się skończyło. Być może dlatego, że po raz pierwszy, odkąd mogła sięgnąć pamięcią, poczuła się całkowicie wolna i nieskrępowana.

Skrećwiwszy w lewo, podążyła przez most do swego apartamentu. Z rozmysłem starała się nie myśleć o Paulu Osbornie, ale i tak nieustannie wracała do niego myślami. Chciała wierzyć, że to on pomógł jej się uwolnić. Obdarzając ją względami i adorując, sprawił, iż znowu uwierzyła, że jest inteligentną i atrakcyjną kobietą, w pełni zdolną do samodzielnego życia. I to właśnie dało jej odwagę do zerwania z Francois.

Ale to była tylko część całej sprawy i gdyby tego nie przyznała, okłamywałyby samą siebie. Doktor Paul Osborn cierpiał, a ją to niepokoiło. Niepokój i troska mogły być wynikiem instynktownej postawy kobiecej; tak właśnie reagowały kobiety, gdy wyczuwały ból u kogoś bliskiego. Ale nie było to aż tak proste i ona o tym wiedziała. To, czego chciała, sprowadzało się do jednego: chciała go kochać, aż on przestanie cierpieć, a potem kochać go jeszcze bardziej.

- Bonjour, mademoiselle - powiedział wesoło puciołowaty, umundurowany portier, otwierając zewnętrzną kratę z kutego żelaza.

- Bonjour, Philippe. - Uśmiechnęła się i przeszła koło niego do holu, a potem szybko wspięła się po schodach z polerowanego marmuru do swego apartamentu na pierwszym piętrze.

Weszła do środka, zamknęła drzwi i korytarzem przeszła do eleganckiego pokoju stołowego. Zobaczyła wazon z dwoma tuzinami czerwonych róż na długich łądzykach. Nie musiała otwierać załączonej kopertki z wizytówką, by wiedzieć, kto je przysłał, niemniej to zrobiła.

„Do widzenia. Francois”.

Jego charakter pisma. Francois powiedział, że rozumie, i to była prawda. Bilecik i kwiaty mówiły, że na zawsze pozostaną przyjaciółmi. Vera przez chwilę trzymała w ręce wizytówkę, a potem wsunęła ją na powrót do koperty i przeszła do salonu. W kącie stał krótki fortepian. Po

przeciwnej stronie dwie duże kanapy, pod kątem prostym do siebie, pomiędzy nimi długi stół do kawy z hebanu z kryształowym blatem. Po prawej ręce miała wejście do korytarza, dwóch sypialni oraz gabinetu. Z lewej do jadalni. Za nią znajdował się schowek na zastawę stołową, a jeszcze dalej kuchnia.

Za oknem nisko zwisające chmury rzucały cień na miasto. Zaciągnięte niebo, półcień - wszystko na dworze wyglądało smutnie. Po raz pierwszy poczuła, że jej apartament jest ogromny i nieprzytulny, brak mu ciepła i wygody. Nadawał się dla kogoś o wiele starszego i poważniejszego niż ona.

Ogarnęło ją poczucie samotności tak ponure jak niebo przygniatające Paryż i zapragnęła, by Paul znalazł się tutaj. Chciała, by jej dotykał i by ona go dotykała, tak jak robili to wczoraj. Chciała być z nim w sypialni i pod prysznicem, i gdziekolwiek jeszcze zechce ją brać. Chciała czuć go w sobie i chciała, by ją kochał znów i znów, aż do bólu.

Pragnęła tego zarówno dla niego, jak dla siebie. Ważne było, aby zrozumiał, że ona wie o mrocznej stronie jego wnętrza. I nawet jeśli nie rozumie tego dokładnie, a on nie może tego teraz wyjaśnić, to i tak powinien jej zaufać. Bo gdy nadejdzie odpowiednia chwila, Paul wyzna jej wszystko i razem sobie z tym poradzą. A najważniejsze, aby wiedział, że ona jest tu dla niego, zawsze i na tak długo, jak będzie tego potrzebował.

## 31

W małym kinie przy bulwarze Italiens grano w oryginalnej angielskiej wersji językowej *West Side Story* z Natalie Wood w roli głównej. Film trwał dwie i pół godziny, a Paul Osborn chciał pójść na drugi seans, rozpoczynający się o czwartej po południu. Gdy studiował w college'u, uczęszczał na dwa kolejne kursy historii filmu i napisał długi referat o adaptacji musicali scenicznych. *West Side Story* była koronnym argumentem na poparcie jego tez i nadal świetnie ją pamiętał.

Kino przy bulwarze Italiens leżało w połowie drogi pomiędzy jego hotelem i piekarnią, w której pracował Kanarack. Pięć minut spacerkiem dzieliło kino od każdej z trzech stacji metra.

Zakreśliwszy piórem nazwę kina, Osborn złożył gazetę i wstał od małego stolika. Przechodząc przez restaurację hotelową, by zapłacić za śniadanie, wyjrzał na dwór. Nadal padało.



Wszedł do holu i rozejrzał się. Za kontuarem siedziało trzech pracowników hotelu, na zewnątrz zaś dwie osoby chroniły się pod daszkiem nad wejściem, oczekując na wezwane przez portiera taksówki. Poza tym nie było nikogo więcej.

Podszedł do windy, nacisnął guzik i drzwi natychmiast się otworzyły. Wsiadł i pojechał samotnie. Po drodze drobiazgowo analizował spotkanie z McVeyem. Pewien był, że to Kanarack zabił Jeana Packarda. Problem w tym, czy wiedziała to policja. A ściśle mówiąc, czy wiedziała, że Paul wynajął prywatnego detektywa właśnie po to, by odnaleźć Kanaracka.

Biorąc pod uwagę najgorszy z możliwych scenariuszy - że policja nie wie nic o Kanaracku, ale podejrzewa, iż Osborn zna więcej szczegółów związanych ze śmiercią prywatnego detektywa, niż przyznał - McVey lub ktoś inny będzie pilnował hotelu i podąży za nim w tej samej chwili, gdy Paul stąd wyjdzie. Niepokoilo go to i musiał coś wymyślić, by rozwiązać problem.

Winda się zatrzymała i Osborn wyszedł na korytarz. Kilka chwil później wszedł do swego pokoju i zamknął drzwi. Była jedenasta dwadzieścia pięć rano. Za cztery godziny wyjdzie do kina.

Cisnąwszy gazetę na łóżko, przeszedł do łazienki, umył zęby, a potem wziął prysznic. Goląc się, doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem rozwiązania problemu będzie zagranie roli, której policja po nim oczekuje: posmutniałego kochanka, spędzającego ostatni dzień w Paryżu w samotności. Im wcześniej zacznie, tym lepsze ma szanse urwania się każdemu, kto będzie go obserwował. A czy jest właściwsze miejsce do rozpoczęcia samotnej wędrowki niż Luwr z jego tłumami turystów i licznymi wyjściami?

Osborn naciągnął płaszcz przeciwdeszczowy, zgasił światło i skierował się ku drzwiom. Doszedł do wniosku, że spacer daje mu więcej możliwości wyboru, zostawił więc wynajętego peugeota w garażu hotelowym i poprosił odźwiernego o przywołanie taksówki. Pięć minut później jechał przez Pola Elizejskie w stronę Luwru. Zdawało mu się, że widział ciemny samochód ruszający za nimi, w chwili gdy taksówka skręcała z podjazdu hotelowego, ale nie miał pewności.

Podjechali pod frontowe wejście do Luwru, Osborn zapłacił kierowcy i wysiadł wprost w lekką mgiełkę. Gdy taksówka odjeżdżała, w pierwszym odruchu chciał się rozejrzeć za ciemnym samochodem. Ale jeśli policja go śledziła, wolał nie zdradzać, że o tym wie. Włożywszy w roztargnieniu ręce

do kieszeni, zaczekał, aż strumień samochodów się przerzedzi, przeszedł ulicę Rivoli i wszedł do muzeum.

W środku poświęcił dwadzieścia minut na studiowanie dzieł Giotta, Rafaela, Tycjana i Fra Angelica, po czym opuścił galerię w poszukiwaniu męskiej toalety. Pięć minut później dołączył do grupy amerykańskich turystów, szykujących się, by wsiąść do autokaru jadącego do Wersalu, i wraz z nią wyszedł głównym wejściem. Na chodniku opuścił ich, przeszedł pół przecznicy i zszedł do metra.

Po godzinie czekał w hotelu na wyprowadzenie peugeota z garażu. Jeśli policjanci go śledzili, to pewnie wyobrażali sobie, że nadal jest w muzeum. Mimo to, odjeżdżając, spoglądał w lusterko wsteczne. By się upewnić, skrzył w boczną ulicę i dwie przecznice dalej w inną. Chyba nikt go nie śledził.

Dwadzieścia minut później zaparkował peugeota w bocznej uliczce o półtorej przecznicy od kina, zamknął wóz i odszedł. Wrócił metrem do hotelu i odczekał, aż pracownik, który przyprowadził wóz z garażu, opuści główne wejście, by pójść po inny samochód. Wówczas wślizgnął się do środka i poszedł na górę do swego pokoju.

Wchodząc, popatrzył na zegar stojący na nocnym stoliku. Było dokładnie piętnaście po pierwszej. Zdjąwszy płaszcz, spojrzął na telefon. Już wcześniej, rano, wziął słuchawkę do ręki i zaczął wykręcać numer piekarni, by się upewnić, że wszystko przebiega po jego myśli i Kanarack jest w pracy. Ale wtedy przyszło mu do głowy, że jeśli coś się zdarzy i sprawy potoczą się nie tak, jak powinny, policja bez trudu ustali, że rozmowa odbyła się z jego pokoju. Natychmiast odłożył słuchawkę. Teraz patrząc na telefon, poczuł taką samą natarczywą potrzebę dowiedzenia się, jak sprawy stoją, ale jej nie uległ.

Lepiej zaufać przeznaczeniu, które doprowadziło go tak daleko, 1 Przyjąć, że Kanarack spędzi piątek tak jak czwartek i zapewne wszystkie inne dni robocze ubiegłych lat: cicho wykonując swą robotę i starając się nie rzucać w oczy.

Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy, brązowe spodnie z diagonalu oraz ciemną wełnianą kamizelkę, które miał na sobie w Luwrze, i przebrał się w byle jakie spłowiałe dzinsy, stary sweter i flanelową Koszulę w szkocką kratę. Kiedy on starannie zawiązywał sznurowadła adidasów, wpychał do bocznej kieszeni kurtki kupioną rano w sklepie z materiałami z demobilu ciemnoniebieską czapkę marynarską i napełniał strzykawki sukcylinylocholiny... kiedy zegar, tykając, popędzał go, by wyszedł we właściwym momencie do kina przy bulwarze Italiens - Henri Kanarack zaparkował białego citroena Agnes Demblon nie dalej niż pół przecznicy od jego hotelu.

Starannie uczesany i dokładnie ogolony Henri Kanarack miał na sobie jasnoniebieski kombinezon montera urządzeń klimatyzacyjnych. Bez przeszkód wszedł wejściem dla służby i pojechał windą towarową na poziom maszynowni. Jean Packard podał mu nazwisko Paula Osborna i nazwą hotelu, ale nie znał numeru pokoju, inaczej z pewnością by go zdradził. Hotele nie informują o numerach pokoi swych gości, szczególnie pięciogwiazdkowe przy alei Klebera o zamożnej, międzynarodowej klienteli, starannie chronionej przed obcymi, którzy by nagabywali gości, chcąc załatwić własne sprawy.

Zabrawszy skrzynkę narzędziową z maszynowni, Kanarack poszedł służbowym korytarzem i schodami przeciwpożarowymi zszedł do niewielkiego holu, wyłożonego ciemnym drewnem, udekorowanego mosiężnymi ozdobami i na ogół antycznymi meblami. Po prawej stronie znajdowały się windy, po lewej wejście do baru, a naprzeciw niego mały sklep z upominkami i restauracja. Vis-a-vis Kanaracka była recepcja, a za jej kontuarem stał pracownik w ciemnym garniturze, rozmawiający z niezwykle wysokim Afrykaninem. Aby uzyskać numer pokoju Osborna, Kanarack musiał przedostać się za kontuar. Zdecydowanym krokiem przeszedł przez hol, a gdy recepcjonista podniósł głowę, natychmiast przejął inicjatywę.

-Naprawa klimatyzacji. Jakież problemy z zasilaniem elektrycznym. Próbuje umieścić uszkodzenie - mówił nonszalancko.

-Nic mi o tym nie wiadomo. - Recepcjonista się obruszył. Ta sama co zawsze wyniosła, pełna poczucia wyższości postawa, którą tak u paryżan znienawidził od pierwszego dnia swego pobytu w tym mieście, szczególnie gdy objawiali ją pracownicy najemni, zarabiający tylko odrobinę więcej od niego i z trudem dociągający do pierwszego.

-Jak pan chce, żebym sobie poszedł... - powiedział Kanarack z wymownym wzruszeniem ramion. - Nie mój problem. Zamiast się spierać, recepcjonista chłodno odparł:

-Proszę robić, co ma pan do zrobienia - i wrócił do rozmowy z Afrykaninem.

-Merci - rzucił Kanarack i przeszedł za kontuar na miejsce obok recepcjonisty, skąd mógł przyjrzeć się szeregowi wyłączników elektrycznych, umieszczonych tuż nad księgą hotelowych gości. Pochyliwszy się, by zerknąć na nazwiska, poczuł nacisk czterdziestkiątki, którą wsunął za pasek spodni obszernego kombinezonu. Krótki tłumik, nasadzony na wylot lufy, wbił się w górną część jego uda. Załadował pełny magazynek, drugi wsadził do kieszeni.

-Pardon - powiedział, biorąc do ręki księgę gości i odkładając ją na bok. W tej samej chwili zadzwonił telefon na kontuarze i recepcjonista podniósł słuchawkę. Kanarack szybko przejrzał wpisy. Pokój siedemset czternaście. Odłożył księgę na miejsce, wziął pudło z narzędziami i wyszedł zza kontuaru.

-Merci - powtórzył.

Zmęczony i zdeglustowany McVey gapił się na mgłę za oknem. Lotnisko Charles'a de Gaulle'a zawiesiło działalność, wszystkie loty odwołano. Nie miał pojęcia, czy na zewnątrz robiło się ciemniej, czy jaśniej. Jeśli loty zostaną odwołane do końca dnia, weźmie jakiś pokój w pobliskim hotelu i pójdzie spać. Jeśli istnieje możliwość, że odleci - zaczeka.

Nim wyszedł z gabinetu Lebruna, zadzwonił do Benny'ego Grossmana z nowojorskiej komendy policji na Manhattanie. Benny miał tylko trzydzieści pięć lat, ale był najlepszym detektywem od zabójstw, z jakim McVey kiedykolwiek pracował. Dwukrotnie prowadzili wspólnie sprawy. Raz, gdy Benny przybył do Los Angeles, by odnaleźć zbiegłego mordercę z Nowego Jorku; drugi, gdy policja nowojorska poprosiła McVeya o pomoc. Okazało się, że i McVey nic nie może, ale grzebał w tym wspólnie z Bennym i obaj pozwolili sobie na kilka drinków i trochę się przy tym posmiali. McVey gościł nawet w domu Benny'ego w Queens na sederze.

Benny właśnie wszedł, gdy McVey zadzwonił; natychmiast chwycił za telefon.

- Aj, McVey! - rzucił Benny, jak zawsze zresztą, gdy McVey telefonował, by potem, po wymianie grzeczności, przejść do rzeczy ze słowami: - A więc, bubele, czym mogę ci służyć?

McVey nie miał pojęcia, czy Benny na jego cześć próbuje odgrywać staroświeckiego hollywoodzkiego agenta, czy też mówił to każdemu, gdy przechodziło się do interesów.

Benny, kochasiu - dowcipkował McVey, uznawszy, że jeśli Benny gra sfrustrowanego agenta, podejmie grę. A potem wyjaśnił, że nie znajduje się

ani na Manhattanie, ani w Los Angeles, lecz siedzi w Paryskiej Prefekturze Policji.

- Paryż, tak jak Francja czy tak jak Teksas? - spytał Benny\*.

\* w Stanach Zjednoczonych znajduje się pięć średniej wielkości miast o nazwie „Paris”, jedno z nich w północno-wschodnim Teksasie

- Francja - odrzekł McVey i odsunął słuchawkę od ucha, gdy rozległo się przeciągłe gwizdnięcie Benny'ego. Poprosił go, by odkrył wszystko, co może, na temat niejakiego Alberta Merrimana, który jakoby zginął w czasie strzelaniny między gangami w Nowym Jorku w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Benny miał w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku jedenaście lat i nigdy nie słyszał o Albercie Merrimanie. Ale dowie się i oddzwoni.

- To ja do ciebie zadzwonię - powiedział McVey, ponieważ nie miał pojęcia, dokąd się uda, w czasie gdy Benny będzie poszukiwał informacji.

Zadzwonił po czterech godzinach. Od ich poprzedniej rozmowy Benny był w archiwum akt i informacji Departamentu Policji Nowego Jorku i wrócił stamtąd z całkiem niezłym zestawem informacji na temat Alberta Merrimana. Merriman został zdemobilizowany z armii amerykańskiej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku i niemal natychmiast potem związał się ze swym starym przyjacielem, kryminalistą Williem Leonardem, który właśnie odsiedział karę za napad na bank i opuścił więzienie w Atlancie. Merriman i Leonard poszli na całego i w rezultacie byli poszukiwani listami gończymi za napady na banki, morderstwo, usiłowanie morderstwa oraz wymuszanie w półtuzinie stanów. Krążyły też pogłoski, że dokonali kilku zabójstw na zlecenie rodzin mafijnych w New Jersey i Nowej Anglii.

Dwudziestego drugiego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku w spalonym do cna samochodzie w Bronksie znaleziono zwęglone nie do poznania zwłoki zastrzelonego mężczyzny, następnie zidentyfikowanego jako Albert Merriman.

- Wygląda na robotę mafijną - oświadczył Benny.

- Co się stało z Williem Leonardem? - zapytał McVey.

- Wciąż poszukiwany - odparł Benny Grossman.

- Na jakiej podstawie zidentyfikowano ciało Merrimana?

- Tego nie ma w papierach. Być może nie wiesz tego, bubule, ale nie przechowujemy kompletnych akt na temat nieboszczyków. Nie mamy na to dość miejsca w archiwum.

- Wiadomo może, kto się zgłosił po zwłoki?

-To mam. Chwileczkę. - McVey usłyszał szelest papieru. - Jest. Wygląda, że Merriman nie miał rodziny. Po zwłoki zgłosiła się kobieta, odnotowana w aktach jako koleżanka ze studiów. Agnes Demblon.

-Jakiś adres?

-Brak.

McVey zapisał imię i nazwisko Agnes Demblon na odwrocie koperty swego biletu lotniczego i włożył ją do kieszeni marynarki.

-Jakaś wskazówka, gdzie pochowany jest Merriman?

-Brak.

-No to założę się z tobą o dziesięć dolarów przeciw puszcze dietetycznej coca-coli, że jeśli znajdziecie trumnę, wewnątrz będzie ciało Williego Leonarda.

McVey usłyszał z daleka, że zapowiadany jest jego lot. Zdumiony podziękował Benny'emu i chciał odwiesić słuchawkę.

-McVey?

-Taaa.

-Akta Merrimana. Nie ruszано ich od dwudziestu sześciu lat.

-No i?

-Jesteś drugim człowiekiem, który ich zażądał w ciągu dwudziestu czterech godzin.

-Cooo?

-Wczoraj rano nadeszło zapytanie z waszyngtońskiego Interpolu. Sierżant z archiwum wyciągnął akta i przesłał im faksem kopię.

McVey powiedział Benny'emu, że w Paryżu wciągnięto do sprawy Interpol, trzeba więc przyjąć, że taka była przyczyna zapytania. W tym momencie rozległo się ostatnie wezwanie pasażerów do samolotu McVeya. Powiedziawszy Grossmanowi, że musi lecieć, odwiesił słuchawkę.

Kilka minut później McVey zapinał pas bezpieczeństwa. Popatrzywszy znowu na nazwisko Agnes Demblon na odwrocie koperty, westchnął i wyprostował się w fotelu, czując, jak samolot podskakuje w trakcie kołowania na pas startowy.

Wyjrzawszy przez okno, McVey zobaczył sunące jedna za drugą chmury deszczowe. Słota skierowała jego myśli ku czerwonemu błotowi na adidasach Osborna. A potem samolot poderwał się i wszedł w chmury.

Stewardesa spytała go, czy chce gazetę. Wziął, ale nie rozłożył. Jego uwagę zwróciła data. Piątek, siódmy października. Dopiero dzisiaj rano

Lebrun został zawiadomiony przez Interpol w Lyonie, że odcisk palca doprowadzono do stanu czytelności, i dzisiaj go zidentyfikował. Ale zapytanie o akta Merrimana nadeszło do policji nowojorskiej z Interpolu w Waszyngtonie w czwartek. Oznaczało to, że Interpol zidentyfikował odcisk, wykrył Merrimana i zapytał o informacje na jego temat dzień wcześniej. Być może taka była procedura w Interpolu, ale wyglądało to trochę dziwnie, że Lyon miał kompletne akta, zanim w ogóle udzielił jakiegokolwiek informacji oficerowi prowadzącemu śledztwo. Wewnętrzne procedury Interpolu właściwie nie powinny go obchodzić. Niemniej odczuwał pewien dyskomfort i postanowił zażądać wyjaśnień. Zanim jednak zwrócił się w tej sprawie do dyrektora do spraw śledczych Cadoux w Interpolu w Lyonie czy da cynk Lebrunowi, powinien uporządkować jakoś fakty. Uznał, że najprościej będzie cofnąć się w czasie do godziny, w której Interpol z Waszyngtonu skierował zapytanie do Departamentu Policji w Nowym Jorku. Gdy tylko dotrze do Londynu, zadzwoni do Benny'ego Grossmana.

Nagle zaświeciło mu w twarz jaskrawe słońce. Zrozumiał, że przebili się przez warstwę chmur i przelatują nad kanałem La Manche. Po raz pierwszy od niemal tygodnia ujrzał słońce. Spojrzał na zegarek.

Była druga czterdzieści po południu.

### 33

Piętnaście minut później, o drugiej pięćdziesiąt pięć, Paul Osborn wyłączył telewizor w hotelowym pokoju i wsunął trzy wypełnione sukcylinylocholimą strzykawki do prawej kieszeni kurtki. Właśnie ją naciągał i kierował się do drzwi, gdy usłyszał dzwonek telefonu. Podskoczył, serce zaczęło bić mu szybciej. Zrozumiał, że jest bardziej spięty, niż przypuszczał, co go nie zachwyciło.

Telefon nadal dzwonił. Osborn popatrzył na zegarek. Druga pięćdziesiąt siedem. Policja? Nie. Już do nich dzwonił i detektyw Barras zapewnił go, że gdy jutro po południu zgłosi się do odprawy przy stoisku Air France, jego paszport będzie tam czekał. Barras był miły, żartował na temat parzywej pogody. A więc nie policja, chyba że bawili się z nim w kotka i myszkę lub McVey znów chciał go o coś zapytać. Lecz w tej chwili nie interesowała go rozmowa z McVeyem czy kimkolwiek innym.

Telefon przestał dzwonić. Ktokolwiek to był, zrezygnował. Być może

wykręcił zły numer. Albo była to Vera. Tak, Vera. Miał zamiar zadzwonić do niej później, gdy będzie po wszystkim, nie teraz, kiedy mogłaby coś wyczuć w jego głosie lub z jakiegoś innego powodu nalegać, że do niego przyjdzie.

Znów popatrzył na zegarek. Teraz było już prawie pięć po trzeciej. Film zaczynał się o czwartej; musiał się tam zjawić najpóźniej o trzeciej czterdzieści pięć, jeśli bileterka miała go dobrze zapamiętać. Pójdzie na piechotę, a wyjdzie bocznym wejściem hotelowym, na wypadek gdyby ktoś go pilnował. Poza tym spacer pozwoli mu się otrząsnąć z natłoku myśli i złagodzi napięcie.

Zgasiwszy światło, dotknął kieszeni, by raz jeszcze upewnić się, że są tam strzykawki, a potem nacisnął klamkę i zaczął otwierać drzwi. Nagle uderzyły go w twarz z tak wielką siłą, że poleciał na bok, w kąt między drzwiami łazienki i sypialni. Nim odzyskał równowagę, z korytarza wszedł mężczyzna w jasnoniebieskim kombinezonie i zamknął za sobą drzwi. Henri Kanarack z pistoletem w ręku.

- Jedno słowo, a zastrzelę cię na miejscu - powiedział po angielsku.

Osborn był całkowicie zaskoczony. Z bliska włosy Kanaracka wyglądały na ciemniejsze, a ciało na masywniejsze. Spojrzenie miał dzikie, pistolet, trzymany pewnie, jakby był przedłużeniem jego ręki, wycelował prosto między oczy Paula. Osborn nie miał żadnych wątpliwości, że tamten się nie zawaha. Przekręciwszy klucz w zamku, Kanarack dał krok do przodu.

- Kto cię przysłał? - zapytał.

Osborn poczuł, że zaschło mu w gardle; spróbował przełknąć ślinę.

- Nikt - odpowiedział.

To, co teraz nastąpiło, stało się tak szybko, że Osborn w ogóle nie wiedział jak. W jednej chwili stał w miejscu, w następnej leżał na podłodze z głową przyciśniętą do ściany, z lufą broni Kanaracka wbitą pod nos.

- Dla kogo pracujesz? - pytał spokojnie Kanarack.

- Jestem lekarzem. Dla nikogo nie pracuję. - Osbornowi serce waliło tak dziko, że poważnie zaczął się obawiać, czy nie dostanie zawału.

- Lekarz? - Kanarack był zdziwiony.

- Tak - potwierdził Osborn.

- Więc czego ode mnie chcesz?

Po policzku Osborna spłynął strumyczek potu. Wszystko było zamazane i nierzeczywiste. I wtedy usłyszał siebie mówiącego coś, czego nigdy nie powinien był powiedzieć:



- Wiem, kim jesteś.

Dzikość zniknęła z oczu Kanaracka, na jej miejsce pojawił się lodowaty chłód. Jego palec zacisnął się na spuście pistoletu.

- Wiesz, co się przydarzyło detektywowi - szepnął Kanarack, pozwalając lufie pistoletu ześlizgnąć się, aż spoczęła na dolnej wardze Osborna. - Było w telewizji i we wszystkich gazetach.

Osborn nie potrafił opanować drżenia. Myślenie stało się już wystarczająco trudne, znajdowanie i wypowiadanie słów - prawie niemożliwe.

- Tak, wiem - udało mu się wreszcie wykrztusić.

- Więc wiesz, że nie tylko jestem dobry w tym, co robię. Ja to lubię. - W czarnych kleksach, które były oczami Kanaracka, czaiło się coś podobnego do uśmiechu.

Osborn odsunął się. Przebiegł spojrzeniem pokój, szukając drogi ucieczki. Było tylko okno. Na siódmym piętrze. Lufa broni dotknęła policzka Osborna i Kanarack zmusił go, by na niego popatrzył.

- Okno nie wchodzi w rachubę. To zbyt niechlujne i o wiele za szybkie. A chcę ci poświęcić trochę czasu, chyba że powiesz od razu, dla kogo pracujesz i gdzie są ci ludzie. Wtedy skończymy bardzo szybko.

- Nie pracuję dla niko...

Nagle zadzwonił telefon. Na jego dźwięk Kanarack podskoczył i Osborn był pewien, że pociągnie za spust.

Zadzwonił trzy razy i przestał. Kanarack popatrzył na Osborna. Tu było zbyt niebezpiecznie. Nawet w tej chwili recepcjonista na dole może spytać kogoś o uszkodzenie klimatyzacji i dowiedzieć się, że nic się nie zepsuło i nikt nie dzwonił po montera. Zaczną się zastanawiać, a potem szukać. Może nawet zadzwonią po strażników hotelowych czy policję.

- Słuchaj bardzo uważnie - powiedział. - Wychodzimy stąd. Im bardziej będziesz mi to utrudniał, tym boleśniej to odczujesz. - Kanarack odsunął się i wstał, a potem ruchem broni nakazał wstać również Osbornowi.

Z tego, co działo się zaraz potem, Osborn niewiele pamiętał. Niejasno przypominał sobie opuszczenie pokoju i marsz obok Kanaracka do schodów przeciwpożarowych, a następnie odgłos ich kroków, gdy schodzili. Gdzieś otworzyły się drzwi do wewnętrznego korytarza, prowadzącego do węzłów klimatyzacyjnych, grzewczych i energetycznych. Wkrótce potem Kanarack otworzył stalowe drzwi, znaleźli się na zewnątrz i zaczęli wspinać się po betonowych schodach. Padał deszcz, powietrze było rześkie.

Zatrzymali się u szczytu schodów.

Powoli Osborn zaczął dochodzić do siebie i pojął, że są na wąskiej ulicy za hotelem; Kanarack stał tuż koło niego z lewej strony, a pistolet przyłożył do piersi Osborna. Gdy tak szli, Osborn próbował się skupić, pomyśleć, co dalej. Nigdy tak się nie bał.

## 34

U wylotu uliczki stał zaparkowany biały citroen. Kanarack polecił Osbornowi iść w tego kierunku.

W tym samym momencie nieoczekiwanie skręciła z ulicy duża ciężarówka dostawcza i ruszyła w ich stronę. Gdyby pozostali na miejscu, ciężarówka, z braku miejsca, mogłaby ich potrącić. Mieli więc dwie możliwości do wyboru: albo rozdzielić się, albo cofnąć pod mur uliczny i przepuścić ciężarówkę. Zwolniła, a kierowca zatrąbił.

- Tylko spokojnie - powiedział Kanarack i przycisnął Osborna plecami do ściany zaułka.

Kierowca zmienił bieg i ciężarówka znowu ruszyła. Stali przyciśnięci do ściany i Osborn czuł lufę wbijającą mu się w lewy bok. Czyli Kanarack miał pistolet w prawej ręce, lewą zaś przytrzymał Osborna za ramię w sposób niewidoczny dla kierowcy. Coś w mózgu Osborna zmusiło go do obliczenia, że ciężarówka przejedzie obok nich za sześć do ośmiu sekund. Wróciła mu jasność myśli i dostrzegł okazję; strzykawkę miał w prawej kieszeni kurtki.

Ostrożnie odwrócił głowę, by popatrzeć na Kanaracka. Cała uwaga zbira skierowana była na wielki samochód, który niemal się z nimi zrównał. Osborn czekał. W momencie gdy ciężarówka do nich prawie dotarła, przeniósł ciężar ciała na prawą nogę, jakby chciał się jeszcze mocniej wcisnąć w ścianę. Równocześnie wsunął prawą dłoń do kieszeni kurtki, szukając strzykawki. Pochwycił jedną z nich, gdy ciężarówka ich mijała. Fajnie - powiedział Kanarack.

Ruszyli w stronę citroena, Osborn wydobył strzykawkę z kieszeni i przycisnął do swego boku. Od samochodu dzieliło ich jeszcze jakieś dwaście metrów. Osborn pozakładał na czubki wszystkich igieł gumowe końcówki zabezpieczające. Teraz gorączkowo starał się zsunąć końcówkę, nie wypuszczając strzykawki z ręki.

Nagle byli już u wylotu uliczki; citroen stał trzy metry dalej, gumowa końcówka nie puściła i Osborn był pewien, że Kanarack zaraz zauważy, co on robi.

-Dokąd mnie zabierasz? - zapytał dla odwrócenia uwagi.

-Zamknij się - wyszeptał Kanarack.

Już znaleźli się przy samochodzie. Kanarack rozejrzał się po ulicy, a potem zaciągnął Paula do wozu od strony kierowcy i otworzył drzwiczki. W tym momencie gumowa końcówka puściła i upadła na ziemię. Kanarack zobaczył, jak podskakiwała, i w jego oczach odmalowało się zdziwienie. W tej samej chwili Osborn szarpnął się ostro w prawo i wbił igłę przez tkaninę kombinezonu głęboko w ciało, w górny skraj prawego pośladka Kanaracka. Potrzebował pełnych czterech sekund, by wstrzyknąć całą porcję sukcynylocholiny. Kanarack potrzebował tylko trzech, aby się wyrwać i spróbować skierować ku niemu pistolet. Osborn miał dość przytomności umysłu, żeby z całej siły pchnąć go drzwiczkami samochodu i Kanarack zwałił się na chodnik, wypuszczając broń.

Zerwał się natychmiast, ale było za późno: pistolet trzymał w ręce Osborn i Kanarack zamarł w miejscu. Zza rogu wyjechała z piskiem opon taksówka, zatrąbiła, ominęła ich i pomknęła przed siebie.

Kanarack miał oczy szeroko otwarte, nie ze strachu, lecz z determinacji. Wszystkie te lata zastanawiania się, czy tamci kiedykolwiek go odnajdą, miał już za sobą. Z konieczności zmienił swe życie i stał się innym człowiekiem. Na swój sposób był nawet dobry i bardzo przywiązany do żony, która wkrótce miała urodzić mu dziecko. Zawsze żyła w nim nadzieja, że jakimś cudem udało mu się umknąć, choć w głębi ducha przeczuwał, że tak nie jest. Byli na to zbyt dobrzy, zbyt sprawni, ich siatka zbyt rozbudowana.

Żyć dzień po dniu i nie popaść w obłąd od spojrzenia obcego człowieka, od odgłosu kroku za plecami, od pukania do drzwi... Okazało się to trudniejsze, niż potrafił sobie wyobrazić. Ból z powodu konieczności ukrywania tego przed Michele doprowadził go niemal na skraj szaleństwa. Nadal był dobry w swoim zawodzie i dowiódł tego podczas spotkania z Jeanem Packardem. Ale to był koniec i on o tym wiedział. Michele odeszła. Jego życie się skończyło. Umrzeć będzie łatwo.

-Zrób to - wyszeptał. - Zrób to teraz!

-Nie muszę - odparł Osborn. Opuścił wycelowany pistolet i włożył go

do kieszeni. Upłynęła prawie pełna minuta od momentu, gdy wstrzyknął sukcynylocholinę. Kanarack nie dostał pełnej dawki, ale wystarczająco dużo, i Osborn widział, jak tamtego ogarnia zdziwienie. Czemu aż takiego wysiłku wymaga zwykłe oddychanie, a nawet utrzymanie równowagi?

- Co się ze mną dzieje? - Na twarzy Kanaracka odmalowało się zdumienie.

- Przekonasz się - odrzekł Osborn.

## 35

Policja paryska zgubiła Osborna w Luwrze.

Lebrun i tak ryzykował, musiał więc około godziny drugiej albo wymyślić historyjkę uzasadniającą dalszą obserwację, albo odwołać ludzi. Choć ze wszystkich sił chciał pomóc McVeyowi, nie mógł przyjąć, że zabłocone buty są dowodem na to, iż ich właściciel jest złoczyńcą, szczególnie jeśli rzecz dotyczyła amerykańskiego lekarza, który następnego wieczoru miał opuścić Paryż i który grzecznie, acz stanowczo zażądał zwrotu paszportu, aby ów wyjazd mógł dojść do skutku.

Nie potrafiąc uzasadnić kosztów dalszej obserwacji Osborna, Lebrun skierował swoich ludzi do innych postawionych przez McVeya zadań, na przykład sprawdzenia życiorysu Jeana Packarda niemal od pieluch. Policyjna plastyczka otrzymała polecenie popracowania nad zdjęciem Alberta Merrimana. Właśnie stała za biurkiem i zaglądała przez ramię Lebrunowi, studiującemu wyniki jej pracy.

- A więc tak według ciebie powinien wyglądać dwadzieścia sześć lat później? - zapytał retorycznie. Potem spojrzął na nią. Była puciołowata, miała dwadzieścia pięć lat i uśmiechała się wesoło.

- Tak.

- Powinnaś skonsultować się z antropologiem sądowym. Na pewno udzieliliby ci dokładniejszych wskazówek, jak ten człowiek mógł się zesterzeć. - Lebrun nie był całkiem przekonany.

- Już to zrobiłam, inspektorze.

- I to jest wynik?

- Tak.

Dzięki - rzekł Lebrun. Plastyczka skinęła głową i wyszła. Lebrun ponownie spojrzął na portret Merrimana. Pomyślawszy chwilę, sięgnął po telefon i zadzwonił do rzecznika prasowego policji. Może warto zamieścić

rysunek w pierwszych porannych wydaniach jutrzejszych gazet. Paryż ma prawie dziewięć milionów mieszkańców, wystarczy, że choć jeden z nich rozpozna Merrimana i powiadomi policję.

Albert Merriman leżał na plecach na tylnym siedzeniu citroena Agnes Demblon, walcząc ze wszystkich sił, by nabrać powietrza.

Siedzący za kierownicą Paul Osborn zmienił bieg na niższy, ostro przyhamował, a potem przyśpieszył, minął srebrzystego range rovera i skręcił w aleję Wagram. Zaraz potem znów skręcił w prawo w bulwar Courcelles, kierując się ku alei Clichy i nadbrzeżnej szosie prowadzącej do zacisznego parku nad Sekwaną.

Wepchnięcie osłabłego, przerażonego Kanaracka na tylne siedzenie, znalezienie kluczyków i uruchomienie wozu zabrało mu blisko trzy minuty. Osborn wiedział, że ledwie ruszy w drogę, działanie sukcylinylocholiny zacznie przemijać. Gdy tylko to nastąpi, będzie miał za plecami, na tylnym siedzeniu, całkowicie przytomnego Kanaracka... Jedynym ratunkiem było danie Francuzowi drugiego zastrzyku. Skutki dwóch dawek, tak szybko podanych jedna za drugą, znokautowały Kanaracka całkowicie; jego świadomość zgasła jak zdmuchnięta świeca. Przez pewien czas Osborn obawiał się, że mogło być tego za dużo, że płuca Kanaracka przestaną pracować i Francuz się udusi. Ale potem usłyszał ochrypły kaszel, po nim zaś odgłos z trudem wciąganego do płuc powietrza. Wiedział więc, że wszystko w porządku.

Problem w tym, że teraz pozostała mu już tylko jedna strzykawka. Defekt samochodu, jakiś korek i koniec z jego przewagą; potem będzie zdany już tylko na własne siły.

Było prawie kwadrans po czwartej, deszcz przybrał na sile. Przednia szyba zaparowała i Osborn poszukał włącznika nawiewu. Uruchomił go i dłonią zaczął ścierać parę z szyby. Chociaż jedno dobre: w taki dzień mógł mieć pewność, że w parku nikogo nie będzie. Przynajmniej za pogodę mógł być wdzięczny losowi.

Zerknąwszy przez ramię, przyjrzał się Kanarackowi na tylnym siedzeniu. Każdy wdech i wydech wymagał od niego najwyższego wysiłku. A z wyrazu jego oczu Osborn mógł wywnioskować, jakie makabryczne chwile tamten przeżywa, zastanawiając się z każdym oddechem, czy będzie miał dość sił na następny.

Przed nimi światła uliczne zmieniły się z żółtych na czerwone i Osborn zatrzymał się za czarnym ferrari. Ponownie obejrzał się przez ramię na Kanaracka. W tej chwili nie miał pojęcia, jak tamten się czuje. Niewiarogodne było to, że Osborn, choć powinien, nie odczuwał triumfu. Miał do

czynienia z bezradną istotą ludzką, przerażoną ponad wszelką miarę, nie mającą pojęcia, co się z nią dzieje, walczącą całym swym jestestwem o odrobinę życiodajnego powietrza. Że ta kreatura była zła do szpiku kości, spowodowała śmierć dwóch ludzi oraz okropnie i bezlitośnie spaczyła życie Paula Osborna od samego dzieciństwa - jakby nie miało znaczenia. Osbornowi wystarczyło, że doprowadził potwora do takiego stanu; dokonawszy reszty, stanie się kimś równym Kanarackowi, a przecież taki nie był. Jeśli naprawdę tylko tego chciał, może po prostu zatrzymać samochód w tym miejscu i odejść, zwracając w ten sposób Kanarackowi życie. Ale to nie wszystko. Pozostawała jeszcze jedna rzecz do wyjaśnienia.

DLACZEGO? Dlaczego Kanarack zamordował jego ojca? Z przodu światła zmieniły się na zielone, strumień pojazdów ruszył. Z minuty na minutę robiło się ciemniej; kierowcy włączali żółtawe światła samochodów. Dojechawszy do alei Clichy, Osborn skręcił w lewo.

Niecały kilometr za nimi nowy ciemnozielony ford zmienił pas ruchu i przyspieszył, by wyminąć samochody. Skręciwszy w aleję Clichy, szybko zjechał na prawy pas i zwolnił, pozostając o trzy samochody za Citroënem Osborna. Kierowcą był wysoki mężczyzna o niebieskich oczach i bladej cerze. Jasne brwi nie kłóciły się z jego blond włosami ani z barwą włosów na grzbietach dłoni. Miał na sobie brązowy płaszcz przeciwdeszczowy, a pod nim sportową kurtkę w szkocką kratę o przytłumionych kolorach, ciemnoszare sportowe spodnie i szary golf. Obok niego leżał na siedzeniu kapelusz, neseser i rozłożony plan Paryża. Nazywał się Bernhard Oven i tego dnia obchodził czterdzieste drugie urodziny.

## 36

- Słyszysz mnie? - zapytał Osborn, skręcając na północny wschód nadrzeczną szosą. Deszcz zmienił się w ulewę, a wycieraczki wybijały równy rytm na przedniej szybie. Z lewej strony Sekwana była ledwie widoczna poprzez cień drzew, którymi obsadzono drogę. Jakieś dwa kilometry przed nimi znajdował się skręt w lewo do parku. - Słyszysz mnie? - powtórzył Osborn, patrząc najpierw w lusterko wsteczne, a potem odwracając się.

Kanarack leżał, gapiąc się w sufit wozu. Jego oddech stał się równiejszy.

Aha - mruknął.

Osborn przeniósł spojrzenie na drogę przed sobą.

- Pytałeś mnie, czy wiem, co spotkało Jeana Packarda. Powiedziałem, że tak. Być może chciałbyś wiedzieć, co przydarzyło się tobie. Dostałeś zastrzyk sukcynylocholiny. Paraliżuje mięśnie szkieletowe. Dałem ci dokładnie tyle, ile trzeba, byś zrozumiał, jak działa na ludzki organizm. Mam jeszcze inną strzykawkę, ze znacznie większą dawką. Od ciebie zależy, czy jej użyję.

Kanarack utkwiał wzrok w guziku tapicerki sufitu citroena; pozwoliło mu to skupić myśli na czymś innym niż możliwość przecierpienia raz jeszcze tego, przez co właśnie przeszedł. Przeżycie tego jeszcze raz nie było możliwe.

- Nazywam się Paul Osborn. W piątek dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku szedłem ulicą w Bostonie wraz z mym ojcem, George'em Osbornem. Miałem dziesięć lat. Szliśmy kupić dla mnie nową rękawicę baseballową. Z tłumu wyłonił się człowiek z nożem i wbił go memu ojcu w brzuch. Zaraz potem uciekł. A mój ojciec upadł na chodnik i zmarł. Chciałbym, żebyś mi powiedział, czemu ten człowiek zrobił to mojemu ojcu.

Boże! - pomyślał Kanarack. Więc o to chodzi. To wcale nie oni! Mogłem tak cholernie łatwo dać sobie z tym radę. Wszystko mogłem mieć już za sobą.

- Czekam - dobiegł głos z przedniego siedzenia, a Kanarack poczuł, że samochód zwalnia. Mignęły drzewa na zewnątrz, wóz skręcił i podskoczył na wybojach. Potem znowu przyśpieszyli i za oknem przemknęło więcej drzew. Jeszcze minuta i zatrzymali się gwałtownie. Usłyszał, jak Osborn zmienia biegi. Citroen zaczął się cofać, a później ostro pochylił się i potoczył w dół. Jeszcze kilka sekund i wyprostował się, a potem stanął.

W nieruchomym wozie rozległ się metaliczny szczeł zaciąganego hamulca ręcznego. Drzwiczki po stronie kierowcy otworzyły się i zamknęły. Drzwi obok Kanaracka otworzono szarpnięciem i pojawił się Osborn ze strzykawką w ręku.

- Zadałem ci pytanie, ale nie dostałem odpowiedzi – rzekł Osborn.

Kanarackowi nadal płonęły płuca; nawet najpłytszy oddech był męczarnią.

- Pomogę ci zrozumieć. - Osborn odsunął się na bok.

Kanarack się nie poruszył.

- Chcę, byś popatrzył tam! - Nagle Osborn chwycił Kanaracka za włosy i szarpnął jego głowę w lewo, by tamten mógł widzieć przez ramię. Próbował opanować złość, lecz zupełnie mu się to nie udawało. Powoli

jego ofiara przeniosła spojrzenie w gęstniejącą ciemność. I wówczas, nie dalej niż dziesięć metrów, Kanarack ujrzał rzekę. - Jeśli myślisz, że właśnie przeszedłeś przez piekło - szepnął Osborn - wyobraź sobie, jak poczujesz się tam, ze sparaliżowanymi rękami i nogami. Będziesz unosił się na wodzie przez dziesięć, może piętnaście sekund. Zresztą twoje płuca ledwie pracują. Jak myślisz, co się stanie, gdy pójdziesz na dno?

Myśli Kanaracka pomknęły ku Jeanowi Packardowi. Prywatny detektyw wiedział coś, co on chciał wiedzieć, zrobił więc wszystko, aby to z niego wycisnąć. A teraz ktoś z równą pasją próbował wydobyć informacje od niego. Tak jak Jean Packard, nie miał wyboru.

-Zawarłem... kontrakt... na... robotę. - Głos Kanaracka był zaledwie ochrypłym szeptem.

Przez chwilę Osborn sądził, że źle usłyszał. Może Kanarack próbował go okpić. Zacisnąwszy dłoń na włosach Kanaracka, ostro szarpnął jego głowę do tyłu. Kanarack wrzasnął. Wysiłek spowodował, że opróżnił płuca z powietrza. Przeniknął go straszliwy ból, krzyknął więc po raz drugi.

-Spróbujmy raz jeszcze. - Twarz Osborna niemal dotykała jego twarzy.

-Zapłacili mi... Pieniądze! - wycharczał Kanarack. Wypuszczone powietrze sparzyło mu gardło jak płomień.

-Zapłacili? - Osborn był wstrząśnięty. Tego nie oczekiwał, niczego w tym rodzaju! Zawsze uważał, że ojciec zginął z rąk jakiegoś szaleńca. A z braku jakichkolwiek innych motywów tego samego zdania była policja. Uznali to za czyn człowieka, który nienawidził własnego ojca lub matki, braci czy sióstr. Paul zawsze wierzył, że popełniony z powodu od dawna wzbierającej wściekłości, wyzwolonej przypadkowo i bezmyślnie. Po prostu jego ojciec znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Kanarack mówił mu coś zupełnie odmiennego. Coś, co nie miało sensu. Zwyczajny, spokojny człowiek, nie winien nikomu ani centa, który nigdy w życiu nie podniósł w gniewie głosu. Zupełnie nie ten typ człowieka, za którego zabicie ktoś by zapłacił. Gadaj prawdę, ty kłamliwy skurwysynu! - Osborn wywłócił Kanaracka z samochodu za włosy. Kanarack wrzeszczał z bólu; Wrzask rozsadał mu gardło i płuca. Chwilę później byli po kolana w rzece. Osborn uniósł rękę ze strzykawką, ale nagle wepchnął Kanaracka pod wodę. Policzył powoli do dziesięciu, a potem wyciągnął nad powierzchnię. - Mów mi prawdę, niech cię diabli!



Kanarack, kaszłąc i krztusząc się, osłupiał. Czemu ten człowiek mu nie wierzy? Niech go zabije, na litość boską, ale nie w ten sposób!

- Jestem... - wychrypiał. - Twój ojciec... trzech innych... też... w Wyoming... New Jersey... jeden w Kalifornii. Wszyscy dla tych samych ludzi. A potem... oni próbowali... zabić... i mnie.

- Jacy oni? O czym ty mówisz, u diabła?

- Nie uwierzysz mi... - Kanarack zakrztusił się, próbując wypluć wodę.

Nurt wirował koło nich, deszcz padał falami. W gęstniejącej ciemności prawie nic nie było widać. Osborn wzmocnił chwyt na kołnierzu Kanaracka i podniósł strzykawkę na wysokość jego oczu.

- No to mnie przekonaj - powiedział.

Kanarack potrząsnął głową.

- Gadaj! - wrzasnął Osborn i znów przy topił Kanaracka. Podniósł go, rozerwał mu kombinezon i przycisnął koniec igły do bicepsa. - Jeszcze raz - szepnął. - Prawdę.

- Boże! Nie rób tego! - błagał Kanarack. - Proszę...

Nagle Osborn się rozluźnił. To, co ujrział w oczach Kanaracka, przekonało go, iż tamten mówi prawdę, że żaden człowiek w takiej sytuacji by nie skłamał.

- Podaj nazwisko - rozkazał Osborn. - Tego, który się z tobą kontaktował. Dawał ci zlecenia.

- Scholl... Erwin Scholl. - Kanarack widział w wyobraźni twarz Scholla. Wysokiego, atletycznie zbudowanego mężczyzny w stroju do tenisa. Kanarack przyjechał do jego posiadłości na Long Island w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku, polecony przez pułkownika w stanie spoczynku armii Stanów Zjednoczonych. Scholl był bardzo miły. Zawarli umowę ustną. Każde zabójstwo miało wartość dwudziestu pięciu tysięcy dolarów gotówką. Pięćdziesiąt procent zaliczki, potem Scholl płacił u siebie resztę. Kiedy przyszedł po pieniądze, Scholl wypłacił mu należność, uprzejmie podziękował i odprowadził do drzwi. A kilka chwil później, w drodze powrotnej do miasta, samochód Kanaracka został zepchnięty z drogi przez limuzynę. Wsiadło z niej dwóch mężczyzn z bronią automatyczną. Gdy się zbliżali, Kanarack zastrzelił obu z rewolweru i uciekł. Próbowali go zabić w krótkich odstępach czasu jeszcze trzy razy: w jego mieszkaniu, w restauracji i na ulicy. Za każdym razem wymykał się, ale oni zawsze wiedzieli, gdzie był lub miał być, co oznaczało, że jest tylko kwestią czasu, nim go dostaną. Tak więc z pomocą Agnes Demblon wziął sprawy w swoje ręce. Zabiwszy współnika, spalił jego ciało w swoim samochodzie,

aby wyglądało to na porachunki między gangami. Potem zniknął.

-Gdzie mieszka Erwin Scholl? - Osborn trzymał go ledwie kilka centymetrów ponad pedzającą wodą.

-Long Island... duża posiadłość na Westhampton Beach - powiedział Kanarack.

-Jezu Chryste, ty skurwysynu! - Osborn miał łzy w oczach. Był zupełnie wytracony z równowagi. Kanarack nie okazał się wściekłym, obłąkanym człowiekiem, który zabił jego ojca ze zwykłej złośliwości, tylko profesjonalnym zabójcą, wypełniającym czyjeś zlecenie. Nagle to morderstwo stało się czymś bezosobowym. Ludzkie uczucia nie miały z nim nic wspólnego. Nie było niczym więcej niż transakcją handlową.

Ale nagle znów wszystko powróciło. To potworne DLACZEGO? I pojawiła się odpowiedź. Zwykła omyłka. O to chodziło. Musiało tak być.

-Chcesz powiedzieć, że zabiłeś niewłaściwego człowieka, tak? Wziąłeś mego ojca za kogoś innego...

-Nie. - Kanarack potrząsnął głową. - O niego chodziło. O tamtych też.

Osborn wlepił w niego oczy. To było szaleństwo! Coś nieprawdopodobnego!

-Jezu Chryste! - wrzasnął. - Dlaczego?

Kanarack patrzył w górę znad szybko płynącej wody. Oddychał swobodniej, w rękach i nogach powracało czucie. Osborn nadal trzymał igłę w dłoni, ale być może istniała jeszcze jakaś szansa. Lecz Osborn nagle odwrócił wzrok, jakby coś go zaskoczyło. Kanarack poszedł za jego spojrzeniem. Wysoki mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym i kapeluszu schodził po rampie do miejsca, gdzie się znajdowali. Trzymał coś w ręce. Podniósł to.

Ułamek sekundy później rozległ się dźwięk, jakby tuzin dzięciołów zaczęło naraz kuć dziobami. Nagle woda wokół nich zakipiła. Osborn poczuł uderzenie w udo i upadł na plecy. Woda nadal kipiała. Próbował się podnieść i ujrzał, że człowiek w kapeluszu brodzi w wodzie, a to coś w jego ręce nadal wydaje przytłumione puknięcia.

Osborn obrócił się w miejscu, dał nura i popłynął. Słyszał nad głową ciche plaskanie. Pod wodą panowały nieprzeniknione ciemności i Osborn nie miał pojęcia, w którą stronę płynie. Wpadł na coś i po chwili jego i to coś, co do niego przywarło, pochwycił prąd i uniósł w dal. Płuca Osborna pękały bez powietrza, ale siła prądu spychała go do dna. Znów poczuł, że

owa rzecz się z nim zderza, i zrozumiał, że się z nią splątał. Wyciągając ręce, próbował się uwolnić. Była duża, coś na kształt obrośniętego trawą pnia, i zdawała się do niego przylepiona. Miał wrażenie, jakby jego płuca zapadały się do środka. Musiał zaczerpnąć powietrza. Bez względu na to, z czym się splątał, musiał to zignorować i wywalczyć sobie drogę ku powierzchni. Kopnąwszy ze wszystkich sił, machnął rękami do tyłu i popłynął w górę.

Chwilę później przebił powierzchnię wody. Ciężko dysząc, szaleńczymi haustami nabierał powietrza. W tej samej chwili zorientował się, że płynie z dużą szybkością. Z trudem mógł dostrzec przeciwny brzeg rzeki. Odwróciwszy głowę, zobaczył reflektory samochodów, jadących nadbrzeżną szosą za jego plecami. Zrozumiał, że niesiony szybkim prądem znalazł się na środku Sekwany.

To, co się do niego przylepiło, odpadło, gdy wypłynął na powierzchnię, a przynajmniej tak sądził. Płynął swobodnie unoszony nurtem, gdy nagle tamto znów się z nim zderzyło. Odwróciwszy się, dostrzegł ciemny przedmiot, zwieńczony jakąś trawiastą kępą. Zaczął go odpychać, a wtedy spod wody wynurzyła się ludzka dłoń i uczepliła jego ręki. Krzyknąwszy ze zgrozy, próbował się uwolnić. Ale dłoń trzymała go w mocnym uścisku. Wtedy dostrzegł, że to, co wziął za trawę, było ludzkimi włosami. Z oddali doleciał pomruk pioruna. Nagle deszcz zaczął lać strumieniami. Gdy wściekle próbował uwolnić swą dłoń od wczepionych palców, to coś wypłynęło na powierzchnię i przytoczyło się do jego boku. Z wrzaskiem próbował się odsunąć i wtedy, w świetle błyskawicy, przekonał się, że patrzy prosto na krwawy oczodół, ohydnie naszpikowany odłamkami potrząskanych zębów. Po drugiej stronie oka w ogóle nie było, tylko strzępy mięsa, tam gdzie odstrzelono twarz. Chwilę później to coś szarpnęło się do góry i wydało głośny jęk. A potem dłoń bardzo łagodnie wypuściła jego rękę i resztki Heniego Kanaracka popłynęły z prądem.

Gdy Henri Kanarack, lub raczej Albert Merriman, popatrzył ponad ramieniem Paula Osborna i ujrzał schodzącego ku nim po rampie wysokiego mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym i kapeluszu, pomyślał, że jest w jego sylwetce coś znajomego. I wówczas przypomniał sobie, gdzie widział tego człowieka: w brasserie Le Bois, owego wieczoru, gdy zabił Jeana Packarda. To właśnie ten mężczyzna stanął wtedy w drzwiach, rozejrzał się po tarasie, a potem odwrócił do baru. Ich spojrzenia się spotkały i

Merriman przypomniał sobie własną ulgę, gdy okazało się, że ów mężczyzna nie jest Osbornem ani policjantem. Przypomniał sobie własną myśl, że tamten jest nikim, po prostu nikim. Mylił się.

## 37

### **Piątek, 7 października Nowy Meksyk**

O pierwszej pięćdziesiąt pięć po południu, czyli dziewiętej pięćdziesiąt pięć wieczorem czasu paryskiego, Elton Lybarger spoczywał na leżaku, owinięty szlafrokiem, przyglądając się, jak cienie rzucane przez dominujące nad Nowym Meksykiem góry Sangre de Cristo zaczynają pełznąć przez dno doliny, leżącej trzysta metrów poniżej. Miał na sobie kurtkę od Bassa, brązowe luźne spodnie i ciemnoszafirowy sweter. Małe żółte słuchawki tkwiły w walkmanie, spoczywającym na jego kolanach. Miał pięćdziesiąt sześć lat, a słuchał wybranych przemówień Ronalda Reagana.

Elton Lybarger przybył do ekskluzywnego sanatorium Rancho de Piñon z San Francisco trzeciego maja, siedem miesięcy po poważnym wylewie, którego doznał podczas podróży w interesach do Stanów Zjednoczonych ze swej rodzinnej Szwajcarii. Wylew spowodował częściowy paraliż i odebrał mu mowę. Teraz, prawie rok później, mógł chodzić, podpierając się laską, i mówić, wprawdzie powoli, lecz nie bełkocząc.

Dziesięć kilometrów dalej srebrzyste volvo skręciło spod jaskrawego słońca pustyni w głęboki cień obsadzonej iglakami szosy Paseo de Norte, prowadzącej z doliny ku Rancho de Piñon. Za kierownicą siedziała Joanna Marsh, nieładna, korpulentna trzydziestodwuletnia fizykoterapeutka, która przez ubiegłych pięć miesięcy odbywała regularnie pięć razy w tygodniu dwugodzinną podróż ze swego domu w Taos do Rancho de Piñon. Miała to być jej ostatnia wizyta u Eltona Lybargera. Zabierała go do Santa Fe, gdzie czekał już wyczarterowany helikopter, by ich zawieźć do Albuquerque. Następnie, po wylądowaniu w Chicago, mieli się przesiąść na samolot American Airlines, lot numer trzydzieści osiem do Zurychu.

Wypowiedziano słowa pożegnania, drzwi wozu się zamknęły, Joanna pozdrowiła machnięciem ręki strażnika i wprowadziła volvo przez bramę Rancho de Piñon na drogę Paseo de Norte.

Odwróciwszy głowę, Joanna zobaczyła Lybargera patrzącego z uśmiechem na krajobraz. Nigdy dotąd nie widziała, by się uśmiechał.

- Czy pan wie, dokąd jedziemy, panie Lybarger? - zapytała. Skinął głową.

- Dokąd? - nastawała.

Nie odpowiedział. Nadal przyglądał się okolicy.

- No, dalej, panie Lybarger. Dokąd jedziemy?

Joanna nie była pewna, czy usłyszał ją za pierwszym razem, a może po prostu nie zrozumiał. Odzyskał już co prawda zdrowie fizyczne, niemniej nadal zdarzały się momenty, gdy jakby nie odbierał tego, co się do niego mówiło.

Przesunawszy się na miejscu tylko odrobinę, pochylił się do przodu i oparł dłoń o tablicę rozdzielczą, by zachowywać równowagę, gdy volvo przechylało się na boki, przemierzając cały ciąg zakrętów. Wciąż nie odpowiadał.

Na dnie kanionu Joanna skręciła w Nowomeksykańską Autostradę Numer Trzy w stronę Taos. Upewniwszy się, że jedzie z szybkością stu kilometrów na godzinę, pomachała ręką grupie jaskrawo ubranych kolarzy.

- Moi przyjaciele z Taos - wyjaśniła z uśmiechem, a potem zerknęła na Lybargera. Pomyślała, że być może przyczyną jego milczenia są emocje wywołane odzyskaną wolnością.

Siedział pochylony do przodu, całym ciężarem napinając swój pas bezpieczeństwa, jak gdyby obudził się z długiego snu i był zupełnie zdezorientowany.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała. Nagle ogarnęło ją przerażenie, czy nie został dotknięty następnym atakiem i czy wobec tego nie powinna zawrócić i pojechać do sanatorium.

- Tak - odpowiedział spokojnie.

Joanna przez chwilę oceniała wzrokiem jego stan, a potem odprężyła się i uśmiechnęła.

- A może oprze się pan wygodnie i odpocznie, panie Lybarger? Przed nami długie popołudnie i jeszcze noc.

Lybarger zareagował odchyleniem się na oparcie fotela, ale zaraz znowu odwrócił się do niej. Minę miał zdziwioną.

- Czy coś się stało, panie Lybarger?

- Gdzie jest moja rodzina? - zapytał.

- Gdzie jest moja rodzina? - zapytał ponownie Lybarger.

- Jestem pewna, że przyjdą pana powitać.

Joanna ułożyła się na poduszce w kabinie pierwszej klasy i zamknęła oczy. Byli w powietrzu od niecałych trzech godzin, a według jej rachunku Lybarger zadał to samo pytanie jedenaście razy. Nie była pewna, czy nie są to zadawnione skutki ataku, zmuszające go do zadawania w kółko tego samego pytania, czy też poczuł się nagle wypędzony z Rancho de Piñon, a rodzina, o której mówił, oznaczała personel sanatorium, z którym spędził tak wiele czasu. A może był to autentyczny niepokój, że nikt nie będzie oczekiwał na jego przybycie w Zurychu. Przez cały czas, gdy był jej pacjentem, nie odwiedził go nikt poza jego lekarzem domowym, starszym austriackim doktorem o nazwisku Salettl, który sześciokrotnie odbył w tym celu podróż z Salzburga do Nowego Meksyku. Nie miała pojęcia, czy na lotnisku zurychskim będzie czekać na niego jakakolwiek rodzina. Mogła tylko przypuszczać, że tak. Ale jeśli nie liczyć Salettla, jedyną osobą reprezentującą sprawy Lybargera, z jaką miała kontakt, był jego adwokat, który zadzwonił do niej do domu, prosząc, aby towarzyszyła swemu pacjentowi do Szwajcarii.

Już samo to było zupełnym zaskoczeniem. Joanna rzadko bywała poza granicami Nowego Meksyku, a cóż dopiero Stanów Zjednoczonych, ale darmowa podróż tam i z powrotem w pierwszej klasie samolotu oraz honorarium w wysokości pięciu tysięcy dolarów to była oferta zbyt hojna, by odmówić. Spłaci pożyczkę zaciągniętą na zakup volvo, a poza tym, choćby nawet króciutko, ale zazna czegoś, na co prawdopodobnie normalnie nie miałyby szans. W sumie była zadowolona, że ją poproszono. Joannę przepełniała dumą to, że otaczała specjalnymi względami wszystkich swych pacjentów, a pan Lybarger nie stanowił tu wyjątku. Gdy zaczęła zabiegi, ledwie mógł ustać, interesował się wyłącznie swoim walkmanem lub telewizją. Teraz, choć nadal zachłannie przysłuchiwał się taśmom i patrzył na telewizję, z łatwością odbywał kilometrowe samotne spacerki, posługując się tylko laską.

Ocknąwszy się ze wspomnień, Joanna zdała sobie sprawę, że kabina jest zaciemniona, a większość pasażerów śpi, choć na ekranie przed nimi wyświetlano film. Od dłuższego czasu Elton Lybarger milczał, Joanna pomyślała więc, że może i on śpi. Ale wówczas zauważyła na jego uszach słuchawki; całkowicie pochłonęło go oglądanie filmu. Filmy, telewizja, taśmy z muzyką - od kiczowatej do klasycznej, transmisje - od sportowych do politycznych, opery, rock and roll - Lybarger pochłaniał wszystko z nienasyconym apetytem. Co go w tym wszystkim tak ciekawiło, przekraczało zdolność pojmowania Joanny. Być może stanowiło to dla niego jakąś

formę ucieczki. Od czego lub dokąd, nie miała pojęcia.

Okrywszy pacjenta kocem, Joanna usadowiła się na swoim miejscu. Żałowała jedynie tego, że musiała umieścić Henry'ego, dziesięciomiesięcznego bernardyna, w hotelu dla psów. Mieszkała samotnie, nie miał się więc nim kto opiekować, a poproszenie przyjaciół, aby wzięli do domu pięćdziesięciokilogramowy tobół nieustającego entuzjazmu, przekroczyłoby granice przyzwoitości. Ale będzie nieobecna tylko przez kilka dni, a tyle Henry wytrzyma.

## 38

### Paryż

Od trzeciej po południu Vera bezskutecznie próbowała skomunikować się z Paulem. Telefonowała cztery razy. Za piątym połączyła się z recepcją i spytała, czy pan Osborn przypadkiem się nie wyprowadził. Nie. Czy ktośkolwiek go dzisiaj widział? Połączono ją z portierem, któremu zadała to samo pytanie. Pomocnik portiera bez wahania oświadczył, że po raz ostatni widział pana Osborna wczesnym popołudniem, gdy przechodził przez hol do wind, zapewne zmierzając do swego pokoju.

W tym momencie niepokój, który Vera świadomie starała się stłumić, przerodził się w strach.

- Całe popołudnie dzwonię do jego pokoju i nikt nie odpowiada. Czy mógłby pan posłać kogoś, by się upewnić, że z nim wszystko w porządku? - spytała po zastanowieniu.

Próbowała nie myśleć o sukcynylocholinie ani zamierzonych eksperymentach Osborna. Wiedziała, że Paul jest bardzo kompetentnym lekarzem, który dokładnie wie, co i dlaczego robi. Ale każdy może się pomylić, a z takim lekiem jak sukcynylocholina nie ma żartów. Przypadkowe przedawkowanie i można bardzo szybko się udusić.

Odłożywszy słuchawkę, Vera popatrzyła na zegar. Szósta czterdzieści pięć.

Dziesięć minut później zadzwonił jej telefon. Był to portier hotelowy z informacją, że pana Osborna nie ma w pokoju. W głosie rozmówcy wyczuwało się wahanie, Serce Very zaczęło bić przyśpieszonym rytmem.

- Jestem jego bliską przyjaciółką - zapewniła. - Czy stało się coś złego?

- Wydaje się, że... - powiedział portier niezdecydowanie. Starał się znaleźć właściwe słowo - doszło do jakiegoś... „nieporozumienia”... w pokoju pana Osborna. Część umeblowania oraz wyposażenia została niewłaściwie użyta.

- Niewłaściwie użyta? Nieporozumienie? O czym pan mówi?

- Mademoiselle, czy może mi pani podać swoje pełne nazwisko? Wezwano policję, być może zechcą panią przesłuchać.

Inspektorzy Barras i Maitrot z Pierwszej Paryskiej Prefektury Policji zostali poproszeni do telefonu natychmiast, gdy tylko dyrekcja hotelu zawiadomiła, iż w pokoju gościa hotelowego, amerykańskiego doktora Paula Osborna, zauważono dowody fizycznego naruszenia stanu posiadania.

Wewnętrzna ościeżnica drzwi do pokoju Osborna została wyrwana ze ściany, zapewne przez kogoś włamującego się z zewnętrznego korytarza. W środku panował dziki nieład. Wielkie podwójne łóżce zostało przesunięte daleko na bok, stół przewrócony. Obok niego na podłodze leżała prawie pusta butelka whisky, co dziwne, zupełnie nieuszkodzona. Lampka nocna, strącona z nocnego stolika, wisiała niepewnie na sznurze kilka centymetrów nad podłogą.

W pokoju nadal znajdowały się ubrania Osborna, jego przybory toaletowe i neseser zawierający materiały na konferencję, czeki podróżne, bilet na samolot oraz notes hotelowy, w którym zapisano kilka numerów telefonów. Na podłodze pod telewizorem leżał egzemplarz dzisiejszej gazety, otwarty na stronicy z repertuarami kin i teatrów, z nazwą kina przy bulwarze Italiens zakreśloną piórem.

Barras usiadł z notesem w dłoni i spojrzął na numery telefonów. Jeden rozpoznał natychmiast. Był to jego własny w komendzie. Drugi należał do Air France, trzeci do agencji wynajmu samochodów. Pozostawały jeszcze cztery do ustalenia. Pierwszy był do Kolb International, prywatnej firmy detektywistycznej. Drugi do kina przy bulwarze Italiens, wyświetlającego filmy w angielskiej wersji językowej, tego samego, które zostało zakreślone w gazecie. Trzeci do prywatnego apartamentu na Wyspie Świętego Ludwika; w spisie telefonów figurował jako należący do niejkiej V. Monneray. Ten sam numer i nazwisko podał im portier hotelowy. Ostatni należał do małej piekarni w dzielnicy Paryża leżącej blisko Gare du Nord.

- Wiesz, co to takiego?



Barras podniósł głowę. Maitrot właśnie wyszedł z łazienki i trzymał między kciukiem a palcem wskazującym małą apteczną buteleczkę. Nawet gdyby uznać, że nie ma oznak przestępstwa w pokoju, mieszkał tu Paul Osborn i panował w nim dostateczny bałagan, by wzbudzić podejrzenia oficerów śledczych. Dlatego też obaj detektywi mieli na dłoniach jednorazowe lateksowe rękawiczki chirurgiczne; nie chcieli zatrzeć ewentualnych odcisków palców.

Wziąwszy od Maitrota buteleczkę, Barras obejrzał ją dokładnie.

- Chlorek sukcyntylocholino - powiedział, odczytawszy etykietkę. Zwracając buteleczkę, potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia. Ale na miejscową receptę. Sprawdź to.

W tej samej chwili policjant w mundurze wprowadził do pokoju hotelowego portiera. Towarzyszyła mu Vera Monneray.

- Panowie, to właśnie ta młoda pani, która do nas telefonowała.

Paul Osborn wiedział jedynie, że wkoło jest ciemno i mokro. Leżał twarzą w dół na gąbczastym piasku. Co to za miejsce i która godzina, nie miał pojęcia. Gdzieś z bliska dobiegał szum rzeki; Osborn cieszył się, że już nie płynie z prądem. Leżąc bez sił, czuł, jak ogarnia go sen, a wraz z nim ciemność czarniejsza od otaczającej; to musiała być śmierć i przyszło mu na myśl, że umrze, jeśli szybko czegoś nie zrobi.

Uniósł głowę i krzyknął. Dokoła panowała cisza, tylko woda szumiała. Zresztą któż miałby go usłyszeć w tych egipskich ciemnościach i w tym zakazanym miejscu? Ale strach przed śmiercią i wysiłek, jakiego wymagało krzyknięcie, przyspieszyły jego puls i wyostrzyły zmysły. Dopiero teraz odczuł ból, głęboko pulsujący z tyłu w lewym udzie. Pomacał ręką i poczuł lepkie ciepło krwi.

- Cholera - zaklął ochryple.

Uniósł się na łokciach i spróbował zorientować, gdzie się znalazł. Podłoże pod nim było miękkie; mech porastający gąbczasty piasek. Wyciągnąwszy lewą rękę, dotknął wody. Przesunął się w prawo i zaskoczony wyczuł ledwie o centymetry od twarzy coś, co w dotyku przypominało powalone drzewo. W jakiś sposób znalazł się na brzegu: albo o własnych siłach, albo popychany przez prąd. Przez myśl przemknęło mu wspomnienie obrzydliwego widoku okaleczonego ciała Kanaracka. I natychmiast pomyślał też o człowieku na brzegu. Wysokim mężczyźnie w kapeluszu, który do nich strzelał.

Nagle przyszło mu do głowy, że tamten, może przyczajony gdzieś blisko, czeka na światło dnia, by dokończyć zadanie. Osborn zupełnie nie

potrafił ocenić, jak poważnie został zraniony, ile krwi Utracił i czy w ogóle będzie mógł stanąć. Ale musiał spróbować. Nie mógł tu pozostać, nawet gdyby wysoki mężczyzna czekał w pobliżu; bał się, że się wykrwawi na śmierć.

Pełznąć powolutku, sięgnął po zwalone drzewo. Chwycił je jedną ręką i podciągnął się. Poczul przesywający, piekący ból i krzyknął odruchowo. Doszedłszy do siebie, leżał cicho, wyczerpany wszystkie zmysły. Jeśli wysoki był w pobliżu, krzyk mógł go tu ściągnąć. Osborn wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać, ale doleciał go tylko szum rzeki.

Rozpiąwszy pasek, wyciągnął go ze szlufek spodni, okręcił nim udo powyżej rany i zapiął. Następnie znalazł gałązkę, przełożył ją przez pasek i obrócił kilka razy, póki ten prowizoryczny krępulec nie zacisnął się wokół jego nogi. Nim zaczął odczuwać odrętwienie, upłynęła blisko minuta. Ból zelżał odrobinę. Trzymając zacisnięty pasek lewą dłonią, prawą przyciągnął się do drzewa. Z trudem zgiął zdrową nogę i po chwili już stał. Znow zaczął nasłuchiwać. I znow nie usłyszał niczego prócz szumu płynącej wody.

Macając w ciemności, znalazł suchą gałąź grubości swego nadgarstka i odłamał ją od drzewa. W tym momencie poczuł coś ciężkiego w kieszeni kurtki. Oparłszy się o drzewo, sięgnął do środka; jego palce zacisnęły się na twardej stali pistoletu, który odebrał Henriemu Kanarackowi. Zapomniał o nim. Zdumiał się, że broń nie wypadła w wodzie. Nie miał pojęcia, czy pistolet będzie działać, ale już samo to, że go wyceluje, zapewni mu przewagę nad większością ludzi, być może nawet nad wysokim mężczyzną. Wziął suchą gałąź i posługując się nią niczym kulą, a zarazem laską, ruszył w ciemność, oddalając się od szumu rzeki.

## 39

### Sobota, 8 października 3.15 rano

Agnes Demblon siedziała w salonie swego mieszkania, napoczynając już drugą od północy paczkę gitane'ów i gapiąc się na telefon. Nadal miała na sobie ten sam pognieciony kostium, który nosiła w biurze przez cały piątek. Nic nie jadła, nawet nie umyła zębów. Do tej pory Henri powinien już wrócić albo przynajmniej zatelefonować, zawiadomić ją w jakiś sposób. Coś poszło nie tak, tego była pewna. Ale co? Nawet jeśli Amerykanin

jest zawodowcem, Kanarack powinien sobie dać z nim radę równie skutecznie jak z Jeanem Packardem.

Ileż to lat upłynęło od chwili, gdy na boisku szkoły przy Drugiej Ulicy w Bridgeport, w Connecticut, przy wszystkich pociągnął ją za włosy i zadarł jej spódnicę. Agnes była wówczas w pierwszej klasie, a Henri Kanarack - nie, Albert Merriman - w czwartej. Zrobił to, roześmiał się i zadowolony z siebie dopadł zaraz potem ze swymi kolegami jakiegoś grubego chłopca; drażnili go i okładali pięściami, dopóki nie doprowadzili dzieciaka do placzu. Jeszcze tego samego popołudnia Agnes wyrównała z nim rachunki. Poszła w ślad za nim ze szkoły do domu, podkradła się do niego z tyłu, gdy zatrzymał się, by na coś popatrzeć, i rąbnęła go wielkim kamieniem w czubek głowy. Pamiętała, jak zwałił się cały zakrwawiony na chodnik. Pamiętała nawet, jak pomyślała, że go zabiła, póki nie wyciągnął nagle ręki, próbując chwycić ją za kostkę, ale zdołała uciec. Taki był początek ich związku trwającego ponad czterdzieści lat. Jak to się dzieje, że ludzie tego samego rodzaju zawsze szukają się nawzajem, nawet w dzieciństwie?

Agnes wstała i zdusiła gitane'a w przepelnionej popielnicze. Była już trzecia trzydzieści rano. Za niecałe dwie godziny będzie musiała wyruszyć do pracy. W soboty otwierali piekarnię na pół dnia. I wtedy przypomniła sobie, że Henri wziął jej wóz. Oznaczało to jazdę metrem, ale nie wiedziała, czy będzie czynne tak wcześnie. Tyle czasu upłynęło od chwili, gdy jechała nim po raz ostatni.

Doszła do wniosku, że zatelefonuje po taksówkę. Poszła do pokoju, zdjęła ubranie i włożyła szlafrok. Potem, nastawiwszy budzik na czwartą czterdzieści pięć, położyła się na łóżku. Naciągnęła na siebie pościel, zgasiła światło i ułożyła się na plecach. Jeśli da radę zasnąć, godzina i piętnaście minut snu jest lepsze niż nic.

Po drugiej stronie ulicy Bernhard Oven siedział za kierownicą ciemnozielonego fordka i patrzył na zegarek. Trzecia trzydzieści siedem.

Na siedzeniu samochodu leżał niewielki czarny prostopadłościan, wyglądający jak pilot do telewizora. W jego lewym górnym rogu znajdował się cyfrowy ekran przekaźnika czasowego. Oven wziął go do ręki i nastawił przekaźnik na trzy minuty i trzydzieści trzy sekundy. Uruchomił silnik fordka i nacisnął mały czerwony guziczek w dolnej prawej części prostopadłościanu. Stoper ruszył i zaczął odliczanie wsteczne po jednej dziesiątej sekundy.

3.32.16

Bernhard Oven raz jeszcze popatrzył na zaciemnioną kamienicę, wrzucił bieg i odjechał.

3.30.01

Na zaśmieconej podłodze piwnicy w kamienicy Agnes Demblon leżało rzędem siedem ładunków krusząco-zapalającego plastiku, połączonych z głównym zapalnikiem elektronicznym. Krótco po drugiej w nocy Oven włamał się tam przez okienko piwniczne. W ciągu niecałych pięciu minut rozmieścił ładunki wśród zwałów starych mebli i ubrań. Szczególną uwagę poświęcił olbrzymiemu zbiornikowi, zawierającemu olej opałowy do centralnego ogrzewania budynku. Następnie wyslizgnął się tą samą drogą, którą przyszedł, i wrócił do samochodu. O drugiej czterdzieści w budynku zgaszone były wszystkie światła z wyjątkiem jednego. O trzeciej trzydzieści pięć Agnes Demblon zgasła także swoje.

O trzeciej trzydzieści dziewięć i trzydzieści sekund plastik eksplodował.

## 40

Lot trzydzieści osiem American Airlines z Chicago zakończył się lądowaniem na lotnisku Kloten, dwadzieścia minut przed planowanym czasem. Linie lotnicze dostarczyły fotel na kółkach, ale Elton Lybarger chciał sam wysiąść z samolotu. Miał się spotkać z rodziną, której nie widział przez rok od swego ataku, i chciał, by ujrzeli człowieka wyleczonego, a nie kalekę, który byłby dla nich ciężarem.

Joanna zebrała ich bagaż ręczny i stanęła za Lybargerem, w chwili gdy ostatni pasażerowie opuszczali samolot. Następnie wręczyła mu laskę i ostrzegła, by stąpał ostrożnie. Lybarger ruszył przed siebie.

Kiedy dotarł do rękawa, zignorował uśmiech i życzenia stewardesy i zdecydowanym ruchem oparł laskę po drugiej stronie drzwi samolotu. Nabrawszy z determinacją powietrza w płuca, przeszedł przez próg, wszedł do rękawa i zniknął w nim.

- Jest nieco zaniepokojony, ale dziękuję w jego imieniu - powiedziała przepraszającym tonem Joanna, mijając stewardesę, i ruszyła szybko, by go dogonić.

W terminalu stanęli w kolejce do odprawy celnej. Gdy przez nią przeszli, Joanna znalazła wózek, odebrała bagaże i razem udali się korytarzem

do stanowiska kontroli paszportów. Nagle zaczęła się zastanawiać, co zrobią, jeśli się okaże, że nikt na nich nie czeka. Nie miała pojęcia, gdzie Elton Lybarger mieszka ani do kogo mogłaby zadzwonić. Przeszli przez kontrolę paszportową i skierowali się do głównego holu terminalu. Nagle sześćoosobowa orkiestra dęta ryknęła jakąś szwajcarską melodię i dwudziestka, może i więcej, wyjątkowo dobrze ubranych mężczyzn i kobiet zaczęła klaskać. Do owacji przyłączyło się czterech stojących za nimi mężczyzn w szoferskich liberiach.

Lybarger przystanął. Joanna nie miała pojęcia, czy rozpoznał tych ludzi, czy nie. Nagle gruba kobieta w futrze i woalce, trzymająca bukiet żółtych róż, rzuciła się naprzód, objęła Lybargera i zasypała pocałunkami, wołając:

- Wujku! Och, wujku! Jak nam ciebie brakowało! Witaj w domu.

Natychmiast zbliżyli się pozostali, otaczając Lybargera i zostawiając Joannę prawie zapomnianą. Wszystko to ją zdumiało. W ciągu pięciu miesięcy intensywnej fizykoterapii Elton Lybarger ani razu nie dał jej do zrozumienia, że jest bogaty czy że ma tak wysoką pozycję społeczną. Gdzie przez cały czas podziewało się to towarzystwo? Dziwne. Ale to nie była jej sprawa.

- Panna Marsh?

Wyjątkowo przystojny mężczyzna odłączył się od grupy i zbliżył do niej.

- Nazywam się von Holden. Jestem pracownikiem firmy pana Lybargera. Czy mogę panią odprowadzić do hotelu?

Von Holden był po trzydziestce, miał metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, szerokie jak u pływaka bary i krótko przystrzyżone ciemnoblonde włosy. Nosił nienagannie skrojony granatowy garnitur w drobne prążki z dwurzędową marynarką, a do niej białą koszulę i ciemny krawat.

- Bardzo panu dziękuję. - Joanna uśmiechnęła się. Spojrzawszy w stronę grupy, zauważyła, że ktoś przyprowadził fotel na kółkach i dwóch szoferów pomaga Lybargerowi na nim usiąść. - Powinam zamienić choć dwa słowa z panem Lybargerem.

- Jestem pewien, że okaże się wyrozumiały - powiedział miłym tonem von Holden. - A poza tym będzie pani z nim na kolacji. A teraz, jeśli pani pozwoli... Tędy, proszę.

Wziąwszy jej bagaż, von Holden poprowadził Joannę bocznymi drzwiami do oczekującej windy. Pięć minut później siedzieli w mercedesie i jechali autostradą NI B w kierunku Zurychu.

Joanna nigdy jeszcze nie widziała takiej zieleni. Wszędzie drzewa i łąki miały głęboką barwę szmaragdu. Za nimi, jak duchy na horyzoncie,

wznosiły się Alpy, nawet tak wcześnie przed sezonem pokryte śniegiem. Jej Nowy Meksyk był krainą pustynną, która pomimo miast pełnych wysokościowców i ciągów handlowych pozostała wciąż surowa, kipiąca niepokojem pogranicza. Kojot, puma i grzechotnik nadal były jej gospodarzami, a pustynie i kaniony siedzibami ludzi, którzy postanowili żyć samotnic. Góry i pastwiska, pełne dzikich kwiatów z końcem wiosny, były o tej porze roku pokryte pyłem i suche jak hubka.

Szwajcaria wyglądała całkiem inaczej. Gdy nadlatywali, Joanna ujrzała ją przez okno samolotu, a teraz gdy mercedes wjechał do Zurychu przez Stare Miasto, tym bardziej odczuwała różnicę. Oto było miejsce ściśle związane z historią Rzymian i Habsburgów. Świat średniowiecznych uliczek, nad którymi wznosiły się budowle z szarego kamienia o przedgotyckiej architekturze; trwał już od wieków, kiedy w szafasie w Nowym Meksyku zapalano dopiero pierwszą lampę olejową.

Joanna wyobrażała sobie oczywiście, jak to będzie, gdy tu przyjadą. Mała, lecz współczująca i kochająca rodzina, czekająca, by powitać Eltona Lybargera. Pożegnalny uścisk wymieniony z pacjentem, może nawet pocałunek w policzek. Potem przyjemny pokój w hotelu podobnym do Holiday Inn. I może jeszcze wycieczka po mieście autokarem turystycznym przed podróżą powrotną następnego dnia. Czasu będzie niewiele, ale wykorzysta go jak najlepiej. I nie może zapomnieć o upominkach! Dla przyjaciół w Taos i dla Davida, logopedy z Santa Fe, z którym spotykała się od dwóch lat, ale z którym nie sypiała.

-Nigdy nie była pani w naszym kraju. - Von Holden patrzył na nią z uśmiechem.

-Nie, nigdy.

-Gdy wprowadzi się pani do hotelu, pokażę pani przed kolacją trochę Szwajcarii - zaproponował uprzejmie. - Oczywiście jeśli pani nie ma nic przeciwko temu.

-Nie mam. Proszę. To będzie bombowe... Chciałam powiedzieć: z największą radością.

-Dobrze.

Limuzyna skręciła w lewo wzdłuż Bahnhofstrasse i teraz jechali przecznica za przecznica wzdłuż eleganckich sklepów i ekskluzywnych kawiarni, promieniujących atmosferą wielkiego i skromnie skrywanego bogactwa. Na końcu Bahnhofstrasse potyskiwała szmaragdowo rozległa tafła wody, na której statki zostawiały za sobą długie wstęgi białej, rozświetlonej słońcem piany.

-Jeziro Zuryskie - odezwał się von Holden.

Czar tego miejsca ovladnął Joanną jak za dotknięciem magicznej różdżki. Gotowa była opowiadać wszystkim, że Szwajcaria to kraj pełen uroku, elegancki, odwieczny. Wszystko z nią związane było ciepłe, gościnnie i bardzo, bardzo bezpieczne. A prócz tego pełne zapachu pieniądza.

- Jak pan ma na imię? - zwróciła się nieoczekiwanie do von Holdena.

- Pascal.

- Pascal? - Nigdy nie słyszała takiego imienia. - To hiszpańskie czy włoskie?

Von Holden uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Urodziłem się w Argentynie - odparł.

## 41

Osborn gapił się na telefon i zastanawiał, czy starczy mu sił, by znów spróbować. Już trzykrotnie usiłował się połączyć; bez rezultatu. Wątpił, czy znajdzie dość siły na następne trzy razy.

Wynurzywszy się z lasu o świcie, znalazł się, jak osądził w słabym świetle wczesnego poranka, na terenie jakiejś farmy. Stał tam nieduży dom, zamknięty na klucz, Osborn dostrzegł jednak kran na zewnątrz. Odkręcił kurek i napił się do woli. Potem rozerwał z tyłu nogawkę i starannie obmył ranę. Zewnętrzne krwawienie prawie ustało, mógł więc zwolnić prowizoryczny krępulec bez obawy, że wywoła je ponownie.

Potem musiał chyba zemdleć, a gdy się ocknął, zobaczył dwóch młodych ludzi z kijami golfowymi, patrzących na niego z góry. Dopytywali się po francusku, jak się czuje. Miejsce, które uznał za pole uprawne, okazało się polem golfowym.

Teraz siedział w lokalu klubowym, gapiąc się na telefon na ścianie. Myślał o Verze. Gdzie była? Pod prysznicem? Nie, nie tak długo. W pracy? Być może. Nie był pewien. Zapomniał już, jaki ma rozkład zajęć, które dni wolne, które spędza w pracy.

Kierownik klubu, mały, chudy jak patyk mężczyzna nazwiskiem Levigne, chciał wezwać policję, ale Osborn przekonał go, że po prostu miał wypadek i ktoś po niego przyjedzie. Bał się wysokiego mężczyzny, ale obawiał się też policji. Najprawdopodobniej znaleźli już Citroena Kanaracka. Wóz zostanie odholowany i zaklasyfikowany jako porzucony lub skradziony. Ale gdy ciało właściciela wypłynie gdzieś w dole rzeki, wezmą pod lupę całutki samochód. A wewnątrz znajdą pełno odcisków palców Osborna. Barras osobiście pobrał je od niego tej nocy, gdy Paul został aresztowany

za napaść na Kanaracka.

Kiedy to było?

Osborn spozjrzał na zegarek. Była sobota. Pierwszy raz ujrzał Kanaracka w poniedziałek. Sześć dni. I to wszystko. Po prawie trzydziestu latach. Kanarack nie żyje, a on po tym wszystkim... zawiłe plany, policja, Jean Packard... Po tym wszystkim nadal nie zna odpowiedzi. Śmierć jego ojca nadal okrywa tajemnica.

Usłyszał jakiś dźwięk i podniósł głowę. Potężnie zbudowany mężczyzna korzystał z telefonu. Na dworze gracze szli w stronę pierwszego miejsca startowego. Poranną mgiełkę wyparł słoneczny blask. Pierwszy bezchmurny dzień od chwili, kiedy przybył do Francji. Pole golfowe znajdowało się blisko Vernon, trochę ponad trzydzieści kilometrów szosą od Paryża.

Na stole przed nim stały resztki mocnej kawy, którą Levigne mu postawił. Uniósł filiżankę, wysączył tę odrobinę, która pozostała. Już samo to zmęczyło go: tyle wysiłku trzeba włożyć w uniesienie małej filiżanki i napicie się.

Po drugiej stronie sali mężczyzna odwiesił słuchawkę i wyszedł na dwór. A co będzie, jeśli nagle wejdzie ów wysoki? Osborn nadal miał w kieszeni marynarki pistolet Kanaracka. Czy znajdzie dość siły, by go wyjąć, wycelować i wystrzelić? Miał za sobą całe lata treningów z bronią krótką i był w tym dobry. Strzelał na strzelnicach w Santa Monica, San Fernando oraz w dolinach Conejo. Czemu to robił, nie wiedział. Sposób na rozładowanie agresji? Dla sportu? Jako obrona przed narastającą falą przestępczości w miastach? A może było to jeszcze coś innego? Oczekiwanie na dzień, gdy ta umiejętność się przyda...

Znów spozjrzał na telefon. Spróbuj. Jeszcze raz. Musisz!

Noga mu zesztyniała, bał się też, że ruch wywoła ponownie krwawienie. Prócz tego szok spowodowany strasznymi przeżyciami zaczął ustępować, a wraz z nim niktęła ochrona naturalnego znieczulenia. Teraz noga pulsowała tak dziko, że nie wiedział, jak długo jeszcze zniesie ból bez pomocy lekarskiej.

Wstał, opierając się na przyciśniętych płasko do stołu dłoniach. Od nagłego ruchu dostał zawrotu głowy i przez chwilę nie był zdolny do dalszego wysiłku, mógł tylko stać i modlić się, by nie upaść.

Kilku golfistów weszło w tej samej chwili i zaraz się cofnęło. Widział, jak jeden z nich rozmawia z Levigne'em, pokazując na mego. A czegoż mógł oczekiwać z takim wyglądem? Ze szklistym wzrokiem, ledwie zdolny



utrzymać się na nogach, ubrany w poszarpane, przemoczone szmaty śmierdzące rzeką, wyglądał na włóczęgę z piekła rodem.

Ale nie miał zamiaru się nimi przejmować ani o nich myśleć.

Znów popatrzył na telefon. Stał od niego mniej niż dziesięć kroków, ale równie dobrze aparat mógł się znajdować w Kalifornii. Podniósłszy łaskę z gałęzi, za pomocą której dotarł aż tutaj, oparł ją przed sobą, przeniósł na nią ciężar ciała i ruszył naprzód. Prawa ręka ustawiła łaskę, prawa noga podąża za nią. Dostawić do niej lewą. Stać. Głęboki oddech.

Telefon nieco się przybliżył.

Gotów? Znowu. Prawa ręka, prawa noga. Lewą dociągnąć. Choć całą uwagę skupił na tym, by się ruszać i na swym celu, Osborn doskonale sobie zdawał sprawę, że ludzie w pokoju mu się przyglądają. Ich twarze się zamgliły.

A wtedy usłyszał głos. Własny głos! Przemawiał do niego. Wyraźnie i zwięźle.

- Pocisk znajduje się gdzieś w mięśniu uda. Nie bardzo wiadomo gdzie. Ale trzeba go wydobyć.

Prawa ręka, prawa noga. Dociągnąć lewą. Prawa ręka, prawa noga.

„Wykonać pionowe cięcie wzdłuż środka tylnej części uda od dolnego skraju pośladka”. Nagle znów był w akademii medycznej i cytował Anatomię Graya. Jak mógł zapamiętać tekst słowo w słowo?

Prawa ręka, prawa noga. Lewa noga. Stanąć i odpocząć. Iść przez pokój, twarze ciągle zwrócone ku niemu. Prawa ręka, prawa noga. Dociągnąć lewą.

Telefon jest prosto przed tobą.

Wyczerpany Osborn powoli sięgnął po słuchawkę i zdjął ją z widełek.

- Paul, masz pocisk w udzie. Trzeba go zaraz wydobyć.

- Wiem, do cholery. Wiem. Wyjmij go.

- No już. Tylko leż spokojnie. Wiesz, kim jestem?

- Oczywiście.

- Jaki mamy dzień?

- Ja... - Osborn zawahał się. - Sobotę.

- Spóźniłeś się na samolot. - Vera ściągnęła rękawiczki chirurgiczne, a potem odwróciła się i wyszła z pokoju.

Osborn odprężył się i rozejrzał wokoło. Znajdował się w jej apartamencie, leżał nagi, twarzą w dół na łóżku w pokoju gościnnym. Vera wróciła chwilę później ze strzykawką w ręce.

-Co to takiego? - zapytał.

-Mogłabym ci powiedzieć, że sukcyntylocholina - odpowiedziała sarkastycznie. - Ale to byłaby nieprawda. - Potarła skórę w górnej części jego pośladka watą nasiąkniętą alkoholem, a potem wbiła igłę i zrobiła mu zastrzyk. - Antybiotyk. Zapewne powinieneś dostać także surowicę przeciw-tężcową. Bóg wie, co było w tej wodzie poza Henrim Kanarackiem.

-Skąd o tym wiesz? - Nagle wspomnienie wszystkiego, co się zdarzyło, przebiegło mu przez głowę jak błyskawica.

Vera schyliła się i delikatnie okryła go kocem. Aż po ramiona, by było mu ciepło. A potem przeszła na drugą stronę łóżka i usiadła naprzeciw Paula na podnóżku antycznego fotela bibliotecznego.

-Zemdlałeś w klubie na terenie golfowym jakieś czterdzieści kilometrów stąd. Ocknąłeś się na chwilę i podałeś im mój numer. Pożyczyłam samochód przyjaciela. Ludzie w klubie byli bardzo uprzejmi. Pomogli mi włączyć cię do wozu. Miałam przy sobie tylko trochę środków uspokajających. Podałam ci wszystkie.

-Wszystkie?

-Dużo gadasz, gdy jesteś przymulony. - Vera uśmiechnęła się. - Głównie o mężczyznach: Henrim Kanaracku, Jeanie Packardzie, twoim ojcu.

W oddali usłyszeli wycie syreny karetki pogotowia. Uśmiech Very zniknął.

-Byłam na policji - powiedziała.

-Policji?

-Zeszłego wieczoru. Niepokoiłam się. Przeszukali twój pokój hotelowy i znaleźli sukcyntylocholinę. Nie wiedzą, co to jest ani do czego służy.

-Ale ty nie...

-Teraz już tak, owszem.

-Przecież nie mogłam ci powiedzieć, prawda?

Osbornowi ciążyły powieki, zaczynał zasypiać.

-Policja? - zapytał słabym głosem.

Vera wstała, przeszła przez pokój i zapaliła małą lampkę w kącie pokoju, a potem zgasiła górne światło.

-Nie wiedzą, że tu jesteś. Przynajmniej nie sądzę, by wiedzieli. Gdy znajdą ciało Kanaracka i jego samochód z twoimi odciskami palców w środku, przyjdą tutaj, by zapytać, czy cię nie widziałam lub nie miałam od ciebie wiadomości.

-I co im powiesz?

Vera wiedziała, że Paul stara się we wszystkim połapać, chciałby zapytać, czy nie popełnił błędu, telefonując do niej, czy naprawdę może jej zaufać. Ale był zbyt zmęczony. Powieki mu opadły i powoli osunął się na poduszkę. Pochyliła się i lekko dotknęła wargami jego czoła.

- Nikt się nie dowie. Przyrzekam - szepnęła.

Osborn już jej nie słyszał. Spadał, koziołkując. Prawda nigdy dotąd nie objawiła mu się tak wyraziście, a zarazem w tak paskudny sposób. Został lekarzem z własnej woli, ponieważ chciał ludzi chronić przed ranami i bólem, ale przez cały czas wiedział, że nigdy nie uchroni przed nimi samego siebie. Ludzie, patrząc na niego, widzieli tylko swoje wyobrażenie doktora. Pomocnego i dbałego. Nigdy nie dostrzegli reszty jego osobowości - bo nie istniała. Była przedtem pustka i tak miało pozostać, dopóki jego wewnętrzne demony nie umrą. To, co wiedział Henri Kanarack, mogło je zabić, ale tak się nie stało. Odnalezienie go tylko je rozdrażniło i teraz było gorzej niż przedtem.

Nagle Paul przestał spadać i otworzył oczy. Była jesień w New Hampshire, a on bawił się z ojcem w lesie. Śmiali się i puszczali kaczki po stawie. Niebo było niebieskie, liście lśniące, a powietrze orzeźwiało.

Miał osiem lat.

## 42

- Aj, McVey! - rzucił Benny Grossman, a potem równie szybko powiedział, że zaraz oddzwoni, i odłożył słuchawkę.

Była sobota rano w Nowym Jorku, środek popołudnia w Londynie. McVey siedział w swym pokoju o rozmiarach chusteczki do nosa w hotelu na Half Moon Street, tak hojnie opłacanego mu przez Interpol. Zakręcił szklanką z nalaną na dwa palce whisky Famous Grouse bez lodu - ponieważ hotel czymś takim w ogóle nie dysponował - i czekał, aż Benny odzwoni.

Ranek spędził w towarzystwie komandora Iana Noble'a, młodego patologa z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych doktora Michaela oraz doktora Stephena Richmana, specjalisty mikropatologii, który odkrył, iż odcięta głowa została poddana działaniu skrajnego zimna.

Dokonawszy na żądanie Scotland Yardu dokładnego „remanentu”, żadne z licencjonowanych w Wielkiej Brytanii towarzystw kriohibernacji, mianowicie Crynetic Sepulture w Edynburgu i Cryo-Mastaba z Camberwell w Londynie, nie stwierdziło braku ani głowy, ani ciała któregośkolwiek

z ich „pensjonariuszy”. Tak więc, jeśli nikt nie prowadził niezalegalizowanej firmy kriohibernacji ani nie miał ręcznej kriokapsuły, z którą włączył się po Londynie, nosząc ciała lub części ciał zamrożone do temperatury poniżej minus trzystu stopni Fahrenheita, musieli wykluczyć możliwość, że ich nieznajomy dał sobie zamrozić głowę dobrowolnie.

Do chwili gdy McVey, Noble i doktor Michaels zjedli śniadanie i przybyli do biura połączonego z laboratorium Richmana na Gower Mews, Richman zdążył już zbadać pozbawione głowy ciało Johna Cordella, znalezione w małym mieszkanku naprzeciw placu gier i zabaw przy katedrze Salisbury. Prześwietlenie ciała ujawniło dwie śruby spajające pęknięcie w dolnej części miednicy. Śruby prawdopodobnie miały zostać usunięte, gdyby złamanie zrosło się należycie, niestety, człowiek ów nie dożył tego momentu.

Przeprowadzone przez Richmana badania wykazały, że śruby mają mikroskopijne pającze pęknięcia, co dowodziło bezspornie, iż ciało poddano takiemu samemu skrajnemu schłodzeniu jak głowę, do temperatury bliskiej zera bezwzględnego.

- Ale dlaczego? - zapytał McVey.

- To z pewnością nie jedyne pytanie, prawda? - odrzekł doktor Richman, otwierając drzwi zatłoczonego laboratorium. Zebrali się w nim, by porównać slajdy śrub wyjętych z ciała Cordella i płytki z czaszki ich niezidentyfikowanego osobnika. Richman poprowadził ich wąskim żółtozielonym korytarzem do swego gabinetu.

Stephen Richman był po sześćdziesiątce, tęgi, ale sprawny i masywny w sposób wskazujący na to, że w młodości ciężko pracował fizycznie.

- Wybaczcie bałagan - powiedział, otwierając drzwi do gabinetu. - Nie byłem przygotowany na wizytę czwórki do brydża.

Jego miejsce pracy przypominało rozmiarami szafę; było o połowę mniejsze od mikroskopijnego hotelowego pokoiku McVeya. Wśród książek, czasopism, korespondencji, tekturowych pudeł oraz stosów naukowych kaset wideo stały szklane naczynia, zawierające zakonserwowane narządy Bóg wie ilu gatunków istot; w niektórych słojach znajdowały się nawet po trzy, cztery eksponaty. Gdzieś w tym chaosie mieściło się okno, biurko i fotel Richmana. Dwa krzesła dźwigały stosy książek i skoroszytów. Richman opróżnił je dla gości. McVey zaproponował, że postoi, ale lekarz nawet nie chciał o tym słyszeć i zniknął w poszukiwaniu trzeciego krzesła. Wyczekawszy cierpliwie piętnaście minut, zobaczyli go ponownie;

dźwigał krzesło biurowe z brakującym jednym kółkiem, znalezione w piwnicznym składziku.

- Pytanie, detektywie McVey, w istocie nie brzmi „dlaczego?”, ale „jak?” - oznajmił Richman, gdy wreszcie się usadowili, zupełnie jakby McVey zwrócił się do niego przed chwilą, a nie prawie pół godziny wcześniej.

- Co pan ma na myśli? - zapytał McVey.

- Ma na myśli, że mówimy o tkankach ludzkich - powiedział stanowczym tonem Michaels. - Eksperymenty z temperaturami bliskimi zera bezwzględnego prowadzone były głównie z solami i niektórymi metalami, jak miedź. - Nagle Michaels zdał sobie sprawę, że przekracza granice dobrego wychowania. - Proszę mi wybaczyć, doktorze Richman - przeprosił - nie miałem zamiaru...

- Wszystko w porządku, doktorze. - Richman się uśmiechnął. A potem popatrzył prosto na McVeya i komandora Noble'a. - Powinniście wiedzieć, panowie, że w żargonie naukowym to wszystko brzmi bardzo skomplikowanie. W każdym razie mówimy o trzeciej zasadzie termodynamiki, w której założono, że nauka nigdy nie osiągnie temperatury zera bezwzględnego, ponieważ oznaczałoby to między innymi stan doskonałego uporządkowania. Uporządkowania atomowego.

Twarz Noble'a wyrażała kompletny brak zrozumienia. Podobnie McVeya.

- Każdy atom składa się z elektronów krążących wokół jądra złożonego z protonów i neutronów. Gdy jakieś ciało się oziębia, normalne ruchy atomów i cząstek zostają zredukowane, spowolnione, jeśli wolicie. Im niższa temperatura, tym wolniejsze ruchy.

Gdybyśmy teraz wzięli magnes i dokładnie zogniskowali go na owych wolno poruszających się atomach, stworzylibyśmy pole magnetyczne, za pomocą którego moglibyśmy manipulować atomami i ich cząstkami i zmusić je do zachowywania się prawie całkiem tak, jak chcemy. Teoretycznie, gdybyśmy potrafili osiągnąć zero bezwzględne, moglibyśmy osiągnąć więcej niż „prawie całkiem”; moglibyśmy uzyskać dokładnie to, czego chcemy, ponieważ wszelki ruch by ustał.

- Lecz w ten sposób znów powracamy do pytania McVeya - zauważył Noble. - Dlaczego? Po co zamrażać ciało oraz głowę do takiego stopnia, nawet, założmy, do zera bezwzględnego?

- By je połączyć - odparł bez cienia emocji Richman.

- Połączyć? - powtórzył z niedowierzaniem Noble.

-To jedyna przyczyna, jaka przychodzi mi na myśl.

Pociągnąwszy się za ucho, McVey odwrócił się i wyrztał przez okno. Poranek był jasny i słoneczny. Na zasadzie kontrastu gabinet Richmana sprawiał wrażenie zatęchłego pudelka. Odwróciwszy się w drugą stronę, McVey znalazł się nos w nos z kloszem wypełnionym jakimś płynem konserwującym. Etykieta mówiła, że zawiera on mózg kota rasy maltańskiej. Popatrzył na Richmana.

-Mówi pan o chirurgii atomowej, zgadza się?

-Swego rodzaju. - Richman się uśmiechnął. - Mówiąc prostym językiem, w temperaturze zera bezwzględnego przy zastosowaniu silnego pola magnetycznego wszystkie cząstki atomowe zostaną doskonale uporządkowane i znajdują się pod całkowitą kontrolą. Gdybyśmy to osiągnęli, moglibyśmy dokonywać zabiegów kriochirurgii atomowej. Mikrochirurgii przekraczającej wszelkie wyobrażenie.

-Gdyby był pan tak uprzejmy i podał nam nieco szczegółów - poprosił Noble.

Richmanowi rozbłyły oczy, a McVey prawie czuł, jak serce doktora zaczyna bić szybciej; najwyraźniej to, o czym rozmawiali, niebawem go ekscytowało.

-Oznacza to, komandorze, oczywiście zakładając, że umiemy zamrażać ludzi do tego stopnia, operowanie ich w tym stanic, a potem odmrażanie bez uszkodzania tkanek... otóż oznacza to zetknięcie się atomów. Utworzy się między nimi wiązanie chemiczne w taki sposób, że dany elektron będzie należał do dwóch różnych atomów. Spowoduje to połączenie bez szwu. Szew doskonały, jeśli pan woli. Będzie tak, jakby stworzyła go natura. Jak u drzewa rosnącego w taki sposób.

- Czy ktoś próbuje to zrobić? - zapytał spokojnie McVey.

- To nie jest możliwe - wtrącił się Michaels. McVey spojrział na niego.

- Dlaczego?

- Z powodu zasady nieoznaczoności Heisenberga. Jeśli pan pozwoli, doktorze Richman.

Richman skinął głową i młody patolog zwrócił się do McVeya. Z jakiegoś powodu odczuwał potrzebę udowodnienia Amerykaninowi, że zna się na swoim zawodzie i wie, o czym mówi. Uznał to za ważne dla ich pracy. A prócz tego był to jego sposób okazywania i równocześnie domagania się szacunku.

- To zasada mechaniki kwantowej, która mówi, że nie jest możliwe zmierzenie dwóch właściwości obiektu kwantowego, powiedzmy atomu lub cząstki, w tym samym czasie z nieskończoną dokładnością. Może pan zmierzyć jedno lub drugie, lecz nie oba naraz. Może pan orzec o szybkości i kierunku ruchu atomu, ale nie może pan równocześnie powiedzieć, gdzie się on dokładnie znajduje.

- Czy można to zrobić w temperaturze zera bezwzględnego? - McVey spełnił oczekiwania Michaela.

- Oczywiście. Ponieważ wtedy wszystko ulega zatrzymaniu.

- Detektywie McVey - wtrącił Richman - możliwe jest uzyskiwanie temperatur niższych niż jedna milionowa stopnia powyżej zera bezwzględnego. To już robiono. Pojęcie zera bezwzględnego jest właśnie tym, tylko pojęciem. Zero bezwzględne nie może zostać osiągnięte.

- Moje pytanie, doktorze, nie dotyczy tego, czy może, czy nie może. Pytałem, czy ktoś próbuje tego dokonać? - Głos McVeya zabrzmiał zdecydowanie uszczypliwie. Miał dość teorii, teraz żądał faktów. I wpatrywał się w Richmana, oczekując odpowiedzi.

Z tą cechą charakteru detektywa z Los Angeles Noble nigdy się nie zetknął. W tej chwili zrozumiał, dlaczego McVey ma taką reputację.

- Detektywie McVey, jak dotychczas udowodniliśmy, że zamrożone zostało jedno ciało i jedna głowa. Prześwietlenie ujawniło obecność metalu tylko w dwóch z pozostałych sześciu zwłok. Być może będziemy mogli wydać bardziej zdecydowane orzeczenie, gdy dokonamy analiz.

- A tak na pański nos, doktorze?

- Tak na mój nos nie mogę powiedzieć nic oficjalnie. Nieoficjalnie wydaje mi się, że macie do czynienia z nieudanymi próbami bardzo wyrafinowanego typu kriochirurgii.

- Głowa jednej osoby zespolona z ciałem drugiej.

Richman potwierdził gestem.

Noble spojrzął na McVeya.

- Ktoś próbuje zrobić współczesnego Frankensteinia?

- On został stworzony z ciał nieboszczyków - przypomniał Michaels.

- Dobry Boże! - Noble poderwał się, niemal strącając naczynie zawierające rozszerzone serce zawodowego futbolisty Przytrzymał słój, spojrzął najpierw na Michaela, a potem na Richmana. - Tych ludzi zamrożono żywcem?

- Na to wygląda.

-Czemu więc wszystkie ofiary wykazują oznaki zatrucia cyjankiem? - spytał McVey.

-Częściowe zatrucie? Może w ramach zastosowanej procedury, kto wie? - Richman wzruszył ramionami.

Noble popatrzył na McVeya.

-Bardzo panu dziękuję, doktorze Richman. Nie będziemy więcej zabierać panu czasu.

-Chwileczkę, Ian. Jeszcze jedno pytanie, doktorze. - McVey zwrócił się do Richmana. - Gdy odkryto głowę naszego iksa, tajała ze stanu głębokiego zamrożenia. Czy to, kiedy została zamrożona, spowodowałoby jakąś różnicę w jej wyglądzie i strukturze patologicznej?

-Nie jestem pewien, czy pana rozumiem - odrzekł Richman.

-Mamy kłopoty z ustaleniem tożsamości iksa. Nie potrafimy wykryć, kim jest. Może szukamy nie tam, gdzie trzeba, próbując trafić na trop człowieka zaginionego od kilku dni czy tygodni. A gdyby to były miesiące, może nawet lata? Czy to możliwe?

-Pytanie jest hipotetyczne... Ale musiałbym odpowiedzieć, że gdyby ktokolwiek znalazł sposób zamrażania do zera bezwzględnego, to nie sposób byłoby orzec, czy zamrożenia dokonano tydzień temu, sto lat temu albo powiedzmy, nawet tysiąc lat temu, ponieważ w budowie cząsteczkowej nie wystąpiłyby wówczas żadne zakłócenia.

McVey skierował wzrok na Noble'a.

-Uważam, że być może twoi detektywi z sekcji osób zaginionych powinni znowu wziąć się do roboty.

-Chyba masz rację.

Dzwoniący przy łokciu McVeya telefon przywrócił detektywa do rzeczywistości. Podniósł słuchawkę.

-Aj, McVey!

-Cześć, Benny, i daj sobie z tym spokój, dobrze? Zaczynasz się powtarzać.

-Mam to.

-Co masz?

-To , o co pytałeś. Zapytanie Interpolu w Waszyngtonie zostało przyjęte przez sierżanta w czwartek, szóstego października, o godzinie jedenastej trzydzieści siedem rano.

Benny... to znaczy o czwartej trzydzieści siedem po południu w Paryżu.

-No i...?



- Zapytanie dotyczyło tylko tych akt, niczego więcej...

- Taaa...

- Dopiero w piątek, około ósmej rano czasu paryskiego, inspektor kierujący sprawą w policji paryskiej otrzymał fotokopię odcisku palca. Tylko odcisku. Niczego więcej. Czyli piętnaście godzin wcześniej ktoś w Interpolu miał nie tylko odcisk, ale także nazwisko i akta.

- Wygląda, jakby ci mieszał ktoś od nas. Maskowanie czegoś. Albo prywatne działanie. Albo Bóg wie co... Ale jeśli coś źle idzie, to zawsze śledczy nadstawia karku, bo możesz założyć się o wszystkie skarby świata, że nie będzie w Interpolu żadnego śladu, kto przesłał to zapytanie.

- Benny...

- Co, bubele?

- Dziękuję.

Ktoś od nas, maskowanie, prywatne działanie. McVey nienawidził tych słów. Gdzieś w Interpolu coś się działo, a Lebruna robiono w konia. Nie spodoba mu się to, ale trzeba powiedzieć.

Cały kłopot w tym, że gdy McVey wreszcie dodzwonił się do niego do Paryża dwadzieścia minut później, nie zdołał dojść do głosu.

- McVey, mon ami - powiedział podniecony Lebrun - właśnie miałem do ciebie zadzwonić. Sprawy tutaj nagle bardzo się skomplikowały. Trzy godziny temu znaleziono Alberta Merrimana pływającego w Sekwanie. Wyglądał jak wielki ser, tak był posiekany z broni automatycznej. Samochód, który prowadził, odnaleziono jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów stamtąd w górę rzeki, blisko Paryża. I pełno w nim odcisków palców twojego doktora Osborna.

## 43

W ciągu godziny McVey znalazł się w taksówce jadącej na lotnisko Gatwick. Zostawił Noble'a i facetów ze Scotland Yardu myszujących w kartotekach osób zaginionych w poszukiwaniu wszystkich, którzy by odpowiadali rysopisowi iksa i zostali poddani operacji głowy, wymagającej wszczepienia stalowej płytki. Równocześnie dyskretnie sprawdzano wszystkie szpitale i szkoły medyczne w południowej Anglii, szukając osób

lub programów eksperymentów z zakresu zaawansowanych technik chirurgicznych. Przez chwilę McVey nosił się z myślą zażądania w lyońskim Interpolu, by komendy policji wszystkich krajów Europy podjęły takie same działania. Ale powstrzymał się z powodu Lebruna i rewelacji o aktach Merrimana. Nie był pewien, co i czy w ogóle coś się działo w Interpolu, ale jeśli tak, nie chciał, by zaszkodziło to jego śledztwu. Najbardziej ze wszystkiego McVey nienawidził, gdy za jego plecami robiono coś, o czym nie wiedział. W większości tego typu spraw niepotrzebnie człowiek szarpał sobie nerwy i tracił czas. Ale tym razem mogło być inaczej. Co prawda, tu nie był tego taki pewien. Mimo to uznał, że lepiej wstrzymać się i spokojnie poczekać, co odkryje Noble.

Była już piąta trzydzieści po południu czasu paryskiego. Samolot Air France lecący do Los Angeles wystartował z lotniska Charles'a de Gaulle'a o piątą, zgodnie z rozkładem. Na pokładzie nie było doktora Paula Osborna. Nie zgłosił się do odprawy, co oznaczało, że jego paszport nadal znajduje się w rękach paryskiej policji.

McVey był coraz mniej przekonany o słuszności swojej oceny tego człowieka. Osborn skłamał na temat błota na adidasach. I na temat czego jeszcze?

Sprawił wrażenie, że jest po prostu wykształconym mężczyzną, zbliżającym się do wieku średniego, zakochanym po uszy w młodszej od siebie kobiecie. Trudno uznać to za coś niezwykłego; nie było też powodów do jakichkolwiek podejrzeń. Ale teraz sytuacja się zmieniała: dwóch ludzi spotkała gwałtowna śmierć, a „wykształcony, zakochany mężczyzna” McVeya był zamieszany w obie sprawy.

Poza zabójstwami Alberta Merrimana i Jeana Packarda jeszcze coś dręczyło McVeya, i to zanim odbył rozmowę z Lebrunem: nieoficjalna sugestia doktora Stephena Richmana co do ewentualnych nieudanych prób z zakresu bardzo zaawansowanej kriochirurgii, zmierzających do połączenia odciętej głowy z nie należącym do niej ciałem. Doktor Paul Osborn był świetnym chirurgiem ortopedą, ekspertem w zakresie budowy szkieletu ludzkiego, kimś, kto by doskonale wiedział, jak dokonać takich rzeczy.

Od początku McVey poszukiwał jednego człowieka. Być może miał go i wypuścić.

Osborn obudził się i przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Ale zaraz, z nagłą wyrazistością, pojawiła się w polu jego widzenia znajoma twarz. Vera siedziała koło niego na łóżku, ocierając mu czoło wilgotną

chusteczką. Miała na sobie czarne luźne spodnie i duży czarny sweter. Krój, kolor ubrania i słabe światło powodowały, że jej postać wydawała się prawie wątpa, jak figurka z delikatnej porcelany.

- Miałaś bardzo wysoką gorączkę, ale myślę, że już minęła - powiedziała łagodnie. Jej czarne oczy błyszczały tak samo jak podczas ich pierwszego spotkania. Osborn z jakiegoś powodu obliczył, że nastąpiło ono zaledwie dziewięć dni temu.

- Jak długo byłem nieprzytomny? - spytał słabym głosem.

- Niedługo. Może ze cztery godziny.

Chciał się podnieść, ale ostry ból przeszył tylną część jego uda.

Skrzywił się i położył z powrotem.

- Gdybyś mi pozwolił zabrać cię do szpitala, byłoby ci tam nieco wygodniej.

Osborn patrzył w sufit. Nie przypominał sobie, by prosił, żeby nie zabierała go do szpitala, ale pewnie musiał to zrobić. I zaraz sobie przypomniał, że opowiedział jej o ojcu, Kanaracku oraz Jeanie Packardzie.

Vera wstała z łóżka, włożyła chusteczkę do miseczki z zimną wodą i podeszła do stolika stojącego pod małym półkolistym oknem z zaciągniętą ciemną zasłoną.

Osborn rozejrzał się zdziwiony. Z prawej strony miał drzwi do pokoju. Z lewej inne, otwarte drzwi prowadziły do małej łazienki. Sufit nad nim był stromo nachylony. Nie leżał w tym samym pokoju co poprzednio, znajdował się na strychu.

- Jesteś na szczycie budynku, w pokoju pod okapem. Został zbudowany przez ruch oporu w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Prawie nikt nie wie o jego istnieniu.

Vera podniosła pokrywkę z tacy stojącej na stoliku, na którym postawiła miseczkę, wróciła do Paula i postawiła tacę na łóżku obok niego. Zobaczył miskę gorącej zupy, łyżkę i serwetkę.

- Musisz jeść - oznajmiła. Osborn tylko się na nią gapił. - Policja szukała cię u mnie. Musiałam więc polecić przenieść cię tutaj.

- Polecić?

- Portier Philippe jest moim starym i zaufanym przyjacielem.

- Znaleźli ciało Kanaracka, prawda?

Vera skinęła głową.

- Samochód także. Mówiłam ci, że przyjdą, gdy to się zdarzy. Zjawili się mniej więcej godzinę po tym, jak zasnąłeś. Chcieli wejść na górę do apartamentu, ale powiedziałam, że właśnie wychodzę. Rozmawiałam z nimi w holu na dole.

Osborn wydał cichy jęk i popatrzył w dal.

Vera usiadła przy nim na łóżku i wzięła łyżkę.

- Nakarmić cię?

Odebrał jej łyżkę, zanurzył w zupie i zaczął jeść. Był to jakiś bulion. W sam raz osolony, smaczny i Paul jadł przez kilka minut. W końcu jednak odłożył łyżkę, otarł usta serwetką i położył się.

- Nie mam dość sił, by uciec przed kimkolwiek.

- Tak, nie masz.

- Pomagając mi, wpędzisz się w kłopoty.

- Czy to ty zabiłeś Henriego Kanaracka?

- Nie.

- No to jak mogę mieć kłopoty? - Vera wstała i zabrała z łóżka tacę. - Odpocznij teraz. Przyjdę później i zmienię bandażę.

- To nie tylko policja.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jak to wyjaśnisz... jemu? Francuzikowi?

Przycisnąwszy tacę do biodra niczym kelnerka, Vera popatrzyła na niego z góry.

- Francuzik - powiedziała - nie wchodzi w grę.

- Nie? - zdumiał się Osborn.

- Nie... - Vera uśmiechnęła się leciutko.

- Od kiedy?

- Od dnia, w którym cię poznałam. - Vera nie odwracała spojrzenia. - Teraz masz spać. Wrócę za dwie godziny.

Zamknęła drzwi. Osborn był zmęczony. Tak zmęczony, jak jeszcze nigdy w życiu. Spojrzał na zegarek. Siódma trzydzieści wieczorem, sobota, ósmy października.

Na dworze, za zasłoną okienną jego maleńkiej celi, Paryż zaczynał tańczyć.

## 44

Dokładnie w tym samym momencie w odległości około trzydziestu pięciu kilometrów od miasta, przy autostradzie A1, fokker 100 Air Europe, którym leciał McVey, lądował na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Kwadrans później jeden z policjantów Lebruna wioził detektywa do Paryża.

McVey znał już chyba wszystkie kąty na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. I właściwie powinien, bo od chwili jego odlotu minęło ledwie dwa-dzieścia cztery godziny.

Zbliżywszy się do Paryża, kierowca Lebruna przejechał przez Sekwanę i skierował ku Porte d'Orleans. Łamaną angielszczyzną wyjaśnił, że Lebrun jest na miejscu zbrodni i chciałby tam spotkać się z McVeyem.

Gdy przepchnęli się między zajmującymi połowę przecznicy wozami straży pożarnej i tłumkiem gapiów, trzymany z daleka przez żandarmów, deszcz znów zaczął padać. Kierowca zatrzymał się przed ciągle jeszcze tłącą się, wypaloną skorupą kamienicy, wysiadł i przeprowadził McVeya przez labirynt węży pożarniczych i spoconych strażaków, wciąż polewających wodą dymiące ogniska pożaru.

Budynek był doszczętnie zniszczony. Dachy i całego najwyższego piętra brakowało. Pogięte stalowe schodki przeciwpożarowe, powykrzywiane przez ogromną temperaturę, stykające się tu i ówdzie jak elementy niedokończonego wiaduktu, zwisały niebezpiecznie z wyższych pięter, przytrzymywane tylko murem, który groził w każdej chwili zawaleniem. Pomiedzy piętrami poprzez wypalone framugi okien widać było osmalone i zwęglone bale, kiedyś stanowiące ściany i sufity poszczególnych mieszkań. Nad wszystkim wisiał, pomimo nieustannie padającego deszczu, nieomylnie rozpoznawalny smród spalonego mięsa.

Ominąwszy stertę gruzu, kierowca zaprowadził McVeya na tyły budynku, gdzie w świetle przenośnych reflektorów stał Lebrun w towarzystwie inspektorów Barrasa i Maitrota, rozmawiając ze zwalnym mężczyzną w kurtce strażackiej.

- A, McVey - powiedział głośno Lebrun, gdy detektyw pojawił się w świetle. - Znasz inspektorów Barrasa i Maitrota. To jest kapitan Chevallier, zastępca naczelnika Oddziału Podpaleń z Porte d'Orleans.

McVey i naczelnik oddziału podpaleń wymienili uścisk dłoni.

- Czy ogień umyślnie podłożono? - spytał detektyw, znów kierując wzrok ku wypalonej skorupie.

- Oui - powiedział Chevallier i dodał krótkie wyjaśnienie po francusku.

- Pożar miał wyjątkowo wysoką temperaturę i rozprzestrzenił się bardzo szybko. Wywołano go za pomocą skomplikowanego urządzenia, prawdopodobnie przy użyciu wojskowych środków zapalających - przetłumaczył Lebrun. - Mieszkańcy nie mieli żadnych szans. Dwadzieścia dwie osoby. Wszyscy nie żyją.

Przez długą chwilę McVey milczał. Wreszcie spytał:

- Czy znany jest powód?

- Tak - odparł zdecydowanie Lebrun, nie starając się ukryć gniewu. - Ktoś z mieszkańców był właścicielem samochodu, który prowadził Albert Merriman, w chwili gdy znalazł go twój przyjaciel Osborn.

- Lebrun - odrzekł McVey spokojnie, lecz twardo – po pierwsze, Osborn nie jest moim przyjacielem. Po drugie, pozwól, że zgadnę: wóz Merrimana należał do kobiety.

- To trafny domysł - wtrącił po angielsku Barras. - Kobieta nazywała się Agnes Demblon.

- McVey. - Lebrun uniósł brwi. - Zdumiewasz mnie.

- Co macie na Osborna? - uniknął skomentowania pochwały McVey.

- Znaleźliśmy peugeota, którego wynajmował, na ulicy oddalonej jakieś dwa kilometry od jego hotelu. Miał wsunięte trzy mandaty za parkowanie, co oznacza, że nie był ruszany z miejsca od wczorajszego popołudnia.

- Od tej pory ani śladu po nim?

- Zarządziliśmy poszukiwania w całym mieście, a policja prowincjonalna sprawdza teren pomiędzy miejscem, gdzie ciało Merrimana zostało wyrzucone na brzeg przez wodę, a tym, gdzie znaleziono jego wóz.

W pobliżu dwóch krzepkich strażaków przepychało nadpaloną dziecięcą kołyskę przez otwarte drzwi. Cisnęli ją na ziemię obok nadpalonego stelażu sprężynowego materaca. McVey popatrzył na nich, a potem zwrócił się do Lebruna.

- To miejsce, gdzie znalazłeś samochód Merrimana... jedźmy tam.

Żółte światła białego forda Lebruna przesywały ciemność. Wóz skręcił w drogę ciągnącą się wzdłuż Sekwany do parku, w którym policja odnalazła citroena Agnes Demblon.

- Nazywał się Henri Kanarack. Pracował w piekarni koło Gare du Nord około piętnastu lat. Agnes Demblon była tam księgową- powiedział Lebrun, wyciągając zapalniczkę z tablicy rozdzielczej. - Z pewnością byli ze sobą związani. Ale w jaki sposób? Jesteśmy skazani na domysły. Tutaj poślubił Francuzkę Michele Chalfour.

Myślisz, że to ona podłożyła ogień? ~ Nie mogę tego wykluczyć, dopóki jej nie przesłuchamy. Ale jeśli była tylko gospodynią domową, a na to wygląda, wątpię, by miała dostęp do tego rodzaju materiałów wybuchowych.

Detektywi Barras i Maitrot dokładnie przeszukali mieszkanie Henriego Kanaracka przy alei Verdier i nic nie znaleźli. Było prawie puste. Trochę

ubrań Michele Kanarack, kilka katalogów z reklamami ubranek dla małych dzieci, pół tuzina niezapłaconych rachunków, trochę jedzenia w szafkach i w lodówce i to wszystko. Było oczywiste, że Kanarackowie spakowali się i pośpiesznie wyprowadzili.

Na tym etapie śledztwa jedno było pewne: Albert Merriman vel Henri Kanarack znajduje się w kostnicy. Gdzie znajduje się Michele Kanarack, nie wiadomo. Sprawdzanie w hotelach, szpitalach, gospodach przydrożnych, kostnicach i więzieniach nic nie przyniosło. Tak samo bezowocny okazał się trop jej panińskiego nazwiska Chalfour. Nie miała prawa jazdy, paszportu, nawet karty wstępu do biblioteki publicznej na żadne z obu nazwisk. Nie było też żadnej jej fotografii w mieszkaniu ani w portfelu Merrimana vel Kanaracka. Pozostało im tylko samo nazwisko. Niemniej Lebrun zdecydował się wysłać list gończy; może miejscowa policja gdzieś coś wykryje.

- Jak zginął Merriman? - McVey zapamiętał dokładnie krajobraz, w chwili gdy skręcili z szosy w błotnistą, otaczającą park drogę.

- Heckler & Koch MP-5K. Automatyczny. Prawdopodobnie z tłumikiem.

McVey się skrzywił. Pistolet maszynowy z magazynkiem na trzydzieści nabojów, kalibru dziewięć milimetrów, ulubiona broń terrorystów, preferowany również przez handlarzy narkotyków.

- Znalazłeś go?

Zgasiwszy papierosa, Lebrun zwolnił do żółtego tempa, manewrując fordem wśród wielkich kałuż.

- Nie, tak orzekli ci z medycyny sądowej i balistyki. Przez większość popołudnia zespół płetwonurków przeszukiwał rzekę, ale bez powodzenia. Prąd jest tu bardzo silny. Dlatego ciało Merrimana odpłynęło tak daleko i tak szybko. - Lebrun zatrzymał wóz przy drzewach. - Stąd się przespacerujemy – powiedział i wyciągnął z uchwytu pod siedzeniem dużą latarkę elektryczną.

Deszcz ustał, zza przesuwających się chmur wyglądał księżyc. Dwaj detektywi wysiedli i skierowali się ku rampie z żużlu i ziemi, prowadzącej w dół ku wodzie. Po drodze McVey obejrzał się przez ramię. W dali ledwie mógł dostrzec reflektory samochodów, jadących w sobotnią noc szosą wiodącą wzdłuż brzegu Sekwany.

- Uważaj, jak idziesz, tu jest ślisko - ostrzegł Lebrun, gdy dotarli do przystani u stóp rampy. Skierował tam snop światła i pokazał McVeyowi

to, co pozostało ze splukanych deszczem śladów opon wozu Agnes Demblon po odholowaniu go przez policję.

- Deszcz był zbyt silny - zauważył Lebrun. - Jeśli były tu jakieś odciski stóp, to zmyło je, zanim się zjawiliśmy.

- Pozwolisz? - McVey wyciągnął rękę, Lebrun wręczył mu latarkę. Skierowawszy ją ku wodzie, Mcvey ocenił szybkość prądu. Potem przykucnął i uważnie przyjrzał się ziemi.

- Czego szukasz? - zapytał Lebrun.

- Tego. - McVey zagarnął dłonią garść ziemi i oświetlił ją latarką.

- Błota?

McVey podniósł głowę.

- Nie, mon ami. Terrain rouge. Czerwone błota.

## 45

W porównaniu z burzliwym powitaniem na lotnisku Kloten kolacja na cześć Eltona Lybargera była niezwykle elegancka i miała całkowicie prywatny charakter. Goście rozsiedli się przy czterech dużych stołach, ustawionych wokół parkietu tanecznego. Dla Joanny było to wejście do zupełnie nowego świata; cała oprawa przyjęcia wydawała się jej niezwykle, wręcz niewiarygodna. W prywatnej sali balowej statku, z wolna płynącego wzdłuż brzegów Jeziora Zuryskiego, czuła się jak jakaś postać z oszałamiająco eleganckiej, findesieclowej sztuki teatralnej.

Joanna siedziała przy stole na sześć osób, obok Pascala von Holdena, ożywionego i oślepijąco przystojnego w granatowym smokingu i wykrochmalonej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. I chociaż uśmiechała się i rozmawiała uprzejmie z innymi gośćmi, obdarzając ich swoją uwagą, nie mogła oderwać oczu od mijanego krajobrazu. Wkrótce miał nadejść zachód słońca. Na wschodzie, nad malowniczą wioską z willami rozrzuconymi bezładnie aż po skraj jeziora, wysokie, lesiste wzgórza wznosiły się coraz wyżej, aż wtapiały wreszcie w przepyszny pejzaż Alp, gdzie leżący na szczytach śnieg słońce barwiło na złocisty róż.

- Pejzaż sentymentalny, co? - Von Holden uśmiechnął się, spojrzawszy na nią.

Sentymentalny? Tak, myślę, że to dobre słowo. Chociaż ja bym powiedziała: przepiękny. - Joanna na króciuteńką chwilę spojrzała von Holdenowi w oczy, a potem zwróciła wzrok ku pozostałym.



Obok niej siedziała bardzo przystojna młoda para z Berlina, Konrad i Margarete Peiperowie, sprawiająca wrażenie ludzi, którym się powiodło. Konrad, o ile zrozumiała, był prezesem dużego niemieckiego towarzystwa handlowego, a jego żona Margarete miała coś wspólnego z show-biznesem. Co dokładnie, tego Joanna nie była pewna i raczej trudno byłoby o to zapytać, ponieważ Niemka większość czasu spędziła, siedząc tyłem do stołu i rozmawiając przez telefon komórkowy.

Naprzeciw niej siedzieli Helmuth i Bertha Salettlowie, brat i siostra. Oboje, jak domyślała się Joanna, byli po siedemdziesiątce i przylecieli tutaj dziś wieczorem ze swego domu w Austrii.

Doktor Helmuth Salettl był lekarzem domowym Eltona Lybargera i Joanna spotkała się z nim cztery czy sześć razy, gdy odwiedził Lybargera w Rancho de Piñon w Nowym Meksyku. Był człowiekiem ponurym i surowym, niewiele mówił, zadał ledwie kilka precyzyjnie sformułowanych pytań co do ogólnego stanu zdrowia i trybu życia Lybargera. Joanna miała na co dzień do czynienia z ludźmi bogatymi i słynnymi, którzy przybywali do Rancho de Piñon, by bez rozgłosu kurować się z uzależnienia od narkotyków czy alkoholu lub po prostu czekać na dobroczynny skutek operacji plastycznych twarzy, nigdy jednak nie zetknęła się z kimś takim jak Salettl. Przerażała ją sama jego obecność i jego głęboko zakorzeniona arogancja. Ale zorientowała się, że dopóki odpowiada na jego pytania i zachowuje się w sposób profesjonalny, wszystko jest w porządku, ponieważ nigdy nie gościł w sanatorium dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

O dwa stoły dalej siedział Elton Lybarger i rozmawiał z pulchniutką kobietą, tą samą, która zasypała go pocałunkami i nazwała na lotnisku „wujaszkiem”. Był odprężony i spokojny, uśmiechał się i przyjmował życzenia od obecnych, którzy przez cały wieczór podchodzili, by ująć jego dłoń i wypowiedzieć kilka ciepłych słów.

Obok Lybargera siedziała grubokoścista, pospolicie wyglądająca kobieta zbliżająca się do czterdziestki. Joanna dowiedziała się, że jest to Gertrudę Biermann, aktywistka Zielonych; najwyraźniej z ogromną przyjemnością przerywała rozmowy Lybargera z innymi, aby wciągnąć go do konwersacji. W miarę upływu wieczoru Joanna coraz goręcej życzyła sobie, żeby ta kobieta przestała się narzucać aż tak bardzo, i nawet zastanawiała się, czy wstać i nie powiedzieć jej tego, bo widziała, że to męczy Lybargera. Joannę intrygowało, dlaczego ta nieapetyczna działaczka polityczna w ogóle się tu znalazła; zupełnie nie pasowała ani do samego Lybargera, ani

do reszty towarzystwa, które w większości reprezentowało wielki biznes.

Przy trzecim stole rej wodziła Uta Baur, określana mianem „najbardziej niemieckiej ze wszystkich niemieckich projektantów mody”; jej kolekcje zostały owacyjnie przyjęte na targach w Monachium i Dusseldorfie we wczesnych latach siedemdziesiątych, a teraz prowadziła przedsiębiorstwa w Paryżu, Mediolanie i Nowym Jorku. Chuda jak pątyk, ubrana na czarno, minimalnie, a może wcale nieumalowana, ostrzyżona prawie do gołej skóry, naturalna platynowa blondynka. Gdyby nie gestykulowała tak żywo i gdyby nie błyszczały jej tak oczy, Joanna mogłaby ją uznać za personifikację kostuchy. Uta Baur miała, co wiedzieli wszyscy obecni, a czego Joanna dowiedziała się później, siedemdziesiąt cztery lata.

Koło drzwi wejściowych stali dwaj mężczyźni w smokingach, którzy wcześniej, na lotnisku, wystąpili w liberiach szoferów. Szczupli i krótkowłosi, bacznie śledzili to, co się działo w salonie. Joanna była pewna, że są goryłami, i już miała zagadnąć o to von Holdena, gdy kelner w krótkich, tyrolskich skórzanych spodenkach zapytał, czy może sprzątnąć jej talerz.

Joanna z wdzięcznością skinęła głową. Głównym daniem był Berner Platte: kiszona kapusta z kotletami schabowymi, gotowanym boczkiem oraz wołowiną, kiełbaskami i ozorem. Mając sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i dziesięć kilogramów nadwagi, Joanna starannie przestrzegала diety. Szczególnie ostatnio, gdy zauważyła, że większość jej przyjaciół spośród zawodowych kolarzy można by uznać za prawie wychudzonych. Trykotowe kombinezony leżały na nich doskonale, i to w każdym miejscu ciała.

Sekretnie, zwierzywszy się tylko swemu jedyneemu prawdziwemu przyjacielowi, bernardynowi Henry'emu, Joanna zaczęła ostatnio przyglądać się krocrom. Męskim krocrom cyklistów.

Joanna wzrastała jako jedyne dziecko pobożnych i prostych ludzi w małym miasteczku zachodniego Teksasu. Jej matka, z zawodu bibliotekarka, urodziła ją, mając czterdzieści dwa lata. Ojciec, listonosz, był pięćdziesięcioletkiem. Oboje zakładali w sposób, w jaki tylko tacy rodzice mogą zakładać, że ich jedyne dziecko wyrośnie na kogoś takiego jak oni: ciężko pracującego, wdzięcznego za to, co ma, i przeciętnego. Joanna przez pewien czas robiła dokładnie to, czego po niej oczekiwano: była skautką, członkinią chóru kościelnego, przeciętną, acz dającą sobie radę w szkole uczennicą, a wreszcie, za przykładem swej najlepszej przyjaciółki, po ukończeniu dwunastej klasy zaczęła uczęszczać do szkoły pielęgniarek. Wcielenie przeciętności i obowiązkowości, jak się wydawało wszystkim i

nawet jej samej, tymczasem w głębi serca Joanna była buntownicza, a nawet kapryśna.

Po raz pierwszy zakosztowała seksu w wieku osiemnastu lat, z pomocnikiem pastora. Przerażona tym faktem i pewna, że zaszła w ciążę, uciekła do Kolorado, opowiadając przedtem wszystkim: przyjaciółce, rodzicom, pomocnikowi pastora, że przyjęto ją do szkoły dla pielęgniarek przy uniwersytecie w Denver. Oczywiście ani nie przyjęto jej do szkoły pielęgniarskiej, ani jak się okazało, nie była w ciąży. Ale została w Kolorado, pracowała ciężko i uzyskała dyplom fizykoterapeutki. Gdy jej ojciec zachorował, powróciła do Teksasu, by pomóc matce. A gdy oboje rodzice umarli, dosłownie tydzień jedno po drugim, natychmiast się spakowała i wyjechała do Nowego Meksyku.

W sobotę pierwszego października, tydzień przed powitalną kolacją dla Eltona Lybargera, Joanna ukończyła trzydzieści trzy lata. Nie kochała się z nikim od owej nocy z pomocnikiem pastora w zachodnim Teksasie.

Nagła burza oklasków rozległa się w pokoju, gdy dwóch kelnerów wniosło wielki tort, utkany świeczkami i postawiło go przed Eltonem Lybargerem. Pascal von Holden położył dłoń na ręce Joanny.

- Czy może pani zostać? - zapytał.

Odwróciwszy wzrok od stołu Lybargera, spojrzała na niego.

- Jak to zostać?

Von Holden uśmiechnął się i zmarszczył na jego opalonej twarzy po-bielaty.

- Tutaj, w Szwajcarii, by dalej opiekować się panem Lybargerem?

- Ja... tutaj? - Joanna nerwowo przesunęła ręką po świeżo umytych włosach.

Von Holden po prostu skinął głową.

- Na jak długo?

- Tydzień, może dwa. Aż do chwili, gdy pan Lybarger dobrze się poczuje w swym domu.

Joanna była zupełnie zaskoczona. Przez cały wieczór zerkwała na zegarek, zastanawiając się, kiedy będzie mogła wrócić do swego pokoju hotelowego, by popakować wszystkie prezenty i drobiazgi dla przyjaciół, które von Holden pomagał jej kupić podczas przejażdżki po Zurychu tego wieczoru. I kiedy położyć się spać? O której musi wstać, by zdążyć dotrzeć na lotnisko i złapać lot do domu?

- Mój p-pies - wyjąkała. Nawet przez głowę jej nie przemknęło, że mogłaby zostać w Szwajcarii. Myśl o spędzeniu jakiegokolwiek czasu poza

własnoręcznie wymoszczonym gniazdkiem była wręcz nie do zniesienia. Von Holden się uśmiechnął.

-Pani pies zostanie oczywiście otoczony troskliwą opieką przez tę chwilę pani nieobecności. A pani oddamy do dyspozycji apartament na terenie posiadłości pana Lybargera.

Joanna nie wiedziała, co myśleć, jak odpowiedzieć czy nawet zareagować. Rozległy się rześiste oklaski od stołu Lybargera, gdy zdmuchnął świeczki, i ponowne, gdy jakby spod ziemi pojawiła się orkiestra dęta i zagrała „Sto lat”.

Kawę i poobiednie drinki podano wraz ze szwajcarską czekoladą. Pulchna kobieta pomogła Lybargerowi pokroić tort, a kelnerzy poroznosili porcje do wszystkich stołów.

Joanna wypila kawę i przełknęła odrobinę bardzo dobrego koniaku. Alkohol rozgrzał ją, a smakował wybornie.

-Będzie niespokojny i niepewny siebie bez pani, Joanno. Zostanie pani, prawda? - Uśmiech von Holdena był życzliwy i szczerzy. Co więcej, poprosił ją w taki sposób, jakby to on, a nie Lybarger ją do tego zachęcał. Łyknęła jeszcze koniaku i poczuła, że się rumieni.

-Tak, zgoda - usłyszała samą siebie. - Jeśli jest to tak ważne dla pana Lybargera, oczywiście zostanie.

W głębi sali orkiestra dęta zagrała walca wiedeńskiego i młoda niemiecka para wstała od stołu, by zatańczyć. Rozejrzawszy się, Joanna zobaczyła, że inni również się podnoszą.

-Joanno?

Odwróciła się i ujrzała, że von Holden stoi za jej krzesłem.

-Czy mogę? - zapytał.

-Ależ oczywiście. - Niezamierzony szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Wstała, a von Holden odsunął jej krzesło. Chwilę później poprowadził ją obok Eltona Lybargera na parkiet. Przy wtórze barbarzyńskich tonów orkiestry dętej wziął ją w ramiona i zatańczyli.

## 46

-Zawsze mówię dzieciom, że nie będzie bolało. Tylko lekkie uklucie - powiedział Osborn, patrząc, jak Vera wciąga z ampułki do strzykawki pięć mililitrów surowicy przeciwtężcowej. - One wiedzą, że kłamię, i ja wiem, że kłamię. Nie wiem, czemu im to mówię.

- Mówisz, bo na tym polega twoja praca. - Vera się uśmiechnęła. Zrobiwszy zastrzyk, wyciągnęła igłę, zdjęła ją, zawinęła strzykawkę w bibułę, to samo zrobiła z ampułką i włożyła wszystko do kieszeni kostiumu. - Rana jest czysta i goi się dobrze. Jutro zaczniemy się gimnastykować.

- I co potem? Nie mogę zostać tutaj do końca życia - rzeki markotnie Osborn.

- Być może tego właśnie zapragniesz. - Vera rzuciła mu złożoną gazetę. Było to najświeższe wydanie „Le Figaro”. - Strona druga - powiedziała.

Rozłożywszy gazetę, Osborn ujrzał dwie fotografie. Jedna przedstawiała jego, było to zdjęcie zrobione przez paryską policję; druga ukazywała mundurowych policjantów, wnoszących przykryte prześcieradłem ciało po stromym brzegu rzeki. Obie łączył tytuł: „Amerykański lekarz zamieszany w morderstwo Alberta Merrimana”.

Dobra, a więc obejrzeni Citroena i znaleźli w nim jego odciski palców. Wiedział, że tak będzie. Nie ma powodu do zdumienia czy szoku. Ale... Albert Merriman? A to co znowu?

- To prawdziwe nazwisko Henriego Kanaracka. Był Amerykaninem. Wiedziałeś o tym?

- Powinienem się domyślić. Ze sposobu, w jaki mówił.

- Był zawodowym mordercą.

- O tym mi powiedział...

Nagle ujrzał twarz Kanaracka; patrzył na niego sponad rwącej wody, przerażony, że może dostać jeszcze jeden zastrzyk suk-cynylocholino. Osborn usłyszał zdławiony strachem głos Kanaracka tak wyraźnie, jakby ten znajdował się w tej chwili w jego pokoju: „Zapłacono mi...”. A potem znów przeżył szok, że zamordowanie jego ojca było czymś, co zrobiono dla interesu, na zimno, bez emocji. Erwin Scholl...

- Nie! - wrzasnął na całe gardło.

Vera spojrzała bystro. Osborn miał zaciśnięte zęby i patrzył prosto przed siebie, gdzieś w przestrzeń.

- Paul...

Osborn przetoczył się po łóżku i zsunął z niego nogi. Podniósł się niepewnym ruchem. Stał się chwiejnie, z twarzą białą jak kreda i zupełnie pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Na jego czole wystąpiły krople potu, pierz z każdym oddechem przeraźliwie falowała. Wszystko do niego wróciło. Był na skraju załamania, wiedział o tym i nie mógł nic zrobić, by temu zapobiec.

- Paul. - Vera podeszła do niego. - Wszystko w porządku. Wszystko jest w porządku...

Szarpnął głową, by na nią popatrzeć, zmrużył oczy. Oszalała. Jej argumenty pochodziły z zewnętrznego świata, gdzie nikt niczego nie rozumiał.

- Diabła tam w porządku! - Mówił głosem zduszonym z wściekłości. Ale była to pełna bólu wściekłość dziecka. - Myślisz, że mogę to zrobić? A więc nie mogę.

- Czego nie możesz...? - zapytała bardzo łagodnie Vera.

- Wiesz, co mam na myśli!

- Nie.

- Diabła tam nie!

- Nie...

- Chcesz, bym to powiedział?

- Co powiedział?

- Że... Że... - zająknął się. - Że mogę odnaleźć Erwina Scholla. Otóż nie mogę. To wszystko! Nie mogę! Nie mogę zaczynać znów wszystkiego od początku! Dlatego więcej nie pytaj. Czy to jasne?! - wrzeszczał pochylony nad nią. - Czy to jasne, Vera? Nie pytaj, bo tego nie zrobię! Nie zrobię, bo nie mogę!

Nagle dostrzegł swoje spodnie, wiszące na oparciu krzesła koło stołu pod oknem, i skoczył po nie. Gdy to zrobił, jego zraniona noga zgięła się i krzyknął. Przez chwilę widział sufit. A potem podłoga uderzyła go w plecy. Leżał przez moment, a później usłyszał czyjś szloch, jego wzrok zmaćnił się i niczego już nie widział.

- Ja tylko chcę do domu. Proszę - usłyszał czyjś głos. Było w tym coś peszącego, bo głos był jego, tylko znacznie młodszy i zdławiony łzami. Rozpaczliwie poruszył głową, szukając Very, ale nic nie ujrzał prócz mglistego szarego światła. - Vera... Vera... - zawołał, nagle przerażony, że coś stało się z jego oczami. - Vera!

Gdzieś bardzo, bardzo blisko usłyszał stukanie. Był to dźwięk, którego nie rozpoznawał. Potem poczuł dłoń przesuwającą się po jego włosach i rozumiał, że ma głowę złożoną na jej piersiach, a to, co słyszy, to bicie jej serca. Po chwili doleciał do niego rytm własnego oddechu. I miał wrażenie, że ona leży koło niego na podłodze i że to trwa już pewien czas. Że trzyma go w ramionach i łagodnie kołysze. Ale jego wzrok nadal był zmaćniony i Osborn nie wiedział dlaczego. Aż rozumiał, że płacze.

- Jest pan pewien, że to ten człowiek?

- Oui, monsieur.

- Pan także?

- Oui.

Lebrun odłożył paryskie zdjęcia policyjne Osborna na biurko i spojrzął na McVeya.

Obaj detektywi opuścili nadrzeczny park i ruszyli w drogę powrotną do miasta, gdy odezwał się radiotelefon. McVey, przysłuchując się prowadzonej po francusku rozmowie, usłyszał nazwiska Osborna i Merrimana, ale nie mógł zrozumieć, co o nich mówiono. Lebrun się rozłączył i zreferował mu treść rozmowy.

- Daliśmy zdjęcie Osborna wraz z historią Merrimana do gazet. Kierownik klubu golfowego przypomniał sobie Amerykanina, który wyglądał podobnie jak Osborn i którego znaleziono dziś rano koło rzeki przy polu golfowym. Poczęstował go kawą i pozwolił skorzystać z telefonu. Uważa, że to może być ten sam człowiek.

Teraz nie było już wątpliwości, czy to rzeczywiście Osborn wynurzył się z rzeki.

Kierownik klubu Pierre Levigne przybył na posterunek niechętnie, przyholowany przez przyjaciela. Levigne nie chciał być w nic zamieszany, ale przyjaciel ostrzegł go, że to sprawa o morderstwo i jeśli nie złoży zeznania, może narazić się na poważne kłopoty.

- Gdzie on teraz jest? Co się z nim stało? Do kogo telefonował? - pytał McVey, a Lebrun tłumaczył na francuski.

Levigne zgodził się mówić, pod warunkiem że policja nie dopuści, by jego nazwisko ukazało się w prasie.

- Wiem tylko tyle, że przyjechała po niego kobieta.

Dwie minuty później, usłyszawszy podziękowania i pochwały za ich poczucie obowiązku obywatelskiego, Levigne wraz z przyjacielem wyszli odprowadzeni przez mundurowego policjanta.

- Vera Monneray.

Lebrun potrząsnął głową.

- Barras i Maitrot już z nią rozmawiali. Nie widziała Osborna, nigdy nie słyszała o Albercie Merrimanie ani o jego alter ego, Henrim Kanaracku.

- Dajże spokój, Lebrun. A co sobie wyobrażałeś, że powie? - odrzekł cynicznie McVey. - Zajrzeli do jej apartamentu?

Lebrun zamilkł, a potem odezwał się rzeczowym tonem.

- Właśnie wychodziła. Spotkali ją w holu.

McVey jęknął i popatrzył w sufit.

- Lebrun. Wybacz mi, być może kwestionuję wasz modus operandi, ale macie portret Osborna w gazecie i pół Francji zagląda we wszystkie dziury, by go znaleźć, a ty mi mówisz, że nikt nie zadał sobie trudu, by sprawdzić apartament jego dziewczyny!

Lebrun zamiast odpowiedzieć wprost, wziął telefon i polecił, by detektywi zbadali miejsce, gdzie Osborn wyszedł z rzeki, i poszukiwali narzędzia mordu. A potem odłożył słuchawkę i niespiesznie zapalił papierosa.

- Czy ktokolwiek pomyślał o tym, by zapytać, dokąd ona się wybiera? Spojrzenie Lebruna nie zdradzało żadnych emocji.

- Powiedziacieś, że wychodziła. Dokąd szła, do cholery?

Lebrun głęboko zaczerpnął powietrza i przymknął oczy. To był konflikt kultur. Amerykanie są nudziarzami! Co więcej, absolutnie nie mają poczucia przyzwoitości!

- Wyjaśnię ci to następująco, mon ami. Jesteś w Paryżu i mamy sobotni wieczór. Mademoiselle Monneray mogła być w drodze na rendez-vous z premierem. Jakkolwiek było, podejrzewam, że badający sprawę policjanci uważaliby to pytanie za bardziej niż niedelikatne.

Teraz McVey zaczerpnął głęboko powietrza, a potem podszedł do biurka Lebruna, położył na nim ręce i spojrzał z góry na Francuza.

- Mon ami, chciałbym ci powiedzieć, że w pełni rozumiem tę sytuację.

Pomięta marynarka McVeya była niezapięta i Lebrun widział kolbę rewolweru kalibru .38 spoczywającego w kaburze na biodrze z kurkiem zabezpieczonym skórzanym paskiem. Większość policjantów na świecie nosiła pistolety kalibru dziewięć milimetrów z magazynkiem na dziesięć lub piętnaście naboji, a tu stał oto McVey z sześciostrzałowym rewolwerem Smith & Wesson. Sześciostrzałowiec! W wieku emerytalnym czy nie, McVey był - mon Dieu! - kowbojem!

- Lebrun, z całym należnym tobie i Francji szacunkiem, ja muszę dostać Osborna. Chcę rozmawiać z nim o Merrimanie. I o Jeanie Packardzie. A także o naszych pozbawionych głów przyjaciółach. A jeśli mi powiesz: McVey, już raz go miałeś i wypuściłeś, to ja ci powiem: Lebrun, to muszę go mieć jeszcze raz! I biorąc pod uwagę rycerskość i wszystko inne, powiem, że najprostsza droga do tego sukinsyna prowadzi przez tę cholerną Verę Monneray, bez względu na to, kogo ona ujeżdża! Comprenez-vous?

## 47

Trzydzieści minut później, o jedenastej czterdzieści pięć, dwaj detektywi siedzieli w fordzie Lebruna na cywilnych numerach rejestracyjnych przed domem Very Monneray.



Na Quai de Bethune, nawet w godzinach szczytu, jedzie się z Paryskiej Prefektury Policji co najwyżej pięć minut. O jedenastej trzydzieści byli już w środku i rozmawiali z portierem w holu. Nie widział mademoiselle Monneray od chwili, gdy wyszła wcześniej wieczorem. McVey zapytał, czy mogłaby wrócić do budynku, nie przechodząc przez hol. Tak, gdyby skorzystała z tylnego wejścia i poszła na górę schodami dla służby. Ale to było absolutnie nieprawdopodobne. Mademoiselle Monneray nie używa schodów dla służby” - padło niepodważalne stwierdzenie.

- Spytaj go, czy nie ma nic przeciw temu, bym zadzwonił na górę - powiedział McVey do Lebruna, biorąc do ręki wewnętrzny telefon.

- Nie mam, monsieur- odparł po angielsku szorstkim tonem portier. - Dwieście czterdzieści pięć.

McVey wykręcił numer i cierpliwie czekał. Odczekał dziesięć sygnałów, nim odwiesił słuchawkę i spojrzał na Lebruna.

- Albo jej nie ma, albo nie odpowiada. Wchodzimy na górę?

- Zaczekamy trochę, co? - Odwróciwszy się do portiera, Lebrun wręczył mu wizytówkę. - Czy może ją pan poprosić, żeby do mnie zadzwoniła, gdy wróci? Merci.

McVey popatrzył na zegarek. Za pięć minut północ. Okna apartamentu Very po drugiej stronie ulicy były ciemne. Lebrun zerknął na McVeya.

- Czuję, jak twoja amerykańska natura buntuje się przeciwko temu, że tam nie wchodzimy - rzekł z uśmiechem. - Służbowymi schodami na górę, karta kredytowa wsunięta pod rygiel zamka i już jesteśmy w środku niczym sprytni włamywacze.

McVey odwrócił wzrok od okna Very.

- Jakie masz związki z Interpołem w Lyonie? - zapytał Lebruna spokojnie. Była to pierwsza okazja, by porozmawiać o tym, czego dowiedział się od Benny'ego Grossmana.

- Takie jak ty - oznajmił z uśmiechem Lebrun. - Jestem waszym człowiekiem w Paryżu. Waszym francuskim łącznikiem z Interpołem w sprawie dotyczącej odciętych głów.

- Sprawa Merrimana-Kanaracka to coś zupełnie innego, prawda? I nie ma nic wspólnego z tamtą.

- Zgadza się. - Lebrun nie był pewien, do czego McVey zmierza.

- Lebrun, proszę mnie, bym zadzwonił do Departamentu Policji w Nowym Jorku. Wreszcie zdobyłem pewne informacje.

- O Merrimanie?

- W pewnym sensie. Interpol w Lyonie, za pośrednictwem Centralnego

Biura Narodowego w Waszyngtonie, zażądał od policji nowojorskiej akt Merrimana piętnaście godzin wcześniej, zanim cię zawiadomili, że uzyskali wyraźny odcisk palca.

-Co? - Lebrun był wstrząśnięty.

-Właśnie to, co powiedziałem. Lebrun pokręcił głową.

-Po co tym z Lyonu te akta? Interpol przekazuje informacje, nie jest biurem śledczym.

-Zacząłem sobie to układać w głowie podczas lotu z Londynu. Interpol otrzymuje zastrzeżone informacje o całe godziny wcześniej, nim do prowadzącego śledztwo dotrze choćby wiadomość o istnieniu odcisku palca, który do tych samych informacji może w końcu doprowadzić. Uznajesz, że wszystko jest w porządku, nawet jeśli ci to trochę nie w smak; ot, jakaś ich wewnętrzna procedura. Może sprawdzają, czy działa system łączności albo jak sprawny jest prowadzący śledztwo. Może ktoś majstruje przy nowym programie komputerowym. Mówisz: dobra, nie warto sobie zawracać głowy. Ale cały kłopot w tym, że następnego dnia wyciągasz z Sekwany faceta od tej teczki, kogoś, kto jakoby nie żyje od dwudziestu kilku lat, i okazuje się, że jest cały naspikowany pociskami z automatu Heckler & Koch. Szczerze wątpię, by była to robota rozszłoszczonej pani domu.

-Przyjacielu, twierdzisz, iż ktoś w centrali Interpolu odkrył, że Meriman żyje, dowiedział się, gdzie go znaleźć w Paryżu, i kazał zabić? - nie dowierzał Lebrun.

-Twierdzę, że piętnaście godzin wcześniej, nim się o tym dowiedzieliśmy, ktoś w Interpolu miał ten odcisk. Doprowadziło go to do nazwiska i ruszyli tym tropem. Być może korzystając z systemu komputerowego Interpolu, być może nie. Niemniej wszystko, co nastąpiło potem, wydarzyło się cholernie szybko. Bo Merrimana rąbnęto kilka godzin po jego identyfikacji.

-Ale po co zabijać człowieka, który w świetle prawa jest już martwy? I po co ten cały pośpiech?

-To twój kraj, Lebrun. Ty mi to wyjaśnij. - McVey odruchowo popatrzył na okno Very Monneray. Nadal było ciemne.

-Pewnie, żeby nie zaczął mówić, gdy do niego dotrzemy.

-Ja też jestem tego zdania.

-Ale po dwudziestu latach? Czego by się bali? Może wiedział coś na temat wysoko postawionych osobistości?

-Lebrun... - McVey przerwał. - Może mam fioła, ale pozwól, że to z siebie wyrzucę. Wszystko to wydarzyło się właśnie teraz w Paryżu. Może

to zbieg okoliczności, a może ma to coś wspólnego z człowiekiem, którego szukamy. Załóżmy, że to nie pierwszy taki wypadek. Załóżmy, że ktokolwiek jest w to wmieszany, ma listę starych wrogów, którzy zatarli za sobą ślady, i że za każdym razem gdy Lyon dostaje nowy odcisk palca albo włos z nosa, albo jakąkolwiek inną powiązaną ze sprawą informację, ten ktoś automatycznie rozpoczyna poszukiwania i odnajduje. A jeśli pojawia się nazwisko z listy, idzie w świat. I to na cały świat, bo taki jest zasięg Interpolu.

- Sugerujesz istnienie organizacji. Z wtyczką w głównej kwaterze Interpolu w Lyonie.

- Powiedziałem, że może mam fioła...

- I podejrzewasz, że Osborn należy do tej organizacji lub jest na jej żołdzie?

McVey wyszczerzył zęby.

- Nie rób mi tego, Lebrun. Mogę teoretyzować do utraty tchu, ale nie mówię o powiązaniach bez dowodów. A jak dotąd nie ma żadnego.

- Ale Osborn byłby dobrym punktem startowym.

- Dlatego tu jesteśmy.

- Następnym - Lebrun uśmiechnął się lekko - byłoby wykrycie, kto w Lyonie zażądał akt Merrimana.

Uwagę McVeya odwrócił samochód, który skręcił w Quai de Bethune i jechał w ich stronę; żółte światła reflektorów przecinały deszcz, który znowu zaczął padać.

Gdy taksówka zwolniła i zatrzymała się przed numerem osiemnastym, detektywi wyprostowali się na siedzeniach. Chwilę później otworzyły się frontowe drzwi i ukazał się portier, niosąc parasol. Otworzyły się drzwiczki od strony pasażera i wysiadła Vera. Dała nura pod parasol i wraz z portierem weszła do domu.

- Wchodzimy? - spytał Lebrun McVeya, a potem odpowiedział na własne pytanie: - Oczywiście wchodzimy. - Sięgnął do klamki, ale McVey powstrzymał go na chwilę.

- Mon ami, na tym świecie jest więcej niż jeden Heckler & Koch i niejeden człowiek wie, jak się nim posługiwać. Byłbym bardzo ostrożny, prowadząc dochodzenie w Lyonie.

- Albert Merriman był kryminalistą, unurzany w błocie brudnych interesów. Uważasz, że zaryzykowałiby zabicie policjanta?

- Popatrz jeszcze raz na to, co zostało z Alberta Merrimana. Policz rany wlotowe i wylotowe i zwróć uwagę, gdzie celowano. A potem zadaj sobie ponownie to pytanie.

Kiedy McVey i Lebrun weszli do holu, Vera czekała na windę. Patrzyła na nich, gdy ku niej zmierzali.

- Pan musi być inspektorem Lebrunem - orzekła na widok papierosa. - Większość Amerykanów rzuciła palenie. Czym mogę panom służyć'."

- Oui, mademoiselle - powiedział Lebrun, a potem wyciągnął rękę i niezgrabnie zdusił papierosa w kamiennej popielniczce koło windy.

- Parlez-vous anglais? - zapytał McVey. Było już późno, dobrze po północy. Vera najwyraźniej wiedziała, kim są i po co przyszli.

- Tak - odrzekła, patrząc mu prosto w oczy.

Lebrun przedstawił McVeya jako amerykańskiego policjanta, współpracującego z Paryską Prefekturą Policji.

- Dobry wieczór panu - powiedziała Vera.

- Chodzi o doktora Paula Osborna. Zna go pani, prawda? - McVey nie bawił się w uprzejmości.

- Tak.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Vera popatrzyła na McVeya, potem na Lebruna, wreszcie z powrotem na McVeya.

- Być może lepiej będzie, jeśli porozmawiamy w moim mieszkaniu.

Stara, mała winda wyłożona polerowaną blachą miedzianą wyglądała jak nieduży pokoik, w którym wszystkie ściany są lustrami. McVey patrzył, jak Vera pochyliła się i nacisnęła guzik. Drzwi się zamknęły, rozległ się głuchy warkot, mechanizm zaskoczył i cała trójka w milczeniu ruszyła w górę. Ani uroda Very, ani jej opanowanie nie zrobiły na McVeyu wrażenia. Ostatecznie była kochanką najważniejszego ministra Francji. Już to samo musiało nauczyć ją panowania nad sobą. Niemniej zaproszenie ich do apartamentu dowodziło odwagi. Dawała im do zrozumienia, że nie ma nic do ukrycia, choć mogło tak nie być. A to oznaczało jedno: nawet jeśli Paul Osborn tu był, teraz już go tu nic ma.

Na pierwszym piętrze Vera otworzyła drzwi kabiny, a potem poprowadziła ich korytarzem do swego apartamentu.

Był już kwadrans po północy. O jedenastej trzydzięci pięć Vera okryła pościelą kompletnie wyczerpanego Paula Osborna, włączyła mały piecyk elektryczny, by mu było ciepło, i wyszła z pokoju ukrytego pod okapem na

szczyście budynku. Strome, wąskie schody wewnątrz kanału instalacyjnego prowadziły do składziku na trzecim piętrze.

Vera właśnie wyszła ze składziku i zamierzała zamknąć go na klucz, gdy pomyślała o policji. Z pewnością zjawią się ponownie, zwłaszcza że nie mają znaku życia od Osborna. Będą ją znowu przesłuchiwać, pytać, czy dowiedziała się czegoś nowego, sondować, czy czegoś nie przeoczyli albo czy ona czegoś nie ukrywa.

Gdy pojawili się po raz pierwszy, powiedziała im, że właśnie wychodzi. A jeśli teraz są na zewnątrz i pilnują, kiedy wróci? Co będzie, jeśli nie zobaczą jej wracającej, a potem okaże się, że spała we własnym mieszkaniu? Po pierwsze, przeszukają budynek. Oczywiście pokój na strychu był ukryty, ale nie aż tak dobrze, zwłaszcza że niektórzy ze starszych policjantów, którzy mieli ojców i wujów w antyhitlerowskim ruchu oporu, pamiętali jeszcze o istnieniu takich skrytek i mogli szukać uważnie.

Zakładając, że prawidłowo ocenia działania policji, Vera zeszła schodami dla służby na ulicę leżącą za budynkiem i zatelefonowała do holu z budki telefonicznej na rogu. Philippe potwierdził jej podejrzenia i odczytał jej wizytówkę Lebruna. Ostrzegłszy go, by nic nie mówił, jeśli policjanci wrócą, przeszła przez Quai des Celestins, skręciła w ulicę l'Hotel de Ville i zeszła na stację metra przy moście Marii. Przejechawszy jedną stację do Sully Morland, wyszła na górę i taksówką wróciła do apartamentu na Quai de Bethune. Wszystko to razem zajęło jej mniej niż pół godziny.

- Zechcą panowie wejść - powiedziała, otwierając drzwi i zapalając światło w przedpokoju, a potem zaprowadziła ich do salonu.

Gdziekolwiek McVey spojrzeł, widział antyczne meble i wschodnie dywany. Nawet chodnik w długim korytarzu był orientalny. Salon miał długość prawie dwa razy taką jak szerokość. Wielki plakat art deco w złoczonej ramie - praca Muchy, jeśli McVey dobrze pamiętał z historii sztuki - wisiał na ścianie w drugim końcu pokoju; wprost słychać było z tamtej strony to jedno pożądane słowo: oryginał. Naprzeciw długiej, krytej białym płótnem sofy stał odrestaurowany staromodny fotel. Zawiły, kręty rysunek nóg i poręczy, różnobarwne, ręcznie malowane obicie... Wyglądał, jak gdyby został żywcem przeniesiony z kompletu z Alicji w Krainie Czarów. Ale nie był to rekwizyt ani zabawka, tylko przedmiot sztuki użytkowej, jeszcze jeden oryginał.

Jeśli nie liczyć pół tuzina starannie rozmieszczonych antyków i wspinałego wschodniego dywanu, pokój był pusty. Tapeta ze splecionych włókien złotego i srebrnego brokatu wydawała się nietknięta brudem, który w

mieście wielkości Paryża wcześniej czy później pokrywał wszystko. Sufit i stolarka były barwy perłowo-białej, jakby świeżo pomalowane. A McVey mógł sobie wyobrazić, że i reszta apartamentu, podobnie jak ten pokój, jest skrupulatnie, dzień w dzień, utrzymywana w absolutnym porządku.

Wyrzawszy przez jedno z dwóch wielkich okien wychodzących na Sekwanę, ujrzał zaparkowanego po drugiej stronie ulicy białego forda Lebruna. Oznaczało to, że ktoś inny, stojąc w tym miejscu, też mógł go dostrzec. Zobaczyć, że podjeżdża, zatrzymuje się, gasi reflektory, ale nikt nie wysiada ze środka.

Vera zapaliła kilka lamp, a potem zwróciła się twarzą do gości.

- Czy mogę panom zaproponować coś do picia? - zapytała po francusku.

- Wolałbym przejść wprost do rzeczy, jeśli pani pozwoli, panno Monneray - powiedział McVey

- Oczywiście - odparła Vera po angielsku. - Może zechcą panowie usiąść.

Lebrun wybrał krytą białym płótnem sofę, ale McVey wolał stać.

- To pani apartament? - zapytał.

- Należy do mojej rodziny.

- Ale mieszka tu pani sama.

- Tak.

- Spotkała się pani dziś z Paulem Osbornem. Odebrała go pani samochodem z pola golfowego koło Vernon.

Vera siedziała w fotelu Alicji z Krainy Czarów, a McVey patrzył prosto na nią. Był pewien, że Vera jest dość bystra, by temu nie zaprzeczyć.

- Tak - przyznała spokojnie.

Vera Monneray miała dwadzieścia sześć lat. Piękna, spokojna, i na najlepszej drodze do zrobienia doktoratu. Czemu ryzykuje karierę, osłaniając Osborna? Albo dzieje się tu coś, o czym McVey nie ma pojęcia, albo jest naprawdę zakochana.

- Podczas wcześniejszego przesłuchania zaprzeczyła pani, jakoby widziała doktora Osborna.

- Tak.

- Dlaczego?

- Cóż, odpowiem szczerze, że się przestraszyłam i nie wiedziałam, co robić.

- Był w tym mieszkaniu, prawda? - stwierdził McVey.

- Nie - zaprzeczyła chłodno Vera. Akurat na tym kłamstwie trudno byłoby ją im przyłapać. Gdyby powiedziała prawdę, chcieliby wiedzieć, dokąd stąd poszedł i jak tam się dostał.

- Wobec tego nie przeszkodzi pani, że się rozejrzymy? - spytał Lebrun.

- Ani trochę. - Prześcieradła i zakrwawione ręczniki, których użyła, wyjmując pocisk z nogi Osborna, ukryła na strychu, instrumenty wysterylizowała i włożyła z powrotem do torby lekarskiej.

Lebrun wstał i wyszedł z pokoju. W korytarzu zatrzymał się, by zapalić papierosa, a potem poszedł dalej.

- Dlaczego pani się przestraszyła? - spytał McVey, siadając w fotelu naprzeciw Very.

- Doktor Osborn był ranny. Sporą część nocy spędził w rzece.

- Zabił niejakiego Alberta Merrimana. Czy wie pani o tym?

- Nie, nie zrobił tego.

- Czy tak właśnie pani powiedział?

- Detektywie, mówiłam panu, że był ranny. Nie wpadł na nic w rzece, został postrzelony. Przez tego samego mężczyznę, który zabił Alberta Merrimana. Dostał w tylną część uda.

- Doprawdy? - rzucił McVey.

Vera patrzyła na niego przez chwilę, a potem wstała i podeszła do stołu koło drzwi; w tym samym momencie wrócił Lebrun. Vera wysunęła szufladę, coś z niej wyjęła, zamknęła szufladę i wróciła na miejsce.

- Wyjęłam to z niego - oświadczyła, kładąc na dłoni McVeya pocisk, który wydobyła z uda Osborna.

Detektyw obrócił go w dłoni, a potem uniósł, trzymając między kciukiem i palcem wskazującym.

- Miękki czubek. Może być dziewięćmilimetrowy... - powiedział do Lebruna.

Lebrun w odpowiedzi lekko kiwnął głową. Wystarczyło to, by zasygnalizować, że zgadza się z tą opinią: może to być pocisk tego samego rodzaju, jak wyjęte z ciała Merrimana.

McVey spojrzał na Verę.

- Gdzie wykonała pani zabieg?

Powiedz pierwsze, co ci przyjdzie do głowy - pomyślała. Nie mrugnij nawet okiem. Podaj najprostszą wersję.

- Na poboczu szosy, w drodze powrotnej do Paryża.

- Jakiej szosy?

- Nie pamiętam. Krwawił... majaczył.

- Gdzie on teraz jest?

- Nie wiem.

- Tego też pani nie wie... Wygląda, że pani nie wie więcej, niż wie.

Vera popatrzyła na niego, ale trwała przy swoim.

- Chciałam go tutaj przywieźć. Prawdę mówiąc, chciałam, żeby poszedł do szpitala. Ale uparł się. Bał się, że ten, kto próbował go zabić, przyjdzie po niego, jeśli dowiedzą się, że żyje. W szpitalu byłoby to nader łatwe, poza tym martwił się, że mogą mnie skrzywdzić, jeśli znajdą go tutaj. Dlatego nalegał, abyśmy zrobili to, cośmy zrobili. Rana była głęboka, operacja zaś względnie prosta. Jako lekarz wiedział o tym...

- Jakiej wody pani użyła do obmycia rany?

- Z butelki. Wożę ją w samochodzie prawie przez cały czas. Obecnie wiele osób to robi. Nawet w Ameryce, jak sądzę.

McVey popatrzył na nią, ale nic nie powiedział. Lebrun także. Czeka-li, by kontynuowała opowieść.

- Zostawiłam go przy Gare de Montparnasse około czwartej po południu. Nie powinnam tego robić, ale nie zgadzał się na nic innego.

- Dokąd zamierzał się udać? - spytał McVey.

Vera potrząsnęła głową.

- Tego też pani nie wie.

- Przykro mi. Powiedziałam panu, że się o mnie niepokoił. Nie chciał mnie w to jeszcze bardziej mieszać.

- Mógł chodzić?

- Miał laskę... stara laska, była w samochodzie. Niby nic, ale zmniejszało to nacisk na nogę. Jest silny, a tego rodzaju rany szybko się goją.

Vera patrzyła, jak McVey przechodzi przez pokój i wygląda przez okno.

- Gdzie pani była tego wieczoru? Od momentu gdy pani wyszła do te-raz? - zadał to pytanie, stojąc tyłem, a potem odwrócił się prosto do niej.

Do tej chwili McVey zachowywał się bezpośrednio, ale jednak przy-jacielsko. Teraz nagle ton jego głosu się zmienił; stał się twardy, wręcz paskudny, zdecydowanie oskarżycielski. Z czymś takim Vera jeszcze nigdy się nie spotkała. Nie był hollywoodzkim filmowym gliniarzem, był realny i przerażał ją śmiertelnie.

McVey nie musiał patrzeć na Lebruna; wiedział, jaka jest jego reak-cja: najgłębszy lęk.

I miał rację. Lebruna ogarnął lęk. McVey pytał ją bez ogródek, czy miała potajemne spotkanie z Francois Christianem. Rzecz polegała na tym, że i Vera to dostrzegła. A zatem wiedzieli o jej związku z Francois. Ale nie o zerwaniu.



- Nie chciałabym na ten temat mówić - powiedziała spokojnie. Skrzyżowała nogi i spojrzała na Lebruna. - Czy powinnam wezwać adwokata?

- Nie, mademoiselle - odparł pośpiesznie. - Nie teraz, nie dzisiejszej nocy. - Wstał i popatrzył na McVeya. - Jest już niedziela rano. Myślę, że czas na nas.

McVey przez chwilę uważnie patrzył na Lebruna, a potem ugiął się przed głębokim poczuciem przyzwoitości Francuza.

- Pozwól mi tylko dokończyć myśl. - Odwrócił się do Very. - Czy Osborn wiedział, kto do niego strzela?

- Nie.

- Czy powiedział pani, jak tamten wyglądał?

- Tyle tylko, że był wysoki - odrzekła uprzejmie Vera. - Naprawdę wysoki i szczupły.

- Czy widział go przedtem?

- Nie sądzę.

Lebrun kiwnął głową w stronę drzwi.

- Jeszcze jedno pytanie, inspektorze. - McVey nie odrywał wzroku od Very. - Ten Albert Merriman vel Henri Kanarack. Czy wie pani, dlaczego doktor Osborn tak się nim interesował?

Vera milczała przez chwilę. Co złego może wyniknąć z tego, że im powie? Prawdę mówiąc, mogło to nawet pomóc, jeśli zrozumieją, pod jaką presją działał Osborn, będą wiedzieli, że chciał tylko wy badać Kanaracka i nie miał nic wspólnego ze strzelaniną. Z kolei policja zabrała z pokoju hotelowego Osborna sukcylocholinę. Jeśli powie im, że Kanarack zamordował ojca Osborna, to zamiast nabrać do niego sympatii, będą przekonani, że szukał zemsty. Jeśli powiążą lek ze sprawą i odkryją ślady po igle na ciele Kanaracka, będą mogli oskarżyć Paula o usiłowanie morderstwa.

- Nie - powiedziała wreszcie. - Doprawdy nie mam pojęcia.

- A co z rzeką? - naciskał McVey.

- Nie wiem, o co pan pyta.

- Czemu Osborn i Albert Merriman tam się znaleźli?

Lebrun czuł się nieswojo; Vera mogła zwrócić się do niego o pomoc, ale nie zrobiła tego.

- Jak już powiedziałam, detektywie McVey, nie mam pojęcia.

Minutę później Vera zamknęła za nimi drzwi na klucz. Wróciwszy do salonu, pogasiła światła, a potem podeszła do okna. Zobaczyła, jak wsiadają do białego forda i odjeżdżają. Westchnęła głęboko. Po raz drugi tego wieczoru okłamała policjantów.

Joanna, drżąc, leżała w ciemności. Nigdy nie wyobrażała sobie, że seks może być aż taki. Taki jak go przeżyła, jak przeżywała nadal. Pascal von Holden wyszedł przed godziną, ale jej skóra zachowała jego zapach; zapach wody kolońskiej, jego potu... chciałaby czuć je zawsze. Zaczęła sobie przypominać, jak to się stało. Jedno wynikało z drugiego.

Statek przybił do przystani i mężczyźni w smokingach wyszli, by upewnić się, że schodnia jest dobrze umocowana i że u jej dolnego końca czeka limuzyna Lybargera. Joanna z Pascalem przestała tańczyć i poszła przekazać panu Lybargerowi dobrą nowinę; zostaje, by kontynuować jego fizykoterapię.

Gdy do niego dotarła, ruchem ręki polecił jej zająć się fotelem na kółkach. Spojrzała na czekającego na pokładzie spacerowym von Holdena. Nie chciała rozłączać się z nim nawet na chwilę, ale skinął głową i Joanna potoczyła Lybargera naprzód. Gdy dojechali do schodni, Lybarger nagle wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Wyglądał na zmęczonego i zdezorientowanego, nawet trochę zaleknionego. Spojrzawszy na niego, uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała mu, że pozostanie nieco dłużej, by pomóc mu się przystosować do nowych warunków. I wtedy właśnie przyciągnął ją bliżej i powtórzył to swoje pytanie:

-Gdzie jest moja rodzina? - I powtórzył: - Gdzie jest moja rodzina?

-Tutaj, panie Lybarger. Czekali na pana przy samolocie. Wszyscy są tutaj dzisiejszego wieczoru, z panem, panie Lybarger. Jest pan w domu, w Szwajcarii.

-Nie! - zaprzeczył z naciskiem, wpatrując się w nią gniewnym wzrokiem. - Nie! Moja rodzina. Gdzie oni są?

W tym momencie wrócili mężczyźni w smokingach. Czas najwyższy, by zabrać pana Lybargera do jego samochodu. Powiedziała, by pojechał z nimi i nie martwił się, obiecała także, że porozmawiają jutro.

Von Holden objął ją ramieniem i uśmiechnął się uspokajająco. Oboje patrzyli, jak wózek powoli zjeżdża ze schodni, a potem Lybargera ostrożnie przenoszą do limuzyny. Von Holden powiedział, że Joanna musi być bardzo zmęczona. Nadal żyje w rytmie czasu Nowego Meksyku.

-Tak, to prawda - potwierdziła, wdzięczna za jego troskę.

-Czy mogę cię odwieźć do hotelu?

- Będzie mi bardzo miło. Dziękuję. - Nigdy w życiu nie spotkała nikogo tak prawdziwie szczerego, serdecznego i miłego.

Niejasno pamiętała jazdę znad jeziora z powrotem do Zurychu. Przypominała sobie tylko kolorowe światła, a także von Holdena mówiącego, że rano przyślą po nią samochód, by odwieźć ją do posiadłości Lybargera.

Z jakiejś przyczyny pamiętała natomiast, jak otwierała drzwi do swojego pokoju w hotelu, a von Holden wyjmował z jej dłoni klucz i zamykał drzwi za nimi. Pomógł jej zdjąć płaszcz i starannie powiesił go w szafie. Potem odwrócił się i oboje pograżyli się w ciemności. Jego wargi na jej wargach. Łagodne, lecz równocześnie zdecydowane.

Pamiętała, jak ją rozbierał i brał do ust jej piersi, jego wargi obejmowały sutki, stwardniałe jak nigdy dotąd w jej życiu. A potem wziął ją na rękę i położył na łóżku. Nie spuszczał Joanny ani na chwilę z oczu, rozebrał się. Powoli, zmysłowo. Krawat, potem marynarka, buty, skarpetki, koszula - i zobaczyła włosy na jego muskularnej klatce piersiowej, tak jasne jak te na głowie. Patrząc na niego, czuła, jaka jest wilgotna, bolały ją piersi. Nie chciała tego, czuła, jakby to było czymś nachalnym, lecz nie potrafiła oderwać wzroku od jego dłoni, które rozpiwały pasek, a potem powoli rozsuwały suwak spodni.

Nagle Joanna opadła plecami w ciemność i zaczęła się śmiać. Głośno i ochryple. Nie obchodziło jej, czy usłyszy ją ktoś w sąsiednim pokoju. Szło o stary sprośny dowcip, opowiadany przez dziewczyny w szkole średniej, który się urzeczywistnił. „Mężczyźni występują w trzech rozmiarach: małym, średnim i... och, och, mój Boże!”.

## 50

### **Paryż, 3.30 rano**

### **Ten sam hotel, ten sam pokój, ten sam zegar co poprzednio**

Klik.

#### 3.31

Jak zwykle o trzeciej trzydziści (plus minus dwadzieścia minut) McVey, choć całkowicie wyczerpany, nie mógł zasnąć. Myślenie sprawiało mu niemal fizyczny ból, ale w jego umyśle nie było wyłącznika. Nigdy go nie miał, w każdym razie nigdy od dnia, gdy po raz pierwszy ujrzał trupa z

odstrzeloną połową głowy. Milion szczegółików, które mogły zaprowadzić od ofiary do zabójcy - oto co trzymało go w napięciu i powodowało bezsenność.

Lebrun wysłał inspektorów na Gare de Montparnasse, by spróbowali odnaleźć ślady bytności Osborna. Była to strata czasu i powiedział o tym Lebrunowi. Vera Monneray skłamała; zawiozła go gdzieś indziej.

Upierał się, że powinni po nią wrócić tego ranka i nalegać na rozmowę w komendzie. Oficjalne pokoje do przesłuchań działały cuda, skłaniały ludzi do mówienia prawdy, chcieli tego czy nie. Lebrun z naciskiem rzucił: Nie! Osborn to co innego, może być podejrzany o morderstwo, ale nie dziewczyna premiera Republiki Francuskiej.

Czując, że wskaźnik na liczniku emocji dosięgnął pozycji „przeciążenie”, McVey powoli policzył do dziesięciu i zaproponował inne rozwiązanie. Test na poligrafie. Być może skłonny do kłamstwa podejrzany nie ujawnia wszystkiego, ale świetnie kruszeje. Szczególnie jeśli operator poligrafu jest wyjątkowo dokładny, a podejrzany choć odrobinę zdenerwowany.

Ale Lebrun znów powiedział „nie” i w rezultacie McVey zdołał wydusić wyłącznie trzydziestosześciodzinną obserwację. I nawet przed tym Francuz opierał się jak przed rwaniem zęba, bo pociągało to koszty; Lebrun na pewno sporo ryzykował, wyznaczając trzy dwuosobowe zespoły detektywów do śledzenia poruszeń Very Monneray przez półtorej doby.

Klik.

Tym razem McVey nie zadał sobie trudu spojrzenia na zegar. Zgasił światło, wyciągnął się w ciemności i patrząc na zamazane cienie na suficie, zaczął się zastanawiać, czy go w ogóle coś z tego obchodzi: Vera Monneray, Osborn, „wysoki mężczyzna”, jeśli takowy w ogóle istniał, który miał zabić Alberta Merrimana i ranić Osborna, a nawet głęboko zamrożone, pozbawione głów ciała i głęboko zamrożone głowy, które próbuje połączyć jakiś niewidzialny, wykorzystujący najnowocześniejszą technikę doktor Frankenstein, zupełnie nieistotne było też, czy owym doktorem jest Osborn; w tym momencie McVeya z pewnością obchodziło tylko jedno: czy w ogóle zaśnie.

Klik.

Cztery godziny później McVey siedział za kierownicą beżowego opla i jechał w stronę parku przy rzece. Słońce już wynurzyło się zza horyzontu i musiał opuścić osłonę, by ochronić oczy przed jego promieniami, gdy

toczył się wzdłuż Sekwany, rozglądając za miejscem, gdzie należało skrócić. Jeśli w ogóle udało mu się zasnąć, nawet tego nie pamiętał.

Pięć minut później rozpoznał kępę drzew rosnących przy wejściu do parku. Wjechał na jego teren i zahamował. Wychyliwszy się, zobaczył odciski opon jedyne go pojazdu, który wjechał do parku, a następnie tą samą drogą wyjechał.

Musiał założyć, że należały do forda Lebruna, ponieważ on i francuski inspektor przybyli tutaj, gdy deszcz przestał padać. Jakikolwiek inny pojazd pozostawiłby dodatkowe ślady.

Powoli dodawszy gazu, McVey pojechał drogą wokół parku, tam gdzie drzewa dochodziły do pochylni prowadzącej ku wodzie. Zatrzymał się i wysiadł. Tuż przed nim biegły rampą do samej wody dwa łańcuszki odcisków stóp. Jego i Lebruna. Patrząc na pochylnię i ziemną platformę u jej podnóża, wyobraził sobie zaparkowanego tuż przy wodzie białego citroena Agnes Demblon i próbował wymyślić przyczynę, dla której znaleźli się tu Osborn i Albert Merriman. Czy pracowali razem? Czemu zjechali samochodem aż do platformy? Czy było w nim coś, co zamierzali wyładować? Może narkotyki? A może mieli jakieś plany co do samochodu? Zniszczyć go? Rozebrać na części? Ale po co? Osborn był nader zamożnym lekarzem. Wszystko to nie trzymało się kupy.

Przyjawszy, że tutejsze czerwone błoto było tym samym czerwonym błotem, które widział na adidasach Osborna w wieczór poprzedzający morderstwo, McVey musiał założyć, że Osborn był tu dzień wcześniej. A ponieważ w samochodzie znaleziono odciski palców Osborna, Merrimana i Agnes Demblon, McVey miał niemal pewność, że to Osborn wybrał miejsce nad rzeką i przywiózł tu Merrimana.

Lebrun ustalił, że Agnes Demblon była przez cały piątek w piekarni, także późnym popołudniem, czyli w czasie, gdy zabito Merrimana.

W tej chwili, nawet zanim eksperci balistyki przekażą raport o pocisku wydobytym, jak twierdziła Vera Monneray, z ciała Osborna, McVey gotów był uwierzyć, że strzelał wysoki mężczyzna. Jeśli zatem nie nosił rękawiczek i obserwował Osborna i Merrimana, można było z dużą dozą prawdopodobieństwa uznać, że nie przybył do parku tym samym samochodem co oni. Co więcej, ponieważ citroena tu porzucono, to jeśli nie przyjechał swoim wozem, ktoś inny musiał go stamtąd odebrać. Sieć transportu

publicznego nie sięgała tak daleko; nie było też prawdopodobne, by człowiek ów wrócił do miasta na piechotę. Co prawda, choć to nader problematyczne, mógł wrócić autostopem. Człowiek, który właśnie zastrzelił dwóch mężczyzn z Heckler & Kocha, raczej nie stanąłby na skraju szosy z uniesionym kciukiem, by zapewnić policji świadka, który później mógłby go zidentyfikować.

Jeśli jednak wziąć pod uwagę zainteresowanie lyońskiego Interpolu aktami Departamentu Policji Nowego Jorku, należałoby założyć, że Merriman, a nie Osborn był celem wysokiego mężczyzny. Jeśli tak, czy oznaczało to, że istnieje powiązanie między Osbornem i wysokim? Jeśli tak, czy wysoki mężczyzna, zabijesz Merrimana, przechytrzył Osborna i skierował ogień na niego? A może wysoki tropił Merrimana od samej piekarni do miejsca, gdzie ten spotkał się z Osbornem, a potem podążył tu za nimi obydwojema.

Rozwijając ten wątek i zakładając, że wybuch, który zniszczył kamienicę Agnes Demblon, został spowodowany tylko po to, by ją zabić, można było także przyjąć, że wysoki mężczyzna otrzymał rozkazy, by zlikwidować nie tylko Merrimana, ale każdego, kto znał go bliżej.

- Jego żonę! - powiedział nagle na głos McVey i skierował się do swego opla. Nie miał pojęcia, gdzie znajdzie najbliższy telefon, i przeklął Interpol, że dał mu samochód bez radia i telefonu. Trzeba zaalarmować Lebruna, że żona Merrimana, bez względu na to, gdzie się znajduje, jest w poważnym niebezpieczeństwie.

McVey dotarł do skraju drzew i był już prawie przy samochodzie, gdy nagle zatrzymał się i odwrócił. Ścieżka, którą przeszedł przed chwilą, pośpiesznie opuszczając miejsce zbrodni, prowadziła między drzewami. Właśnie tędy mógł się wycofać z miejsca strzelaniny wysoki bandyta. Poprzedniej nocy McVey i Lebrun poszli do rampy drogą wzdłuż linii drzew, nie sprawdzali wokół nich. Inspektorzy Lebruna i ludzie z ekipy technicznej nie znaleźli niczego, co wskazywałoby na obecność trzeciego człowieka w noc dokonania morderstwa. Stąd wyciągnęli wniosek, że zabójcą był Osborn. Ale czy szukali tu w górze, między drzewami, tak daleko od pochylni?

Po prawie tydzień padającym deszczu niedziela była jasna i słoneczna. McVey miał problem. Jeśli odejdzie, by ostrzec Lebruna, że żonie Merrimana grozi niebezpieczeństwo, ryzykuje, że ludzie spragnieni świeżego powietrza przyjdą do parku i niechący zniszczą dowody. Wziąwszy pod uwagę, że zarówno francuska policja, jak i wysoki mężczyzna dopiero mają ją odnaleźć, McVey zdecydował, że ukradnie trochę potrzebnego mu czasu i zostanie na miejscu.

Zawrócił i ostrożnie cofnął się po swych śladach ku pochylni. Grunt pod drzewami pokrywała gruba warstwa mokrych igieł sosnowych. Gdy się na nie wchodziło, sprężynały jak dywan. Oznaczało to, że człowiek był zbyt lekki, by pozostawić tu jakikolwiek ślad.

Doszedłszy do pochylni, McVey się odwrócił. Nic nie znalazł. Kilkaście metrów na wschód nadal niczego nie znalazł.

Zwrócił się na zachód. Skierował się do punktu leżącego w połowie drogi od jego pierwszej trasy i tej, którą właśnie przebył. Nie zrobił nawet dwunastu kroków, gdy coś dostrzegł. Płaska wykałaczka, przełamana na pół, niemal skryta wśród igieł sosnowych. Wyjął chustkę do nosa, schylił się i podniósł drewnienko. Z bliska zauważył, że miejsce przełamania było jaśniejsze wewnątrz niż na zewnątrz, co wskazywało, że dokonano tego bardzo niedawno. McVey zawiązał wykałaczkę w chustkę, włożył do kieszeni i zaczął iść w stronę swego wozu. Tym razem poruszał się wolno, uważnie przyglądając się ziemi. Dochodził prawie do skraju drzew, gdy coś zwróciło jego uwagę. Zatrzymał się i przykucnął.

Igły sosnowe tuż przed nim były jaśniejsze niż reszta podłoża w tym miejscu. W deszczu mogły wyglądać tak samo, ale po wyschnięciu w porannym słońcu sprawiały wrażenie, jakby je umyślnie rozrzucano. McVey wziął leżącą na ziemi gałązkę i ostrożnie je rozgarnął. Na pierwszy rzut oka nic nie znalazł, i to go rozczarowało. Ale gdy kontynuował odgarnianie, odkrył coś wyglądającego na odcisk protektora opony. Wstał, ruszył jego śladem i trafił w piaszczystym gruncie, tuż przy skraju linii drzew, na wyraźny odcisk. Pod drzewa wjechał samochód i zaparkował. Po pewnym czasie kierowca wycofał wóz i ujrział własne ślady. Wysiadł, zebrał świeże igły sosnowe i rozsypał je wokoło, przykrywając trop. Nie zapamiętał jednak, w którym miejscu parkował. Poza linią drzew ślady zmył deszcz. Ale pod drzewami zwisające gałęzie osłoniły ziemię, pozostawiając w niej niewielki, niemniej wyraźny odcisk. Niezbyt imponujący, dziesięć centymetrów długości i półtora głębokości, ale technikom policyjnym i tyle wystarczy.

## 51

Scholl!

Osborn właśnie skończył się załatwiać i spuszczał wodę, gdy to nazwisko nagle wyskoczyło mu z pamięci. Odwrócił się niezdarnie i skrzywił

z bólu, wspierając się całym ciężarem na zranionej nodze. Wyciągnął rękę po laskę, którą zostawiła mu Vera, i skierował się do pokoju. Każdy krok wymagał wysiłku, Osborn poruszał się więc powoli. Ale dostrzegł, że źródłem bólu jest raczej sztywność i uraz nogi niż sama rana. Oznaczało to, że zdrowieje.

Gdy kulejąc, wydostał się z komóreczki służącej za toaletę i wszedł do pokoju, wydał mu się on jeszcze mniejszy niż oglądany z łóżka. Z zaciągniętą zasłoną na oknie był nie tylko ciemny, ale wydawał się też duszny i ciasny. Do tego śmierdział antyseptykami. Osborn stanął przy oknie, odstawił laskę i rozsunął zasłonę. W jednej chwili pokój zalało jaskrawe światło wczesnojesiennego dnia. Zagryzł wargi, walcząc z oporną nogą, z wysiłkiem otworzył okienko i wyjrzał na świat. Widać było tylko skraj stromo opadającego dachu ich budynku, a w dali szczyty wież katedry Notre Dame, błyszczące w porannym słońcu. Największe wrażenie zrobiła na nim świeżość porannego powietrza, dolatującego tu znad Sekwany. Odetchnął głęboko.

W nocy Vera wdrapała się tutaj i zmieniała mu bandażę. Próbowwała coś mu powiedzieć, lecz był zbyt oszołomiony, by zrozumieć, i znów zapadł w sen. Później, gdy się ocknął i zaczął przychodzić do siebie, jego uwaga skupiła się na wysokim mężczyźnie, na policji oraz problemie, co z tym wszystkim zrobić. Ale teraz jego myśli zajął Erwin Scholl. Człowiek, który, jak przysięgał pod groźbą użycia sukcylinyolocholiny Henri Kanarack, wynajął go do zamordowania jego ojca. Powiedział to, przypomniał sobie Osborn, prawie w tym samym momencie, gdy w mroku pojawił się wysoki mężczyzna i zaczął do nich strzelać.

Erwin Scholl. Skąd pochodził? To Kanarack także mu powiedział.

Osborn odwrócił się od okna i kulejąc, wrócił do łóżka, wygładził pościel, a potem ostrożnie się na niej usadowił. Spacer od łóżka do łazienki i powrót z niej zmęczył go bardziej, niżby sobie tego życzył. Siedział teraz na brzegu łóżka, zdolny właściwie tylko do wdychania i wydychania powietrza.

Kim był Erwin Scholl? I czemu chciał, by jego ojciec zginął?

Nagle Osborn zamknął oczy. To samo pytanie zadawał sobie prawie przez trzydzieści lat. Ból nogi był niczym w porównaniu z tym, jaki odczuwał w duszy. Pamiętał palące uczucie, które go przeszło w chwili, gdy Kanarack powiedział, że go opłacono. W jednym momencie samotność, ból i gniew, które zawsze mu towarzyszyły, wzrosły nad ludzkie pojęcie. Kiedy natknął się na Henriego Kanaracka, dowiedział się, gdzie mieszka i gdzie pracuje, sądził, że Bóg na koniec wynagrodził go i że wreszcie jego



duchowe cierpienia się zakończą, ale tak się nie stało. Szyderstwo posunięto dalej. Okrutnie. Bezbłędnie. Jak przedmiot skrycie podawany z ręki do ręki podczas gry w talara. A on był właśnie tym, przed którym ów talar nadal ukrywano, tak jak przez całe lata do tej pory.

Przynajmniej rzeka go nie oszukała; dzięki niej znalazł się w pewnym określonym punkcie swego życia. Nawet gdyby przyniosła mu śmierć, to i tak wolałby ją od tego, do czego wrócił. Tego, co nie dawało mu odpocząć, co trzymało go na uwięzi wściekłości, nie pozwalało mu kochać ani być kochanym, ponieważ nie opuszczał go straszliwy lęk, że zniszczy miłość. Widmo bynajmniej nie zniknęło; zmieniło tylko kształt. Henri Kanarack stał się Erwinem Schollem. Tym razem Osborn nie znał nawet twarzy, tylko nazwisko. Ile czasu będzie potrzebował, by go odnaleźć? Trzydzieści lat? A jeśli znajdzie dość odwagi i siły, by tego dokonać i wreszcie po wszystkich wysiłkach go znajdzie - co wtedy...?

Kolejne drzwi prowadzące gdzieś indziej?

Szelest na korytarzu wyrwał Osborna z zadumy. Ktoś nadchodził. Szybko rozejrzał się w poszukiwaniu kryjówki. Nie było żadnej. Gdzie jest pistolet Kanaracka? Co Vera z nim zrobiła? Popatrzył znów na drzwi. Gałka się obracała. Miał tylko laskę. Zacisnął ją w garści, drzwi się otworzyły.

Vera miała na sobie biały strój lekarza.

- Dzień dobry - powiedziała, wchodząc. Znow niosła tacę, tym razem z gorącą kawą i rogalikami, oraz plastikowe pudełko z owocami, serem i bułką. - Jak się czujesz?

Osborn westchnął i odłożył laskę na łóżko.

- Świetnie - oznajmił. - Szczególnie teraz, gdy już wiem, kto przyszedł z wizytą.

Vera postawiła tacę na stoliczku pod oknem i odwróciła się, by popatrzeć na Paula.

- Policjanci wrócili zeszłej nocy. Był wśród nich Amerykanin; odniosłam wrażenie, że zna cię całkiem dobrze.

- McVey! - Osborn zadrżał. - Mój Boże, nadal jest w Paryżu!

- O, chyba i ty go znasz... - Vera uśmiechnęła się słabo, niemal złośliwie, jakby w jakiś przedziwny sposób była z tego wszystkiego zadowolona.

- Czego chcieli? - spytał pośpiesznie.

- Odkryli, że zabrałam cię z pola golfowego. Powiedziałam, że wyjęłam ci pocisk. Chcieli wiedzieć, gdzie jesteś. Oświadczyłam, że wysadziłam cię przy dworcu kolejowym, ale nie wiem, dokąd pojechałeś, bo ty nie

chciałaś, żebyś wiedziała. Nie jestem pewna, czy mi uwierzyli.

- McVey każe cię śledzić jak jastrząb kuropatwę, zaczeka, aż się ze mną skontaktujesz.

- Wiem. Dlatego właśnie wracam do pracy. Zaczynam trzydziestosięciogodzinny dyżur. Miejmy nadzieję, że gdy go skończę, tamci znudzą się i dojdą do wniosku, że powiedziałam im prawdę.

- A jeśli nie? A jeśli zdecydują się przeszukać twój apartament, a potem cały budynek?

Osborn nagle się przestraszył. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Jeśli spróbuje się stąd wydostać, a oni obserwują dom, przydybią go, nim przejdzie pół przecznicy. Jeśli zaś zdecydują się przeszukać budynek, w końcu odnajdą drogę tutaj. Tak czy inaczej jest załatwiony.

- Nic innego nie możemy zrobić. - Vera była spokojna i stanowcza; stała po jego stronie, chroniła go, podejmowała za niego decyzje. - Masz w łazience wodę i dosyć jedzenia do mego powrotu. Chcę, żebyś zaczął się gimnastykować. Prostowanie i unoszenie nogi, jeśli zdołasz, a jeśli nie, co cztery godziny spaceruj po pokoju tam i z powrotem, jak długo dasz radę. Gdy stąd wyjdziemy, będziesz musiał iść. I nie zapomnij zaciągnąć zasłony, gdy zacznie się ściemniać. Okienko jest ukryte w profilu dachu, ale światło zdradzi cię w okamgnieniu. Trzymaj... - Wcisnęła mu w rękę klucz. - To do mojego apartamentu... na wypadek gdybyś musiał się ze mną skontaktować. Numer telefonu jest wypisany na bloczku koło aparatu. Schodki kończą się w szafie piętro niżej. Potem zejdziesz schodami dla służby na pierwsze piętro. - Vera zawahała się i spojrzała na niego. - Nie muszę ci mówić, żebyś uważał.

- A ja nie muszę ci mówić, że jeszcze możesz się z tego wycofać. Pojedź do twojej babki i uparcie zaprzeczaj, byś miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, co tu się stało.

- Nie - odrzekła i podeszła do drzwi.

- Vera.

Zatrzymała się i obejrzała.

- Gdzie jest pistolet?

Vera zareagowała w sposób, który jasno pokazywał, że nie podoba jej się to pytanie.

- Vera... Jeśli ten wysoki mnie znajdzie, co wtedy pocznę?

- Jak mógłby cię znaleźć? Nie ma sposobu, żeby się o mnie czegoś dowiedział. Ani kim jestem, ani gdzie mieszkam.

- Nie wiedział także o Merrimanie...

Zawahała się.

- Vera, proszę. - Osborn patrzył jej prosto w oczy. Chciał bronić swego życia, a nie strzelać do policjantów.

Wreszcie kiwnęła głową w stronę stołu pod oknem.

- Jest w szufladzie.

## 52

### Marsylia

Marianne Chalfour Rouget z niechęcią wychodziła z mszy odprawianej o ósmej rano ledwie dziesięć minut po jej rozpoczęciu. I to tylko dlatego, że jej siostra nie mogła powstrzymać szlochów i reszta parafian, których większość przecież dobrze знаła, odwracała głowy i patrzyła na nie. Michele Kanarack nie spędziła z nimi nawet czterdziestu ośmiu godzin i przez cały ten czas nie potrafiła opanować płaczu.

Marianne była o trzy lata starsza od siostry i miała pięcioro dzieci, najstarsze czternastoletnie. Jej mąż Jean Luc był rybakiem; jego dochody zmieniały się w zależności od pory roku, a większość czasu spędzał z dala od rodziny. Ale gdy przebywał w domu, jak w tej chwili, chciał być z żoną i dziećmi.

Szczególnie z żoną.

Jean Luc odznaczał się nienasyconym apetytem seksualnym i nie wstydził się tego. Choć mogło to być kłopotliwe, gdy owładnięty nagłym pragnieniem, porywał żonę z krzesła albo łapał po prostu z miejsca, w którym stała, brał na ręce, zanosił do sypialni ich małego trypokojowego mieszkania i kochali się głośno i burzliwie, niemalże godzinami.

Czemu Michele do nich przyjechała, tego Jean Luc nie potrafił pojąć. Wszystkie małżeństwa miały jakieś problemy. Ale zwykle je rozwiązywały, często z pomocą księdza. Był absolutnie pewien, że Henri pojawi się lada moment, by błagać Michele o przebaczenie i powrót do Paryża.

Ale zalewająca się łzami Michele była absolutnie przekonana, że Henri tego nie zrobi. Spędziła u nich już dwie noce, starając się zasnąć na kozetce w mikroskopijnej kuchni, pełniącej funkcję saloniku, deptana przez dzieci tłoczące się przy małym czarnobiałym telewizorze, wyklócające się o to, który program oglądać. W tym samym czasie w innym pokoju mąż i żona oddawali się hataśliwie miłości, na co nikt prócz Michele nie zwracał uwagi.

W niedzielę Jean Luc miał już dość tego płaczu i powiedział o tym Marianne wprost i w obecności Michele. Niech zabierze ją do kościoła i postara się, by w obecności Boga przestała płakać! A jeśli już nie Boga, to przynajmniej kapłana!

Niestety, to nie pomogło. Kiedy już wyszły z kościoła na ciepłe śródziemnomorskie słońce i skręciły w bulwar d'Athenes w kierunku Canebierre, Marianne wzięła siostrę za rękę.

- Michele, nie jesteś jedyną kobietą na świecie nagle porzuconą przez męża. Ani pierwszą w ciąży. Tak, odczuwasz to boleśnie i ja to rozumiem. Ale życie toczy się dalej, więc skończ z tym! Jesteśmy tu, by ci pomóc. Znajdź sobie pracę i urodź dziecko. A potem znajdź jeszcze kogoś przyzwoitego.

Michele popatrzyła na siostrę, a potem na ziemię. Oczywiście Marianne miała rację. Lecz przez to nie zmniejszał się ani ból, ani lęk przed samotnością czy poczucie pustki. Zresztą myślenie nigdy nie osusza łez; tylko czas to potrafi.

Powiedziawszy, co miała do powiedzenia, Marianne zatrzymała się przy małym bazarze pod gołym niebem przy ulicy Belges, by kupić kurę na rosół i trochę warzyw. Bazar i trotuar obok niego były nawet o tej porze zatłoczone i bardzo hałaśliwe; głosy ludzkie mieszały się z odgłosami ruchu ulicznego. Mimo to Marianne usłyszała dziwne ciche „pop”, które przebiło się przez inne dźwięki. Gdy się odwróciła, by zapytać Michele, co to takiego, ujrzała, jak jej siostra odchyła się na stragan z wysoką piramidą melonów z taką miną, jakby coś ją zdziwiło. A potem Marianne zobaczyła, jak na skraju białego kołnierzyka przy szyi Michele pojawia się jaskrawa czerwień i zaczyna się rozplýwać. W tej samej chwili wyczuła czyjąś obecność i podniosła wzrok. Przed nią stał wysoki mężczyzna i uśmiechał się. A potem podniósł rękę i znów usłyszała „pop”. Wysoki mężczyzna natychmiast zniknął i nagle dzień pociemniał. Marianne rozejrzała się i zobaczyła twarze. A potem wszystko dziwacznie zbladło.

## 53

Bernhard Oven mógł po prostu odlecieć do Paryża, ale byłoby to zbyt łatwe do wykrycia przez policję; mieliby bilet powrotny z oznaczonymi bliskimi sobie godzinami lotu, w czasie których dokonano wielokrotnego morderstwa. Superekspres TGV przemierzał dystans z Marsylii do Paryża

w ciągu czterech godzin i czterdziestu pięciu minut. Dość czasu, by Oven, rozsiadłszy się wygodnie w przedziale pierwszej klasy, rozważył, co się stało i co robić dalej.

Dotarcie śladem Michele Kanarack do domu jej siostry w Marsylii było proste; wystarczyło pójść za nią na dworzec kolejowy tego ranka, gdy opuszczała Paryż, i zobaczyć, do którego pociągu wsiada. Organizacja załatwiła resztę. Przejeli ją, gdy wysiadała z pociągu, i śledzili aż do domu siostry w dzielnicy Le Panier, potem też nie spuścili z niej oka i w rezultacie przygotowali listę tych, którym mogła się zwierzyć. Oven wsiadł z tą listą do samolotu Air Inter z Paryża do Marsylii, a na lotnisku Provence czekał już na niego wynajęty samochód. W jego kole zapasowym znajdował się czeski pistolet CZ .22, dodatkowa amunicja oraz tłumik.

- Bonjour. Ah, le billet, oui.

Podając swój bilet kontrolerowi, Oven wymienił z nim żarcik bez znaczenia, co nieraz robią zamożni biznesmeni, a na takiego wyglądał. Następnie, rozparłszy się wygodnie, zaczął przyglądać się francuskiemu krajobrazowi z pociągu mknącego na północ przez zieloną dolinę Rodanu. Na oko ocenił, że jadą z szybkością około trzystu kilometrów na godzinę.

To dobrze, że je załatwił na tym bazarku. Gdyby mu się jakimś cudem wymknęły i dotarły do domu... ogarnięte histerią baby to kłopotliwe cele. A na widok zastrzelonego męża Marianne i ich pięciorga dzieci na pewno wpadłyby w panikę, choć przecież tak czysto wykonał robotę. I od razu pojawiliby się sąsiedzi czy kto tam jeszcze.

Oczywiście odkryją i męża, i dzieci, a policjanci i politycy wypełzną ze wszystkich dziur. Ale Oven nie miał wyboru. Mąż miał właśnie wyjść na spotkanie z kumplami w miejscowej kafejce, a to oznaczałoby dłuższe czekanie na chwilę, gdy cała rodzina zbierze się w domu. Nie mógł sobie pozwolić na takie opóźnienie; miał do załatwienia w Paryżu sprawę, w której Organizacja jak dotąd nie potrafiła mu dopomóc.

Antenne 2, państwowa stacja telewizyjna, nadała wywiad z kierownikiem klubu golfowego nad Sekwaną koło Vernon. Wczesnym rankiem w sobotę z rzeki wypełzną kalifornijski lekarz, podejrzany o zabicie imigranta amerykańskiego Alberta Merrimana. Lekarz pewien czas dochodził do siebie w biurze kierownika, a następnie zabrała go ciemnowłosa Francuzka.

Do tej chwili Bernhard Oven szybko i skutecznie eliminował wszystkich blisko związanych z Albertem Merrimanem. Ale amerykański doktor,

zidentyfikowany jako Paul Osborn, jakimś sposobem przeżył. A teraz jeszcze ta kobieta. Oboje trzeba odnaleźć i pozbyć się ich, zanim policja do nich dotrze. Nie byłoby to takie trudne, gdyby nagle czas nie stał się jego przeciwnikiem. Dziś jest niedziela, dziewiąty października. Lista musi zostać zamknięta nie później niż w piątek, czternastego października.

- Panno Marsh, czy pracowała pani kiedykolwiek z panem Lybargerem, gdy był nagi?

- Nie, doktorze, oczywiście, że nie - powiedziała Joanna, zdumiona pytaniem. - Nie było ku temu powodu.

Salettl nie podobał się Joannie w Zurychu zupełnie tak samo jak w Nowym Meksyku. Szorstkość, z jaką ją traktował, podkreślanie dystansu były bardziej niż onieśmielające; przerażał ją.

- Czyli nigdy nie widziała go pani rozebranego.

- Nie, proszę pana.

- A w bieliźnie?

- Doktorze Salettl, nie rozumiem, o co panu chodzi.

Tego ranka o siódmej Joannę obudził telefon od von Holdena. Nie przypominał gorącego i tkliwego kochanka z ubiegłej nocy. Wręcz przeciwnie, oschle i rzeczowo poinformował ją, że wkrótce pojawi się samochód, by przewieźć ją i jej rzeczy do posiadłości pana Lybargera. Dokładnie za czterdzieści pięć minut, i Joanna ma być gotowa. Zdziwiona jego chłodem wydusiła z siebie tylko: tak, będzie gotowa. A po chwili zapytała jeszcze, jakby sobie o tym dopiero co przypomniała, co z jej psem.

- Już się ktoś tym zajął - odrzekł von Holden i odłożył słuchawkę.

Godzinę później, odczuwając lekkie znużenie spowodowane kombinacją zmiany czasu, kolacji, drinków i maratonu seksualnego z von Holdenem, Joanna znalazła się na tylnym siedzeniu limuzyny Lybargera. Mercedes skręcił z głównej drogi do strzeżonej bramy posiadłości. Kierowca nacisnął guzik i okienko po stronie pasażera obniżyło się na tyle, by strażnik mógł zajrzeć do wnętrza. Machnięciem ręki skierował ich do środka i limuzyna potoczyła się długą, wysadzaną drzewami aleją ku czemuś, co Joanna później potrafiła określić jedynie jako zamek.

Mile uśmiechnięta gospodyni w średnim wieku zaprowadziła Joannę do jej mieszkania. Miało wielką sypialnię z oddzielną łazienką, mieściło się na parterze i wychodziło na obszerny trawnik ciągnący się aż do skraju lasu.

Dziesięć minut później została zaprowadzona przez tę samą kobietę do biura doktora Salettl, mieszczącego się na pierwszym piętrze w oddzielnym budynku.

-Z pani systematycznych sprawozdań można wywnioskować, iż tak samo jak my była pani pod wrażeniem postępów, jakie robił pan Lybarger.

-Tak, proszę pana. - Joanna postanowiła nie dać się onieśmielić Salettlowi. - Gdy zaczęłam z nim pracować, prawie nie panował nad funkcjami motorycznymi. Trudno mu było nawet spójnie myśleć. Ale zdumiewały mnie jego postępy. Ma niewiarygodnie silną wolę.

-Jest także silny fizycznie.

-Tak, to także.

-Dobrze się czuje w towarzystwie, odpręża się, prowadzi inteligentnie rozmowę.

-Ja... - Joanna chciała coś powiedzieć na temat nieustannych pytań Lybargera o jego rodzinę.

-Ma pani wątpliwości?

Joanna się zawahała. Nie było sensu tego wyciągać. Zresztą za każdym razem, gdy wypowiadał to pytanie, albo był zmęczony, albo właśnie podróżowali i następowały przerwy w jego stałym rozkładzie codziennych zajęć.

-Pan Lybarger tak łatwo się męczy. Dlatego zeszłego wieczoru żądałam dla niego fotela na kółkach, kiedy schodziliśmy ze sta...

-A laska? - przerwał jej Salettl, coś zapisał i znów popatrzył na Joannę. - Czy może bez niej stać i chodzić?

-Przyzwyczał się do niej.

-Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy może bez niej chodzić?

-Tak, ale...

-Ale co?

-Niezbyt daleko i niezbyt pewnie.

-Sam się ubiera. Sam się goli. Korzysta z ubikacji bez pomocy. Czy tak?

-Tak. - Joanna zaczynała żywić przekonanie, że lepiej było odrzucić propozycję von Holdena i zgodnie z planem powrócić dziś do domu.

-Czy potrafi wziąć do ręki pióro i podpisać się czytelnie?

-Całkiem czytelnie. - Joanna zmusiła się do uśmiechu.

-Co z jego innymi funkcjami?

-Nie wiem, co pan rozumie przez inne funkcje. - Joanna zmarszczyła brwi.

-Czy jest zdolny do erekcji? Do stosunku płciowego?

- Ja... ja... nie wiem - wyjąkała. Poczwała się skrepowana.

Dotychczas nigdy nie zadawano jej takich pytań na temat pacjentów. - Myślę, że pytanie jest raczej natury medycznej.

Salettl przyglądał jej się przez chwilę.

- Według pani oceny, kiedy pan Lybarger odzyska pełnię swych zdolności fizycznych i stanie się normalnie funkcjonującą jednostką, jak gdyby nigdy nie przeżył ataku?

- To znaczy... to znaczy mówimy o podstawowych funkcjach motorycznych? Wstawanie, chodzenie, rozmawianie bez zmęczenia i to wszystko... Reszta, jak już powiedziałam, nie należy do mego zakresu...

- Tylko funkcje motoryczne - przerwał znowu szorstko Salettl. - Jak pani sądzi, ile jeszcze czasu to zajmie?

- Ja... ja nie jestem całkiem pewna.

- Proszę to ocenić w przybliżeniu.

- Ja... doprawdy nie mogę.

- To nie jest odpowiedź. - Salettl wpatrywał się w nią, jakby była niegrzecznym dzieckiem, a nie zawodową fizykoterapeutką.

- Jeśli... będę z nim intensywnie pracować, a on będzie reagował tak jak dotychczas, być może... jak przypuszczam, jeszcze miesiąc. Ale musi pan zrozumieć, że to tylko założenie. Wszystko zależy od tego, jak on...

- Dam pani zadanie. Chcę z końcem tygodnia ujrzeć go chodzącego bez laski.

- Nie wiem, czy to możliwe.

Salettl dotknął guziczka tuż przy swojej ręce i przemówił do interkoma.

- Panna Marsh jest gotowa do pracy z panem Lybargerem.

## 54

McVey wyglądał przez okno gabinetu Lebruna. Widział pięć kondygnacji niżej plac Parvis i Notre Dame, gdzie tłoczyli się turyści. O jedenastej trzydziestej dzień zaczynał się rozgrzewać ciepłem babiego lata.

- Osiem trupów. Pięcioro dzieci. Wszyscy zabici strzałami w głowę, pociski kalibru .22. Nikt nic nie widział, niczego nie słyszał. Ani sąsiedzi z przyległego mieszkania, ani ludzie na targowisku.

Lebrun odłożył na biurko raport policji marsylskiej i sięgnął za siebie po stojący na stole chromowany termos.



-Zawodowiec posługujący się bronią z tłumikiem - powiedział McVey, nie próbując ukryć złości. - Dalszych ośmioro na koncie wysokiego mężczyzny.

- Jeśli to był ten wysoki mężczyzna.

McVey spojrział na niego ostro.

- Wdowa po Merrimanie? A co ty o tym sądzisz?

- Myślę, że zapewne masz rację, mon ami - odparł spokojnie Lebrun.

McVey wrócił do hotelu z parku przy rzece przed ósmą i natychmiast zadzwonił do mieszkania Lebruna. Komisarz polecił zaalarmować lokalne placówki policji w kraju, ostrzegając, że życie Michele Kanarack jest zagrożone. Oczywiście był jeszcze jeden problem: należało ją odnaleźć. I to dysponując zaledwie rysopisem pani Kanarack, podanym inspektorom Maitrotowi i Barrasowi przez mieszkańców jej kamienicy. Lebrun właściwie tracił czas; trudno jest chronić widma.

- Przyjacielu, przecież nie mogliśmy wiedzieć! Moi ludzie byli nad rzeką przez cały dzień i nie znaleźli żadnych śladów trzeciego człowieka.

Lebrun próbował przyjść mu z pomocą. Ale to nie ulżyło ani trochę goryczy, poczuciu winy i bezradności, drążących McVeya. Nie żyło osiem osób, które mogłyby nadal żyć, gdyby on i francuska policja lepiej wykonywali swoje zadania. Michele Kanarack zastrzelono ledwie kilka chwil po alarmującym telefonie McVeya do Lebruna. Gdyby zatelefonował trzy godziny wcześniej albo cztery czy pięć, czy zrobiłoby to jakkolwiek różnicę? Może tak, zapewne nie. Była igłą w stogu siana.

„Chronić i służyć” - tak brzmiała dewiza umieszczona na mundurach policji Los Angeles. Zwykli ludzie śmiali się, szydzili z niej lub ją ignorowali. „Służyć”? A kto wiedział, co to oznacza? Ale chronienie ludzi to coś całkiem innego. Jeśli cię to obchodziło, tak jak obchodziło McVeya. Gdy kogoś spotkała krzywda, ponieważ nie spisałeś się; ty, twój partner czy komenda, wtedy bolało. Naprawdę mocno. Nikt o tym nie wiedział, a ty nie opowiadałeś. Najwyżej sobie samemu, a może też twarzy na dnie butelki. To nie był idealizm... Ten skończył się pierwszego dnia, gdy ujrzałeś człowieka z odstrzeloną połową twarzy. To było coś innego. Czemu wylądowałaś w tej robocie i po tylu latach nadal w niej tkwisz? Michele Kanarack i rodzina jej siostry to nie zepsuty magnetowid, który można oddać do naprawy. Ludzie z kamienicy Agnes Demblon to nie samochód z wadą fabryczną, który można po wyklóceniu się zwrócić sprzedawcy. Żywi ludzie - to nimi zajmowali się, lepiej czy gorzej, policjanci każdego dnia swego życia.

-To kawa? - McVey kiwnął głową w stronę termosu w dłoni Lebruna.

-Oui.

-Napiję się czarnej - rzekł McVey. - Takiej jak dzisiejszy dzień.

O dziewiątej trzydzieści ekipa techniczna z polecenia Lebruna znalazła się w parku, wykonała gipsowy odlew śladu opony i przeczesała lasek sosnowy w poszukiwaniu czegokolwiek, co McVey mógłby przeoczyć.

O dziesiątej czterdzieści pięć McVey spotkał się z Lebrunem w jego gabinecie i razem poszli do laboratorium, by sprawdzić, co się dzieje z odlewem opony. Zastali tam technika, utwardzającego gips suszarką do włosów. Pięć minut później odlew był dostatecznie suchy, by wykonać nim na papierze tuszową odbitkę.

Następnie zajrzeli do kolekcji odbitek protektorów opon, dostarczanych policji paryskiej przez producentów opon. Piętnaście minut później natrafili na właściwą. Włoska opona Pirelli, rozmiar P205/70R14, przeznaczona do felgi czternaście na pięć i pół cala. Następnego ranka, czyli w poniedziałek, miał zostać wezwany fabryczny specjalista Pirellego, by zbadać odlew i zdecydować, czy da się ustalić jeszcze jakieś szczegóły.

W drodze powrotnej do gabinetu Lebruna McVey spytał o wykałaczkę.

-To potrwa dłużej - odparł Lebrun. - Może jutro, może pojutrze. Szczerze mówiąc wątpię, czy wiele nam to da.

-Może będziemy mieli szczęście. Może zakłuł się w dziąsło i ją zakrwawił. A może ma jakąś infekcję czy inną chorobę, wykrywalną w ślinie. Cokolwiek znajdziemy, inspektorze, to i tak nam się przyda.

-Nie mamy sposobu, by się dowiedzieć, czy wykałaczki użył wysoki mężczyzna. Mógł to być Merriman, Osborn lub ktoś całkiem nieznanym. - Lebrun otworzył drzwi gabinetu.

-Masz na myśli ewentualnego świadka - powiedział McVey, gdy weszli do środka.

-Nie, o tym w ogóle nie myślałem. Ale coś w tym jest, McVey. Dobry pomysł. Touche.

Właśnie w tym momencie zapukano do drzwi i wszedł policjant z faksem z policji marsylskiej.

McVey wypił kawę i przeszedł przez pokój. Na tablicy ogłoszeń wystawiono egzemplarz „Le Figaro” ze zdjęciem Levigne'a na ówczier stronie

przy relacji, którą dał prasie. McVey, sfrustrowany, dziabnął je palcem.

- Wkurza mnie ten typunio z klubu golfowego, który tak się bał, że podamy jego nazwisko prasie, a potem sam szybciotko to zrobił. Świetna informacja dla naszego przyjaciela, żyje jeszcze jeden naoczny świadek. - McVey odwrócił się plecami do wycinka i pociągnął palcami za ucho. - Na litość boską, Lebrun. Myśmy jej nie znaleźli, ale on tak. Skąd wiedział, że ma pojechać do Marsylii? Skąd wiedział, gdzie ją w tej Marsylii znaleźć?

Lebrun złożył dłonie, stykając koniuszki palców.

- Myślisz o tropie prowadzącym do Interpolu. Ktoś w Lyonie, kto wydobyl od nowojorskiej policji akta Merrimana, mógł i ją wywęszyć.

- Taaa. Właśnie tak myślę.

Lebrun odstawił filiżankę, zapalił papierosa i popatrzył na zegarek.

- Dla twojej wiadomości, zwalniam się na resztę dnia - powiedział spokojnie. - Krótkie samotne wakacje. Jadę pociągiem do Lyonu. Nikt o tym nie wie, nawet moja żona.

- Wybacz, może nie rozumiem. - McVey zmarszczył brwi. - Ale jeśli pokażesz się w Lyonie i zaczniesz zadawać pytania, czy myślisz, że ten, kto to zrobił, zwyczajnie podniesie rękę i powie: „To ja”? Równie dobrze możesz przedtem zwołać konferencję prasową.

- Mon ami - uśmiechnął się Lebrun - powiedziałem, że jadę do Lyonu, a nie do siedziby Interpolu. Prawdę mówiąc, zaprosiłem dobrego przyjaciela na bardzo cichą kolację.

- Mów dalej - zachęcił go McVey.

- Jak wiesz, Grupa D, której przydzielono śledztwo w sprawie twoich pozbawionych głów ciał, jest pododdziałem Wydziału Drugiego Interpolu. Wydział Drugi to wydział policyjny, zajmujący się wyłącznie śledzeniem i analizą spraw. Ten, kto zażądał akt Merrimana, musi być członkiem Wydziału Drugiego, prawdopodobnie wysokiej rangi. Wydział Pierwszy natomiast to administracja ogólna, która zarządza finansami, kadrami, dostarczaniem wyposażenia, opieką socjalną i takimi sprawami, jak skład osobowy, rachunkowość, remonty budynków i tak dalej. Do tych „i tak dalej” zaliczyłbym działanie podgrupy, która odpowiada za bezpieczeństwo sztabu. Osobnik kierujący tą podgrupą będzie miał dostęp do zapisów identyfikujących pracownika, który zażądał akt Merrimana.

Lebrun uśmiechał się zadowolony ze swego planu, a McVey gapił się na niego.

- Mon ami - odezwał się wreszcie Amerykanin - wiesz, nie chciałbym wyjść na cynika, ale co będzie, jeśli ów osobnik, którego tak ochoczo zapraszasz na kolację, okaże się akurat tym, który ich zażądał? Chyba się orientujesz, że ty jesteś facetem, przed którym przede wszystkim ukrywali informacje? Po to, by mieć czas na zlokalizowanie Merrimana. Pytałeś mnie wcześniej, czy uważam, że te typy zabiłyby gliniarza. Popatrz jeszcze raz na meldunek z Marsylii...

- Ach, po prostu ten wysoki uwielbia ostrzegać za pomocą krwawych metafor. - Lebrun uśmiechnął się i zdusił papierosa. - Mon ami, doceniam twój niepokój. W nieco innych okolicznościach chętnie przyznałbym ci rację: moje podejście do sprawy jest nierozważne. Ale wiesz, raczej wątpię, by szef komórki bezpieczeństwa wewnętrznego wyrządził krzywdę swojemu najstarszemu bratu.

## 55

Nowy ciemnozielony ford sierra z oponami Pirelli P205/70R14 na kołach czarnaście na pięć i pół cala powoli przejechał obok budynku Quai de Bethune osiemnaście, skręcił za róg koło mostu Sully i stanął za białym kabrioletem marki Jaguar na ulicy Saint-Louis-en-l'Île. Chwilę później drzwiczki otworzyły się i wysiadł wysoki mężczyzna. Popołudnie było ciepłe, lecz mimo to nosił rękawiczki. Chirurgiczne rękawiczki koloru ciała.

Pociąg z Marsylii przybył na Gare de Lyon o dwunastej piętnaście. Z dworca Oven pojechał taksówką na lotnisko Orły, skąd zabrał zielonego forda. Za dziesięć trzecia był już z powrotem w Paryżu i parkował niedaleko domu Very Monneray.

Siedem minut po trzeciej wszedł do jej apartamentu i zamknął za sobą drzwi. Nikt go nie widział, gdy przechodził przez ulicę ani gdy użył specjalnie sporządzonego klucza, pasującego do drzwi przy wejściu dla służby. W budynku wspiał się schodami dla służby i dotarł do apartamentu bocznym korytarzem.

Dla większości Francuzów historia najpierw nadana przez telewizję Antenne 2 i wkrótce potem powtórzona przez inne środki przekazu, a dotycząca tajemniczej ciemnowłosej kobiety, która wywozła podejrzanego o morderstwo Amerykanina z klubu golfowego wkrótce potem, gdy wynurzył się z Sekwany, była tylko smakowitą romantyczną opowieścią. Tożsamość obojga stała się przedmiotem szalonych domysłów: ona miała być

znaną francuską aktorką, reżyserką albo powieściopisarką, albo międzynarodową gwiazdą tenisa, albo amerykańską śpiewaczką rockową, w czarnej peruce i mówiącą po francusku. Doktor, szepciano, wcale nie jest doktorem; zdjęcie pokazane w prasie to jedno wielkie fałszerstwo, w rzeczywistości chodzi o hollywoodzkiego gwiazdora, obecnie przebywającego w Paryżu na promocji filmu. W bardziej ponurych wersjach zaklinano się, że to stary amerykański senator, którego gwiazda zbladła z powodu jakiejś tragedii.

Imię, nazwisko i adres Very Monneray, wypisane na kartce drukowanymi literami, wraz z kluczami do drzwi dla służby oraz jej apartamentu znajdowały się w schowku na rękawiczki samochodu Bernharda Ovena już w chwili, gdy odebrał wóz z Orly. W ciągu nieco ponad pięciu godzin od momentu, gdy opuścił Marsylię, Organizacja udowodniła swą skuteczność. Tak jak w przypadku Alberta Merrimana.

Ozdobny zegar na stoliku obok łóżka Very Monneray pokazywał trzecią jedenaście po południu.

Oven wiedział, że panna Monneray tego ranka udała się do pracy o siódmej i nie ukończy swego dyżuru przed siódmą następnego wieczoru. Oznaczało to, wykluczając możliwe, lecz nieprzewidziane wtargnięcie sprzątaczkę czy posługacza, że nikt mu nie przeszkodzi w przeszukiwaniu apartamentu. Oznaczało również, że jeśli będzie tam Amerykanin, znajdzie się z nim sam na sam.

Pięć minut później Oven wiedział, że Amerykanina tu nie ma. Apartament był równie pusty, jak niepokalany. Oven wyszedł, starannie zamknął drzwi na klucz i zszedł schodami dla służby do wyjścia na ulicę. Minał je i skierował się do suterenu.

Znalazł wyłącznik światła, przekręcił go i rozejrzał się dookoła. Ujrzał długi, wąski korytarz wiodący na tyły budynku i liczne drzwi prowadzące do piwnic. Na prawo od niego, wepchnięte pod niski strop z ciężkich bali drewnianych, stały pojemniki na śmieci lokatorów budynku.

Jakże bezpretensjonalnie uprzejmi byli paryżanie z wyższych klas społecznych - każdy apartament miał własny pojemnik i na każdym z nich wymalowany był numer apartamentu. Oven, szybko obejrząwszy pojemniki, stwierdził, że cztery należą do apartamentu Very, a wypełniony jest tylko jeden. Zdjął pokrywę, rozłożył wczorajszą gazetę i sztuka po sztuce zaczął badać zawartość. Znalazł tam cztery puszki po dietetycznej coca-coli, plastikową butelkę po odżywcze do włosów Gelave, pudełko po tic-tacach,

pudełko po gąbeczkach antykoncepcyjnych Today, cztery butelki po lekkim piwie Amstel, egzemplarz magazynu „People”, pustą i po części zgniecioną puszkę po bulionie wołowym, żółtą plastikową butelkę po płynie do zmywania Joy... Oven znieruchomiał. Coś grzechotało w butelce.

Właśnie miał odkręcić kapsel, gdy usłyszał, jak ktoś otwiera drzwi i idzie po schodach. Zatrzymuje się na moment na podeście wychodzącym na ulicę, a potem podejmuje marsz w dół. Oven zgasił światło, skrył się w cieniu pod najniższą kondygnacją schodów i równocześnie wyciągnął zza paska spodni walthera kalibru .25.

Chwilę później po schodach zesza ciężkim krokiem pulchna pokojówka w wykrochmalonym czarno-białym fartuszk, niosąc wypchany worek ze śmieciami. Zapaliła światło, podniosła pokrywę jednego z pojemników, wrzuciła worek do środka, a potem zamknęła pojemnik i odwróciła się. W tym momencie ujrzała śmiecie powyrzucane przez Ovena na gazetę. Mruczając coś pod nosem po francusku, podeszła, zgarnęła je i wrzuciła do pojemnika Very. Położywszy pokrywę na miejscu, porywczym ruchem zgasła światło i tupiąc, powędrowała na górę.

Oven słuchał jej oddalających się kroków. Upewniwszy się, że odeszła, wsunął walthera na miejsce za paskiem, a potem zapalił światło. Podniósł pokrywę pojemnika, wyciągnął plastikową butelkę, odkorkował, odwrócił dnem do góry i potrząsnął. To, co tam było, zagrzechotało, ale nie wypadło. Wydobył z rękawa długi, wąski nóż, otworzył go i wydłubał buteleczkę pokrytą mydłanym osadem. Wylał ją i podniósł do światła. Była to fiołka po lekarstwie z Wyeth Pharmaceutical Products z etykietką: 5 ml tetanus toxoid. Surowica przeciwężcowa.

Przez twarz Ovena przebiegł cień uśmiechu. Vera Monneray odbywała praktykę przed doktoratem. Miała dostęp do farmaceutyków i umiała robić zastrzyki. Ranny człowiek, wypełzający ze skażonej rzeki, z pewnością bardzo potrzebował surowicy, by zapobiec tężcowi. Vera niewątpliwie nie przyniosłaby pustej ampułki do domu, by ją ukryć w butelce po płynie do zmywania. Nie, zrobiła ten zastrzyk tutaj, we własnym apartamencie. A ponieważ Amerykanina teraz tam nie było, musiał znajdować się gdzieś w pobliżu, może w innym budynku albo nawet w tym samym.

Pięć i pół kondygnacji powyżej miejsca, gdzie w piwnicy stał Bernhard Oven, Paul Osborn, zgarbiony nad stoliczkiem pod oknem swego

pokoju, wyglądał ponad skrajem dachu, patrząc, jak na gotyckich wieżach Notre Dame przesuwały się wieczorne cienie.

Podczas tych godzin, gdy nie spał, przemierzał pokoik, gimnastykując nogę, bo jak wiedział, powinien to robić, albo tępo gapił się przez okno, próbując zebrać myśli.

Pewne rzeczy były oczywiste - do takiego doszedł wniosku - i nie dało się ich zbagatelizować.

Po pierwsze: policja nadal mnie szuka w związku ze śmiercią Alberta Merrimana - pomyślał. Od Very dowiedziałem się, że znaleziono resztę sukcyliny i zabrano ją z mego pokoju hotelowego. Jeśli... nie jeśli; kiedy odkryją, jak działa, ponownie zbadają ciało Merrimana i znajdą ślady ukłuć. Pewnie już to zrobili, a jeśli nie, McVey im to zleci. I nie będzie miało znaczenia, że nie zabiłem Merrimana. Zostanę oskarżony o usiłowanie zabójstwa. Udowodnią mi to i nie tylko spędzę Bóg wie ile lat we francuskim więzieniu, ale także stracę uprawnienia lekarskie w Stanach Zjednoczonych.

Po drugie: nie wylazłem z rzeki niezauważony i wcześniej czy później wysoki mężczyzna, kimkolwiek jest, dowie się, że żyję, i przyjdzie mnie zabić.

Po trzecie: policja nadal ma mój paszport. Nawet gdybym jakimś sposobem wydostał się z Paryża, to i tak praktycznie biorąc, jestem uwięziony we Francji; bez paszportu nie mogę jechać do żadnego innego kraju, nawet własnego.

Po czwarte: a było to może najokrutniejsze i najboleśniejse ze wszystkiego; coś, co nieustannie mnie nękało - jasna i niepodważalna świadomość, że śmierć Alberta Merrimana niczego nie zmieniła. Nawiedzający mnie demon stał się tylko bardziej wyrafinowany i nieuchwytny. Jakby po tylu latach horroru coś takiego było możliwe.

Coś w jego wnętrzu krzychało NIE! na tysiąc sposobów. Nie rzucaj się znowu w pogoń. Bo następne drzwi, oznaczone nazwiskiem Erwina Scholla, mogą prowadzić tylko... dokąd? Znowu do kolejnych drzwi! A potem jeśli zdołasz żyć tak długo, otworzą się tylko na szaleństwo. Zrozum wreszcie, Paulu Osbornie, że nigdy nie będzie odpowiedzi. To twoja karma: musisz się nauczyć, że w tym życiu odpowiedzi, których szukasz, mogą nie być odpowiedziami, jakie potrafisz zaakceptować. Tylko przez zrozumienie tego osiągniesz pokój i ciszę w następnym życiu. Przyjmij tę prawdę i zmień się.

Ale wiedział, że ten argument jest zwodniczy i nie może być prawdziwy. Dziś nie mógł zmienić się ani odrobinę bardziej niż jako dziesięcioletni chłopiec. Śmierć Kanaracka-Merrimana rozłożyła go emocjonalnie. Ale jednocześnie rozjaśniła przyszłość. Poprzednio znał tylko twarz. Teraz znał nazwisko. Jeśli ten Erwin Scholl zaprowadzi go do kogoś innego, niech się tak stanic. Bez względu na koszty będzie posuwał się naprzód i naprzód, aż pozna prawdę o śmierci ojca. Bo jeśli tego nie uczyni, nie będzie Very, nie będzie po co żyć. Pokój i cisza nadejdą w tym życiu albo wcale. Taka była jego karma i jego prawda.

Na dworze widział jeszcze okryte całkowicie cieniem wieże Notre Dame. Wkrótce zapalą się światła miasta. Nadszedł czas, by zaciągnąć czarną zasłonę i zapalić lampę. Zrobił to i kulejąc, podszedł do łóżka, na którym się położył. Nastrój chwili ulotnił się i znów ogarnęła go fala bólu, tak dojmującego jak zawsze.

- Czemu dotknęło to moją rodzinę... i mnie? - zapytał głośno. Pytał o to jako dziecko, jako chłopiec, jako dorosły mężczyzna i wzięty chirurg. Powtarzał to tysiące razy. Niekiedy pytanie nadpływało jako cicha myśl albo część świadomie prowadzonej rozmowy podczas sesji psychoterapeutycznej. Kiedy indziej, gdy nagle zawładnęły nim emocje, wykrzykiwał to głośno, bez względu na to, gdzie się znajdował, wprawiając w zakłopotanie ekszony, przyjaciół i nieznajomych.

Uniósłszy poduszkę, wyciągnął pistolet Kanaracka i zważył go w dłoni. Skierowawszy go na siebie, ujrzał otwór, z którego mogła nadejść śmierć. Wyglądało to łatwo. Nawet pociągająco. Najprostsza droga ze wszystkich. Koniec z lękiem przed policją czy wysokim mężczyzną. A co najlepsze, ból natychmiast zniknie.

Zdziwił się, że wcześniej o tym nie pomyślał.

## 56

Piętnaście minut później, za kwadrans szósta, Bernhard Oven zadzwonił do frontowych drzwi pod numerem osiemnaście Quai de Bethune. Zdecydował, że poszukiwania Amerykanina rozpocznie właśnie tutaj.

Rozległ się trzask zamka i Philippe, zapinając pod podwójnym podbródkiem guzik kurtki swej zielonej liberii, otworzył drzwi.

- Bonsoir, monsieur - powiedział przepraszająco, ponieważ kazał na siebie czekać.

- Mam przesyłkę z apteki szpitala Sainte-Anne od doktor Monneray. Powiedziała, by dostarczyć ją jako pilną - oświadczył po francusku Oven.



- Komu? - zdziwił się Philippe.

- Panu, jak sądzę. Portierowi pod tym adresem. Wiem tylko tyle.

- Z apteki, jest pan pewien?

- Monsieur, czy wyglądam na gońca? Oczywiście jestem pewien. Lekarstwo jest pilnie potrzebne i dlatego właśnie wysłano mnie, zastępcę kierownika, i to w niedzielny wieczór.

Philippe milczał. Dzień wcześniej pomagał Verze przenieść Paula Osborna schodami dla służby do jej apartamentu z samochodu zaparkowanego w bocznej uliczce. Później tego samego dnia dopomógł w przeniesieniu go, nieprzytomnego od środków uspokajających, do ukrytego pod okapem dachu pokoiku.

Wiedział, że Osbornowi potrzebna była opieka lekarska. Niewątpliwie potrzebował jej nadal, w przeciwnym razie czy ta przesyłka nadeszłaby na żądanie Very z apteki szpitalnej w niedzielny wieczór?

- Merci, monsieur - powiedział, a Oven wręczył mu oficjalną książkę pokwitowań i pióro.

- Proszę potwierdzić odbiór.

- Oui. - Skinąwszy głową, Philippe się podpisał.

- Bonsoir - powiedział Oven, odwrócił się i wyszedł. Zamknąwszy drzwi, Philippe spojrział na pakiecik, a potem szybko podszedł do swego biurka. Wziął telefon i wykrcił bezpośredni numer do Very do pracy.

Pięć minut później Bernhard Oven podniósł stalową pokrywę telefonicznej skrzynki przyłączowej w suterenie domu przy Quai de Bethune, wsunął małą słuchawkę do minimagnetofonu podłączonego do linii portierni i nacisnął „play”. Usłyszał zatrwożony głos kobiety, który musiał należeć do mademoiselle Monneray.

- Philippe! - zawołała. - Nie wysyłałam żadnej paczuszki. Nie przepisywałam żadnego leku. Otwórz ją, zobacz, co to jest.

Dał się słyszeć szelest papieru, potem pomruk, wreszcie ponownie głos portiera.

- Ależ brudne... To... To wygląda jak ampułka z lekarstwem, których używają lekarze, gdy dają...

- Co jest napisane na etykiecie? - przerwała mu Vera

Oven uśmiechnął się, słysząc niepokój w jej głosie.

- Napisane jest... Przepraszam, muszę wziąć okulary. - Rozległ się głuchy stuk odkładanej na bok słuchawki. Chwilę później Philippe znów ją podniósł. - Napisane jest... pięć mililitrów tetanus toxoid.

- Jezu Chryste! - Verze zaparło w piersiach.  
- O co chodzi, mademoiselle?  
- Philippe, czy rozpoznasz tego człowieka? Czy był z policji?  
- Nie, mademoiselle.  
- Czy był wysoki?  
- Tres. - Bardzo.  
- Wyrzuć ampułkę do wiadra na śmieci i nic nie rób. Natychmiast wychodzę ze szpitala. Gdy dotrę do domu, będziesz musiał mi pomóc.  
- Oui, mademoiselle.  
Rozległ się charakterystyczny trzask odwieszanej przez Verę słuchawki i linia zamilkła.  
Bernhard Oven spokojnie odłączył minimagnetofon i ruszył kuchennymi schodami.  
Było piętnaście po szóstej wieczorem. Teraz pozostało mu tylko czekać.

Niecałe osiem kilometrów stamtąd McVey siedział samotnie przy stoliku kawiarnianym na chodniku placu Wiktora Hugo. Na prawo od niego młoda kobieta w dżinsach siedziała podparta łokciami, gapiała się w pustkę; przed nią stał nietknięty kieliszek wina, a u stóp drzemał mały pies.

Na lewo dwie starszawe, dobrze ubrane i wyraźnie bardzo bogate matrony trajkotały po francusku nad filiżankami herbaty. Były wesołe, ożywione i wyglądały tak, jakby przychodziły tutaj co dzień o tej samej godzinie przez pół wieku.

Tuląc w dłoniach kielich bordeaux, McVey stwierdził, że marzy, by po wycofaniu się ze służby właśnie tak wyglądać. Niekoniecznie jak człowiek bogaty, lecz wesoły i ożywiony oraz zadowolony z otaczającego świata.

W tym momencie przejechał radiowóz z migającymi światłami i McVey doszedł do wniosku, że nie tyle myśli o ostatecznym wycofaniu się z pracy, ile o Osbornie.

Czy sam miał zamiar zabić Merrimana, czy też wystawił go dla wysokiego mężczyzny? Jeśli zamierzał zabić Amerykanina osobiście, skąd tu wysoki mężczyzna? Jeśli zaś wystawił go dla wysokiego jak to się stało, że również padł ofiarą? I czemu taki właśnie typ jak Osborn, proslolinijny z natury, choć nieco porywczy chirurg ortopeda z Kalifornii?

Telefon do doktora Richmana w Królewskim Kolegium Patologów w

Londynie wyjaśnił, że sukcyńlocholina jest środkiem znieczulającym używanym przed zabiegami chirurgicznymi, syntetyczną kurarą, podawaną dla rozluźnienia mięśni. Richman ostrzegął, że niewłaściwie podana jest bardzo niebezpieczna; powoduje całkowite zwiótczenie mięśni szkieletowych i może spowodować uduszenie.

- Czy jest coś niezwykłego w tym, że chirurg dysponował tego rodzaju lekiem? - spytał wprost McVey.

Odpowiedź Richmana była równie bezpośrednia:

- W pokoju hotelowym, gdy rzekomo przebywa na wakacjach? To niezwykle jak wszyscy diabli!

McVey przerwał, pomyślał chwilę, a potem zadał pytanie za milion dolarów:

- Czy użyłby pan tego, gdyby zamierzał pan odciąć głowę?

- Możliwe. W połączeniu z innymi środkami znieczulającymi.

- A co z zamrażaniem? Czy użyłby pan sukcyńlocholinę do tego celu?

- McVey, musi pan zrozumieć, że jest to zabawa, z jaką ani ja, ani koledzy, których wypytywałem, nigdy się nie zetknęli. Nie mamy dość informacji ani o tym, czego tu usiłowano dokonać, ani o tym, co się właściwie zdarzyło, żeby zaproponować jakikolwiek sposób postępowania.

- Doktorze, proszę wyświadczyć mi przysługę - poprosił McVey. - Proszę skontaktować się z doktorem Michaelsem i raz jeszcze zbadać ciało.

- Detektywie, jeśli szuka pan sukcyńlocholinę, to rozkłada się ona w ciele w kilka minut od chwili, gdy zostanie wstrzyknięta. Nie znajdzie pan nawet jej śladu.

- Ale może pan znaleźć ślady ukłuć, które powiedzą nam, że coś zostało wstrzyknięte, zgadza się?

McVey wyraźnie usłyszał zgodę wyrażoną przez Richmana i dźwięk odkładanej słuchawki. A potem nagle go olśniło.

- Skurwysyn! - zawołał głośno.

Piesek pod stołem zerwał się ze snu i zaczął szczeleć. Obie starsze damy, które wyraźnie znały angielski na tyle, by go zrozumieć, spojrzały na niego karcąco.

- Pardon - powiedział McVey. Wstał, zostawiając na stole dwudziestofrankowy banknot. - Ciebie też - rzucił w kierunku psa.

McVey przeszedł przez plac Wiktora Hugo, kupił żeton i zszedł do metra.

- Lebrun - usłyszał własny głos, jak gdyby ciągle znajdował się w gabinecie inspektora - nigdy nie połączyliśmy tych trzech elementów, prawda?

Popatrzawszy na linie metra na wielkim planie wywieszonym na stacji, McVey wybrał trasę i poszedł na peron. Umysł miał ciągle zajęty wyimaginowanym spotkaniem z Lebrunem.

Znaleźliśmy Merrimana, ponieważ zostawił odcisk palca W miejscu zamordowania Jeana Packarda, zgadza się? Osborn powiedział, że wynajął Packarda, by odnalazł kochanka Very Monneray, i wówczas to brzmiało prawdopodobnie. Ale jeśli kłamał? Jeśli próbował odnaleźć właśnie Merrimana? Na groby naszych matek, jak, u diabła, mogliśmy to przeoczyć?

McVey, rozwścieczony faktem, że nie dostrzegł czegoś tak oczywistego, a zarazem podekscytowany tokiem własnego rozumowania, wepchnął się do wagonu metra i złapał uchwyt nad głową.

- Kluczem do wszystkiego jest awantura w brasserie, jeśli się nie mylę, to Osborn rzucił się właśnie na Merrimana. Twoi ludzie ustalili, że sprawcą był Osborn, ale nikt nigdy nie zidentyfikował ofiary. Chyba że zrobił to Packard i dzięki temu wpadł na trop Merrimana. A jeśli tak, istnieje duże prawdopodobieństwo, że znów trafimy na wysokiego mężczyznę.

Pociąg zwolnił. McVey spojrział na nazwę stacji, na którą wjeżdżali. Właśnie ta! Miejsce, w którym miał się przesiąść: Charles de Gaulle-Etoile.

Wysiadł, przepchnął się przez tłum śpieszących pasażerów, poszedł w górę schodami, ominął sprzedawcę słodkiej kukurydzy i zbiegł w dół innymi schodami. Na dole skręcił w prawo i zaczął przepychać się przez tłum w poszukiwaniu swojego pociągu.

Dwadzieścia minut później wysiadł na stacji Saint-Paul i wyszedł na ulicę Saint-Antoine. Pół przecznicy dalej, po prawej stronie, znajdowała się brasserie Stella.

Była siódma dziesięć wieczorem, niedziela, dziewiątego października.

## 57

Bernhard Oven stał w zaciemnionym oknie sypialni Very Monneray i patrzył na podjeżdżającą taksówkę. Chwilę później Vera wysiadła i weszła do budynku. Oven już miał się cofnąć, gdy dostrzegł wyjeżdżający zza rogu samochód ze zgaszonymi światłami. Cofnąwszy się za zasłonę, przyglądał się, jak peugeot najnowszej generacji jedzie ulicą i zatrzymuje się. Oven wyciągnął z marynarki kieszonkową lunetkę i wycelował ją w samochód. Na przednim siedzeniu było dwóch mężczyzn.

Policja.

A więc robili to samo; Vera miała ich zaprowadzić do Amerykanina. Kiedy nieoczekiwanie opuściła szpital, poszli za nią. Powinien był to przewidzieć.

Podniósł ponownie lunetkę i zobaczył, jak jeden z nich bierze do ręki mikrofon. Chce poprosić o instrukcje. Oven uśmiechnął się. Nie tylko policja wiedziała o intymnym związku mademoiselle Monneray z premierem; Organizacja była tego świadoma od chwili, gdy Francois Christian dostał nominację. Prawdopodobieństwo, że inwigilujący inspektorzy otrzymają zezwolenie na wejście do jej apartamentu, było niemal zerowe. Albo pozostaną na miejscu i będą kontynuować inwigilację z zewnątrz, albo poczeka- ją, aż przyjadą ich przełożeni. To opóźnienie zapewni Ovenowi dokładnie tyle luzu, ile potrzebuje.

Szybko opuścił sypialnię i poszedł korytarzem. Skrył się w ciemnej kuchni akurat w momencie, gdy otworzyły się drzwi apartamentu. Rozmawiały dwie osoby. Oven zobaczył, jak w salonie zapala się światło. Nie słyszał, o czym rozmawiają, ale pewien był, że głosy należą do Very i do portiera.

Nagle wyszli z salonu i skierowali się korytarzem prosto do kuchni. Oven wszedł do spiżarni, wyjął zza paska walthera i czekał w ciemności.

- O co chodzi, mademoiselle? - spytał po francusku portier.

- Jestem idiotką, Philippe - odparła chłodno. - A policja jest sprytna. Znaleźli ampułkę i wysłali ją do ciebie, zakładając, że mnie zawiadomisz, a ja zrobię dokładnie to, co zrobiłam. Przypuszczają, że wiem, gdzie jest Paul, wysłali więc jakiegoś wysokiego inspektora, abym się przestraszyła i doprowadziła ich do Paula.

Nie przekonała Philippe'a.

- Skąd może pani mieć pewność? Nikt, nawet monsieur Osborn, nie widział wysokiego mężczyzny z bliska. Może i ten człowiek był policjan- tem, ale nigdy wcześniej go nie widziałem.

- Philippe, czy znasz wszystkich policjantów w Paryżu...?

- Mademoiselle, proszę na to spojrzeć inaczej. A jeśli to nie był poli- cjan, tylko ten, kto postrzelił monsieur Osborna?

Oven usłyszał ich oddalające się kroki. Zgasło światło, głosy rozma- wiających cichły, w miarę jak odchodzili korytarzem.

- Może powinniśmy powiadomić monsieur Christiana - zauważył Phi- lippe, gdy dotarli do wejścia do salonu.

- Nie - odparła spokojnie Vera. Jak dotąd tylko Paul Osborn wiedział o jej zerwaniu z Francois Christianem. Jeszcze nie zdecydowała jak, a nawet

czy poinformować o tym wtajemniczonych w istnienie ich związku. Poza tym za nic w świecie nie chciała uwikłać Francois w sprawę taką jak ta. Był jednym z trzech, którzy mogli sięgnąć po godność prezydenta. Wyścig już się zaczął. Skandal w takiej chwili, szczególnie związany z morderstwem, zniszczyłby go. A niezależnie od tego, czy byli kochankami, czy nie, Francois zbyt mocno nadal obchodził Verę, by ryzykowała zwichnięcie jego kariery. -Poczekaj tutaj. -Zostawiwszy Philippe'a stojącego w korytarzu, Vera weszła do sypialni.

Philippe patrzył za nią. Jego zadaniem było służyć mademoiselle Monneray, a jeśli okaże się to konieczne, bronić jej. Nie za cenę własnego życia, lecz za pomocą środków łączności. W biurku stojącym w holu budynku miał prywatny numer telefonu premiera; wydano mu polecenie, by dzwonił o każdej porze, gdyby mademoiselle znalazła się w trudnej sytuacji.

- Philippe, chodź tutaj! - zawołała z ciemnej sypialni.

Gdy wszedł, zobaczył ją stojącą koło zasłony w oknie.

- Sam popatrz.

Philippe podszedł i wyrzwał na zewnątrz. Po drugiej stronie ulicy parkował peugeot. Blask sączący się z latarni ulicznej wystarczył dla oświetlenia dwóch męskich postaci, zajmujących przednie siedzenie.

- Wracaj do biurka w holu - poleciła Vera. - Rób to, co zwykle, jakby nic się nie zdarzyło. Za kilka minut przywołaj dla mnie taksówkę. Kurs będzie do szpitala. Gdyby policjanci weszli, powiedz im, że przyjechałam do domu, bo źle się czułam, ale teraz zdecydowałam się wrócić do pracy.

- Oui, mademoiselle.

Z mroku kuchni Oven przyglądał się, jak Philippe wychodzi z sypialni i korytarzem zwraca się w jego stronę. Natychmiast w jego dłoni znalazł się walther i Oven cofnął się z pola widzenia. Chwilę potem usłyszał odgłos otwierania i zamykania drzwi wejściowych. Zapadła cisza.

Oznaczało to tylko jedno. Portier oddalił się, a Vera Monneray jest sama w apartamencie.

## 58

Inspektorzy Barras i Maitrot widzieli światło w salonie Very. Instrukcje Lebruna były jednoznaczne: jeśli opuści szpital, podążyć za nią, a potem zameldować; nie ujawniać się, chyba że okoliczności będą tego

wymagać. „Wymagać” oznaczało: „jeśli zaprowadzi was do Osborna lub kogoś, kto, jak podejrzewacie, was do niego zaprowadzi”.

Jak dotąd z konkretów mieli tylko nakaz aresztowania Osborna. Inwigilacja Vera okazała się niezbyt męczącym zajęciem. Opuściła apartament wczesnym rankiem w niedzielę, przybyła do szpitala Sainte-Anne za pięć siódma i tam pozostała. Barras i Maitrot przejęli dyżur o czwartej i nadal nic się nie wydarzyło.

A potem, o szóstej piętnaście, do głównego wejścia szpitala podjechała taksówka, Vera wybiegła i samochód odjechał. Barras i Maitrot zameldowali przez radio, że udają się w pościg, i jako wsparcie podążył za nimi drugi wóz.

Ale pogoń zaprowadziła ich tylko do jej domu. Vera weszła do srodka, a oni zostali na zewnątrz z rozbudzonymi nadziejami, nieustannie spoglądając na jasno oświetlone okno w oczekiwaniu czegoś, co ewentualnie się wydarzy.

Na górze Vera odeszła od okna. Ozdobny zegar na jej stoliku nocnym pokazywał siódmą dwadzieścia. Była nieobecna w szpitalu niewiele dłużej niż godzinę; kiedy go opuszczała, na oddziale nic się nie działo, a jako powód podała nagłe, silne kurcze menstruacyjne. Zapewniła, że w nagłym wypadku może natychmiast wrócić.

Gdyby to była tylko paryska policja, sprawy wyglądałyby inaczej. Potwierdziła to zeszłej nocy reakcja Lebruna na natarczywe pytania McVeya. Ale McVeya nie da się tak łatwo zbyć. Wyczytała to w jego oczach przy ich pierwszym spotkaniu. A to czyniło go bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Policja paryska, a przynajmniej detektywi tutaj przydzieleni, była całkowicie pod jego urokiem, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie. Jeśli chciał, by coś zrobili, wcześniej czy później tak się działo. Z tego właśnie powodu uznała, że wysoki mężczyzna, który dostarczył ampułkę Philippe'owi, był podstawiony. Policijny trik; chcieli ją zastraszyć do tego stopnia, by uwierzyła, że Osbornowi grozi niebezpieczeństwo, i zaprowadziła ich do jego schronienia. Ich obecność na dole tylko to potwierdzała.

Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Oui? Merci, Philippe.

Jej taksówka czekała na dole.

Vera weszła do łazienki i otworzyła pudełko tampaksów. Zdarła papier i wrzuciwszy tampon do toalety, spuściła wodę. Następnie wyrzuciła opakowanie do kosza na śmieci pod umywalką. Gdyby policja chciała coś

sprawdzać po jej wyjściu albo zaczęła ją wypytywać, przynajmniej zostawi dowód, że powodem jej przyjazdu do domu był cykl menstruacyjny. Nie powinni drążyć tego tematu.

Spojrzała w lustro i poprawiwszy włosy, pozostała tak przez chwilę.-. Wszystko, co zdarzyło jej się w związku z Paulem Osbornem, odczuwała jako naturalne, nawet w tej chwili. Gdy po raz pierwszy zobaczyła go stojącego za katedrą w Genewie, owładnęło ją przeczucie, że coś się zmieni, coś jest jej przeznaczone. A kiedy spała z nim pierwszej nocy, nie miała uczucia, że zdradza Francois, nie bardziej, niż gdyby Paul był jej bratem. Wmawiała sobie, że nie porzuci Francois dla Osborna. Ale tak nie było, bo porzuciła. A skoro tak, to, co robiła obecnie, było słuszne. Osborn miał kłopoty, toteż legalność działania nic nie znaczyła.

Zgasiwszy światło w łazience, Vera przeszła w ciemności do sypialni. Zabrała torebkę, dała krok na korytarz i zatrzymała się. Cienie rzucane przez latarnie uliczne tańczyły na suficie salonu i sięgały aż do korytarza, w którym stała.

Coś było nie tak.

W salonie nie paliło się światło. Nie zgasiła go ani ona, ani Philippe. Być może przepaliła się żarówka. Tak. Oczywiście. Żarówka. Nagle błysnęła jej myśl, że może się myli. Że ludzie czekający na ulicy nie są policjantami, tylko pogrążonymi w rozmowie biznesmenami, przyjaciółmi lub męskimi kochankami. Być może jej pierwsze przeczucie było trafne. To morderca znalazł ampułkę surowicy i przekazał ją Philippe'owi. To on chciał, aby doprowadziła go do Osborna.

O Boże! Jej serce waliło, jakby miało pęknąć.

Gdzie on był w tej chwili? Gdzieś w budynku? Może nawet tutaj! W jej apartamencie. Jak mogła być tak głupia, by odesłać Philippe'a? Telefon! Podnieść słuchawkę i zadzwonić do Philippe'a. Szybko!

Odrzuciła się i sięgnęła do wyłącznika. Nagle silna dłoń zatkała jej usta, ciało zostało przyciągnięte do ciała mężczyzny, pod podbródkiem poczuła nacisk spiczastego ostrza.

- Doprawdy, nie chciałbym cię skrzywdzić, ale będę musiał, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci powiem. Zrozumiałaś?

Mówił bardzo spokojnym głosem po francusku, ale z akcentem holenderskim albo niemieckim. Skamieniała ze strachu, próbowała zmusić się do myślenia.

Pytałem, czy rozumiałaś.

Czubek noża ucisnął mocniej. Kiwnęła głową.



- Dobrze - powiedział. - Wyjdziemy kuchennymi drzwiami na schody dla służby. - Był bardzo opanowany i dokładny. - Zdejmę ci rękę z ust. Jeśli wydasz jakikolwiek dźwięk, poderżnę ci gardło. Rozumiesz?

Myśl, Vero! Myśl! Jeśli pójdziesz z nim, zmusi cię, byś go zaprowadziła do Paula. Taksówka! Kierowca się zniecierpliwi! Jeśli zaczniesz tego człowieka zwodzić, Philippe zadzwoni ponownie. Jeśli nie odpowiesz, przyjdzie tutaj.

Nagle przy odległych o cztery metry drzwiach wejściowych rozległ się hałas. Vera poczuła, jak mężczyzna za jej plecami sztywnieje, a nóż osuwa się po jej szyi. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i Vera wydała okrzyk, nie bacząc na dłoń na swych ustach.

W drzwiach stał Osborn. W jednej ręce trzymał klucz do jej apartamentu, w drugiej pistolet Henriego Kanaracka. Stał w pełnym świetle. Verę i wysokiego mężczyznę niemal zupełnie skrywał cień. To było bez znaczenia. Już ujrzał jeden drugiego.

Cień uśmiechu przemknął po wargach Ovena. Jednym ruchem odsunął Verę na bok, błysnęło ostrze. W tej samej chwili Osborn podniósł broń, wrzeszcząc na Verę, by padła na podłogę. Oven cisnął nożem.

Osborn odruchowo uniósł lewą rękę. Sztylet uderzył w nią z całą siłą, przybijając dłoń do otwartych drzwi.

Osborn krzyknął i skręcił się z bólu. Oven sięgnął po walthera. Vera zobaczyła błysk ognia, a jej wrzask zagłuszył gromki huk wystrzału. Oven padł na bok, a Osborn, nadal przybity do drzwi, wystrzelił znowu. Wielki pistolet, zagrzmiawszy trzykrotnie, zmienił korytarz w wyjącą burzę ognia wylotowego, przerywanego ogłuszającym hukiem wystrzałów.

Leżącej na podłodze Verze mignęła na chwilę sylwetka Ovena, uciekającego przez korytarz i drzwi kuchenne. A potem zobaczyła Osborna, jak odrywa dłoń od drzwi i kulejąc, biegnie za tamtym.

- Zostań tutaj! - ryknął.

- Paul! Nie rób tego!

Po twarzy Osborna spływała krew. Przebiegł przez spiżarnię, demolując półkę z garnkami i patelniami, szarpnął kuchenne drzwi i ruszył w dół po schodach.

Kilka sekund później przystanął w słabym świetle klatki schodowej i zaczął nasłuchiwać. Panowała zupełna cisza. Wyciągając szyję, spojrzął do góry wzdłuż schodów, a potem znów w dół.

Nic.

Gdzie on się podział, u diabła? Bądź ostrożny. Bądź bardzo ostrożny - pomyślał Paul.

Z dołu doleciało cichutkie skrzypnięcie. Osbornowi zdawało się, że widzi, jak drzwi na ulicę właśnie się zamykają. Przy drzwiach, po drugiej stronie podestu, w miejscu gdzie schody nadal biegly w dół, zakrzywiając się i znikając w piwnicy, ziała ciemność.

Przesunąwszy wylot lufy w kierunku drzwi, Osborn dał ostrożny krok. Później następny. I następny. A potem drewniana podłoga jęknęła pod jego stopą i stanął jak wryty, próbując przebić wzrokiem ciemności.

Czy tamten wyszedł na dwór? Czy też stoi na dole, w piwnicy, i czeka, nasłuchując?

Nieoczekiwanie uderzyła go myśl, że jego dłoń jest zimna i lepka. Spojrzawszy na nią, zobaczył wystający z niej nóż wysokiego mężczyzny. Ale nic z tym nie mógł zrobić. Gdyby go wyszarpnął, ręka zaczęłaby znowu krwawić, a on nie miał nic, czym mógłby zatrzymać krwotok. Postanowił nie zwracać na nią uwagi.

Jeszcze krok i znalazł się na podeście naprzeciw drzwi wyjściowych. Wstrzymując oddech, pochylił się w stronę piwnicy. Nadal nie słyszał. Powędrował wzrokiem ku drzwiom prowadzącym na ulicę, a potem znów ku ciemności w dole. Poczul, jak krew zaczyna pulsować wokół białego w rękę noża. Wkrótce ustąpi szok i znowu zacznie się ból. Przenosząc ciężar ciała na drugą nogę, zrobił krok w dół. Nie miał pojęcia, jak daleko ciągną się schody ani co się tam na dole znajduje. Zatrzymał się i jeszcze raz wytężył słuch, w nadziei że dosłyszysz oddech przeciwnika.

Nagle ciszę rozdarł ryk silnika i pisk opon. W jednej chwili Osborn odbił się zdrową nogą i znalazł przy drzwiach. Gdy je przekraczał, po jego twarzy przemknęło światło reflektorów samochodowych. Podniósł rękę i na ślepo wystrzelił w rozmazaną zieloną sylwetkę przejeżdżającego obok samochodu. Z piskiem opon wóz skręcił za róg, błysnął odbitym światłem latarni ulicznej i znikł.

Dłoń z pistoletem opadła. Osborn patrzył za niewidocznym już samochodem, nie słysząc, jak za jego plecami drzwi powoli się otwierają. Nagle usłyszał. Przerażony odwrócił się, celując z pistoletu.

- Paul! - W drzwiach stała Vera.

Osborn ujrzał ją w ostatnim momencie.

- Jezu Chryste!

Skądś z zewnątrz doleciało wycie syren. Vera chwyciła go za rękę, wciągnęła do środka i zamknęła drzwi.

- Policjanci. Czekali na zewnątrz.

Osborn zachwiał się, otumaniony. A potem Vera zobaczyła sterczący z jego ręki nóż.

- Paul! - Zadrżała.

Na górze otwarto drzwi. Potem usłyszeli kroki.

- Mademoiselle Monneray! - Głos Barrasa odbił się echem na klatce schodowej.

Świadomość obecności policji otrzeźwiła Osborna. Włożywszy pistolet pod pachę, sięgnął ręką, chwycił rękojeść sztyletu i wyrwał go z dłoni. Na podłogę trysnęła krew.

- Mademoiselle! - Głos Barrasa wyraźnie się przybliżył. Sądząc z odgłosów, schodami schodził więcej niż jeden człowiek. Vera ściągnęła z szyi jedwabny szalik i owiązała nim mocno dłoń Osborna.

- Oddaj mi broń - powiedziała. - A potem zejź do piwnicy i zostań tam.

Kroki były oraz głośniejsze. Inspektorzy dotarli do piętra nad nimi i zaczęli schodzić.

Osborn zawahał się, ale oddał pistolet. Chciał coś powiedzieć, ale ich spojrzenia spotkały się i przez chwilę bał się, że nigdy już jej nie zobaczy.

- Dalej! - wyszeptwała.

Odwrócił się i kulejąc, skrył za zakrętem ciemnych schodów, znikając w mroku piwnicy. Niemal sekundę później Barras i Maitrot dotarli do podestu.

- Mademoiselle, czy nic się pani nie stało?

Z coltem Kanaracka w dłoni Vera odwróciła się do nich.

## 59

Nim do McVeya dotarła wiadomość o tych wszystkich wydarzeniach, zrobiło się już dwadzieścia po dziewiątej. Jego pobyt w brasserie Stella zaczął się nieciekawie i zanosilo się na kompletne fiasko, ale zakończył strzałem w dziesiątkę.

Przyszedł do siódmej piętnaście do zapełnionego lokalu; kelnerzy krzątali się jak mróweczki. Główny kelner, jak się zdawało jedyna tu osoba władająca odrobinę angielskim, poinformował go, że oczekiwanie na stolik może potrwać godzinę albo i dłużej. Gdy McVey próbował wyjaśnić, że nie chodzi mu o stolik, tylko o rozmowę z kierownikiem, tamten wyrzucił oczami i podniósłszy ręce, stwierdził, że dzisiejszego wieczoru nawet kierownik nie zdobędzie dla niego stolika, ponieważ właściciel wydaje przyjęcie

i zajął całą główną salę. Z tymi słowami odbiegł.

Tak więc McVey po prostu stał sobie z policyjnym portretem Alberta Merrimana w kieszeni i próbował coś wymyślić. Musiał wyglądać na samotnego lub zagubionego, albo jedno i drugie, bo po chwili niska, lekko podpita Francuzka w jaskrawoczerwonej sukience wzięła go pod rękę i poprowadziła do stolika w głównej sali, gdzie odbywało się przyjęcie, i zaczęła przedstawiać jako swego „amerykańskiego przyjaciela”. Gdy próbował się grzecznie wyswobodzić, ktoś spytał go w łamanej angielszczyźnie, z jakiej części Stanów pochodzi. A gdy odpowiedział, że z Los Angeles, dwie następne osoby zaczęły go zasypywać pytaniami o drużyny Rams i Raiders. Ktoś inny wspomniał uniwersytet w UCLA. A potem wślizgnęła się między nich wyjątkowo chuda młoda kobieta, wyglądająca i ubierająca się jak modelka. Uśmiechnięta uwodzicielsko zapytała po francusku, czy zna kogoś z Dodgeryów. Jakiś Murzyn przetłumaczył jej pytanie na angielski i patrzył, czekając na odpowiedź.

W tej chwili McVey chciał już tylko wynieść się do wszystkich diabłów, ale z jakiegoś powodu wymamrotał: „Znam Lasordę”. Co było prawdą, ponieważ menedżer Dodgeryów Tommy Lasorda brał udział w kilku policyjnych akcjach dobroczynnych i przez te lata stali się z McVeyem czymś w rodzaju przyjaciół. Na dźwięk nazwiska Lasordy inny mężczyzna odwrócił się i w bezbłędnej angielszczyźnie powiedział:

-Ja też go znam.

Był to właściciel brasserie Stella i w ciągu piętnastu minut dwóch z trzech kelnerów, którzy odciągali Osborna od Francuza owej nocy, gdy go zaatakował, znalazło się w gabinecie kierownika, oglądając szkic Alberta Merrimana.

Pierwszy, popatrzwszy, powiedział: Oui i następnie wręczył go drugiemu. Drugi przyglądał się przez chwilę, a potem oddał szkic McVeyowi.

-L'homme. - Kiwnął głową. Ten człowiek.

## Los Angeles

-Wydział rozbojów i zabójstw, Hernandez - usłyszał w słuchawce.  
Rita Hernandez była młoda i seksowna. Zbyt seksowna jak na glinę.

Dwadzieścia pięć lat, troje dzieci, mąż na wydziale prawa, była najświeższym nabytkiem i chyba zarazem najbystrzejszym detektywem wydziału.

- Buenas tardes, Rita.

- McVey! Gdzie ty się, u diabła, podziewasz? - Rita odchyliła się na oparcie krzesła i uśmiechnęła.

- Jestem u diabła w Paryżu, we Francji. - McVey usiadł na łóżku w hotelowym pokoju i zdjął but. Ósma czterdzieści pięć wieczorem w Paryżu odpowiadała dwunastej czterdzieści pięć w południe w Los Angeles.

- W Paryżu? Chcesz, żebym do ciebie w te pędy przyjechała? Rzucam męża, dzieci, wszystko. Proooszę, McVey!

- Nie spodobałoby ci się tutaj.

- Czemu nie?

- Ani śladu przyzwoitej tortilli, przynajmniej ja nie znalazłem. Nie takiej, jaką ty robisz.

- Do diabła z tortillą. Będę jadła brioche.

- Hernandez, potrzebne mi kompletne dossier pewnego chirurga ortopedy z Pacific Palisades. Znajdziesz czas?

- Tylko nie zapomnij mi przywieźć brioche.

O ósmej pięćdziesiąt trzy McVey odłożył słuchawkę, otworzył kluczykiem „grzecznościowy barek” i znalazł tam to, czego szukał: pół butelki sancerre, które pił, gdy ostatnim razem mieszkał w tym pokoju. Chciał tego czy nie, francuskie wino zaczynało mu coraz bardziej smakować.

Otworzył butelkę, nalał sobie pół szklaneczki, zdjął drugi but i położył nogi na łóżku.

O co właściwie chodziło? Dlaczego Osborn po pierwszym nieudanym ataku i ucieczce Merrimana zadał sobie trud i wynajął prywatnego detektywa?

Było możliwe, że Merriman w jakiś sposób sprowokował Osborna w Paryżu. Ale McVey wątpił, by opowieść o portfelu i lotnisku była prawdziwa, ponieważ atak Osborna w brasserie był zbyt nagły i gwałtowny. Nawet jeśli Osborn jest porywczy, to jest też człowiekiem dość bystrym, by wiedzieć, że nie napada się publicznie ludzi w obcych krajach, nie ryzykując wszelkiego rodzaju reperkusji, szczególnie jeśli zaatakowany próbował poprzednio tylko potarosić cię trochę i zabrać ci portfel. Tak więc sensowne wydało się poszukać innego powodu. I to właśnie podpowiadał McVeyowi instynkt. Że to, co wydarzyło się między tymi dwoma ludźmi, wiązało się z przeszłością.

Ale czemu doktor z Los Angeles miałby być w jakikolwiek sposób powiązany z zawodowym mordercą, który sfignował własną śmierć i ukrywał się niemal przez trzydzieści lat, z czego ostatnie dziesięć we Francji? W dodatku, jak udało się to stwierdzić Lebrunowi, Merriman jako Henri Kanarack sprawował się przez cały ten czas bez zarzutu. Oznaczało to, że jeżeli istnieje jakikolwiek związek między Merrimanem i Osbornem, powstał jeszcze w Stanach.

McVey wstał, podszedł do biurka i otworzył swoją walizeczkę. Odnalazł notatki z rozmowy z Bennym Grossmanem, przesuwając palcem po stronie, póki nie odnalazł daty rzekomej śmierci Merrimana w Nowym Jorku.

- Sześćdziesiąty szósty? - zapytał sam siebie na głos. Łyknął sancerre i dołał trochę do szklaneczki. Osborn nie miał więcej niż czterdzieści lat, zapewne mniej. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym musiał być dzieckiem.

Zmarszczywszy czoło, McVey mozolnie zastanawiał się, czy Merriman mógł być ojcem Osborna. Ojcem, który porzucił rodzinę i zniknął. Szybko musiał odrzucić tę hipotezę; Merriman spłodziłby kogoś w obecnym wieku Osborna jako dziesięciolatek. Nie, z pewnością chodziło o coś innego.

Pomyślał o leku znalezionym przez ludzi Lebruna, sukcylocholinie, i zastanowił się, czy to w ogóle ma jakiś związek ze sprawą Osborn-Merriman. Rozmyślając o tym, zdał sobie sprawę, że nie miał dotąd żadnych wiadomości od inspektora Noble'a na temat ewentualnych śladów ukłuć na pozbawionych głów zwłokach. Prawda, od jego wyjazdu z Londynu upłynęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny...

McVey serdecznie nie znosił tego trybu pracy. Wolał pracować na własną rękę, nie śpiesząc się, przetrawiając wszystkie dane, a potem podejmując właściwe działania. Co prawda, nie mógł narzekać na współpracujący z nim zespół. Noble i jego personel, wraz z ekspertami medycznymi w Londynie, robili dokładnie to, o co prosił. Lebrun w Paryżu tak samo. Benny Grossman w Nowym Jorku był niezwykle pomocny, a Rita Hernandez na pewno prześle niezły materiał z danymi o przeszłości Osborna. Być może to pozwoli McVeyowi na powzięcie pewnych przypuszczeń co do istoty ewentualnych powiązań Osborna z Merrimanem.

Osborn i Merriman, zabity prywatny detektyw Jean Packard, wysoki mężczyzna i jego mordercze wyczyny, wreszcie potajemne działania ze strony Interpolu w Lyonie - wszystko to musiało się wiązać. Pozbawione

głów ciała, znajdowane w całej Europie, i głowa bez ciała znaleziona w Londynie, wszystko głęboko zamrożone podczas jakiegoś dziwnego eksperymentu medycznego - to powinno stanowić zupełnie inną sprawą.

Ale coś mu mówiło, że jest inaczej, że w jakiś sposób te dwie zupełnie oddzielne sprawy się splatają. A tym, który je sprzęgał w całość - choć McVey nie miał na to najmniejszych dowodów - musiał być Osborn.

Wcale mu się to nie podobało. Cała sprawa go przerastała.

- Rozwiąż przypadek Osborn-Merriman, a rozwiążesz i ten drugi - powiedział na głos. W tym momencie dostrzegł, że wielki palec jego lewej stopy zaczyna przebijać skarpetką. Nagle, po raz pierwszy od lat, poczuł się bardzo samotny.

Zapukano do drzwi. Zdziwiony McVey wstał i podszedł do nich.

- Kto tam? - zapytał, uchylając drzwi, lecz nie zdejmując łańcucha.

W korytarzu stał mundurowy policjant.

- Pierwsza Paryska Prefektura Policji, posterunkowy Sicot. Była strzelanina w apartamencie panny Monneray.

## 60

McVey popatrzył na pistolet kalibru .45, który Barras starannie ułożył na płóciennym serwetce na stole w jadalni Very Monneray. Wyciągnął z kieszeni marynarki długopis, wsunął go do lufy i podniósł broń. Był to colt produkcji amerykańskiej, stary grat, dziesięcio-, a nawet może piętnastoletni.

McVey położył go z powrotem na stole, wyjął długopis i rozejrzał się dookoła. Choć była to niedzielna noc, policja paryska zdołała przysłać do mieszkania całą masą techników.

Po drugiej stronie holu, w salonie, widział inspektorów Bar-rasa i Matrota rozmawiających z Verą Monneray. Z boku stała policjantka w mundurze. Na fotelu Alicji w Krainie Czarów siedział portier, do którego wszyscy nagle zaczęli się zwracać Philippe.

McVey wyszedł na korytarz i zobaczył tam żyłastego okularnika z ekipy technicznej, zeskrobującego ze ściany zaschniętą krew. Nieco dalej łysiejący fotograf właśnie kończył robienie zdjęć, a potem człowiek wyglą-dający tak, jakby był zawodowym zapaśnikiem, pojawił się, by delikatnie wyłuskać wystrzelony pocisk z roztrzaskanego blatu wiśniowego stolika.

Wszystko, co tu się teraz działo, pozwoli w efekcie na nader dokładne

odtworzenie wydarzeń. Ale w tej chwili, przynajmniej dla McVeya, pistolet na stole w jadalni był najważniejszą rzeczą.

Mały pistolecik wielkości dłoni - to by rozumiał. Dwudziestka piątka lub trzydziestka trójka. Może walther albo beretta. Albo co prawdopodobniejsze, francuski mab; broń, którą wysokiej rangi członek francuskiego rządu mógłby zwinąć dla dziewczyny do użytku w razie zagrożenia. Ale amerykański colt .45 był bronią dla mężczyzny. Wielki, ciężki, paskudnie kopiący przy wystrzale.

Przesunawszy się obok fotografa, który teraz robił zdjęcia otwartych drzwi do holu zewnętrznego, McVey zajrzał do salonu. Widać było, że Barras właśnie zapytał o coś Verę Monneray, bo ta potrzęsnęła głową. A potem podniosła wzrok i zobaczyła, że McVey jej się przygląda. Natychmiast zwróciła się znów do Barrasa.

Gdy tylko McVey tu przybył, Barras od razu mu powiedział, że zawiadomiono Francois Christiana i premier rozmawiał z Verą przez telefon, ale nie przyjedzie. To był sposób Barrasa na zachowywanie pozorów; danie McVeyowi do zrozumienia, kto tu jest zaangażowany i żeby lepiej się nie wtrącał, szczególnie jeśli chodzi o sprawy mademoiselle Monneray.

Gdyby Lebrun był tu obecny, może wszystko wyglądałoby inaczej. Ale go nie było. Wyjechał z miasta o późnej porze tego dnia w sprawach osobistych i nikt, łącznie z jego żoną, nie wiedział w jakich ani dokąd. I był nieosiągalny, nawet przez pager. Dlatego właśnie wezwano McVeya, ale rzucało się w oczy, że niechętnie; upłynęły aż dwie godziny, nim Barras i Maitrot wysłali posterunkowego Sicota do pokoju hotelowego McVeya.

Detektywa to nie zdziwiło. Podobnie zachowywała się policja w każdym kraju. Gliniarz, nie gliniarz, jeśli nie byłeś jednym z nich, to po prostu nie byłeś. Jeśli chciałeś się znaleźć w wewnętrznym kręgu, najpierw musiałeś zostać tam zaproszony, a to trwało. Tak więc na ogół byłeś traktowany kordialnie, ale pozostawiony sam sobie, niekiedy zaś wprowadzali cię w sprawę dopiero na szarym końcu.

McVey cofnął się do holu i stamtąd przeszedł do kuchni. Policja w całym mieście dostała list gończy za wysokim blondynem: wzrostu około metra dziewięćdziesięciu, ubrany w szare spodnie i ciemną marynarkę, mówi po francusku z holenderskim lub niemieckim akcentem. Niewiele tego było, ale zawsze coś. Jeśli Vera tego wszystkiego nie zmyśliła, co było raczej nieprawdopodobne, mieli dowód, że wysoki mężczyzna istnieje.



Detektyw przeszedł przez kuchnię i dalej przez otwarte drzwi na klatkę schodową. Technicy pracowali na schodach i na podeście dwie kondygnacje niżej, gdzie drzwi dla służby otwierały się na ulicę. Starając się wszystko zapamiętać, McVey zszedł aż na podest i wyrzał przez otwarte drzwi na dwór, gdzie stali mundurowi policjanci.

Vera opowiedziała Barrasowi i Maitrotowi, że przyjechała do domu ze szpitala wskutek ostrych kurczów menstruacyjnych. Weszła do środka, zażyła specjalny środek przeciwbólowy, który miała w domu, i położyła się. Wkrótce poczuła się lepiej i postanowiła wrócić do pracy. Zadzwoiła do Philippe'a, by sprowadził taksówkę, a gdy ta przyjechała, Vera wyszła do holu po torebkę. Zdziwiła się, czemu jest tam tak ciemno, i zdała sobie sprawę, że ktoś zgasił światło w salonie. I właśnie wtedy chwycił ją jakiś mężczyzna.

Wyrwała się i pobiegła do jadalni po broń, którą Francois Christian zostawił tam na wypadek zagrożenia. Odwróciła się i wystrzeliła kilka razy... nie pamięta ile... do wysokiego mężczyzny, który uciekł kuchennymi drzwiami. Pobiegła za nim, myśląc, że może go postrzeliła, i tam właśnie Barras i Maitrot ją znaleźli, stojącą przy drzwiach z pistoletem w dłoni. Podała, że słyszała odjeżdżający samochód, ale go nie widziała.

McVey wyszedł na dwór, gdzie od reflektorów policyjnych bił jaśkrawy, niebieskawy blask, i zobaczył, jak technicy mierzą na jezdni odciski gumowych opon, pozostawione równoległe i niemal dokładnie naprzeciw drzwi, z których właśnie wyszedł.

Wszedł na jezdnię i spojrzął w stronę, w którą oddalił się samochód, a potem ruszył w tym kierunku, aż znalazł się w ciemności, poza zasięgiem policyjnych reflektorów. Przeszedł jeszcze piętnaście metrów i zawrócił. Przykucnąwszy, uważnie zbadał nawierzchnię - bruk pokryty warstwą asfaltu. Podniósł głowę, tak by jego oczy znalazły się na poziomie świecących w oddali reflektorów. Pięć metrów dalej coś błysnęło na jezdni. Wstał, podszedł i podniósł ten przedmiot. Był to odłamek strzaskanego samochodowego lusterka bocznego.

Wsunął go ostrożnie do kieszeni na piersiach marynarki, wrócił w kierunku światła, aż znalazł się dokładnie naprzeciw drzwi dla służby. Wtedy obejrzał się przez ramię. Po drugiej stronie ulicy okna innych mieszkań świeciły się jasno i widać w nich było sylwetki lokatorów, przyglądających się temu, co się dzieje na ulicy.

Trzymając się linii prostopadłej do drzwi dla służby, podszedł do budynku po przeciwnej stronie ulicy. Tu jedynym źródłem światła była znajdująca się dwanaście kroków dalej latarnia uliczna.

Starając się nie dotknąć świeżo malowanego ogrodzenia z zaostzonych żelaznych prętów, McVey podszedł do budynku i zbadał dokładnie jego ceglano-kamienną powierzchnię. Szukał świeżego odprysku kamienia lub cegły, miejsca, gdzie mógł trafić pocisk wystrzelony z drugiej strony ulicy w przejeżdżający samochód. Ale niczego nie dostrzegł i pomyślał, że może się myli, ostatecznie odłamek lusterka mógł leżeć na ulicy już od pewnego czasu.

Technicy skończyli właśnie pomiary i wchodzili do budynku, McVey miał do nich dołączyć, gdy zauważył, że brakuje szczytu jednego z dekoracyjnych żelaznych prętów świeżo pomalowanego płotu. Przeszedł za ogrodzenie, pochylił się i popatrzył na ziemię. A wtedy to dostrzegł. Końcówka pręta leżąca w cieniu wylotu rynny koło rogu budynku. Została skruszona i zgięta jakimś mocnym uderzeniem, spod świeżej farby wyglądała błyszcząca stal.

## 61

Decyzja, żeby się wycofać, była słuszna. Pierwszy strzał Amerykanina wyrył krwawą ścieżkę na krawędzi jego szczęki. Miał szczęście. Gdyby nie rzut nożem, Osborn trafiłby go między oczy. Gdyby zaś on miał w ręce walthera zamiast noża, zabiłby Osborna, a potem dziewczynę.

Ale nie zrobił tego, nie zdecydował się też zostać i wdać w walkę z Amerykaninem, ponieważ na zewnątrz czekali policjanci. Ostatnią rzeczą, której mógłby sobie życzyć Oven, było starcie z rozwścieczonym mężczyzną z pistoletem w ręce, gdy frontowym wejściem wchodzi policja.

Nawet gdyby zabił Osborna, policja mogła go zranić lub złapać. W więzieniu przeżyłby pewnie jeden dzień, tyle czasu zajęłoby Organizacji znalezienie sposobu na usunięcie zagrożenia. Jeszcze jeden argument przemawiający za tym, że podjął właściwą decyzję i we właściwym czasie.

Ale pojawił się kolejny problem. Po raz pierwszy ktoś mu się dokładnie przyjrzał. Osborn i Vera Monneray opiszą go policji jako mężczyznę bardzo wysokiego, co najmniej metr dziewięćdziesiąt, z blond włosami i blond brwiami.

Była już prawie dziewiąta trzydzieści, upłynęło około dwóch godzin od strzelaniny. Oven wstał z twardego krzesła, na którym siedział, rozmyślając, przeszedł do sypialni dwupokojowego mieszkania przy ulicy l'Eglise, otworzył drzwi szafy i wyjął starannie uprasowane niebieskie dżinsy.

Położył je na łóżku, zsunął szare flanelowe spodnie, powiesił je pieczołowicie na wieszaku i schował do szafy.

Usiadł na brzegu łóżka i odłączył paski velcro, które łączyły protezy - dwudziestopięciocentymetrowe golenie i stopy - z kikutami jego nóg, w miejscu gdzie zostały amputowane w połowie odległości między kolanami i kostkami.

Otworzył walizkę z twardego plastiku, wyjął drugą parę protez, o piętnaście centymetrów krótszych. Dopasowawszy je do obu kikutów, założył paski velcro, naciągnął białe sportowe skarpetki, dzinsy i parę białych reeboków z cholewkami.

Wstał, włożył walizkę z protezami do szuflady i przeszedł do łazienki. Nałożył krótką ciemną perukę i przyciemnił brwi.

O dziewiątej czterdzieści dwie, zamaskowawszy ślad pocisku na szczęce cienkim opatrunkiem, mający sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu Bernhard Oven opuścił swe mieszkanie przy ulicy de l'Eglise i poszedł do oddalonej o pół przecznicy restauracji Jo Goldenberga przy ulicy Rosiers siedem. Zajął stolik przy oknie, zamówił butelkę izraelskiego wina i specjalność wieczoru: gołąbki z mieloną wołowiną i ryżem, zawijającymi w liście winorośli.

Paul Osborn leżał zwinięty w kłębek w ciemności, na wierzchu starego kotła grzewczego w piwnicy domu Quai de Bethune numer osiemnaście. Miał do dyspozycji dwa metry kwadratowe, głowę trzymał ledwie o centymetr od zakurzonego, pełnego pajaków sufitu ze starych belek i zaprawy. Znalazł to miejsce na moment przed wtargnięciem do piwnicy pierwszych detektywów. Teraz, prawie trzy godziny później, tkwił tu nadal. Przestał już liczyć, ile razy kręcące się szczury włożyły na górę, by go obwąchać i obejrzeć ohydnyimi oczkami. Jeśli mógł być za coś wdzięczny losowi, to chyba tylko za to, że noc była ciepła i nikt w budynku nie włączył ogrzewania, co automatycznie włączyłoby kocioł.

Przez pierwsze dwie godziny zdawało mu się, że policjanci są we wszystkich kątach piwnicy. Policjanci w mundurach, policjanci po cywilnemu z identyfikatorami przypiętymi do marynarek. Wychodzili i wracali. Rozmawiali głośno po francusku, co chwila śmiejąc się z żartów, których nie rozumiał. Miał szczęście: nie wzięli ze sobą psów.

Ręka przestała krwawić, ale bolała okropnie. Zdrętwiał, chciało mu się pić i był skrajnie zmęczony. Kilka razy zapadł w drzemkę, ale zaraz budzili go policjanci, szukający wszędzie z wyjątkiem miejsca, w którym się ukrył.

Ale teraz już od jakiegoś czasu panowała cisza i Osborn zaczął się zastanawiać, czy odjechali. Chyba jednak nie, bo przecież Vera przysłaby poszukać go w piwnicy. Ale może nie była w stanie się wyrwać. Przecież policja mogła zostawić dla niej ochronę, na wypadek gdyby wysoki mężczyzna powrócił. I co wtedy? Jak długo powinien zostać na miejscu, zanim przynajmniej spróbuje się stąd wydostać?

Nagle usłyszał, jak na górze otwierają się drzwi. Vera! Poczł, że serce bije mu żywiej. Podniósł się z miejsca. Usłyszał czyjeś kroki; ktoś zatrzymał się na podeście. To musiała być Vera. Po co policjant miałby samotnie schodzić do piwnicy, którą już gruntownie zbadano? Albo ktoś sprawdzał, czy drzwi dla służby zostały zabezpieczone. W takim razie zaraz pójdzie na górę.

Nagle rozległo się głośne skrzypnięcie schodka. To nie były kobiece kroki.

Wysoki mężczyzna!

Udało mu się zmylić policję, podobnie jak Osbornowi, albo po prostu jakimś sposobem tu wrócił. Ogarnięty paniką Osborn zaczął rozglądać się w poszukiwaniu broni. Nie było żadnej.

Schody znowu zaskrzypiały, ponownie rozległy się kroki. Wstrzymując oddech i wyciągając szyję, Osborn zdołał dojrzeć kilka stopni u samego dołu. Jeszcze krok i pojawiła się męska stopa, potem druga, potem cała postać.

McVey.

Osborn cofnął się i przytulił do wierzchu kotła. Usłyszał zbliżające się kroki McVeya. A potem ustały. I znów się rozległy, oddalały się od kotła i kierowały ku ciągnącemu się pod całym budynkiem piwnicznemu korytarzowi.

Przez kilka sekund nie słyszał, a potem doleciał go cichy trzask i zapaliło się światło. Chwilę później kolejny i zapłonęło jeszcze więcej lamp. Wszystko to już widział wcześniej, gdy przeszukiwała piwnicę francuska policja. Podziemie wyglądało jak mały skład towarowy. Staromodne drewniane skrzynie na węgiel, teraz zapełnione meblami i rzeczami osobistymi lokatorów, stały pod obiema ścianami i nikły w ciemnościach poza linią lamp. Osborn pomyślał, że gdyby poszedł aż tam, do miejsca gdzie nie sięgało światło, mógłby się lepiej schować. Może nawet znalazłby wyjście na drugim końcu korytarza.

Nagle coś zaszurało mu nad głową i spadło na piersi. Szczur. Tłusty i ciepły. Osborn czuł wbijające mu się w skórę przez koszulę pazurki, gdy szczur przesuwiał się po jego klatce piersiowej, by obwąchać szalik Very - wilgotny i lepiący się od krzepnącej krwi.

- Doktorze Osborn!

Głos McVeya odbił się echem w całej piwnicy. Osborn wzdygnął się, a szczur spadł na ziemię. McVey usłyszał odgłos upadku, a potem zobaczył gryzonia znikającego w ciemności pod schodami.

- Nie przepadam za szczurami. A pan? Kąsają, gdy je przyprzeć do muru, prawda'?

Uniósłszy się odrobinę, Osborn zobaczył McVeya, stojącego w połowie drogi między kotłem i miejscem, gdzie kończyły się światła. Po obu jego stronach stały zakurzone skrzynie i piętrzyły się sterty okrytych pokrowcami mebli. W porównaniu z nimi McVey wyglądał prawie na karzełka.

- Jeśli nie liczyć umundurowanych oddziałów z przodu i z tyłu budynku, policja francuska odjechała. Panna Monneray wraz z nimi. Do komendy. Chcą, żeby spróbowała zidentyfikować wysokiego na podstawie fotografii. Jeśli Paryż jest choć trochę podobny do Los Angeles, posiedzi tam dość długo. Mają całą masę albumów.

McVey odwrócił się i popatrzył w stronę zgromadzonych za jego plecami mebli.

- Pozwoli pan, doktorze, że zrelacjonuję, co wiem. – Teraz McVey znów się odwrócił i powoli zaczął iść w kierunku kryjówki Osborna. Jego kroki odbijały się lekkim echem, oczy badały każdy zakątek, wypatrując oznak najsłabszego choćby ruchu. – Panna Monneray kłamała, twierdząc, że to ona użyła broni przeciw wysokiemu. Świetnie wykształcona kobieta, z godnymi uwagi kontaktami, odbywająca właśnie praktykę lekarską. Nawet gdyby potrafiła wycelować i użyć broni tak ciężkiej jak czterdziestkapiątka, wątpię, by rzuciła się w pogoń za napastnikiem obskurnymi tylnymi schodami. Ani też by pobiegła za nim na ulicę i strzelała jeszcze, gdy odjeżdżał. Twierdzi, że nie widziała samochodu, tylko go słyszała, ale w takim razie jakim cudem udało jej się rozbić strzałem lustro boczne, a następnie odstrzelić szczyt żelaznego pręta w ogrodzeniu domu naprzeciwko?

McVey wiedział oczywiście, że francuska policja gruntownie przeszukała suterene i nic nie znalazła. Założył zatem w ciemno, że Osborn tu jest. Ale działanie w ciemno oznaczało brak pewności.

- Na drzwiach korytarza na górze były świeże ślady krwi, także na podłodze kuchni i na prowadzącym na dwór podejście schodów dla służby. Oddział techniczny Paryskiej Prefektury Policji jest bardzo dobry. Natychmiast ustalono, że były dwie różne grupy krwi. Grupa 0 i grupa B.

Panna Monneray nie została nawet drażnięta, zatem nie krwawiła. Mogę więc założyć się, że jeden z was ma grupę 0, a drugi B. I sądzę, że dowiem się, jak mocno każdy z was został zraniony.

Teraz McVey znalazł się dokładnie pod Osbornem. Stał i rozglądał się. Osborn się uśmiechnął. Przyszło mu na myśl, że gdyby McVey nosił kapelusz jak detektywi w Los Angeles w latach czterdziestych, mógłby sięgnąć i zdjąć mu go z głowy; wyobraził sobie minę McVeya...

-Nawiasem mówiąc, doktorze, Departament Policji Los Angeles opracowuje szczegółowe dossier na pana temat. Gdy wrócę do hotelu, będzie tam czekał faks ze wstępnymi danymi. Gdzieś wśród nich znajdzie się ta o pańskiej grupie krwi.

McVey czekał i słuchał. A potem wrócił na trasę, którą przebył, i poszedł nią powoli, cierpliwie czekając, aż Osborn, jeśli tu się znajduje, popełni błąd, który go zdradzi.

-Pewnie się pan nad tym zastanawia, ale ja też nie wiem, kim jest wysoki ani co zamierza. Niemniej powinien pan wiedzieć, że jest on bezpośrednio odpowiedzialny za wiele zgonów ludzi, znających Alberta Merrimana, którego pan mógł znać jako Henriego Kanaracka. Dziewczyna Merrimana, Agnes Demblon, spaliła się w pożarze, który wysoki spowodował w jej kamienicy. Pożar zabił także dziewiętnaście innych osób dorosłych i dwoje dzieci, a nikt z nich zapewne nigdy nie słyszał o Albercie Merrimanie. Potem wysoki pojechał do Marsylii i odnalazł tam żonę Merrimana, jej siostrę, męża jej siostry i ich pięcioro dzieci. Wszystkich pozabijał strzałami w głowę.

McVey przerwał, wyciągnął rękę i zgasił część świateł.

-On poszukiwał pana, doktorze Osborn. Nie panny Monneray. Ale po wydarzeniach dzisiejszego wieczoru, kiedy widziała jego twarz, także nią się zajmie.

Rozległ się głuchy trzask, gdy McVey wyłączył resztę lamp. A potem Osborn usłyszał, jak detektyw w ciemności kieruje się ku niemu.

-Szczерze mówiąc, doktorze Osborn, wpadł pan jak śliwka w kompot. Ja pana szukam. Policja paryska pana szuka. I wysoki mężczyzna pana szuka. Jeśli dostanie pana policja, może się pan założyć o wszystkie skarby świata, że wysoki znajdzie sposób, by załatwić pana w więzieniu. A potem weźmie się do panny Monneray. Może nie od razu, ponieważ panna Monneray przez pewien czas będzie miała ochronę. Ale kiedyś, później, gdy wyjdzie na zakupy albo do fryzjera, albo w bufecie szpitalnym o trzeciej nad ranem...

Nikt prócz pana i mnie nie wie, że tu jestem. Być może, gdybyśmy porozmawiali, mógłbym pomóc. Proszę o tym pomyśleć, dobrze?

Zapadła cisza. Osborn wiedział, że McVey próbuje wyłowić najlżejszy dźwięk, więc wstrzymał oddech. Upłynęło czterdzieści sekund, nim usłyszał, że detektyw się odwraca, podchodzi do schodów, znów się zatrzymuje.

- Mieszkam w niedrogim hotelu Vieux Paris przy ulicy Git le Coeur. Pokoje są małe, ale mają w sobie coś ze staroświeckiego paryskiego uroku. Proszę zostawić wiadomość, gdzie mogę pana spotkać. Nie wezmę ze sobą nikogo. Będziemy tylko we dwóch. Nie musi pan używać własnego nazwiska. Wystarczy powiedzieć, że dzwonił Tommy Lasorda. I podać czas i miejsce.

Wreszcie McVey wszedł po schodach i zniknął. Chwilę później Osborn usłyszał, jak wyjściowe drzwi dla służby otwierają się, a potem zamykają. Zapanowała całkowita cisza.

## 62

Nazywali się Eric i Edward, a Joanna nigdy jeszcze nie widziała tak doskonałych mężczyzn. Mieli po dwadzieścia cztery lata i wyglądali na absolutnie bezbłędne okazy ludzkich samców. Obaj mieli po sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, obaj ważyli dokładnie po siedemdziesiąt pięć kilogramów.

Po raz pierwszy ujrzała ich wczesnym popołudniem, gdy pracowała z Eltonem Lybargerem w płytkim końcu krytego basenu w budynku mieszczącym salę gimnastyczną.

Basen miał wymiary olimpijskie: pięćdziesiąt metrów długości, dwadzieścia pięć szerokości. Na jednym jego końcu znajdował się automatyczny rejestrator nawrotów, liczący przepłynięte długości basenu.

Eric i Edward pływali na czas stylem motylkowym. Gdy Joanna i Lybarger weszli, chłopcy mieli już za sobą po osiem nawrotów, czyli osiemset metrów. Gdy skończyła ćwiczyć z Lybargerem, nadal pływali motylkiem, w równym rytmie, ramię w ramię. Rejestrator wyświetlił liczbę sześćdziesiąt dwa. Sześć kilometrów motylkiem non stop? To było niemożliwe. Ale jak mogła wątpić, skoro widziała ten wyczyn na własne oczy?

Godzinę później, gdy pielęgniarz zabrał Lybargera na ćwiczenia z dykcji, Eric i Edward wyszli z sali gimnastycznej i przygotowywali się do

biegu przez las. Wówczas właśnie von Holden przedstawił ich Joannie.

- Siostrzeńcy pana Lybargera - powiedział z uśmiechem. - Studiowali w Akademii Wychowania Fizycznego Niemiec Wschodnich, póki nie za wiadomiono, że zostaje zamknięta. Wtedy przyjechali do domu.

Obaj mieli niezwykle przyjemne maniery. Powiedzieli, że było im miło ją poznać, a potem odbiegli.

Joanna zapytała się, czy bliźniacy trenują do olimpiady, a von Holden się uśmiechnął.

- Nie. Nie do olimpiady. Do polityki! Pan Lybarger zachęcał ich do tego od dzieciństwa, od chwili gdy umarł ich ojciec. Uważał wówczas, że pewnego dnia Niemcy znów się zjednoczą. I miał rację.

- Niemcy? Myślałam, że pan Lybarger jest Szwajcarem.

- Niemcem. Urodził się w Essen.

Dokładnie o siódmej wieczór rodzina i goście usiedli do kolacji w oficjalnej sali jadalnej. Joanna wiedziała już, że posiadłość Lybargera nosi nazwę Anlegeplatz - Przystań. Co oznaczało miejsce, z którego można wyruszyć w podróż, lecz do którego zawsze się wraca.

Po przedłużonej sesji terapeutycznej z panem Lybargerem Joanna wróciła do swego pokoju i znalazła tam wytworną suknię wieczorową, którą zaprojektowała dla niej sama Uta Baur. Okazało się, że Uta również gości w Anlegeplatz. Suknię skrojono i uszyto bezbłędnie. Była długa, dopasowana i podkreślała w figurze Joanny to, co było warte zaakcentowania. Właściwie należało ją nosić na gołe ciało, by nie odznaczała się bielizna... Absolutnie jedyna w swoim rodzaju, może nieco wyzywająca, ale jakże seksowna kreacja.

Uszyta z czarnego aksamitu, miała spory dekolt i nikły złoty wzór, biegnący od karku przez piersi do drugiego boku niczym mocno przytulony wąż boa. Na ramionach - perfekcyjny szczegół - zwiślały miniaturowe złote frędzelki.

Joanna spojrzała niechętnie. Nigdy w życiu nie włożyłaby czegoś podobnego. Ale nie przywiozła ze sobą nic szykownego, a kolacje w Anlegeplatz były takie uroczyste. Nie miała więc innego wyboru, niż ją nałożyć.

Gdy to zrobiła, przeistoczyła się. To była magia. Umalowana, z elegancko ułożonymi włosami, zupełnie nie przypominała pucołowatej,



pospolicie wyglądającej fizykoterapeutki z Nowego Meksyku; była seksowną i wytworną przedstawicielką międzynarodowej socjety, poruszała się z gracją i pewnością siebie.

Wielka sala jadalna w Anlegeplatz mogłaby służyć za tło średnio-wiecznego dramatu kostiumowego. Dwanaścioro gości siedziało w ręcznie rzeźbionych fotelach o wysokich oparciach po dwóch stronach długiego, wąskiego stołu, swobodnie mieszczącego trzydzieści osób. Pół tuzina kelnerów czuwało nad zaspokajaniem ich najdrobniejszych potrzeb. Sama sala miała wysokość dwóch pięter i w całości została zbudowana z kamienia. Z sufitu zwisały, jak bojowe sztandary, flagi z herbami wielkich rodów, wywołując poczucie, że w tym miejscu niegdyś zasiadali królowie i rycerze.

Elton Lybarger siedział u szczytu stołu. Po prawej ręce miał Utę Baur, rozmawiającą z nim we właściwy sobie, ożywiony sposób, tak jakby tylko oni dwoje byli tu obecni. Uta ubrana była na czarno; jak się później Joanna dowiedziała, czern stanowiła jej znak firmowy. Czarne buty z cholewami, czarne, ściśle dopasowane spodnie i czarny jednorzędowy żakiet, zapięty tylko na jeden guzik na mostku. Skórę na rękach, twarzy i szyi miała gładką i opalizującą, jakby nie zaznała promieni słonecznych. Dołek między jej niedużymi piersiami był tak samo rmlęcznobiały, z jasnoniebieskimi żyłkami, przypominającymi drobne pęknięcia na delikatnej porcelanie. Miała niezwykle krótkie białe włosy. Jedyne wyraźny akcent na jej twarzy stanowiły wyskubane brwi. Nie malowała się ani nie nosiła biżuterii. I bez tego robiła ogromne wrażenie.

Kolacja ciągnęła się długo, atmosfera była swobodna. Pomimo obecności innych gości - doktora Salettla, bliźniaków Erica i Edwarda oraz kilku nowych osób, które zostały jej przedstawione - Joanna większość czasu spędziła na rozmowie z von Holdenem o Szwajcarii, jej dziejach, sieci kolejowej i geografii-Wyglądało, że von Holden jest ekspertem w tych dziedzinach, ale dla niej równie dobrze mógłby opowiadać o ciemnej stronie Księżyca. Jego chłodny, oschły telefon dzisiejszego ranka sprawił, że poczuła się jak pospolita i bezwartościowa kobieta; jakby ubiegłej nocy została po prostu użyta. Ale gdy spotkał się z nią w ogrodzie po południu, był czuły i serdeczny. I nadal tak się zachowywał podczas kolacji. W miarę jak mijały godziny, choć starała się ze wszystkich sił tego nie okazać, coraz bardziej paliła się do jego dotknięcia.

Po kolacji Lybarger, Uta, doktor Salettl i inni goście udali się do leżącej na piętrze biblioteki na kawę oraz by posłuchać, jak Eric i Edward grają na dwa fortepiany.

Joanna i von Holden jako pracownicy nie zostali zaproszeni, podziękowali więc za wieczór.

- Doktor Salettl oczekuje, że pan Lybarger już w piątek będzie mógł chodzić bez laski - powiedziała Joanna, patrząc, jak Uta bierze Lybargera pod rękę i pomaga mu wejść na schody.

-A będzie? - Von Holden spojrział na nią.

-Mam nadzieję, ale to zależy od pana Lybargera. Nie wiem, czemu piątek jest aż tak ważny. Co za różnicę sprawiłoby jeszcze kilka dni?

-Chcę ci coś pokazać - oznajmił von Holden, puszczając mimo uszu jej pytanie i prowadząc ją do bocznego wejścia w przeciwległym końcu sali jadalnej.

Weszli do wyłożonego boazerią korytarza i podeszli do małych drzwi otwierających się na schody. Von Holden podał Joannie rękę i poprowadził ją po kilku schodkach w dół do kolejnych drzwi, za którymi zobaczyła wąskie przejście biegnące pod frontowym podjazdem.

-Dokąd idziemy? - zapytała cicho.

Nie odpowiedział. Poszli dalej i Joanna poczuła dreszczyk emocji. Pascal von Holden był mężczyzną, który mógł zwabić i mieć prawie każdą kobietę, jakiej zapragnął. Żył w świecie arcybogaty, wspaniałych ludzi, niemal książąt krwi królewskiej. Joanna była tylko zwykłą fizykoterapeutką, mówiącą z nosowym akcentem południowo-zachodnich Stanów. Zeszłej nocy puściła się z nim i wiedziała, że nie mogła zrobić na nim szczególnego wrażenia. Czemuż by miał to powtórzyć? A może żywił jakieś inne zamiary?

Na końcu przejścia kilka stopni prowadziło w górę. U ich szczytu były jeszcze jedne drzwi, które von Holden otworzył. Stał z boku i wprowadził ją do środka, a potem zamknął drzwi.

Joanna stała z otwartymi ustami, zadartszy głowę. Znajdowali się w pomieszczeniu, które niemal w całości zajmowało kolosalne koło wodne napędzane głębokim i szybkim strumieniem.

-To zapewnia niezależne źródło prądu elektrycznego dla posiadłości - wyjaśnił von Holden - Uważaj, podłoga jest bardzo śliska.

Wziąwszy ją pod rękę, poprowadził ku jeszcze jednym drzwiom. Otworzył je, sięgnął do środka i zapalił światło. Zobaczyła pomieszczenie

zbudowane z drewna i kamienia. Pośrodku był basen, pełny bulgoczącej wody, stanowiący odnogę strumienia. Otaczały go ze wszystkich stron kamienne ławy. Wskazawszy drewniane drzwi, von Holden powiedział:

-Dalej jest sauna. Wszystko blisko natury i znakomite dla zdrowia.

Joanna poczuła, że się rumieni i równocześnie, że rośnie jej pożądanie.

-Nie mam się w co przebrać - rzekła.

-Ach, rozumiesz, na tym właśnie polegają cuda projektów Uty. - Von Holden się uśmiechnął.

-Nie rozumiem.

-Suknia dokładnie przylega i uszyta jest tak, by ją nosić bez bielizny, prawda?

Joanna znów się zarumieniła.

-Tak. Ale...

-Forma zawsze odpowiada funkcji. - Von Holden wyciągnął rękę i delikatnie ujął palcami jeden ze złotych frędzelków na ramieniu Joanny. - Na przykład ten dekoracyjny elemencik.

-Co z tym elemencikiem?

-Gdyby go najostrożniej pociągnąć...

Nagle suknia Joanny osunęła się na podłogę tak elegancko jak kurtyna teatralna.

-Widzisz, jesteś gotowa do kąpieli i sauny. - Von Holden cofnął się i zaczął się jej przyglądać.

Joanna poczuła pożądanie silniejsze niż kiedykolwiek w życiu. Jeszcze większe niż ubiegłej nocy, jeśli to w ogóle było możliwe. Nigdy dotąd bliskość mężczyzny tak na nią nie działała. W tej chwili zrobiłaby wszystko, czego by zażądał, a nawet więcej.

-Czy zechcesz mnie rozebrać? Wzajemność to uczciwość, tak to się mówi?

-Tak... - Joanna usłyszała własny szept. - Boże, tak. Wtedy von Holden wyciągnął rękę, a ona podeszła do niego, rozebrała go i kochali się w basenie, kochali się na kamiennych ławach, a potem w pokoju wypoczynkowym w saunie.

Osabli od miłości odpoczywali, dotykali się i pieścili, a von Holden brał ją powoli i zdecydowanie, na sposoby przekraczające jej najbardziej wyuzdane marzenia. Podniósłszy wzrok, Joanna ujrziała swój obraz w lustrach na suficie, a potem w lustrach na ścianie z lewej strony i te wizje spowodowały, że śmiała się z radości i niedowierzania. Po raz pierwszy w życiu czuła się pociągająca i pożądana. I pławiła się w tym uczuciu, a von Holden na to pozwalał. Czas należał do niej tak długo, jak sobie tego życzyła.

W wyłożonym ciemną boazerią gabinecie na drugim piętrze głównego budynku Anlegeplatz Uta Baur i doktor Salettl siedzieli w fotelach i cierpliwie przyglądali się tym ćwiczeniom na trzech wielkoekranowych, wysokorozdzielczych monitorach telewizyjnych, odbierających sygnały przekazywane przez zdalnie sterowane kamery, zamontowane za jednokierunkowymi lustrami. Każdej kamerze odpowiadał jeden monitor, dzięki czemu można było mieć pewność, że nic nie ujdzie uwagi patrzących.

Wątpliwe, czy którekolwiek z nich podniecało to, co oglądali. Nie dlatego, że oboje byli siedemdziesięciolatkami, lecz dlatego, że obserwowali wydarzenia z klinicznym chłodem.

Von Holden był niczym więcej niż instrumentem w doświadczeniu. To Joanna przyciągała ich uwagę.

Wreszcie Uta sięgnęła i nacisnęła guzik. Monitory pociemniały, a ona wstała z miejsca.

- Ja - powiedziała do Salettla. - Ja - powtórzyła i wyszła z pokoju.

## 63

Zgodnie z zegarkiem Osborna była 2.11 po północy, poniedziałek, dziesiąty października.

Trzydzieści minut wcześniej wszedł po schodkach i ukrytą windą pojechał do pokoju pod okapem dachu przy Quai de Bethune numer osiemnaście. Wyczerpany wszedł do łazienki, odkręcił kran i napił się do woli. Następnie odwinął przesiąknięty krwią szalik Very i oczyścił ranę. Dłoń pulsowała bólem jak diabli i tylko z wielkim trudem zdołał ją rozewrzeć. Ale ból był pożądanym zjawiskiem, dowodził, że bez względu na to, jak paskudnie został zraniony, nie ma uszkodzonych ani nerwów, ani najważniejszych ścięgien. Nóż wysokiego mężczyzny trafił go w środek dłoni, pomiędzy kości śródrezcza, tuż pod miejscem, gdzie zbiegał się drugi i trzeci palec. Niemniej potrzebował prześwietlenia. Jeśli któraś kość została złamana lub rozszczępiona, konieczny był zabieg chirurgiczny, a potem gips. Inaczej ryzykował, że dłoń zagoi się zniekształcona, co uczyni z niego

jednorękiego chirurga, a zatem zakończy jego karierę zawodową. Oczywiście, jeśli czekała go jeszcze jakakolwiek kariera.

Użył maści antyseptycznej, którą Vera smarowała jego zranioną nogę, a potem owinął dłoń czystym bandażem. Następnie przeszedł do pokoju, ostrożnie ułożył się na łóżku i niezdarnie zdjął buty jedną ręką.

Po wyjściu McVeya czekał pełną godzinę, nim zsunął się z kotła i wspiął po ciemnych schodach. Szedł ostrożnie, po jednym schodku, prawie oczekując, że zaskoczy go i zaatakuje uzbrojony człowiek w mundurze. Ale to nie nastąpiło. Stało się więc oczywiste, że jeśli trzymają tu jeszcze straż policjanci, znajdują się na zewnątrz.

McVey miał rację. Jeśli złapie go francuska policja i zamknie w więzieniu, wysoki mężczyzna znajdzie sposób, by go tam zabić. A potem zacznie ścigać Verę. Osborn został schwytyany w pułapkę, a McVey stał się trzecim i ostatnim bokiem trójkąta.

Rozpiąwszy koszulę, Osborn zgasił światło i położył się w ciemności. Jego noga, choć w lepszym stanie, zesztyniała od nadmiernego wysiłku. Bolesne pulsowanie dłoni, jak się przekonał, zmniejszało się, gdy trzymał ją w górze, podłożył więc pod nią poduszkę. Był tak zmęczony, że powinien natychmiast zasnąć, ale zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie.

Jego nagłe wtargnięcie do mieszkania Very było czysto przypadkowe. Zaryzykował zejście z góry, by skorzystać z telefonu. Męczył się przez całe godziny, nim wreszcie doszedł do wniosku, że najważniejszą rzeczą będzie zadzwonienie do ambasady amerykańskiej i poproszenie o pomoc. Co w istocie oznaczało zdanie się na łaskę i niełaskę rządu amerykańskiego. Gdyby miał szczęście, osłoniliby go przed francuskim wymiarem sprawiedliwości, a być może nawet wzięli pod uwagę okoliczności i uwolnili od odpowiedzialności za to, co zrobił. Ostatecznie to nie on zabił Henriego Kanaracka. Co ważniejsze, takie postępowanie skupi całą uwagę na nim i nie zrukuje Verze kariery. Własną prywatną wojnę toczył przez blisko trzydzieści lat. Nie było ani słuszne, ani sprawiedliwe, by jego demony zniszczyły życie Very, bez względu na to, co między nimi jeszcze mogłoby być. Tak myślał do chwili, gdy otworzył drzwi i zobaczył nóż wysokiego na jej gardle. W tym momencie jego prosty i jasny plan wziął w łeb i wszystko się zmieniło. Vera została w to wciągnięta bez względu na to, czy któreś z nich tego chciało, czy nie. Ambasada amerykańska czy francuska policja to teraz wszystko jedno. W najlepszym razie znajdzie się w areszcie prewencyjnym, do chwili gdy sprawy się wyjaśnią. A biorąc pod uwagę

rozgłos, jaki nadano sprawie Kanaracka-Merrimana, prasa poświęci temu wiele uwagi, tym samym informując wysokiego lub jego współników, gdzie Osborn się znajduje. A gdy już go załatwią, wezmą się do Very, tak jak to powiedział McVey.

Leżąc w ciemnościach w swym gołębniku na dachu Paryża, z potwornie bolącą ręką, Osborn zwrócił myśli ku McVeyowi i jego propozycji pomocy. I im dłużej ważył wszystkie za i przeciw, zastanawiając się, czy może mu zaufać, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że właściwie nie ma innych możliwości.

Za jedenaście siódma rano McVey leżał na brzuchu, ubrany tylko w spodnie od pizamy, z jedną nogą wystawioną spod kołdry, spragniony snu, lecz niezdolny zasnąć.

Poszedł za przecuciem, ponieważ nic innego mu nie pozostało. Pod nieobecność Lebruna francuscy inspektorzy nie pozwoliliby mu przesłuchiwać Very Monneray dłużej niż przez minutę. Więc nawet nie próbował. Zresztą gdyby Lebrun tam się znajdował, wydobycie prawdy wcale nie stałoby się prostsze; panna Monneray była dość bystra na to, by skryć się za francuskim respektem dla l'amour, a ściślej mówiąc, dla premiera Francji.

Nawet gdyby przyjął, że się myli, że Vera rzeczywiście ze strachu, złości czy z powodu zniewagi - widywał już takie rzeczy - pogoniła za wysokim mężczyzną i zaczęła strzelać, to jej oświadczenie, iż nie widziała samochodu, przekreślało całe to opowiadanie. Bo ktoś z pewnością wybiegł na ulicę i otworzył ogień do odjeżdżającego wozu. Czemu zresztą miałyby kłamać, że nie widziała samochodu? Nie, z pewnością była na miejscu zbyt późno, by zauważyć, co się naprawdę działo. Co oczywiście oznaczało, że ktoś inny strzelał do tego wozu.

Technicy znaleźli dwie różne grupy krwi, a Vera nie została zraniona, co dowodziło, że w chwili gdy nastąpiła strzelanina, w apartamencie znajdowały się przynajmniej trzy osoby. Jedna z nich odjechała, jedna była w budynku, trzecia znikła.

Pierwszy wystrzał zwrócił uwagę Barrasa i Maitrota. Po drugim i trzecim rzucili się biegiem, przy czym Barras przez radio zażądał posiłków. Wysoki mężczyzna uciekł szybkim wozem. Chwilę później na całym terenie zaroilo się od policjantów. Sprawdzone wszystkie apartamenty w budynku oraz w promieniu trzech przecznic, jak również wszystkie zaułki, dachy, zaparkowane samochody i wszystkie przepływające barki na Sekwanie, do których uciekinier mógł zeskoczyć z mostu czy bulwaru.

Czyli ta trzecia osoba nadal gdzieś tam była. Policja zareagowała bardzo szybko, strzelano tuż przed drzwiami dla służby, najoczywistszym więc miejscem ukrycia się owej osoby była piwnica.

Owszem, zbadano ją dokładnie i zabezpieczono. Ale nie mieli ze sobą psów. Doświadczenie uczyło, że zdesperowani ludzie potrafią być wprost nadzwyczajnie sprytni, czasami też mają niezwykle szczęście. Dlatego właśnie pozwolił francuskim policjantom dokończyć robotę, a potem wrócił.

Za dziesięć siódma otworzył jedno oko, zerknął na zegar i jęknął. Leżał w łóżku przez cztery i pół godziny, a był pewien, że nie przespał nawet dwóch. Któregoś dnia postara się o pełne osiem. Kiedy? Nie miał pojęcia.

Wiedział, że dadzą mu spokój do siódmej, a potem zaczną się telefony. Od Lebruna z zawiadomieniem, że wraca z Lyonu, i z ustaleniem terminu spotkania. Od komandora Noble'a i doktora Richmana z Londynu.

Prócz tego oczekiwał dwóch telefonów z Los Angeles. Od detektyw Hernandez, do której dzwonił, gdy wrócił do hotelu o drugiej nad ranem, ponieważ nie czekał na niego żaden faks z informacjami o Osbornie.

Drugi telefon z Los Angeles powinien być od hydraulika, którego wezwali sąsiedzi, gdy automatyczne deszczownice na trawniku McVeya zaczęły się włączać i wyłączać w czterominutowych odstępach przez całą dobę. Hydraulik miał podać przybliżony koszt zainstalowania całkiem nowego systemu zraszania, ponieważ nie były już dostępne części zamienne do starego, który McVey osobiście założył dwadzieścia lat temu, kupiłszy w domu towarowym Searsa komplet do samodzielnego montażu.

Prócz tego czekał, a raczej miał nadzieję na jeszcze jeden telefon. Ten, przez który większość nocy przewracał się na łóżku: od Osborna. Znów pomyślał o piwnicy. Była większa, niż na to wyglądała, z niezliczoną liczbą zacisznych kątek. Ale może się mylił, może mówił do pustki w ciemności.

Jeszcze osiem minut, McVey. Po prostu zamknij oczy, postaraj się nie myśleć o niczym, pozwól odprężyć się wszystkim mięśniom, nerwom i całej reszcie.

I w tym momencie zadzwonił telefon. McVey z pomrukiem przeto-  
czył się na łóżku i sięgnął po słuchawkę.

- McVey.
- Mówi inspektor Barras. Przepraszam, że panu przeszkadzam.
- W porządku. O co chodzi?
- Postrzelono inspektora Lebruna.

## 64

Zdarzyło się to w Lyonie, na Gare la Part-Dieu, wkrótce po szóstej. Lebrun właśnie wysiadł z taksówki i wchodził na dworzec, gdy bandyta na motocyklu otworzył do niego ogień z broni automatycznej i natychmiast uciekł. Trzy inne osoby również zostały trafione. Dwie nie żyją, trzecia poważnie ranna.

Lebrun, postrzelony w gardło i pierś, został zabrany do szpitala Part-Dieu. Według wstępnych meldunków jego stan był krytyczny, ale spodziewano się, że wyżyje.

McVey, wysłuchawszy szczegółów, poprosił, by stale informowano go o rozwoju sytuacji, a potem szybko odłożył słuchawkę. Natychmiast zadzwonił do Iana Noble'a w Londynie.

Noble właśnie przyszedł do biura i pił herbatę. Od razu wyczuł, że McVey bardzo ostrożnie formułuje zdania.

McVey zupełnie już nie miał pojęcia, komu może zaufać, a komu nie. Jeśli wysoki nie pojechał z Paryża prosto do Lyonu po ucieczce z domu Very Monneray - a to było zupełnie nieprawdopodobne, bo zdawał sobie sprawę, że policja natychmiast zarzuci na niego sieć - oznaczało to, że stojący za tym ludzie dysponowali nie tylko fachowymi zabójcami w innych miejscach, ale też w jakiś sposób monitorowali wszelkie poczynania policji. Przecież tylko on wiedział, że Lebrun pojechał do Lyonu, a przecież inwigilowali go tam tak dokładnie, że wiedzieli, do jakiego pociągu wsiądzie w drodze powrotnej do Paryża.

Zupełnie zdezorientowany McVey nie miał pojęcia, kim tamci są, co robią i dlaczego. Ale musiał założyć, że jeśli wyłączyli Lebruna, musieli też wiedzieć o nim. Czyli mógł się spodziewać co najmniej podsłuchu na swoim telefonie w hotelu. Wobec tego sformułował wiadomość dla Noble'a w taki sposób, jakiego ktoś podsłuchujący powinien się spodziewać. Że do Lebruna strzelano i obecnie znajduje się w Lyonie, w szpitalu Part-Dieu w stanic ciężkim. Teraz McVey weźmie prysznic, ogoli się, zje pośpiesznie jakieś śniadanie i od razu pojedzie do komendy policji. Zadzwoni, jeśli będzie wiedział coś więcej.



W Londynie Ian Noble ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki i zetknął ze sobą koniuszki palców. McVey właśnie wyjaśnił mu sytuację: powiedział, gdzie jest Lebrun oraz że obawia się podsłuchu i zadzwoni z automatu.

Dziesięć minut później odezwał się zastrzeżony numer Noble'a.

- Jest jakaś wtyka w lyońskim Interpolu - oświadczył McVey z budki telefonicznej w małej kawiarence, odległej o przecznicę od jego hotelu. - Ma coś wspólnego z zabójstwem Merrimana. Lebrun pojechał tam, by się przekonać, co może wykryć. Kiedy tylko tamci się dowiedzą, że żyje, znów go będą chcieli załatwić.

- Rozumiem.

- Czy możesz przewieźć go do Londynu?

- Zrobię, co będę mógł...

- Zakładam, że to oznacza „tak” - powiedział McVey, odwijając słuchawkę.

Dwie godziny i siedemnaście minut później odrzutowiec sanitarny brytyjskich Królewskich Sił Powietrznych wylądował na lotnisku Lyon-Bron. Natychmiast ambulans, wiozący brytyjskiego dyplomata, który uległ atakowi serca, pomknął po pasie startowym na jego spotkanie.

Kwadrans później Lebrun leciał do Anglii.

Pięć po siódmej pod dom Very Monneray przy Quai de Bethune osiemnaście podjechał samochód, z którego wysiadł Philippe, zmęczony i w opłakanym stanie po długiej nocy spędzonej na bezowocnym oglądaniu zdjęć znanych kryminalistów. Kiwnąwszy głową czterem mundurowym policjantom strzegącym frontowych drzwi, wszedł do holu.

- Bonjour, Maurice - powiedział do nocnego zmiennika.

Spóźnił się na zmianę, ale wyprosił jeszcze dodatkową godzinę na ogolenie się i chwilę drzemki.

Pchnąwszy drzwi, znalazł się w korytarzu prowadzącym do schodów dla służby, którymi zszedł do swego skromnego mieszkania w suterenie na drugim końcu budynku. Wyjął klucz i już miał go włożyć do zamka, gdy usłyszał za sobą hałas i kogoś wołającego go po imieniu. Zaskoczony, odwrócił się na pięcie w przerażeniu, spodziewając się co najmniej widoku wysokiego mężczyzny z bronią wymierzoną w jego serce.

- Monsieur Osborn - powiedział z ulgą. - Nie powinien pan opuszczać swojego pokoju. Wszędzie pełno policji. - W tym momencie zauważył zabandażowaną dłoń Osborna, skurczoną szponiasto na wysokości talii. - Monsieur...

-Gdzie jest Vera? Nie ma jej w apartamencie... Osborn wyglądał, jakby prawie nie spał. I był przerażony.

-Proszę wejść, s'il vous plait.

Philippe szybko otworzył drzwi kluczem. Weszli do małego mieszkania.

-Policja zawiozła ją do pracy. Mademoiselle nalegała na to. Chciałem tylko pójść do toalety, a potem miałem wejść na górę, by się przekonać, czy pan tam jest. Mademoiselle tak samo się niepokoiła.

-Muszę z nią pomówić. Masz tu telefon?

-Oui, oczywiście. Ale policja może podsłuchiwać. Ustalą, że pan stąd rozmawiał.

Philippe miał rację.

-Więc ty do niej zadzwoń. Powiesz, że obawiasz się powtórnej wizyty wysokiego mężczyzny. Niech poprosi strzegących ją inspektorów, żeby zawieźli ją do jej babki w Calais. Nie dopuść do tego, by się spierała. Powiedz, że ma tam zostać do chwili gdy...

-Gdy...?

-Nie wiem... - Osborn zagapił się na niego. - Gdy... już będzie bezpiecznie.

## 65

McVey siedział w gabinecie Lebruna i czekał, aż na jego telefonie zapali się lampka sygnalizująca, że nie ma podsłuchu. Dopiero wtedy rzucił w słuchawkę:

-Jesteś tam jeszcze?

-W porządku. - Noble również korzystał ze specjalnej linii telefonicznej. - Lebrun przybył około czterdziestu minut temu dzięki uprzejmości RAF-u. Leży w szpitalu Westminster pod fikcyjnym nazwiskiem. Jego stan jest nie najlepszy, ale lekarze myślą, że z tego wyjdzie.

-Czy może mówić?

-Jeszcze nie. Ale może pisać, a przynajmniej bazgrać. Podał nam dwa nazwiska. Klass i Antoine... Po Antoine jest znak zapytania.

Doktor Hugo Klass; niemiecki ekspert od odcisków palców pracujący dla lyońskiego Interpolu.

-Przekazuje nam w ten sposób, że właśnie Klass zażądał akt Merri-mana od nowojorskiej policji - powiedział McVey. - Antoine to brat Lebruna, szef bezpieczeństwa wewnętrznego w sztabie Interpolu - dodał,

zastanawiając się, czy znak zapytania przy imieniu Antoine'a oznacza, że Lebrun niepokoi się o bezpieczeństwo brata, czy też może on być zamieszany w strzelaninę.

- Skoro już przy tym jesteśmy, pozwól, że coś ci jeszcze powiem - oświadczył Noble. - Dopasowaliśmy nazwisko do naszej schludnie odciętej głowy.

- No nie! - McVey pomyślał, że chyba już ktoś mu ukradł zwrot „gratuluję” z jego słownika.

- Timothy Ashford, malarz pokojowy z Clapham South, czyli, bo może tego nie wiesz, z robotniczej dzielnicy w południowym Londynie. Mieszkał samotnie, pracował na dniówki, od jednego zlecenia do drugiego. Jediną jego krewną jest mieszkająca w Chicago siostra, ale wygląda na to, że właściwie się ze sobą nie kontaktowali. To już prawie dwa lata, jak zniknął. Zameldowała o tym jego gospodyni. Zgłosiła się do władz, ponieważ nie widziała go od wielu tygodni i zalegał z czynszem. Wynajęła jego mieszkanie, ale nie wiedziała, co ma zrobić z rzeczami. Facet dostał kiedyś w głowę kijem bilardowym podczas bójki w pubie. Na nasze szczęście walnął też policjanta. Opatrzanie go, a potem umieszczenie metalowej płytki w czaszce zostało zapisane w rejestrach policyjnych.

- To znaczy, że macie też jego odciski palców.

- Bardzo słuszny wniosek, detektywie McVey. Mamy jego odciski palców. Cały kłopot w tym, że z jego ciała mamy tylko głowę.

Rozległ się brzęczyk i Noble nacisnął guzik interkomu, łączącego go z sekretariatem.

- Tak, Elizabeth - odezwał się do sekretarki. Nastąpiła przerwa, gdy słuchał. - Dziękuję - usłyszał jego słowa McVey, a potem Noble odezwał się znowu. - Mam na linii Cadoux z Lyonu.

- Ian - powiedział cicho McVey - nim odbierzesz jego telefon... Czy możesz mu ufać? Bez ograniczeń?

- Tak.

- Zapytaj go, czy jest w ich siedzibie. Jeśli tak, znajdź sposób, by mu zasugerować, żeby wyszedł z budynku i zadzwonił pod twój zastrzeżony telefon z budki. Gdy już to zrobi, włącz i mnie do rozmowy.

Kwadrans później zadzwonił zastrzeżony telefon Noble'a. Szybko podniósł słuchawkę.

- Yves, McVey jest na linii z Paryża. Łączę go teraz z nami.

- Cadoux, mówi McVey. Lebrun jest w Londynie, wywieźliśmy go dla jego bezpieczeństwa.

- Tyle się domyśliłem. Chociaż muszę wam powiedzieć, że strażnicy w szpitalu oraz policja lyońska są co najmniej zaniepokojeni tym, jak to przeprowadzono. Jak on się czuje?

- Wyjdzie z tego... - McVey zawahał się. - Cadoux, słuchaj uważnie. Macie wtykę w waszym sztabie. Nazywa się Hugo Klass.

- Klass? - Cadoux był absolutnie zaskoczony. - Ależ to jeden z naszych najbliższych naukowców. Właśnie on odkrył odcisk palca Alberta Merrimana na odłamku szkła zabranym z miejsca morderstwa na Jeanie Packardzie. Niby po co...?

- Nie wiemy. - McVey widział Cadoux, potężnego mężczyznę wciśniętego gdzieś w Lyonie do budki telefonicznej, kręcącego wąsy, zdumionego tak samo jak byli oni. - Wiemy za to, że zażądał akt Merrimana z Departamentu Policji w Nowym Jorku jakieś piętnaście godzin wcześniej, nim zawiadomił Lebruna, że w ogóle mu się udało z odciskiem. Dwadzieścia cztery godziny później Merriman był martwy. A krótko potem również jego była kochanka w Paryżu oraz żona i cała jej rodzina w Marsylii. W jakiś sposób Klass musiał się dowiedzieć, że Lebrun przyjechał do Lyonu, i wykrył, kto zażądał akt, i kazał go uciszyć.

- Teraz to zaczyna mieć sens.

- Co takiego?

- Antoine, brat Lebruna... znaleźli go dziś rano z przestrzeloną głową. Wyglądało to na samobójstwo, ale może nie jest.

McVey zaklął w duchu. Lebrun był w wystarczająco marnym stanie, żeby nie wysłuchiwać takich wiadomości.

- Cadoux, bardzo wątpię, czy masz do czynienia z samobójstwem. Dzieje się coś, w co był zaplątany Merriman, ale sprawa jest o wiele poważniejsza. Ktokolwiek zresztą za tym stoi, teraz zabija gliniarzy.

- Yves, najlepiej byłoby, jak sądzę, gdybyś zamknął Klasa najszybciej jak się da - powiedział bez ogródek Noble.

- Przepraszam, Ian. Jestem innego zdania. - McVey wstał i zaczął się przechadzać przy biurku Lebruna. - Cadoux, znajdź kogoś, komu możesz ufać. Może nawet z innego miasta. Klass nie podejrzewa, że się za niego wzięliśmy. Załóż podsłuch na jego prywatnym telefonie w domu i daj mu ogon. Zobacz, gdzie chodzi, z kim rozmawia. Potem rozpracuj Antoine'a. Sprawdź, co robił od niedzieli, kiedy spotkał się z Lebrunem, do chwili śmierci. Nie wiemy, po czyjej był stronie. I na koniec, ale bardzo ostrożnie, dowiedz się, kogo Klass ma w Interpolu waszyngtońskim, przez kogo zażądał akt Merrimana od nowojorskiej policji.

- Rozumiem - powiedział Cadoux.

- Kapitanie... uważaj na siebie - ostrzegł McVey.

- Postaram się. Merci. Au revoir.

Rozległ się trzask odkładanej przez Cadoux słuchawki.

- Kto to jest ten doktor Klass? - zapytał Noble.

- Nie licząc pozorów, które stworzył? Nie wiem.

- Skontaktuj się z MI6. Być może sami potrafimy wygrzebać coś na temat doktora Klasa.

Noble rozłączył się, a McVey zapatrzył się w telefon, zły, że nie trafi dojdź do niczego konkretnego na temat tego, co się dzieje. Było to tak, jakby nagle stał się zawodowym impotentem. Nieoczekiwanie zastukano do drzwi i wsadził przez nie głowę umundurowany policjant, by zawiadomić, że dzwoni portier z hotelu.

McVey podniósł słuchawkę.

- Tu McVey.

- Dave Gifford, hotel Vieux - odezwał się męski głos.

Opuszczając hotel, McVey wręczył recepcjoniście, imigrantowi z Ameryki, dwieście franków z poleceniem, by go natychmiast informowano w razie jakichkolwiek telefonów lub zostawionych dla niego informacji.

- Dostałem faks z Los Angeles?

- Nie, proszę pana.

Co też ta Hernandez wyczynia? Chce przesłać informacje do Paryża przez pieszego gońca? McVey usiadł, otworzył notes i wziął do ręki ołówki. Dwa telefony od detektywa Barrasa, w godzinnym odstępie. Jeden od hydraulika z Los Angeles z potwierdzeniem, że automatyczne deszczownie zostały zainstalowane i działają. Ale niech McVey oddzwoni i powie, na jak długie okresy zraszania je ustawić.

- Jezu - mruknął pod nosem McVey.

I jeszcze dzwonił jakiś półgłówek. Telefonował ze trzy razy i upierał się, że musi rozmawiać z McVeyem osobiście. Nie chciał zostawić żadnej wiadomości, ale wyglądało na to, że za każdym razem jest coraz bardziej zdenerwowany.

A w końcu powiedział, że nazywa się Tommy Lasorda.

## 66

Joanna czuła się tak, jakby podano jej narkotyk, a potem przeżyła senny koszmar.

Po seksualnym maratonie w lustrzanym pokoju z basenem von Holden

zaprosił ją na wycieczkę do Zurychu. W pierwszym odruchu chciała uśmiechnąć się i odmówić. Była wyczerpana. Spędziła siedem godzin z panem Lybargerem, zmuszając go do ciężkich ćwiczeń, choć wyraźnie sobie tego nie życzył, żeby przywrócić mu zaufanie do siebie samego na tyle, by mógł chodzić bez laski. Próbowwała dotrzymać zwariowanego piątkowego terminu, który wyznaczył Salettl. O trzeciej trzydzieści doszła do wniosku, że pacjent dał z siebie wszystko, więc zaprowadziła go do jego pokoi, by odpoczął. Spodziewała się, że utnie sobie drzemkę, zje u siebie lekką kolację i zapewne bardzo wczesnie pójdzie do łóżka. Tymczasem oto zjawił się w stroju wieczorowym na kolacji, wesoly, żwawy i z dostatecznym zapasem sił, by wysłuchiwać nieustannego trajkotania Uty Baur, a potem jeszcze pójść na drugie piętro na recital fortepianowy Erica i Edwar-da.

Jeśli pan Lybarger tyle wytrzymał, drażnił się von Holden, to z pewnością Joanna może pojechać do Zurychu, by wypić trochę kiepskiej szwajcarskiej czekolady. A zresztą jest ledwie dziesięta.

Najpierw pojechali do ulubionej restauracji Jamesa Joyce'a na Rami-strasse, gdzie pili czekoladę i kawę. Następnie von Holden zabrał ją do zwariowanej kafejki na Munzplatz, tuż koło Bahnhofstrasse, by poznała nocne życie Zurychu. Potem odwiedzili Champagne Bar w hotelu Central Plaža i wreszcie pub na Pelikanstrasse. Na koniec poszli na spacer, by obejrzeć księżyc nad Jeziorem Zuryskim.

-Chcesz zobaczyć moje mieszkanie? - Von Holden uśmiechnął się figlarnie, przechylił przez poręcz i wrzucił na szczęście monetę do wody.

-Żartujesz! - Joanna pomyślała, że już nigdy w życiu nie będzie miała siły, by chodzić.

-Ależ skąd. - Von Holden wyciągnął rękę i dotknął jej włosów.

Zdumiało ją to, jak bardzo się podnieciła. Nawet zachichotała z tego powodu.

-Co jest tak zabawne? - zastanawiał się von Holden.

-Nic...

-No to chodź.

Joanna spojrzała na niego.

-Ale z ciebie świntuch.

-Co ja na to poradzę. - Uśmiechnął się.

Pili koniak na tarasie jego mieszkania wychodzącym na Stare Miasto i

on opowiadał jej historie ze swego dzieciństwa i młodości, spędzonej na olbrzymim ranchu w Argentynie. A potem wziął ją do łóżka i kochali się.

Ile to razy było tej nocy? Przypomniała sobie, jak stał nad nią, z peni-  
sem nadal ogromnym, nawet w spoczynku, i uśmiechając się ze skrepowani-  
em, spytał, czy zgodzi się, żeby przywiązał jej ręce i nogi do słupków  
łóżka. A potem gmerał w szafie, aż wyciągnął miękkie aksamitne paski,  
których chciał użyć. Nie wie czemu, ale zawsze tego pragnął. Sama myśl o  
tym niesamowicie go podnieca. A gdy spojrzała i ujrzała jak niesamowicie,  
zachichotała i powiedziała, że proszę bardzo, jeśli mu to sprawi przyjem-  
ność.

Wtedy właśnie wyznał, że nigdy nie miał kobiety, która robiła mu to,  
co Joanna. Następnie oblał jej piersi koniakiem i jak Kot z Cheshire w rui  
powoli wylizał je do czysta. Niemal w ekstazie Joanna położyła się na  
plecach, on zaś przywiązał ją do słupków łóżka. Gdy położył się obok niej,  
w głębi jego oczu błyskały jaskrawe punkciki światła, a ona poczuła lekki  
zawrót głowy, jakiego jeszcze nie doświadczyła. A potem poczuła na sobie  
jego ciężar i jego ogrom, gdy się w nią wślizgiwał. I z każdym pchnięciem  
światełka w jego oczach stawały się większe i jaśniejsze, a za nimi Joanna  
ujrzała niewiarygodnie barwne chmury, przepływające w dzikich i grot-  
skowych kształtach. A gdzieś, jeśli w ogóle istniało takie miejsce - w środ-  
ku jej samej - miała uczucie, jakby von Holden odszedł, a inny mężczyzna  
zajął jego miejsce. Walcząc z własnymi wizjami, próbowała otworzyć  
oczy, by zobaczyć, czy to prawda. Ale osiągnięcie takiego poziomu świa-  
domości okazało się niemożliwe i zamiast tego zaczęła się zapadać coraz  
głębiej i głębiej w erotyczny wir światła, barwy i własnych doznań.

Gdy się obudziła, było już popołudnie; zdała sobie sprawę, że leży w  
swoim łóżku w Anlegeplatz. Wstała i zobaczyła suknię, którą nosiła po-  
przedniej nocy, równo złożoną na krześle. Czy miała najwspanialszy ze  
wszystkich snów, czy też było to coś innego?

Wkrótce potem, gdy brała prysznic, zobaczyła zadrapania na udach.  
Okręciwszy się w lustrze, dostrzegła, że ma je też na pośladkach, jakby  
biegła nago przez cierniste krzewy. A potem, zupełnie niejasno, przypo-  
mniało jej się, jak wybiegła naga i przerażona z apartamentu von Holdena.  
Po schodach i przez drzwi dla służby. Jak von Holden biegł za nią, by  
wreszcie schwytać ją w różanym ogrodzie za domem.

Nagle poczuła się bardzo źle. Ogarnęła ją fala mdłości. Czuła równocześnie lodowate zimno i nieznośne gorąco. Dławiąc się, otworzyła szarpnięciem toaletę i zwymiotowała.

## 67

Była druga czterdzieści; Osborn trzykrotnie dzwonił do hotelu i za każdym razem słyszał, że pan McVey wyszedł, nie podał spodziewanego czasu powrotu, ale będzie odbierał wiadomości. Po trzecim telefonie Osborn zaczął wyłazić ze skóry. Niepokój narastający od momentu podjęcia decyzji wzmagala jeszcze świadomość, że McVey jest nieosiągalny. Osborn zaakceptował już oddanie się we władzę policjanta i oczekiwał teraz, że rodak zrozumie i pomoże albo ciupasem odstawi go do francuskiego więzienia. Czuł się jak balon obijający się pod sufitem: równocześnie w pułapce i wolny. Marzył, by go ściągnięto, ale nie było nikogo, kto pociągnąłby za sznurek.

Umyty pod prysznicem i świeżo ogolony, stał samotnie w mieszkanku Philippe'a i bił się z myślami. Co robić dalej? Vera w towarzystwie strzeżonej jej policji jechała do swej babki w Calais. I chociaż to Philippe do niej telefonował, Osborn chciał wierzyć, że rozumiała, od kogo pochodzi wiadomość. A także że prosi ją o wyjazd nie tylko dla jej bezpieczeństwa, ale ponieważ ją kocha.

Philippe, popatrzwszy na niego, zaproponował, by Osborn w jego mieszkaniu doprowadził się do porządku. Wyjął czyste ręczniki, odpakował nowy kawałek mydła i dał mu nową żyletkę do golenia. A potem, mówiąc, by częstował się tym, co znajdzie w lodówce, portier zawiązał krawat i wrócił do pracy. Będzie miał niezły punkt obserwacyjny w głównym holu; jeśli cokolwiek się zdarzy, natychmiast zatelefonuje do Osborna.

Bez żadnych wątpliwości Philippe był aniołem, ale zmęczonym, i Osborn miał wrażenie, że jeszcze jedna niespodzianka i Philippe rozklei się zupełnie. Za dużo tego wszystkiego zdarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin; zbyt wyczerpujący test nie tylko na jego lojalność, ale także umiejętność zachowania równowagi psychicznej. Choć tak wielkoduszny, był przecież, i to z własnego wyboru, tylko portierem. Nikt, z nim samym na czele, nie mógł oczekiwać, że odegra rolę śmiałka do końca. Nie można było określić, jak długo Osborn pozostanie bezpieczny, jeśli powróci do swej kryjówki pod okapem dachu. Szczególnie gdy wysoki



mężczyzna znajdzie sposób na wymknięcie się policji i wróci, by go poszukać.

Na koniec zrozumiał, że pozostało mu już tylko jedno. Zadzwoił do Philippe'a w holu i spytał, czy policjanci jeszcze są na zewnątrz.

- Oui, monsieur. Dwaj od frontu, dwaj od tyłu.

- Philippe... czy jest jeszcze jakieś inne wyjście z budynku?

- Oui, monsieur. Właśnie tam, gdzie się pan znajduje. Drzwi kuchenne wychodzą na mały korytarzyk, a na jego końcu są schodki aż na chodnik. Ale po co? Tu jest pan bezpieczny i...

- Merci, Philippe. Merci beaucoup - powiedział Osborn, dziękując mu za wszystko. Potem zadzwonił do hotelu Vieux i zostawił wiadomość dla McVeya: siódma wieczorem, frontowa sala tarasowa w La Coupole na bulwarze Montparnasse. Tam po raz ostatni widział się z prywatnym detektywem Jeanem Packardem. I było to jedyne miejsce w Paryżu znane mu na tyle, by miał pewność, że o tej porze będzie zatłoczone.

Pięć minut później otworzył drzwi wyjściowe i po kilku schodkach wyszedł na trotuar. Wieczorne powietrze było rześkie i przejrzyste, Sekwaną płynęły barki. Na drugim końcu przecznicy widział policjantów strzegących frontu budynku. Odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę.

O piątej dwadzieścia Paul Osborn wyszedł z Aux Trois Quartiers, wytwornego domu towarowego przy bulwarze Madeleine i udał się w stronę oddalonej o pół przecznicy stacji metra. Włosy miał krótko przycięte, ubrany był w nowy granatowy garnitur w drobne prążki, białą koszulę i krawat. Zupełnie nie sprawiał wrażenia człowieka uciekającego przed sprawiedliwością.

Po drodze wstąpił do prywatnego gabinetu lekarskiego doktora Alaina Cheysson na ulicy Bassano, koło Łuku Triumfalnego. Cheysson był urologiem, dwa czy trzy lata młodszym od Osborna; jedli lunch przy tym samym stole w Genewie. Wymienili wizytówki i obiecali, że do siebie zadzwonią, gdy któryś z nich będzie w Paryżu lub w Los Angeles. Osborn przypomniał sobie o tym w chwili, gdy doszedł do wniosku, że ktoś powinien obejrzeć jego rękę, i zaczął się zastanawiać, jak to zaaranżować.

- Co się stało? - zapytał Cheysson, gdy tylko asystentka zrobiła zdjęcie rentgenowskie, a on sam wszedł do gabinetu zabiegowego, by się zobaczyć z Osbornem.

- Wolałbym o tym nie mówić - odrzekł Paul, próbując się uśmiechnąć.

- Zgoda - odparł Cheysson ze zrozumieniem i założył mu na dłoń świeży opatrunek. - To był nóż. Bolesne być może, ale jako chirurg miałeś wiele szczęścia. - Tak, wiem...

Była za dziesięć szósta, gdy Osborn wyszedł z metra i ruszył wzdłuż bulwaru Montparnasse. La Coupole znajdowała się w odległości niecałych trzech przecznic. Musiał jakoś wypełnić pozostałą godzinę. Właściwie miał czas na obserwację, czy policja zastawiła na niego pułapkę. Zatrzymał się przy budce telefonicznej, zadzwonił do hotelu McVeya i dowiedział się, że wiadomość przekazano.

-Merci.

Odłożywszy słuchawkę, otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Zapadał zmrok i po chodnikach przelewał się tłum ludzi wracających z pracy. Po drugiej stronie ulicy, nieco dalej, była La Coupole. Tuż na lewo od niego mała kawiarenka z oknem dość dużym, by przez nie obserwować ruch po drugiej stronie ulicy.

Wszedł do środka, wybrał mały stolik koło okna, zamówił kieliszek białego wina i rozsiadł się wygodnie.

Miał szczęście. Rentgen potwierdził jego przypuszczenia i Cheysson, choć urolog i bynajmniej nie specjalista od dłoni, zapewnił go, że nie ma żadnego trwałego uszkodzenia. Wdzięczny za pomoc i zrozumienie, Osborn próbował mu zapłacić, ale tamten nie chciał o tym słyszeć.

-Mon ami - powiedział ironicznie - jeśli zaczniesz mnie poszukiwać policja w Los Angeles, będę wiedział, że mam przyjaciela, który mnie opatrzy i nic nikomu o tym nie powie. A nawet nie odnotuje, że miał taką wizytę. No nie?

Cheysson przyjął go natychmiast i opatrzył bez pytania, choć wiedział, że Osborna poszukuje policja i że udzielając mu pomocy, sam grubo ryzykuje. Na koniec objęli się, a Francuz pocałował go zgodnie z francuskim zwyczajem narodowym i życzył wszystkiego najlepszego. Bardzo niewiele, jak powiedział, zdołał zrobić dla kolegi po fachu, z którym dzielił stół w Genewie.

Nagle Osborn odstawił kieliszek i pochylił się do przodu. Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się wóz policyjny. Natychmiast wysiedli z niego dwaj mundurowi żandarmi i weszli do La Coupole. Chwilę później wyszli, prowadząc między sobą dobrze ubranego mężczyznę w kajdankach. Był podniecony, kłótlivy i najwyraźniej pijany. Przechodnie przyglądali się, jak wepchnięto go na tylne siedzenie samochodu. Jeden z żandarmów

usiadł obok niego, drugi za kierownicą. A potem wóz odjechał z wyciem syreny i błyskami niebieskiego światła ostrzegawczego.

Tak szybko to się mogło zdarzyć.

Podnosząc kieliszek, Osborn popatrzył na zegarek. Piętnaście po szóstej.

## 68

Za dziesięć siódma taksówka McVeya wlokła się w strumieniu pojazdów. Ale to i tak było lepsze od siedzenia w opłu i usiłowania wywalczenia sobie przejazdu przez Paryż.

Wyciągnął obszarpany terminarz i spojrział na wpisy na ten dzień, poniedziałek dziesiąty października. W szczególności na ostatni: Osborn... La Coupole, bulw. Montparnasse, 7 po poł. Powyżej nabazgrał notatkę o wiadomości przesłanej przez Barrasa. Przedstawiciel opon Pirelli stwierdził, że ten wzór protektora mają opony produkowane specjalnie dla wielkiego dealera samochodowego, który ma z nimi stały kontrakt. Opona należy do standardowego wyposażenia dwustu nowych fordów sierra, z których osiemdziesiąt siedem sprzedano w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Właśnie układano listę nabywców, będzie gotowa we wtorek rano. Odłamek lusterka samochodowego, który McVey podniósł z jezdni po strzelaninie w domu Very Monneray, także pochodził z forda, choć nie dało się określić modelu. Zaalarmowano drogówkę i polecono policjantom, by meldowali o każdym fordzie, zwłaszcza fordzie sierra ze stłuczonym lusterkiem bocznym.

Ostatnia notatka w terminarzu McVeya na dziesiątego października dotyczyła meldunku laboratorium na temat złamanej wykałaczki. Osoba, która trzymała wykałaczkę w ustach, była nosicielem lub nosicielką szczególnej substancji, którą sześćdziesiąt procent populacji ma w krwiobiegu, a która pozwala na określenie grupy krwi na podstawie innych płynów ciała, jak mocz, sperma i ślina. Oznaczono grupę krwi 0.

Taksówka zatrzymała się przed La Coupole dokładnie siedem minut po siódmej. McVey zapłacił kierowcy, wysiadł i wszedł do restauracji.

Dużą salę w głębi nakryto dla tłumu przychodzących na kolację, ale na razie było zajętych tylko kilka stolików. Za to w oszklonej sali tarasowej, wychodzącej na chodnik, kłębił się hałaśliwy tłum.

McVey stanął w drzwiach i rozejrzał się. Nie zobaczył Osborna.

Przecisnąwszy się koło grupy biznesmenów, znalazł wolny stolik w głębi i usiadł. Z tego miejsca mógł widzieć ludzi idących trotuarem i równocześnie wszystkich wchodzących do środka.

Macki Organizacji sięgały daleko; korzystała nie tylko z usług własnych członków. Jak większość grup profesjonalnych, zatrudniała podwykonawców, który często nie mieli pojęcia, dla kogo pracują.

Colette i Sami były licealistkami z zamożnych rodzin; brały narkotyki i zrobiłyby wszystko, by zaspokoić swój nałóg, a zarazem ukryć uzależnienie przed rodziną. Dzięki temu były do dyspozycji prawie o każdej porze z dowolnego powodu.

Poniedziałkowe polecenie było proste: obserwować ustronne wyjście z kamienicy pod numerem osiemnastym przy Quai de Bethune, nie pilnowane przez policję, a stanowiące wejście do mieszkania portiera. Jeśli pokaże się przystojny mężczyzna około trzydziestu pięciu lat, zameldować o tym i iść za nim.

Obie dziewczyny śledziły Osborna do gabinetu doktora Cheyssona, a potem Sami tropiła go do domu towarowego; nawet z nim poflirtowała, gdy czekał na dopasowanie garnituru, prosząc, by pomógł jej wybrać krawat dla wuja. Następnie Colette śledziła, jak wchodził do metra, i trzymała się go do chwili, gdy wszedł do kawiarni na przeciwko La Coupole.

Tam właśnie przejął sprawę Bernhard Oven, który pilnował Osborna, gdy ten opuścił kawiarnię i przeszedł przez bulwar Montparnasse, by wejść do La Coupole pięć po siódmej. W prawej kieszeni kurtki Oven miał pistolet CZ .22 z tłumikiem, którego z takim powodzeniem użył w Marsylii.

O siódmej dwadzieścia, upewniwszy się, że McVey przybył tu samotnie, Osborn wstał ze swego miejsca przy oknie, przecisnął się koło kilku zatłoczonych stolików i podszedł do niego, trzymając ostrożnie przy boku zabandażowaną rękę.

McVey rzucił na nią okiem, wskazał gestem krzesło obok siebie i Osborn usiadł.

- Obiecałem, że będę sam. I jestem - powiedział McVey.

- Mówił pan, że może pomóc. Co pan miał na myśli? - zapytał Osborn. McVey zignorował jego pytanie.

- Jaką pan ma grupę krwi, doktorze?

Osborn się zawahał.

- Myślałem, że pan sam się tego dowie.

- Chcę to usłyszeć od pana.

W tym momencie kelner w białej koszuli i czarnych spodniach zatrzymał się przy ich stoliku. McVey potrząsnął głową.

- Cafe - powiedział Osborn i kelner odszedł.

- Grupę B.

Wstępny raport detektyw Hernandez z Departamentu Policji Los Angeles na temat Osborna wreszcie dotarł do McVeya faksem z biura Noble'a dosłownie na chwilę przedtem, zanim ten opuścił Londyn. Między innymi danymi zawierał grupę krwi Osborna: B. Oznaczało to nie tylko, że Osborn powiedział prawdę, ale też że wysoki miał grupę 0.

- Proszę mi opowiedzieć o doktorze Hugo Klassie - rzekł McVey.

- Nie znam żadnego doktora Hugo Klasa - odparł Osborn stanowczo, wciąż jeszcze nerwowo rozglądając się po sali za detektywami w cywilu, którzy tylko czekają na sygnał od McVeya.

- On pana zna - skłamał rozmyślnie McVey.

- Musiałem zapomnieć. Jaka jest jego specjalność medyczna?

Albo Osborn był bardzo dobry, albo całkiem niewinny. Ale przecież już raz skłamał.

- Jest doktorem filozofii. Przyjacielem Timothy'ego Ashforda. - McVey użył wybiegu, by sprowokować Osborna.

- Kogo?

- Niech pan da spokój, doktorze. Timothy Ashford. Malarz pokojowy z południowego Londynu. Przystojny mężczyzna. Wiek dwadzieścia cztery. Wie pan, kim on jest?

- Przykro mi, ale nie.

- Nie?

- Nie.

- Wobec tego zdaje mi się, że nie zrobi żadnej różnicy, jeśli panu powiem, że mam jego głowę w lodówce w Londynie. - McVey nie spuszczał wzroku z Osborna. Jego oświadczenie było zaimprovizowane, obliczone na wywołanie reakcji u Osborna, ale tamten nawet okiem nie mrugnął. - Doktorze, okłamał mnie pan już poprzednio. Chce pan, bym panu dopomógł. Musi mi pan powiedzieć coś, na czym mógłbym się oprzeć. Powód, dla którego miałbym panu zaufać.

Podszedł kelner z kawą Osborna, postawił ją przed nim na stoliku i odszedł. McVey patrzył za nim. Kilka stolików dalej usadowił się ciemnowłosy mężczyzna w skórzanej kurtce. Człowiek ten siedział samotnie od

dziesięciu minut i jak dotąd nic nie zamówił. W lewym uchu miał brylantowy klips, w lewej dłoni papierosa. Kelner zatrzymał się przy nim już poprzednio, ale został odprawiony ruchem ręki. Tym razem ciemnowłosy mężczyzna rzucił okiem na McVeya, a potem powiedział coś do kelnera. Ten kiwnął głową i odszedł. McVey znów spojrzął na Osborna.

-O co chodzi, doktorze? Krepuje pana rozmowa tutaj? Chce pan przejść gdzie indziej?

Osborn nie wiedział, co robić ani co myśleć. McVey zadawał mu takie same pytania jak przy ich pierwszym spotkaniu. Wyraźnie szukał czegoś, co, jak myślał, miało związek z Osbornem, tylko że nie miał pojęcia, co to może być. Straszliwie utrudniało to sytuację, ponieważ każda odpowiedź Osborna wyglądała na wykalkulowany unik, choć w rzeczywistości mówił prawdę.

-McVey, proszę mi wierzyć, nie mam pojęcia, o co pan pyta. Gdybym miał, być może mógłbym panu pomóc. Ale nie.

Policjant pociągnął się za ucho i odwrócił wzrok. A potem znowu popatrzył na doktora.

-Być może powinniśmy spróbować nieco innego podejścia - oświadczył i przerwał. - Jakim sposobem naszprycował pan Alberta Merrimana sukk-iin-ill-choliną? Czy prawidłowo to wymawiam?

Osborn nie wpadł w panikę, nawet puls mu nie przyśpieszył. Spodziewał się tego; McVey był zbyt inteligentny, by na to nie wpaść.

-Czy paryska policja wie?

-Proszę odpowiedzieć na pytanie.

-Albert Merriman... zamordował mojego ojca.

-Pańskiego ojca? - To zaskoczyło McVeya. Powinien coś takiego wziąć pod uwagę, ale tego nie zrobił. Merriman stał się obiektem zemsty.

-Tak.

-Wynajął pan wysokiego, by go zabił?

-Nie. On się po prostu pojawił.

-Jak dawno temu Merriman zabił pana ojca?

-Gdy miałem dziesięć lat.

-Dziesięć?

-W Bostonie. Na ulicy. Byłem tam. Widziałem, jak to się zdarzyło. Nigdy nie zapomniałem jego twarzy. I nigdy potem go nie widziałem... dopiero tydzień temu, tu w Paryżu.

W jednej chwili McVey dopasował kawałki łamigłówki.

-Nie powiedział pan o tym policji paryskiej, bo nie skończył pan z

Merrimanem. Wynajął pan Packarda, by go odnalazł. A gdy to zrobił, poszukał pan miejsca, by to załatwić, i znalazł brzeg rzeki. Jeden czy dwa zastrzyki. Wepchnąć go do wody, a on nie może oddychać ani użyć swych mięśni, odpływa i topi się. Prąd jest tam silny, związek chemiczny szybko rozkłada się w ciele, a zwłoki tak są obrzmiałe, że nikt nie szuka ukłuć po igle. Taki był pomysł.

- Z grubsza.

- A szczegółowo?

- Po pierwsze, chciałem się dowiedzieć, dlaczego to zrobił.

- Naprawdę? - Nagle McVey odwrócił spojrzenie. Człowieka w skórzanej kurtce nie było już tam, gdzie poprzednio. Siedział oddalony o dwa stoliki, po lewej stronie Osborna. W lewej ręce nadal trzymał papierosa, ale prawa była niewidoczna, ukryta pod stolikiem.

Osborn zaczął się odwracać, by zobaczyć, na co patrzy McVey, gdy nagle detektyw zerwał się na równe nogi i wskoczył między Osborna i tamtego człowieka.

- Wstań i idź przede mną. Przez te drzwi. Nie pytaj dlaczego. Zrób to.

Osborn wstał. I wtedy uzmysłowił sobie, na kogo McVey patrzył.

- McVey, to on! Wysoki mężczyzna!

McVey zawrócił na pięcie. Bernhard Oven stał, podnosząc do góry czeski pistolet z tłumikiem. Ktoś wrzasnął.

Nagle powietrze rozdarły dwa grzmiące wystrzały, jeden i natychmiast drugi, a zaraz potem posypał się grad roztrzaskanego szkła.

Bernhard Oven niezupełnie rozumiał, czemu ten starszawy Amerykanin tak mocno uderzył go w pierś. I dlaczego dwukrotnie. A później zdał sobie sprawę, że leży na plecach na chodniku, choć nogi ma nadal wewnątrz restauracji, przerzucone przez parapet okna. Szkło było wszędzie. Słyszał wrzeszczących ludzi, ale nie wiedział, czemu wrzeszczą. Zdziwiony podniósł wzrok i ujrzał stojącego nad nim tego samego Amerykanina. Trzymał błękitno-stalowy rewolwer Smith & Wesson<sup>38</sup> wycelowany wprost w jego serce. Oven spróbował potrząsnąć głową. A potem wszystko się zamgliło.

Podszedł Osborn i dotknął tętnicy szyjnej Ovena. Wokół nich wybuchło pandemonium. Ludzie krzyczeli, wrzeszczeli, płakali z szoku i przerażenia. Niektórzy cofnęli się i patrzyli. Inni przepychali się do tyłu, próbując uciec, jeszcze inni podchodzili bliżej, żeby coś zobaczyć. Osborn podniósł głowę i spojrzał na McVeya.

- Nie żyje.
- Jesteś pewien, że to ten wysoki?
- Tak.

McVeyowi natychmiast przyszły do głowy dwie myśli. Pierwsza, że gdzieś w pobliżu jest nowy ford sierra z oponami Pirelli i sztuczonym lusterkiem; druga: przecież nie ma metra dziewięćdziesięciu... Przyklękąwszy, podwinął nogawkę spodni Ovena.

- Protezy - powiedział Osborn.
- Z tym się jeszcze nie spotkałem.
- Myślisz, że on to zrobił umyślnie?!
- Kazał sobie amputować nogi, żeby móc zmienić swój wzrost?

McVey wyciągnął z tylnej kieszeni spodni chusteczkę do nosa, owinał ją wokół pistoletu CZ, tkwiącego w zaciśniętej dłoni Ovena. Wyszarpnął broń i obejrzał. Kolba owinięta plastrem, numery fabryczne spiłowane, tłumik na lufie; wyposażenie zawodowego mordercy. McVey podniósł głowę i popatrzył na Osborna.

- Taaa - powiedział. - Myślę, że tak. Kazał sobie umyślnie obciąć nogi.

## 69

McVey odsunął się od ciała Ovena.

- Przykryj mu twarz, dobrze? - zwrócił się do Osborna.

A potem błysnął odznaką policyjną w stronę tłumu kelnerów, gapiących się z przerażeniem i fascynacją z odległości kilkudziesięciu centymetrów, i polecił komuś wezwać policję, jeśli dotychczas jeszcze tego nie zrobiono. Gapiom kazał się wynosić.

Ściągnąwszy biały obrus z najbliższego stolika, Osborn przykrył twarz Ovena, McVey zaś przetrząsnął ubranie zabitego w poszukiwaniu dokumentów osobistych. Nie znalazłszy żadnych, sięgnął do marynarki i oddał twardą kartonową okładkę swego notesu. Wziąwszy dłoń Ovena, przycisnął jego kciuk do przesiąkniętej krwią koszuli, a potem do kartonu, uzyskując czytelny odcisk.

- Wynośmy się stąd - odezwał się do Osborna.

Przepchnąwszy się szybko przez tłum ociągających się z odejściem gapiów, przeszli przez salę jadalną, weszli do kuchni, a potem tylnymi drzwiami wydostali się na ulicę. Dobiegło ich wycie syren.

- Tędy - powiedział McVey, choć tak naprawdę nie wiedział, dokąd pójść. Był pewien, że OVEN miał zastrzelić Osborna. Ale teraz, gdy wyszli



na bulwar Montparnasse i skierowali się w stronę bulwaru Raspail, zrozumiał, że zamierzonym celem również dobrze mógł być on sam. Wysoki zabił Alberta Merrimana w ciągu kilku godzin od chwili, gdy odkryto, że nadal żyje i mieszka w Paryżu. Potem Marsylia i w okamgnieniu morderca był z powrotem w Paryżu w apartamencie Very Monneray, gdzie szukał Osborna. W jaki sposób tak błyskawicznie wszystkich odnajdywał? A Lebrun i jego brat w Lyonie? Tego raczej nie zrobił wysoki; nawet on nie mógł być w dwóch miejscach naraz.

Jasne było, że wydarzenia toczą się w zawrotnym tempie; śmiertelny krąg się zawężał. Wysoki mężczyzna został wyeliminowany, ale to zapewne nie czyniło wielkiej różnicy. Nie mogłoby działać bez skomplikowanej i dysponującej doskonałymi kontaktami organizacji. Jeśli infiltrowała ona Interpol, czemu nie Paryską Prefekturę Policji?

Przemknął koło nich radiowóz, a potem drugi. Paryż trząsnął się od wycia syren.

-Skąd on mógł wiedzieć, że tu będziemy? - zapytał Osborn, gdy przeciskali się przez wieczorny, zelektryzowany wypadkami tłum.

-Nie zatrzymuj się - ponaglił go McVey, oglądając się przez ramię na samochody policyjne, blokujące bulwar Montparnasse na obu jego końcach.

-Niepokoi cię coś w związku z policją, prawda? - spytał Osborn.

McVey nie odpowiedział.

Dotarli do bulwaru Raspail, skręcili w prawo. Przed nimi znajdowała się stacja metra. McVey przelotnie pomyślał, czyby tam nie zejść, ale zaraz odrzucił ten pomysł i poszli prosto.

-Czemu policjant miałby bać się policji? - nalegał Osborn.

Nagle niebiesko-czarna ciężarówka wynurzyła się z bocznej ulicy i gwałtownie zahamowała na skrzyżowaniu tuż za nimi. Tylne drzwi otworzyły się z trzaskiem i ze środka wyskoczył tuzin policjantów z antyterrorystycznych brygad Compagnie de Securite Republicaine. Mieli na sobie kamizelki kuloodporne i kombinezony spadochroniarskie, uzbrojeni byli w broń maszynową.

McVey zaklął pod nosem i rozejrzał się. Dwie bramy dalej znajdowała się mała kafejka.

-Do środka - powiedział, biorąc Osborna za ramię i popychając w stronę wejścia.

Ludzie stali przy oknach, przyglądając się działaniom policji na ulicy, i prawie nie zwrócili uwagi na ich wejście. Znalazłszy kącik na końcu baru,

McVey skierował tam Osborna, a sam podniósł dwa palce.

- Vin blanc - rzucił.

- Powiesz mi wreszcie, co tu się dzieje? - spytał Osborn, opierając się wygodnie na krześle.

Barman postawił przed nimi dwa kieliszki i napełnił je białym winem.

- Merci - powiedział McVey. Wziął kieliszek i podał go Osbornowi.

Wypił duży łyk, odwrócił się tyłem do sali i spojrzał na Osborna. - Zadam ci twoje własne pytanie. Skąd on wiedział, że mamy tam być? Odpowiedź: ty byłeś śledzony albo ja. Albo ktoś założył podsłuch na linii do recepcji hotelu Vieux Paris i wykombinował, że nie umówiłem się na drinka z prawdziwym Tommym Lasordą... Mój przyjaciel, paryski detektyw, został paskudnie postrzelony dziś rano, a jego brat, także gliniarz, zamordowany, ponieważ próbował się dowiedzieć, kto poza tobą tak nagle dostał cynk o Albercie Merrimanie. Policja może być w to zamieszana lub nie, nie wiem. Wiem natomiast, że dzieje się coś, co powoduje, że każdy, choćby odlegle związany z Albertem Merrimanem, znajduje się w cholernym niebezpieczeństwie. A w tej chwili dotyczy to ciebie i mnie i najmądrzej zrobimy, zmywając się z ulicy.

- McVey... - nagle zaniepokoił się Osborn - jest jeszcze ktoś, kto wie o Merrimanie.

- Vera Monneray. - W natłoku wydarzeń McVey o niej zapomniał.

Osborna ogarnęło przerażenie.

- Ci francuscy detektywi, którzy jej tu pilnowali... Załatwiłem, żeby ją zabrali do babki w Calais.

## 70

- Ty to załatwiłeś? - spytał z niedowierzaniem McVey.

Osborn nie odpowiedział. Zamiast tego postawił kieliszek na stole i ruszył obskurnym korytarzem koło toalet w stronę automatu telefonicznego w głębi kawiarni. Był prawie przy nim, gdy dogonił go McVey.

- Zamierzasz do niej zadzwonić?

- Tak - potwierdził Osborn; nie przemyślał swego postępowania, ale musiał się dowiedzieć, czy z nią wszystko w porządku.

- Osborn. - McVey schwycił go mocno za ramię i odwrócił twarzą do

siebie. - Jeśli ona tam jest, prawdopodobnie nic jej nie grozi, ale strzegący jej detektywi będą monitorowali linię. Pozwolą ci mówić tak długo, aż ustalą, skąd dzwoniisz. Jeśli policja francuska jest w to wmieszana, nie zrobimy nawet dwóch kroków za tymi drzwiami. - Kiwnął głową w stronę wejścia. - A jeśli jej tam nie ma, nic nie możesz zrobić.

- Ty nic nie rozumiesz, prawda? - wybuchnął Osborn. - Ja muszę się dowiedzieć.

- Ale jak?

Osborn miał już odpowiedź.

- Przez Philippe'a.

- Portiera w jej apartamencie?

Osborn kiwnął głową.

- On ci pomógł wydostać się z budynku, prawda?

- Tak.

- I może załatwił ci ogon, gdy wychodziłeś?

- Nie, tego by nie zrobił. On jest...

- No kim? Ktoś powiadomił wysokiego mężczyznę, że to Vera była tą tajemniczą kobietą i gdzie mieszka. Dlaczego nie on? Osborn, musisz trochę poczekać, zanim osiągniesz spokój sumienia.

McVey wpatrywał się w niego, póki Osborn nie zrozumiał, a potem odwrócił się, by poszukać tylnego wyjścia.

Pół godziny później, płacąc gotówką i używając fałszywej wizytówki i nazwiska, McVey zameldował ich w przylegających do siebie pokojach na piątym piętrze hotelu klasy turystycznej Saint-Jacques przy bulwarze Saint-Jacques, odległego o jakieś półtora kilometra od La Coupole i bulwaru Montparnasse.

Całkowicie rozpoznawalny jako Amerykanin i nie mając żadnego bagażu, McVey zagrał na francuskim zrozumieniu spraw l'amour. Gdy wchodzili do pokoi, dał boyowi wyjątkowo duży napiwek, prosząc z zażenowaniem i wielką szczerością w głosie, by z całą pewnością nikt im nie przeszkadzał.

- Oui, monsieur. - Boy obdarzył Osborna chytrym uśmieszkiem, a potem zamknął za nim drzwi i odszedł.

McVey natychmiast przeszukał oba pokoje i łazienki. Zadowolony z wyników zaciągnął zasłony w oknach i zwrócił się do Osborna.

- Zejdę do holu i zatelefonuję. Nie zrobię tego stąd, bo nie chcę, by cokolwiek nas zdradziło. Jak wrócę, chciałbym usłyszeć wszystko, co pamiętasz na temat Alberta Merrimana, od chwili gdy zabił twego ojca aż do

ostatniej sekundy w rzece. - Sięgnąwszy do kieszeni marynarki, wyjął pistolet CZ Bernharda Ovena i podał go Osbornowi. - Nie będę cię pytał, czy umiesz się tym posługiwać, bo znam odpowiedź. - Wyraz jego oczu mówił wszystko. - Nikt nie ma prawa tu wejść poza mną. Z żadnego powodu.

McVey uchylił drzwi, wyrzwał, a potem wyszedł na pusty korytarz. Tak samo pusta była winda. Na poziomie holu drzwi się otworzyły. Grupa japońskich turystów, którzy wysiedli z autokaru wycieczkowego i szli za przewodnikiem, trzymającym zielono-białą chorągiewkę, oraz podstarzała para siedząca w klubowych fotelach blisko drzwi - to wszystko.

Przechodząc przez hol, McVey rozejrzał się w poszukiwaniu automatu telefonicznego i znalazł go koło kiosku z upominkami. Posłużony się kartą kredytową AT & T zarejestrowaną na skrytkę pocztową w Los Angeles, zadzwonił pod numer automatycznej sekretarki Noble'a w Scotland Yardzie. Jego wiadomość została nagrana.

Odłożył słuchawkę, wszedł do sklepu z upominkami i kupił kartę urodzinową z wielkim żółtym króliczkiem. Wróciwszy do holu, wyjął kartonową okładkę notesu z krwawym odciskiem kciuka Bernharda Ovena i wsunął ją wraz z kartą do koperty, którą zaadresował do „Billy'ego Noble'a” na skrytkę pocztową w Londynie. Potem podszedł do recepcji i poprosił portiera o wysłanie jej najbliższą pocztą.

Właśnie zapłacił portierowi i miał wrócić do holu, gdy z ulicy weszli dwaj policjanci i zaczęli się rozglądać. Na lewo od McVeya leżał stosik broszur turystycznych. Podszedł do nich niedbałym krokiem. Jeden z policjantów spojrzął w jego stronę. McVey zignorował go i zaczął przerzucać broszury. Wybrał trzy i przed nosem policjantów przeszedł przez hol. Usiadł koło telefonu, by je obejrzeć. Wycieczki statkami rzecznyymi. Zwiedzanie Wersalu. Wycieczki po winnicach. Policzył do sześćdziesięciu, a potem podniósł głowę. Policjanci odeszli.

Cztery minuty później Ian Noble zadzwonił ze swej prywatnej rezydencji, gdzie wraz z żoną wydawali oficjalną kolację na cześć przechodzącego w stan spoczynku generała armii brytyjskiej.

- Gdzie jesteś?

- Paryż. Hotel Saint-Jacques. Jack Briggs. San Diego. Hurt jubilerski - powiedział McVey monotonnym głosem, informując Noble'a, gdzie się znalazł i pod jakim nazwiskiem zameldował. Zauważył ruch po lewej stronie. Zmienił pozycję i ujrzał trzech mężczyzn w garniturach, idących w

jego stronę przez hol. Jeden zdawał się spoglądać wprost na niego, dwaj inni rozmawiali ze sobą. - Pamiętasz Mike'a? - powiedział z ożywieniem do telefonu, udając wylewnego amerykańskiego handlowca, rozpinając marynarkę i przysuwając dłoń do trzydziestki ósemki wciśniętej za pasek. - Taaa, zabrałem go ze sobą.

- Masz Osborna.

- Na pewniaka.

- Czy jest w kłopotach?

- Ni cholery. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Mężczyźni wyminęli go i weszli do wnęki z windami.

McVey odczekał, aż wsiądą i zamkną się za nimi drzwi, a potem znów zwrócił się do telefonu i szybko opowiedział, co się zdarzyło, uprzedzając, że do najbliższej poczty dołączył odcisk kciuka wysokiego mężczyzny.

- Natychmiast go sprawdzimy - odparł Noble, a potem dodał, że pokłócił się z francuskim charge d'affaires, który chciał się dowiedzieć, co też, u diabła, Angole sobie myślą, porywając ciężko rannego inspektora paryskiej policji z pokoju szpitalnego w Lyonie. Ponadto życzyli sobie mieć go z powrotem, ekspresowo. A potem, zmieniawszy temat, Noble powiedział, że nie znaleźli w Wielkiej Brytanii nikogo, kto zajmowałby się eksperymentami z zakresu zaawansowanej kriochirurgii. Jeśli nawet coś takiego praktykowano, robiono to w sposób całkowicie utajony.

McVey rozejrzał się po holu. Nienawidził paranoi. Okaleczała człowieka, powodując, że widział rzeczy nieistniejące. Ale musiał spojrzeć prawdzie w oczy: każdy, w mundurze czy bez, mógł pracować dla Organizacji. Wysoki bez cienia skrupułów zastrzeliłby go tu, w holu, i McVey musiał założyć, że jego następca zrobiłby to samo. A jeśli nie od razu, to przynajmniej zameldowałby, gdzie go znalazł.

- McVey, jesteś tam?

- Czego się dowiedziałeś o Klassie?

- MI6 dokopał się tylko wzorowego życiorysu. Żona, dwoje dzieci. Urodzony w Monachium. Wychował się we Frankfurcie. Kapitan lotnictwa niemieckiego. Podczas służby wojskowej zwerbowany przez wywiad zachodnoniemiecki Bundesnachrichtendienst, gdzie go wyszkolono i gdzie zyskał świetną reputację jako ekspert od odcisków palców. Następnie rozpoczął pracę dla Interpolu w jego lyońskiej centrali.

- Nie. Na nic - orzekł McVey. - Coś przeoczyli. Szukajcie głębiej. Zbadajcie ludzi, z którymi utrzymuje stosunki, nie tylko kontakty służbowe.

Zaczekaj... - McVey zamyślił się, próbując sobie przypomnieć pobyt w gabinecie Lebruna w dniu, gdy otrzymali odcisk palca Merrimana z lyońskiego Interpolu. Ktoś inny pracował też z Klassem... Hal, Hall, Hałd... Haider! - Już wiem! Rudolf Haider z Interpolu wiedeńskiego. Pracował z Klassem nad odciskiem palca Merrimana... Słuchaj, Ian, czy znasz Manny'ego Remmera?

-Z niemieckiego Federalnego Biura Kryminalnego?

-To mój stary przyjaciel. Pracuje w centrali w Bad Godesbergu. Nie jest jeszcze późno. Złap go w domu. Powiedz, że to ja prosiłem, byś zadzwonił. Powiedz mu, że chcesz wszystko, co może znaleźć o Klasie i Haiderze. Jeśli mają te dane, dostanie je. Możesz mu ufać.

-McVey... - w głosie Noble'a brzmiał niepokój. - Myślę, że udało ci się otworzyć nader wielką puszkę... I otwarcie mówiąc, uważam, że powinienś wy dostać się z Paryża cholernie szybko.

-W paczce czy limuzynie?

-Jak się mogę z tobą skontaktować za półtorej godziny?

-Nie możesz. Ja się z tobą skontaktuję.

Nim McVey zapukał do drzwi pokoju Osborna, minęła dziewięta trzydzieści. Osborn uchylił drzwi, nie zdejmując łańcucha, i wyjrzał.

-Mam nadzieję, że lubisz sałatkę z kurczaka.

W jednej ręce McVey balansował tacą z sałatkami z kurczaka w plastikowych miseczkach, zamkniętych folią termokurczliwą, drugą zonglował dzbankiem kawy i dwoma kubkami, które kupił u barmana w hotelowym barku kawowym, w chwili gdy ten próbował zamknąć interes na noc.

Przed dziesiątą kawa i sałatka z kurczaka znikły. Osborn chodził tam i z powrotem po pokoju, w roztargnieniu ruszając palcami zranionej dłoni, McVey zaś siedział zgarbiony na łóżku, które posłużyło mu za stół do pracy, wpatrując się w świeże zapisy w swoim notesie.

-Merriman powiedział ci, że niejaki Erwin Scholl z Westhampton Beach, z Nowego Jorku, zapłacił mu za zabicie twego ojca i trzech innych osób w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym.

-Zgadza się - potwierdził Osborn.

-Z tamtych trzech jeden mieszkał w Wyoming, jeden w Kalifornii i jeden w New Jersey. Merriman wykonał robotę i dostał pieniądze. A potem ludzie Scholla próbowali go zabić.

-Tak.

- I to wszystko, co powiedział? Tylko nazwy stanów, bez nazwisk ofiar, nazw miast?

- Tylko.

- Prawie trzydzieści lat temu niejaki Erwin Scholl wynajmuje Merrimana, a potem poleca go sprzątnąć. Zabawa w zabijanie zabójcy; zyskać pewność, że nie będzie żadnych długich języków, które mogłyby gadać. - McVey wstał i przeszedł do łazienki. Oddał sterylne opakowanie ze szklanki do wody, napełnił ją, wrócił do pokoju i usiadł. - Ale Merriman wykołował ludzi Scholla, sfingował własną śmierć i zwiął. A Scholl, przyjąwszy, że Merriman nie żyje, zapomniał o nim. To znaczy zapomniał do chwili, gdy zjawili się ty i wynajęłeś Jeana Packarda, by go odnalazł. - McVey łyknął wody i ledwo powstrzymał się od wymienienia doktora Klassa oraz liońskiego Interpolu. Osborn nie musi wiedzieć za dużo.

- Uważasz, że Scholl kryje się za tym, co wydarzyło się tutaj, w Paryżu? - zapytał Osborn.

- Oraz w Marsylii i Lyonie trzydzieści lat później? W tej chwili nie wiem, kim jest pan Scholl. Może nie żyje, może nawet nigdy nie istniał.

- Więc kto to robi?

McVey zgarbił się nad łóżkiem, zapisał coś w notesie, a potem spojrzął na Osborna.

- Właściwie kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś tego wysokiego?

- Nad rzeką.

- Nie wcześniej?

- Nie.

- Przypomnij sobie. Wcześniej owego dnia, o dzień wcześniej, dwa dni przedtem.

- Nie.

- Strzelał do ciebie, ponieważ byłeś z Merrimanem i nie chciał pozostawiać świadka. Tak uważasz?

- A jakie mogłyby być inne powody?

- Cóż, przede wszystkim mogło być odwrotnie: był tam, żeby zabić ciebie, a nie Merrimana.

- Po co? Skąd mógłby mnie znać? A nawet jeśli, po co by zabijał rodzinę Merrimana?

Osborn miał rację. Nikt nie wiedział, że Merriman żyje, do chwili gdy Klass zidentyfikował jego odcisk palca. I wtedy nokaut. Najprawdopodobniej, jak sugerował Lebrun, by uniemożliwić mu wygadanie się przed policją. Klass mógł opóźnić przekazanie informacji, ale nie ukryć odcisk palca;

zbyt wiele osób w Interpolu wiedziało o jego istnieniu. Merriman nie działał w fachu od ponad dwudziestu pięciu lat, a zatem to, co mógł powiedzieć policji, dotyczyłoby wydarzeń sprzed lat. Czyli trzeba go było wyeliminować, by nie uwikłał Scholla w spisek mający na celu morderstwo. To oznaczało, że albo nie wiedzieli, kim jest Osborn, albo przeoczyli fakt, że był potomkiem jednej z ofiar Merrimana oraz...

-Do cholery! - szepnął McVey Jak mógł nie wpaść na to wcześniej? Nie chodziło ani o Merrimana, ani Osborna, lecz o cztery osoby, które Merriman zabił trzydzieści lat temu. McVey poczuł nagły napływ adrenaliny. Wstał. - Z czego żył twój ojciec?

-Kim był z zawodu?

-Właśnie.

-On... wymyślał różne rzeczy - powiedział Osborn.

-A cóż to ma znaczyć?

-Z tego, co pamiętam, pracował w czymś w rodzaju trustu mózgow. Wynajdował różne rzeczy, a potem budował prototypy tego, co wynalazł. W większości wypadków, jak myślę, miało to coś wspólnego z projektowaniem narzędzi medycznych.

-Czy pamiętasz nazwę tego towarzystwa?

-Nazywało się Microtab. Pamiętam dokładnie, bo na pogrzeb ojca przysłali wielki wieniec kwiatów. Nazwa firmy była na wizytówce, ale nikt z niej się nie pokazał - powiedział apatycznie Osborn.

Wtedy McVey zrozumiał głębię bólu Osborna. Wiedział, że Paul jeszcze ma przed oczami pogrzeb, jak gdyby odbył się on wczoraj. Tak samo musiał się czuć, gdy ujrzał Merrimana w brasserie.

-Mieli siedzibę w Bostonie?

-Nie, w Waltham, na przedmieściu.

McVey wziął pióro i zapisał: Microtab, Waltham, Mass., 1966.

-Masz jakieś pojęcie, w jaki sposób pracował? W pojedynkę? Czy w grupie czterech lub pięciu ludzi odbębniających takie zamówienie?

-Tata pracował sam. Jak oni wszyscy. Pracownikom nie wolno było mówić o tym, nad czym pracują, nawet między sobą. Pamiętam, jak kiedyś dyskutowała o tym z ojcem moja matka. Uważała to za absurd. Później myślałem, że chodziło może o patenty.

-Nie wiesz przypadkiem, nad czym pracował, gdy został zabity?

Wiem. Właśnie ukończył to i przyniósł do domu, żeby mi pokazać, choć jestem pewien, że nie wolno mu było tego robić. Ale był taki dumny ze swego osiągnięcia. - Osborn uśmiechnął się.



-Co to było?

-Skalpel.

-Skalpel...? Chirurgiczny? - McVey poczuł, że włosy zaczynają mu się jeżyć na karku.

-Tak.

-Czy pamiętasz, jak wyglądał? Czym się różnił od wszystkich innych?

-Odlano go ze specjalnego stopu; wytrzymał skrajne zmiany temperatury i nadal pozostawał chirurgicznie ostry. Miał być używany w połączeniu ze sterowanym przez komputer elektronicznym ramieniem.

Teraz już nie tylko włosy stały McVeyowi na głowie. Czuł się tak, jakby polano mu kręgosłup wodą z kostkami lodu.

-Ktoś miał przeprowadzać zabiegi chirurgiczne w skrajnych temperaturach, używając jakiegoś poruszanego komputerem ramienia, które trzymałoby skalpel twojego ojca i wykonywało zadanie?

-Nie wiem. Musisz pamiętać, że w owym czasie komputery były gigantyczne, zajmowały całe pokoje, więc nie wiem, jak by to wyglądało w praktyce, nawet gdyby działało.

-Powiedziałeś: w skrajnych temperaturach. Czy to oznaczało gorąco czy zimno? Czy jedno i drugie?

-Nie wiem. Ale zaczęły się już wtedy eksperymenty z chirurgią laserową, co w zasadzie oznacza przekształcenie energii światła w ciepło. Czyli przyjąłbym, że prowadzili poszukiwania w przeciwnym kierunku.

-Zimna.

-Tak.

Nagle lód z kręgosłupa zniknął i McVey poczuł, że krew krąży mu szybciej. To właśnie było to, co bez przerwy przyciągało go do Osborna. Związek między Osbornem, Merrimanem i pozbawionymi głów ciałami.

## 71

### **Berlin, poniedziałek, 10 października, 10.15 wieczorem**

-Jest już późno, Uto - powiedział zjadliwie Konrad Peiper.

-Przepraszam, ale jestem pewna, że pan rozumie, iż nic na to nie mogę poradzić - odparła Uta Baur. - Z pewnością będą tu lada chwila. - Spojrzała na Salettla, ale się nie odezwał.

Przylecieli z Salettem z Zurychu wcześniej tego samego wieczoru samolotem należącym do firmy i prosto z lotniska przyjechała, by dopilnować ostatnich przygotowań. Powinni zacząć już pół godziny temu. Goście, którzy zebrali się tutaj, w prywatnym pokoju na najwyższym piętrze Gallerie Pamplemousse, pięciopiętrowej galerii przy Kurfurstendamm, specjalizującej się w neu kunst, nie należeli do gatunku tych, którym ktokolwiek może kazać czekać. Ale też dwaj mężczyźni, którzy się spóźniali, nie należeli do takich, których można obrażać, odchodząc przed ich przybyciem. Szczególnie jeśli się przyszło na ich zaproszenie.

Uta, ubrana jak zwykle na czarno, wstała i podeszła do stojącego z boku stolika, na którym stał srebrny dzbanek, napełniony świeżo zaparzoną kawą arabską, talerze z minikanapkami i słodyczami oraz woda mineralna. Nad tym wszystkim czuwały dwie prześliczne młode hostessy w obcisłych dżinsach i butach kowbojskich.

- Proszę jeszcze raz napełnić dzbanek. Kawa nie jest już świeża - warknęła na jedną z nich. Dziewczyna natychmiast przecisnęła się przez drzwi do podręcznej kuchenki.

- Daję im piętnaście minut, nie więcej. Ja też jestem zajęty, czy oni tego nie rozumieją? - Hans Dabritz nastawił stoper, nałożył na talerz kilka kanapek i wycofał się na swoje miejsce.

Uta nalala sobie szklanek wody mineralnej i obiegła wzrokiem pokój pełen zniecierpliwionych gości - jakby się czytało elitarnie Whos is Who współczesnych Niemiec.

Hans Dabritz, drobny, brodaty, lat pięćdziesiąt. Inwestor budowlany, człowiek o dużych politycznych wpływach. Wielkie zespoły bloków w Kilonii, Hamburgu, Monachium i Dusseldorfie, składy handlowe oraz wieżowce biurowe w Berlinie, we Frankfurcie, w Essen, Bremie, Stuttgarcie i Bonn. Właściciel całych kwartałów ulic w śródmieściach Bonn, Frankfurtu, Berlina i Monachium. Zasiadał w radzie nadzorczej największego niemieckiego banku, frankfurckiego Deutsche Bank. Stałe, poważne dotacje dla lokalnych polityków i pełna nad nimi kontrola. Często żartowano, że największe wpływy w niższej izbie parlamentu, Bundestagu, ma jeden z najmniejszych Niemców. Uznawany za najważniejszego ze wszystkich, którzy pociągają za sznurki. Prawie nigdy nie zdarzało się, by nie uzyskał tego, czego chciał.

Konrad Peiper, lat trzydzieści cztery; wraz z żoną Margarete brał udział w uroczystym powitaniu Eltona Lybargera. Prezes i dyrektor naczelny Goltz Development Group, GDG, drugiej co do wielkości spółki handlowej w Niemczech. Pod jego patronatem powstało Lewsen International,

de facto holding z siedzibą w Londynie. GDG zorganizowała sieć pięćdziesięciu małych i średnich niemieckich przedsiębiorstw, które stały się głównymi dostawcami Lewsen International. Między rokiem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym i tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym GDG, za fasadą Lewsen, potajemnie dostarczyła zasobnemu w płynną gotówkę Irakowi materiały do prowadzenia wojen chemicznej i biologicznej, składniki do produkcji broni jądrowej oraz umożliwiła ulepszenie rakiet balistycznych. To, że Irak miał utracić w operacji Pustynna Burza większość tego, co dostarczył Lewsen, nie miało znaczenia. Peiper pewnie i na trwałe wprowadził GDG w grono światowych dostawców broni.

Margarete Peiper, lat dwadzieścia dziewięć, żona Konrada. Drobniutka, wzbudząca zachwyt. Pracoholiczka. Gdy miała dwadzieścia lat, była aranżerką muzyki, producentką płyt i menedżerem trzech bardzo znanych w Niemczech zespołów rockowych. W wieku lat dwudziestu pięciu została wyłączną właścicielką potężnej „Cinderelli” - największego studia nagrań w Niemczech; dwóch firm płytowych oraz apartamentów w Berlinie, Londynie i Los Angeles. W tej chwili była przewodniczącą, główną właścicielką i siłą napędową AEA - Agency for the Electric Arts, potężnej organizacji o zasięgu światowym, zrzeszającej znanych pisarzy, aktorów, reżyserów, aranżerów, piosenkarzy itd. Wtajemniczeni twierdzili, że źródłem sukcesu Margarete Peiper jest jej ciągle psychiczne nastawienie na odbiór „kanału młodzieżowego”. Krytycy byli skłonni uważać jej zdolność do dominowania nad już ogromną i wciąż rosnącą współczesną młodzieżową publicznością za coś bardziej przerażającego niż niezwykle, ponieważ jej poczynania niebezpiecznie oscylowały pomiędzy błyskotliwą twórczością i jawnym manipulowaniem masami. Zawsze zaprzeczała tego typu oskarżeniom. Twierdziła, że wszystko w jej życiu wynika z całkowitego i bezwarunkowego oddania się sztuce i ludziom.

Matthias Noll, lat sześćdziesiąt dwa, generał-major lotnictwa w stanie spoczynku. Szanowany lobbysta polityczny. Błyskotliwy mówca. Czołowy bojownik potężnego niemieckiego ruchu pokoju. Zdeklarowany krytyk szybkich zmian konstytucyjnych. Ogromnie szanowany przez znaczną część ludności Niemiec: starzejących się ludzi, nadal boleśnie przeżywających winy i wstyd Trzeciej Rzeszy.

Henryk Steiner, lat czterdzieści trzy. Animator numer jeden niepokojów wśród bynajmniej nie łagodnie nastawionej niemieckiej klasy robotniczej. Ojciec jedenaściorga dzieci. Krępy, niesłuchanie sympatyczny. Typ tutejszego Lecha Wałęsy. Dynamiczny i niezwykle popularny organizator

polityczny. Obdarzony emocjonalnym i fizycznym poparciem kilkuset tysięcy pracowników przemysłów samochodowego i metalowego, walczących o ekonomiczne przeżycie w nowych wschodnich landach Niemiec. Miał na swoim koncie ośmiomiesięczną odsiadkę za kierowanie strajkiem trzystu kierowców ciężarówek, protestujących przeciw niebezpiecznym, nie remontowanym autostradom. Zaledwie dwa tygodnie po wyjściu z więzienia skłonił pięciuset poczdamskich policjantów do ostrzegawczego czterogodzinnego przerwania pracy, gdy przez biurokrację nie wypłacono im pensji blisko miesiąc.

Hilmar Grunel, lat pięćdziesiąt siedem, dyrektor naczelny HGS-Beyer, największego niemieckiego wydawcy gazet i czasopism. Były ambasador przy ONZ i wrzaskliwy konserwatysta, nadzorujący na co dzień działania i kontrolujący zawartość redakcyjną jedenastu głównych gazet, wszystkich absolutnie i pryncypialnie prawicowych.

Rudolf Kaes, lat czterdzieści osiem. Specjalista do spraw monetarnych w Instytucie Badań Ekonomicznych w Heidelbergu i główny doradca ekonomiczny rządu. Jedyne kandydat do reprezentowania Niemiec w zarządzie nowego banku centralnego Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Energiczny orędownik jednej waluty europejskiej, absolutnie świadom, że marka niemiecka już dominuje w Europie i że jedna waluta na niej oparta posłuży jedynie do wzmocnienia potęgi gospodarczej Niemiec.

Gertrudę Biermann (również w Komitecie Powitalnym Lybargera), lat trzydzieści dziewięć. Niezameżna matka dwojga dzieci. Liderka Zielonych, radykalnie lewicowego ruchu pokoju, którego korzenie sięgały prób przeszkodzenia w rozmieszczeniu amerykańskich rakiet Pershing na teren Niemiec Zachodnich w latach osiemdziesiątych. Głęboko oddziałująca na narodową świadomość Niemców, zaniepokojonych wszelkimi próbami podporządkowania ich kraju wojskowym Zachodu.

Rozległ się brzęczyk. Salettl podniósł słuchawkę stojącego przy jego łokciu telefonu. Przez chwilę słuchał, a potem odłożył telefon i spojrzał na Utę.

- Ja - powiedział.

Chwilę później otworzyły się drzwi i wszedł von Holden. Szybko przebiegł wzrokiem pokój, a potem stanął z boku.

- Są już tutaj - oświadczyła gościom Uta, równocześnie rzucając ostre spojrzenie hostessom, które natychmiast wyszły bocznymi drzwiami.

Do środka wszedł uderzająco przystojny i niezwykle starannie ubrany mężczyzna.

- Dortmund ugrzązł w Bonn. Zaczniemy bez niego - powiedział po niemiecku Erwin Scholl, nie zwracając się do nikogo w szczególności, a potem usiadł obok Steinera. Wspomnianym Dortmundem był Gustav Dortmund, szef federalnego Bundesbanku, centralnego banku Niemiec.

Von Holden zamknął drzwi i podszedł do stołu. Nalał szklanek wody mineralnej, wręczył ją Schollowi, a potem cofnął się, by stanąć w pobliżu drzwi.

Scholl miał siedemdziesiąt pięć lat i uderzająco błękitne oczy, był wysoki, szczupły i mocno opalony, szpakowate włosy nosił krótko obcięte. Wiek i ogromna fortuna właściwie tylko dodały charakteru tej twarzy o szerokim czole, arystokratycznym nosie i podbródku przeciętym głęboką bruzdą. Miał postawę wojskowego w starym stylu, nakazującą uwagę od chwili, gdy tylko się pojawia. Kiedy wchodził do pokoju, wszystkie spojrzenia kierowały się ku niemu i na moment zapadała cisza.

- Proszę o pokaz - powiedział spokojnie do Uty.

Erwin Scholl, ze swą dziwną mieszaniną wystudiowanej skromności i kompletnej arogancji, stanowił wręcz perfekcyjny przykład amerykańskiego sukcesu: niemiecki imigrant bez grosza przy duszy, który wyrósł na władcę ogromnego imperium wydawniczego, by następnie przywdziać szatę filantropa, inicjatora zbiorów dobroczynnych oraz bliskiego przyjaciela prezydentów Stanów Zjednoczonych, od Dwighta Eisenhowera po Billa Clintona. Jak większość tu zgromadzonych, zawdzięczał swe bogactwo i wpływy masom, ale ze świadomego wyboru i wskutek przemyślanych działań był im prawie nieznanym.

- Bitte - rzuciła Uta do interkomu.

W pokoju natychmiast pociemniało i pokryta abstrakcyjnym malowidłem ściana rozsunała się na oczach zebranych na trzy części i cofnęła, ukazując płaski ekran telewizyjny o wysokiej rozdzielczości, dwa i pół na pięć metrów.

Natychmiast też ukazał się ostry jak brzytwa obraz. Było to zbliżenie piłki futbolowej. Nagle w kadr wtargnęła stopa i ją kopnęła. W tym momencie nastąpił odjazd kamery, ukazując wypielęgnowane trawniki w Anlegeplatz i siostrzeńców Eltona Lybargera, Erica i Edwarda, kopiących do siebie piłkę. Następnie kamera przesunęła się w bok, obejmując stojącego z Joanną Eltona Lybargera. Nagle jeden z chłopców kopnął piłkę w kierunku Lybargera, ten zaś posłał ją kopniakiem z powrotem do siostrzeńców. A potem spojrzął na Joannę i uśmiechnął się z dumą. Joanna odpowiedziała takim samym uśmiechem.

Obraz zmienił się. Lybarger, usadowiony przy płonąącym kominku w swej eleganckiej bibliotece, odziany w sweter i spodnie, opowiadał szczegółowo komuś siedzącemu poza zasięgiem kamery o osi, którą Paryż i Bonn wykuły, tworząc nową Europejską Wspólnotę Gospodarczą. Ze swadą, bez żadnych trudności z artykułowaniem dźwięków jasno dowodził, że rzekoma rola Wielkiej Brytanii jako reprezentantki „bezinteresownej wyższości moralnej” służy tylko temu, by utrzymać Brytanię jako malkontenta w ogólnym równaniu. I że dalsze odgrywanie owej roli nie wyjdzie na dobre ani Wielkiej Brytanii, ani Wspólnocie Gospodarczej. W jego opinii musiało nastąpić zbliżenie Bonn-Londyn, aby Wspólnota stała się tym, po co ją stworzono: główną siłą ekonomiczną. Swoje przemówienie zakończył lekkim tonem, wypowiadając żart, który w rzeczywistości nie był żartem.

- Oczywiście miałem na myśli, że to powinno być zbliżenie między Berlinem i Londynem. Ponieważ jak wszystkim wiadomo, w głosowaniu z dwudziestego czerwca mądrzy prawodawcy uczynili Berlin ponownie siedzibą rządu i tym samym przywrócili temu miastu rolę serca Niemiec.

Potem obraz Lybargera zbladł i zastąpiło go coś innego. Pionowe, lekko wygięte, zajęło prawie całą wysokość ekranu. Przez chwilę nic się nie działo, a potem to coś obróciło się, zawahało i wreszcie zdecydowanie posunęło do przodu. W tym momencie wszyscy rozpoznali, co to jest. Przekrwiony penis w pełnej erekcji.

Nagle kąt widzenia przeniósł się na innego mężczyznę, stojącego w cieniu, czekającego. Potem kąt zmienił się raz jeszcze i zebrani ujrzeli Joannę, rozebraną i rozkrzyżowaną na wielkim łożu z baldachimem, z rękami i nogami przywiązanymi do słupków łóżka grubymi paskami aksamitu. Jej pełne jak melony piersi sterczały po obu stronach klatki piersiowej, nogi miała rozłożone, a ciemne V w miejscu, gdzie się łączyły, falowało łagodnie w takt poruszających się nieświadomym ruchem bioder. Wargi miała wilgotne. Oczy, otwarte i szkliste, cofnęły się w głąb, być może w przeczuciu mającej nastąpić ekstazy. Prawdziwy obraz przyjemności i przyzwolenia, nic nie wskazywało, by cokolwiek z tego działo się wbrew jej woli.

A potem mężczyzna z penisem znalazł się na niej, ona zaś Przyjęła go chętnie i w pełni. Zmieniająca położenie kamera dokumentowała autentyczność aktu. Pchnięcia penisa były długie i mocne, wprawiały Joannę w coraz większe podniecenie.

Kolejne ujęcie ukazało drugiego mężczyznę. Był to von Holden, całkowicie nagi. Z rękami założonymi na piersi przyglądał się obojętnie.

Nastąpiło cięcie na łożko i równocześnie w kadrze pojawił się w prawym górnym rogu włączony zegar cyfrowy, odmierzający czas.

O godzinie 4.12.04 Joanna jawnie doświadczyła swego pierwszego orgazmu.

O 6.00.03 ukazał się pośrodku górnego skraju ekranu elektroencefalogram, śledzący jej fale mózgowie. Pomiędzy 6.15.43 i 6.55.03 zarejestrowano siedem oddzielnych, maksymalnych wahań prądów mózgu. O 6.57.23 pojawił się w lewym górnym skraju ekranu encefalogram ujawniający prądy mózgu jej męskiego partnera; do 7.02.07 były w normie. W tym okresie Joanna jeszcze trzykrotnie wykazała skrajną aktywność prądów mózgu. O 7.15.22 aktywność mózgu osobnika płci męskiej zwiększyła się trzykrotnie. W tym momencie ujęcie przeniosło się na twarz Joanny. Oczy miała wywrócone, tak że widać było tylko białka, usta zaś otwarte w bezgłośnym krzyku.

O 7.19.19 osobnik płci męskiej przeżył pełny orgazm.

O 7.22.20 von Holden wszedł w pole widzenia kamery i wyprowadził samca z pokoju. W tym momencie dwie kamery równocześnie skierowały się na mężczyznę, który uczestniczył w akcie płciowym z Joanną, dokumentując ponad wszelką wątpliwość, że mężczyzna, który przedtem był w łożku, jest tym samym, który właśnie opuszcza pokój. Nie było wątpliwości, kim był i że w pełni i sumiennie dopełnił aktu.

Elton Lybarger.

-Eindrucksvoll! - Imponujące! - powiedział Hans Dabritz, gdy zapalono światło i trójkąt abstrakcyjnych malowideł zasłonił ekran.

-Ale nie zamierzamy pokazywać wideo, prawda, panie Dabritz? - zwrócił się do niego ostro Erwin Scholl. Przeniósł wzrok na Salettla. - Czy on sam będzie mógł wziąć udział w naszym przedstawieniu, doktorze?

-Wolałbym, żeby dano mi nieco więcej czasu. Ale jak widzieliśmy, pan Lybarger jest naprawdę niezwykły.

W jakimkolwiek innym pokoju na świecie słowa Salettla wywołałyby śmiech. Ale nie tutaj. Ci ludzie nie mieli poczucia humoru. Dla nich było to tylko studium kliniczne, na podstawie którego mieli podjąć decyzję. Nic więcej.

-Doktorze, pytałem pana, czy będzie mógł zrobić to, co trzeba. Tak czy nie? - Ostre jak rapier spojrzenie Scholla niemal przecięło Salettla na pół.

- My l , e b dzie.  
- Bez laski! Bez jakiegokolwiek osoby pomagaj mu chodzi - pop  
dza go Scholl.  
- Tak. Bez laski. I bezadnej asysty.  
- - rzuci pogardliwym tonem Scholl. Wsta i zwrósi do  
Uty. - Nie mam adnych zastrze .  
Na te s owa von Holden otworzy drzwi i Scholl wesz

## 72

Pogardziwszy wind Scholl szed z pi u pi ter galerii schodami,  
maj c u boku von Holdena. Von Holden uchyli drzwi i ab wyszli na  
rze kie nocne powietrze. Kierowca w liberii otworzy dwiczki ciemnego  
mercedesa.

- Jed na Savignyplatz - polecí Scholl, a gdy mercedesa na oko-  
lony drzewami plac i zacz pe zn wzd u ulicy pe nej zat oczonych re-  
stauracji i barów, rzuci : - Jed powoli. - Pochyliwszy si do przodu, ledzi  
wzrokiem ludzi na ulicy, przygda si , jak chodz i rozmawiaj ze sob,  
studiuj c ich twarze i gesty. Sprawia wanie, jakby wszystko to by o dla  
niego nowoci , jakby ogl da to po raz pierwszy. - Skrw Kantstrasse.

Kierowca skierowa si do dzielnicy krzykliwych klubów nocnych i  
ha aliwych kawiarni .

- Prosz zatrzyma - zadysponowa Scholl. Nawet gdy mówi uprzej-  
mie, ton jego g osu by twardy i urywany, jakby czau wojskowe rozkazy.

Pó przecznicy dalej szofer znalaz wolne miejscaparkowa . Cof-  
n wszy si na oparcie siedzenia, Scholl z yod onie pod brodi spogl da  
na t ocznych si m odych berliczyków, przepychających si bezwzgl d-  
nie w ród neonowych barw ich wrzaskliwego, popartowskiegoata.  
Patrz c tak z za przyciemnionych szyb, Scholl wyda jak % , po-  
ch oni ty widokiem rozkoszywiata, ale równocześnie utrzymujcy wobec  
nich dystans.

Von Holden zastanawia się co to ma znaczy Od chwili gdy odebra  
Scholla z lotniska Tegel, zorientowa ,si co go niepokoi, ale s dzi , e  
to ju min o.

Nie sposób by o przenikn Scholla, tak gboko skry si za mask  
niez omnej arogancji. By a to cecha charakteru, która nie umia albo nie  
chcia zmieni, poniewa uczyni a go tym, kim by . Nierzadko zmusza  
swój personel do pracy po osiemie godzin na dobprzez ca e tygodnie,  
a potem albo pochlebstwami sk ania ich do jeszczeszej pracy, albo



nagradza kosztownymi urlopami na drugim ko wiata. Niejednokrotnie demonstracyjnie wychodzi w decydującym momencie negocjacji ze zwi zkami zawodowymi, by pój samotnie do muzeum albo nawet do kina i nie wraca godzinami. Gdy si znowu pojawia , oczekiwane problem zostaj u rozwiazany na jego korzyść. Zwykle tak bywa o, bo obie strony wiedzia y, e wyrzuci ca y swój zespół negocjacyjny, lije do nie nast pi. A wprowadzenie nowego zespołu oznacza o ponowienie negocjacji i wydanie przez obie strony fortuny na obronę kolejnych prawników. Ca a różnica w tym, e Scholl mógł sobie na to pozwolić nie chodzi o po prostu o to, aby sprawa potoczyła si jego myśli. By to jakiś mechanizm sterujący, ostentacyjny popis kolosalnego zarozumialstwa. Scholl nie tylko by tego wiadom, wprost si w tym lubowa .

Von Holden by ' ' - szefem bezpieczeństwa wszystkich przedsiębiorstw Scholla w Europie: dwóch drukarni w Hiszpanii, czterech stacji telewizyjnych, z czego trzech w Niemczech i jednej w Francji, oraz GDG - Goltz Development Group w Dalsdorfie. Zajmowa to stanowisko od oniu lat, osobiście angażuje pracowników bezpieczeństwa i nadzoruje ich szkolenie. Ale nie wyczerpywa o to zakres poddziałalności von Holdena. Czuwa także nad innymi, ciemniejszymi inwestycjami Scholla.

Na przykład Zurych. Aby wykorzysta Joann, musia ni manipulowa z du żr czności i delikatności . Salettl uzna , e Elton Lybarger mo e ca kowicie powróci do zdrowia: emocjonalnego, psychicznego i fizycznego. Ale jednocześnie wyrazi troskę, e gdy nadejdzie czas na testowanie jego zdolności reprodukcyjnych, nieznajoma mu kobieta sparaliżuje go do tego stopnia e Lybarger mo e odmówi wykonania zadania lub mu nie sprosta

Istota rodzaju e skiego, która przez długi okres by a jego fizykiem i towarzyszy a mu przez ca dóg do Szwajcarii, by tam nadal si nim opiekowa, z pewnością jest kimś, komu ufa i z kim czuje si swobodnie. B dzie pamita jej dotyk, nawet zapach. Co prawda, mógł w egnie traktowa jej jako obiektu seksualnego podania, dlatego tew chwili, gdy zostanie doprowadzony, by odbył ni stosunek, będzie si znajdowa pod wp ywem silnego rodka podniecającego seksualnie. W pe ni podniecony, cho nie do ko ca wiadom okoliczności, instynktownie wyczuje co znajomego i wówczas odpły si i zrobi swoje.

Dlatego wybór pad na Joann Daleko od domu, nie mają oparcia w

bliskiej rodzinie i nie nazbyt pociągająca, była fizycznie i emocjonalnie podatna na zastępcze uwiedzenie. Uwiedzenie, którego jedynym celem było przygotowanie jej do kopulacji z Eltonem Lybargerem. I dokonał tego Leiter der Sicherheit. Osobisty udział von Holdena nie tylko miał zagwarantować bezpieczeństwo Lybargerowi, lecz także udokumentować jego oddanie dla Organizacji.

Po drugiej stronie ulicy neonowy zegar cyfrowy nad wejściem do dyskoteki wykazywał godzinę 22.55. Już od trzydziestu minut Scholl siedział w milczeniu, pogrążony w obserwacji tłumu młodzieży na ulicy.

- Masy - powiedział cicho. - Masy.

Von Holden nie był pewien, czy słowa Scholla zostały do niego skierowane.

- Przepraszam, nie dosłyszałem, co pan mówi. Scholl odwrócił głowę i spojrzał von Holdenowi w oczy.

- Oven nie żyje. Co się z nim stało?

A więc miał rację. Porażka Bernharda Ovena w Paryżu przez cały czas niepokoiła Scholla, choć dopiero teraz zdecydował się ją omawiać.

- Powiedziałbym, że kierował się błędną oceną.

Nagle Scholl pochylił się do przodu i kazał kierowcy ruszać. Zaczekał, aż włączą się w strumień pojazdów, nim się znów odezwał.

- Przez bardzo długi czas nie mieliśmy problemów. Aż do chwili gdy wypłynął Albert Merriman. To, że on oraz otaczające go osoby zostali wyeliminowani szybko i skutecznie, dowodziłoby, że nasz system działa tak, jak został pomyślany. Ale Oven dał się zabić. W jego zawodzie to stałe ryzyko, niepokojące są natomiast implikacje tego faktu: być może nasz system nie jest tak sprawny, jak zakładaliśmy.

- Oven pracował samotnie, działając na podstawie przekazanych mu informacji. Sektor paryski całkowicie panuje nad sytuacją - zapewnił von Holden.

- To ty wyszkoliłeś Ovena, a nie sektor paryski! - warknął ze złością Scholl. Zachował się jak zawsze: zrobił z problemu sprawę osobistą. Bernhard Oven pracował dla von Holdena, wobec tego to von Holden poniósł porażkę. - Świadom jesteś, że poleciłem Ucie Baur zaczynać.

- Tak, panie Scholl.

- Więc zdajesz sobie sprawę, że mechanizmy piątkowej nocy zostały już uruchomione. Zatrzymanie ich byłoby i trudne, i krępujące. - Scholl

wbił wzrok w von Holdena w taki sam sposób jak niedawno w Saletta.

- Rozumiem... - Von Holden cofnął się na oparcie. Noc będzie długa. Właśnie otrzymał rozkaz wyjazdu do Paryża.

### 73

Mokra mgła wirowała, zaczynało mżyć. Żółte reflektory nielicznych samochodów mijających budkę telefoniczną przy bulwarze Saint-Jacques dziwnie przesywały powietrze.

- Aj, McVey! - Głos Benny'ego Grossmana przebił się przez pięć tysięcy kilometrów podwodnego światłowodowego kabla jak promień słońca. Dwunasta piętnaście we wtorkowe południe w Paryżu oznaczała szóstą piętnaście poniedziałkowego wieczoru w Nowym Jorku. Benny właśnie powrócił do swego biura po bardzo długim dniu w sądzie, by przejrzeć zostawione dla niego wiadomości.

McVey stojący u podnóża pagórka ledwie widział hotel, gdyż przysłaniały go drzewa i padał drobny deszcz. Nie ośmielił się telefonować z pokoju i nie chciał ryzykować z holu, w obawie że policjanci mogą powrócić.

- Benny, wiem, że poganiam cię jak wariat...

- Ani trochę, McVey! - zaśmiał się Benny. Zawsze się śmiał. - Po prostu przyślij mi trzynastą pensję w setkach. No, to jazda.

Wyjrawszy na ulicę, McVey poczuł uspokajający ciężar trzydziestki ósemki pod marynarką; zerknął ponownie na notatki.

- Benny. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty, Westhampton Beach. Niejaki Erwin Scholl... co to za jeden? Czy jeszcze żyje? Jeśli tak, gdzie jest? W tym samym roku wczesną wiosną, a może nawet późną jesienią sześćdziesiątego piątego mam trzy niewyjaśnione morderstwa, profesjonalna robota. W stanach... Wyoming, Kalifornia, New Jersey.

- Bułka z masłem, bubele. A jak już się tym zajmę, czemu przy okazji nie miałbym wyjaśnić, kto, do cholery, naprawdę zabił Kennedy'ego.

- Benny, gdybym tego nie potrzebował... - McVey spojrzał w stronę hotelu. Osborn czekał przyczajony w pokoju z pistoletem CZ. McVey serdecznie nienawidził takich sytuacji, gdy nie było wiadomo, kiedy ani kto zaatakuje. Właściwie ostatnie lata spędził na zbieraniu szczątków i kompletowaniu dowodów po tym, jak handlarze narkotyków dopełnili swych

transakcji. W większości wypadków było to bezpieczne: umarli nie zabijają. - Benny... ofiary były związane z instytucjami zajmującymi się produktami najnowocześniejszej techniki. Wynalazcy, projektanci narzędzi precyzyjnych, może naukowcy, nawet jakiś profesor college'u. Eksperymenty ze skrajnym zimnem... dwieście, dwieście siedemdziesiąt stopni Celsjusza poniżej zera. Albo być może odwrotnie... eksperymenty z wysokimi temperaturami. Kim oni byli? Nad czym pracowali, gdy ich zabito? I ostatnia sprawa: Microtab Corporation, Waltham, Massachusetts, też sześćdziesiąty szósty. Czy oni nadal istnieją? Jeśli tak, to kto tym kieruje i kto jest właścicielem? Jeśli nie, co się z nimi stało i kto był właścicielem?

- McVey... Kto ja jestem, Wall Street? Urząd skarbowy? Wydział osób zaginionych? Wystarczy wgrać to w komputer i wyskakują twoje odpowiedzi...? I na kiedy to chcesz, na Nowy Rok?

- Zadzwoń do ciebie rano.

- Cooo...?

- Benny, to bardzo, ale to bardzo ważne. Jeśli niczego nie znajdziesz, jeśli będziesz potrzebował pomocy, dzwoń do Freda Hanleya z FBI w Los Angeles. Powiedz mu, że to dla mnie, że prosiłem o pomoc. - McVey przerwał na chwilę. - Jeszcze jedno. Jeśli nie będziesz miał ode mnie wiadomości do jutra w południe, zadzwoń do Iana Noble'a ze Scotland Yardu i przekaz mu wszystko, co masz.

- McVey... - W głosie Benny'ego Grossmana nie brzmiała już irytacja. - Masz kłopoty?

- Masę.

- Masę? A to co znowu ma znaczyć, do cholery?

- Hej, Benny, jestem ci winien...

Osborn stał w ciemnym oknie, patrząc na ulicę w dole. Słała się gęsta mgła, ruch uliczny niemal zupełnie zamarł. Nikt nie szedł chodnikiem; ludzie spali w swoich domach. A potem zobaczył jakąś postać, przechodzącą pod uliczną latarnią i idącą bulwarem w stronę hotelu. Pomyślał, że to może być McVey, ale nie miał pewności. Zaciągnąwszy zasłonę okienną, usiadł i włączył małą lampkę nocną, oświetlając nią CZ Bernharda Ovena. Czul się tak, jakby ukrywał się od pół wieku, a przecież upłynęło ledwie osiem dni od chwili, gdy po raz pierwszy podniósł głowę i ujrzał Alberta Merrimana.

Ile osób zginęło w ciągu tych ośmiu dni? Dziesięć, dwanaście? Więcej? Gdyby nigdy nie poznał Very i nie przyjechał do Paryża, wszyscy nadal by żyli. Czy to jego wina? Na to nie miał odpowiedzi, bo pytanie nie było rozsądne. Spotkał Verę i przyjechał do Paryża i nie dało się niczego cofnąć.

Przez ostatnie godziny, gdy McVey wyszedł, próbował nie myśleć o Verze. Ale nie potrafił się tak całkiem od tego powstrzymać i musiał przekonywać sam siebie, że z nią wszystko w porządku, że inspektorzy, którzy zawieźli ją do babki w Calais, to dobrzy, godni zaufania gliniarze, a nie skorumpowana macka jakiejś diabelskiej organizacji.

Z przemocą zetknął się w młodym wieku, a jej skutki odczuwał zawsze. Kosmary dręczące go po tym, jak Merriman został zastrzelony, paraliżujące załamanie psychiczne, które zakończyło się, gdy leżał na podłodze w ramionach Very - desperacka walka z przeraźliwą prawdą: śmierć Alberta Merrimana niczego nie kończy. Ohydny morderca z blizną na twarzy, którego ścigał od dzieciństwa, podał po prostu następne nazwisko. Opuszczając dom Very, Osborn przyznał, że nie potrafił sobie z tym dać rady w pojedynkę. Nie po litość zwrócił się do McVeya, lecz po pomoc.

Pukanie do drzwi poderwało go na nogi jak wystrzał z pistoletu. Podniósł głowę i rozejrzał się błyskawicznie, jak gdyby przyłapano go z opuszczonymi spodniami. Popatrzył na drzwi, niepewny, czy się nie przesłyszał.

Pukanie się powtórzyło.

Gdyby był to McVey, powiedziałby coś lub posłużył się swoim kluczem; Klamka zaczęła się obracać, a Osborn zacisnął palce na kolbie CZ. Drzwi się poruszyły lekko, dokładnie na tyle, by napastnik zorientował się, że są zamknięte na klucz. Osborn przeszedł przez pokój i przyłgnął do ściany tuż obok drzwi. Czuł, jak poci mu się dłoń zaciśnięta na kolbie pistoletu.

- Niestety, kochanie. Pomyliłaś się z tym cholernym pokojem.

To był głos McVeya mówiącego z przesadnym irlandzkim akcentem. Po nim rozległ się kobiecy głos, terkoczący po francusku.

- Nie ten pokój, kochanie. Wierz mi. Popróbuj wyżej... może pomyliłaś piętro!

Znów odpowiedź po francusku, ze złością i oburzeniem. A potem dźwięk obracanego w zamku klucza. Otworzyły się drzwi i wszedł McVey. Trzymał za rękę ciemnowłosą dziewczynę, a z jego kieszeni wystawała zwinięta gazeta.

- Chciałaś wejść, to wchodź - powiedział do dziewczyny, a potem spojrzął na Osborna. - Zamknij na klucz.

Osborn zamknął drzwi, przekręcił klucz i założył łańcuch.

-No dobra, kochaniutka, jesteś w środku. I co teraz? - zwrócił się do niej McVey.

Dziewczyna stanęła na środku pokoju z ręką na biodrze. Miała ze dwadzieścia lat, z metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i nie była ani trochę wystraszona. Nosiła obcisłą jedwabną bluzkę, bardzo krótką czarną spódniczkę, siatkowe pończochy i pantofle na wysokich obcasach.

-Piepsić, piepsić - rzuciła łamaną angielszczyzną, a potem uśmiechnęła się uwodzicielsko, spoglądając to na Osborna, to na McVeya.

-Chcesz się rznąć z nami dwoma, tak?

-Pewnie, czemu nie? - Uśmiechnęła się szeroko, a jej angielszczyzna znacznie się poprawiła.

-Kto cię przysłał?

-To był zakład.

-Jaki zakład?

-Nocny portier powiedział, że jesteście geje. Boy, że nie. McVey się zaśmiał.

-I przysłał cię, żebyś sprawdziła.

-Oui. - I na potwierdzenie wyciągnęła zza stanika plik stufrankówek.

-Co tu się dzieje do cholery? - spytał Osborn.

-A co mi tam, tylko się z nich nabijaliśmy, kochanie. Boy ma rację. - McVey popatrzył na Osborna. - Chcesz ją rznąć pierwszy?

-Co? - Osborn aż podskoczył.

-Czemu nie, jest za darmo. - McVey uśmiechnął się do niej. - Rozbie-  
raj się...

-Oczywiście. - Wzięła to poważnie i była w tym dobra. Zdejmowała ubranie, patrząc im przez cały czas w oczy. Poszczególne części znikaly, aż zdjęła wszystkie.

Osborn gapił się z otwartymi ustami. Czy McVey naprawdę to zrobi? Ot, tak sobie i przy nim, stojącym obok? Słyszał opowiadania, co gliniarze robili w niektórych sytuacjach, każdy je słyszał. Ale kto w nie wierzył, a cóż dopiero był ich naocznym świadkiem?

McVey zerknął na niego.

-To ja pierwszy, he? - Wyszczerył zęby. - Nie masz nic przeciwko temu, że pójdziemy do łazienki, co, doktorku?

-Nie krępuj się - oznajmił Osborn, nadal wytrzeszczając oczy.

McVey otworzył drzwi łazienki i weszli do środka. Sekundę później

Osborn usłyszał krótki skowyt dziewczyny i głośne uderzenie o drzwi. A potem drzwi się otworzyły i ukazał się całkowicie ubrany McVey. Osborn zdębiał.

- Przyszła nas obejrzeć. Zobaczyła mnie w holu. Tyle tylko potrzebowała.

McVey wyciągnął z kieszeni marynarki gazetę i wręczył Osbornowi, a potem zaczął zbierać ubranie dziewczyny. Osborn rozwinął dziennik, nawet nie zauważając jego nazwy. Widział tylko wielki tytuł po francusku: HOLLYWOODZKI DETEKTYW POSZUKIWANY W ZWIĄZKU ZE STRZELANINĄ W LA COUPOLE! Poniżej, mniejszą czcionką: Podejrzany wraz z amerykańskim lekarzem o morderstwo Merrimana! Raz jeszcze Osborn zobaczył to samo policyjne zdjęcie, które wcześniej wydrukował „Le Figaro”, a obok niego fotografię uśmiechniętego McVeya.

- Dostali je z „Los Angeles Timesa”. Z wywiadu na temat życia codziennego detektywa wydziału zabójstw. Chcieli czegoś smakowitego, znaleźli nudę. Ale tak czy inaczej wydrukowali. - McVey włożył ubranie dziewczyny do torby hotelowej na rzeczy do prania i otworzył drzwi. Ostrożnie zbadał wzrokiem korytarz, a potem wystawił ją na zewnątrz.

- Skąd oni to wiedzieli? Jak w ogóle mogli nas wykryć? - Osborn był zdumiony.

- Wiedzieli, kim był ich człowiek i że nas śledził. - McVey zamknął drzwi na klucz. - Wiedzieli, że pracowałem z Lebrunem. Wystarczyło im posłać kogoś do restauracji z kilkoma fotografiami, by zapytał: Czy to ci faceci? Nie takie trudne. Posłali ją, bo chcieli mieć pewność, że to właśnie my, nim przyślą brygadę strzelecką. Pewnie miała nadzieję, że rzuci okiem, opowie jakąś historyjkę i sobie wyjdzie. Ale oczywiście gotowa była na wszystko.

- Co jej zrobiłeś? - Osborn spojrzął na zamknięte drzwi łazienki.

- Nie uważałem, że to sensowny pomysł pozwolić jej natychmiast odejść. - Wzruszył ramionami.

Osborn oddał McVeyowi gazetę i otworzył drzwi łazienki. Dziewczyna siedziała golusienka na sedesie z rękami przykutymi do rury wodociągowej. W usta miała wetkniętą myjkę, a oczy tak pełne wściekłości, jakby miały jej wyskoczyć z głowy. Osborn zamknął drzwi bez słowa.

- Ostry kociak - oznajmił McVey z cieniem uśmiechu. - Bez względu

na to, kto ją znajdzie, zrobi piekło z powodu swojego ubrania, zanim pozwoli komukolwiek wziąć do ręki telefon. Miejmy nadzieję, że to opóźnienie doda kilka sekund do naszego życia.

## 74

Dziesięć sekund później McVey, a za nim Osborn ostrożnie wychynęli na korytarz i zamknęli drzwi za sobą. Obaj mieli broń w rękach, ale niepotrzebnie: przejście świeciło pustką. Ich pokój znajdował się na samym końcu prostego korytarza, mieli więc w zasięgu wzroku całą jego długość, także wejście do wind. Z tego wynikało, że ten, kto przysłał dziewczynę, nie był pewien, kim są. Przypuszczalnie też liczył się z tym, że będzie musiała uprawiać seks, ale McVey wiedział, że tamci nie daliby jej wiele czasu.

Korytarze wewnętrzne na piątym piętrze hotelu Saint-Jacques były malowane na szaro i wyłożone ciemnoczerwonymi chodnikami. Na końcu każdego korytarza znajdowały się schody przeciwpożarowe, a główne biegiły pośrodku budynku, wokół szybów windy. McVey wybrał te pierwsze; nie chciał, by ich zaskoczono w samym środku gmachu.

Dotarcie do piwnic i wyjście na ulicę zajęło im cztery i pół minuty. Skręcili w prawo i poszli wzdłuż bulwaru Saint-Jacques wśród gęstniejącej mgły. Była druga piętnaście w nocy we wtorek jedenastego października.

O drugiej czterdzieści pięć telefon przy łóżku Noble'a zabrzączał dwukrotnie i przestał, ale światelko sygnalizacyjne nadal migało. Ostrożnie wyślizgnął się z łóżka, by nie obudzić żony, cierpiącej na dokuczliwy artretyzm i źle sypiającej, i wysunął się przez drzwi z czarnego orzecha oddzielające ich sypialnię od jego gabinetu. Chwilę później wziął do ręki telefon.

- Tak.

- McVey.

- To było cholernie długie dziewięćdziesiąt minut. Gdzie jesteś?

- Na ulicach Paryża.

- Wciąż z Osbornem?

- Jesteśmy jak bracia syjamscy.



Noble dotknął przycisku pod blatem swego biurka i pojawiła się mapa lotnicza Wielkiej Brytanii. Drugie dotknięcie przyniosło zakodowane menu. Trzecie - przed Noble'em rozwinął się szczegółowy plan Paryża i jego okolic.

- Czy możecie się wydostać z miasta?

- Dokąd?

- Około dwudziestu pięciu kilometrów na wschód wzdłuż autostrady N3 znajduje się miasto Meaux. Tuż przed nim małe lotnisko. Szukaj cywilnego samolotu marki Cessna, z numerem ST95 na ogonie. Wyląduj tam pomiędzy ósmą i dziewiątą, jeśli pogoda pozwoli. Pilot będzie czekał do dziesiątej. Jeśli się z nim rozminiecie, szukajcie go ponownie następnego dnia o tej samej porze.

- Gracias, amigo. - McVey odwiesił słuchawkę i wyszedł na spotkanie Osborna. Byli w korytarzu przed jednym z wejść do dworca kolejowego Gare de Lyon na bulwarze Diderota, na północ od Sekwany, w północno-zachodnim kwartale miasta.

- No - spytał z nadzieją Osborn.

- Co myślisz o spaniu? - odparł McVey.

Piętnaście minut później Osborn podniósł głowę i obejrzał ich miejsce noclegu, kamienną półkę pod mostem Austerlitz koło Quai Henri IV, a przy okazji piękną panoramę Sekwany.

- Na kilka godzin przyłączamy się do bezdomnych. - W ciemności McVey podniósł kołnierz i położył się, podkładając ramię pod głowę. Osborn też powinien się ułożyć, ale tego nie zrobił. McVey zobaczył, że jego towarzysz siedzi oparty o granit, z nogami wyciągniętymi przed siebie, wpatrzony w wodę, jakby właśnie strącono go do piekła i kazano tkwić tak przez całą wieczność. - Słuchaj - powiedział spokojnie McVey - to lepsze niż kostnica.

Learjet von Holdena wylądował na prywatnym lądowisku jakieś trzydzieści kilometrów na północ od Paryża za dziesięć trzecia nad ranem. O drugiej trzydzieści siedem zakomunikowano im przez radio, że osobnicy namierzeni przez sektor paryski opuścili hotel Saint-Jacques około godziny drugiej dziesięć. Od tej pory więcej ich nie widziano.

Organizacja miała oczy i uszy na ulicach, w komisariatach policji, siedzibach związków zawodowych, szpitalach, ambasadach oraz salach konferencyjnych w tuzinie głównych miast Europy i jeszcze sześciu na całym świecie. Dzięki temu odnaleziono Alberta Merrimana, jak również

Agnes Demblon, żonę Merrimana i Verę Monneray. I z pewnością będzie można również odnaleźć Osborna i McVeya. Pytanie tylko kiedy?

O trzeciej dziesiątej von Holden siedział w ciemnoniebieskim bmw, mijającym bramkę Aubervillers na autostradzie N2 i wjeżdżającym do Paryża. Von Holden - dowódca niecierpliwie oczekujący meldunków swych generałów w polu.

Ten McVey musiał albo mieć bardzo dużo szczęścia, albo być bardzo dobry, albo jedno i drugie. Żeby zabić Ovena i wyślizgnąć się im z rąk dokładnie w chwili, gdy został wykryty... Von Holden nie był zachwycony. Wysoko oceniał sektor paryski: był pierwszorzędny i bardzo zdyscyplinowany; a Bernhard Oven też należał do najlepszych, co von Holden miał okazję wielokrotnie sprawdzić.

Kariera von Holdena zaczęła się wcześniej. W wieku osiemnastu lat opuścił dom rodzinny w Argentynie i wyjechał do Moskwy, by dokończyć edukację. Niemal natychmiast rozpoczął oficjalne szkolenie pod skrzydłami KGB w Leningradzie. Piętnaście miesięcy później był dowódcą kompanii armii radzieckiej, z przydziałem do Czwartej Gwardyjskiej Armii Pancernej, strzegącej Ambasady ZSRR w Wiedniu. Znalazł się tam jako oficer specjalnych jednostek rozpoznawczych, Specnazu, wyszkolonych w sabotażu i terroryzmie. Tam właśnie poznał Bernharda Ovena, jednego z podlegających mu poruczników Czwartej Gwardyjskiej.

Dwa lata później von Holden został oficjalnie zwolniony z armii radzieckiej i mianowany zastępcą dyrektora Wschodnioniemieckiego Zarządu Sportu; powierzono mu nadzór nad treningiem elity wschodnioniemieckich sportowców w Akademii Wychowania Fizycznego w Lipsku. Wśród nich znajdowali się Eric i Edward Kleistowie, siostrzeńcy Eltona Lybargera.

W Lipsku von Holden stał się także „nieoficjalnym pracownikiem” Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, Stasi. Korzystając ze swoich doświadczeń w Specnazu, szkolił zwerbowanych w tajnych operacjach wschodnioniemieckich obywateli i doksztalał „specjalistów” od sztuki terroryzmu i zabójstwa. Wtedy też zażądał, by mu przydzielono Bernharda Ovena z Czwartej Gwardyjskiej Armii Pancernej. Wysoka ocena jego talentów okazała się w pełni uzasadniona: po osiemnastu miesiącach Oven był jednym z najlepszych ludzi Stasi w terenie i najlepszym zabójcą.

Von Holden żywo przypominał sobie pewne popołudnie w Argentynie, kiedy to postanowiono o jego przyszłej karierze. Miał wtedy sześć lat. Pojechał na konną przejażdżkę z kontrahentem swego ojca, a podczas niej człowiek ten zapytał go, co zamierza robić, gdy dorośnie.

Takie pytanie, skierowane przez dorosłego mężczyznę do chłopca, trudno uznać za niezwykle. Natomiast niezwykle była odpowiedź i jej późniejsze konsekwencje.

- Pracować dla pana, oczywiście! - Mały Pascal rozpromienił się, spiął konia i pomknął przez pampasy, pozostawiając mężczyznę siedzącego samotnie na koniu i patrzącego, jak mała figurka zmusza swego rumaka do oderwania się od ziemi i wzięcia jednym skokiem kępy wysokiej trawy, a potem znika z oczu. W tym jednym momencie przyszłość von Holdena została rozstrzygnięta. Człowiekiem, który zadał to pytanie, uczestnikiem ich konnej przejażdżki, był Erwin Scholl.

## 75

Monotonny stuk kół o szyny był uspokajający i Osborn podrzemywał, wygodnie oparty. Jeśli w ogóle spał przez owe dwie godziny, które spędzili skuleni pod mostem Austerlitz, to nie pamiętał tego. Wiedział tylko, że jest bardzo zmęczony, brudny i prezentuje się niechlujnie. Naprzeciw niego McVey oparł się o okno, pogrążony w lekkim śnie. Osborn był zdumiony; według niego McVey mógł zasnąć wszędzie.

Ze swej grzędy nad Sekwaną wydostali się o piątej rano i wrócili na dworzec, gdzie dowiedzieli się, że pociągi do Meaux odjeżdżają z Gare de l'Est, odległego o piętnaście minut jazdy taksówką. Nie mieli wiele czasu, więc zaryzykowali, w nadziei że wybrany na los szczęścia taksiarz będzie po prostu zwykłym pracującym człowiekiem.

Na dworzec weszli osobno i przez różne wejścia, każdy z nich aż na zbytek dobrze świadom, że poranne wydania gazet krzyczą z wystaw wszystkich kiosków na stacji tytułami drukowanymi grubą czcionką i biją w oczy ich wyraźnymi fotografiami.

Kilka chwil później przy oddzielnych okienkach nerwowo sięgali po bilety, ale kasjerki tylko wydały resztę i już obsługiwały następną osobę w kolejce. Potem oddzielnie czekali przez dwadzieścia minut, ale mieli się na oku. Zelektryzował ich widok pięciu żandarmów, prowadzących ze sobą czterech zakutych w kajdany i połączonych łańcuchem groźnie wyglądających skazańców. Zachowywali się tak, jakby mieli wsiąść do pociągu do Meaux, ale w ostatniej chwili skręcili i zapakowali całe to przygnębiające towarzystwo do innego.

O szóstej dwadzieścia pięć przeszli przez peron w grupie pasażerów i

zajęli oddzielne miejsca w tym samym wagonie. Pociąg ruszał z Gare de l'Est o szóstej trzydzięci i przybywał do Meaux o siódmej dziesięć. Będą mieli masę czasu, by się dostać ze stacji na lotnisko. Pociąg miał osiem wagonów i należał do sieci Eurocity. Dwa tuziny osób, głównie dojeżdżających wcześniej do pracy, jechało w tym samym wagonie drugiej klasy co oni.

Odchyliwszy mankiet, Osborn popatrzył na zegarek. Szósta pięćdziesiąt dziewięć. Jedenaście minut do Meaux. Na zewnątrz widział słońce wschodzące wśród szarości poranka, a w jego świetle francuskie pola wyglądały na jeszcze zieleńsze, niż były w istocie.

Kontrast między tym widokiem a wspomnieniem suchych, spalonych przez słońce zarośli południowej Kalifornii był niepokojący. Nie wiadomo dlaczego wywołał u Osborna wizję otaczającej McVeya i wysokiego człowieka aury śmierci. A śmierci być tu nie powinno. Ta podróż pociągiem, ten zielony kraj, to rodzenie się nowego dnia powinny kojarzyć się z miłością i podziwem. Nagle Osborna ogarnęła niemal bolesna tęsknota za Verą. Pragnął ją poczuć. Wdychać jej zapach, dotykać jej. Zamknąwszy oczy, zobaczył połysk jej włosów, gładkość skóry. I uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie niemal niedostrzegalny puszek na płatkach jej uszu. Tylko Vera była ważna. Przejeżdżał przez jej kraj. To był jej poranek. Jej dzień.

Skądś doleciał głuchy, stłumiony huk. Pociąg zatrząsł się i Osborna nagle gwałtownie rzuciło w bok, na młodego księdza, który przed kilkoma sekundami czytał gazetę. A potem wagon, w którym jechali, przewalił się i toczył dalej niby jakaś makabryczna beczka śmiechu. Brzęk rozbijanego szkła i zgrzyt skręcanej stali mieszały się z ludzkimi wrzaskami. W przelocie ujrzał sufit, właśnie w momencie gdy aluminiowy pręt musnął go po głowie. Ułamek sekundy później leżał odwrócony, a na nim czyjeś ciało. Rozprysło się szkło i Osborna oblała krew. Ten ktoś, kto na nim leżał, zsunął się po jego piersi. Słyszał było okropne zgrzytanie stali trącej o stal. A potem rozległ się straszliwy huk. Osborna odrzuciło do tyłu i wszystko się zatrzymało.

Sekundy czy minuty później otworzył oczy. Poprzez drzewa widział szare niebo i krążącego nad nim ptaka. Przez jakiś czas leżał nieruchomo na miejscu. Wreszcie spróbował się poruszyć. Najpierw lewą nogą, potem prawą. Następnie rękoma, aż ujrzał zabandażowaną lewą dłoń, wreszcie prawą rękę i dłoń. Cudem przeżył.

Wyprostowawszy się ostrożnie, zobaczył potężny kłęb stali. To, co pozostało z wagonu kolejowego, leżało na boku w połowie wysokości nasypu. Wtedy zrozumiał, że został wyrzucony z pociągu.

Dalej na nasypie dojrzał inne wagony, niektóre wgniecione jak miechy akordeonu jeden w drugi. Wszędzie walały się ciała. Jedne poruszały się, inne nie. Na szczycie pagórka pojawiła się grupa młodych chłopców, gapili się w dół na rozbite szczątki i pokazywali je palcami.

Dopiero wówczas do Osborna dotarło, co się stało.

- McVey! - zawołał. - McVey! - powtórzył i z trudem wstał na nogi. Zobaczył, jak pierwsi ratownicy przepychają się obok chłopców i schodzą po zboczu pagórka. Poczul zawrót głowy; zamknął oczy, chwycił się pnia drzewa, by odzyskać równowagę, i głęboko zaczerpnął powietrza. Podniósł rękę, by zbadać puls na szyi. Był mocny i regularny. Potem ktoś, zapewne strażak, odezwał się do niego po francusku. - Nic mi nie jest - odpowiedział po angielsku i pytający poszedł dalej.

Nagle zdał sobie sprawę, że ludzie wrzeszczą, a wokół panuje chaos. Ratownicy zbiegali po zboczu. Wdrapywali się do wagonów, wynosili ludzi przez wybite okna, ostrożnie uwalniając ich spod szczątków. Pośpiesznie zarzucano koce na ciała zmarłych. Na całym terenie wrzała gorączkowa działalność.

A ponad wszystkim, ponad krzykami, wrzaskami, dalekimi syrenami, wołaniami o pomoc unosił się gryzący, przytłaczający zapach gorącego płynu hamulcowego, wyciekającego z przerwanych przewodów. Osborn, zakrywszy nos, zaczął krążyć po miejscu tragedii.

- McVey! - zawołał znowu. - McVey! McVey!

- Sabotaż - usłyszał w przelocie czyjeś słowo. Odwrócił się i spojrzał w twarz ratownikowi.

- Amerykanin - powiedział. - Starszy człowiek. Widział pan kogoś takiego?

Mężczyzna popatrzył na niego, jakby nic nie rozumiał. A potem pojawił się strażak i obaj pobiegli w górę zbocza.

Depcząc potłuczone szkło, wdrapując się na poszarpaną i zgruchotaną stal, Osborn przechodził od jednej ofiary do drugiej. Patrzył, jak lekarze opatrują żywych, unosił koce, by spojrzeć na twarze martwych. McVeya nigdzie nie było.

Raz podniósł koc, by popatrzeć na twarz martwego człowieka, i ujrzał, jak jego oczy otworzyły się na chwilę. Wyciągnął rękę, poszukał serca - biło.

- Ratunku! - wrzasnął. - Ten człowiek żyje!

Podbiegł sanitariusz, a Osborn się wycofał. Wtedy poczuł zimno i zawroty głowy. Wiedział, że to początek szoku. Chciał prosić sanitariusza o koc i już się do niego zwrócił, gdy nagle przyszło mu do głowy, że jeśli

dokonano sabotażu, to czyn ten mógł być skierowany przeciw niemu i McVeyowi. Jeśli poprosi o koc, dowiedzą się, że był wśród pasażerów. Zażądają jego nazwiska i wiadomo będzie, że przeżył.

Nie - pomyślał. Lepiej skryć się gdzieś i tam pozostać. Rozejrzawszy się, zobaczył gęstą kepe drzew blisko szczytu pochyłości, niedaleko miejsca, w którym się znajdował. Sanitariusz był zwrócony do niego tyłem, inni znajdowali się niżej na zboczu. Pójście tych kilka metrów w stronę drzew okazało się dla niego ogromnym wysiłkiem, bał się też, że trwa to za długo i ktoś go zobaczy. Wreszcie jednak tam dotarł i odwrócił się; nikt nie patrzył w jego stronę. Zadowolony wślizgnął się w gęste podszycie. Położył się na grubym pośnaniu z liści, podłożył sobie rękę pod głowę i zamknął oczy. Niemal natychmiast ogarnął go sen.

## 76

Wiadomość o wykolejeniu pociągu Paryż-Meaux dotarła do Iana Noble'a po niecałej godzinie. Pierwsze doniesienia wskazywały na sabotaż. Drugi raport to potwierdził; ładunek wybuchowy zamontowano pod lokomotywą.

To, że McVey i Osborn znaleźli się w tym czasie, w tym pociągu, nie mogło być zbiegiem okoliczności. Ponieważ pilot Noble'a wylądował w Meaux, odczekał trochę, a potem wystartował, gdy nie dali znaku życia - najprawdopodobniej McVey i Osborn znajdowali się w pociągu.

Noble natychmiast połączył się z mieszkaniem kapitana Cadoux w Lyonie i poinformował go o wydarzeniu. Było też ważne, by dowiedzieć się, co Cadoux wykrył na temat niemieckiego eksperta od odcisków palców, Hugo Klassa, oraz śmierci brata Lebruna, Antoine'a. Noble zakładał, że organizacja, dla której pracował Klass i w której sprawy wmieszał się Antoine, zleciła spowodowanie katastrofy kolejowej. Był to kolejny dowód na to, jak daleko sięga sieć jej wywiadu. Fakt, że ci ludzie potrafili wykryć potajemne spotkanie McVeya z Osbornem w La Coupole, a następnie ustalić, że znajdują się w pociągu Paryż-Meaux, był co najmniej zdumiewający.

Cadoux odebrało mowę, to wszystko jeszcze pogłębiło jego frustrację. Ogon, który przydzielił Klassowi, jak dotychczas ustalił tylko, że Klass zabrał żonę na kolację w sobotni wieczór, poszedł do kościoła w niedzielę,

a w poniedziałek udał się jak zwykle do pracy. Podstuch jego telefonu też nic nie ujawnił. Co do Antoine'a, to w sobotnią noc, po późnej kolacji z bratem, wrócił prosto do domu i natychmiast położył się do łóżka. Z jakiegoś powodu wstał przed świtem, co zupełnie nie leżało w jego naturze, i poszedł do swego gabinetu. I tam o wpół do ósmej znalazła go żona. Leżał na podłodze obok biurka, a przy nim jego dziewięciomilimetrowa beretta. Z pistoletu oddano jeden strzał i była też tylko jedna rana postrzałowa na prawej skroni. Autopsja i badania balistyczne wykazały, że pocisk wystrzelono właśnie z tej broni. Drzwi zewnętrzne były zamknięte na klucz, lecz ktoś przekręcił klamkę okna kuchennego. Niewykluczone, że ktoś dostał się tą drogą i wyszedł, choć nie pozostawił żadnych śladów.

- Albo tylko wyszedł - zauważył Noble.

- Tak, też tak pomyśleliśmy - powiedział Cadoux. - Że Antoine wpuścił kogoś od frontu, po czym zamknął drzwi na klucz. Wobec tego musiał znać odwiedzających, inaczej by ich o tej porze nie wpuścił. Mogli wyjść oknem, gdy go już zabili. Ale nie ma na to żadnych dowodów i sędzia śledczy oficjalnie orzekł samobójstwo.

Noble był zakłopotany jak nigdy w życiu. Wszyscy, którzy znali Alberta Merrimana, albo nie żyli, albo stali się celem zamachu, a człowiek, który zidentyfikował go po odcisku palca, wyglądał na zupełnie niewinnego.

- Cadoux... Z kim Klass się skontaktował w waszyngtońskim Interpolu, by wydostać akta Merrimana od nowojorskiej policji?

- Nie zrobił tego.

- Co?

-W Waszyngtonie nie ma żadnego zapisu na ten temat.

-To niemożliwe. Akta przekazano im faksem bezpośrednio z Nowego Jorku.

- Stare kody, przyjacielu - rzekł Cadoux. - Dawniej ci najbardziej znaczący w Interpolu mieli prywatne kody, dzięki którym mieli dostęp do informacji, jakich nikt inny by nie uzyskał. Ta praktyka już nie obowiązuje. Niemniej nadal istnieją tacy, którzy te kody pamiętają i mogą ich użyć. I nie ma sposobu, by to wykryć. Policja nowojorska mogła nadać materiały faksem do Waszyngtonu, ale nadeszły prosto do Lyonu, jakimś sposobem omijając Waszyngton.

- Cadoux... - Noble zawahał się. - Wiem, że McVey jest innego zdania, ale zaczyna nam brakować czasu. Przymknij po cichu Klasa i przesuń chaj. Jeśli chcesz, sam przyjadę. On jest jedyną nitką, którą mamy.

-Rozumiem, przyjacielu. I zgadzam się. Zawiadom mnie natychmiast, gdy dowiesz się czegoś o McVeyu. Na dobre i na złe, co?

-Tak, oczywiście. Na dobre i na złe.

Odłożywszy słuchawkę, Noble zamyślił się na chwilę, a potem odwrócił do stojaka na fajki za swym biurkiem. Wybrawszy podniszczoną i pożółkłą, z dużym, okrągłym cybuchem, napełnił ją, a potem ubił tytoń i zapalił.

Jeśli McVeya i Osborna nie było w pociągu Paryż-Meaux i po prostu rozminęli się z pilotem, to znajdują się jutro. Ale dwadzieścia cztery godziny to zbyt długo, by czekać. Tak jak powiedział Cadoux, musi przyjąć, że byli w pociągu, i działać zgodnie z tym założeniem. Być może zginęli. Ale jeśli żyją, trzeba ich stamtąd wydostać natychmiast, nim druga strona się o tym dowie.

Za piętnaście jedenasta, prawie cztery godziny od katastrofy, wysoka, zgrabna, bardzo ładna reporterka z legitymacją prasową dziennika „Le Monde” zaparkowała swój wóz przy jednopasmowej drodze tuż za innymi pojazdami mass mediów i dołączyła do roju dziennikarzy okupujących scenę wydarzeń.

Policję z Meaux oraz strażaków wsparły oddziały Gwardii Narodowej. Jak dotąd doliczono się trzynastu zabitych, w tym maszynisty. Trzydzieści sześć osób było hospitalizowanych, z tego dwadzieścia znajdowało się w stanie ciężkim, piętnaście po założeniu opatrunków zwolniono. Ile pozostawało pogrzebanych w szczątkach, tego nikt nie wiedział, a pesymiści mówili o całych dniach potrzebnych do ustalenia rzeczywistej liczby ofiar

-Czy istnieje lista nazwisk i narodowości? – spytała reporterka, wchodząc do wielkiego namiotu prasowego, ustawionego piętnaście metrów od toru.

Pierre Andre, siwiejący lekarz wojskowy, któremu Gwardia Narodowa powierzyła identyfikację ofiar, przelotnie rzucił okiem znad stolika, gdzie pracował, na zawieszoną na jej szyi legitymację „Le Monde”, potem spojrzął na jej twarz i uśmiechnął się, być może po raz pierwszy tego dnia. Z Avril Rocard była naprawdę niezła sztuka.

-Oui, madame... - Natychmiast zwrócił się do podwładnego. - Poruczniku, spis ofiar dla madame, s'il vous plait.

Wyjawszy arkusz papieru z jednego z leżących przed nim skoroszytów, porucznik stanął na baczność i wręczył go dziennikarce.

-Merci - powiedziała.



- Muszę panią uprzedzić, madame, że jest dalece niekompletna. - Także nie do opublikowania, dopóki nie zostanie pani uprzedzona, że zawiadomiono najbliższą rodziną ofiar - oznajmił Pierre Andre, tym razem bez uśmiechu.

- Oczywiście.

Avril Rocard pracowała dla rządu francuskiego jako specjalistka od fałszerstw. Ale jej obecność tutaj w fałszywej roli korespondentki „Le Monde” nie miała nic wspólnego ani z rządem Francji, ani Paryską Prefekturą Policji. Znalazła się tutaj z powodu Cadoux. Od dziesięciu lat byli kochankami i jedynie jej ufał jak samemu sobie.

Odchodząc, spojrzała na listę. Wśród zidentyfikowanych pasażerów przeważali obywatele francuscy. Znalazła jednak dwóch Niemców, Szwajcara, obywatela RPA, dwóch Irlandczyków i Australijczyka. Żadnego Amerykanina.

Avril Rocard wróciła do samochodu, otworzyła drzwi i weszła do środka. Wzięła do ręki telefon komórkowy, wystukała numer i zaczęła na połączenie z Lyonem.

- Oui? - Głos Cadoux rozległ się niezwykle wyraźnie.

- Jak dotąd nic. Amerykanów nie ma na liście.

- Jak tam wygląda?

- Jak samo piekło. Co mam zrobić?

- Czy ktokolwiek kwestionował twoją legitymację?

- Nie.

- Wobec tego zostań tam, dopóki wszystkie ofiary nie zostaną zidentyfikowane.

Avril Rocard powoli odłożyła telefon. Miała trzydzieści trzy lata. W tym wieku powinna mieć swój dom i dziecko. A przynajmniej męża. Po cholere to wszystko robiła?

## 77

Była ósma rano, kiedy Benny Grossman wrócił z pracy do domu. Jego kilkunastoletni synowie, Matt i David, właśnie wychodzili do szkoły. Szybkie „Siemasz tato, cześć tato” i już ich nie było. A teraz jego żona, Estelle, wybierała się do zakładu Queen's, gdzie pracowała jako fryzjerka.

- O kurwa - usłyszała głos Benny'ego dolatujący z sypialni.

Stał przed telewizorem w samych spodenkach, z piwem w jednej i kapką, w drugiej ręce. Wrócił z wydziału archiwów i informacji komisariatu; pracował tam przez całą noc, telefonował, korzystał z komputerów,

prosił o pomoc doświadczonych informatyków, by włamać się do zastrzeżonych baz danych. Wszystko to, by zrealizować prośbę McVeya.

-Co jest grane? - zapytała Estelle, wchodząc do pokoju. - Co za kurwa?

-Ćśśś - zasyczał w odpowiedzi.

Estelle odwróciła się do telewizora, by zobaczyć, co Benny ogląda. Reportaż CNN o wykojeniu pociągu pod Paryżem.

-Okropne - powiedziała, patrząc, jak strażacy próbują na noszach wnieść na nasyp zakrwawioną kobietę. - Ale dlaczego to cię tak wzburzyło?

-McVey jest w Paryżu - rzucił, nie odwracając oczu od telewizora.

-McVey jest w Paryżu - powtórzyła obojętnie Estelle. - A poza tym milion innych osób. Chciałabym, żebyśmy my byli w Paryżu...

Odwrócił się nagle do niej.

-Estelle. Idź do pracy, co?

-Czy wiesz o czymś, czego ja nie wiem?

-Estelle, kochanie. Idź do pracy. Proszę...

Estelle Grossman popatrzyła na męża. Gdy mówił w ten sposób, przemawiał przez niego gliniarz, dający jej do zrozumienia, żeby się nie mieszała w jego sprawy.

-Prześpij się trochę.

-Taaa.

Estelle przypatrywała mu się przez minutę, wreszcie potrząsnęła głową i wyszła. Czasami myślała, że jej mąż nazbyt troszczy się o przyjaciół i rodzinę. Jeśli go poproszono, gotów był zrobić wszystko, bez względu na to, ile go to kosztowało. A gdy był tak zmęczony jak teraz, jego wyobrażenia pracowała na wysokich obrotach, jak on sam w nadgodzinach.

-Komandorze Noble, mówi Benny Grossman z Departamentu Policji Nowego Jorku.

Benny nadal był w białym, na stole kuchennym trzymał rozłożone notatki. Zadzwoił do Noble'a, ponieważ McVey mu to polecił, jeśli sam się nie odezwie. I miał absolutne, graniczące z jasnowidzeniem przekonanie, że McVey nie zadzwoni, przynajmniej nie dziś.

W ciągu dziesięciu minut wyłożył to, co odkrył.

Alexander Thompson był wybitnie uzdolnionym programistą komputerowym. Już na emeryturze zamieszkał w Sheridan w stanie Wyoming, przeniósłszy się tam z Nowego Jorku w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku z powodu złego stanu zdrowia. W Sheridan zgłosił się do niego literat, zbierający materiały do scenariusza filmu fantastycznonaukowego, który miało nakręcić pewne studio w Hollywood. Pisarz nazywał się Harry Simpson, studio nosiło nazwę American Pictures. Zapłacono Alcxandrowi Thompsonowi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i poproszono o stworzenie programu komputerowego, który umożliwi sterowanie maszyną operującą skalpelem, a więc właściwie zastępującą chirurga. Jednym słowem, teoria, science fiction, futurologia. Miało to być coś naprawdę działającego, choćby na prymitywnym poziomie. Osiem miesięcy później, w styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, Thompson dostarczył swój program. Trzy miesiące później znaleziono go zastrzelonego na wiejskiej drodze. Prowadzący dochodzenie stwierdzili, że w Hollywood nie ma żadnego Harry'ego Simpsona ani też towarzystwa filmowego American Pictures. Nie było też ani śladu programu komputerowego Alexandra Thompsona.

David Brady projektował narzędzia precyzyjne dla małej firmy w Glendale w Kalifornii. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym pakiet kontrolny udziałów w owej firmie zakupiła Alama Steel Ltd z Pittsburgha w Pensylwanii. Davidowi Brady'emu polecono zaprojektować mechaniczną rękę, sterowaną elektronicznie, którą będzie cechować taki sam zakres swobody ruchów jak ludzki nadgarstek i która będzie zdolna operować skalpelem z najwyższą precyzją charakterystyczną dla zabiegów chirurgicznych. Brady ukończył rysunki robocze i przedstawił je do oceny dokładnie czterdzieści osiem godzin przedtem, nim znaleziono go w basenie kąpielowym na terenie rodzinnej posiadłości. Utopienie wykluczono. Miał wbity w serce czekan do lodu. Dwa tygodnie później Alama Steel zaprzestała działalności i firmę zwinięto. Rysunków Brady'ego nigdy nie odnaleziono. Benny sprawdził, że Alama Steel w ogóle nie istniała. Odcinki czeków z płacami personelu pochodziły, jak ustalono, od Wentworth Products Ltd z Ontario w Kanadzie. Wentworth Products zaprzestało działalności w tym samym tygodniu co Alama Steel.

Mary Rizzo York była fizykiem pracującym w Standard Technologies w Perth Amboy, w stanie New Jersey; prowadziła badania z zakresu niskich temperatur na zlecenie TLT International z Manhattanu, firmy zajmującej się wysyłką mrożonego mięsa z Australii i Nowej Zelandii do Wielkiej Brytanii i Francji. W lecie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego

roku TLT postanowiło rozszerzyć działalność i Mary York poproszono o opracowanie programu roboczego, który by pozwalał na transportowanie płynnego gazu ziemnego w chłodzonych supertankowcach. Pomysł opierał się na tym, że skoro zimnych płynnych gazów, a wobec tego i gazu ziemnego, nie można wysłać przez ocean rurociągami, to należy gaz ziemny skroplić i wysłać statkiem. Aby do tego doprowadzić, Mary York zaczęła eksperymentować z temperaturami skrajnie niskimi, pracując najpierw z płynnym azotem, gazem skraplającym się przy minus stu dziewięćdziesięciu sześciu stopniach Celsjusza. Następnie zajęła się płynnym wodorem, aż wreszcie skraplaniem helu, przechodzącym w stan płynny przy minus dwustu sześćdziesięciu dziewięciu stopniach Celsjusza. Przy tej temperaturze płynnego helu można użyć do ochładzania innych materiałów do tej samej temperatury. Szesnastego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku Mary York, która była wówczas w szóstym miesiącu ciąży, zniknęła ze swojego laboratorium. Laboratorium zostało podpalone, a ciało Mary York znaleziono cztery dni później koło Steel Pier w Atlantic City; zanim wrzucono ją do wody, została uduszona. Wszelkie notatki, wzory czy plany, nad którymi pracowała, albo spłonęły w pożarze, albo zostały zabrane przez mordercę. Dwa miesiące potem prezes TLT International popełnił samobójstwo, a towarzystwo zbankrutowało.

-Komandorze, są jeszcze dwie rzeczy, które McVey chciał wiedzieć - powiedział Benny. - Firma Microtab w Waltham, w Massachusetts. Padła w maju tego samego roku. Chciał też...

Ian Noble nagrał całą rozmowę z Bennym Grossmanem. Polecił wykonać kopię do osobistego archiwum, oryginał zaś zabrał wraz z odtwarzaczem do ściśle strzeżonego pokoju Lebruna w szpitalu Westminster.

Zamknąwszy drzwi, usiadł koło łóżka i włączył magnetofon. Przez kilkanaście minut Lebrun, wciąż mając w nozdrzach rurki z tlenem, słuchał w milczeniu. Na zakończenie usłyszał, jak Benny Grossman mówi:

-Chciał też wiedzieć, co mamy na niejakiego Erwina Scholla, który w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym był właścicielem wielkiej posiadłości w Westhampton Beach na Long Island. Erwin Scholl nadal jest właścicielem owej posiadłości. A także dwóch innych - w Palm Beach i Palm Springs. Starannie unika rozgłosu, ale jest naprawdę wielką szychą w biznesie wydawniczym i rekinem wśród kolekcjonerów dzieł sztuki. Ponadto

gra w golfa z Bobem Hope'em, Gerrym Fordem i od czasu do czasu z samym prezydentem. Powiedźcie McVeyowi, że trafił nie na tego faceta. Ten jest za potężny. Nietykalny. Wszystko to, nawiasem mówiąc, podał mi kumpel McVeya, Fred Hanley z FBI w Los Angeles.

Noble wyłączył aparat. Benny zakończył pełną niepokoju uwagę; bał się o McVeya i Noble nie chciał, by Lebrun to usłyszał. Do tej chwili nie powiedziano mu o katastrofie pociągu. Wiadomość o śmierci brata przyjął bardzo źle, nie było potrzeby go nękać.

- Ian - szepnął Lebrun. - Wiem o pociągu. Mogliście mnie tu zapuścić, ale jeszcze nie jestem martwy. Rozmawiałem osobiście z Cadoux ledwie dwadzieścia minut temu.

- Grasz twardego gliniarza, co? - Noble uśmiechnął się. - No cóż, jest coś, czego nie wiesz. McVey zastrzelił bandytę, który zabił Merrimana, a próbował zabić Osborna i tę jego dziewczynę, Verę Monneray. Przysłał mi odcisk palca tego mordercy. Przepuściliśmy go przez komputery i nic. Czysty, nigdy nie notowany. Z oczywistych powodów nie mogłem skorzystać z pomocy Interpolu... Za to posłużyłem się wywiadem wojskowym... - Noble wyciągnął kieszonkowy notes i zaczął przerzucać kartki. - Nasz strzelec nazywał się Bernhard Oven. Ostatni adres nieznany. Ale udało im się ustalić jego stary numer telefoniczny. 0372-885-7373. Nomen omen, okazało się, że to numer sklepu rzeźnika.

- Kierunkowy 0372 oznaczał Berlin Wschodni przed zjednoczeniem - zauważył Lebrun.

- Zgadza się. A nasz przyjaciel Bernhard Oven był wysokim funkcjonariuszem Stasi aż do momentu jego rozwiązania.

- Co, na litość boską, robi wschodnioniemiecka tajna policja w Paryżu? - wyszeptał Lebrun ochryple. - Zwłaszcza że już nie istnieje?

- Modlę się, by McVey wkrótce się tu zjawił i nam powiedział - rzekł poważnie Noble.

## 78

Nocą poszarpane szczątki pociągu Paryż-Meaux wyglądały jeszcze wstrętnej niż za dnia. Ogromne reflektory oświetlały teren, a dwa gigantyczne dźwigi, umieszczone na platformach kolejowych, z wysiłkiem starały się usunąć poskręcane i zmiażdżone wagony ze zbocza nasypu.

Późnym popołudniem zaczęła osiadać lekka mgiełka. Wilgotny chłód

obudził Osborna ze snu w pobliskiej kępie drzew. Usiadł, wymacał puls i stwierdził, że jest normalny. Bolały go wszystkie mięśnie i prawe ramię miał paskudnie stłuczone, ale poza tym był w zadziwiająco dobrym stanie. Wstał i wśród drzew przedostał się na skraj lasku, skąd mógł przyglądać się działalności ratowniczej, sam pozostając w ukryciu. Nie miał jak się dowiedzieć, czy odnaleziono McVeya, żywego lub martwego; bał się wytknąć nos z kryjówki i zapytać. Mógł tylko pozostać na miejscu i przyglądać się, w nadziei że ujrzy lub podsłucha cokolwiek. Poczucie bezradności było czymś okropnym, ale nic nie mógł na to poradzić.

Przykucnął w przemoczonych liściach, otulił się marynarką i po raz pierwszy od wielu godzin pomyślał o Verze. O ich pierwszym spotkaniu w Genewie. O jej uśmiechu, barwie włosów i niezgłębionej magii oczu. O tym, że stała się wszystkim, czym jest miłość i czym może być.

O zmroku Osborn wiedział już dość z zasłyszanych strzępów rozmów przechodzących ratowników i członków Gwardii Narodowej, by zrozumieć, że to naprawdę bomba zniszczyła pociąg. Nabrał pewności, że on i McVey byli celem zamachu. Zaczął się już zastanawiać, czy jednak nie pójść do dowódcy Gwardii Narodowej i nie ujawnić się, gdy pracujący w pobliżu strażak z jakiegoś powodu zdjął kurtkę i czapkę, powiesił na zaprzę policyjnej i odszedł. Było to zaproszenie, którego Osborn nie mógł odrzucić. Szybko wyszedł z ukrycia i złapał odzież.

Włożył kurtkę, czapkę naciągnął nisko na oczy i poszedł na miejsce katastrofy, uznając, że wygląda wystarczająco oficjalnie, by nikt go nie zatrzymał. Obok namiotu służącego za główną kwaterę prasową przepchnął się wśród kilku reporterów oraz ekipy telewizyjnej i odszukał listę ofiar. Przejrzawszy ją pośpiesznie, znalazł jednego tylko Amerykanina, nastoletniego chłopca z Nebraski. Oznaczało to, że McVey albo wydostał się stamtąd jak Osborn, albo nadal tkwi pogrzebany pod ohydną rzeźbą z poskręcanej stali. Podniósłszy głowę, zobaczył wysoką, szczupłą i przystojną kobietę z kartą prasową zawieszoną na szyi. Jasne było, że mu się przyglądała, a teraz ruszyła w jego stronę. Podniósł toporek strażacki, zarzucił sobie na ramię i wrócił na teren, gdzie pracowano. Obejrzał się, by sprawdzić, czy poszła za nim, ale nie. Odłożył toporek i zanurzył się w ciemności.

W dali widział światła Meaux. Od czasu do czasu jakiś samolot startował lub lądował na pobliskim małym lotnisku. Tam miał się udać o świcie.

Nie miał pojęcia, do kogo w Londynie McVey telefonował. Bez paszportu, dysponując zaledwie resztką pieniędzy, mógł co najwyżej przedostać się do lotniska i mieć nadzieję, że Cessna powróci zgodnie z pierwotnym planem.

Nagle rozległ się przeraźliwy gwizd i odgłos darcia stali; jeden z dźwigów uwolnił wagon pasażerski z kłębowiska metalu, podniósł go wysoko w powietrze i przeniósł na szczyt nasypu, poza pole widzenia. Chwilę później pojawił się drugi dźwig, a robotnicy wspięli się na szczątki, by umocować kable do następnego wagonu. Zniechęcony Osborn odwrócił się i skierował ku drzewom na szczycie pagórka.

Od jak dawna znał McVeya? Pięć dni, najwyżej sześć upłynęło od ich pierwszego spotkania przed pokojem hotelowym w Paryżu. Ogarnęły go wspomnienia. Był wówczas śmiertelnie wystraszony, nie miał pojęcia, czego detektyw szuka ani w ogóle dlaczego z nim rozmawia, ale był zdecydowany tego nie okazać. Spokojnie odpowiadał na jego pytania, nawet skłamał o błocie na swych adidasach, przez cały czas modląc się, by McVey nie poprosił go o opróżnienie kieszeni i nie zażądał wyjaśnień na temat sukcyliny i strzykawek. Żadnemu z nich nawet nie przemknęło przez głowę, że sieć zaciągnie się tak szybko i zostaną uwikłani w skomplikowany, krwawy splot spisku, strzelaniny i tego ohydneho labiryntu poskręcanej stali. Chciał wierzyć, że tej nocy nic się nie zdarzy i że nazajutrz rano zobaczy McVeya na polu startowym lotniska Meaux, machającego do niego ręką, by podszedł do czekającej Cessny, która uniesie ich ku bezpieczeństwu. To były marzenia. W miarę upływu czasu coraz mniejsze były szanse na odnalezienie McVeya żywego; jest tutaj, może nawet na wyciągnięcie ręki od miejsca, gdzie Osborn stoi, i w końcu go odnajdą. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że miał szybki i bezbolesny koniec.

Odczuwał to tak, jakby wszystko już się skończyło, jak gdyby McVeya odnaleziono i stwierdzono zgon. Ledwie zaczął go poznawać, a chciałby poznać go lepiej. W taki sam sposób, jak dorastający chłopiec pragnie lepiej poznać własnego ojca. Nagle Osborn poczuł, że ma łzy w oczach. Zdziwił się, czemu przyszło mu to do głowy akurat teraz. McVey w roli jego ojca; dziwny, cudaczny pomysł, który po prostu się pojawił. Ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej czuł ogromną stratę.

Właśnie wówczas pojął, że od pewnego czasu patrzy w dal; spogląda w dół pagórka, a nie tam gdzie pracują ratownicy. Widział coś w kępie drzew poniżej nasypu. W ciągu dnia, w gęstym listowiu i mętym, sączącym się z zaciągniętego chmurami nieba świetle, łatwo to było przeoczyć.

Dopiero teraz, po zapadnięciu ciemności, ostre światło stojących w górze reflektorów wydobyło kanciasty zarys tej rzeczy.

Osborn szybko ruszył w dół po zboczu; ślizgał się i osuwał po żwirze, chwycił za drzewka, aby nie spaść, i posuwając się tak od jednego do drugiego, dotarł wreszcie do celu.

Przekonał się wówczas, że jest to część wagonu kolejowego, która w jakiś sposób została wyrwana z pociągu w całości; leżała w krzakach, skierowana wewnętrzną częścią do góry, odwrócona ku zboczu pagórka. Zbliżywszy się, zobaczył, że jest to kompletny przedział, a drzwi do niego są całkowicie zablokowane i sfałdowane potężnym wgnieceniem. A potem zrozumiał, co to takiego. Toaleta wagonu.

-No nie! - zawołał głośno. A w jego głosie zamiast przerażenia słychać było radość. - Niemożliwe! - Podeszedł bliżej i wybuchnął śmiechem. - McVey? - zawołał, gdy znalazł się całkiem blisko. - McVey, ty w środku?

Przez chwilę nikt się nie odzywał. A potem...

-Osborn? - usłyszał niepewną, cichą odpowiedź.

Lęk. Ulga. Poczucie absurdu. Cokolwiek to było, przypominało przekłucie balonu szpilką, i Osborn ryknął śmiechem. Nie mogąc się powstrzymać, oparł się o przedział, bębnił w niego zdrową ręką, a potem otarł łzy z policzków.

-Osborn! Co ty, do diabła, robisz? Otwórz te cholerne drzwi!

-Nic ci nie jest? - zawołał w odpowiedzi Osborn.

-Wyciągnij mnie stąd wreszcie, do cholery!

Śmiech zgasł tak szybko, jak nadszedł. Ciągle jeszcze ubrany w kurtkę strażacką, Osborn pobiegł na szczyt pagórka. Przeszedłszy zdecydowanym krokiem wśród francuskich żołnierzy patrolujących okolicę z pistoletami maszynowymi, dotarł do głównej bazy ratownictwa. W blasku reflektorów znalazł żelazny łom z krótkim trzonkiem. Wsunął go pod kurtkę i wrócił drogą, którą przyszedł. Na szczycie pagórka zatrzymał się i rozejrzał wkoło. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, zszedł zboczem.

Pięć minut później rozległ się głośny trzask i pisk stali, gdy wgniezione drzwi wyskoczyły z zawiasów i McVey wydostał się na świeże powietrze. Włosy i ubranie miał w nieładzie, śmierdział jak nieboskie stworzenie, a nad okiem wyrósł mu paskudny guz wielkości piłki baseballowej. Ale jeśli nie liczyć szczeciniastego siwego zarostu, wyglądał zadziwiająco rześko.

-Nie jesteś przypadkiem tym znanym Livingstone'em? - Osborn wyszczerzył zęby.



McVey otwierał już usta, gdy zobaczył gigantyczne, podświetlone z tyłu dźwigi ratownicze, pracujące nad tym, co pozostało na pagórku. Nie poruszył się, patrzył.

- Jezu Chryste... - powiedział wreszcie.

Spojrzał na Osborna. Kim byli, dlaczego tu byli, nie miało znaczenia. Żyli. Inni zaś nie. Padli sobie w ramiona i przez długą chwilę tak stali. To było więcej niż spontaniczny gest ulgi i koleżeństwa. To było dzielenie się czymś, co tylko ludzie, którzy stali w obliczu śmierci i zostali oszczędzeni, potrafią zrozumieć.

## 79

Von Holden siedział samotnie w głębi baru w stylu art deco w hotelu Meaux, sącząc pernod z wodą i słuchając opowieści o katastrofie kolejowej, dolatujących z gwarne go roju dziennikarzy, którzy spędzili dzień na układaniu o niej relacji. U schyłku dnia większość steranych życiem reporterów schroniła się w barze, ale korzystając z pagerów lub walkie-talkie, utrzymywali łączność z kolegami, którzy pozostali na miejscu. Gdyby wydarzyło się tam coś nowego, i oni, i von Holden wiedzieliby o tym w ciągu sekundy.

Von Holden spojrzał na swój zegarek, a potem na zegar nad barem. Jego zegarek analogowy marki LeCoultre sterowany był od pięciu lat przez atomowy zegar cezowy w Berlinie. Atomowy zegar cezowy wskazywał czas z dokładnością plus minus jedna sekunda na trzy tysiące lat. Zegarek von Holdena pokazywał godzinę 9.17. Zegar nad barem spóźniał się o minutę i osiem sekund. Po drugiej stronie sali dziewczyna z krótkimi blond włosami i w jeszcze krótszej spódniczce siedziała, pałac i pijąc wino z dwoma mężczyznami, wyglądającymi na jakieś dwadzieścia pięć lat. Jeden był chudy, nosił okulary w grubej oprawce i sprawiał wrażenie absolwenta wyższej uczelni. Drugi, mocniej zbudowany, nosił eleganckie spodnie i kasztanowy kaszmirowy sweter; ubioru dopełniała szopa długich kędzierzawych włosów. Balansował na tylnych nogach krzesła, mówił, gestykulując, ciskał niedbale zapalną w kierunku popielniczki na stoliku; krótko mówiąc, obraz niefrasobliwego, zepsutego i bogatego playboya na wakacjach. Dziewczyna, Odette, miała dwadzieścia dwa lata, była ekspertem od materiałów wybuchowych i to ona rozmieściła ładunki wzdłuż toru. Chudy w okularach i playboy byli międzynarodowymi terrorystami. Cała trójka pracowała w sektorze paryskim i teraz czekała na polecenia von Holdena, na wypadek gdyby Osborn lub McVey przeżyli.

Von Holden uważał, że mają szczęście, iż w ogóle się tu znaleźli. Namierzenie McVeya i Osborna zabrałoby sektorowi paryskiemu wiele godzin, tymczasem tuż po szóstej rano kasjerka Eurocity zauważyła ich na Gare de l'Est i zaalarmowała, że mają bilety na wpół do siódmej do Meaux. Von Holden zastanawiał się, czy spróbować zabić ich na stacji, ale potem uznał, że jest zbyt mało czasu, by dobrze przygotować atak. Poza tym istniało ryzyko błyskawicznego pojawienia się policji antyterrorystycznej. Lepiej było dokonać tego w inny sposób.

O szóstej dwadzieścia samotny motocyklista wyjechał autostradą N3 z Paryża na spotkanie z Odette przy stacji rozrządowej o cztery kilometry na wschód od Meaux. Miał ze sobą cztery paczki plastiku C4.

Wspólnie umieścili materiał wybuchowy i nastavili zapalnik, akurat gdy pociąg docierał do rozjazdu, a potem natychmiast zniknęli w terenie. Trzy minuty później lokomotywa całym ciężarem nacisnęła zapalniki, ciskając skład w dół nasypu przy szybkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Właściwie mogliby przesunąć jedną z szyn z linii toru i osiągnąć ten sam skutek, a wszystko wyglądałoby na wypadek.

Ale nie.

Katastrofa kolejowa, przypadkowa czy rozmyślna, nie gwarantowała śmierci tych, którzy byli jej celem. Co innego jawny akt terroryzmu: bomba, rzucona później do wypełnionej ocalonymi sali szpitalnej, mogła jedynie potwierdzić akt wcześniejszego sabotażu.

Zerknąwszy ponownie na zegarek, von Holden wstał i wyszedł z sali, nie spojrzawszy nawet w stronę tamtych trojga, a potem pojechał windą do swego pokoju. Przed wyjazdem z Paryża polecił, by mu dostarczono podrasowane fotografie Osborna i McVeya. W drodze do Meaux studiował je uważnie i teraz znacznie lepiej zdawał sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

Zdecydował, że Paul Osborn jest względnie nieszkodliwy i dość łatwo będzie go załatwić. Właściwie byli w tym samym wieku i Osborn wyglądał na dość sprawnego fizycznie. Ale tu kończyło się podobieństwo. Jest coś takiego w wyglądzie człowieka wyszkolonego w walce, co pozwala go natychmiast rozpoznać. U Osborna nie dostrzegł śladu czegoś takiego. Jeśli w ogóle na kogoś wyglądał, to na człowieka „nie na miejscu”.

Co innego McVey. Nie liczyło się to, że się starzał i miał lekką nadwagę. Von Holden natychmiast zauważył, czemu był zdolny zabić Bernharda Ovena. Dostrzegł coś w jego aurze, czego zwykli ludzie nie mają.

W jego oczach odbijało się to, co widział i czego dokonał w swej długiej karierze policjanta, i von Holden instynktownie wiedział, że gdy ten człowiek raz się kogoś uczepli, nigdy już nie wypuści. Wyszkolenie w Specnazie podpowiedziało mu, że istnieje tylko jeden sposób postępowania z kimś takim jak McVey. Trzeba zabić go w tej samej chwili, gdy się go zobaczy. Inaczej można gorzko żałować, że się tego nie zrobiło.

Von Holden wszedł do pokoju, zamknął drzwi na klucz i usiadł przy małym stoliku. Otworzył neseser i wyjął zminiaturyzowaną radiostację krótkofalową. Włączył ją, wystukał numer kodowy i czekał. Potrzebował ośmiu sekund na uzyskanie wolnego kanału.

Lugo - podał swój identyfikator, a potem nazwę kodową operacji: Ecstasy. WBE, Wydział Bloku Europejskiego - kontynuował. - Nichts. Wystukał swój kod rozłączenia i wyłączył radiostację. Właśnie poinformował Wydział Bloku Europejskiego Organizacji, że nie ma potwierdzenia likwidacji uciekinierów Ecstasy. Oficjalnie nadal byli „na wolności” i należało zaalarmować wszystkich pracowników WBE.

Von Holden odłożył radiostację, zgasił światło i wyjrzał przez okno. Był zmęczony i zły. Do tej pory przynajmniej jeden z nich powinien zostać znaleziony. Widziano ich, jak wsiadali do pociągu, który nie zatrzymywał się po drodze. Albo nadal znajdowali się wśród szczątków, albo znikli jak magicy.

Usiadł na łóżku, zapalił lampę i zamówił połączenie z Joanną w Zurychu. Nie widział jej od chwili, gdy w ataku hysterii wybiegła nocą nago z jego apartamentu.

- Joanno, tu Pascal. Lepiej się czujesz? - Przez chwilę panowało milczenie. - Joanno?

- Nie czułam się dobrze - powiedziała.

Słyszał w jej głosie rezerwę i niepokój. Owszem, owej nocy coś jej się przydarzyło. Ale nie mogła tego naprawdę pamiętać, ponieważ narkotyki, które podał jej wcześniej, były zbyt złożone. Jej późniejsza reakcja przypominała zły odlot po LSD i to właśnie pamiętała.

- Jestem bardzo zaniepokojony. Chciałem zadzwonić wcześniej, ale to nie było możliwe... Szczerze mówiąc, zachowałeś się tej nocy odrobinę po wariacku. Być może koniak i zmęczenie spowodowane zmianą czasu nie idą w parze. A może też zbyt wiele namiętności, jak uważasz? - Zaśmiał się.

- Nie, Pascal. To nie to. - Czują złość. - Musiałam pracować bardzo ciężko z panem Lybargerem. Nie wiadomo dlaczego ma chodzić bez laski akurat w najbliższy piątek. Nie wiem, co zdarzyło się zeszłej nocy. Nie

podoba mi się taki sposób pracy z panem Lybargerem. To nie jest dla niego dobre. Nie podoba mi się też sposób, w jaki traktuje mnie doktor Salettl i w jaki dyryguje wszystkimi dookoła.

-Joanno, pozwól, że coś wyjaśnię. Proszę. Myślę, że doktor Salettl jest po prostu zdenerwowany. W najbliższy piątek pan Lybarger ma wygłosić przemówienie do głównych udziałowców swojej spółki. Majątek i kierunek działania całej firmy zależą od tego, czy uznają, że jest on zdolny do objęcia raz jeszcze stanowiska prezesa. Salettl jest spięty, ponieważ odpowiada za wyzdrowienie pana Lybargera. Rozumiesz?

-Nie. Tak... Przepraszam, nie wiedziałam... Ale to jeszcze nie powód...

-Joanno, pan Lybarger ma wygłosić swoje przemówienie w Berlinie. W piątek rano ty, ja, pan Lybarger, Eric i Edward polecimy tam firmowym odrzutowcem pana Lybargera.

-Berlin?

Joanna w ogóle nie zwróciła uwagi na resztę, tylko na Berlin. Z jej reakcji von Holden zorientował się, że ta myśl ją zbulwersowała. Czuł wyraźnie, że Joanna ma dość: chce się znów znaleźć w swym ukochanym Nowym Meksyku, i to jak najszybciej.

-Joanno. To zrozumiałe, że jesteś zmęczona. Być może ja sam zbyt cię naciskałem. Obchodzisz mnie, wiesz o tym. Obawiam się, że w mojej naturze leży kierowanie się uczuciami. Proszę, Joanno, wytrzymaj jeszcze trochę. Nim się zorientujesz, już będzie piątek i w sobotę możesz odlecieć do domu prosto z Berlina, jeśli zechcesz.

-Do domu? Do Taos?

Von Holden wyraźnie usłyszał podniecenie w jej głosie.

-Jesteś zadowolona z tego powodu'?

-Tak, oczywiście. - Niezależnie od sukien wielkich projektantek mody oraz zamków była, jak w końcu uznała, zwykłą wiejską dziewczyną, lubiącą prostotę życia w Taos. I najbardziej ze wszystkiego pragnęła tam pojechać.

-Mogę więc na ciebie liczyć? Doprowadzisz to do końca? Głos von Holdena był ciepły i kojący.

-Tak, Pascal. Możesz na mnie liczyć. Będę tam.

-Dziękuję ci, Joanno. Przepraszam za wszelkie niewygody, nie tak miało to być. Cieszę się na naszą ostatnią wspólną noc w Berlinie, jeśli oczywiście ty jej sobie życzysz. Tylko my dwoje, może pójdziemy potańczyć i powiemy sobie do widzenia. Dobranoc, Joanno.

- Dobranoc, Pascalu.

Von Holden mógł sobie wyobrazić uśmiech, z jakim odłożyła słuchawkę. Wystarczyło tylko kilka słów.

## 80

Dzwonek obudził Benny'ego Grossmana z głębokiego snu. Była trzecia piętnaście po południu. Kto i po jaką cholere dzwonił? Estelle była jeszcze w pracy, Matt na kursach hebrajskiego, a David na treningu futbolu. Benny nie miał nastroju do wysłuchiwanie domokrażców; ktokolwiek to był, niech poszuka szczęścia gdzie indziej. Zaczynał znów drzemać, gdy dzwonek rozległ się ponownie.

- Chryste - powiedział. Wstał i wyjrzał przez okno. Na podwórzu nie dojrzał nikogo, a drzwi frontowe znajdowały się tuż pod nim, poza zasięgiem wzroku. - No dobra! - oświadczył, gdy dzwonek zabrzączał znowu. Naciągnął spodnie od dresu, zszedł schodami do drzwi wejściowych i wyjrzał przez wizjer. Stali tam dwaj rabini, jeden młody, drugi stary, z długą siwiejącą brodą. O mój Boże. Co się, do diabła, stało? - pomyślał i z bijącym sercem otworzył drzwi. - Tak? - rzucił.

- Detektyw Grossman? - spytał starszy rabin.

- Taaa. To ja. - Pomimo tylu lat w fachu, pomimo wszystkiego, co widział, Benny był naiwny jak dziecko, gdy mogło chodzić o jego rodzinę. - Co jest? Co się stało? Czy to Estelle? Matt? Nie David...

- Obawiam się, że to ty, detektywie - powiedział starszy rabin.

Benny nie zdążył zareagować. Młodszy rabin podniósł rękę i strzelił mu między oczy. Benny upadł na plecy. Młody rabin wszedł do mieszkania i dla pewności strzelił do niego jeszcze raz.

Starszy rabin w tym czasie przeszukał dom. Na górze znalazł na toaletce notatki, którymi Benny posłużył się, telefonując do Scotland Yardu. Rabin złożył je starannie, schował do kieszeni i wrócił na parter.

Sąsiadce Grossmanów, pani Greenfield, wydało się dość dziwne, że dwóch rabinów odwiedziło ich akurat wczesnym popołudniem.

- Czy coś się stało? - zapytała, gdy już zamknęli furtkę przed domem Benny'ego i przechodzili obok niej po chodniku.

- Ależ skąd. Szalom - powiedział uprzejmie młodszy rabin.

- Szalom - odparła pani Greenfield, patrząc, jak młodszy z rabinów otwiera drzwiczki samochodu dla starszego. A potem, uśmiechnąwszy się do niej raz jeszcze, zasiadł za kierownicą i chwilę później odjechali.

Mieszcząca sześć osób Cessna wypadła z grubej warstwy chmur i zniżyła się nad francuskie pola.

Clark Clarkson, przystojny szatyn, były pilot bombowców RAF-u, człowiek o wielkich dłoniach i łobuzerskim uśmiechu, pewnie prowadził małą maszynę przez zmienne turbulencje, gdy opadali coraz niżej, Ian Noble siedział przypięty pasami na siedzeniu drugiego pilota z głową przyciśniętą do okna i spojrzeniem skierowanym na ziemię. Bezpośrednio za Clarksonem zajął miejsce ubrany po cywilnemu major Geoffrey Avnel, lekarz polowy i komandos brytyjskich sił specjalnych, płynnie posługujący się francuskim. Ani brytyjskiemu wywiadowi wojskowemu, ani Avril Rocard nie udało się zdobyć żadnych informacji o losie McVeya lub Paula Osborna. Jeśli byli w tym pociągu, to praktycznie biorąc, znikli z niego.

Noble przychylił się do teorii, że jeden z nich lub obaj zostali ranni i obawiając się tych, którzy wysadzili pociąg w powietrze, odpełzli od wraku. Obaj wiedzieli, że Cessna przyleci po nich powtórnie, a to oznaczało, że mogli się znajdować gdzieś pomiędzy lądowiskiem i miejscem katastrofy, co czyniło w prostej linii jakieś trzy kilometry. W związku z tą właśnie możliwością przybył także major Avnel.

Przed nimi znajdowało się miasto Meaux, na prawo zaś jego lotnisko. Clarkson połączył się przez radio z wieżą i otrzymał zezwolenie na lądowanie. Pięć minut później, o ósmej zero jeden, Cessna ST95 dotknęła kołami ziemi.

Zatrzymała się koło wieży kontrolnej, a wówczas Noble i major Avnel wysiedli i przeszli do małego budynku, pełniącego funkcję terminalu.

Noble nie miał zielonego pojęcia, dlaczego przyjechał. Wszystkim gliniarzom od pierwszych dni służby wbijano do głowy, że ich praca niesie ze sobą ryzyko. Pod tym względem Londyn nie różnił się od Detroit czy Tokio, a śmierć któregośkolwiek gliniarza zabitego na służbie dotykała każdego policjanta, bo równie dobrze mógł to być on czy ona. To mogło się zdarzyć każdemu z nich każdego dnia w każdym mieście na Ziemi. Jeśli przeżyłeś kolejny dzień, miałeś szczęście. I tak to odbierano. Jeśli udało ci się przeżyć cały twój czas, brałeś emeryturę, odchodziłeś ze służby i powoli zaczynałeś się starzeć, próbując nie myśleć o tych wszystkich gliniarzach

na mieście, którzy nie będą mieli takiego szczęścia. Takie było życie policjanta. Ale nie McVeya. On był inny; był typem policjanta, który przeżyje wszystkich i mając dziewięćdziesiąt pięć lat, nadal będzie na służbie. To był fakt. Tak go postrzegano i sam w to wierzył, bez względu na to, jak często pomrukiwał, że jest inaczej. A teraz Noble miał przecucie; że tragedia wisiała w powietrzu. Być może dlatego przyleciał tu z Clarksonem i zabrał majora Avnela, bo czuł, że jest to winien McVeyowi.

Gdy zbliżył się do biurka urzędnika imigracyjnego i machnął legitymacją, jego krok był ciężki. Wydawał mu się jeszcze cięższy, kiedy wraz z Avnelem przepchnęli się z ponurymi minami przez szklane drzwi i weszli na teren terminalu.

- Dobry Boże! - zawołał.

- Dzień dobry. - McVey się uśmiechnął. Wstał, złożył gazetę, wsunął ją pod pachę i wyciągnął dłoń.

Sześć metrów dalej Osborn, z włosami przyzłizanymi do tyłu, nadal w kurtce francuskiego strażaka, wyrzwał zza egzemplarza „Le Figaro” i zobaczył, jak Noble ściska dłoń McVeya, a potem potrząsa głową i cofa się, by przedstawić stojącego z tyłu człowieka. W tym momencie McVey rzucił okiem w stronę Osborna i skinął głową. I prawie natychmiast Noble, McVey i major Avnel skierowali się ku drzwiom prowadzącym na pas startowy.

Osborn dołączył do nich i razem przeszli dwadzieścia metrów do Cessny. Clarkson zapalił silnik i poprosił o pozwolenie startu. O godzinie ósmej dwadzieścia siedem znaleźli się w powietrzu.

## 81

Gdy Cessna wbiła się w warstwę chmur nad Meaux i przestała być widoczna z ziemi, McVey wyjaśnił, w jaki sposób wydostali się ze szczątków pociągu i dotarli do terminalu. Tu, udając turystę, kupił sobie czapkę, pulower i przybory toaletowe. Następnie wszedł do męskiej toalety, gdzie czekał na niego Osborn, i przebrał się w kabinie. Ogolił się i pozbył marynarki, zastępując ją pulowerem z napisem „Disneyland”. Osborn zmienił wygląd, zaczesawszy włosy do tyłu. Zarośnięty na twarzy, ubrany w kurtkę strażacką, wyglądał na wyczerpanego ratownika, który wszedł, by spotkać się z kimś przybywającym samolotem. A potem wystarczyło, że zaczęli.

-McVey, jesteś zadziwiającym człowiekiem. Zadziwiającym. - Noble potrząsnął głową i uśmiechnął się.

-E tam. - McVey pokręcił głową. - Po prostu mam szczęście.

-Na jedno wychodzi.

Noble dał McVeyowi kilka minut odpocząć, a potem wyciągnął stenogram rozmowy z Bennym Grossmanem. Gdy lądowali dwie godziny później, McVey przeczytał go już dwukrotnie i odłożył, by głębiej przemyśleć informacje.

Zadawał sobie pytanie, czy Erwin Scholl niemal trzydzieści lat temu zaczął finansować badania z zakresu kriochirurgii po to, by łączyć głęboko zamrożone głowy z głęboko zamrożonymi ciałami? Jeśli tak, czemu było to aż tak tajne, że kazał zabijać?

Patenty?

Być może.

Ale jak zdołali dotąd ustalić, włączając w to dochodzenie Wydział Specjalny oraz opierając się na ostatnich rozmowach telefonicznych Noble'a z doktorem Edwardem E. Smithem, prezesem Towarzystwa Krionicznego Ameryki, a także z Akiro Sato, prezesem Instytutu Krioniki Dalekiego Wschodu - o żadnych podobnych eksperymentach kriochirurgicznych nigdzie na świecie nie słyszano.

Londyn pogrążał się w zmroku. Noble, McVey i Osborn siedzieli w gabinecie Noble'a w Scotland Yardzie. McVey wyrzucił czapkę baseballową z Myszka Mickey, ale nadal miał na sobie pulower z napisem „Disneyland”, Osborn zaś zamienił kurtkę francuskiego strażaka na mocno zużyta ciemnoniebieską wełnianą kamizelkę ze złotym emblematem policji stołecznej wyhaftowanym na lewej kieszeni.

Poszukiwania zleczone RDI International w Londynie nie wykryły żadnych znanych światowych patentów na oprzyrządowanie ani oprogramowanie zaprojektowane na potrzeby tego typu mikrochirurgii, o którą by im chodziło.

Biura Moody i Dun & Bradstreet miały wspólnie prześledzić losy spółek zatrudniających ofiary Alberta Merrimana, ale zamówione materiały jeszcze nie nadeszły.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju weszła wysoka, czterdziestotrzyletnia niezamężna sekretarka Noble'a - Elizabeth Welles. Niosła na tacy filiżanki i łyżeczki, dzbanuszek mleka, kostki cukru na srebrnym talerzyku oraz po jednym dzbanku kawy i herbaty.



- Dziękuję, Elizabeth - powiedział Noble.

- Proszę, komandorze. - Wyprostowawszy się, spojrziała z ukosa na Osborna i wyszła.

- Ona uważa, że jesteś całkiem przystojnym chłopcem, doktorze Osborn. Odczuwa też bardzo silny popęd seksualny. Kawa czy herbata?

- Proszę o herbatę. - Osborn się uśmiechnął.

McVey wyglądał przez okno, w roztargnieniu przyglądając się, jak mały człowieczek prowadzi na spacer dwa wielkie psy. Bardzo niejasno świadom był krótkiej komedyjki, która rozegrała się za jego plecami.

- Kawa, McVey? - usłyszał głos Noble'a.

Odwrócił się nagle i przeszedł przez pokój. Spojrzenie miał ostre, krok zdradzał zły humor.

- W ciągu ubiegłych lat bywało, w takim czy innym punkcie dochodzenia, że poczułem się cholernym idiotą, ponieważ nagle uderzyło mnie coś, co powinienem był dostrzec od początku. Ale powiem ci, Ian, że tym razem w ogóle spóźniliśmy się na pociąg. Ty, ja, doktor Michaels, nawet doktor Richman.

- O czym ty mówisz? - Noble zatrzymał dłoń z kostką cukru tuż nad brzegiem filiżanki z herbatą.

- O życiu, do jasnej cholery. - McVey spojrział na Osborna, włączając go tym samym w krąg winnych przeoczenia, a potem oparł się o biurko przed Noble'em. - Powinieneś chyba założyć, że jeśli ktoś przez lata pracuje nad udoskonaleniem sposobu pożenienia odciętej głowy z ciałem, to jego ostatecznym celem nie będzie sama ta czynność, lecz przywrócenie owego stwora do życia? Spowodowanie, by ten nowożytny Frankenstein żył i oddychał?

- No tak, ale po co? - Noble upuścił cukier do filiżanki.

- Nie mam pojęcia. Ale inaczej po cóż by to w ogóle robić? - McVey zwrócił się do Osborna: - Jak by przebiegał cały ten proces z medycznego punktu widzenia?

- Prosto. Przynajmniej w teorii. - Osborn oparł się plecami o czerwony skórzany fotel. - Przywrócić to, co zamrożone, do normalnej temperatury. Aby dokonać takiej operacji, trzeba spuścić krew. W miarę odmarzania krew wprowadza się ponownie. Trudność polegać będzie na tym, by proces odtajania przebiegał jednolicie.

- I można to zrobić? - zapytał Noble.

- Powiedziałbym, że jeśli umieli przeprowadzić pierwszy etap, to drugim już się zajęto.

Nagle doleciał dźwięk z faksu, stojącego na antycznej sekretarce za biurkiem Noble'a. Włączyło się światelko i chwilę później rozpoczął się druk.

Było to sprawozdanie biur Moody oraz Dun & Bradstreet.

McVey i Osborn stanęli za Noble'em, by czytać nadchodzące informacje.

Microtab - Waltham, Massachusetts, USA. Rozwiązana w lipcu 1966. Własność Wentworth Products Ltd, Ontario, Kanada. Dyrekcja Microtab: Earl Samules, Evan Hart, John Harris. Wszyscy z Bostonu, Massachusetts. Wszyscy zmarli w 1966.

Wentworth Products, Ontario, Kanada. Rozwiązana w sierpniu 1966. Spółka prywatna. Właściciel James Tallmadge z Windsoru, Ontario. Zmarł w 1967.

Alama Steel, Ltd., Pittsburgh, Pensylwania. Rozwiązana w 1966. Filia Wentworth Products Ltd, Ontario, Kanada. Dyrektorzy: Earl Samules, Evan Hart, John Harris.

Standard Technologies, Perth Amboy, New Jersey. Filia TLT International, 10 Park Avenue, Nowy Jork, stan Nowy Jork. Dyrektorzy Earl Samules, Evan Hart, John Harris.

TLT International, filia stanowiąca całkowitą własność Omega Shipping Lines, 17 Hanover Square, Mayfair, Londyn, Wielka Brytania. Główny akcjonariusz Harald Erwin Scholl, 17 Hanover Square, Mayfair, Londyn, Wielka Brytania. Rozwiązana w 1967.

Omega Shipping Lines, zakupiona przez Goltz Development Group SA, Dusseldorf, Niemcy, 1966. Goltz Development Group - spółka osób fizycznych. Główni wspólnicy: Harald Erwin Scholl, 17 Hanover Square, Londyn, Wielka Brytania; Gustav Dortmund, Friedrichstadt, Dusseldorf, Niemcy. Prezes - od roku 1978 - Konrad Peiper, 52 Reichsstrasse, Charlottenburg, Berlin, Niemcy (NB GDG zakupiła Lewsen International, Bayswater Road, Londyn, Wielka Brytania, towarzystwo holdingowe, 1981).

#### KONIEC TRANSMISJI

Noble okręcił się z fotelem i podniósł wzrok na McVeya.

-Cóż, nasz dobry pan Scholl może okazać się nie tak nietykalny, jak wasze FBI zdaje się twierdzić. Wiesz, kim jest Gustav Dortmund...?

-Szefem centralnego banku Niemiec - odparł McVey.

- Zgadza się. A Lewsen International było głównym dostawcą stali, części uzbrojenia oraz kierowników budów dla Iraku w latach osiemdziesiątych. Założę się, że panowie Scholl, Dortmund i Peiper stali się wielkimi bogaczami w tamtym okresie, jeśli jeszcze nimi nie byli.

- Czy mogę? - Osborn podszedł z bieżącym numerem magazynu „People”, który wziął spośród innych, leżących na kredensie Noble'a.

McVey patrzył z zakłopotaniem, jak doktor odsunął filiżankę herbaty Noble'a i położył przed nim na biurku otwarty na dwukolumnowym ogłoszeniu magazyn. Była to wyzywająca reklama ostatniego nagrania młodej i bardzo popularnej śpiewaczki rockowej. Sfotografowano ją przemoczoną do nitki w przezroczystej, przylegającej do skóry sukience, jadącą wierzchem na orce, teatralnie wyskakującej z wody.

Noble i McVey spojrzeli na Osborna tępych wzrokiem.

- Nie znacie, prawda? - uśmiechnął się Osborn.

- Kogo nie znamy? - spytał McVey.

- Waszego Konrada Peipera - odparł Osborn.

- Tak...? - McVey nie miał pojęcia, do czego Osborn zmierza.

- Jego żoną jest Margarete Peiper, jedna z najpotężniejszych kobiet w show-biznesie. Kieruje gigantyczną agencją młodych talentów i jest menedżerem oraz producentką tej młodej pani na orce, jak również tuzina największych młodych talentów rockowych. A kieruje tym wszystkim - tu zrobił pauzę - z biura w swej luksusowej odrestaurowanej siedemnastowiecznej rezydencji w Berlinie.

- Skąd o tym wiesz, na Boga? - zdumiał się Noble.

Osborn złożył magazyn i rzucił z powrotem na kredens.

- Komandorze, jestem chirurgiem ortopedą w Los Angeles. Chyba połowa moich pacjentów to nastolatki, które doznały urazów podczas uprawiania sportu. Nie na darmo mam te wszystkie modne magazyny w swojej poczekalni.

- Ty naprawdę je czytasz?

- No jasne. - Osborn się uśmiechnął.

## 82

Z powodu zmniejszającej się widoczności Clarkson zmienił plan lotu i wylądował koło Ramsgate nad kanałem La Manche, prawie sto sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od pierwotnego celu podróży. Ten

przypadkowy manewr pomieszał szyki von Holdenowi.

Godziną po odlocie Cessny ST95 z Meaux sprzątacze na lotnisku znaleźli porzuconą marynarkę McVeya na dnie kubła na śmieci w toalecie. Kilka minut później zaalarmowano sektor paryski i po dwudziestu minutach von Holden zgłosił się po zgubioną marynarkę wuja do biura przedmiotów znalezionych. McVey sprytnie oddał etykietę firmową, nim pozbył się marynarki. Natomiast zapomniał o tym, że nieustannie ocieranie się kolby jego trzydziestki ósemki o podszewkę wytarło ją na tyle, by von Holden to odkrył, kierując się własnym doświadczeniem.

Von Holden wycofał się do swego hotelu w Meaux, a sektor paryski przebadał plany lotu samolotów opuszczających Meaux pomiędzy wschodem słońca i godziną, o której znaleziono marynarkę. O dziewiątej trzydziści von Holden ustalił, że Cessna na sześć miejsc z numerem rejestracyjnym ST95 przyleciała z Bishops Stratford w Anglii o ósmej zero jeden i dwadzieścia sześć minut później wystartowała do tego samego lotniska końcowego. Nie było to nic pewnego, ale wystarczyło, by zaalarmować sektor londyński. O trzeciej po południu agenci sektora ustalili obecność Cessny ST95 na lotnisku Ramsgate, a biuro londyńskie wykryło, że jest ona własnością małej brytyjskiej spółki rolniczej z centralą w położonym na zachodzie mieście Bath. Od tego miejsca trop wystygł. Cessna została na lotnisku Ramsgate, pilot zaś, pozostawiwszy wiadomość, że wróci po samolot, gdy pogoda się poprawi, odjechał autobusem do Londynu w towarzystwie drugiego mężczyzny. Żaden z nich nie odpowiadał rysopisom McVeya ani Osborna. Informacje przesłano natychmiast do sektora paryskiego, by przekazano je Lugo, który powrócił do Berlina. O godzinie szóstej piętnaście tego samego wieczoru sektor londyński otrzymał kopie podrasowanych fotografii obu poszukiwanych i został postawiony w stan pełnej gotowości.

O ósmej trzydziści pięć McVey siedział samotnie, odziany w podkoszulek, na brzegu łóżka w swoim malutkim pokoju w odrestaurowanym osiemnastowiecznym hotelu w Knightsbridge. Zdjął buty i postawił w zasięgu ręki, na stoliku z telefonem, szklaneczkę szkockiej whisky Famous Grouse; na razie jeszcze jej nie tknął. Nazywał się teraz Howard Mickel i pochodził z Kalifornii. Osborn został zameldowany jako Richard Green z Chicago, niezbyt daleko, w hotelu Forum w Kensington, Noble zaś udał się do swej rezydencji w Chelsea.

McVey miał w ręku faks od Billa Woodwarda, szefa detektywów w Departamencie Policji Los Angeles, informujący go o zamordowaniu Benny'ego Grossmana. We wstępnym, poufnie prowadzonym śledztwie uznano za prawdopodobne, że morderstwa dokonało dwóch mężczyzn udających rabinów.

McVey próbował zrobić to, co jak wiedział, zrobiłby Benny. Zapomnieć o własnych uczuciach i pomyśleć logicznie. Benny został zabity we własnym domu w przybliżeniu w sześć godzin potem, jak zatelefonował do Iana Noble'a. Oznaczało to, że mieli nie tylko agentów działających w Stanach, korzystających z ultranowoczesnej techniki, by uzyskać informacje z poufnych policyjnych systemów komputerowych; musieli także wiedzieć, jakie informacje zebrano, kto je zebrał i gdzie. Z pewnością też potrafili się włamać do rejestrów towarzystw telefonicznych i w tej chwili powinni już wiedzieć, dokąd Benny telefonował, zwłaszcza że połączył się z domem Noble'a. A jeśli byli przygotowani do działania we Francji i Stanach Zjednoczonych, to niemal na pewno gotowi byli działać i tutaj, w Anglii.

Upiwszy duży łyk szkockiej, McVey postawił szklaneczkę, naciągnął czystą koszulę, zawiązał krawat, a z szafy wyjął garnitur, ostatni, jaki miał. Kilka minut później wsunął swoją trzydziestkę-ósemkę do kabury pod pachą, łyknął jeszcze szkockiej i wyszedł. Nie musiał patrzeć w lustro; wiedział, co zobaczy.

Pchnąwszy frontowe drzwi w polerowanego mosiądzu, zdecydował, że pół przecznicy do Piccadilly przejdzie piechotą. Tam zaczekał, aż przyjedzie piętrowy czerwony autobus, a potem przeszedł przez jezdnię i zszedł schodami na stację metra Green Park.

Po dwudziestu minutach znalazł się w urządzonym ze smakiem domu Noble'a w Chelsea, czekając, aż komandor wywoła New Scotland Yard specjalną linią i zamówi samochód dla swej żony. Piętnaście minut później, pożegnawszy się, jechała pilnie strzeżona do swej siostry w Cambridge.

- Wiele razy, w taki czy inny sposób, już tego doświadczyła - zauważył Noble, gdy odjechała. - Wiesz, IRA. Paskudny interes od początku do końca.

McVey kiwnął głową. Martwił się o Osborna. Ostrzegł go, że ma nie opuszczać pokoju, póki nie dostanie od niego wiadomości. Zadzwoił do niego przed wyjściem z hotelu przy Half Moon Street, ale nie było odpowiedzi. Teraz spróbował ponownie z takim samym rezultatem.

- Nadal nic? - zapytał Noble.

McVey potrząsnął głową i odłożył słuchawkę. Prawie w tym samym momencie zadzwonił czerwony telefon Noble'a. Bezpośrednia linia z centrali Scotland Yardu.

-Tak. Tak, jest tutaj. - Noble spojrzął na McVeya. - Dale Washburn z Palm Springs próbuje się z tobą skontaktować.

-Jest na linii?

Noble poprosił o potwierdzenie, ale podano mu tylko numer telefonu, pod którym można ją było zastać. Zanotował, odłożył słuchawkę i podał kartkę McVeyowi. McVey skierował się do przedpokoju, gdzie stał domowy telefon Noble'a.

-Spróbuj jeszcze raz z Osbornem, dobrze? - rzucił Noble'owi.

Było kilka minut po jedenastej wieczór czasu londyńskiego. W Palm Springs, dokąd podano mu numer telefonu, powinna być trzecia po południu.

-Mówi Dale - odezwał się przyciszony głos.

-Halo, aniołku, tu McVey. Co tam masz?

-W tej chwili?

-W tej chwili.

-Mam to powiedzieć, ot tak sobie? Jest tu jeszcze kilka innych osób.

-To pewnie twoi przyjaciele. Powiedz mi, co masz.

-Dwie pary, asy na ósemkach, ręka martwego człowieka\*. Uszczęśliwiło cię to, że się tak odkryłam?

\*Kkoloqwializm amerykański, oparty na tradycji, jakoby Dzikie Bill Hickock miał parę asów i parę ósemek, w chwili gdy w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku zastrzelił go Jack McCall

-Poker...

-Trafiłeś w sedno, dziecino, gram w pokera. Albo grałam, dopóki nie zadzwoniłeś. Pójdę do drugiego pokoju.

McVey usłyszał, jak Dale mówi coś do kogoś, a chwilę później podniosła słuchawkę dodatkowego aparatu, główny zaś został odłączony.

Dale Washburn wyglądała, jakby pojawiła się prosto z kart powieści Raymonda Chandlera. Miała trzydzieści pięć lat, była naturalną platynową blondynką z fantastycznym ciałem i równie fantastycznym mózgiem. Pracowała w Departamencie Policji Los Angeles przez pięć lat jako tajniak, dopóki nie odkryto jej tożsamości podczas schrzanionego nalotu na handlarzy narkotyków o północy w arystokratycznym Brentwood. W dolnej części jej pleców utkwił pocisk, którego nie dawało się usunąć, przeszła więc

na rentę inwalidzką i przeniosła się do Palm Springs, gdzie grywała w karty z zamożnymi rozwodnikami płci męskiej i żeńskiej i gdzie rozpoczęła bez specjalnego rozgłosu praktykę jako bardzo, ale to bardzo prywatny detektyw. McVey zadzwonił do niej, gdy tylko wprowadził się ponownie do hotelu na Half Moon Street. Potrzebne mu było wszystko, co mogła w ciągu dwóch godzin wykopać na temat pana Haralda Erwina Scholla.

- Nic.

- Dajże spokój... nic... - McVey usłyszał nutę złości we własnym głosie; nie prowadził sprawy morderstwa Benny'ego Grossmana tak dobrze, jak to sobie wyobrażał.

- Nie, dziecino. Przykro mi. Erwin Scholl jest tym, kim jest. Bogatszy niż wszyscy diabli, wydawca, kolekcjoner dzieł sztuki i koleś samej górki, panów prezydentów i premierów. Samych ludzi pisanych dużą literą, najdroższy. Jeśli jest coś więcej, to zakopano to głęboko w piaskownicy, gdzie bawią się naprawdę duże dzieci. Nie do znalezienia dla małych dziewczynek i małych chłopczyków, takich jak ty i ja.

- A co na temat jego życiorysu...? - spytał McVey.

- Biedny imigrant przybywa do Stanów z Niemiec tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, urabia ręce po łokcie, a całą resztę już ci powiedziałam.

- Żonaty?

- Nigdy, dziecino. W każdym razie według tego, co zdołałam ustalić przez te kilka godzin. A jeśli pomyślałeś teraz: gej, kochasiu, to powiem ci, że królowe\*, z którymi się zabawia, mają szmaragdy, sobole i armie. Panie, które były koronowane, rządziły imperiami i zapewne nadal siadają na klozetach wysadzanych klejnotami.

\* W slangu amerykańskim określenie męskiego homoseksualisty przyjmującego rolę kobiecą

- Aniołku, wiele mi nie dajesz.

- Mam jedną konkretną rzecz, a ty zrób z nią, co zechcesz. Twój działy pańcio będzie w Berlinie do niedzieli. Wielka uroczystość czy coś podobnego w miejscu, które się nazywa... poczekaj, zajrzę do notatek... powinny być gdzieś tutaj... O, mam to. Charlottenburg.

- Charlottenburg? - McVey spojrzał na Noble'a.

- Muzeum w Berlinie.

- Siadaj do gry, aniołku. Jak wrócę, zabiorę cię na kolację.

- McVey, jeśli o ciebie chodzi, to kiedy tylko zechcesz.

McVey się rozłączył.

-Aniołek? - Noble wyszczerzył zęby.

-Taaa, aniołek - odrzekł obojętnie McVey. - Co z Osbornem?

Uśmiech Noble'a zgasł i komandor potrząsnął głową.

-Nic.

## 83

-Vera...

-O Boże, Paul!

Osborn usłyszał w jej głosie ulgę i podniecenie. Cokolwiek się działo, nie było chwili, by o niej nie pamiętał. Musiał w jakiś sposób się z nią skontaktować, porozmawiać, usłyszeć, że nic jej się nie stało.

Nie mógł skorzystać z telefonu w swoim pokoju, o tym wiedział. Zszedł więc na dół do holu. Miał świadomość, że McVeyowi się to nie spodoba, ale uznał, że nie ma innego wyboru.

Gdy znalazł się w holu, zobaczył, że z wszystkich telefonów koło wejścia są prowadzone rozmowy. Zaryzykował podejście do recepcji i zapytanie, czy są jakieś inne aparaty. Recepcjonista skierował go do korytarza tuż koło baru. Znalazł tam rząd staromodnych kabin telefonicznych.

Wszedł, zamknął za sobą drzwi i wyciągnął notes, gdzie miał zapisany numer telefonu babki Very w Calais. Z jakiegoś powodu uspokoił go widok starego, wypolerowanego drewna i zamkniętych drzwi. Usłyszał, że w sąsiedniej kabinie ktoś kończy rozmowę, a potem odwiesza słuchawkę i wychodzi. Wyjrzawszy przez szybę, zobaczył idącą w stronę wind młodą parę. Potem korytarz opustoszał. Osborn odwrócił się, zdjął słuchawkę, wykręcił numer centrali i polecił obciążyć kosztem rozmowy kartę kredytową swego gabinetu lekarskiego.

Słyszał, jak na drugim końcu linii rozbrzmiewają dzwonki. Trwało to pewien czas i już gotów był odłożyć słuchawkę, gdy telefon odebrała starsza kobieta. Po dłuższym czasie zrozumiał Wreszcie, że Very tam nie ma i nie było. Poczł, że przestaje nad sobą panować i zaraz zwariuje. Potem przyszło mu do głowy, że może Vera nadal jest w szpitalu, że w ogóle nie wyjechała. Posługując się kartą kredytową, wykręcił jej bezpośredni numer. Usłyszał jej głos.

Vera... - zaczął, czując jak na dźwięk jej głosu serce skacze mu w piersi.



Ale ona nie przestawała mówić po francusku i Osborn zorientował się, że to nagranie na automatycznej sekretarce. Następnie usłyszał trzask i nagrany głos polecił mu wykręcić 0. Chwilę później odpowiedziała kobieta. - Parlez-vous anglais? - zapytał. Tak, mówiła trochę po angielsku. Poinformowała go, że Vera została odwołana dwa dni temu z powodu wypadku w rodzinie, nie było wiadomo, kiedy wróci. Czy chciałby porozmawiać z innym lekarzem?

- Nie. Nie, dziękuję - odparł i rozłączył się. Przez długą chwilę gapił się na ścianę. Pozostało jeszcze tylko jedno miejsce. Może z jakiegoś powodu wróciła do swego apartamentu.

Po raz trzeci posłużył się kartą kredytową, tym razem zastanawiając się, czy nie powinien przejść do innego telefonu, gdzieś poza budynkiem. Ale zanim zdążył odłożyć słuchawkę, odezwał się mężczyzna.

- Residence Monneray, bonsoir.

Był to Philippe, odbierający telefon ze swej centrali. Osborn milczał. Czemu Philippe kontroluje połączenia Very i dlaczego nie pozwala aparatowi dzwonić wystarczająco długo, by mogła odebrać sama? Może McVey miał rację i to Philippe ich zaalarmował? Pomógł mu uciec pod nosem policji, owszem, ale przedtem powiadomił wysokiego mężczyznę.

- Residence Monneray - powtórzył Philippe. Tym razem odezwał się głuchym głosem, jakby nagle powziął jakieś podejrzenia co do tego telefonu.

Osborn odczekał chwilczkę, a potem postanowił zaryzykować.

- Philippe, tu doktor Osborn.

Reakcja Philippe'a absolutnie nie była ostrożna. Był podniecony i rozradowany, że słyszy Osborna. Brzmiało to tak, jakby sam zamartwiał się na śmierć z jego powodu.

- Och, monsieur. Ta strzelanina w La Coupole. Wszystko pokazywali w telewizji. Dwaj Amerykanie, tak powiedzieli. Nic panu nie jest? Gdzie pan jest?

Oho! Tego mu nie mów - ostrzegł sam siebie Osborn.

- Gdzie jest Vera, Philippe? Czy miałeś od niej wiadomości?

- Oui, ouil - Vera telefonowała wcześniej tego dnia i zostawiła swój numer. Wolno go było podać tylko Osbornowi, jeśli zadzwoni, i nikomu innemu.

Hałas na zewnątrz kabiny spowodował, że Osborn się obejrzał. Nie-wysoka Murzynka w uniformie hotelowym czyściła korytarz odkurzaczem.

- Numer, Philippe - powiedział, odwracając się plecami do korytarza. Wygrzebał z kieszeni pióro, ale nie znalazł nic, na czym mógłby pisać. Zanotował więc numer na dłoni, a potem dla pewności go powtórzył. - Merci, Philippe. - Nie dając portierowi czasu na zadanie następnego pytania, odwiesił słuchawkę.

Nie zważając na szum odkurzacza, znów wziął słuchawkę, zastanawiając się ponownie, czy nie powinien jednak poszukać innego telefonu. A potem powiedział sobie: do diabła z tym, wykręcił numer zapisany na dłoni i czekał.

- Oui? - odezwał się twardy i energiczny męski głos.

- Proszę z panną Monneray - rzekł Osborn.

Wówczas usłyszał, jak Vera coś mówi, wymieniając imię Jean-Claude. Pierwszy aparat się wyłączył i Vera odezwała się do niego po imieniu.

- Jezu, Vera... - wyszeptał. - Co się dzieje? Gdzie ty jesteś? - Żadna kobieta nie działała na niego tak jak ona. Umysłowo, uczuciowo, fizycznie... Dał ujście temu, co się w nim nagromadziło, mówił chaotycznie jak dorastający chłopak, bezmyślny i pozbawiony rozsądku. - Dzwoniłem do twej śmiertelnie przerażonej babki, a w dodatku jej angielszczyzna jest gorsza od mojego francuskiego i mogłem tylko zrozumieć, że nie miała od ciebie wiadomości. Zacząłem rozmyślać nad paryskimi inspektorami. Że są w to wmieszani i że to ja wysłałem ich do ciebie... Vera, gdzie ty jesteś? Powiedz, że z tobą wszystko w porządku.

- Wszystko w porządku, Paul, ale... - zawahała się - nie mogę ci powiedzieć, gdzie jestem. - Vera rozejrzała się po malej, pomalowanej na żółto i biało sypialni z jednym tylko oknem, wychodzącym na zalany światłem lamp podjazd. Za nim były drzewa, a dalej ciemność. Otworzywszy drzwi, zobaczyła krępego mężczyznę w czarnym swetrze, z pistoletem za pasem, rejestrującego rozmowę za pomocą bezprzewodowego magnetofonu. Obok niego stał oparty o ścianę karabin szturmowy. - Jean-Claude, proszę... - powiedziała po francusku.

Wahał się przez chwilę, a potem wyłączył aparat.

- Do kogo mówiłaś? To nie są policjanci. Kim jest człowiek, który odpowiedział na telefon? - warknął nagle Osborn. Poczul, jak ogarnia go paskudna fala zazdrości. Na zewnątrz kabiny nieustanny szum odkurzacza wydawał się jeszcze głośniejszy. Odwróciwszy się ze złością, zobaczył, że stara kobieta patrzy na niego. Gdy spotkały się ich spojrzenia, nagle opuściła głowę i szybko odeszła; warkot odkurzacza zniknął wraz z nią. - Do cholery, Vera! - Był zły, czuł się dotknięty i zdezorientowany. - Co się tam wyrabia?

Vera nie odpowiedziała.

- Dlaczego nie możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

- Bo...

- Bo co...? - Wyrzał przez okno kabiny. Korytarz był już pusty. A potem, nagle i brutalnie, dotarło to do niego. - Jesteś z nim! Jesteś z Francuzikiem, tak?

Usłyszała złość w jego ochrypłym głosie i nienawidziła go za to; nie ufał jej.

- Nie, nie jestem. I nie nazywaj go tak! - warknęła.

- Do cholery, Vera. Nie okłamuj mnie. Nie w tej chwili. Jeśli on tam jest, po prostu mi powiedz!

- Paul! Dostyc tego! Albo idź do diabła i to koniec naszej znajomości!

Nagle zrozumiał, że wcale jej nie słuchał, nawet nie myślał; zrobił to co zawsze od dnia śmierci ojca: odreagował własny obezwładniający strach przed utratą miłości. Wściekłość, gniew i zazdrość, oto czym odpierał ból, czym się bronił. Ale równocześnie z całej siły odpychał kobiety, które mogły go kochać, wzbudzając w najlepszym razie smutek i litość. A potem, zrzuciwszy winę na tę drugą stronę, chował się w skorupę własnego dobrowolnego wygnania, wyczerpany i obolały, obcy wszystkiemu, co ludziem na Ziemi.

Jak narkoman w chwili olśnienia, zrozumiał nagle, że jeśli kiedykolwiek ma skończyć z tym samozniszczeniem, musi to zrobić natychmiast, w tym momencie. I bez względu na to, jak to jest trudne, musi przestać myśleć, co z tego wyniknie, i znaleźć w sobie siłę, by zaufać Verze.

Ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

- Przepraszam... - powiedział.

Vera przesunęła dłonią po włosach i usiadła przy małym drewnianym biurku. Stała na nim gliniana figurka osła, w oczywisty sposób dzieło rąk dziecka. Niezdarna, prymitywna i niezwykle prawdziwa. Wzięta ją do ręki, obejrzała i przycisnęła do piersi.

- Bałam się policji, Paul. Nie wiedziałam, co robić. Z rozpaczki zadzwoniłam do Francois. Czy rozumiesz, jakie to było dla mnie trudne po tym, jak go porzuciłam? Przywiózł mnie tutaj, na wieś, a potem wrócił do Paryża. Zostawił ze mną trzech agentów kontrwywiadu dla ochrony. Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie jestem, dlatego nie mogę mówić, bo gdyby ktoś podsłuchiwał...

Nagle sprzed oczu Osborna znikła zasłona; zazdrość zastąpił straszliwy niepokój.

- Vera, czy jesteś bezpieczna?

-Tak...

-Myśle, że powinniśmy skończyć rozmowę - powiedział. - Pozwól, że jutro znów zadzwonię.

-Paul, czy jesteś w Paryżu?

-Nie. Dlaczego...?

-Bo to by było dla ciebie bardzo niebezpieczne.

-Wysoki mężczyzna nie żyje. McVey go zabił.

-Tak. Ale nie wiesz, że on był członkiem Stasi. Mogą sobie twierdzić, że ich rozwiązano, ale ja w to nie wierzę.

-Francois ci to powiedział?

-Tak.

-A po co Stasi miałyby zabijać Alberta Merrimana?

-Paul, proszę, wysłuchaj mnie. - W jej głosie brzmiało naleganie. Ale była też przerażona i zdezorientowana. - Francois składa dymisję. Zostanie to ogłoszone rano. Robi to pod naciskiem swojej partii. Ma to coś wspólnego z nową wspólnotą ekonomiczną, z nową europejską polityką.

-Ale co to ma do rzeczy? - Zupełnie tego nie rozumiał.

-Francois uważa, że wszyscy są uzależnieni od Niemiec, a skończy się to tak, iż Niemcy będą trzymały rękę na kasie całej Europy. Nie podoba mu się to, poza tym uważa, że Francja zbyt mocno się w to uwikłała.

-Chcesz przez to powiedzieć, że zmuszono go do odejścia.

-Tak... Zrobił to bardzo niechętnie, ale nie miał wyboru. Sytuacja jest paskudna.

-Vera, czy Francois mógłby obawiać się o swoje życie, gdyby nie zrezygnował?

-Nigdy mi o tym nie mówił.

Osborn dotknął bolesnego miejsca. Nie dyskutowali na ten temat, ale ona o tym myślała. I raczej nie potrafiła przestać myśleć. Francois Christian zostawił ją tu na wsi z trzema funkcjonariuszami kontrwywiadu. Czy to oznaczało, że wysoki mężczyzna, były agent Stasi, był w jakiś sposób uwikłany w to, co się obecnie działo we francuskiej polityce? I że Francois niepokoił się, że tamci mogą jej coś zrobić, by w ten sposób udzielić mu ostrzeżenia? Czy też została ukryta i objęta ochroną z powodu swych powiązań z Osbornem, a obecnie także McVeyem, a może ze względu na to, co przydarzyło się Lebrunowi i jego bratu w Lyonie?

-Vera... nawet jeśli podsłuchują, mam to w nosie. Chciałbym, żebyś się nad czymś poważnie zastanowiła. Czy z tego, co powiedział Francois, wynika, że istnieje związek między mną i Merrimanem oraz sytuacją, w jakiej znalazł się Francois?

-Nie wiem... - Vera spojrzała na maleńką rzeźbę osiołka w dłoni, a potem ostrożnie znów postawiła ją na biurku. - Pamiętam, jak babcia opowiadała mi o Francji z czasów wojny. Gdy przyszli naziści, każda chwila pełna była strachu. Ludzi zabierano bez wyjaśnienia i nigdy już nie wracali. Ludzie szpiegowali się wzajemnie, czasem w jednej rodzinie, i donosili na siebie. Wszędzie uzbrojeni mężczyźni... Paul... - Zawahała się, a w jej głosie słychać było, jak bardzo się boi. - Czuję teraz ten sam cień...

Nagle Osborn usłyszał za sobą hałas. Obrócił się na pięcie. Przed kabiną telefoniczną stał McVey. A także Noble. McVey otworzył drzwi jednym szarpnięciem.

-Odłóż to! - polecił. - Natychmiast!

## 84

Wytaszczyli Osborna jakimś wyjściem przez bar na ulicę. Próbował pożegnać się z Verą, ale McVey sięgnął ręką i przerwał połączenie.

-Dziewczyna, prawda? Vera Monneray - powiedział McVey, otwierając drzwiczki do nieoznakowanego roweru .

-Tak - potwierdził Osborn. McVey wdarł się do jego prywatnego świata i to mu się nie podobało.

-A przy niej francuska policja?

-Nie. Kontrwywiad.

Zatrzaśnięto drzwiczki i kierowca Noble'a włączył wóz do strumienia ruchu. Pięć minut później okrążali Piccadilly Circus, a potem skręcili w Haymarket w stronę Trafalgar Square.

-Zastrzeżony numer - orzekł McVey kategorycznie, patrząc na cyfry nabazgrane przez Osborna na dłoni.

-Ale co z tego wynika? - rzucił Osborn obronnym tonem i wsadził dłoń pod pachy.

-Mam nadzieję, że jej nie zabiłeś. - McVey wlepił w Osborna ponure spojrzenie.

-Czy ktoś ci wskazał telefon, z którego dzwoniłeś, czy znalazłeś go sam? - spytał Noble, odwracając się ze swego miejsca obok kierowcy.

Osborn odwrócił wzrok od McVeya.

-A co to za różnica?

-Czy ktoś ci wskazał telefon, z którego dzwoniłeś, czy znalazłeś go sam?

-Telefony w holu były zajęte. Spytałem, czy są jakieś inne.

-I ktoś ci powiedział.

-Oczywiście.

-Czy ktokolwiek widział, jak zamawiałeś rozmowę? Czy widział, do której kabiny wszedłeś?

-Nie - szybko odrzekł Osborn, a potem przypomniał sobie. - Pracownica hotelu, stara Murzynka. Czyściła korytarz odkurzaczem.

-Nietrudno ustalić, dokąd dzwoniło z publicznego automatu - powiedział Noble. - Szczególnie gdy się wie, który to był aparat i zna czas rozmowy. Jawny czy zastrzeżony, wystarczy włożyć pięćdziesiąt funtów do właściwej dłoni i masz numer, miasto, adres i prawdopodobnie też wiadomość, co tam się podaje na kolację. Wszystko to w okamgnieniu.

Przez długi czas Osborn siedział w milczeniu i patrzył na migające za oknem widoki Londynu. Rozmowa mu się nie spodobała, ale Noble miał rację. Zachował się jak błazen, głupiec. Ale to nie był jego świat; tu trzeba było wybiegać myślą w przyszłość, zanim się tę myśl sformułowało, a podejrzany był każdy. Wreszcie spojrzął na McVeya.

-Kto to robi? Kim oni są?

McVey potrząsnął głową.

-Czy wiesz, że zastrzelony przez ciebie człowiek był członkiem Stasi? - spytał Osborn.

-Ona ci to powiedziała?

-Tak.

-Ma rację.

-Wiedziałeś? - nie dowierzał Osborn.

McVey nie odpowiedział. Noble też nie.

-Pozwól więc, że powiem ci coś, czego prawdopodobnie nie wiesz. Premier Francji zrezygnował ze swego urzędu. Zostanie to ogłoszone rano. Zmusili go ludzie z jego partii, ponieważ sprzeciwia się udziałowi Francji w nowej Wspólnocie Europejskiej. Uważa, że Niemcy mają w niej za dużo władzy.

-Nic w tym nowego. - Noble wzruszył ramionami i odwrócił się by powiedzieć coś do kierowcy.

-Może coś nowego, skoro on sądzi, że go zabiją, jeżeli nie zrezygnuje. Albo zamordują Verę ku przestrodze.

McVey i Noble wymienili spojrzenia.

-To ty tak myślisz czy ona ci to powiedziała? - zapytał McVey.

-Jest przerażona, wystarczy? - Osborn spojrzął na niego groźnie. - Z całej masy powodów.

- Nie pomogłeś jej ani odrobiną. Następnym razem gdy ci powiem, byś coś robił, to rób! - McVey odwrócił się, żeby wyrzucić przez okno.

W samochodzie zapadła cisza i słychać było tylko szum opon trących o jezdnię. Od czasu do czasu reflektory wozów jadących z naprzeciwka oświetlały siedzących w środku, ale przez większość czasu znajdowali się w ciemności.

Osborn oparł się o siedzenie. Pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie był tak zmęczony. Wszystko go bolało. Płuca ciążyły mu przy każdym oddechu, jakby z ołowiu. Spać. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz spał. W roztargnieniu potarł dłonią szczecinę na policzkach i pomyślał, że gdzieś po drodze zapomniał się ogolić. Spojrzawszy na McVeya, dostrzegł u niego takie samo zmęczenie. Czy miał głęboko podkrążone, na podbródku szarobiałą szczecinę. A siedzący z przodu Noble wyglądał nie lepiej.

Rover zwolnił i skręcił w wąską boczną uliczkę, a potem zjechał do podziemnego garażu. Nagle Osbornowi przyszło do głowy, by zapytać, dokąd jadą. Ale nie zdążył.

- Berlin - przedził jego pytanie McVey.

- Berlin?

Gdy samochód się zatrzymał, podeszło dwóch mundurowych policjantów i otworzyło drzwiczki.

- Prosto przed siebie, jeśli panowie pozwolą. - Poprowadzili ich korytarzem, a potem przez drzwi wychodzące na pas startowy.

Byli w samym końcu lotniska handlowego. Daleko przed nimi stał dwusilnikowy samolot z zapalonymi światłami wewnętrznymi; schodki na kółkach prowadziły do otwartych drzwi.

- Lecisz z nami - powiedział McVey, gdy zbliżali się do samolotu - żeby złożyć zeznania przed niemieckim sędzią. Chodzi o to, żebyś mu przekazał, co ci powiedział Albert Merriman tuż przedtem, nim został zastrzelony.

- Mówisz o Schollu.

McVey skinął głową.

- On jest w Berlinie. - Osborn poczuł, że serce nagle zabiło mu żywiej.

- Tak.

- Moje zeznanie ma pomóc w uzyskaniu nakazu jego aresztowania, tak?

- Chciałbym z nim porozmawiać. - McVey zaczął wchodzić po schodkach.

Osborn nie posiadał się z radości. Po to przede wszystkim zaryzykował

spotkanie z McVeyem: aby poprowadził go o krok dalej, by dopomógł mu dotrzeć do Scholla.

-Chcę uczestniczyć w waszym spotkaniu.

-Aha, tak właśnie przypuszczałem. - McVey zniknął we wnętrzu samolotu.

## 85

-Ani śladu walki, żadnych dowodów, by coś było nie tak. Ogrodzenie zewnętrzne było monitorowane kamerami wideo i dodatkowo sprawdzone przez piesze patrole z psami.

Georg Springer, szczupły, łysiejący szef bezpieczeństwa Anlegeplatz przeszedł przez ogromną sypialnię i spojrzał na używane, lecz w tej chwili puste łóżko, słuchając raportu uzbrojonego strażnika.

Springera obudzono tuż po trzeciej i poinformowano, że Lybargera nie ma w jego pokoju. Natychmiast skontaktował się z centralą bezpieczeństwa, która śledziła przez kamery główną bramę, trzydzieści kilometrów zewnętrznego ogrodzenia i dwa pozostałe wejścia: strzeżone służbowe koło garażu oraz do zabudowań gospodarczych. W ciągu minionych czterech godzin nikt nie wchodził ani nie wychodził.

Springer po raz ostatni obrzucił spojrzeniem pokój Lybargera, a potem ruszył do drzwi.

-Mógł się źle poczuć i wyjść w poszukiwaniu pomocy, ale mógł też działać pod wpływem jakiegoś snu. Ile mamy osób na terenie?

-Siedemnaście.

-Zwołaj wszystkich. Przeszukajcie dokładnie cały teren, włącznie ze wszystkimi pokojami i sypialniami. Nie obchodzi mnie, czy ktoś śpi, czy nie. Ja obudzę Salettla.

Elton Lybarger siedział na krześle z wysokim oparciem i obserwował Joannę. Od pięciu minut nie drgnęła. Doszedł do wniosku, że jeśli jej ciężkie piersi zaraz nie poruszą się podczas oddechu, pójdzie po pomoc. Bał się, że może być chora.

Nie upłynęła nawet godzina od chwili, gdy znalazł kasetę wideo. Nie mogąc zasnąć, poszedł do biblioteki po coś do czytania. Sen w ogóle ostatnio był problemem. Jeśli już nadchodził, był niespokojny, pełen dziwnych marzeń, w których Elton snuł się samotnie wśród osób i miejsc znanych,



a jednak nierozpoznawanych, dryfował w czasie, równie zmiennym jak ludzie, o których śnił, mieszały mu się wydarzenia z przedwojennej Europy z tak niedawnymi jak te z minionego poranka.

W bibliotece przerzucił wiele magazynów i gazet. Później wyszedł na zewnątrz. W bungalowie zajmowanym przez Erica i Edwarda paliło się światło. Podeszedł do drzwi i zapukał. Choć nikt nie odpowiadał, wszedł do środka.

Zbytkowy główny pokój wypełniał olbrzymi kominek, kosztowne meble, najnowocześniejsza aparatura audio i wideo, półki uginające się od sportowych trofeów. Drzwi do leżących za nim sypialni były zamknięte.

Doszedłszy do wniosku, że siostrzeńcy śpią, Lybarger już miał wyjść, gdy zobaczył wielką kopertę leżącą na półce koło drzwi, zapewne pozostawioną tam dla posłańca. Był na niej napis „Wuj Lybarger”. Uznawszy, że jest przeznaczona dla niego, otworzył ją i znalazł wewnątrz kasetę wideo. Zaciekawiony zabrał ją i wrócił do swego gabinetu. Włożył kasetę do odtwarzacza, włączył telewizor i usiadł, gotów obejrzeć to, co chłopcy zamierzali mu przesłać.

Ujrzał samego siebie; kopiącego piłkę futbolową wraz z Erikiem i Edwardem; wygłaszającego przemówienie polityczne, starannie uprzednio wyćwiczone wraz z logopedą, profesorem wydziału dramaturgii na Uniwersytecie Wiedeńskim. A potem, ze wstrząsem, ujrzał siebie i Joannę w łóżku, z różnymi cyferkami przebiegającymi po ekranie oraz von Holdenem, stojącym w pogotowiu, nagim jak go Pan Bóg stworzył.

Joanna była przyjaciółką i towarzyszką. Była jakby jego siostrą, nawet córką. To, co ujrzał, przeraziło go. Jak to możliwe? Jak coś takiego mogło się wydarzyć? W pamięci nie miał nawet śladu czegoś podobnego. Coś tu się nie zgadzało, był tego pewien.

Pytanie natomiast, czy Joanna o tym wiedziała. Czy brała udział w jakiejś niezdrowej grze, w którą zabawiali się z von Holdenem? Pełen wstępu i gniewu ruszył do jej pokoju. Obudziwszy ją z głębokiego snu, głośno i z oburzeniem zażądał, aby natychmiast obejrzała taśmę.

Zmieszana i w niemałym stopniu wytrącona z równowagi jego zachowaniem i obecnością w swojej sypialni, zrobiła, czego żądał. Teraz zaś, gdy taśma przewinęła się do końca, była równie zdenerwowana jak on. Jej przerażający sen sprzed kilku nocy nie był bynajmniej przywidzeniem, wręcz przeciwnie, wyraźnym wspomnieniem tego, co się wydarzyło.

Wreszcie zdobyła się na wyłączenie odtwarzacza i zwróciła się twarzą do Lybargera. Był blady, drżący i nie mniej wyczerpany niż ona.

-Nie wiedział pan, prawda? Nie miał pan pojęcia, co się dzieje? - zapytała.

-Ani ty...

-Nie, panie Lybarger. Z całą pewnością ja też nie.

Nagle rozległo się ostre stukanie do drzwi. Natychmiast potem otworzyły się i weszła Frieda Vossler, dwudziestopięcioletnia strażniczka o kanciastej szczęce.

Kilka minut później w pokoju Joanny pojawili się Salettl i szef bezpieczeństwa Springer. Zastali tam oburzonego Lybargera, walącego się kasetą wideo w dłoń, wrzeszczącego na strażniczkę Vossler i żądającego, by mu wyjaśniono powód takiej niegodziwości.

Salettl spokojnie wziął kasetę, prosząc Lybargera, by się odprężył, i ostrzegając, że takie zachowanie może go przyprawić o drugi atak. Pozostawiwszy Joannę ze strażnikami, Salettl odprowadził Lybargera do jego pokoju, zmierzył mu ciśnienie i położył do łóżka, podawszy silny środek uspokajający z dodatkiem łagodnego narkotyku psychodelicznego. Miał spać i śnić surrealistyczne, dziwaczne obrazy. Salettl miał nadzieję, że sny pomieszą się Lybargerowi z incydentem z taśmą wideo i jego wizytą w pokoju Joanny.

Joanna oczywiście była znacznie mniej skora do współpracy. Salettl więc, wróciwszy do jej pokoju, przede wszystkim zastanowił się nad natychmiastowym jej zwolnieniem i odesłaniem do Ameryki pierwszym samolotem. Ale zaraz zrozumiał, że jej nieobecność będzie czymś znacznie gorszym. Lybarger przyzwyczał się do Joanny, jego dobre samopoczucie w dużej mierze zależało od jej obecności. Sprawiała, że mógł sobie nawet pozwolić na przywracający mu pewność siebie spacer bez laski. Nie można było przewidzieć, co Lybarger zrobi, jeśli jej tu nie będzie. Nie, zdecydował Salettl, wyrzucenie jej z pracy było wykluczone. Musiała towarzyszyć Lybargerowi do Berlina i pozostać z nim aż do momentu, gdy wygłosi swoje przemówienie. Uprzejmie wymusił na niej, aby dla dobra Lybargera wróciła do łóżka. Rano usłyszy wyjaśnienie historii z kasetą wideo.

Przeżrana, zagniewana i wyczerpana, Joanna miała na tyle przytomności umysłu, by się nie upierać.

-Proszę mi tylko powiedzieć - odezwała się - kto prócz Pascala o tym wiedział? Kto nakręcił ten przeklęty film?

- Nie wiem, Joanno. Z całą pewnością ja go nie oglądałem, więc nawet nie bardzo wiem, co na nim jest. Dlatego proszę cię, żebyś zaczęła do rana, a być może potrafię dać ci sensowniejszą odpowiedź.

- Zgoda - powiedziała, a potem zaczęła, aż wszyscy opuszczą pokój i zamknęła go na klucz.

Salettl natychmiast postawił na warcie u jej drzwi agentkę bezpieczeństwa Friedę Vossler, poleciwszy, by nikt nie wchodził i nie wychodził bez jego pozwolenia.

Pięć minut później siedział w swym gabinecie przy biurku.

Był już czwartkowy ranek. Za niecałe trzydzieści sześć godzin Lybarger znajdzie się w Berlinie, gotowy do wystąpienia w pałacu Charlottenburg. Przecież nikt nawet nie pomyślał, że tak blisko tego terminu coś może w Anlegeplatz pójść niezgodnie z planem. Nakręcił numer Uty Baur w Berlinie. Spodziewał się, że ją obudzi, ale połączono go z jej biurem.

- Guten Morgen. - Była zupełnie rześka i żwawa. O czwartej rano już zaczęła całodzienną pracę.

- Uważam, że powinnaś wiedzieć... Tu w Anlegeplatz coś się pokręciło.

## 86

Zegarek Osborna wskazywał 2.30 rano, czwartek, 13 października.

Obok siebie widział w ciemności Clarksona, śledzącego wzrokiem podświetloną na czerwono i zielono tablicę przyrządów samolotu Beechcraft Baron, który utrzymywał stałą szybkość trzystu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Za nimi McVey i Noble niespokojnie drzemali, sprawiając raczej wrażenie zmęczonych dziadków niż doświadczonych policjantów. W dole Morze Północne połyskiwało w świetle księżycy będącego w trzeciej kwadrze; przytyływ mknął z całą siłą ku brzegom Holandii.

Po chwili położyli maszynę w prawy skręt i weszli w przestrzeń powietrzną Holandii. Następnie przemknęli nad ciemnym zwierciadłem IJsselmeer, a wkrótce potem lecieli nad żyznymi polami uprawnymi na wschód, w stronę granicy niemieckiej.

Osborn próbował sobie wyobrazić Verę, ukrytą w domu na francuskiej wsi. Powinien to być dom farmerski z długim podjazdem, aby strzegący jej ludzie mogli dostrzec każdego przybywającego znacznie wcześniej. A może nie. Może to będzie nowoczesny piętrowy dom w małym

miasteczku przy linii kolejowej, którą przejeżdża bez zatrzymania tuzin pociągów na dobę. Niezwracający uwagi dom, jak tysiące innych w całej Francji, zwyczajny i nieładny, przed którym zaparkowano pięcioletni samochód. Ostatnie miejsce, gdzie agent Stasi szukałby swego celu.

Osborn też musiał się zdrzemnąć, gdyż następną rzeczą, którą ujrzał, był słaby poblask świtu na horyzoncie, w chwili gdy Clarkson schodził beecheafterem poniżej cienkiej warstwy chmur. Tuż pod nimi znajduje się Łaba, powiedział pilot, ciemna i gładka, jak witający ich drogowskaz.

Na niższym pułapie trzymali się jej południowego brzegu przez następne trzydzieści kilometrów, póki nie zaświeciły w oddali światła miasteczka Havelberg.

McVey i Noble obudzili się już i teraz obserwowali, jak Clarkson kładzie samolot na lewe skrzydło i ostro skręca. Zawróciwszy, zamknął przepustnicę i nisko, prawie bezgłośnie przeleciał nad cienistym krajobrazem; światło sygnałowe na ziemi zamrugało dwukrotnie i zgasło.

-Posadź nas - polecił Noble.

Clarkson kiwnął głową i uniósł dziób samolotu. Na chwilę dał pełną moc dwóm silnikom po trzysta koni mechanicznych każdy, wykręcił w prawo ostrą bezkę, a potem przymknął przepustnicę i ponownie zniżył lot. Rozległ się głuchy odgłos wysuwanego podwozia, potem Clarkson wyrównał i znalazł się tuż nad szczytami drzew. Gdy to zrobił, zapalił się rząd niebieskich świateł, wyznaczając trawiasty pas startowy tuż przed nimi. Chwilę później koła dotknęły ziemi, dziób pochylił się i przednie koło także zetknęło się z lądowiskiem. Niebieskie światła natychmiast zgasły i rozległ się ogłuszający ryk, gdy Clarkson przełączył Śmigła na pełną moc wstecz. Przetoczyli się jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymali.

-McVey!

Nazwisko wymówiono z ochrypłym niemieckim akcentem, a zaraz potem rozległ się basowy śmiech, witający Amerykanina schodzącego na mokrą od rosy trawę nadlabskiej łąki, jakieś sto kilometrów na północ od Berlina. Natychmiast został pochwycony w potężny uścisk ogromnego mężczyzny w czarnej skórzanej kurtce i niebieskich dzinsach.

Porucznik Manfred Remmer z Bundeskriminalamt, Federalnego Biura Kryminalnego, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a ważył sto piętnaście kilogramów. Uczuciowy i otwarty, gdyby był dziesięć lat młodszy, mógłby grać jako obrońca w każdym klubie NFL.

Wciąż był tak twardy i miał doskonałą koordynację ruchów. Żonaty, ojciec czterech córek, miał trzydzieści siedem lat, a McVeya znalazł od dwunastu, gdy jako młody detektyw został wysłany na staż do policji w Los Angeles w ramach międzynarodowego programu wymiany policjantów.

Przydzielony na trzy tygodnie do wydziału rozbojów i zabójstw, został na czas szkolenia partnerem McVeya. W ciągu tych trzech tygodni praktykant Manfred Remmer obecny był na sześciu sesjach sądowych, przy dziewięciu autopsjach, siedmiu zatrzymaniach oraz dwudziestu dwóch przesłuchaniach. Pracował sześć dni w tygodniu po piętnaście godzin dziennie, z tych piętnastu siedem było niepłatnych. Remmer spał nie w swym pokoju hotelowym, lecz na kanapie w gabinecie McVeya, na wypadek gdyby zdarzyło się coś wymagającego ich natychmiastowego działania. W ciągu tych dni, gdy byli razem, aresztowali pięciu handlarzy narkotyków, poszukiwanych listami gończymi za morderstwa, oraz wytropili, zatrzymali i zmusili do przyznania się do winy mężczyznę odpowiedzialnego za zamordowanie ośmiu młodych kobiet. Teraz człowiek ów, Richard Homer, siedział w celi śmierci w San Quentin, oczekując na egzekucję, gdyż już wyczerpał wszystkie, ciągnące się przez dziesięć lat możliwości odwołań.

- Cieszę się z naszego spotkania, McVey. Cieszę się, że dobrze wyglądasz, a wiadomość o twoim przybyciu sprawiła mi wielką radość - powiedział Remmer, rozhuśtując swego srebrzystego nieoznakowanego mercedesa, by wyjechać z łąki na pełną drogę. - Wyrzebałem trochę informacji o twoich przyjaciółkach w Interpolu, panach Klassie i Haiderze. Nie było łatwo to dostać. W sumie lepiej będzie przekazać ci to osobiście niż przez telefon... On jest w porządku, tak? - rzucił, spoglądając przez ramię na Osborna, siedzącego wraz z Noble'em na tylnym siedzeniu.

- Tak, w porządku - potwierdził McVey, mrugając do Osborna. Nie było już potrzeby ukrywania przed nim tego, co się dzieje.

- Hugo Klass urodził się w Monachium w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Po wojnie wyjechał z matką do Mexico City. Następnie przenieśli się do Rio de Janeiro, a później do Sao Paulo.

Remmer z trzaskiem przejechał mercedesem przez rów melioracyjny i przyśpieszył, gdy wóz znalazł się na brukowanej drodze. Przed nimi niebo pojaśniało, a na jego tle pojawiły się niewyraźne zarysy Havelbergu.

- W pięćdziesiątym ósmym wrócił do Niemiec, wstąpił do lotnictwa wojskowego, a potem do Bundesnachrichtendienst, Federalnego

Wywiadu Wojskowego, gdzie wyrobił sobie niezłą markę jako ekspert od odcisków palców. No i wreszcie...

-Zaczął pracować dla Interpolu w jego kwaterze głównej. Dokładnie to samo podało nam MI6. - Noble pochylił się ku przednim siedzeniom.

-To świetnie. - Remmer się uśmiechnął. - Wobec tego powiedz nam resztę.

-Przykro mi, ale to wszystko, co mam - odparł sucho Noble, odchylając się z powrotem na oparcie.

-No, oświetl nas. - McVey założył ciemne okulary dla ochrony przed wstającym nad horyzont słońcem.

Osborn zobaczył, jak daleko przed nimi szary sedan mercedes wyjeżdża z bocznej drogi i skręca na szosę. Jechał wolniej niż oni, lecz gdy go dogonili, przyspieszył i Remmer znalazł się tuż za nim. Chwilę później Osborn zauważył, że taki sam wóz wjechał na szosę za nimi i trzyma się blisko. Odwróciwszy się, dostrzegł dwóch mężczyzn na przednim siedzeniu. I wtedy po raz pierwszy zauważył pistolet maszynowy w uchwycie na drzwiach koło lewego łokcia Remmera. Oczywiście było, że ludzie w samochodach przed i za nimi są funkcjonariuszami policji federalnej. Remmer nie podejmował zbędnego ryzyka.

-Klass to nie jego prawdziwe nazwisko. Brzmi ono: Haussmann. Podczas wojny jego ojciec Erich Haussmann był członkiem SS, Schutzstaffel. Numer identyfikacyjny 337795. Był też członkiem SD, Sicherheitsdienst, służby bezpieczeństwa partii hitlerowskiej. - Remmer pojechał za prowadzącym mercedesem na południe, w kierunku autostrady międzyregionalnej. Wszystkie trzy wozy przyspieszyły. - Dwa miesiące przed końcem wojny Haussmann zniknął. Bertha Haussmann wróciła wówczas do panieńskiego nazwiska, Klass. Gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku przenosiła się z synem do Mexico City, nie była zamożna. Pomimo to mieszkała tam w willi z kucharzem i pokojówką i zabrała ich ze sobą, przenosząc się do Brazylii.

-Sądziś, że utrzymywali ją po wojnie nazistowscy emigranci? - spytał McVey.

-Być może, ale jak tego dowieść? W sześćdziesiątym szóstym zginęła w wypadku samochodowym pod Rio. Ale mogę ci powiedzieć, że Erich Haussmann odwiedzał ją i syna kilkadziesiąt razy, w czasie gdy mieszkała w Brazylii.

-Powiedziałeś, że zniknął, zanim wojna się skończyła. - Noble znów pochylił się do nich.

-I udał się prościutko do Ameryki Południowej wraz z ojcem i starszym bratem Rudolfa Haidera, twojego człowieka zatrudnionego w Interpolu wiedeńskim. Tego samego, który tak sprawnie dopomógł Klassowi zrekonstruować odcisk palca Alberta Merrimana. - Remmer wziął paczkę papierosów leżącą na desce” rozdzielczej, wytrząsał jednego i zapalił. - Prawdziwe nazwisko Haidera brzmi Otto - powiedział, wypuszczając dym. - Zarówno jego ojciec, jak i brat byli w SS i SD. Haider i Klass mają po tyle samo lat - pięćdziesiąt pięć. Ich charaktery kształtowały się nie w hitlerowskich Niemczech, lecz w domach nazistowskich fanatyków. Jako nastolatki mieszkali w Ameryce Południowej, gdzie pobierali nauki finansowani przez nazistów na emigracji.

- Myślisz, że to wygląda na neonazistowską konspirację...? - Noble spojrzął na McVeya.

- Interesujący pomysł, wszystko właściwie pasuje. Zamordowanie Merrimana przez agenta Stasi. Upolowanie byłej dziewczyny Merrimana oraz zabicie jego żony wraz z rodziną w Marsylii. Strzały do Lebruna i jego brata, gdy zaczęli się interesować Klassem. Wysłanie w powietrze pociągu, którym jechaliśmy z Osbornem. Zastrzelenie Benny'ego Grossmana, gdy tylko przekazał Noble'owi informacje. Masz rację, Ian. Poskładaj to wszystko razem, a wygląda jak działanie siatki wywiadowczej, przypomina operacje KGB. - McVey zwrócił się do Remmera. - A ty co myślisz, Manny? Czy powiązanie Klasa z Haiderem wskazuje, że to robota jakichś neonazistów?

- Dlaczego „neo”? - warknął Remmer. - Neonaziści to skiny z kieszeniami pełnymi kartofli nadzianych gwoździami, rozbijające łby i wrzeszczące Sieg heil. Dupki pokazywane co wieczór w telewizji, jak biją imigrantów i palą ich schroniska. - Remmer przesunął spojrzenie z McVeya na siedzącego z tyłu Noble'a, a potem na Osborna. Był naprawdę zły. - Merri-man, Lebrun, pociąg Paryż-Meaux, Benny Grossman, który, gdy zatelefonowałem do niego z pytaniem, gdzie się zatrzymać z dziećmi w Nowym Jorku, odpowiedział: „Przyjeżdżaj do mnie!”. Mówisz, że to podobne do działań KGB? A ja uważam, że nie powinniśmy mówić o neonazistach, lecz o neonazistach pracujących dla starych hitlerowców, chcących kontynuować swoje dzieło, które doprowadziło do wymordowania sześciu milionów Żydów i zniszczenia Europy. Neonaziści to przycz, to gówniarze. W tej chwili dokuczliwe zjawisko. To gdzieś w głębi drzemie choroba, skryta za twarzami urzędników bankowych i podających koktajle kelnerek, którzy nawet o tym nie wiedzą, bo to jest jak nasienie czekające na odpowiedni czas, splot różnych czynników, pozwalających mu się odrodzić.

Przeżyj tyle co ja na ulicach i w zaułkach Niemiec, a będziesz to wiedział. Nikt tego głośno nie powie, ale to jest tu obecne, jak wiatr. - Remmer groźnie spojrzął na McVeya, a potem zduśił papierosa i zapatrzył się na drogę przed sobą.

-Manny - powiedział spokojnie McVey - rozumiem, że opowiadasz o swojej prywatnej wojnie. Winę i wstyd, i całą resztę zrzuciło na ciebie inne pokolenie. To, co się wydarzyło, było jego dziełem, nie twoim, ale ty tak czy inaczej wzięłeś to na siebie. Być może musiałeś. Nie sprzeczasz się z tobą. Ale, Manny, emocje to nie fakty.

-Pytasz mnie, czy mam informacje z pierwszej ręki. Odpowiedź brzmi: nie, nie mam.

-A co z policją kryminalną i wywiadem?

Remmer popatrzył na niego.

-Chodzi ci o to, czy zostały wykryte niezbite dowody istnienia zorganizowanego pronazistowskiego ruchu, na tyle poważnego, by liczyć się z jego oddziaływaniem?

-Tak, czy zostały wykryte?

-Odpowiedź jak poprzednio: nie. W każdym razie nie takie, które znałbym ja czy moi przełożeni, a jest faktem, że tego rodzaju sprawy są przedmiotem stałej dyskusji pomiędzy służbami policyjnymi. Polityką naszego rządu jest pozostawać je wachsam, czyli zawsze czujnym, zawsze w pogotowiu.

McVey przez chwilę bacznie mu się przyglądał.

-Ale co ty sam sądzisz? Nastroje dojrzały do...

Remmer zawahał się, a potem kiwnął głową.

-Nigdy nikt o tym nie wspomni. Gdy to nadejdzie, nie usłyszysz słowa „nazi”. Ale tak czy inaczej, oni przejmą władzę. W mojej ocenie nastąpi to za dwa, trzy, w najlepszym razie za pięć lat.

W milczeniu dotarli do granic miasteczka i nieco zwolnili. Za oknem Osborn ujrzał promienie słońca nad szczytami dachów i jesienne liście, okrywające miasteczko dywanem jaskrawej czerwieni i złota. Na rogach ulic czekały dzieci idące do szkoły, a po chodniku posuwała się para starszych ludzi; kobieta wspierała się na lasce, a drugą rękę z dumą wsunęła pod rękę męża. Na skrzyżowaniu stał policjant z drogówki i spierał się z jakimś kierowcą, a sklepikarze wszędzie rozkładali swoje towary.

Trudno było określić wielkość tego miasteczka. Może dwa, trzy tysiące mieszkańców, jeśli wliczy się boczne uliczki oraz przedmieścia, których wprawdzie nie było widać, ale na pewno istniały. Ile jeszcze podobnych



miasteczek budziło się tego ranka w całym Niemczech? Setki, tysiące? Miasteczka, wioski, małe miasta, a wszędzie ludzie żyjący swoim życiem. Czy jest możliwe, by którykolwiek z nich nadal w tajemnicy tęsknił za widokiem szturmowców w opiętych koszulach i opaskach ze swastyką na rękawach? Albo spragniony był tupotu ich błyszczących butów z cholewami, odbijającego się echem od każdych drzwi i okien w Vaterlandzie!

Po co? Straszliwa epoka już pół wieku temu odeszła w przeszłość. Dyskusja o jej dobrych i złych stronach już im się znudziła. Wspólna wina i wstyd nadal ciążyły pokoleniom urodzonym całe dziesięciolecia później. Trzecia Rzesza i jej pragnienia umarły. Być może reszta świata zawsze będzie pamiętać, ale Niemcy pragnęli zapomnieć. Tego Osborn był pewien, gdy rozglądał się wokół. Remmer musiał się mylić.

- Mam dla was jeszcze jedno nazwisko - przerwał milczenie Remmer.  
- Człowieka, któremu Klass i Haider zawdzięczają uzyskanie stałego zatrudnienia w Interpolu. Jest to obecny dyrektor do spraw śledczych, były oficer Paryskiej Prefektury Policji. Sądzę, że go znacie.

- Cadoux? Nie. To niemożliwe! Znam go od lat! - Noble był wstrząśnięty.

- Tak, zgadza się. - Remmer odchylił się na oparciu i zapalił kolejnego papierosa. - Cadoux.

## 87

Za piętnaście siódma Erwin Scholl stał przy oknie gabinetu swego apartamentu na najwyższym piętrze Grand Hotelu Berlin, przyglądając się, jak poranne słońce wznosi się nad miastem. Trzymał w ramionach szarego, długowłosego kota angorskiego, którego głaskał z roztargnieniem. Za jego plecami von Holden telefonował do Salettla w Anlegeplatz, a przez zamknięte drzwi do poczekalni słyszał, jak jego sekretarki odbierają telefony z całego świata, których nie przyjmował.

Na balkonie palił papierosa Wiktor Szewczenko i spoglądając na to, co było Berlinem Wschodnim, czekał na instrukcje. Szewczenko miał trzydzieści dwa lata, mocne i żylaste ciało ulicznego awanturnika. Podobnie jak Bernhard Oven, został zwerbowany z armii radzieckiej i wprowadzony do Stasi przez von Holdena. Następnie, po zjednoczeniu Niemiec, przeszedł do Organizacji i był obecnie szefem jej sektora berlińskiego.

- Nein! - rzucił von Holden tak ostro, że aż Scholl się odwrócił. - Nie. Niepotrzebne! - powtórzył i potrząsnął głową.

Scholl ponownie odwrócił się do okna, ciągle głaszcząc kota. Usłyszał już od von Holdena słowa, które usłyszeć pragnął: Elton Lybarger odpo- czywa i przybędzie do Berlina jutro, zgodnie z planem.

Za trzydzieści sześć godzin setka najbardziej wpływowych obywateli Niemiec zjedzie się tu z całego kraju i zbierze w pałacu Charlottenburg, by go spotkać. Wkrótce po dziewiątej otworzą się drzwi do prywatnej jadalni, w sali zapadnie cisza, on zaś uroczyście wkroczy do środka. Odziany we wspانياły strój wieczorowy, bez laski, samotnie przejdzie udekorowanym środkowym przejściem, zupełnie obojętny na spojrzenia zgromadzonych. Na końcu sali wejdzie po sześciu stopniach na podium i tam, wśród burzy oklasków, odwróci się twarzą do nich jak monarcha. Wreszcie uniesie ręce, nakazując ciszę, i wygłosi najważniejsze i najwspanialsze przemówienie w życiu.

Słyszając, że von Holden kończy rozmowę, Scholl ocknął się z marzeń. Upuściwszy kota na fotel klubowy, usiadł przy biurku.

- Pan Lybarger przypadkowo znalazł kasety wideo i pokazał ją Joannie - powiedział von Holden. - Dziś rano prawie lub zupełnie nie pamiętał filmu. Za to ona sprawia nieco kłopotu. Salettl się tym zajmie.

- Chciał, żebyś ty tam podjechał to załagodzić.

- Tak, ale to nie jest konieczne.

- Pascalu, doktor Salettl ma rację. Jeśli ta dziewczyna będzie zdenerwowana, udzieli się to Lybargerowi, a to jest absolutnie nie do przyjęcia. Salettl może ją ułagodzić, ale na pewno nie w takim stopniu jak ty. Sprawa różnicy między myślami i uczuciami. Weź pod uwagę, o ile trudniej jest wedrzeć się w cudze emocje niż myśli. Nawet jeśli ona zmieni zdanie, może zmienić je ponownie i narobić sporo zamieszania, co jest niedopuszczalne. Ukojona i ugłaskana, zacznie mrużyć jak ten kot, który w tej chwili śpi spokojnie na fotelu.

- Być może tak jest, panie Scholl, ale w tej chwili moje miejsce jest tutaj, w Berlinie. - Von Holden spojrzał Schollowi prosto w oczy. - Niepokoilo pana, że nasz system może okazać się nie tak sprawny, jak zakładaliśmy. Otóż jest i nie jest. Sektor londyński odnalazł rannego francuskiego policjanta Lebruna w szpitalu Westminster w Londynie. Jest pod ścisłą ochroną londyńskiej policji. Sektor londyński wraz z paryskim ustalił, że ten Amerykanin, Osborn, telefonował z Londynu na farmę pod Nancy. Znajduje się tam Vera Monneray, strzeżona przez francuski kontrwywiad.

Scholl siedział nieruchomo, słuchając, z dłońmi splecionymi przed sobą na biurku.

- Do Osborna i McVeya dołączył komandor z Wydziału Specjalnego - kontynuował von Holden. - Nazywa się Noble. Przylecieli do Havelbergu prywatnym samolotem tuż przed świtem i zostali odwiezieni przez inspektora Bundeskriminalamtu nazwiskiem Remmer. Byli eskortowani przez dwa nieoznakowane wozy policyjne Bundeskriminalamtu. Musimy przyjąć, że kierują się tutaj, do Berlina. - Wstał, podszedł do kredensu i napełnił szklankę wodą mineralną. - Nowiny nie najlepsze, ale sprawdzone i nie za późno przekazane. Problem w tym, że udało im się dotrzeć aż tak daleko. I tu nasz system już nie działa. Bernhard Oven powinien zastrzelić ich obu w Paryżu. Tymczasem to jego zastrzelił ten amerykański policjant. Powinni zginąć w wysadzonym w powietrze pociągu, a nie zjawiać się tutaj na półtora dnia przed prezentacją pana Lybargera. - Von Holden opróżnił szklankę i odstawił ją na kredens. - Nie mogę tego rozwiązać, jeśli będę w Zurychu.

Scholl odchylił się na oparcie fotela i uważnie przyjrzał von Holdenowi. Kot zsunął się z fotela i lekkim skokiem przeniósł na jego kolana.

- Jeśli wyruszysz zaraz, Pascalu, będziesz wieczorem z powrotem.

- Panie Scholl, ci ludzie są niebezpieczni. Przecież to jasne. - Von Holden patrzył na niego, jakby Scholl był szaleńcem.

- Czy wiesz, Pascalu, dlaczego oni przyjeżdżają do Berlina? Przyczynę mogę ci podać w dwóch słowach: Albert Merriman. Powiedział im o mnie. - Scholl uśmiechnął się. Najwyraźniej mu to pochwalało. - Gdy po raz pierwszy w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku przybyłem do Palm Springs, spotkałem tam człowieka, który miał wówczas dziewięćdziesiąt lat. W młodości był indiańskim wojownikiem. Opowiedział mi różne rzeczy, między innymi to, że wojownicy zawsze zabijali małych chłopców, gdy tylko ich dopadli. Wiedzieli, że jeśli tego nie zrobią, pewnego dnia ci chłopcy wyrosną na mężczyzn.

- Panie Scholl, jaki z tego płynie wniosek?

- Wniosek, Pascalu, jest taki, że powinienem o tym pamiętać, gdy po raz pierwszy wynająłem Alberta Merrimana. - Długie palce Scholla jak delikatne brzytwy przesuwały się po jedwabistym futrze kota. - Przejrzałem moje prywatne archiwum i stwierdziłem, że jednym z ludzi, którymi zajął się dla mnie Merriman, był mężczyzna projektujący narzędzia medyczne. Nazywał się Osborn. Muszę założyć, że z policjantami jadącymi do Berlina

jest jego syn. - Wstał i z kotem w ramionach podszedł do drzwi wychodzących na balkon. Gdy sięgał po klamkę, otworzył je z zewnątrz Wiktor Szewczenko. - Zostaw nas samych - polecił Scholl, przechodząc koło niego i stając w słońcu.

Dla świata zewnętrznego Erwin Scholl był eleganckim, zadziwiająco wszystkim sobie, pełnym charyzmy mężczyzną. Sam całkowicie nieprzenikniony, miał niemal nadprzyrodzoną zdolność odkrywania motywów, którymi kierują się inni. Prezydenci i mężowie stanu uznali to za bezcenny dar, zapewniający im krytyczny wgląd w najgłębiej skrywane ambicje ich przeciwników. Ale wobec tych, których nie chciał oczarować, był zimny i arogancki, uwielbiał manipulować ludźmi, zastraszając ich i wzbudzając lęk. Natomiast garść bliskich mu ludzi, wśród nich von Holden, uczynił sługami najciemniejszej strony swej natury.

Scholl obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy von Holden wyszedł na balkon i stanął za nim. Na chwilę skierował spojrzenie na ruch uliczny leżącej siedem pięter niżej Friedrichstrasse. Zastanawiał się, czemu właściwie nie ufa młodym ludziom, choć przecież ich ceni. Prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie mógł ukazać im się nago. Za kilka lat dożyje osiemdziesiątki, a trawiło go pożądanie seksualne tak silne jak zawsze. Mimo to... cóż, nigdy w życiu nie odbył z nikim stosunku nago, obojętne - z mężczyzną czy z kobietą. Oni oczywiście mogli się rozbierać, lecz dla niego było to nie do przyjęcia, ponieważ oznaczałoby taki zakres ufności i bezbronności, do jakiego absolutnie nie był zdolny. Prawda była taka, że od dzieciństwa nigdy nie stanął nagi w obecności drugiego człowieka. Jedyne dziecko, które ujrzało go całkowicie rozebranego, zatłukł na śmierć młotkiem i ukrył ciało w piwnicy. Miał wtedy sześć lat.

- Nie przyjechali do Berlina z powodu pana Lybargera ani dlatego, że mają jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się wydarzy w pałacu Charlottenburg. Przybywają z mojego powodu. Gdyby policja miała jakiegokolwiek namacalne dowody mojego powiązania z Merrimanem, już by podjęła działania. Dysponują co najwyżej jego wyznaniem, prawdopodobnie uczynionym Osbornowi. Wobec tego zamierzają podjąć policyjną akcję sondażową. Mają swoją strategię i jakieś kalkulacje, ale łatwe do przewidzenia i skontrolowania przez adwokatów. Co innego Osborn, tu się zgadzam. Przyjeżdża z powodu swego ojca. Nie podlega w ogóle policji i gotów jestem założyć, że posługuje się nimi, w nadziei iż w jakiś sposób do mnie dotrze. Gdy tylko się tu znajdzie, zaryzykuje. I w tym wypadku, obawiam się, musimy

się liczyć z namiętnością i bezwzględnością, czyli czymś, co może wprowadzić spore zamieszanie. - Odwrócił się i von Holden w jasnym świetle słonecznym ujrzał głębokie bruzdy na jego twarzy. - Dano im silną ochronę. Odszukaj ich i obserwuj. W pewnym momencie zechcą się ze mną skontaktować, ustalić czas i miejsce, gdzie moglibyśmy rozmawiać. To będzie dla nas sposobność, by ich izolować. A wtedy ty i Wiktor zrobicie to, co należy. Przedtem jednak pojedziesz do Zurychu.

Von Holden odwrócił na moment wzrok.

- Panie Scholl, pan nie docenia tych ludzi.

Do tej chwili Scholl mówił spokojnie i rzeczowo. Łagodnie głaszcząc trzymanego w ramionach kota, po prostu wyłożył plan działania. Ale nagle jego twarz poczerwieniała.

- Myślisz, że mi się podoba, iż ci ludzie, jak ich nazywasz, jeszcze żyją albo że ta terapeutka Lybargera sprawia kłopoty? To ty za to wszystko odpowiadasz, Pascalu, za wszystko! – Kot wyprężył się przestraszony, ale Scholl mocno trzymał go w ramionach, głaszcząc nieomal mechanicznie. - I jeszcze się ze mną spierasz. Czy ty ustaliłeś, czemu ci ludzie przyjeżdżają do Berlina? Czy ty zrozumiałeś, czego poszukują, i przychodzisz do mnie z planem, co z tym zrobić?

Scholl utkwiał w nim wzrok. Drogi syn, który nie mógł uczynić nic godnego potępienia, nagle to zrobił. To było więcej niż rozczarowanie, von Holden wiedział, że zawiódł zaufanie Scholla. Scholl musiał walczyć z Dortmundem, Salettlem i Utą Baur, by uczynić go odpowiedzialnym za bezpieczeństwo całej Organizacji i wprowadzić do jej wewnętrznego kręgu. Zabrało to całe miesiące i Scholl wreszcie tego dokonał, przekonawszy ich, że są ostatnimi żyjącymi członkami hierarchii. Przekonał ich, że są starzy, a nie zabezpieczyli się na przyszłość. Największe w historii imperia zniknęły prawie z dnia na dzień, ponieważ nie stworzono jasnego planu sukcesji władzy. We właściwym czasie na czele Organizacji staną inni. Może Peiperowie albo Hans Dabritz, Henryk Steiner, nawet Gertrudę Biermann. Ale ten czas jeszcze nie nadszedł i do tej chwili Organizacji potrzebna jest ochrona wewnętrzna. Scholl znał von Holdena, gdy ten był jeszcze dzieckiem; gwarantował, że ma właściwe pochodzenie i wyszkolenie, a przez długi okres dowiódł swej kompetencji i lojalności. Musieli mu zaufać, jeśli nie z jakiegokolwiek innego powodu, to dla zabezpieczenia celu całej ich pracy.

- Przepraszam, że pana rozczarowałem - wyszeptał von Holden.

-Pascalu - powiedział cicho Scholl, wyraźnie złagodniawszy - wiesz, że jesteś mi kimś najbliższym, prawie synem. – Kot w jego ramionach odprężył się i Scholl znowu zaczął go głaskać. - Ale dziś nie mogę sobie pozwolić, by rozmawiać z tobą jak z synem. Jesteś Leiter der Sicherheit i w pełni odpowiadasz za bezpieczeństwo całej operacji. - Jego dłoń błyskawicznym mchem zacisnęła się na kocim karku. Nagłym szarpnięciem podniósł zwierzę z ręki, do której się tuliło, i wystawił je za balkon, gdzie dwadzieścia kilka metrów niżej kłębił się ruch uliczny.

Zwierzę prychnęło, z wrzaskiem zwinęło się w kulę, szarpiąc dłoń i ramię Scholla, rozpaczliwie poszukując sposobu, by się na nie wspiąć.

-Nigdy nie powinieneś kwestionować moich rozkazów, Pascalu.

Prawa przednia łapa kota wystrzeliła, ryjąc poszarpaną, krwawą rysę na wierzchu dłoni Scholla, ale ten nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

-Nigdy. Czy to jasne?

Rozdarłszy mu ciało, kot bił pazurami jeszcze i jeszcze, aż ramię i dłoń Scholla spływały krwią. Ale Scholl utkwiał spojrzenie w oczach von Holdena. Nie istniał ból, ponieważ nic innego nie istniało. Ani kot. Ani ruch uliczny w dole. Tylko von Holden. Scholl żądał od niego całkowitego posłuszeństwa. Nie tylko w tej chwili, ale do końca życia.

- Tak, proszę pana. To jasne - wyszeptał von Holden. Scholl wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę.

-Dziękuję, Pascalu - powiedział spokojnie i otworzył dłoń, a kot, wrzeszcząc w przerażeniu, spadł jak kamień. Wówczas Scholl odsunął dłoń od poręczy balkonu i lekko ją podniósł; spływała po niej krew, znikając pod niepokalanie białym mankietem jego koszuli. - Pascalu - oznajmił - gdy nadejdzie czas, okaż najwyższy szacunek młodemu doktorowi. Zabij go pierwszego.

Von Holden skierował spojrzenie na trzymaną przed nim dłoń, a potem znów na twarz Scholla.

- Tak, proszę pana... - wyszeptał ponownie.

A wtedy, jakby stosując się do tajemnego i starożytnego rytuału, Scholl opuścił dłoń, von Holden zaś padł na kolana, ujął ją, podniósł do ust i zaczął zlizywać z niej krew. Najpierw z palców, potem powoli przesunął się ku śródręczu, a potem jeszcze wyżej, do samego nadgarstka. Robił to niespiesznie i z otwartymi oczami, wiedząc, że Scholl stoi nad nim i przygląda się, całkowicie nieruchomy. Kontynuował swą czynność, językiem i wargami wysysając rany, aż wreszcie Schollem wstrząsnął silny dreszcz i cofnął się.

Von Holden powoli wstał i przez chwilę wpatrywał się w niego, a potem nagle odwrócił się i wszedł do pokoju, pozostawiając Scholla samego, by doszedł do siebie.

## 88

### Londyn, 7.45 rano

Minie Whitehead, obdarzona niezwyklej wielkości biustem, ulubiona pielęgniarka Lebruna, właśnie skończyła obmywać go gąbką i wzruszała mu poduszki pod głową, gdy wkroczył Cadoux w galowym mundurze.

- Znacznie łatwiej przedostać się przez lotniska w ten sposób - powiedział z szerokim uśmiechem, wskazując swój mundur.

Lebrun podniósł rękę, by ująć dłoń starego przyjaciela. Tlen nadal dostarczano mu rurkami do nosa, które utrudniały mówienie.

- Oczywiście, nie przyjechałem, by cię zobaczyć, przyjechałem, by spotkać pewną panią - zażartował Cadoux, uśmiechając się do pielęgniarki.

Zarumieniła się, zachichotała, mrugnęła do Lebruna i wyszła z pokoju.

- Jak się czujesz, przyjacielu? - Cadoux przysunął krzesło i usiadł koło Lebruna. - Jak cię tu traktują?

Przez jakieś dwanaście minut Cadoux gadał o starych czasach, wspominając dni ich młodości, najlepszych przyjaciół w całym sąsiedztwie, dziewczyny, które znali, kobiety, z którymi się wreszcie poženili, dzieci, które z nimi mieli, śmiejąc się głośno na żywe wspomnienie swej ucieczki z domu, gdy postanowili zaciągnąć się do Legii Cudzoziemskiej, skąd odesłano ich ciupasem z powrotem pod eskortą dwóch prawdziwych legionistów, ponieważ mieli tylko po czternaście lat. Cadoux uśmiechał się serdecznie i często śmiał się w głos, próbując rozweselić swego rannego kumpla.

Przez całą ich rozmowę wskazujący palec prawej dłoni Lebruna spoczywał na nierdzewnej stali spustu pistoletu kalibru .25, ukrytego pod pościelą i wycelowanego w pierś Cadoux. Zaszyfrowane ostrzeżenie od McVeya było absolutnie jasne. Cadoux był starym i umiłowanym przyjacielem, ale wszystko wskazywało na to, że jest jednym z czołowych konspiratorów pracujących dla wrogów. Najprawdopodobniej to on sterował

tajnymi operacjami wewnątrz Interpolu w Lyonie i on nakazał egzekucję brata Lebruna oraz zamordowanie samego Lebruna na dworcu kolejowym w Lyonie.

Jeśli McVey miał rację, Cadoux przybył z wizytą tylko z jednego powodu: musiał dokończyć to, co mu zlecono.

Ale im więcej mówił, tym bardziej był ożywiony, a Lebrun zaczął się zastanawiać, czy McVey się nie mylił lub czy informacja nie była błędna. A poza tym, jak mógł się na to porwać, gdy uzbrojeni policjanci stali po drugiej stronie ciągle otwartych drzwi?

-Przyjacielu - rzekł, wstając Cadoux - wybacz, ale muszę zapalić, i wiem, że nie mogę tego zrobić tutaj. - Wziął czapkę i skierował się do drzwi. - Zejdę do holu i wrócę za chwilę.

Cadoux wyszedł, a Lebrun się odprężył. McVey musiał się mylić. Chwilę później wszedł do środka jeden z policjantów.

-Wszystko w porządku?

-Tak, dziękuję.

-Ten facet tutaj ma zmienić panu pościel. - Policjant stanął z boku, a potężny mężczyzna w stroju posługacza szpitalnego wszedł ze świeżą białą pościelą.

-Dzień dobry panu - powiedział z akcentem cockneya. Policjant wyszedł na korytarz, a posługacz złożył pościel na krześle obok łóżka. - Będzie troszkę zaciszniej, nie? - oznajmił, zrobił dwa kroki i zamknął drzwi.

W głowie Lebruna zadzwonił dzwonek alarmowy.

-Dlaczego zamknąłeś drzwi? - zawołał po francusku.

Mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął. A potem nagle wyciągnął rękę i wyrwał rurki tlenowe z nosa Lebruna. Ułamek sekundy później przycisnął poduszkę do jego twarzy i runął na nią całym ciężarem.

Lebrun walczył jak szalony, szukając prawą dłonią pistoletu. Ale ciężar potężnego mężczyzny w połączeniu z jego własną słabością spowodowały, że przegrał walkę. Kiedy natrafił ręką na pistolet i zaczął się szamotać, by strzelić mężczyźnie w brzuch, ten nagle zmienił pozycję i lufa broni uwięzła w pościeli. Lebrun zamruczał, gorączkowo próbując uwolnić pistolet. Jego płuca wołały o powietrze. I w tym właśnie momencie zrozumiał, że umrze. Wszystko wokół gwałtownie poszarzało, potem szarość pogłębiła się, choć jeszcze nie przeszła w czerń. Chyba ktoś wyjął mu broń z ręki, ale nie był pewien. A potem usłyszał przytłumione puknięcia i ujrzał najjaśniejsze światło w życiu.

Lebrun nie mógł już widzieć, jak posługacz odchyła pościel, Wyszarpuje mu pistolet z ręki i przykładą do ucha pod poduszką. Z tego samego



powodu nie mógł zobaczyć swego mózgu i odłamków kości bryzgających na ścianę obok łóżka i przylepiających się do malowanego na biało tynku jak splamiona szkarłatem galareta. Pięć sekund później drzwi się otworzyły. Zaskoczony posługacz wycelował broń w tamtą stronę. Cadoux wszedł, unosząc dłoń, i spokojnie zamknął za sobą drzwi. Posługacz z ulgą opuścił pistolet i kiwnął głową w stronę Lebruna. W tym momencie dostrzegł, jak służbowy rewolwer Cadoux wysuwa się z kabury.

- Co to znaczy?! - wrzasnął. Jego krzyk utonął w huku.

Wbiegający z korytarza policjanci usłyszeli jeszcze dwa wystrzały i ujrzeli Cadoux, stojącego nad martwym mężczyzną; w jego dłoni wciąż tkwił pistolet.

- Ten człowiek właśnie zastrzelił inspektora Lebruna - powiedział Cadoux.

## 89

### Brandenburg, Niemcy

- Ten Charlottenburg, gdzie Scholl wydaje jubel, co to takiego?

McVey pochylił się z tylnego siedzenia. Remmer jechał za prowadzącym wozem wzdłuż bulwaru wysadzanego wspaniałymi drzewami o jesiennie żółtych liściach, koło mieszczańskich kamienic piętnastowiecznego miasta Brandenburg, kierując się w jasnym świetle słonecznym do Berlina.

- Co to takiego? - Remmer rzucił okiem na odbicie McVeya w lusterku. - Skarbiec sztuki baroku. Muzeum, mauzoleum, dom tysiąca skarbów szczególnie drogich niemieckiemu sercu. Letnia rezydencja prawie wszystkich królów pruskich od Fryderyka I do Fryderyka Wilhelma IV.

Osborn spojrział w przestrzeń. Poranne słońce powoli wspinało się wyżej, przemalowując grupę stawów z ciemnej purpury na jaskrawy błękit. Nadchodzące zakończenie wszystkiego, co zdarzyło się przez ostatnie dziesięć dni - tak szybko, tak brutalnie i po tak wielu latach - działało paraliżująco. Myśl o tym, co teraz nastąpi w Berlinie, jeszcze bardziej. Czuł się tak, jakby poniosła go fala przyływu, której nie mógł kontrolować. Ale równocześnie odniósł dziwne i uspokajające wrażenie, że prowadzi go jakaś nieznaną ręką i że cokolwiek go teraz czeka - jakkolwiek tajemnicze, niebezpieczne czy przerażające to będą wydarzenia - nastąpi z uzasadnionej przyczyny i zamiast walczyć, powinien to przyjąć z ufnością. Zastanawiał się, czy innych też to dotyczy.

McVey, Noble i Remmer bardzo się różnili, pochodzili z innych światów i byli w bardzo różnym wieku. Czy ich i jego losy zostały związane przez tę samą siłę, której istnienie teraz odczuwał? Jakże to możliwe, jeśli ledwie tydzień temu nie znalazł żadnego z nich? Ale też jak inaczej to wytłumaczyć?

Pozwoliwszy myślom płynąć swobodnie, Osborn zwrócił znów spojrzenie na mijany krajobraz, na falisty, rzadko zalesiony sielankowy kraj, gęsto usiany stawami. Nagle, na moment, widok zasłoniła mu wielka kępa iglaków. Równic szybko zniknęły i w dali Osborn ujrzał, jak słońce oblewa najwyższe wieże piętnastowiecznej katedry. I nagle zrozumiał, że miał rację: wszyscy tu obecni - McVey, Noble, Remmer i on sam - znaleźli się tutaj z powodu jakiegoś wielkiego planu, byli częścią przeznaczenia, przekraczającego zdolność ich pojmowania.

## **Nancy, Francja**

Zza wzgórz wyjrzało poranne słońce, malując brązowo-biały wiejski dom kolorami van Gogha.

Na zewnątrz agenci kontrwywiadu Alain Cotrell i Jean-Claude Dumas wypoczywali na frontowym ganku. Dumas w jednej dłoni kołysał kubek kawy, w drugiej karabin kalibru dziewięć milimetrów. Cztery metry dalej, przy długim podejździe w połowie drogi między szosą i domem, agent Jacques Montand, z przewieszonym przez ramię francuskim karabinem szturmowym Famas, stał oparty o drzewo, przyglądając się pochodowi mrówek, krzątających się u podstawy pnia.

Wewnątrz domu Vera siedziała przy antycznej toalecie koło wychodzącego na front okna sypialni i kończyła piątą stronę długiego listu miłostnego do Paula Osborna. Próbowwała w ten sposób znaleźć jakiś sens we wszystkim, co się dzieje i co działo się od chwili, gdy się poznali, a równocześnie zając myśli czym innym niż spekulowaniem na temat gwałtownego przerwania ich rozmowy telefonicznej poprzedniego wieczoru.

Najpierw myślała, że to coś związanego z siecią telefoniczną i że Paul zadzwoni jeszcze raz. Ale w miarę jak godziny ciągnęły się jedna za drugą, rozumiała, że coś się wydarzyło. Co takiego - nie chciała nawet myśleć. Resztę wieczoru, a także większość nocy spędziła na czytaniu dwóch czasopism lekarskich, jakby specjalnie w tym celu zabranych, choć przecież

opuszczała Paryż w takim pośpiechu. Niepokój i lęk to uczucia na dłuższą metę nie do zniesienia, a ona obawiała się, że będą jej towarzyszyć przez cały czas.

O świcie, nadal nie mając wiadomości od Paula, zdecydowała, że z nim porozmawia. Przeniesie na papier to, co powiedziałyby mu w cztery oczy. Jak gdyby nic się nie zdarzyło, a oni byli zwykłymi ludźmi, którzy spotkali się w zwyczajnych okolicznościach. Wszystko to oczywiście miało służyć temu, by wyobraźnia całkowicie nią nie zawładnęła.

Odłożywszy pióro, zaczęła czytać swój list i nagle wybuchnęła śmiechem. To, co miało płynąć z głębi serca, okazało się chaotycznym, rozwlekłym, pseudointelektualnym traktatem o sensie życia. Chciała napisać list miłosny, a stworzyła coś, co wyglądało raczej na próbne wypracowanie kandydatki na nauczycielkę angielskiego w prywatnej szkole dla dziewcząt. Nadal śmiejąc się, przedarła kartki na czworo i cisnęła je do kosza na śmiecie. W tym momencie usłyszała samochód skręcający z szosy i kierujący się długim podjazdem ku domowi.

Był to czarny peugeot z niebieskimi światłami policyjnymi zamontowanymi na dachu. Gdy wóz dotarł do połowy drogi, zobaczyła, jak agent Montand wychodzi na szosę z podniesionymi rękami, gestem nakazując zatrzymanie. Samochód stanął, a Montand podszedł do okienka od strony kierowcy. Chwilę później przemówił do swego radia, poczekał na odpowiedź, kiwnął głową, a wóz ruszył dalej.

Gdy zbliżył się do domu, Alain Cotrell wyszedł mu na spotkanie i podobnie jak Montand nakazał kierowcy się zatrzymać. Za nim podszedł Jean-Claude Dumas, zsunąwszy karabin z ramienia.

-Oui, madame - powiedział Alain, gdy okienko kierowcy opuściło się i wyjrzała przez nie bardzo przystojna, ciemnowłosa kobieta.

-Nazywam się Avril Rocard - odparła po francusku, pokazując legitymację z fotografią. - Z Pierwszej Prefektury Paryskiej Policji. Przyjechałam tu po pannę Monneray, by zabrać ją do Paryża na żądanie detektywa McVeya. Będzie wiedziała, co to oznacza. - Pokazała oficjalny rozkaz na papierze z nagłówkiem rządu francuskiego. - To rozkaz kapitana Cadoux z Interpolu. I na polecenie premiera, Francois Christiana.

Agent Cotrell wziął papier, spojrzął na niego, a potem zwrócił. W tym czasie Jean-Claude Dumas obszedł wóz i zajrzał do środka. Poza kobietą nie było nikogo.

-Chwileczkę - powiedział Cotrell. Cofnął się, wyjął swoje radio z kieszeni marynarki i odszedł dalej. W tym czasie Dumas wrócił na stronę kierowcy.

Spojrzawszy w lusterko wsteczne, Avril zobaczyła agenta Montanda za sobą, stojącego na drodze dojazdowej o trzydzieści metrów od niej.

-Czy mogę otworzyć torebkę, by wyjąć papierosa? - spytała Avril, patrząc na Dumasa.

-Oui. - Dumas kiwnął głową, a potem patrzył, jak prawa dłoń Avril sięga po torebkę, by wydobyć papierosa. Dał się zaskoczyć; to lewa ręka miała zaatakować. Rozległy się dwa szybko po sobie następujące trzaski i Dumas padł do tyłu na Cotrella. Cotrell na chwilę stracił równowagę; widział tylko berettę w dłoni Avril. Podskoczyła jeden raz, a Cotrell chwycił się za szyję. Drugi strzał trafił go między oczy, kładąc trupem na miejscu.

Montand biegł w jej stronę, podnosząc do strzału karabin szturmowy, gdy wycelowwała z beretty. Pierwszy strzał trafił go w nogę, obalając na ziemię i posyłając famasa z brzękiem przez całą szerokość podjazdu, poza zasięg jego rąk. Montand leżał na ziemi, zaciskając zęby z bólu i próbując sięgnąć po karabin, gdy kobieta się zbliżyła. Patrząc na niego z góry, powoli uniosła pistolet. Dala mu chwilę, w pełni był tego świadom, a potem strzeliła. Raz tuż pod lewe oko. Raz w serce.

Potem, wygładziwszy żakiet, odwróciła się i ruszyła do wiejskiego domu.

## 90

Z okna sypialni Vera wszystko widziała. Natychmiast chwyciła telefon, ale w słuchawce dźwięczał tylko sygnał. W żaden sposób nie mogła wejść na linię ani zadzwonić do telefonistki w centrali.

Gdy Francois ją tu przywiózł, prosiła go o pistolet, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Nic nie może pójść nie tak, powiedział. Strzegący jej ludzie są najlepsi z całego kontrwywiadu. Upierała się, że zbyt dużo już się wydarzyło, że tamci, kimkolwiek są, umieją znaleźć sposoby, aby sprawy poszły nie tak. Odpowiedź Francois brzmiała, że właśnie z tego powodu tu się znalazła, ponad trzysta kilometrów od Paryża, w samotni poza zasięgiem zła i strzeżona przez jego najlepszych i najlojalniejszych ludzi. I to zakończyło dyskusję.

A teraz jego najlepsi i najlojalniejsi ludzie leżeli rozciągnięci na podjeździe, a kobieta, która ich zabiła, zbliżała się do domu.

Avril Rocard dotarła do skrajnego podjazdu, przeszła przez mały trawnik i weszła na ganek. Jak dotąd wywiad Organizacji dostarczył prawdziwych danych. Trzech ludzi pilnowało domu. Ostrzeżono ją przed możliwością, że przeoczyli w jakiś sposób czwartego, który mógł czekać wewnątrz. Było też możliwe, że któryś agent nadał przez radio sygnał alarmu, zanim go zabiła. Musiała działać szybko.

Wcisnęła do beretty nowy magazynek, stanęła z boku drzwi wejściowych i nacisnąwszy klamkę lewą ręką, lekko je popchnęła. Dębowe drzwi się uchyliły. Wewnątrz panowała cisza. Jedyne dźwięki dochodziły zza jej pleców, gdzie ptaki znów podjęły swą pieśń po nagłej ciszy, która nastąpiła po pierwszych strzałach.

- Vera - powiedziała ostro - nazywam się Avril Rocard. Jestem oficerem policji. Telefony są wyłączone. Francois Christian przysłał mnie po ciebie. Okazało się, że twoja ochrona to kryminaliści, którzy przeniknęli do kontrwywiadu.

Cisza.

- Vera, czy ktoś jest z tobą? Czy dlatego nie możesz się odezwać'?

Avril powoli popchnęła drzwi, tak że mogła przez nie przejść. Na lewo od niej była pusta ściana, jeśli nie liczyć stojącej przy niej długiej ławki. Na wprost przez otwarte drzwi widać było salon. Dalej korytarz nikał w cieniu.

- Vera? - powiedziała znowu.

Nadal nie było odpowiedzi.

Vera stała dokładnie w wejściu do korytarza. Zaczęła kierować się do tylnego wyjścia, ale przypomniała sobie, że prowadzi ono na otwarty trawnik, ciągnący się aż do stawu dla kaczek. Będzie tam świetnym celem.

- Vera - rozległ się ponownie głos Avril i lekkie trzeszczenie desek podłogi pod jej stopami. - Nie bój się, Vera. Jestem tu, by ci pomóc. Jeśli ktoś cię trzyma, nie ruszaj się. Nie walcz. Po prostu zostań tam, gdzie jesteś. Przyjdę do ciebie.

Vera głęboko zaczerpnęła powietrza i wstrzymała oddech. Na prawo od niej było małe okienko, więc wyjrzała przez nie, w nadziei że ktoś może nadejść podjazdem. Agenci mający zmienić zabitych strażników, listonosz, ktokolwiek. .

- Vera...

Głos Avril rozlegał się coraz bliżej. Szła do niej. Vera spojrzała na

dół. Była lekarką, wyszkoloną do ratowania życia. Nie miała treningu w odbieraniu go. Ale nie umrze, nie tutaj, jeśli w jakikolwiek sposób może tego uniknąć. Trzymała w rękach kawał ciemnoniebieskiego sznura pamsmanteryjnego, oderwanego od zastony w sypialni.

-Jeśli jesteś sama i chowasz się, proszę, żebyś wyszła, Vera. Francois czeka na wiadomość, że jesteś bezpieczna.

Vera nastawiła uszu. Głos Avril się oddalał. Może poszła do salonu. Vera odetchnęła głęboko i odprężyła się.

I w tym właśnie momencie okienko z jej prawej strony się rozprysło.

Avril była właśnie tam! Dał się słyszeć ostry odgłos strzału i wszędzie posypały się odłamki drewna. Drzazgi powbijały się w szyję i twarz Very, która krzyknęła. Wtedy w ramie okiennej ukazała się dłoń z pistoletem szukającym celu do ostatniego strzału. Ręce Very błyskawicznie owinęły dłoń Avril ciemnoniebieskim sznurem. Zaciśnęła go mocno i z całej siły pociągnęła ku sobie. Głowa zaskoczony Avril wcisnęła się do środka przez potraskane szkło. Rozległ się głuchy stuk padającej do stóp Very beretty.

Z twarzą pociętą rozbitym szkłem i zakrwawioną Avril walczyła dzielnie, by się uwolnić. Ale jej opór tylko wzmógł zdecydowanie Very. Ciągąc z całej siły sznur w swoją stronę, sprawiła, że ramię Avril znalazło się w środku, a jej tułów opierał się o zewnętrzną ścianę domu. Teraz szarpnęła z całej siły sznur. Usłyszała trzask, a potem krzyk Avril, gdy jej ramię wyskoczyło ze stawu. Wówczas Vera puściła sznur, a ramię powoli wysunęło się z okna; Avril zwała się na ziemię, wrzeszcząc z bólu.

-Kim jesteś? - zapytała Vera, wyszedłszy na zewnątrz.

Trzymała berettę wycelowaną dokładnie w długonogą postać w ciemnej spodniczce, skuloną na ziemi, z jedną ręką skręconą pod ciałem. - Odpowiadaj. Kim jesteś? Dla kogo pracujesz?

Avril milczała. Vera zbliżyła się bardzo ostrożnie. Leżąca na ziemi kobieta była zawodowcem. W ciągu minionych pięciu minut zastrzeliła trzech mężczyzn i próbowała ją zabić.

-Wysuń zdrowe ramię przed siebie i odwróć się, tak żebym widziała obie twoje ręce - rozkazała Vera.

Avril się nie poruszyła. Nagle Vera dostrzegła purpurową plamę krwi w miejscu, gdzie piersi i ramię kobiety dotykały ziemi. Kopnęła nogę Avril. Żadnej reakcji.

Zbliżyła się, drżąc, trzymając broń wycelowaną, gotową do strzału. Schyliła się ostrożnie, chwyciła bark Avril i przewróciła ją na plecy. Spod podbródka krew spływała na bluzkę. Lewą dłoń Avril miała zaciśniętą.

Vera kucnęła i ją rozwarła. Krzyknęła i odskoczyła. Kobieta trzymała w dłoni brzytwę. W czasie, którego Vera potrzebowała, by podnieść pistolet i wyjść z domu, Avril Rocard poderżnęła sobie gardło.

## 91

### Berlin, 11.00 rano

Blond kelnerka w bawarskim stroju ludowym uśmiechnęła się przełotnie do Osborna, postawiła parujący dzbanek z kawą na stole i odeszła. Wjechali do Berlina autostradą i pojechali prosto do małej restauracyjki przy Waisenstrasse, która reklamowała się jako jedna z najstarszych w Berlinie. Właściciel, Gerd Epplemann, drobny, łysiejący człowiek w wykrochmalonym białym fartuchu poprowadził ich od razu na dół do prywatnej jadalni, gdzie czekał Diedrich Honig.

Honig miał ciemne, falujące włosy i starannie przystrzyżoną brodę z pasemkami siwizny. Był prawie tak wysoki jak Remmer, lecz szczuplej budowy, a wystające ze zbyt krótkich rękawów marynarki ręce sprawiały, że wydawał się jeszcze wyższy. Z lekka przygarbiony, z pochyloną głową, przypominał Abrahama Lincolna.

- Chciałbym, żebyście panowie byli świadomi ryzyka. - Honig chodził po pokoju, nie spuszczać z nich wzroku. - Erwin Scholl jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi Zachodu. Jeśli go ruszycie, wsadzicie kij w mrowisko i zapewniam, że reakcja przekroczy wasze wyobrażenie. Możecie okryć wstydem siebie i wasze wydziały. I albo zostanieie wyrzuceni, albo zmuszeni do rezygnacji. Ale na tym się nie skończy, bo gdy tylko wyjdziecie spod parasola ochronnego waszych instytucji, tłum adwokatów wytoczy wam procesy o naruszenie praw, o jakich nigdy nie słyszeliście, i w sposób, którego nawet nie spróbujecie zgłębiać. Znajdą sposoby, by odebrać wam wasze domy, samochody, wszystko. Będziecie mieli szczęście, jeśli pozostawią wam emerytury. Taka jest potęga ludzi podobnych do Erwina Scholla.

Po tych słowach Honig usiadł przy długim stole i nalał sobie filizankę mocnej czarnej kawy, pozostawionej przez bawarską kelnerkę. Honig, obecnie emerytowany komendant główny policji berlińskiej, był człowiekiem, o którego względy zabiegali bardzo bogaci i potężni ludzie ze sfer związanych z niemieckim przemysłem. Ostatnie stadia zimnej wojny nie

wpłynęły na ograniczenie morderczych poczynań międzynarodowych terrorystów. W rezultacie bezpieczeństwo, zarówno własne, jak i rodzin, stało się naprawdę poważnym problemem dla rekinów europejskiego biznesu. W Berlinie ochrona elity finansowej należała do Honiga. Tak więc, jeśli ktośkolwiek wiedział, w jaki sposób bogaci i potężni bronią się w sytuacjach podbramkowych, szczególnie w Berlinie, to człowiekiem tym był Diedrich Honig.

-Z całym należnym szacunkiem, panie Honig - zjeżył się McVey - już mi grożono i jak dotąd przeżyłem. To samo mogę powiedzieć o inspektorze Noble'u i o Remmerze. Zapomnijmy więc o tym i przejdźmy do powodu naszego przyjazdu. Morderstwa. Cała ich seria, która być może zaczęła się trzydzieści czy więcej lat temu i ciągnie aż do dzisiaj. Jednego z nich dokonano w Nowym Jorku w ciągu ostatniej doby. Ofiarą padł Żyd Benny Grossman. Glina, mój bardzo bliski przyjaciel. - Głos McVeya był pełen złości. - Pracowaliśmy nad tym od pewnego czasu, lecz dopiero ostatniego dnia, czy coś koło tego, zaczęliśmy mieć nikłe pojęcie o źródle tego wszystkiego. I coraz częściej pojawia się postać Erwina Scholla. Chodzi o zawodowych morderców, przestępstwa, za które grozi wieloletnie więzienie, a nawet kara śmierci.

Tuż nad nimi rozległy się śmiechy, skrzywienie desek podłogi; ludzie schodzili się na lunch. Równocześnie napłynął dojmujący zapach kiszzonej kapusty.

-Chcę rozmawiać z Schollem - powiedział McVey.

-Nie wiem, czy to możliwe, detektywie. - Honig nie ukrywał sceptycyzmu. - Jest pan Amerykaninem. W Niemczech nie ma pan władzy. I jeśli nie będzie pan miał niepodważalnych dowodów morderstwa popełnionego tutaj, ja...

-To ma być tak. - McVey udał, że nie dostrzega jego niechęci. - Potrzebny jest nakaz aresztowania wystawiony dla inspektora Remmera. Na jego podstawie Scholl ma trafić w ręce Federalnego Biura Kryminalnego, a następnie zostanie ekstradowany do Stanów Zjednoczonych. Zarzut dotyczy podejrzenia o wynajmowanie płatnego mordercy. Konsulat amerykański zostanie oczywiście uprzedzony.

-Tego typu nakaz dla człowieka takiego jak Scholl nic nie oznacza - odparł spokojnie Honig. - Dla jego prawników to małe piwo.

-Wiem - odrzekł McVey. - Ale potrzebuję go tak czy inaczej.

Honig skrzyżował ręce na stole przed sobą i wzruszył ramionami.

-Panowie, cóż mogę wam obiecać: zrobię, co w mojej mocy.



McVey pochylił się do niego.

- Jeśli nie może pan tego załatwić, proszę mi to teraz powiedzieć. Znajdę kogoś, kto będzie mógł. I w dodatku to musi być załatwione dzisiaj.

## 92

Za dziesięć ósma von Holden wyszedł z apartamentu Scholla w Grand Hotelu Berlin. O dziesiątej dwadzieścia jego osobisty odrzutowiec położył się na skrzydło i podszedł do lądowania na lotnisku Kloten w Zurychu.

O dziesiątej pięćdziesiąt dwie jego limuzyna wjechała do Anlegplatz, a o jedenastej von Holden cicho zapukał do drzwi sypialni Joanny. Będzie musiał ją ugłaskać, zrobić, co tam trzeba, żeby znów była chętna do współpracy i z równym zapałem troszczyła się o Eltona Lybargera. Von Holden trzymał w ramionach szczeniaka bernardyna, którego kazał przygotować na swój przyjazd.

- Joanno - powiedział, gdy jego pukanie pozostało bez odpowiedzi. - Tu Pascal. Wiem, że jesteś wytrącona z równowagi. Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie mam nic do powiedzenia ani tobie, ani komukolwiek innemu - warknęła przez zamknięte drzwi.

- Proszę...

- Nie! I zjeżdżaj, do cholery!

Von Holden położył dłoń na gałce klamki i obrócił nią.

- Zamknęła drzwi na klucz - oświadczyła twardym głosem Frieda Vossler.

Von Holden odwrócił się, by na nią popatrzeć. Silna, apodyktyczna, miała kanciąstą szczękę i mysiego koloru włosy. Powinna się trochę rozluźnić, uśmiechnąć, trzeba trochę więcej kobiecości, jeśli jakikolwiek mężczyzna miał na nią spojrzeć z uczuciem innym niż niesmak.

- Możesz odejść - rzucił.

- Mam rozkaz, żeby...

- Możesz odejść! - Von Holden spojrzał na nią groźnie.

- Tak, panie von Holden.

Frieda Vossler przyczepiła swoje walkie-talkie do paska i odchodząc, popatrzyła na niego ostro. Gdyby była mężczyzną i żołnierzem Specnazu, zabiłby ją za to jedno spojrzenie. Szczeniak zaskomlał i zaczął kręcić się w jego ramionach i von Holden odwrócił się ponownie do drzwi.

- Joanno - powiedział łagodnie - mam dla ciebie prezent. Prawdę mówiąc, jest dla Henry'ego.

- Co z Henrym? - Nagle drzwi otwały się na całą szerokość i stanęła w nich Joanna, bosa, w džinsach i sweterku.

Pięć minut później von Holden scałował łyzy z oczu Joanny i patrzył na nią, jak bawi się z pięcioletnim bernardynem na podłodze. Von Holden wyjaśnił, że nagranie jej tak drastycznej przygody seksualnej było okrutnym badaniem, przeciw któremu on sam protestował ze wszystkich sił. Ale nalegali na to dyrektorzy firmy Lybargera, ponieważ zakwestionowano jego zdolność do ponownego objęcia kierownictwa wartej pięćdziesiąt miliardów dolarów wielonarodowej korporacji. W obawie przed następnym wylewem krwi do mózgu lub atakiem serca gwaranci ich ubezpieczenia domagali się niedwuznacznego dowodu jego siły i fizycznego wigoru w najbardziej wyczerpujących sytuacjach. Zwykle testy okazały się niewystarczające i gwaranci zażądali, by ich lekarz w porozumieniu z Salettem opracował coś specjalnego.

Salettl, wiedząc, iż Lybarger nie ma żony ani nie jest z nikim w tej chwili związany, a równocześnie zdając sobie sprawę, jak bardzo Joanna obchodzi Lybargera i jak jej ufa, pewien był, że jest ona jedyną kobietą, z którą nie będzie czuł się skrupowany. Obawiając się, że jedno z nich albo nawet oboje odrzucą taką propozycję, Salettl zadysponował, by podano im potajemnie środki uspokajające. Taśmę wideo zaprezentowano radzie dyrektorów, po czym została zniszczona. Nie ma innej kopii, nikogo poza nimi trojgiem przy tym nie było, kamery sterowano zdalnie.

- Joanno, dla nich to była sprawa biznesu i nic więcej. Próbowałem z tym walczyć, ale w końcu powiedziano mi, żebym złożył dymisję, skoro mam zamiar dalej protestować. Nie mogłem tego zrobić. Dla dobra twojego i pana Lybargera. Wiedziałem, że to przynajmniej ja tam będę, a nie ktoś obcy. Przepraszam - powiedział łagodnie, gdy z jej oczu pociekły łzy. - Jeszcze tylko jeden dzień, proszę, Joanno. Dla pana Lybargera. Tylko wycieczka do Berlina i zaraz potem będziesz w drodze do domu. - Von Holden usiadł na podłodze koło niej i podrapał po brzuchu szczeniaka przewalającego się na grzbiet. - Jeśli chcesz odjechać teraz, zrozumiem i każę podstawić ci samochód na lotnisko. Możemy wynająć tymczasowego terapeuty i cóż, spróbować sobie radzić jutro najlepiej, jak potrafimy.

Joanna wpatrywała się w von Holdena, niepewna, co ma zrobić. Choć rozgniewana i dotknięta tak bezwzględny jej potraktowaniem, była równocześnie zakłopotana, wiedząc, że Elton Lybarger w równym stopniu padł

ofiara spisku jak ona, i zdając sobie sprawę, jak bardzo obchodzi ją jego dobre samopoczucie.

Von Holden wyciągnął dłoń i biało-brązowa kuleczka futra z wysiłkiem stanęła i polizała go po palcach. Pogłaskał szczeniaczka po głowie i zmierzwił mu sierść za uszami, uśmiechając się tym samym ciepłym, pełnym miłości uśmiechem, od którego stopniało serce Joanny pierwszego dnia ich znajomości. W tym momencie zdecydowała, że wszystko, co jej powiedział, było prawdą i że biorąc pod uwagę okoliczności, jego prośba wcale nie jest nierozsądna.

- Pojadę z wami do Berlina - oświadczyła ze smutnym i nieśmiałym uśmiechem.

Von Holden pochylił się, lekko pocałował ją w czoło i podziękował za wyrozumiałość.

- Joanno, muszę jeszcze dziś powrócić do Berlina, by zakończyć ostatnie przygotowania. Przepraszam cię, ale nie mam innego wyboru. Ty przyjedziesz jutro z panem Lybargerem i pozostałymi.

Joanna zawahała się i von Holden przez chwilę myślał, że zmieni zdanie, ale dała się jednak ubłagać.

- Zobaczymy się tam, prawda?

- Oczywiście. - Von Holden się uśmiechnął.

Joanna również się uśmiechnęła... i odprężyła po raz pierwszy od chwili, gdy obejrzała wideo. Po raz ostatni wytargawszy szczeniaka za uszy, von Holden wstał, ujął dłoń Joanny i pomógł jej się podnieść. Następnie wyjął z kieszeni kopertę i położył ją na biurku.

- Przyjęty w świecie biznesu sposób ulżenia twemu zakłopotaniu i ukojenia bólu. Obawiam się, że niezbyt osobisty, ale zdecydowanie przydatny. Spotkamy się w Berlinie - szepnął i wyszedł.

Joanna gapiała się na kopertę, szceniak zaś skomlał u jej stóp i próbował obgryźć jej palec u nogi. Wreszcie wzięła ją do ręki i otworzyła. Gdy ujrzała, co jest w środku, dech jej zaparło. Był to wystawiony na jej nazwisko czek na pół miliona dolarów.

## 93

Remmer skręcił mercedesem z Hardenbergstrasse i wjechał do podziemnego garażu budynku ze szkła i betonu pod numerem piętnastym. Za nimi podążył jeden z szarych, nieoznakowanych wozów eskortujących Federalnego Biura Kryminalnego i zaparkował naprzeciwko nich tak blisko, że Osborn mógł widzieć twarze detektywów. Wraz z resztą towarzysstwa poszedł w stronę wind. Detektywi byli młodszy, niż się spodziewał,

zapewne nie mieli nawet trzydziestki. Z jakiegoś powodu to go zaskoczyło, a potem przemknęło mu przez głowę, że cała awangarda młodszych od niego, wykształconych ludzi depta mu po piętach. Może nie poczuł się z tego powodu aż stary, niemniej zakłócało to porządek rzeczy. Policjanci zawsze byli ludźmi starszymi od niego, on zaś zawsze należał do wybijających się młodych ludzi; młodszy był już tylko ci, którzy chodzili do szkoły. Aż tu nagle przestali być dziećmi. Nie wiedział, dlaczego myśli o tym wszystkim właśnie teraz. Zapewne po to, by nie myśleć, dokąd idą i co się może wydarzyć.

Spędzili dwie godziny w niedostępnym dla gości pomieszczeniu w restauracji Epplemanna; zjedli lunch, wypili kawę i czekali. Wreszcie Honig dał znać, że sędzia sądu kryminalnego Otto Gravenitz przyjmie ich w swej kancelarii o trzeciej.

Po drodze McVey instruował Osborna, co ma zeznać. Najważniejsze były słowa Merrimana, wypowiedziane bezpośrednio przed śmiercią; jeśli chodzi o to, co się wydarzyło, Osborn miał się ograniczyć do zreferowania tylko tego, co konieczne. Innymi słowy, miał nie wspominać o wynajętym prywatnym detektywie Jeanie Packardzie. Ani słowa o strzykawkach, a tym bardziej o sukcynylocholinie. McVey usiłował w ten sposób rozproszyć niewyraźną głośno, niemniej silną obawę Osborna przed wpakowaniem się w sytuację, w której byłby zmuszony przyznać się do usiłowania popełnienia morderstwa.

McVey chciał być wielkoduszny, spodziewał się też, że Osborn to doceni. Rzeczywiście docenił, ale równocześnie dostrzegł drugą stronę medalu. McVey nie tyle troszczył się o Osborna, ile obawiał, że mogłoby to zmniejszyć jego szanse na zdobycie nakazu aresztowania Scholla pod zarzutem wynajęcia płatnego mordercy. Przesłuchanie powinno ograniczyć się do okoliczności niegmatwających sprawy i wyraźnie wskazujących na Scholla, zarówno w oczach sędziego, jak i Honiga, którego zdanie, co od razu dało się zauważyć, miało ogromną wagę. Jeśli Osborn w swoim zeznaniu posunie się za daleko, ściągnie ich uwagę na siebie zamiast na Scholla, co poważnie zaszkodzi całej sprawie.

- Jak myślisz? - spytał Remmera McVey, gdy zasunęły się drzwi windy. - Czy oni wiedzą, że tu jesteśmy?

Remmer wzruszył ramionami.

- Mogę powiedzieć ci tyle, że od samolotu do Berlina nikt nas nie śledził. Ani w drodze z restauracji tutaj. Ale kto wie, gdzie mają swoje wtyczki. Bezpieczniej, jak myślę, będzie założyć, że wiedzą, co?

Noble zerknął na McVeya. Remmer miał słuszość, lepiej mieć się na baczności, niż dać się zaskoczyć. Nawet jeśli nie wiedzą, że są tutaj, trzeba przyjąć, że wkrótce się dowiedzą. Aż za dobrze się orientowali, co tamci potrafią.

Winda zatrzymała się na szóstym piętrze. Weszli do recepcji, gdzie poproszono ich, aby poczekać w kancelarii sędziego.

- Czy znasz tego sędziego? Gravenitza? Tak się nazywa? - McVey rozejrzał się po wnętrzu, wyglądającym rzeczywiście na gabinet urzędnika państwowego. Proste biurko ze stali i fotel od kompletu mogłyby znaleźć się w jakimkolwiek urzędzie w Los Angeles. Podobnie niedroga półka na książki i tanie grafiki na ścianie.

- Niezbyt dobrze, ale znam - odparł Remmer.

- Czego możemy się spodziewać?

- Zależy, co mu powiedział Honig. W każdym razie usłyszał dość, żeby zgodzić się nas przyjąć. Ale nie myśl, że to wszystko załatwia. Będziesz musiał go przekonać.

McVey spojrzął na zegarek, usiadł na rogu biurka, a potem popatrzył na Osborna.

- Wszystko w porządku. - Osborn przeszedł przez pokój i oparł się o ścianę przy oknie. McVey nie zapomniał jego napadu na Merrimana i nigdy nie zapomni. Nie chciał o tym pamiętać, w każdym razie nie w tej chwili. Ale i tak wisiało to w powietrzu i wiedział, że McVey w pewnym momencie do tego wróci.

Otworzyły się drzwi i wszedł Diedrich Honig. Przeprosił w imieniu sędziego Gravenitza; coś go zatrzymało, ale za chwilę się pojawił. Potem spojrzął na Noble'a i powiedział, że proszono, aby natychmiast zadzwonił do swego londyńskiego biura.

- Może jakiś przełom w sprawie? - Noble podszedł do biurka i wziął słuchawkę. W ciągu trzydziestu sekund uzyskał połączenie. Jeszcze dwadzieścia sekund i przełączono go do wydziału zabójstw londyńskiej policji. - O Boże, nie - powiedział. - Jak to się mogło stać, przecież był strzeżony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?

- Lebrun - wyszeptał McVey.

- No więc, na litość boską, gdzie on teraz jest? - zapytał ze złością Noble. - Znajdźcie go, a gdy go złapiecie, trzymajcie w całkowitym odosobnieniu. Wszelkie informacje przekazujcie przez biuro inspektora Remmera w Bad Godesbergu.

Odłożywszy słuchawkę, Noble zwrócił się do McVeya i podał szczegóły dotyczące zamordowania Lebruna oraz poinformował go, że w zamieszaniu powstałym po strzelaninie Cadoux zniknął.

-Nie muszą się zakładać o to, że posługacz nie żyje - odezwał się przez zaciśnięte zęby McVey.

-Nie, nie musisz.

Przeczesał palcami włosy, McVey przeszedł się po pokoju. Gdy się odwrócił, patrzył wprost na Honiga.

-Czy kiedykolwiek stracił pan przyjaciela pełniącego służbę, panie Honig?

-W naszej branży nie da się uniknąć takich rzeczy - odparł cicho Honig.

-Właściwie jak długo jeszcze mamy czekać na sędziego Gravenitza? Nie było to pytanie, lecz żądanie.

## 94

Okręgowy sędzia kryminalny Otto Gravenitz, majestatyczny, choć niski i czerwony na twarzy, ze srebrzystobiałą czupryną, gestem wskazał stojące razem fotele z drewna tekowego obitego skórą i po niemiecku poprosił ich, by usiedli. Stał, póki tego nie zrobili. Następnie przeszedł przed nimi i usiadł za masywnym barokowym biurkiem, ledwie sięgając podszwami butów do orientalnego dywanu. W przeciwieństwie do spartańskiej skromności reszty wyposażenia budynku wypełniony antykami gabinet Gravenitza był wspaniałą oazą dobrego smaku i zamożności - ostentacyjna manifestacja potęgi i pozycji jego właściciela.

Zwróciwszy się do pozostałych, Honig wyjaśnił po angielsku, że z powodu wysokiej pozycji Scholla i powagi zarzutów przeciw niemu sędzia Gravenitz postanowił przeprowadzić przesłuchanie osobiście.

-Świetnie - powiedział McVey. - No to zaczynamy.

Pochyliwszy się nad biurkiem, Gravenitz włączył magnetofon i o godzinie trzeciej dwadzieścia pięć wzięli się do rzeczy.

W krótkim oświadczeniu wstępnym, tłumaczonym na niemiecki przez Remmera, McVey wyjaśnił, kim jest Osborn, jak przypadkiem natknął się na mordercę swego ojca w paryskiej kawiarni i jak podążył za nim do parku nad Sekwaną, gdyż obawiał się go stracić z oczu, a w pobliżu nie było policji. Tam zebrał się na odwagę, by do niego podejść i zacząć wypytywać; kilka chwil później Merriman został zastrzelony przez napastnika, który ich zdaniem również został wynajęty przez Erwina Scholla.

Zakończywszy swe oświadczenie, McVey spojrzał badawczo na Paula,

który miał zaraz zeznawać, sam zaś usiadł. Gravenitz zaprzysiął Osborna jako świadka i Remmer zaczął tłumaczyć jego zeznanie. Osborn powtórzył to, co powiedział McVey, a potem po prostu wyznał prawdę.

Wyprostowawszy się na fotelu, Gravenitz uważnie przyglądał się Osbornowi, równocześnie przysłuchując się tłumaczeniu. Gdy doktor skończył, sędzia rzucił okiem na Honiga, a potem znowu skierował wzrok na Osborna.

- Jest pan pewien, że Merriman był mordercą pana ojca? Ma pan pewność po prawie trzydziestu latach?

- Tak, panie sędzio.

- Musiał go pan nienawidzić.

McVey rzucił Paulowi ostrzegawcze spojrzenie: bądź ostrożny, on cię bada.

- Pan czułby to samo - odparł Osborn, nawet nie drgnąwszy.

- Czy wie pan, dlaczego Erwin Scholl miałby zlecić zabicie pańskiego ojca?

- Nie, panie sędzio - odrzekł spokojnie Osborn, a McVey odetchnął z ulgą; jego podopieczny całkiem dobrze sobie radził. - Byłem wówczas małym chłopcem. Ale patrzyłem w twarz temu człowiekowi i nigdy jej nie zapomniałem. Nie widziałem go aż do tego wieczoru w Paryżu. Nie wiem, czy mógłbym dodać coś jeszcze.

Gravenitz odczekał chwilę, a potem spojrział na McVeya.

- Czy jest pan ponad wszelką wątpliwość pewien, że znajdujący się obecnie w Berlinie Erwin Scholl jest tym samym człowiekiem, który wynajął Alberta Merrimana?

- Tak, panie sędzio.

- Czemu uważa pan, że osobnika, który zastrzelił Alberta Merrimana, także wynajął pan Scholl?

- Ponieważ ludzie Scholla próbowali go zabić już wcześniej; Merriman ukrywał się przez długi czas. Wreszcie go wytropili.

- Jest pan ponad wszelką wątpliwość przekonany, że za tym wszystkim stoi pan Scholl?

To właśnie było pytanie, którego McVey próbował uniknąć. Ale Gravenitz, jak szanowani sędziowie na całym świecie, dysponował szóstym zmysłem, takim, jaki mają rodzice wobec dzieci. A pytanie zawierało podobne ostrzeżenie: skłamał, a koniec z tobą.

- Czy mogę to udowodnić? Nie, panie sędzio. Jeszcze nie.

- Rozumiem - rzekł Gravenitz.

Scholl był postacią znaną na świecie, ważną i potężną, więc Gravenitz się wahał. Każdy inteligentny sędzia byłby równie ostrożny, podpisując

nakaz aresztowania Erwina Scholla, jak gdyby miał on dotyczyć kanclerza Niemiec, i McVey o tym wiedział. Zeznanie Osborna, choć przekonujące, było w ostatecznym rachunku informacją z drugiej ręki, niczym więcej. Trzeba było w jakiś sposób wywrzeć nacisk na Gravenitza albo będą musieli spotkać się z Schollem bez nakazu aresztowania, a to było ostatnią rzeczą, jakiej życzyliby sobie McVey. Remmer również musiał to wyczuć.

- Panie sędzio - powiedział po niemiecku - jak rozumiem, jednym z najważniejszych powodów, dla którego zgodził się pan nas przyjąć w tak krótkim czasie, jest to, że strzelano do dwóch oficerów policji pracujących nad tą sprawą. Jeden taki wypadek mógł być zbiegiem okoliczności, ale dwa...

- Tak, to rzeczywiście był poważny powód - przyznał Gravenitz.

- Zatem wie pan zapewne, że jednym z nich był nowojorski detektyw, który został zabity we własnym domu. Drugi, cieszący się wielkim poważaniem funkcjonariusz policji paryskiej, został ciężko zraniony na dworcu głównym w Lyonie, następnie przewieziony do Londynu i umieszczony w szpitalu pod fałszywym nazwiskiem; był chroniony przez policjantów dwadzieścia cztery godziny na dobę... - Remmer przerwał na chwilę. - Przed chwilą został zastrzelony w pokoju szpitalnym.

- Jest mi bardzo przykro... - powiedział szczerze Gravenitz.

Remmer przyjął do wiadomości jego wyrazy współczucia i kontynuował:

- Mamy wszelkie powody, by uważać, że człowiek za to odpowiedzialny pracuje dla organizacji Scholla. Musimy przesłuchać Scholla osobiście, panie sędzio, a nie rozmawiać z jego adwokatami. Nigdy tego nie dokonamy bez nakazu aresztowania.

Gravenitz złożył dłonie i oparł się na fotelu, a potem popatrzył na McVeya, który nie spuszczał go z oczu, oczekując jego decyzji. Sędzia z obojętną miną pochylił się do przodu i zanotował coś w leżącym przed nim bloku. A potem, przesunąwszy dłonią po swej srebrzystej grzywie, najpierw rzucił okiem na Honiga, a potem spojrzął w oczy Remmerowi.

- Okay - powiedział. - Okay.

## 95

McVey z Noble'em i Osbornem czekali, aż Gravenitz podpisze nakaz aresztowania Erwina Scholla i odda go Remmerowi. Następnie, podziękowawszy Gravenitzowi i uściskawszy dłoń Honiga, opuścili we czterech



gmach sądu i prywatną windą Gravenitza zjechali do garażu.

To był taniec wśród mieczy i wiedzieli o tym wszyscy, nie wyłączając Osborna. Praktycznie biorąc, spoczywający w kieszeni McVeya nakaz sądowy był, jak to zauważył Honig, właściwie bezużyteczny. Wręczony Schollowi ze słowami: „Dobry wieczór, proszę pana, jesteśmy z policji, mamy nakaz aresztowania z takiego i takiego powodu” - mógł oczywiście posłużyć, by go odwieźć do więzienia jak każdego zwykłego obywatela. Ale w ciągu godziny pojawiłaby się tam cała armia jego adwokatów i to wyłącznie oni zabieraliby głos, a Scholl wyszedłby najprawdopodobniej, nie zeznawszy ani słowa.

W następnych tygodniach pojawiłyby się dziesiątki oświadczeń Scholla i całej masy innych, w najwyższym stopniu szanowanych osobistości, ręczących za niego; przysięgających, że w ogóle nie był w to wmieszany; zaprzeczających, by kiedykolwiek znał kogoś ze zmarłych - także ojca Osborna - czy łączyły go z nimi interesy; zaprzeczających, by kiedykolwiek słyszał, a cóż dopiero znał Alberta Merrimana; twierdzących, że był gdzie indziej, a nie w swej posiadłości na Long Island w krytycznych dniach; negujących, aby kiedykolwiek słyszał o byłym agencie Stasi Bernhardzie Owenie, a cóż dopiero, by łączyły go z nim jakiekolwiek stosunki, twierdzących, że był w Stanach Zjednoczonych, a nie w okolicach Paryża, w chwili gdy Merriman został zamordowany. Składane pod przysięgą zeznania, poparte wysokimi pozycjami składających je ludzi, szybko dowiodłyby całkowitej niewinności Scholla. Zważywszy w dodatku na brak rzeczywistych dowodów, oskarżenie zostałoby oddalone.

A potem, rok czy jeszcze później, w zupełnym oderwaniu od nazwiska i osoby Scholla, gdy cały epizod poszedłby w zapomnienie, zostałaby wymierzona na zimno, na podobieństwo opóźnionego wycieku śmiertelnie śmiertelnie gazu, zemsta, przed którą ostrzegał Honig. McVey, Noble i Remmer ujrzeliby, jak ich życie i kariery obracają się w nicość. Przyjaciele, współpracownicy, a także ludzie, o których nigdy nie słyszeli, wystąpiliby z oskarżeniami o kradzież, korupcję, deprawację seksualną, nadużycie władzy i co tylko możliwe. Ich rodziny ośmieszono by, a ich niegdyś godne szacunku nazwiska byłyby obrzucane błotem w mass mediach, dopóki by nie zostali zniszczeni. W porównaniu z nimi Humpty-Dumpty będzie wyglądał jak ogromny granitowy posąg, wykuty na wieczność wraz z innymi wielkimi na szczycie urwiska Mount Rushmore.

Z piskiem opon Remmer wyjechał z garażu na Hardenbergstrasse, a wóz eskortujący Federalnego Biura Kryminalnego tuż za nim.

Pięć minut później wjeżdżał do garażu położonego dokładnie naprzeciw Europa Center, dwudziestodwupiętrowego gmachu ze stali i szkła.

-Auf Wiedersehen. Danke - rzucił do swego radia.

-Aufbald. - Samochód eskorty przyśpieszył, włączając się w ruch uliczny.

-Zakładam, że według ciebie jesteśmy bezpieczni - powiedział Noble, w chwili gdy Remmer zatrzymał się na stanowisku daleko od wjazdu.

-Tak. - Remmer wysiadł, wyciągnął spod siedzenia pistolet maszynowy i zamknął go w bagażniku. Następnie, zapaliwszy papierosa, poprowadził ich w dół pochylnią przez stalowe drzwi wejścia dla obsługi i dalej korytarzem pełnym przewodów elektrycznych i rur wodno-kanalizacyjnych, biegnącym pod ulicą prosto do kompleksu Europa Center.

-Czy wiemy, gdzie jest Scholl? - Głos McVeya odbił się echem w długim pomieszczeniu.

-W Grand Hotelu Berlin. Przy Friedrichstrasse, naprzeciw parku Tiergarten. To długi spacer dla starzejącego się jak ty dżentelmena. - Remmer wyszczerzył zęby do McVeya, a potem pchnął drzwi przeciwpożarowe na końcu korytarza. Zdusił papierosa w popielniczce, zatrzymał się przy windzie dla obsługi i nacisnął guzik. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i cała czwórka weszła do środka. Remmer wcisnął guzik szóstego piętra, drzwi się zamknęły i winda ruszyła.

Dopiero w tym momencie Osborn zorientował się, że Remmer przez cały czas trzyma pistolet przy boku. Patrząc na pozostałych trzech, stojących milcząco w słabym świetle windy, poczuł się zupełnie nie na miejscu, jakby był piątym do brydża czy drużbą na ślubie swej ekszony. Tamci byli weteranami służby policyjnej, zawodowcami, a ich życie było zrosnięte z tym obcym Osbornowi światem jak mięśnie z kośćmi. Spoczywający w kieszeni McVeya nakaz wystawiony został przez jednego z największych znaczących sędziów kryminalnych w całym państwie, natomiast człowiek, któremu mieli się przeciwstawić, był postacią na skalę prawie światową, kimś zapewne dysponującym własną armią. McVey wyjaśnił powód, dla którego Osborn pojechał do Berlina. Ale teraz Paul już nie był potrzebny. Ani tak naiwny, by uwierzyć, że McVey spełni swoją obietnicę i weźmie go ze sobą, gdy przyjdzie stawić czoło Schollowi. Nagle poczuł, jak ściska go w dołku. McVeya ani trochę nie obchodziła prywatna wojna Osborna, miał własne plany.

McVey pochwycił jego spojrzenie.

- O co chodzi? - zapytał.

- Tak sobie rozmyślałem - odparł spokojnie Osborn.

- Tylko z tym nie przesadzaj - rzekł bez uśmiechu McVey.

Winda zwolniła i zatrzymała się. Drzwi się rozsunęły, Remmer wyszedł pierwszy. Zadowolony z tego, co ujrział, poprowadził ich wyłożonym dywanem korytarzem. Byli w hotelu. W hotelu Palace. Osborn zobaczył leżącą na stoliku broszurę reklamową.

Wreszcie Remmer zatrzymał się i zapukał do pokoju numer sześćdziesiąt jeden trzydzieści dwa. Drzwi otworzyły się i krępy detektyw o wyglądzie twardziela wprowadził ich do obszernego apartamentu z dwiema dużymi, połączonymi wąskim korytarzem sypialniami. W obu okna wychodziły na park Tiergarten, dodatkowo z pierwszej rozciągał się widok na pokoje znajdujące się w nowszym skrzydle hotelu.

Remmer wsunął pistolet pod marynarkę i zwrócił się do detektywa, który ich wpuścił. McVey korytarzem przeszedł obojętnie drugą sypialnię, a potem wrócił. Noble nie był nazbyt zadowolony z bliskości nowego skrzydła; była tam masa pokoi, z których można było zajrzeć do ich apartamentu. Krępy detektyw uniósł ręce i poinformował ich w angielszczyźnie z silnym niemieckim akcentem, iż mieli szczęście, że w ogóle dostali pokoje. W Berlinie aż kipiało od imprez targowych i zjazdów. Nawet Federalne Biuro Kryminalne niewiele mogło zdziałać, gdy pokoje zostały zarezerwowane z trzymiesięcznym wyprzedzeniem.

- W takim razie, Manfred, bardzo się cieszymy – rzekł McVey.

Remmer kiwnął głową, powiedział coś po niemiecku do detektywa i ten wyszedł. Remmer zamknął za nim drzwi na klucz.

- Ty i ja rozbijemy obóz tutaj - powiedział McVey do Remmera. - Noble i Osborn mogą zająć drugi pokój. - Podeszedłszy do okna, pomacał lekki jak piórko materiał firanki i spojrzał w dół na ruch uliczny na Kurfurstdamm. - Telefony zabezpieczone? - Przeniósł wzrok na cienisty masyw parku Tiergarten po drugiej stronie ulicy.

- Dwie linie. - Remmer zapalił papierosa i zdjął skórzaną marynarkę, ukazując muskularny tors i staromodną skórzaną kaburę, w której tkwił bardzo duży pistolet automatyczny.

McVey też zdjął marynarkę i spojrzał na Noble'a.

- Sprawdź, co ze sprawą Lebruna, dobrze? Może już wiedzą, kim był zabójca i jak się dostał do środka. Co z Cadoux? Czy ktoś wie, dokąd się udał i gdzie może teraz być? Musimy ustalić, czy znalazł się tam przypadkowo, czy rozmyślnie. - Powiesił marynarkę i popatrzył na Osborna. - Czuj

się jak u siebie w domu. Pobędziemy tutaj trochę. - Potem poszedł do łazienki, by umyć twarz i ręce. Wyszedł i wycierając ręce, zwrócił się do Remmera: - Ta sprawa w Charlottenburgu jutrzejszego wieczoru. Trzeba się dowiedzieć, co to takiego i kto tam ma być. Ufam, że twoi ludzie w Bad Godesbergu załatwią to dla nas.

Osborn odwrócił się do nich plecami, przeszedł do drugiej sypialni i rozejrzał się. Ze wszystkich sił starał się opanować narastającą paranoję. Bliźniacze łóżka z oliwkowo-niebieskimi kapami. Między nimi mały stolik. Dwie komódki. Telewizor. Okno widokowe. Osobna łazienka. Wiedział, że McVey czuwa nad wszystkim - oficer w polu manewrujący swym małym oddziałem naprzeciw armii króla i szukający jakiegokolwiek sposobu, by uzyskać nad nią przewagę. O Osbornie nawet nie myślał. Z rozmysłem zakwaterował go z Noble'em, żeby nie znaleźć się z nim sam na sam, bo wówczas może musiałby odpowiadać na pytania. Bo może musiałby wyjaśniać, dlaczego Osborn nie będzie im towarzyszył na spotkanie z Schollem. Sprytnie posunięcie. Trzymać go na pasku. Zachować niespodziankę na ostatnią chwilę. Po prostu wyjść, mówiąc w drzwiach: „Przepraszam, ale to sprawa dla policji”. A potem zostawić go pod strażą tych z Federalnego, czekających w korytarzu przed pokojem.

## 96

- Prywatna kolacja. Smokingi. Stu gości. Tylko za zaproszeniami. - Remmer siedział przy małym stoliku, trzymając w jednej ręce filiżankę kawy, a papierosa w drugiej. W ciągu ostatniej godziny odbył pół tuzina rozmów telefonicznych z funkcjonariuszami wydziału wywiadowczego w szefostwie BKA - Bundeskriminalamt w Bad Godesbergu.

Osborn siedział wraz z nimi w pokoju, podwinąwszy rękawy koszuli, i patrzył, jak McVey w samych skarpetkach nieustannie przemierza pomieszczenie. Zdecydował, że najlepiej będzie, gdy wykorzysta McVeya, tak jak McVey wykorzystał jego. Z cicha, z całą skromnością. Starał się znaleźć sposób, by obrócić sytuację, w której się znalazł, na swoją korzyść. Nie zdradzał tamtym, co myśli. Dowiedział się już, że hotel Pałace jest częścią gigantycznego kompleksu sklepów i kasyn położonych w samym sercu Berlina. Park Tiergarten, leżący wprost przed nimi, podobny był do Central Parku w Nowym Jorku - ogromny, pełen przecinających go alei i

tysięcy ścieżek. Jak zdołał wywnioskować z prowadzonych w jego obecności rozmów, prócz detektywów BKA po cywilnemu stojących w korytarzu przed ich pokojami, dwóch dalszych, pracujących na dwie zmiany, znajdowało się na dole i strzegło holu, jeszcze dwóch miało stanowiska na dachu, a w radiowozach pozostawał w nieustannym pogotowiu oddział wspierający. Sprawdzono pod kątem bezpieczeństwa gości zajmujących sześć pokoi w przeciwnym skrzydle, z których okien widać było ich okna. Cztery zajmowali japońscy turyści z Osaki, dwa - biznesmeni przybyli na targi komputerowe. Jeden przyjechał z Monachium, drugi z Disneyworldu w Orlando. Wszyscy byli tymi, za których się podawali. Co oznaczało, iż ich ekipa może się czuć w miarę bezpiecznie, nawet jeśli tamci wykryli, gdzie się znajdują, i próbują coś zrobić. Tym samym szanse Osborna na zrobienie czegokolwiek innego niż to, czego życzył sobie McVey, były praktycznie zerowe.

- Wydaje to szwajcarska spółka Berghaus Group - czytał Remmer notatki, nabazgrane w żółtym bloku; na lewo od niego Noble z ożywieniem rozmawiał przez telefon, a koło jego dłoni leżał podobny blok - z okazji uroczystego powitania niejakiego - Remmer znów zajął do notatek - Eltona Karla Lybargera, przemysłowca z Zurychu, który dwa lata temu doznał silnego udaru mózgu w San Francisco i obecnie całkowicie wyzdrowiał.

- Kimże, do cholery, jest ten Elton Lybarger? - zapytał McVey.

Remmer wzruszył ramionami.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Ani o tej Berghaus Group. Wydział wywiadowczy pracuje nad tym, jak również nad dostarczeniem nam listy gości.

Noble odłożył słuchawkę i zwrócił się do nich.

- Cadoux przesłał szyfrowaną wiadomość do mojego biura. Uciekł ze szpitala, ponieważ bał się, że to stojący na straży policjanci wpuścili mordercę Lebruna, a następnie załatwią jego. Podał, że nawiąże kontakt, gdy tylko będzie mógł.

- Kiedy przysłał tę wiadomość i skąd? - zapytał McVey.

- Nadeszła nieco ponad godzinę temu. Została nadana faksem z lotniska Gatwick.

Zatrzymany przez mgłę odrzutowiec von Holdena wylądował na lotnisku Tempelhof o osiemnastej trzydzieści pięć, trzy godziny później, niż planowano. O dziewiętnastej trzydzieści von Holden wysiadł z taksówki na

Spandauerdamm i przeszedł przez jezdnię do pałacu Charlottenburg, w tej chwili ciemnego i zamkniętego. Kusiło go, by obejść budynek i wejść przez boczne drzwi, aby osobiście wszystko sprawdzić. Ale Wiktor Szewczenko zrobił to już dzisiaj dwukrotnie i osobiście złożył von Holdenowi meldunki podczas lotu. A Szewczenko zawierzyłyby własne życie.

Zamiast tego stanął więc pod żelazną bramą i zajrzał do środka, wyobrażając sobie, co tu nastąpi za niecałe dwadzieścia cztery godziny. Ujrzy to i usłyszy. Myśl, że stoi tu oto w przeddzień tego wydarzenia, przejęła go prawie do łez. Wreszcie dał sobie spokój i odszedł.

O piątej dzisiejszego wieczoru sektor berliński ustalił, że McVey, Osborn i pozostali przybyli do miasta i założyli swą kwaterę główną w hotelu Pałace, gdzie znajdowali się pod ochroną Federalnego Biura Kryminalnego. Było dokładnie tak, jak przepowiedział Scholl. Znajdź ich i pilnuj, powiedział Scholl. A w końcu ty i Wiktor zrobicie, co należy. Tak - pomyślał, idąc przed siebie von Holden - zrobimy, co należy. Tak szybko i pomysłowo, jak tylko możliwe.

Ale mimo to odczuwał niepokój. Wiedział, że Scholl ich nie docenia, szczególnie McVeya. Byli sprytni, doświadczeni i mieli dużo szczęścia. Nie było to dobre połączenie; musiał stworzyć wyjątkowo pomysłowy plan, w którym doświadczenie i szczęście będą odgrywały zupełnie marginalną rolę. Von Holden wolałyby przejąć inicjatywę i załatwić ich, zanim będą mieli okazję zrealizować własne zamiary. Ale zdawał sobie sprawę, że prawie niemożliwe jest dobranie się do czterech mężczyzn, z których przynajmniej trzech będzie uzbrojonych, strzeżonych przez policję w hotelu będącym częścią tak ogromnego kompleksu jak Europa Center. Wymagałoby to poważnej, jawnej akcji; zbyt krwawej, zbyt głośnej i co gorsza, nie gwarantującej sukcesu. A poza tym, gdyby coś poszło nie tak i schwytano któregoś z uczestniczących w akcji, Organizacja byłaby narażona na kompromitację, i to w najgorszym z możliwych momencie.

Tak więc, jeśli tamci nie popełnią niewyobrażalnego błędu i w jakiś sposób się nie odsłonią, będzie się trzymał rozkazu Scholla i poczeka na ich pierwsze posunięcie. Wiedział z własnego doświadczenia, że niezależnie od tego, jakie podejmie środki, będą one skuteczne dopóty, dopóki sam będzie dowodził operacją. Wiedział też, że lepiej poświęcić swą energię opracowaniu planu roboczego, niż martwić się o przeciwników. Ale ich obecność go niepokoiła, czuł się tak nieswojo, że prawie gotów był prosić Scholla o odłożenie uroczystości w Charlottenburgu do chwili, gdy ich załatwi. Ale to było niemożliwe. Scholl powiedział o tym od razu na początku ich rozmowy.

Skręciwszy za róg, przeszedł pół przecznicy, a potem wszedł po schodach cichej kamienicy przy Sophie Charlotten-Strasse numer trzydzieści siedem i nacisnął dzwonek.

-Ja? - odezwał się ostry głos z domofonu.

- Von Holden - odpowiedział. Rozległ się głośny brzęczyk, zatrask w drzwiach został zwolniony.

Wspiął się po schodach na drugie piętro, gdzie w dużym mieszkaniu mieściła się kwatera główna sił bezpieczeństwa. Umundurowany strażnik otworzył drzwi i von Holden przeszedł holem koło szeregu biur, przy których pracowały sekretarki.

-Guten Abend - powiedział spokojnie i otworzył drzwi do niewielkiego, lecz wygodnego gabinetu. Cały problem w tym, że im dłużej tamci pozostają w hotelu, nie kontaktując się z Schollem, tym mniej będzie miał czasu na ułożenie planu akcji, oni zaś tym więcej na stworzenie własnego. Ale medal miał drugą stronę. Czas płynie jednakowo dla wszystkich; im dłużej tamci pozostaną w hotelu, tym więcej czasu będzie miał on, by uruchomić swoje układy i rozszyfrować, ile wiedzą i co zamierzają.

## 97

-Gustav Dortmund, Hans Dabritz, Rudolf Kaes, Hilmar Grunel... - Remmer odłożył przesłany faksem arkusz danych i spojrzał na McVeya, czytającego tę samą pięciostronicową kopię listy gości w Charlottenburgu. - Ten Lybarger ma bardzo bogatych i wpływowych przyjaciół.

-A niektórych nie aż tak bogatych, ale równie wpływowych - zauważył Noble, studiując własną kopię listy. - Gertrudę Biermann, Mathias Noll, Henryk Steiner.

-Od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy. Normalnie nie zobaczyłbyś ich w jednym pokoju. - Remmer wytrząsnął z paczki papierosa, zapalił, a potem pochylił się i z butelki na stole nalał sobie szklanek wody mineralnej.

Osborn stał oparty o ścianę i patrzył. Nie dano mu kopii listy gości, a on o nią nie poprosił. W miarę napływania informacji detektywi, całkowicie na nich skoncentrowani, ignorowali go prawie całkowicie. Miało to taki skutek, że czuł się coraz bardziej wyobcowany i narastało w nim przekonanie, że gdy tamci pójdą na spotkanie z Schollem, nie wezmą go ze sobą.

-Naturalizowany czy nie, Scholl jest jedynym Amerykaninem. Mam rację? - powiedział McVey, podnosząc wzrok znad listy.

- Tak. Wszyscy pozostali są Niemcami. - Remmer wydmuchnął chmurę dymu papierosowego, a McVey zaczął ją ostentacyjnie rozpraszać machnięciami ręki.

- Manfred, pozwolił? Czemu po prostu nie wstaniesz i nie wyjdiesz, co?

Remmer rzucił mu gniewne spojrzenie i już miał odpowiedzieć, lecz McVey podniósł dłoń.

- Wiem, że umrę. Ale nie chciałbym, żebyś to ty mnie wykończył.

- Och, przepraszam - rzekł obojętnie Remmer i zdusił niedopałek w popielnicze.

Urywki rozmów, w których coraz częściej dawało się wyczuć ich irytację, jeszcze podkreślone długimi okresami milczenia, dowodziły zbiorowej frustracji trzech skrajnie zmęczonych mężczyzn, próbujących pojąć, co się tu dzieje. Uroczystość w Charlottenburgu miała się odbyć w pałacu, a nie w hotelowej sali balowej - poza tym pozornie nie jej nie różniło od setek innych spotkań organizowanych przez różne grupy na całym świecie. Ale pozory są tylko pozorami, a interesujące jest to, co się pod nimi kryje. Łącznie, jako zawodowi policjanci, mieli za sobą ponad sto lat doświadczenia. Owocowało to instynktownym wycuciem stanu rzeczy. Przyjechali do Berlina z powodu Erwina Scholla, a o ile wiedzieli, Erwin Scholl przybył tu z powodu Eltona Lybargera. Pytanie brzmiało: właściwie dlaczego?

To „dlaczego” zaintrygowało ich jeszcze bardziej, gdy zdali sobie sprawę, że ze wszystkich zaproszonych z tej okazji sławnych gości Lybarger był najmniej sławny.

Dane z archiwów w Bad Godesbergu ujawniły, że urodził się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim w Essen w Niemczech jako jedyne dziecko zbiedniałego kamieniarza. Ukończył szkołę podstawową w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym, a następnie rozplynął się w masie ludności powojennych Niemiec. A potem, trzydzieści kilka lat później, czyli w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, nagle pojawił się znów jako multimilioner, zamieszkały w podobnej do zamku posiadłości zwanej Anlegeplatz, położonej dwadzieścia minut jazdy od Zurychu, otoczony służbą i kontrolujący znaczne liczby udziałów w pokaźnej grupie pierwszorzędnych europejskich spółek.

Pytanie brzmiało: w jaki sposób?

Z jego zeznań podatkowych za okres od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego wynikało, że



był księgowym i mieszkał w brudnych dzielnicach niższych klas w Hanowerze, Dusseldorfie, Hamburgu, Berlinie i na koniec w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim w Zurychu. Jego dochody ledwie osiągały poziom średnich pensji krajowych. A potem, z rokiem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim, jego dochody wystrzeliły pod niebo. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim, kiedy to doznał udaru, jego podlegający opodatkowaniu dochód sięgał już stratosfery, wynosząc ponad czterdzieści siedem milionów dolarów.

I właściwie nic tego nie wyjaśniało. Ludzie osiągają sukcesy, to prawda. Niekiedy prawie z dnia na dzień. Ale jakim sposobem ktoś, kto przez lata pracował jako zwykły księgowy i mieszkał w świecie ledwie odrobinę lepszym od zupełnej nędzy, nagle pojawia się jako człowiek mający wielkie bogactwa i wpływy?

Nawet teraz pozostał tajemnicą. Nie zasiadał w zarządach żadnych europejskich spółek, uniwersytetów, szpitali czy towarzystw dobroczynnych. Nie był członkiem żadnej partii politycznej czy nawet prywatnego klubu. Nie miał prawa jazdy, nie było żadnych zapisów o jego małżeństwie. Nie istniała nawet wydana na jego nazwisko karta kredytowa. Kim więc był? I czemu setka najbogatszych i najbardziej wpływowych obywateli niemieckich miała przybyć ze wszystkich stron kraju, by pogratulować mu powrotu do zdrowia?

Rozsądny domysł Remmera zakładał, że przez wszystkie te lata Lybarger potajemnie działał w handlu narkotykami, przenosząc się z miasta do miasta, gromadząc fortunę w gotówce i piorąc pieniądze w szwajcarskich bankach. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim miał już dość, by zająć się legalnymi interesami.

McVey potrząsnął głową. Było coś, co uderzyło zarówno Noble'a, jak i jego, w chwili gdy zobaczyli listę gości. Coś, czym nie podzielili się z Remmerem. Dwaj ze znajdujących się na niej ludzi: Gustav Dortmund i Konrad Peiper, należeli do głównych oprócz Scholla udziałowców GDG, Goltz Development Group, spółki, która kupiła Standard Technologies w Perth Amboy w New Jersey. Firmę, która w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku zatrudniła Mary Rizzo York dla eksperymentowania z gazami chłodzącymi umożliwiającymi osiągnięcie temperatur zbliżonych do zera bezwzględne.

Prawdą było, że przejście Standard Technologies nastąpiło w okresie, gdy w GDG byli zaangażowani tylko Scholl i Dortmund. Konrad Peiper nie był członkiem zarządu aż do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego. Ale od tej chwili jako jej prezes wysunął GDG, nie całkiem nielegalnymi sposobami, na czołowe miejsce wśród firm handlujących bronią. Oczywiście było, że zarówno przed pojawieniem się Peipera, jak i potem

Goltz Development trudno było zaklasyfikować do w pełni uczciwie prowadzonych przedsiębiorstw.

McVey spytał Remmera, co wie o Dortmundzie. Pomijając posadkę szefa Bundesbanku, centralnego banku Niemiec, Dortmund po prostu był superbogaczem. Podobnie jak Rothschildowie, jego rodzina była jedną z wielkich rodzin bankierskich Europy od ponad dwóch stuleci.

- Tak jak Scholl jest poza wszelkimi podejrzeniami - skomentował McVey.

- Obalenie go wywołałoby straszliwy skandal, jeśli to miałeś na myśli.

- A co z Konradem Peiperem?

- O nim nie wiem prawie nic. Jest bogaty, ma niezwykle piękną żonę, która sama posiada masę pieniędzy i wpływów. Jego stryjeczny dziadek Friedrich dostarczał broni połowie naszej planety w obu wojnach światowych. Dziś ta sama spółka doskonale prosperuje, produkując dzbanki do kawy i zmywarki do naczyń.

McVey popatrzył na Noble'a, który tylko pokręcił głową. Sprawa była tak samo tajemnicza w tej chwili, jak na początku.

- A więc wracamy do punktu wyjścia? - spytał McVey.

- Pozbawione głów ciała - rzucił Noble.

- Zgoda, czemu nie? - McVey wzruszył ramionami. - Popatrzmy na to pod tym kątem.

- Jakim kątem? O czym wy mówicie...? - Remmer spoglądał to na Noble'a, to na McVeya.

Bundeskriminalamt Remmera, jak wszelkie instytucje policyjne w krajach, gdzie odnajdywano pozbawione głów ciała, otrzymywał kopie cotygodniowych raportów McVeya dla Interpolu... Ale te raporty rozmyślnie nie zawierały żadnych wzmianek o ultragłębokim zamrażaniu ani domysłów o eksperymentach, których dokonywano przed zamrożeniem. Oczywiście więc było, że Remmer nie znał sprawy. Biorąc pod uwagę okoliczności, wyglądało na to, że moment jest niezwykle stosowny, by mu o wszystkim powiedzieć.

## 98

Gerd Lang był przystojnym, kędzierzawym programistą komputerowym z Monachium. Przybył do Berlina na trzydniowe sympozjum komputerowe. Zamieszkał w pokoju siedemdziesiąt dziewięć pięćdziesiąt sześć w nowym skrzydle hotelu Palace. Miał trzydzieści dwa lata, właśnie przeżył bardzo nieprzyjemną sprawę rozwodową, było więc naturalne, że

gdy tylko ponętna dwudziestoczteroletnia blondynka zagadnęła go na wystawie i zaczęła zadawać pytania, co robi, jak się tego nauczył i czy ona sama mogłaby osiągnąć taką biegłość, zaprosił ją do dalszej dyskusji na ten temat przy drinku i być może też kolacji. Nie była to szczęśliwa decyzja, ponieważ po wielu drinkach i bardzo lekkiej kolacji poczuł się co prawda podniesiony na duchu i niemal zapomniał o długiej i przykłej sprawie rozwodowej, ale nie znajdował się w stanic pełnej gotowości na to, co miało nastąpić, gdy dziewczyna przyjęła zaproszenie na pokolacyjnego drinka w jego pokoju.

Kiedy usiedli na kanapie i zaczęli się dotykać w półmroku, poczuł, jak dziewczyna sięga, by pogłaskać go po karku. A potem jej palce zacisnęły się, ona zaś uśmiechnęła się jakoś drażniąco i zapytała, czy mu się to podoba. Gdy chciał odpowiedzieć, jej palce chwyciły go jak imadło. Zareagował natychmiast. Ale nie zdołał oderwać jej dłoni; dziewczyna była niewiarygodnie silna i uśmiechała się, jakby to była jakaś zabawa. Gerd Lang walczył, by się oswobodzić, wyrwać z jej żelaznego uścisku, ale mu się nie udało. Twarz mu poczerwieniała, a potem zsziała. A ostatnią myślą w jego życiu, szaloną i perwersyjną, było to, że ona przez cały czas nie przestawała się uśmiechać.

Dziewczyna zawlokła ciało do łazienki, wsadziła do wanny i zaciągnęła zasłonę. Wróciwszy do salonu, wyjęła z torebki lornetę polową i wycelowała ją w oświetlone okno pokoju numer sześćdziesiąt jeden trzydzieści dwa, położonego pod kątem do tego, w którym się znajdowała, i o jedno piętro niżej. Nastawiwszy ostrość, ujrzała poprzez przezroczystą firankę zarys stojącego za nią mężczyzny z białymi włosami. Przełączywszy się na noktowizję, skierowała lornetę na dach. W zielonkawej poświacie noktowizora dostrzegła człowieka z przewieszonym przez ramię karabinem automatycznym.

- Gliny - szepnęła i ponownie skierowała lornetę na okno.

Osborn siedział na brzegu małego stolika, przysłuchując się, jak McVey wprowadza Remmera w podstawy kriofizyki, a potem opowiada mu resztę o tym, co wygląda na próbę łączenia odciętej głowy z innym ciałem za pomocą zabiegu chirurgii atomowej, dokonywanego w temperaturze równającej się lub bliskiej zeru bezwzględnemu. Właściwie relacja science fiction, jak się teraz Osbornowi wydawało, gdy jej słuchał. Tylko że nią nie była, ponieważ ktoś albo tego dokonał, albo próbował dokonać.

Remmer, postawiwszy jedną nogę na krześle, ze stalowobłękitnym pistoletem wiszącym w jego kaburze pod pachą, zafascynowany wprost pochłaniał każde ze słów McVeya.

I nagle cała ta sensacja zbladła wobec nieoczekiwanej, porażającej Osborna myśli, że McVeyowi może się to wszystko nie udać. Że jakkolwiek jest dobry, tym razem sprawa go przerasta, a Scholl uzyska taką przewagę, jak to sugerował Honig. Co wtedy?

Pytanie było retoryczne, ponieważ Osborn znalazł odpowiedź. McVey zbliżał się do celu kroczyk po kroczyku i wszystko pójdzie teraz na marne. A wraz z tym zniknie nawet ta odrobina nadziei, którą miał. Bo od tej chwili nikt ze zwykłych ludzi nie zbliży się już do Erwina Scholla.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział nagle. Wstał, przesunął się obok Remmera i poszedł do pokoju, który dzielił z Noble'em. Stał tam w ciemności. Bez wyraźnego powodu pokój nagle wydał mu się nieznośnie ciasny i klaustrofobiczny. Przeszedł do łazienki, zapalił światło i zaczął szukać szklanki. Nie znalazłszy jej, zrobił miseczkę z dłoni i napił się wody. Potem osuszył ręce, przykładając je z tyłu do karku i czując ich chłód. W lustrze zobaczył, jak do pokoju wchodzi Noble, bierze coś z toaletki, a potem spogląda na niego.

Osborn sięgnął do kranu, by go zakręcić, i w tym momencie jego spojrzenie przyciągnęło własne odbicie. Twarz miał bladą, a na czole i górnej wardze perlił się pot. Wyciągnął dłoń i stwierdził, że drży. Stojąc tak, poczuł, jak coś w nim znów ożywa i w tej samej chwili usłyszał własny głos. Był tak wyraźny, że przez chwilę myślał, iż odezwał się głośno: Scholl jest tutaj, w Berlinie, w hotelu po drugiej stronie parku.

Nagły dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. Pewien był, że zemdleje. A potem słabość minęła i w tym momencie jedno stało się absolutnie jasne. To było coś, czego McVey mu nie ukradnie, nie po tym wszystkim, co zaszło. Scholl był zbyt blisko. Czegokolwiek musi dokonać, jakkolwiek podejść ludzi w drugim pokoju, nie mógł i nie chciał przeżyć następnych dwudziestu czterech godzin, nie dowiedziawszy się, czemu jego ojciec został zamordowany.

## 99

Sylwetki trzech mężczyzn rozmawiających w pokoju hotelowym mogą przyciągać zainteresowanie lub nie, szczególnie oglądane pod kątem z zaciemnionego pokoju naprzeciw i uwieczniane w zbliżeniu przez teleobiektyw.

Kamera została nagle porzucona na korzyść lornety, gdy czwarty człowiek wynurzył się z pokoju w głębi i włożył marynarkę. Jeden z trójki wstał i podszedł do niego. Krótka rozmowa, a potem jeden z pozostałych wziął słuchawkę telefoniczną. Chwilę później odłożył ją, a pierwszy człowiek ruszył w stronę drzwi. Był prawie przy nich, gdy odwrócił się i powiedział coś do mężczyzny, który do niego podszedł. Ten zawahał się, a potem zniknął z pola widzenia. Gdy powrócił, dał coś pierwszemu mężczyźnie. Wtedy ten otworzył drzwi i zniknął.

Odłożywszy lornetę, pociągająca blondynka, zabójczynie programisty komputerowego, stopniowo ogarnianego przez rigor mortis w odległej ledwie o kilka metrów eleganckiej marmurowej łazience, wzięła do ręki krótkofalówkę.

- Natalia - powiedziała.
- Lugo - zabrzmiała odpowiedź.
- Osborn właśnie wyszedł.

Pewien był, że McVey nigdy nie dałby mu pistoletu ani nawet nie wypuścił go z pokoju, gdyby wiedział, co też on zamierza. Powiedział po prostu, że nie może nie wnieść do spraw policyjnych, że czuje się trochę nieswojo i klaustrofobicznie i chce pójść na spacer, by rozjaśnić sobie w głowie.

Była już za pięć dziesiątą i McVey, przemęczony, z pękającą od nadmiaru problemów głową, zgodził się po chwili zastanowienia. Poprosił Remmera, by z doktorem poszedł jeden z detektywów BKA, ostrzegł Osborna, by nie opuszczał terenów kompleksu i wrócił o jedenastej.

Osborn nie protestował, tylko kiwnął głową i ruszył do drzwi. Wtedy właśnie odwrócił się i poprosił McVeya o pistolet. Było to przemyślane posunięcie; Osborn wiedział, jak poważnie McVey ocenia wydarzenia!, i liczył na jego zrozumienie: bez względu na ochronę policyjną prosi tylko o dodatkowe niewielkie zabezpieczenie. Niemniej nastąpiła długa nieprzyjemna chwila, zanim McVey ustąpił i dał mu pistolet Bernharda Ovena, automatyczny CZ.

Osborn nie zrobił nawet tuzina kroków w stronę windy, gdy dołączył do niego inspektor BKA Johannes Schneider. Detektyw był wysoki, miał około trzydziestki, a grzbiet nosa zgrubiał i spłaszczony, co pozwalało przypuszczać, że jego nos został złamany więcej niż raz.

- Chce pan zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedział jowialnie angielszczyzną z obcym akcentem. - No to chodźmy.

Wcześniej już, gdy tylko zamieszkali w hotelu, Osborn znalazł broszurę opisującą Europa Center jako kompleks ponad stu sklepów, restauracji, kabaretów, było też kasyno. Do szczegółowego opisu dołączono planiki z zaznaczonymi miejscami ewentualnych towarzyskich spotkań, wejściami i wyjściami z budynków.

- Czy był pan kiedykolwiek w Las Vegas, inspektorze Schneider? - zapytał Osborn, uśmiechając się.

- Nie, nie byłem.

- Lubię odrobinę hazardu - rzekł Osborn. - Jak wygląda tutejsze kasyno?

- Spielbank Casino? Znakomite i kosztowne. - Schneider wyszczerzył zęby.

- No to chodźmy tam - odpowiedział z uśmiechem Osborn.

Zjechawszy windą, zatrzymali się przy recepcji hotelowej, gdzie Osborn wymienił franki na marki, a potem Schneider zaprowadził go do kasyna.

Piętnaście minut później poprosił policjanta o przejęcie jego kart przy stoliku do bakarata, bo musi na chwilę pójść do toalety. Schneider widział, jak pyta strażnika z kasyna o kierunek i oddala się.

Osborn przeszedł przez główną salę, skręcił za róg, upewnił się, że Schneider za nim nie idzie, a potem wyszedł. Zatrzymawszy się przy kiosku z gazetami w holu, kupił turystyczny plan miasta, wsadził go do kieszeni i wyszedł bocznymi drzwiami, skręcając w lewo na Nürnbergerstrasse.

Po drugiej stronie ulicy czekał Wiktor Szewczenko. Ubrany w ciemny sweter i dżinsy, stał na chodniku tuż poza zasięgiem światła padającego z jaskrawo oświetlonej greckiej restauracji, na głowie miał słuchawki walkmana Sony. Podnosząc dłoń, jakby chciał stłumić kaszel, odezwał się do mikrofonu:

- Wiktor.

- Lugo - doleciał głos von Holdena przez słuchawki.

- Wyszedł sam. Idzie przez Budapeststrasse w stronę Tiergarten.

Wymijając jadące samochody, Osborn przeszedł przez Budapeststrasse na przeciwległy chodnik i zerknął przez ramię w stronę Europa Center. Jeśli nawet Schneider za nim szedł, nie było go widać. Unikając światła latarni ulicznych, ruszył w kierunku berlińskiego zoo, a następnie,

czując, że podąża w niewłaściwą stronę, zawrócił tą samą drogą. Chodnik pokryty opadłymi liśćmi był śliski od mżawki, powietrze zaś dość zimne, by widział skraplający się własny oddech. Obejrzał się i zobaczył mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym, powoli spacerującego z psem, który obwąchiwał wszystkie drzewa i słupy latami. Ani śladu Schneidera. Przyspieszywszy kroku, przeszedł dwieście metrów, nim zatrzymał się pod oświetlonym daszkiem piętrowego parkingu i otworzył plan. Nim znalazł to, czego szukał, upłynęło kilka minut. Friedrichstrasse znajdowała się po przeciwnej stronie Bramy Brandenburskiej. Jak ocenił, dziesięć minut taksówką lub pół godziny na piechotę przez park Tiergarten. Taksówkę mogli wyśledzić. Lepszy był spacer. Prócz tego będzie miał czas, by pomyśleć.

- Wiktor.

- Lugo - zabrzmiał głos von Holdena w słuchawkach.

- Mam go. Idzie na wschód. Wchodzi do Tiergarten.

Von Holden nadal znajdował się w swym biurze w mieszkaniu przy Sophie Charlotten-Strasse. Stał, rozmawiając przez krótkofalówkę, i nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

- Wciąż sam?

- Tak. - Głos Wiktora brzmiał czysto jak kryształ w maleńkim głośniku.

- Dureń.

- Instrukcje?

- Idź za nim. Będę tam za pięć minut.

## 100

Noble odłożył słuchawkę i spojrzał na McVeya.

- Nadal nic od Cadoux. Nie odpowiada też jego poufny numer w Lyonie.

Zaniepokojony i sfrustrowany McVey popatrzył na Remmera, pijącego trzecią filiżankę czarnej kawy w ciągu ostatnich czterdziestu minut. Przejrzeli po dwadzieścia razy listę gości i do niczego nie doszli. McVey spytał Remmera, czy mogliby otrzymać bardziej szczegółową analizę. Może nie chodziło o to, kim są ci ludzie ani co robią, może jak w przypadku Klasa i Haidera szło o ich rodziny lub pochodzenie, o coś innego niż rzeczy oczywiste.

Niewykluczone, że po prostu nie mieli dość danych, by odkryć wielki napis ROZWIĄZANIE, którego poszukiwali. A być może nic się za tym

nie kryło. Ot, niewinna uroczystość wydana na cześć człowieka, który chorował. Niemniej McVey był zdecydowany nie popuścić, dopóki się nie upewni. Czekał na dodatkowe materiały z Bad Godesbergu, powrócili raz jeszcze do tych samych pytań, tym razem do sprawy Cadoux.

- Zastanówmy się nad duetem Klass-Haider i powiążmy ich z Cadoux.

- McVey siedział w fotelu z nogami na jednym z bliźniaczych łóżek. - Czy jego ojciec, brat, kuzyn, ktokolwiek... mógł być hitlerowcem lub sympatykiem hitlerowców podczas wojny?

- A słyszałeś kiedykolwiek nazwę AJAX? - zapytał Remmer.

Noble podniósł wzrok.

- AJAX był siatką wewnątrz francuskiej policji, współpracującą z ruchem oporu podczas okupacji. Po wojnie odkryto, że tylko pięć procent jej członków faktycznie było w ruchu oporu. Większość zajmowała się przemytem na rzecz rządu w Vichy.

- Wuj Cadoux był gliniarzem w policji kryminalnej. Członkiem AJAX-u w Nicei. Po wojnie zwolniono go ze służby na fali pozbywania się kolaborantów nazistowskich - rzekł Remmer.

- A co z jego ojcem?

- Ojciec Cadoux zmarł rok po jego urodzeniu.

- Czy to ma znaczyć, że wychował go... - McVey kichnął potężnie - wuj?

- Zgadza się.

McVey popatrzył w dal, a potem wstał i przeszedł przez pokój.

- Czyli naprawdę o to chodzi w tym wszystkim, Manny. O nazistów. Czy Scholl jest hitlerowcem? I Lybarger? - Wróciwszy na miejsce, wziął listę gości leżącą na łóżku. - Czy ci wszyscy bogaci, wykształceni, wybitni ludzie... są nowym miotem niemieckich nazistów?

W tym momencie zapaliło się światelko w faksie. Rozległ się warkot i z faksu zaczął wysuwać się papier. Remmer wyjął go z aparatu i przeczytał.

- Nie ma świadectwa urodzenia żadnego Eltona Lybargera w Essen w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim ani w sąsiednich latach. Sprawdzają dal ej. - Remmer kontynuował odczytywanie faksu, a potem podniósł wzrok. - Posiadłość Lybargera w Zurychu.

- No?

- Jej właścicielem jest Erwin Scholl.

Osborn nie miał pojęcia, co zrobi, gdy dotrze do Grand Hotelu Berlin. Inaczej było w Paryżu. Miał czas na ułożenie planu, na przemyślenie sposobu



działania w trakcie tropienia Merrimana przez Jeana Packarda. Teraz, gdy szedł oświetloną ścieżką biegnącą wśród ciemnych trawników i drzew Tiergarten, narzucały mu się oczywiste pytania: jak dotrzeć do Scholla, gdy będzie sam; jak skłonić go do mówienia; co zrobić potem.

Scholla widział tylko raz na wspólnej fotografii z przyjęcia noworocznego z Ronaldem Reaganem i Geraldem Fordem. Obraz był nieostry, ale miał pewność, że rozpozna go natychmiast, gdy tylko go zobaczy. Łatwo było przewidzieć, że człowieka o jego pozycji musi otaczać cała świta asystentów i pieczeniarzy. No i będzie miał ochroniarzy. Oznaczało to, że dotarcie do niego, gdy będzie sam, musi być skrajnie trudne, jeśli w ogóle jest możliwe.

A nawet założywszy, że spotka go samego, jak zmusi go do ujawnienia tego, co chciałby usłyszeć? Scholl, jak utrzymywał Diedrich Honig, z prawnikami lub bez nich, zaprzeczy, by kiedykolwiek słyszał o Albercie Merrimanie, ojcu Osborna czy kimkolwiek z pozostałych. Podziałałaby sukcylinylocholina, ale nie miał w Berlinie sprzymierzeńców, którzy by mu ją pomogli zdobyć. Przelotnie pomyślał o Verze. Jak się czuje, gdzie jest? Dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć? Natychmiast odepchnął te myśli. Musi skoncentrować się na Schollu. I nikim innym.

Widzieli go przed sobą, oddalonego o jakieś dwieście metrów. Nadal był sam i szedł po ścieżce, która za chwilę zaprowadzi go na skraj parku koło Bramy Brandenburskiej.

- Jak to chcesz zrobić? - spytał Wiktor.

- Chcę popatrzeć mu w oczy - odparł von Holden.

Osborn spojrział na zegarek.

Dziesiąta trzydzieści pięć.

Czy Schneider jeszcze próbuje go ścigać, czy też już zameldował o jego zniknięciu Remmerowi? Jeśli tak, zapewne McVey zaalarmował policję berlińską i będzie musiał wystrzegać się również jej. Nie miał paszportu, a McVey może po prostu zgodzić się na zamknięcie go w areszcie tylko po to, by trzymać go z dala od wydarzeń.

Nagle uderzyła go myśl, że mógł się mylić. Był tak zmęczony jak oni wszyscy. Może jego niepokój, że McVey zostawi go, gdy pójdą po Scholla, wynikał właśnie z tego. Przecież to on szukał pomocy u McVeya i wraz z nim dotarł aż tak daleko. Czemu teraz odwraca się do niego plecami i chce

wszystko robić na własną rękę? Myśli zawirowały mu w głowie. Ogarnęły go te same uczucia, które towarzyszyły mu przez prawie trzydzieści lat. Był zbyt bliski rozwiązania, by teraz zniszczyć wszystko z powodu własnych uczuć. Czy tego nie rozumiał? Chciał być silny, z miłości do ojca wziąć wszystko we własne ręce i skończyć z tym. Ale to nie była właściwa droga; nie miał stosownych środków ani doświadczenia. Rozumiał to w Paryżu. Czemu nie teraz?

Nagle poczuł się zdezorientowany i straszliwie zażenowany. To, co przed chwilą uznał za stanowcze, zdecydowane działanie, teraz jawiło mu się mgliście, nawet niejasno, jakby należało do odległej przeszłości. Musiał zatrzymać galopadę myśli, choćby na krótką chwilę musiał przestać myśleć.

Rozejrzał się, próbując zdać sobie sprawę, gdzie się znajduje. Nadal było zimno, ale przestało mżyć. Park stał opustoszały i ciemny. Tylko oświetlone ścieżki i wysokie budynki w oddali dowodziły, że znajdował się w mieście, a nie w głębokich lasach. Spojrzawszy za siebie, dostrzegł, że właśnie przeszedł przez placyk, na którym promieniście spotykało się pięć ścieżek. Którą z nich przyszedł?

Metr dalej stała ławka parkowa. Podszedł do niej i usiadł. Da sobie kilka minut na rozjaśnienie umysłu, a potem postanowił, co dalej. Zimne powietrze było czyste, przyjemnie pachniało i oddychał nim głęboko. W roztargnieniu włożył dłonie do kieszeni marynarki, by je rozgrzać, i dotknął prawą ręką pistoletu. Był niczym przedmiot wetknięty tam kiedyś dawno temu i zapomniany. W tym momencie coś nakazało mu podnieść wzrok.

Zbliżał się jakiś człowiek. Miał podniesiony kołnierz, pochylał się lekko na jeden bok, jakby dotknięty jakimś inwalidztwem. Gdy podszedł, Osborn zauważył, że jest wyższy, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, bardzo schludny, ma szerokie ramiona i krótko przystryżone włosy. Gdy znalazł się dość blisko, podniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały.

- Guten Abend - powiedział von Holden.

Osborn lekko skinął głową, a potem odwrócił wzrok, by uniknąć dalszego kontaktu. Dłoń w kieszeni marynarki silniej ujęła pistolet. Mężczyzna oddalił się ledwie o dziesięć kroków, gdy zatrzymał się i odwrócił. Ten ruch był denerwujący i Osborn natychmiast zareagował. Wyszarpnąwszy pistolet z kieszeni, skierował go wprost w pierś mężczyzny.

- Idź... precz! - powiedział, dokładnie wymawiając angielskie słowa.

Von Holden przyglądał mu się przez chwilę, a potem przeniósł wzrok na broń. Osborn był podniecony i zdenerwowany, ale dłoń mu nie drżała, a palec spokojnie spoczywał na spuście. Pistolet był produkcji czeskiej. Małego kalibru, ale bardzo celny z bliska. Von Holden uśmiechnął się. Broń Ovena.

- Z czego się cieszysz? - warknął Osborn. Mówiąc to, zauważył, że mężczyzna zerka nad jego ramieniem gdzieś dalej. Osborn natychmiast się cofnął, trzymając broń wycelowaną jak dotychczas. Lekko odwróciwszy głowę, spojrzął na prawo. Drugi człowiek stał w cieniu drzewa, nie dalej jak cztery metry.

- Powiedz mu, by do ciebie podszedł - polecił Osborn, wracając spojrzeniem do von Holdena.

Von Holden milczał.

- Sprechen Sie Englisch? - spytał Osborn.

Von Holden nadal się nie odzywał.

- Sprechen Sie Englisch? - powtórzył Osborn, tym razem z większym naciskiem.

Von Holden leciuteńko kiwnął głową.

- Więc powiedz mu, by podszedł do ciebie. - Osborn przytrzymał kurek kciukiem, nacisnąwszy spust pistoletu. Jeśli rzucą się na niego, wystarczy, że pozwoli kciukowi się ześlizgnąć. - I to zaraz!

Von Holden czekał jeszcze przez chwilę, a potem zawołał po niemiecku.

- Zrób, co mówi.

Wiktor wyszedł spod drzewa i przez trawnik podszedł do miejsca, gdzie stał von Holden.

Osborn wpatrywał się w nich w milczeniu przez chwilę, a potem pozwoli zaczął się wycofywać, nadal celując w pierś von Holdena. Cofał się tak jeszcze dwadzieścia metrów. A potem, przechodząc pod drzewem, odwrócił się i pobiegł. Przeciął oświetloną ścieżkę, przeskoczył kilka niewysokich schodków i pobiegł po trawie wśród gęstych drzew. Obejrzał się i zobaczył, że go gonią. Ciemne postacie ukazały się na chwilę jako sylwetki na nocnym niebie, gdy przebiegały wśród kępy drzew, gdzie przed chwilą się znajdował.

Przed sobą widział jasne światła samochodów jadących Tiergartenstrasse. Znowu się obejrzał. Drzewa zlewały się w jedną czarną masę. Musiał założyć, że ścigają go nadal, choć nie był tego pewien. Z łomoczącym sercem, ślizgając się na mokrej trawie, biegł przed siebie. Wreszcie poczuł pod nogami chodnik i zobaczył, że dotarł do skraju parku. W świetle latarni ulicznych toczyły się przed nim nieustannie samochody. Nie zatrzymując się, wbiegł na jezdnię. Ryknęły klaksony. Rozległ się pisk

opon, a potem głośny huk, gdy taksówka, skręciwszy, by go ominąć, uderzyła w zaparkowany samochód. Ułamek sekundy później inny wóz wbił się w taksówkę; odłamek jego zderzaka poszybował w ciemność.

Osborn nawet się nie obejrzał. Z obolałą z wysiłku piersią dał nura za zaparkowane samochody i biegł schylony przez pół przecznicy, potem wpadł w boczną uliczkę. Przed nim było skrzyżowanie i jasno oświetlona ulica. Bez tchu skręcił za róg i zaczął szybko przepychać się przez tłum przechodniów.

Wepchnął pistolet za pasek, przykrył go połą marynarki i posuwał się przed siebie, próbując pozbierać myśli. Mijając bar Burger King, odwrócił się i spojrzął za siebie. Nic. Może w ogóle go nie gonili. Może to wszystko było tworem jego wyobraźni. Szedł nadal, trzymając się tłumu.

Kilku niedorzecznie przyodzianych nastolatków minęło go, idąc z przeciwnego kierunku, a ciemnowłosa dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Czemu wyciągnął broń? Ten człowiek tylko się odwrócił. Przecież ten drugi mężczyzna mógł nawet mu nie towarzyszyć, po prostu wyszedł sobie na spacer. Ale coś nienaturalnego w sposobie, w jaki obcy na niego spojrzął i powiedział: „Dobry wieczór”, spowodowało, że Osborn uznał, iż zostanie zaatakowany. Zrobił to, co zrobił. W końcu lepiej się wygłupić, niż dać się załatwić.

Zegar w oknie wystawowym pokazywał dziesiątą pięćdziesiąt dwie.

Aż do tej chwili całkowicie zapomniał o McVeyu. Za osiem minut powinien wrócić do hotelu, a nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Co teraz? Zatelefonować do niego? Zmyślić jakąś historyjkę, powiedzieć, że... Skręcił za róg i tuż przed sobą ujrzał Europa Center. Nad wjazdem dla zmotoryzowanych wisiał świetlny szyld hotelu Palace.

Za sześć jedenasta Osborn wszedł do windy i nacisnął guzik szóstego piętra. Drzwi się zamknęły i winda ruszyła w górę. Był sam i bezpieczny.

Próbując zapomnieć o człowieku w parku, obrzucił wzrokiem wnętrze kabiny. Jedną ścianę stanowiło lustro, więc zaczesał włosy do tyłu i obciągnął marynarkę. Na drugiej ścianie wisiał turystyczny plakat Berlina ze zdjęciami atrakcji, które obowiązkowo trzeba zaliczyć. W samym jego centrum znajdowała się fotografia pałacu Charlottenburg. Nagle przypomniało mu się, co wcześniej powiedział Remmer: Przyczyną spotkania

jest uroczyste powitanie niejakiego Eltona Karla Lybargera. Przemysłowca z Zurychu, który miał dwa lata temu w San Francisco ciężki udar, a teraz całkowicie wyzdrowiał.

- Cholera - zaklął. - Cholera.

Powinno to do niego dotrzeć wcześniej.

## 101

Dokładnie o dziesiątej pięćdziesiąt osiem Osborn zapukał do drzwi pokoju numer sześćdziesiąt jeden trzydzieści dwa. Chwilę później otworzył je McVey. Za jego plecami stało pięciu mężczyzn i wszyscy przyglądali mu się w milczeniu. Noble, Remmer, detektyw Johannes Schneider i dwaj mundurowi policjanci berlińscy.

- Pięknie, Kopciuszkule - powiedział bezbarwnym głosem McVey.

- Rozdzielono mnie z detektywem Schneiderem. Szukałem go wszędzie. Co jeszcze miałem zrobić?

Ignorując gniewne spojrzenie McVeya, Osborn przeszedł przez pokój i wziął słuchawkę telefonu. Nastąpiła chwila ciszy, a potem dostał połączenie.

- Proszę z doktorem Mandelem - powiedział.

Remmer wzruszył ramionami, podziękował berlińskim gliniarzom, a McVey uściśnął dłoń Schneidera. Następnie Remmer odprowadził całą trójkę do drzwi i zamknął je za nimi.

- Dziękuję, zadzwonię jeszcze raz. - Osborn odłożył słuchawkę i spojrzął na McVeya. - Zaprzecz, jeśli się mylę - zaczął z energią, której McVey nie słyszał u niego od chwili, gdy opuścili Anglię - ale sądząc ze wszystkiego, co słyszałem, szanse postawienia Scholla przed sądem, a cóż dopiero uzyskania wyroku, są bliskie zera. Jest zbyt potężny, ma za dobre powiązania, stoi ponad prawem. Zgadza się?

- Mów dalej, doktorze.

- Więc popatrzmy na to z innej strony i spytajmy, czemu ktoś taki jak Scholl miałby przejechać pół świata, by uczcić człowieka, który wydaje się prawie nie istnieć, i czemu, jak wszystko na to wskazuje, miałby być pośrednim sprawcą całej fali morderstw, których nieustannie przybywa, w miarę jak zbliża się to przyjęcie w Charlottenburgu. - Osborn obrzucił wszystkich szybkim spojrzeniem, a potem znów zwrócił się do McVeya. - Lybarger. Założę się, że jest kluczem do całej sprawy. A jeśli dowiemy się

o nim, czego trzeba, to założą się, że odkryjemy o wiele więcej na temat Erwina Scholla.

-Jeśli uważasz, że możesz wykryć coś, czego nie potrafi niemieckie Federalne Biuro Kryminalne, to proszę bardzo... - orzekł McVey.

-Właśnie taką mam nadzieję, McVey. - Osborn skinął głową w stronę telefonu. Był pełen energii. Wiedział, że samotnie nic nie zdziała, ale tamci nie zdołają go już teraz wyłączyć z gry. - Telefonowałem do doktora Herba Mandela. Jest nie tylko najlepszym chirurgiem naczyniowym, jakiego znam, ale też dyrektorem naczelnym General Hospital w San Francisco. Jeśli to prawda, że Lybarger miał udar, muszą mieć historię choroby.

Von Holden był zły. Powinien zastrzelić Osborna przy pierwszym podejściu, gdy ten siedział na ławce. Ale chciał mieć pewność, że to właściwy człowiek. Zarówno Wiktor, jak Natalia byli godni zaufania, ale posługiwali się tylko fotografią Osborna. Problem nie polegał oczywiście na tym, że mógłby zastrzelić niewłaściwego człowieka, lecz na tym, że mógłby mylić się co do tego, że ten właściwy nie żyje. Dlatego właśnie podszedł tak blisko do Osborna, a ten zaskoczył go, wyciągając broń. Powinien być na to przygotowany; zgadzało się to z oceną Scholla, że Osborn jest chwiejny emocjonalnie, a jego zachowanie jest nieprzewidywalne.

Ale nawet w tych okolicznościach von Holden powinien go zabić. Umyślnie odwrócił wzrok od Osborna; chciał, by tamten poszedł za jego spojrzeniem. Potrzebował tylko tej jednej chwili. Ale Osborn wycelował w niego pistolet i cofnął się, by mieć w polu widzenia obu mężczyzn. Odciągnął kurek i nacisnął lekko spust, tak że nawet gdyby został zastrzelony, jego kciuk ześlizgnąłby się z kurka, a pistolet wypalił wprost w von Holdena. A von Holden stał o wiele za blisko, by ryzykować bezpośredni postrzał.

Gdyby Osborn zatrzymał się choć na jedną milisekundę, zamiast wbiegać w sam środek strumienia pojazdów na Tiergartenstrasse, dostaliby go. Ale tego nie zrobił, a dwa zderzające się samochody skutecznie go zastąpiły.

Wchodząc po ostatnich stopniach do mieszkania przy Sophie Charlotten-Strasse, von Holden był zaniepokojony nie tylko swą porażką... takie rzeczy się zdarzały. Trawił go ogólny niepokój. Odosobnienie Osborna było darem niebios, a on powinien był go bezwzględnie załatwić. A nie zrobił tego. To się układało w jakąś prawidłowość. Bernhard Oven powinien wyeliminować go w Paryżu. Nie zrobił tego. Wysadzenie pociągu

Paryż-Meaux powinno spowodować śmierć zarówno Osborna, jak i McVeya, ale żyli nadal. To nie była kwestia szczęścia, lecz jeszcze czegoś. A von Holden odbierał to jako coś naprawdę złowieszczego.

### Vorahnung.

To słowo nawiedzało go od młodości. Oznaczało przecucie. Od dnia, gdy po raz pierwszy spotkał Scholla, miał dziwaczne wrażenie, że droga tego człowieka i wszystkich, którzy za nim podążali, w ostatecznym rozrachunku prowadzi do katastrofy. Nie miał pojęcia, skąd się wzięło to wrażenie i z pewnością nic nie potwierdzało jego przypuszczeń, że ma słuszość, bo wszystko, do czego brał się Scholl, przebiegało po jego myśli, i tak było przez całe lata. A jednak to wrażenie nie mijało.

Niekiedy znikало na dni, niekiedy na całe miesiące. Ale powracało. A wraz z nim straszliwe sny, w których ogromne surrealistyczne kurtyny z przezroczystej czerwieni i zieleni zorzy polarnej, wznoszące się na tysiące metrów, falowały w górę i w dół jak gigantyczne tłoki w wirze jego umysłu. Przerazenie wywoływał sam ich ogrom, on zaś, całkowicie bezradny, nie mógł zrobić niczego, by powstrzymać ich nieubłagany ruch.

Budził się, by przerwać ten sen, i zlany zimnym potem, trzęsący się z przerażenia, zmuszał się do czuwania przez resztę nocy, z obawy że jeśli zaśnie, pojawią się znowu. Często zastanawiał się, czy to nie jest choroba wynikająca z jakiegoś zakłócenia równowagi chemicznej organizmu, a nawet nowotworu mózgu. Ale wiedział, że nie, gdyż pomiędzy koszmarami następowały długie okresy spokoju.

A potem koszmary zniknęły. Po prostu zniknęły. Prawie przez pięć lat był od nich wolny i zyskał pewność, że się z tego wyleczył. Prawdę mówiąc, przez ostatnie lata nawet o nich nie pomyślał. Aż do ostatniej nocy, gdy dowiedział się, że McVey i pozostali odlecieli z Londynu prywatnym samolotem. Nie musiał zgadywać celu ich podróży, znał go. I poszedł do łóżka, bojąc się zasnąć, bo wiedział w głębi duszy, że te sny powrócą. I tak się stało. I były bardziej przerażające niż kiedykolwiek.

Wchodząc do mieszkania, von Holden kiwnął głową strażnikowi i skierował się do długiego korytarza. Gdy doszedł do szeregu biur sekretarek, spojrzała na niego dość wysoka kobieta z okrągłą twarzą i ufarbowanymi na czerwono włosami, podnosząc wzrok znad komputera, który nieustannie kontrolował stan elektronicznego systemu bezpieczeństwa w Charlottenburgu.

- On tam jest - powiedziała po niemiecku.

- Danke. - Von Holden otworzył drzwi do swego gabinetu i zobaczył uśmiech na znajomej twarzy. Cadoux.

## 102

Było tuż po drugiej nad ranem. Po trzech godzinach i tuzinie rozmów telefonicznych Osborn i McVey przy współpracy doktora Herba Mandela z San Francisco i agenta specjalnego Freda Hanleya z biura FBI w Los Angeles zrekonstruowali przebieg tego, co przydarzyło się Eltonowi Lybargerowi podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych.

W żadnym ze szpitali obszaru San Francisco nie było zapisu, by kiedykolwiek leczono tam pacjenta nazywającego się Lybarger w następstwie udaru. Ale we wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku właśnie E. Lybarger został przywieziony prywatnym ambulansiem do ekskluzywnego szpitala Palo Colorado w miejscowości Carmel w Kalifornii. Pozostawał tam do marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, kiedy to umieszczono go w Rancho de Piñon, równie ekskluzywnym sanatorium tuż koło Taos w Nowym Meksyku. Stamtąd ledwie tydzień temu odleciał do domu w Zurychu w towarzystwie amerykańskiej fizykoterapeutki, Joanny Marsh.

Szpital w Carmel zapewnił odpowiednie warunki transportu, ale nie personel. W ambulansie Lybargerowi towarzyszył osobisty lekarz i jedna pielęgniarka. Dzień później dołączyło do nich czterech pomocników medycznych. Pielęgniarka i pomocnicy mieli paszporty szwajcarskie, lekarz był Austriakiem. Nazywał się Helmuth Salettl.

O trzeciej czterdzieści pięć rano z Bad Godesbergu przesłano Remmerowi faksem kopie czterech świadectw zawodowych doktora Helmutha Salettla oraz jego życiorys. Remmer rozdał je obecnym, tym razem nie wyłączając Osborna.

Salettl był siedemdziesięciodziewięcioletnim starym kawalerem, mieszkającym ze swą siostrą w Salzburgu w Austrii. Urodzony w roku tysiąc dziewięćset czternastym, w chwili wybuchu wojny był młodym chirurgiem na Uniwersytecie Berlińskim. Później, jako wysokiego rangą człowieka SS, Hitler mianował go komisarzem do spraw zdrowia publicznego. W ostatnich dniach wojny polecił go aresztować i skazać na śmierć za próbę przesłania Amerykanom tajnych dokumentów. Uwięziony w willi



pod Berlinem oczekiwał na egzekucję, gdy niespodziewanie przeniesiono go do innej willi w północnych Niemczech, gdzie został ocalony przez wojska amerykańskie. Przesłuchany przez oficerów alianckich w obozie Oberursel koło Frankfurtu, został przewieziony do Norymbergii, gdzie był sądzony i niewinny z zarzutu „przygotowywania i prowadzenia wojny napastniczej”. Następnie powrócił do Austrii i praktykował jako internista do siedemdziesiątego roku życia. Wówczas przeszedł na emeryturę i leczył tylko kilku wybranych pacjentów. Jednym z nich był Elton Lybarger.

- A więc znowu to mamy... - McVey skończył czytać i położył papiery na brzegu łóżka.

- Nazistowskie powiązania - dokończył Remmer.

McVey spojrzął na Osborna.

- Po co lekarz miałby spędzać siedem miesięcy w szpitalu odległym o tysiące kilometrów od swego domu, nadzorując rekonwalescencję jednego pacjenta po udarze? Czy widzisz w tym jakiś sens?

- Nie, chyba że byłby to skrajnie niebezpieczny udar i Lybarger byłby człowiekiem wysoce ekscentrycznym lub neurotycznym, a jego rodzina chętna do zapłacenia góry złota za tego rodzaju opiekę.

- Doktorze - powiedział z naciskiem McVey - Lybarger nie ma żadnej rodziny. Pamiętasz? A jeśli był tak chory, że potrzebował u swego boku lekarza przez siedem miesięcy, to jak miał to załatwić osobiście, zwłaszcza na początku kuracji?

- Ktoś to zrobił. Ktoś musiał wysłać Salettla i jego zespół medyczny do Stanów i zapłacić za to - dodał Noble.

- Scholl - orzekł Remmer.

- Dlaczego nie? - McVey przeczesał włosy palcami. - Skoro jest właścicielem szwajcarskiej posiadłości Lybargera, dlaczego nie mielibyśmy oczekiwać, że kieruje również innymi jego sprawami? Szczególnie tak ważnymi jak zdrowie.

Noble zmęczonym gestem wziął filiżankę herbaty z dostarczonej przez obsługę hotelową tacy.

- Wracamy znów do pytania: dlaczego?

McVey rozsiadł się na brzegu łóżka i kolejny raz wziął do ręki pięciostronicowy, gęsto zadrukowany faks zawierający życiorysy gości zaproszonych do pałacu Charlottenburg, przysłany z Bad Godesbergu.

- Manfredzie - powiedział, patrząc na Remmera - kręcimy się tu i tam, szperamy, patrzymy, dyskutujemy, od jednej z najskuteczniej na świecie

działających instytucji policyjnych otrzymujemy ściśle tajne informacje o prywatnych obywatelach i co się dzieje? Nic nie mamy. Wiemy tylko, że coś w tym jest. Może coś związanego z wydarzeniami jutrzejszego wieczoru, a może nie. Ale tak czy inaczej, jutro, uzbrojeni w nakaz aresztowania, narazimy nasze dostojne, tłuste tyłki, przydybamy Scholla i zadamy mu kilka pytań. Będziemy mieli czas tylko na jeden strzał, nim przejmą sprawę adwokaci. A jeśli nie damy mu tak na poty, by od razu pękł i przyznał się, a przynajmniej nie złamiemy go tak, żeby powiedział coś, dzięki czemu będziemy mogli cisnąć go dalej, jeśli nie będziemy wiedzieć przy końcu więcej niż na początku...

- McVey - powiedział ostrożnie Remmer - dlaczego zacząłeś nazywać mnie Manfredem, jeśli zawsze mówisz do mnie Manny...?

- Bo jesteś Niemcem i zwracam się specjalnie do ciebie. Jeśli ta impreza z Lybargerem okaże się zebraniem jakiejś siły politycznej podobnej do nazizmu... Czego mogą chcieć? Jeszcze jednej próby eksterminacji Żydów? - McVey ściszył głos, ale przemawiał z większą pasją. Nie wyglądało na to, że naprawdę oczekuje wyjaśnienia. - Utworzenia maszyny wojkowej, by stratować Europę i Rosję, a potem może całą resztę? Powtórki z historii? Po co ktokolwiek miałby tego pragnąć? Powiedz mi, Manfredzie, bo ja nie wiem.

- Ja... - Remmer zacisnął pięść - także nie wiem...

- Nie wiesz.

- Nie.

- A ja myślę, że wiesz.

W pokoju zapanowała martwa cisza. Było w nim czterech mężczyzn i żaden ani drgnął. Ledwie oddychali. A potem Osbornowi wydało się, że Remmer jakby lekko się w sobie zapadł.

- No, Manfredzie... - powiedział niewinnym tonem McVey, ale nie w niewinnych zamiarach. Trafił Remmera w czułe miejsce, zaskoczył go i taki właśnie miał zamiar. - To niesprawiedliwe, Manfredzie, wiem o tym - rzekł spokojnie. - Niemniej pytam. Bo to może pomóc.

- McVey, ja nie mogę...

- Owszem, możesz.

Remmer rozejrzał się po pokoju.

- Weltanschauung - powiedział głosem niewiele głośniejszym od szeptu. - Światopogląd Hitlera. Istnieje wieczysta walka, w której tylko silni przeżywają, a najsilniejsi z silnych władają. Dla niego Niemcy byli niegdyś najsilniejszymi z silnych. Przeznaczeni do rządzenia. Ale ta siła

osłabła z biegiem pokoleń ponieważ prawdziwa rasa germańska mieszała się z innymi, o wiele niższymi. Hitler wierzył, że mieszanie się krwi było jedyną przyczyną wymierania starych kultur. Niemcy przegrały pierwszą wojnę światową, gdyż Aryjczycy wyrzekli się czystości swej krwi. Dla Hitlera Germanie byli najdoskonalszą rasą na Ziemi i mogli ponownie stać się tym, kim byli niegdyś... ale tylko dzięki skrajnie starannej hodowli.

Pokój hotelowy zmienił się w teatr z trzyosobową publicznością i Remmerem jako jedynym aktorem na scenie. Stał wyprostowany jak struna. Oczy mu błyszczały, pot wystąpił na czoło. Nie szeptał już; mieli przed sobą mowę wygłaszającego zwięzłe przemówienie, którego nauczył się na pamięć. A raczej wyuczył, a później świadomie zapomniął.

- Kiedy ruch nazistowski się rodził, żyło ponad osiemdziesiąt milionów Niemców; za sto lat, jak sobie wyobrażał, będzie ich dwieście pięćdziesiąt milionów, może więcej. Takie Niemcy potrzebowały Lebensraum... przestrzeni życiowej, mnóstwa przestrzeni, tyle, by zagwarantować narodowi swobodną egzystencję. Ale przestrzeń życiowa i ziemia, mówił Hitler, istnieją tylko dla ludzi mających dość siły, by je wziąć. W ten sposób stwierdzał, że nowy Reich musi podjąć tradycję rycerzy zakonu krzyżackiego. Zdobyć germańskim mieczem glebę dla germańskich pługów i chleb dla germańskich brzuchów.

- Wyruszyli więc na drogę cnoty, zaczynając od zmiecienia z powierzchni Ziemi sześciu milionów Żydów, żeby ci nie mogli z nimi sypiać? - McVey mówił tonem staromodnego prowincjonalnego adwokata, tak jakby czegoś nie dosłyszał i dlatego nie rozumiał. Nie naciskał zbytnio, bo wiedział, że Remmer odpowiedziałby gwałtownie, broniąc tego, co było. Broniąc własnej winy.

- Musisz zrozumieć, co się działo. To było po katastrofalnej przegranej w pierwszej wojnie światowej. Traktat wersalski pozbawił nas honoru, była ogromna inflacja, masowe bezrobocie. Kto miał przeciwstawić się przywódcy, który zwracał nam naszą dumę i szacunek do samych siebie...? Rozkochał nas w sobie i zawładnęło nami to uczucie, zagubiliśmy się w nim. Popatrz na stare filmy, stare fotografie. Popatrz na twarze ludzi. Kochali swego Führera. Kochali jego słowa i płonący w nich ogień. I dlatego zapomniano zupełnie, że są to słowa niedokształconego, obłąkanego człowieka... - Remmer zrobił zakłopotaną minę i przerwał, jakby nagle stracił kontakt z biegiem własnych myśli.

- Dlaczego? - syknął McVey niczym siedzący za kulisami sufler. - Zrobiłeś nam wykład z historii, Manfredzie. A teraz powiedz nam prawdę.

Dlaczego porwały was słowa Hitlera? Dlaczego zagubiliście się w ideach i namiętnościach niedokształconego, obłąkanego człowieka? Przecież nie możesz obwiniać jednego człowieka.

Spojrzenie Remmra skakało po całym pokoju. Posunął się już tak daleko, jak mógł... lub jak chciał...

- Naziści to nie Hitler, Manfredzie. - McVey nie był już staromodnym prowincjonalnym adwokatem, który rzekomo czegoś nie pojął; drażył podświadomość Remmra, żądał, by tamten wniknął głębiej w siebie. - Nawet jeśli był potężny, to przecież nie był sam...

Remmer wbił spojrzenie w podłogę. Powoli podniósł głowę, jego oczy wypełniało przerażenie.

- Wierzmy w mity jak w religię. To coś prymitywnego, plemiennego, wrodzonego... kryją się gdzieś w podświadomości i gdy objawi się charyzmatyczny przywódca, który da im życie... Hitler był ostatnim z nich i po dziś dzień byśmy szli za nim wszędzie... To jest stara kultura, McVey... kultura Prus i jeszcze znacznie dawniejsza. Rycerze teutońscy wyjeżdżający konno z mgły, w pełnych zbrojach, z mieczami wysoko uniesionymi w okrytych żelazem dłoniach. Kopytami rumaków wstrząsający ziemią jak grom, tratujący wszystko, co stanic na ich drodze. Zdobywcy. Władcy. Nasz kraj. Nasze przeznaczenie. My po prostu jesteśmy wyżsi. Rasa panów. Czystej krwi Germanie. Blond włosy, niebieskie oczy i ta cała reszta.

Remmer wpatrywał się nieustępliwie w McVeya. A potem odwrócił się, wytrząsnął z paczki papierosa, zapalił go i przeszedł przez pokój, by samotnie usiąść na kanapie, jak najdalej od pozostałych. Zgarbił się, przysunął popielniczkę i wlepił wzrok w podłogę. Papieros w jego poplamionych niktyną palcach pozostawał nieruchomy. Ku sufitowi wznosiła się smużka dymu.

## 103

W mętym świetle świtu Osborn leżał, słuchając ciężkiego oddechu Noble'a śpiącego na sąsiednim łóżku. McVey i Remmer spali w drugim pokoju. Zgasili światła o trzeciej trzydziści, teraz była za kwadrans szósta. Wątpił, czy przespał choć dwie godziny.

Od chwili przybycia do Berlina czuł, jak rośnie frustracja McVeya, nawet rozpacz, w miarę jak próbowali zdzierać powłoki chroniące Erwina

Scholla. Z tego właśnie powodu McVey uderzył w Remmera; uderzył brutalnie, ale chciał odkryć coś podstawowego, czego zaden z nich nie był zdolny pojąć. I udało mu się... To nie byli teutońscy rycerze, konno wyjeżdżający z mgły, o których mówił Remmer. To była arogancja - przekonanie, że wystarczy nazwać się „rasą panów”, a potem wziąć się do niszczenia wszystkich innych, by to udowodnić. Określenie to przylegało do Scholla, do człowieka tak zarozumiałego, że mógł manipulować ludźmi, mordować, a równocześnie narzucać się jako spowiednik królom i prezydentom. Będą musieli się z tym zmierzyć, gdy staną z Schollem twarzą w twarz. Ale mieli tylko tyle, haczyk, cień przewagi. Nic konkretnego.

Konkretny był Lybarger. Osborn uważał, że to postać kluczowa. Niestety, wydawało się, że poza tą odrobiną, którą już mieli, nie odkryją nic na jego temat. Jedynym obiecującym tropem było nazwisko doktora Saletlla na liście gości Charlottenburga, ale jak dotąd BKA nie zdołało go nigdzie odnaleźć - w Austrii, Niemczech ani Szwajcarii. Jeśli miał się pojawić na uroczystości, to gdzie mógłby w tej chwili przebywać?

Coś musiało się za tym kryć. Ale co? I jak to wykryć?

Gdy Osborn pojawił się w drzwiach, McVey czuwał i robił notatki.

- Zakładamy, że Lybarger nie miał rodziny, prawda? Ale skąd mamy pewność? - zapytał z naciskiem Osborn. - Jestem austriackim lekarzem, przebywam w Carmel w Kalifornii i leczę ciężko chorego szwajcarskiego pacjenta przez siedem miesięcy. Jego stan poprawia się bardzo powoli. Pacjent mi ufa. Gdyby miał żonę, dzieci, brata...

- Chciałbym, żeby wiedzieli, w jakim jest stanie - uzupełnił McVey.

- Tak. A gdyby pacjent był ofiarą udaru jak Lybarger, miałby trudności z mówieniem i zapewne też z pisaniem. Porozumiewanie się stwarzałoby mu problemy, poprosiłby więc mnie, żebym wyświadczył mu tę przysługę. I zrobiłbym to. Nie listownie, lecz telefonicznie. Co najmniej raz w miesiącu, może częściej.

Już rozbudzony, Remmer usiadł na łóżku.

- Zapisy towarzystwa telefonicznego.

Nieco ponad godzinę później przyszedł faks od agenta specjalnego Freda Hanleya z Los Angeles.

Strona po stronie wykaz rozmów telefonicznych zamawianych z prywatnej linii Saletlla w szpitalu Pało Colorado w Carmel. Łącznie siedemset trzydzieści trzy rozmowy. Hanley zakreślił na czerwono ponad piętnaście

numerów na całym świecie, gdzie mógł znajdować się Erwin Scholl, większość w Stanach, Austrii lub Zurychu. Oprócz nich znaleźli dwadzieścia pięć rozmów z krajem o numerze kierunkowym czterdzieści dziewięć - Niemcy oraz numerem miasta trzydzieści - Berlin. McVey odłożył papiery i zwrócił się do Osborna.

- Odniosłeś sukces, doktorze. - Zerknął na Remmera. - To twoje miasto, co robimy? - zwrócił się do niego.

- To samo, co się robi w Los Angeles. Złożymy wizytę.

## 7.45 rano

- Ta Karolin Henniger - rzekł McVey, gdy Remmer zatrzymał mercedesa przed frontem drogiej galerii antyków przy Kantstrasse. - Nie sądzę, byśmy mogli przyjąć, iż jest ona bezpośrednio powiązana z Lybargerem. Może być krewną Salettla, przyjaciółką, nawet kochanką.

- Chyba się tego dowiemy, co? - Osborn otworzył drzwiczki i wysiadł. On ułożył plan i McVey pozwolił mu go przeprowadzić. Był amerykańskim lekarzem próbującym ustalić na prośbę kolegi z Kalifornii miejsce pobytu doktora Salettla. Remmer miał być jego niemieckim przyjacielem, który towarzyszył mu jako tłumacz, na wypadek gdyby Karolin Henniger nie mówiła po angielsku. Reszta zależała od tego, co odpowie.

McVey i Noble patrzyli z mercedesa, jak tamci wchodzili do budynku. Po drugiej stronie ulicy wspomagający ich detektywi z BKA prowadzili obserwację z jasnozielonego bmw.

W czasie gdy Remmer ustalał nazwisko i adres Karolin Henniger, McVey zatelefonował do starego przyjaciela w Los Angeles, kardynała Charlesa O'Connela. Scholl, jak wiedział McVey, był katolikiem; zebrał znaczne fundusze dla archidiecezji w Nowym Jorku i Los Angeles, z pewnością więc musiał dobrze znać O'Connela. Jeśli kardynał przedłoży osobistą prośbę, Scholl zaspokoi ją chętnie i bez stawiania pytań. McVey powiedział kardynałowi, że jest w tej chwili w Berlinie, i spytał, czy O'Connel mógłby zaaranżować dla niego późnym popołudniem spotkanie z Schollem. W naprawdę ważnej sprawie. O'Connel nie pytał w jakiej, powiedział tylko, że zrobi, co będzie mógł, i oddzwoni.

- Ważne jest, abyśmy pamiętali - przypomniał Remmer, gdy wraz z Osbornem wchodzili wąskimi schodami do apartamentu na górnym piętrze

galerii - że ta kobieta nie popełniła żadnego przestępstwa i nie ma obowiązku odpowiadać na pytania. Jeśli nie zechce rozmawiać, nie musi.

- Świetnie. - Osborn nie chciał myśleć o prawnych ograniczeniach. Czas im uciekał, a liczyło się tylko to, żeby się zbliżyć choćby o krok do Scholla.

Apartamenty numer jeden i dwa znajdowały się tuż u szczytu schodów, po prawej i po lewej. Numer trzy na końcu krótkiego korytarza należał do Karolin Henniger.

Osborn pierwszy dotarł do drzwi. Spojrzawszy na Remmera, zastukał. Przez chwilę panowała cisza, a potem usłyszeli zbliżające się kroki, odsunięto rygiel i drzwi się uchyliły, nadal zabezpieczone łańcuchem. Wyjrzała zza nich przystojna kobieta w kostiumie bizneswoman. Miała krótkie siwiejące włosy i mniej więcej czterdzieści lat.

- Pani Karolin Henniger? - zapytał uprzejmym tonem Osborn. Spojrzała na Osborna, a potem na Remmera.

- Ja...

- Czy mówi pani po angielsku?

- Tak. - Znów spojrzała na Remmera. - Kim jesteście? Czego chcecie?

- Nazywam się Osborn. Jestem lekarzem ze Stanów Zjednoczonych. Próbujemy odnaleźć kogoś, kogo może pani znać... doktora Helmutha Saletla.

Nagle kobieta zbladła jak ściana.

- Nie znam nikogo takiego - odparła. - Nikogo. Auf Wiedersehen!

Cofnęła się i zamknęła drzwi. Usłyszeli zatrzasujący się rygiel i jej głos, wołający kogoś po imieniu.

- Proszę pani - Osborn uderzył w drzwi pięścią - potrzebujemy pani pomocy!

Słyszeli jej cichnący głos we wnętrzu, a potem rozległ się daleki huk zatrzaskiwanych drzwi.

- Wyszła tylnymi drzwiami. - Osborn odwrócił się ku schodom.

- Doktorze. - Remmer chwycił go za rękę. - Ostrzegłem cię. Prawo jest po jej stronie, nic nie możemy zrobić.

- Może ty nie możesz! - Osborn przepchnął się koło niego.

McVey i Noble właśnie wymieniali opinie na temat możliwości, że Saletl we własnej osobie mógł być chirurgiem odpowiedzialnym za pobawianie ciała głów, gdy Osborn wypadł biegiem przez drzwi wejściowe budynku.

-Chodźcie! - wrzasnął, a potem obiegł róg domu i zniknął w zaułku.

Biegł pędem, gdy ich zobaczył. Karolin Henniger otworzyła drzwi bezowego volkswagena i wpychała do środka młodego chłopca.

-Zaczekaj! - krzyknął. - Zaczekaj! Proszę! - Dotarł do wozu w momencie, gdy zapaliła silnik. - Proszę, ja muszę z panią porozmawiać! - błagał. Zapiszczały opony i wóz z dużym przyspieszeniem ruszył. - Nie! - Osborn biegł obok niego. - Nie zrobię pani krzywdy...

Było za późno. Osborn ujrzał, jak McVey i Noble uskakują przed samochodem u wylotu ulicy. Volkswagen wyjechał poślizgiem z zaułka i zniknął.

-Zaryzykowaliśmy i nic nie wyszło. Czasem tak bywa - rzekł kilka minut później McVey, gdy wsiedli do mercedesa i Remmer ruszył z miejsca.

-Widziałeś jej twarz, gdy wymieniłem nazwisko Salettl. - Osborn zobaczył gniewne oczy Remmery w lusterku. - Ona wie o Salettlu i założę się, że o Lybargerze też.

-Być może wie, doktorze - odparł spokojnie McVey. - Ale ona to nie Albert Merriman i nie możesz próbować jej zabić, żeby się tego dowiedzieć.

## 104

Należący do spółki szesnastowiejskowy odrzutowiec przebił warstwę chmur i położył się na skrzydło, skręcając w stronę północnego wschodu, a w okna wpadło światło słoneczne. Do Berlina mieli lecieć półtorej godziny.

Joanna odchyliła się do tyłu na fotelu i na chwilę zamknęła oczy. Poczowała się wolna. Szwajcaria, jakkolwiek piękna, była za nią. Jutro o tej samej porze znajdzie się na lotnisku Tegel w Berlinie i będzie czekała na lot do Los Angeles.

Po drugiej stronie kabiny spokojnie drzemał Elton Lybarger. Nawet jeśli niepokoił się tym, co mieli w programie później, nie okazywał tego. Doktor Salettl, błądy i wymęczony, siedział naprzeciw niego w obrotowym fotelu i robił notatki w notesie w czarnej skórzanej oprawie, który trzymał na kolanach. Od czasu do czasu podnosił wzrok, by wymienić kilka słów po niemiecku z Utą Baur, która przyleciała prosto z rewii mody w Mediolanie, żeby towarzyszyć im do Berlina. Na miejscach tuż za jej plecami



siostrzeńcy Lybargera, Eric i Edward, rozgrywali w milczeniu szybką partię szachów.

Obecność Salettla, jak zawsze, niepokoiła Joannę, zaczęła więc myśleć o Kelso, jak nazwała szczeniaka bernardyna, którego podarował jej von Holden. Nakarmiła go, wyprowadziła na spacer i ucałowała na pożegnanie. Jutro zostanie wysłany bezpośrednim lotem z Zurychu do Los Angeles, gdzie zaopiekują się nim przez kilka godzin, póki nie przyleci Joanna. Następnie polecą do Albuquerque. Jeszcze trzy godziny jazdy samochodem i znajdą się w domu w Taos.

Gdy Joanna zobaczyła kasętę wideo, przede wszystkim pomyślała o znalezieniu adwokata i wytoczeniu sprawy. Ale potem... właściwie po co? Proces tylko zaszkodziłby panu Lybargerowi i mógł nawet wywołać u niego poważne fizyczne następstwa, szczególnie gdyby ciągnął się dłużej. A do tego nie chciała dopuścić, ponieważ obchodził ją jego los, a poza tym był przecież równie niewinny jak ona. I równie przerażony. Chciała jak najprędzej opuścić Szwajcarię i zapomnieć, że to się w ogóle zdarzyło. A potem zjawił się von Holden ze szczeniakiem i wyrazami głębokiego żalu, na koniec zaś podarował jej czek na olbrzymią sumę pieniędzy. Spółka przeprosiła ją, von Holden też. Czego jeszcze mogłaby oczekiwać?

Zastanawiała się, co prawda, czy przyjmując czek spółki Lybargera, postąpiła właściwie, ale jednocześnie wyobrażała sobie siebie mówiącą Ellie Barrs, siostrze przełożonej pielęgniarek w Rancho de Piñon, że nie wróci tak od razu do pracy... jeśli w ogóle wróci. Być może nie powinna tego zaakceptować. Ale te pieniądze. Mój Boże, pół miliona dolarów! Powinna znaleźć sobie doradcę do spraw inwestycyjnych i ulokować je, a potem żyć z procentów. No cóż, może kupi sobie kilka rzeczy, ale niewiele. Bezpieczne inwestycje, tak, to będzie roztropne.

Nagle na konsolce zamontowanej tuż przed nią zaczęło błyskać czerwone światelko sygnalizujące telefon. Niepewna, co to ma znaczyć, nie ruszyła się.

- Rozmowa do pani. - Eric pochylił się nad jej fotelem.
- Dziękuję - powiedziała i podniosła słuchawkę.
- Dzień dobry. Jak się czujesz? - Głos von Holdena brzmiał lekko i wesoło.
- Świetnie, Pascalu. - Uśmiechnęła się.
- A pan Lybarger?
- Doskonale. Właśnie drzemie.
- Powinniście wylądować za godzinę. Będzie na was czekał samochód.

- Nie przyjdiesz, żeby nas powitać?

- Joanno, pochlebia mi rozczarowanie w twoim głosie. Przykro mi, ale zobaczymy się później. Jestem zajęty ostatnimi przygotowaniami. Chciałem się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

- Wszystko w porządku. - Ciepły ton głosu von Holdena wywołał uśmiech Joanny. - O nic się nie martw.

Von Holden odwiesił telefon komórkowy do uchwytu koło dźwigni biegów, a potem zwolnił i skręcił stalowoszarą bmw prosto we Friedrichstrasse. Tuż przed nim zatrzymał się nagle samochód dostawczy i von Holden musiał ostro nacisnąć hamulec, by się z nim nie zderzyć. Przeklinając, objechał go łukiem i z roztargnieniem pogłodził dłonią leżącą obok niego na siedzeniu plastikową prostokątną skrzynkę, by upewnić się, że jej nie zrzucił podczas hamowania. Czerwony neonowy zegar cyfrowy w oknie sklepu jubilerskiego wskazywał dziesiątą trzydzieści dziewięć.

W ciągu ostatnich kilku godzin stan rzeczy zmienił się dramatycznie. Może na lepsze. Sektor berliński podłączył się do dwóch „bezpiecznych” linii telefonicznych pokoju numer sześćdziesiąt jeden trzydzieści dwa w hotelu Palace, posłużycy się prototypowym odbiornikiem mikrofalowym, umieszczonym w budynku po drugiej stronie ulicy. Rozmowy były nagrywane i przekazywane do mieszkania przy Sophie Charlotten-Strasse, gdzie przepisywano je i doręczano von Holdenowi. Urządzenie zainstalowano dopiero tuż przed jedenastą w nocy, tak więc umknęła im większość wcześniejszych rozmów. Ale to, co zostało nagrane, wystarczyło von Holdenowi, by zażądać natychmiastowego spotkania z Schollem.

Minąwszy hotel Metropole, von Holden przeciął Unter den Linden i ostro zahamował przed frontem Grand Hotelu. Trzymając plastikowe pudełko, wysiadł i wszedł do hotelu, a potem prywatną windą pojechał do apartamentu Scholla.

Został zaanonsowany przez sekretarza i wprowadzony do środka. Scholl telefonował z aparatu stojącego na biurku, a naprzeciw niego siedział człowiek, którego von Holden serdecznie nie lubił i od dłuższego już czasu nie widział: amerykański adwokat Scholla, H. Louis Goetz.

- Dzień dobry, panie Goetz.

- A... von Holden.

Goetz miał pięćdziesiąt lat, był zręczny i brutalny, wyglądał niemal zbyt zdrowo, wręcz sztucznie, zupełnie jakby poświęcał połowę dnia, by taki właśnie efekt uzyskać. Paznokcie wymanikiurowane i wypolerowane, skóra mocno opalona, garnitur od Armaniego, niebieski w białe prążki,

ciemne ufryzowane włosy, odrobina siwizny na skroniach, zupełnie jakby ufarbowano je w ten przemyślny sposób. Minę miał taką, jakby właśnie przyleciał z meczu tenisowego w Palm Springs. Albo pogrzebu w Palm Beach. Krążyły pogłoski, że ma powiązania z mafią. Ale von Holden wiedział na pewno tylko to, że w tej chwili adwokat jest jedyną osobą zdolną do kupienia dla Scholla i Margarete Peiper udziałów w czołowej hollywoodzkiej agencji artystycznej, dzięki czemu Organizacja mogłaby jeszcze skuteczniej wpływać na przemysł nagrań, filmowy i telewizyjny. I oczywiście na ich odbiorców. Wyraz „chłodne” na określenie manier Goetza nie oddawał istoty rzeczy. Słuszniej byłoby go określić jako bryłę lodu wyposażoną w usta.

Von Holden zaczekał, aż Scholl odłoży słuchawkę, postawił przed nim plastikowe pudełko i otworzył je. Wewnątrz znajdował się mały odwarzacz.

-Mają pełną listę gości i szczegółowe dossier Lybargera. Wiedzą o Salettlu. Ponadto McVey załatwił u kardynała z Los Angeles, że zadzwoni do pana dziś rano, by namówić pana na spotkanie z nimi w Charlottenburgu, dzisiaj na godzinę przed przybyciem gości. Wie, że będzie pan miał rozproszoną uwagę i liczy na to, że wykorzysta to podczas przesłuchania.

Nie zwracając uwagi na pozostałych, Scholl wziął zapisy rozmów i przestudiował je. Gdy skończył, wręczył je Goetzowi, następnie nałożył słuchawki i zaczął przesłuchiwać wybrane fragmenty taśm. Wreszcie wyłączył aparat i zdjął słuchawki.

-Pascalu, zrobili dokładnie to, co przewidywałem. Posłużyli się swoimi doświadczeniami, dowiedzieli, czego mogli, o moich sprawach tu, w Berlinie, a potem wymyślili sobie sposób, by się ze mną spotkać. To, że wiedzą o Lybargerze i Salettlu, nawet że mają listę gości, jest bez znaczenia. Cóż, i tak zrobimy to, co chcemy.

Goetz podniósł wzrok znad zapisów. Nie podobało mu się to, co przeczytał i usłyszał.

-Erwinie, przecież nie dasz im w czapę. Trzem detektywom i lekarzowi?

-Ależ tak, panie Goetz. Jak to, czyżby był jakiś problem?

-Problem? Na litość boską, Bad Godesberg ma listę gości. Rąbniesz tych facetów i będziesz miał całe cholerne Federalne Biuro Kryminalne na karku, co to, do kurwy nędzy, ma być? Chcesz, by zaczęli wszystkim wpychać do tyłków swoje pierdolone nosy?

Von Holden nie odezwał się. Jakże ci Amerykanie uwielbiali wulgarnie słownictwo, bez względu na to, kim byli.

-A w jaki to sposób miałyby się w to wmieszać Federalne Biuro Kryminalne? - zapytał spokojnie Scholl. - Co miałyby do zameldowania?

Że pewien pan w średnim wieku wygłasza z lekka prowokującą, lecz w istocie rzeczy nudną przemowę do setki przysypiających sympatyków w Charlottenburgu, a potem wszyscy rozchodzą się do domów? Niemcy są wolnym krajem i ich obywatele mogą robić, co chcą, i wierzyć, w co im się podoba.

- Ale ciągle będziesz miał trzech martwych gliniarzy i tego doktora, oto co ich tutaj przyciągnie. Co, u kurwy nędzy, będą mieli z tym zrobić, odpuścić?

- Dżentelmeni, o których mowa, podobnie jak ty, von Holden i ja, przebywają w wielkim europejskim mieście, pełnym ambitnych i niegodziwych ludzi. Nim skończy się dzień, detektyw McVey i jego przyjaciele znajdą się w szczególnym położeniu. I żadnego powiązania z Organizacją. A gdy władze zaczną zbierać informacje, przekonają się ze zdumieniem, że ci pozornie godni szacunku obywatele mają całkiem plugawą wspólną przeszłość, pełną ciemnych tajemnic, które skutecznie skrywali przed swymi rodzinami i współpracownikami. Jednym słowem, nie będą ludźmi, którzy mogą oskarżycielsko wskazywać palcem osobistości takie jak ja czy setka najbardziej szanowanych w Niemczech obywateli, chyba że robiliby to dla prywatnych korzyści, na przykład osiąganymi szantażem lub wymuszeniem. Czy mam rację, Pascalu'?

Von Holden skinął głową.

- Oczywiście. - Odizolowanie i egzekucja McVeya, Osborna, Noble'a i Remmera należały do niego. Resztą zajmie się Scholl za pomocą sektorów z Los Angeles, Frankfurtu i Londynu.

- No więc, panie Goetz? Nie mamy się czym niepokoić. Tak więc jeśli nie sądzisz, że przeoczyłem coś wartego dalszej dyskusji, wolałbym powrócić do tematu zakupienia naszej agencji.

Zabrzączał telefon, Scholl podniósł słuchawkę. Spojrzał na Goetza i uśmiechnął się.

- Ależ oczywiście - powiedział. - Zawsze jestem do dyspozycji kardynała O'Connella.

## 105

Osborn stał pod przysnkiem, próbując się uspokoić. Było tuż po dziewiątej rano w piątek czternastego października; za jedenaście godzin miała zacząć się ceremonia w Charlottenburgu.

Karolin Henniger mogła im otworzyć jakąś furtkę, ale nie chciała. Gdy wrócili do hotelu, Remmer sprawdził ją ponownie. Karolin Henniger

była obywatelką niemiecką, samotną matką jedenastoletniego syna. Spędziła późne lata siedemdziesiąte i większość osiemdziesiątych w Austrii, do Berlina powróciła w lecie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Głosowała w wyborach, płaciła podatki, nie była notowana. Remmer miał rację, nic nie mogli zrobić.

A przecież wiedziała. A Osborn wiedział, że ona wie.

Nagle drzwi łazienki otworzyły się z trzaskiem.

- Osborn! - warknął McVey. - Przyjdź tu. Natychmiast! Trzydzieści sekund później Osborn, nagi i ociekający wodą, z ręcznikiem zawiązanym w pasie, stał, patrząc w telewizor. Była to bezpośrednia transmisja z Paryża, pokazująca wyjątkowo ponure posiedzenie francuskiego parlamentu; jeden po drugim kolejni mówcy wstawali, by złożyć krótkie oświadczenie, a potem znowu siadali. Nałożony był na to podniecony głos, zdający relację po niemiecku, a potem ktoś udzielał wywiadu po francusku i McVey zawołał Osborna, gdy usłyszał nazwisko Francois Christiana.

- Jego rezygnacja - powiedział Osborn.

- Nie - zaprzeczył McVey. - Znalaziono jego ciało. Mówią, że popełnił samobójstwo.

- Jezu Chryste - wyszeptał Osborn. - Jezu Chryste.

Remmer telefonował do Bad Godesbergu, Noble z drugiego aparatu do Londynu. Prosilili o podanie szczegółów. McVey nacisnął guzik pilota i usłyszeli równoległy tekst angielski.

- Ciało premiera znalazł wiszące na drzewie pod Paryżem mężczyzna, który wczesnym rankiem uprawiał jogging – mówił kobiecie głos na tle panoramy zalesionego terenu, odgradzonego przez francuską policję. - Mówi się, że Christian był od wielu dni przygnębiony. Presja na utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy zwróciła paradoksalnie Francję przeciw Francuzom, on zaś był w rządzie rzecznikiem mniejszości stanowczo temu przeciwniej. Z powodu swej zdecydowanej postawy stracił zaufanie Rady Ministrów. Źródła rządowe podają, że został zmuszony do rezygnacji i że komunikat na ten temat miał być ogłoszony dziś wczesnym rankiem. Jego żona natomiast twierdzi, że w ostatniej chwili postanowił wycofać swoją rezygnację i zwołał na dziś zebranie przywódców partii. - Narratorka przejrwała, a potem kontynuowała relację, gdy pojawił się odpowiedni obraz. - Flagi francuskie opuszczono do połowy masztów, a prezydent Francji ogłosił dzień żałoby narodowej.

Osborn wiedział, że McVey do niego mówi, ale w ogóle nie słyszał jego głosu. Potrafił myśleć tylko o Verze. Zastanawiał się, czy już wie i w jaki sposób się o tym dowiedziała. A jeśli nie, gdzie i kiedy się dowie. I jak

się po tym poczuje. Błysnęła mu myśl, jakie to dziwne, że tak się przejmuje losem jej byłego kochanka. Ale to dlatego, że tak bardzo ją kocha. Jej udręka była jego udręką. Jej ból jego bólem. Chciał być z nią, przytulić ją, dzielić to z nią. Być tam dla niej. Zupełnie go nie obchodziło, co mówi McVey.

- Zamknij się na chwilę i posłuchaj mnie, uprzejmie cię proszę! - wybuchnął nagle Osborn. - Vera Monneray... Francois Christian wywiózł ją gdzieś na francuską prowincję. Może jeszcze nie wiedzieć. Chcę do niej zadzwonić. I chcę, żebyś mi powiedział, że to nie będzie dla niej niebezpieczne.

- Nie ma jej tam. - Noble właśnie odłożył słuchawkę i patrzył na niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Osborna ogarnął niepokój. - Jak w ogóle możesz... - Przerwał. To było głupie pytanie. Nie rozumiał tych ludzi. Vera także.

- Wiadomość nadeszła telegraficznie do Bad Godesbergu - powiedział spokojnie McVey. - Była pod Nancy. Zastrzelono trzech oficerów francuskiego kontrwywiadu, którzy jej strzegli. Znalezione tam także policjantkę, Avril Rocard z Pierwszej Paryskiej Prefektury Policji. Wszystko wskazuje na to, że poderżnęła sobie gardło. Dlaczego i co tam robiła, nikt nie wie. Za to wiadomo, że twoja panna Monneray zabrała jej samochód, który następnie porzuciła przy dworcu kolejowym w Strasburgu, gdzie kupiła bilet do Berlina. Tak więc, jeśli nie wysiadła gdzieś po drodze, musimy założyć, że jest tutaj.

Osborn poczerwieniał jak burak. Nie dowierzał im. Już go nie obchodziło, co wiedzieli ani jak się tego dowiedzieli. Skoro mogli myśleć to, co myśleli, byli szaleńcami.

- Nie znaleźliście jej tam, więc myślicie, że jest jedną z nich? Ot tak, po prostu? Jakie macie na to dowody? Jazda. Powiedzcie mi. Chcę wiedzieć.

- Osborn, wiem, co czujesz. Przekazuję tylko informacje. - McVey był spokojny, nawet współczujący.

- Tak? To idź sobie z nimi do diabła!

- McVey... - Remmer odwrócił się od telefonu. - Niejaka Avril Rocard zameldowała się w hotelu Kempinski w Berlinie wkrótce po siódmej dziś rano.

Gdy weszli, pokój był pusty. Remmer szedł pierwszy z pistoletem w dłoni, za nim kolejno McVey, Noble i na końcu Osborn. W korytarzu na zewnątrz dwóch detektywów z BKA pilnowało drzwi. Remmer szybkim

krokiem przeszedł do przyległej sypialni, a potem sprawdził łazienkę. Pusto. Zawiadomił o tym McVeya, a potem wszedł z powrotem do łazienki i zaczął ją przeszukiwać. Noble naciągnął rękawiczki chirurgiczne i poszedł do sypialni. McVey, również w rękawiczkach, zaczął sprawdzać salon. Był zbytkownie umeblowany z oknem wychodzącym na biegnącą w dole Kurfürstendamm. Na dywanie jeszcze widać było ślady przesuwania odkurzacza, dowodzące, że apartament świeżo posprzątano. Taca ze śniadaniem dostarczoną przez obsługę hotelową stała na stoliku do kawy przed kanapą; szklaneczka soku pomarańczowego, kilka nietkniętych tostów, srebrny termos do kawy i filiżanka do połowy napełniona zimną czarną kawą. Na stole obok tacy leżał egzemplarz „Herald Tribune” stroną tytułową do góry, z wiadomością o samobójstwie Francois Christiana wydrukowaną wielkimi, grubymi literami.

- Ona pije czarną?

- Co? - Osborn stał kompletnie oszołomiony. Było nie do pomyślenia, że Vera mogłaby się znaleźć tutaj, w Berlinie. Ale jeszcze bardziej niewiarygodne było to, aby pracowała dla nich.

- Vera Monneray - powiedział McVey. - Czy ona pije czarną kawę?

- Nie wiem - wyjąkał Osborn. - Tak. Może. Nie jestem pewien.

W drugim pokoju rozległ się brzęczyk. Chwilę później pojawił się Remmer i wziął do ręki telefon. Wykręcił numer, zaczekał, a potem powiedział coś po niemiecku. Wyjął z kieszeni notes i zapisał coś ołówkiem.

- Danke - rzucił i odłożył słuchawkę.

- Oddzwonił kardynał O'Connel - zwrócił się do McVeya. - Scholl czeka na twój telefon. Pod tym numerem. - Wydarł z notesu kartkę i wręczył detektywowi. - Może jednak nie będzie nam potrzebny nakaz aresztowania.

- Może. A może będzie.

Remmer wrócił do drugiego pokoju, a McVey zaczął od nowa przeszukiwać pierwszy, uważnie przyglądając się kanapie i dywanowi tuż pod nią. Ktoś, kto pił kawę i czytał gazetę, musiał siedzieć w tym miejscu.

- Ta Avril Rocard... - Osborn robił wysiłki, aby zachowywać się uprzejmie, logicznie i zrozumieć coś z tego, co go tak przytłoczyło - powiedziałeś, że jest z policji paryskiej. Czy jej ciało zostało zidentyfikowane bez żadnych wątpliwości? Może to był ktoś inny. Może Avril Rocard jest tutaj, może to w ogóle nie Vera.

-Panowie... - Noble stał w drzwiach sypialni. – Zechcecie tu wejść.

Gdy Noble odsunął drzwi do szafy w sypialni, Osborn trzymał się z tyłu, patrząc wraz z innymi. Wewnątrz znajdowały się dwa komplety odzieży i etola ze srebrzystych nerek. Podprowadziwszy ich do niskiej komody, Noble usiadł, wyciągnął górną szufladę i wyjął kilka par koronkowych majteczek ze stanikami do kompletu, pięć nieotworzonych opakowań rajstop od Armaniego i przezroczystą koszulkę nocną ze srebrzystego jedwabiu. Następna szuflada zawierała dwie torebki, kopertową do sukni wieczorowej i brązową skórzaną konduktorke.

Noble wziął czarną wieczorową i otworzył. Wewnątrz leżały dwa jubilerskie pudełeczka na biżuterię i aksamitny, zaciągany sznurem woreczek. Pierwsze pudełeczko zawierało brylantową kolbę, drugie zaś kolczyki od kompletu. W woreczku spoczywał mały posrebrzany pistolet kalibru .25. Powkładawszy wszystko na miejsca, Noble podniósł konduktorke. Wewnątrz, spięta gumką leżała paczka niezapłaconych rachunków, adresowanych do Avril Rocard, ulica Saint-Gilles, numer siedemnaście, Paryż, kod 75 003. Następnie legitymacje Paryskiej Prefektury Policji i mała szaszetka z czarnego nylonu. Otworzywszy ją, Noble wyłożył paszport Avril Rocard, kosmetyczkę z przezroczystego plastiku z paczką marek niemieckich, niewykorzystany bilet lotniczy pierwszej klasy z Paryża do Berlina oraz kopertę z potwierdzeniem rezerwacji w hotelu Kempinski od piątku czternastego października do soboty piętnastego. Podniósłszy wzrok na otaczające go twarze, Noble raz jeszcze sięgnął do torebki i wyciągnął ozdobioną bogatym ornamentem kopertę, już otwartą. Wydobył z niej zaproszenie na kolację na cześć Eltona Lybargera w pałacu Charlottenburg.

McVey odruchowo sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po listę gości.

-Nie ma potrzeby. Już sprawdziłem. Jest na niej Avril Rocard, o pół tuzina miejsc wyżej od doktora Saettla - powiedział Noble, wstając. - Jeszcze jedno... - Podeszedł do nocnego stolika i podniósł przedmiot zawinięty w ciemny jedwabny szalik. - To było wetknięte pod materac. - Odwinąwszy szalik, wydobył długi skórzany portfel z pozaginanymi rogami; Osborn drgnął. - Wiesz, co to jest, doktorze Osborn...

-Tak... Wiem, co to jest...

Widział ten przedmiot już poprzednio. W Genewie. W Londynie. i w Paryżu. Okładka na paszport Very Monneray.



Osborn nie był jedynym ogarniętym rozterką człowiekiem w Berlinie.

Czekający na von Holdena w jego biurze w mieszkaniu przy Sophie Charlotten-Strasse Cadoux był rozbity nerwowo. Spędził dwie pełne niepokoju godziny, skarżąc się każdemu, kto chciał go wysłuchiwać, na niemiecką kawę, na to, że nie może dostać francuskiej gazety, na wszystko, i nic. Były to skutki jego rosnącego niepokoju o Avril Rocard. Już prawie dwadzieścia cztery godziny temu powinna wykonać swe zadanie w domu pod Nancy i zameldować mu o tym. Nie dała jednak znaku życia.

Cztery razy telefonował do jej mieszkania w Paryżu, ale nikt nie odbierał. Po bezsennej nocy zatelefonował do Air France, pytając, czy zgłosiła się na poranny lot z Paryża do Berlina. Gdy okazało się, że nie, zaczął się rozklejać. Cadoux, wyszkolony terrorysta, morderca i zawodowy policjant; człowiek, któremu z powodu pozycji, jaką miał w Interpolu, powierzono pieczę nad bezpieczeństwem Erwina Scholla w czasie jego podróży po całym świecie i który wykonywał to zadanie od trzydziestu lat - w głębi serca był niewolnikiem miłości. Avril Rocard była całym jego życiem.

Wreszcie zaryzykował rozmowę, która mogła zdekonspirować miejsce jego pobytu, i skontaktował się ze swym współpracownikiem z francuskiego kontrwywiadu, a ten przekazał mu, że odnaleziono zabitych trzech agentów oraz jedną kobietę w wiejskiej posiadłości pod Nancy, nie znał jednak szczegółów. Doprowadzony do rozpaczki Cadoux spróbował ostatniej, a patrząc na to z perspektywy czasu, najbardziej oczywistej szansy. Zatelefonował do hotelu Kempiański.

Ku swej ogromnej uldze dowiedział się, że Avril Rocard zameldowała się dzisiaj o siódmej piętnaście rano, przyjechawszy taksówką z Bahnhof Zoo, głównego dworca kolejowego Berlina. Odłożywszy słuchawkę, Cadoux sięgnął po papierosa. Wydmuchując dym, uśmiechnął się, rozpromienił i zaczął walić pięścią w biurko. Trzydzieści sekund później, o dziesiątej pięćdziesiąt dziewięć, w czasie gdy von Holden był jeszcze na spotkaniu z Schollem, Cadoux wziął słuchawkę i zamówił rozmowę z pokojem Avril Rocard w hotelu Kempiański. Zupełnym przypadkiem linia była zajęta.

Zajmował ją McVey, który dzwonił do Scholla. Pierwsza część ich rozmowy była oficjalna i uprzejma. Wymienili uwagi na temat swej przyjaźni z kardynałem O'Connelem, pogody berlińskiej i tej panującej w

południowej Kalifornii oraz przypadku, który sprawił, że znaleźli się w tym samym mieście w tym samym czasie. Następnie przeszli do właściwej przyczyny telefonu McVeya.

- Jest to coś, co wolałbym raczej przedyskutować osobiście, panie Scholl. Nie chciałbym, aby wkradło się jakiegokolwiek nieporozumienie.

- Nie bardzo pana rozumiem.

- Zostańmy więc przy tym, że to sprawa poufna.

- Detektywie, jak pan zapewne zdaje sobie sprawę, jestem zajęty dosłownie przez cały dzień. Czy to coś nie mogłoby poczekać do mego powrotu do Los Angeles?

- Obawiam się, że nie.

- Jak pan sądzi, ile czasu może to zająć?

- Pół godziny, czterdzieści minut.

- Ach tak...

- Wiem, że jest pan zajęty i w pełni doceniam pana gotowość współpracy, panie Scholl. Z tego, co się orientuję, ma pan być na przyjęciu dziś wieczorem w Charlottenburgu. Może spotkalibyśmy się tam wcześniej? Powiedzmy o siód...

- Spotkam się z panem punkt piąta pod numerem siedemdziesiątym drugim przy Hauptstrasse w dzielnicy Friedenau. To prywatna rezydencja. Jestem pewien, że zdoła ją pan odnaleźć. Do widzenia, detektywie.

Rozległ się trzask na drugim końcu linii, gdy Scholl odłożył słuchawkę. Popatrzył na Louisa Goetza, a następnie na von Holdena, gdy obaj odkładali podłączone równolegle słuchawki.

- Czy to cię zadowala?

- Tak, to mnie zadowala - odparł von Holden.

## 107

Choć rozmowa zamówiona przez Cadoux w hotelu Kempniński nie doszła do skutku, recepcja na polecenie BKA przetrzymała go przy aparacie wystarczająco długo, by funkcjonariusze Federalnego Biura Kryminalnego zdołali ustalić numer, z którego dzwonił.

Z tego powodu Osborn znów znalazł się w towarzystwie inspektora Johannes Schneidera. Ale tym razem towarzyszył mu drugi inspektor BKA, Littbarski - muskularny, łysiejący, samotny ojciec dwojga dzieci. Całą trójką tłoczyli się w małej drewnianej łoży w Kneipe, odległej o pół

przecznicy gospodzie, popijając kawę i czekając na McVeya, Noble'a i Remmera, wspinających się po schodach do mieszkania przy Sophie Charlotten-Strasse.

Kobieta w średnim wieku z ufarbowanymi na rudo włosami, z małymi słuchawkami na głowie, wyglądająca tak, jakby właśnie oderwała się od centralki telefonicznej, otworzyła im drzwi i Remmer, pokazawszy legitymację BKA, przedstawił się po niemiecku. Podczas ubiegłej godziny ktoś zamówił rozmowę z hotelem Kempniński w Berlinie, a oni chcieli dowiedzieć się, kto to taki.

- Nie potrafię panu powiedzieć - odparła.

- Więc znajdziemy kogoś, kto potrafi.

Kobieta zawahała się. Powiedziała, że wszyscy wyszli na lunch. Remmer odrzekł, że zaczekają. A jeśli będą jakiegokolwiek problemy, wezmą nakaz rewizji i wrócą. Nagle kobieta podniosła głowę, jakby słuchając czegoś oddalonego. A potem znów na niego spojrzała i uśmiechnęła się. - Przepraszam - powiedziała. - Po prostu jesteśmy bardzo zajęci. Tu znajduje się sztab powitalnego prywatnego przyjęcia w pałacu Charlottenburg. Oczekuje się wielu wybitnych osobistości, a my próbujemy to wszystko skoordynować. Część osób zamieszkała w hotelu Kempniński. Zapewne to ja sama dzwoniłam, żeby się upewnić, czy nasi goście przybyli i wszystko jest w porządku.

- Kogo konkretnie pani sprawdzała?

- Ja... ja już powiedziałam... Jest ich tak wielu.

- Proszę ich wymienić.

- Muszę sprawdzić w mojej książce.

- To proszę sprawdzić.

Kiwnęła głową i poprosiła, by poczekali. Remmer powiedział, że lepiej będzie, jeśli wejdą do środka. Kobieta znów podniosła głowę i popatrzyła w dal.

- Dobrze - odparła wreszcie i poprowadziła ich wąskim korytarzem do niedużego biurka we wnęce. Usiadłszy koło centralki telefonicznej, przesunęła niewielki wazon z wędnącą żółtą różą i otworzyła kołnотatnik. Rozłożywszy go na stronicy z nagłówkiem „Kempniński”, szorstkim ruchem podetknęła go pod nos Remmerowi, by sam sobie przeczytał. Sześciu z listy gości zameldowało się w Kempnińskim, wśród nich Avril Rocard.

Zostawiwszy Remmera, by wojował z kobietą, McVey i Noble cofnęły się, by się rozejrzeć. Na lewo biegł drugi korytarz. W jego połowie i na końcu znajdowały się drzwi; jedne i drugie zamknięte. Po przeciwnej stronie był salon, w którym dwie kobiety i mężczyzna siedzieli przy biurkach.

Jedno z nich stuknęło w klawiaturę komputera, dwoje pozostałych telefono-  
wało. McVey wsadził rękę w kieszenie, starając się przybrać znudzoną  
minę.

-Ktoś do niej mówi przez te słuchawki - powiedział spokojnym to-  
nem, jakby wypowiadał się na temat pogody czy kursów giełdowych.

Noble obejrzał się na czas, by dostrzec, jak telefonistka kiwa głową  
spoza pleców Remmera do mężczyzny w salonie. Remmer wstał, podszedł  
do niego i pokazał mu legitymację. Rozmawiali przez kilka minut, a potem  
Remmer wrócił do McVeya i Noble'a.

-Doszli do wniosku, że to on dzwonił do pokoju Avril Rocard. Żadne  
nie wie, gdzie się zatrzymali Salettl czy Lybarger. Kobieta sądzi, że udadzą  
się do Charlottenburga wprost z lotniska.

-Kiedy mają wylądować? - zapytał Noble.

-Tego nie wie. Mają tylko opiekować się gośćmi i to wszystko.

-A kto siedzi w pozostałych pokojach?

-Ona twierdzi, że jest ich tylko czworo.

-Czy możemy tam wejść? - McVey wskazał ruchem głowy korytarz.

-Musielibyśmy to jakoś uzasadnić.

-A co z nakazem rewizji? - McVey patrzył na swoje buty.

-Na jakiej podstawie? - Remmer uśmiechnął się blade. McVey pod-  
niósł głowę.

-Chodźmy stąd.

Von Holden obserwował na ekranie telewizji przemysłowej, jak de-  
tektywi schodzą po schodach i wychodzą z domu. Wrócił ze spotkania z  
Schollem ledwie dziesięć minut temu i zastał Cadoux siedzącego w jego  
gabiniecie i wciąż usiłującego połączyć się z Avril Rocard w hotelu Kem-  
piński. Na jego widok Cadoux z furią trzasnął słuchawką. Najpierw jej  
numer był zajęty! A teraz nikt nie odbiera telefonu! Rozzłoszczony von  
Holden zaproponował, by Cadoux dał sobie spokój, w końcu nie znalazł się  
w Berlinie na wakacjach. I wtedy właśnie pojawiła się policja. Von Holden  
natychmiast się zorientował, dlaczego wpadli na ten adres; przetrzymał ich  
przy drzwiach wejściowych, by ochroniarz miał czas zająć miejsce jednej z  
sekretarek w pierwszym pokoju.

Teraz, zobaczywszy zamykające się za policjantami drzwi i McVeya  
odwracającego się, by się przyjrzeć frontowi budynku, skierował pełen  
złości wzrok na Cadoux. Szereg czarno-białych monitorów systemu bez-  
pieczeństwa rzucał blask na jego ostre rysy.

- Zachowałeś się jak głupiec, dzwoniąc do niej z tego telefonu - powiedział głosem równie ciepłym jak stalowa sztaba.

- Przepraszam, von Holden. - Cadoux przeprosił, ale zdecydowany był nie ustąpić w sprawach sercowych mężczyźnie o piętnaście lat od siebie młodszemu. Gdy szło o Avril Rocard, cały świat z von Holdenem na czele mógł iść do diabła.

- Cóż, nie ma sprawy. Jutro, o tej samej porze, nie zrobiłoby mi to żadnej różnicy. - Jeszcze przed chwilą gotów był mu powiedzieć, że Avril Rocard nie żyje. Cisnąć mu to w twarz na zimno, w czasie banalnej rozmowy, i smakować przyjemność oglądania jego katuszy. Mógłby coś dorzucić. Avril Rocard nie tylko była piękną i strzelcem wyborowym, była również szpiegiem wewnątrz sektora paryskiego; nie tylko zaufaną von Holdena, ale także jego kochanką. Dlatego właśnie została zaproszona do Berlina jako dodatkowa osoba gwarantująca bezpieczeństwo Lybargerowi podczas trwania uroczystości. A później dla przyjemności samego von Holdena. Cadoux został sprowadzony do Berlina z zupełnie innego powodu, wymagającego jego pełnej i niepodzielnej uwagi i dlatego von Holden na razie postanowił nic nie mówić.

Osborn próbował nie myśleć o Verze, o tym, gdzie jest i co robi. Właśnie o niej jednej nie mógłby myśleć jak o ich szpiegu, ale z jakiego innego powodu podszyła się pod Avril Rocard? Dotknięty do żywego, wytracony z równowagi, próbował rozmawiać ze Schneiderem i Littbarskim; objaśniał im zasady futbolu amerykańskiego, przekrzykując wrzawę w gospodzie, gdzie tłoczyli się chyba wszyscy przybyli do Berlina turyści.

Początkowo paplanina w ręcznej radiostacji Schneidera wyglądała na rutynowy komunikat policyjny. Głośnik był podkreśniony i kilka głów w sąsiednich łóżach odwróciło się ku nim, słysząc ostry dźwięk. Schneider natychmiast sięgnął i przyciszył aparat. Osborn usłyszał nazwisko Very i serce podeszło mu do gardła.

- Co to ma być, do cholery? - zapytał, chwytając Schneidera za nadgarstek.

Littbarski zeszywniał.

- Sich schonen - powiedział do Osborna i odprężył się, widząc, że ten puszcza rękę Schneidera.

- Co się z nią dzieje?

Schneider zobaczył, jak napięły się mięśnie karku Osborna.

- Dwie policjantki federalne zatrzymały pannę Monneray, gdy wychodziła z kościoła Marii Królowej Męczenników - powiedział Schneider z mocnym niemieckim akcentem.

Kościół? Po co by tam poszła? W głowie Osborna zawirowały myśli. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wspomniała o kościele, przekonaniach religijnych lub czymkolwiek podobnym.

- Dokąd ją zabierają?

- Nie wiem. - Schneider potrząsnął głową.

- Kłamiesz. Wiesz. Littbarski znowu zesztyniał. Schneider wziął radio i podniósł się.

- Mam rozkazy, by zabrać pana z powrotem do hotelu, jeśli cokolwiek się wydarzy.

Nie zwracając uwagi na Littbarskiego, Osborn chwycił go za rękę.

- Schneider, nie wiem, co tu się dzieje. Uważam, że to pomyłka, ale nie będę miał pewności, dopóki jej nie zobaczę i nie porozmawiam z nią. Nie chcę, by McVey dopadł ją przede mną. Do cholery, Schneider, proszę cię... pomóż mi.

Schneider spojrzał na niego.

- Widzę to w pańskich oczach. Ma pan hopla na jej punkcie. Tak mówicie w Ameryce: mieć hopla?

- Tak, tak mówimy. I rzeczywiście mam hopla na jej punkcie... Zawieź mnie tam, dokąd ją zabrali... - Jeśli Osborn jeszcze nie błagał inspektora, to był tego bardzo bliski.

- Wtedy mi pan uciekł.

- Nie tym razem, Schneider. Nie tym razem.

## 108

Dla von Holdena miasto było tylko zamazaną plamą; zwalniał, przyspieszał, zatrzymywał swoje bmw w godzinach szczytu tylko po to, aby kilka chwil później ruszyć. Prowadził z włączonym autopilotem. Trzech z czterech mężczyzn, których przysięgł zabić, między nimi McVey we własnej osobie, weszło do jego biura i postraszyło jego pomocnicę, jakby była jakąś straganiarą. Co gorsza, on sam był bezsilny, niezdolny do zrobienia niczego prócz wpuszczenia ich do środka, a potem przyglądania się zza zamkniętych drzwi ze strachu, że jeśli postąpi inaczej, wywoła inwazję funkcjonariuszy Federalnego Biura Kryminalnego.

A przyczyną całej tej obłądnej sytuacji było pożądanie, namiętność Cadoux do kobiety, która w najmniejszym stopniu o niego nie

dbała; Cadoux był dla niej tylko źródłem informacji na temat lojalności wtyczek Organizacji w Interpolu. I w tym momencie, wściekły na głośność Cadoux, w nagłym przebieysku ustalił plan działania.

## **Hauptstrasse 72, 12.15 w południe**

Joanna ujrzała, jak bmw skręca z ulicy, zatrzymuje się na chwilę przy wartowni, a potem przejeżdża przez bramę i zatacza koło wzdłuż podjazdu, by zaparkować przed frontem rezydencji. Z okna sypialni na piętrze, w którym stała, trudno było patrzeć pionowo w dół, ale mignął jej von Holden wysiadający i kierujący się ku domowi.

Podeszła szybko do lustra, przecesała włosy szczotką i dotknęła warg drogą kredką nadającą ustom wilgotny połysk, podarowaną jej przez Utę Baur. Z przyczyn, których nie potrafiłaby wyjaśnić, a nawet nie rozumiała, i pomimo wszystko, co jej się przydarzyło, czuła się tak podniecona jak nigdy w życiu. Jakby nagle opanował ją nienasycony głód czy pragnienie, wymykające się wszelkiej kontroli i możliwe do zaspokojenia tylko przez samą czynność jedzenia lub picia.

Otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i ujrzała, jak w foyer na dole von Holden konferuje z Erikiem i Edwardem. Chwilę później odszedł i zniknął z jej pola widzenia. Kierowana instynktem chciała zbiec za nim po schodach, ale nie mogła przecież tego zrobić w obecności siostrzeńców Lybargera.

Próbując opanować te uczucia, przeszła przez hol i cicho zapukała do zamkniętych drzwi. Natychmiast otworzył je białowłosy, bladolicy mężczyzna o twarzy przypominającej prosiaka, ubrany w smoking. Jego skóra miała niezwykle skąpą pigmentację i Joannie przemknęło przez myśl, że może jest albinosem.

- Ja... Ja jestem... - Zdenerwował ją widok mężczyzny i wyniosły sposób, w jaki na nią spoglądał.

- Wiem, kim pani jest - oznajmił gardłowym głosem.

- Chciałabym zobaczyć się z panem Lybargerem - powiedziała i została natychmiast wpuszczona do środka.

Elton Lybarger siedział w fotelu pod oknem i przeglądał plik papierów o pozaginanych rogach, zadrukowanych bardzo dużą czcionką. Była to mowa, którą miał wygłosić dzisiejszego wieczoru; przez kilka ostatnich dni w zasadzie tylko ją powtarzał.

- Chciałam się upewnić, że nic panu nie doskwiera i wszystko jest w porządku, panie Lybarger - powiedziała. W tym momencie zauważyła drugiego mężczyznę, również w smokingu, stojącego tyłem do niej przy oknie wychodzącym na wielkie tylne podwórze. Nie miała pojęcia, dlaczego pana Lybargera strzegło aż dwóch goryli w domu tak eleganckim i miłym jak ten, z wartownią i bramą przed wjazdem.

- Dziękują, Joanno. Wszystko w najlepszym porządku - zapewnił, nie podnosząc głowy.

- Wobec tego zobaczą się z panem później. - Uśmiechnęła się troskliwie.

Lybarger kiwnął z roztargnieniem głową, nie przestając czytać. Skinąwszy uprzejmie ochroniarzowi o świńskiej twarzy, Joanna odwróciła się i wyszła.

Von Holden siedział samotnie w wyłożonym ciemną boazerią gabinecie i odwrócony do niej tyłem rozmawiał po niemiecku przez telefon. Joanna cicho zamknęła za sobą drzwi. W porównaniu z jasnym blaskiem słonecznym na dziedzińcu pokój był mroczny. Zieleń trawy aż pulsowała, a na jej tle jak na kołderce kładły się spadające jaskrawożółte i czerwone liście z rosnącego po przeciwległej stronie dziedzińca buka. Na lewo od niego widać było duży garaż na pięć samochodów, za nim żelazną bramę, zapewne prowadzącą do wjazdu służbowego na tyłach posiadłości.

Nagle von Holden odłożył słuchawkę i obrócił się wraz z fotelem.

- Nie powinnaś wchodzić, gdy telefonuję, Joanno.

- Chciałam cię zobaczyć.

- Zadowolona?

- Tak - odparła z uśmiechem. Pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała go tak zmęczonego. - Czy jadłeś lunch?

- Nie pamiętam.

- Śniadanie?

- Nie wiem.

- Jesteś zmęczony. Nawet się nie ogoliłeś. Wejdz na górę do mego pokoju. Weź prysznic, odpocznij trochę.

- Nie mogę, Joanno.

- Dlaczego?

- Bo pracuję. - Nagle wstał. - Nie matkuj mi, nie lubię tego.

- Nie chcę ci matkować... chcę... kochać się z tobą. - Uśmiechnęła się i zwilżyła wargi. - Chodź na górę, teraz. Proszę, Pascalu. Być może już nigdy nie będziemy sam na sam.



- Mówisz jak pensjonarka.

- Nie jestem nią... i ty to wiesz. - Podeszła bliżej, tak że znalazła się tuż przed nim. Jej dłoń zsunęła się w dół, na jego krocze. - Zróbmy to tutaj. Natychmiast.

Gardłowy pomruk w jej głosie, ruch jej ciała, gdy zbliżyła się do niego jeszcze bardziej, wszystko to było przesiąknięte seksem.

- Jestem wilgotna - szepnęła.

Von Holden gwałtownie sięgnął w dół i odciągnął jej rękę.

- Nie - powiedział. - A teraz odejdz. Przyjdę do ciebie w nocy.

- Pascalu... Ja... Kocham cię...

Von Holden wlepił w nią wzrok.

- Właściwie powinienes już to wiedzieć...

Nagle jego źrenice skurczyły się do maleńkich kropek, a całe oczy zdawały się zapadać w głąb czaszki. Joannie zapało dech. Odskokczyła. Nigdy w życiu nie widziała nikogo tak pełnego złości ani wyglądającego tak niebezpiecznie jak von Holden w tej chwili.

- Wynos się - syknął.

Z płaczem odwróciła się, wpadła na fotel, potem niezdarnie przepchnęła obok niego i wybiegła z pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Słyszał jej obcasy stukające po kamiennych flizach, a potem po schodach. Chciał już podejść do drzwi, by je zamknąć, gdy wszedł Salettl.

- Jesteś zły - powiedział Salettl.

Von Holden odwrócił się plecami i patrzył przez okno. Zatelefonował do Scholla z samochodu i zreferował ostateczny plan. Scholl wysłuchał go i zaakceptował. A potem równie szybko wyłączył z niego von Holdena. Powiedział, że to zbyt niebezpieczne. Jest dobrze znany jako osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo Scholla; gdyby cokolwiek poszło nie tak, a von Holden został zabity albo zatrzymany, byłoby to jak wskazanie Scholla palcem. Policja deptała im po piętach. Nie, von Holden to zaplanował, ale wykona Wiktor Szewczenko. Dzisiaj wieczorem wszyscy zobaczą von Holdena eskortującego pana Lybargera do Charlottenburga. A później cichaczem wyjdzie, aby „zrobić to drugie”, jak się wyraził Scholl, po czym odłożył słuchawkę.

- Wiesz co, Herr Leiter der Sicherheit - powiedział cicho Salettl - dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, twoje bezpieczeństwo osobiste jest bezcenne.

- Tak, wiem. - Von Holden odwrócił się do niego twarzą.

Oczywiście Salettl wiedział, co zaszło pomiędzy Schollem i von Holdenem, bo miał na myśli „to drugie”. Natychmiast po uroczystości w

Charlottenburgu zacznie się sekretna ceremonia dla bardzo niewielu uprzywilejowanych gości. Miała odbyć się w Mauzoleum, podobnym do świątyni budynku na terenach pałacowych, w którym mieściły się grobowce królów pruskich. Von Holden musiał tam dostarczyć i zaprezentować rzecz najcenniejszą, a kody chroniące tę ich relikwię zostały zaprogramowane na niego i nie można ich było zmienić.

Wybrano go z powodu ogromnego uznania, jakim się cieszył, i władzy, której mu udzielono. Wściekał się, ale rację mieli Scholl i Salettl. Z więcej niż jednego powodu właśnie dzisiaj zapewnienie mu bezpieczeństwa było konieczne. Musiał zrozumieć, że nie jest już żołnierzem Specnazu, którym pozostał w głębi serca. Nie był jakimś Bernhardem Ovenem czy Wiktoorem Szewczenką. Leiter der Sicherheit. To nie tylko określenie funkcji, lecz mandat na przyszłość. To on miał pewnego dnia czuwać nad przejęciem władzy przez Organizację, był „strażnikiem płomienia”. A jeśli do tej pory jeszcze tego nie rozumiał, musi zrozumieć to dziś, właśnie dziś.

## 109

Pokój przesłuchań w suterenie budynku na Kaiser-Friedrich-Strasse był całkowicie biały. Podłoga, sufit i ściany. Takiego samego koloru jak pół tuzina przylegających do niego cel o wymiarach metr osiemdziesiąt na dwa metry czterdzieści centymetrów. Niewiele osób, nawet spośród pracujących w budynku mieszczącym biura zakładów użyteczności publicznej, wiedziało, że coś takiego istnieje. Ale dokładnie jedną trzecią piwnicy o powierzchni pięciuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych zajmowała specjalna komórka śledcza BKA. Pomieszczenie zbudowano natychmiast po masakrze na Olimpiadzie w Monachium w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku; mieli tu być przesłuchiwanie głównie terroryści, których schwytano, lub ich informatorzy. To tutaj przetrzymywano członków grupy Baader-Meinhof, Frakcji Czerwonej Armii, Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny oraz podejrzanych o udział w wysadzeniu bombą samolotu PanAm, lot numer sto trzy. Poza jaskrawą bielą pomieszczenia jego drugą cechą charakterystyczną było to, że nigdy nie gaszono w nim światła. W efekcie, w ciągu trzydziestu sześciu godzin więźniowie z reguły tracili całkowicie odporność psychiczną i od tej chwili wszystko toczyło się już po myśli przesłuchujących.

Vera siedziała samotnie w głównym pokoju przesłuchań na wpuszczanej w podłogą białej ławce z podobnego do PCW plastiku. Nie było stołu ani krzeseł. Tylko ławka. Verę sfotografowano i zdjęto odciski palców. Miała na sobie brudnoszare pantofle i szarobiałe nylonowy kombinezon z wydrukowanymi pomarańczową farbą fluorescencyjną słowami GEFANGENER, Bundesrepublik Deutschland - WIEZIEN, Republika Federalna Niemiec. Wyglądała na zszokowaną i zmęczoną, ale całkowicie przytomną, w chwili gdy otworzyły się drzwi i wszedł Osborn. Przez moment niska, kanciasta policjantka stała w drzwiach za jego plecami. Potem cofnęła się i zamknęła drzwi.

- Mój Boże... - wyszeptał Osborn. - Nic ci nie jest?

Vera otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć i nie mogła. Zamiast tego zalała się łzami i w jednej chwili padli sobie z płaczem w objęcia. Pomiędzy napadami szlochów i lęklivymi pieszczotami słyszał jej odezwane słowa:

- Francois nie żyje... Czemu tu jestem...? Wszyscy zabici... Co zrobiłam...? Przyjechałam... jedyne... miejsce... znaleźć cię...

- Vero. Ćśśś. Wszystko w porządku, kochanie. - Tulił ją do siebie, osłaniając jak dziecko. - Wszystko dobrze. Wszystko będzie dobrze... - Odgarnąwszy do tyłu jej włosy, scałowywał łzy i ocierał dłońmi policzki.

- Zabrali mi chusteczkę do nosa - powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

Osborn nie miał paska, odebrali mu nawet sznurowadła. A potem znów tulili się do siebie. Z całej siły się obejmowali.

- Nie opuszczaj mnie - prosiła. - Już nigdy.

- Vero... Powiedz mi, co się stało...

Wzięła go za rękę, mocno uścisnęła i usiedli razem na ławce. Otarłszy łzy, zamknęła oczy i zaczęła sobie przypominać. Wszystko, poczawszy od wczorajszego dnia.

Widziała wyraźnie dom niedaleko Nancy i ciała trzech zamordowanych agentów kontrwywiadu. Avril Rocard patrzyła martwym wzrokiem, a krew powoli sączyła się z jej gardła.

Vera wróciła do środka, telefony dalej nie działały. Nie zdoławszy odnaleźć kluczyków do forda agentów kontrwywiadu, zabrała czarnego policyjnego peugeota Avril Rocard i pojechała do miasta, gdzie z automatu telefonicznego próbowała porozumieć się z Francois w Paryżu. Ale numery w obu jego biurach oraz zastrzeżony w domu były zajęte. Pomyślała, że tak być powinno, ponieważ komunikat o jego rezygnacji właśnie został ogłoszony. Nadal w szoku, wróciła do peugeota i pojechała do parku na obrzeżu miasta.

Siedziała w samochodzie, z wysiłkiem usiłując przebić się przez mgłę lęku i emocji i wymyślić, co robić dalej. I wtedy właśnie zobaczyła torebkę Avril na podłodze po stronie miejsca dla pasażera. Otworzywszy ją, znalazła w środku należącą do Avril legitymację francuskiej policji, paszport, bilet pierwszej klasy na lot Air France z Paryża do Berlina, kopertę z potwierdzeniem rezerwacji w hotelu Kempinski. I zaproszenie na oficjalną kolację wydawaną na cześć Eltona Lybargera. Wśród sponsorów wymieniono Erwina Scholla, człowieka, który wynajął Alberta Merrimana do zamordowania ojca Osborna.

Natychmiast przyszło jej do głowy, że jeśli Scholl jest w Berlinie, to może i Paul tam pojechał. Nie był to wyraźny ślad, ale jedyny, którym mogła podążyć. Była środa, impreza w Charlottenburgu miała się odbyć w piątek. Najszybszym środkiem komunikacji do Berlina był pociąg jadący ze Strasburga, więc tam właśnie pojechała.

Dwukrotnie w drodze z Nancy do Strasburga zatrzymywała się, by zadzwonić do Francois. Ale połączenia nadal były zajęte. Za drugim razem z parkingu przy autostradzie dodzwoniła się do jego biura. Była już prawie czwarta po południu, a o Francois nie słyszano ani nie widziano go od chwili, gdy wyjechał z domu o siódmej rano. Prasy jeszcze nie poinformowano o jego zaginięciu, ale kontrwywiad i policja zostały postawione w stan alarmu, a prezydent Republiki polecił, by jego żonę i dzieci przewieziono do sekretnego miejsca i trzymano pod zbrojną strażą.

Pamiętała, że odkładając słuchawkę, czuła tylko otepienie. Nic już nie istniało. Nie było Francois Christiana. Nie było doktora Paula Osborna z Los Angeles. Ani nawet Very Monneray, która mogłaby powrócić do swego apartamentu i życia w Paryżu i zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło. W wiejskiej rezydencji pod Nancy leżały cztery trupy, a jedyni mężczyźni, których poznała naprawdę i którzy ją obchodzili, których kochała tak całkowicie i głęboko, jak tylko była zdolna, odeszli, rozplynęli się jak mgła. Znów miała przecucie, że to, co się wydarzyło, było tylko preludium tego, co ma nastąpić. I raz jeszcze powróciło okropne i mroczne echo opowieści jej babki, cała okropna przeszłość i ciągły lęk. Zdawało się, że wytłumaczenia tego wszystkiego trzeba szukać w Berlinie, tak jak za dni jej babki. Tylko teraz stało się to sprawą o wiele bardziej osobistą. Francois i Osborn byli tego częścią.

Wprowadziła się do pokoju Avril i znalazła tam jej odzież. Obsługa

hotelowa przyniosła śniadanie. Na tacy leżała gazeta z wiadomością o samobójstwie Francois. Natychmiast zrobiło jej się słabo i poczuła, że musi wyjść na zewnątrz, na powietrze, by dojsć do siebie, pomyśleć, zaplanować, co robi, jeśli ktoś się z nią skontaktuje. A także jeśli się nie skontaktuje. Czy powinna po prostu samotnie pójść do Charlottenburga? Tak więc, schowawszy paszport pod materacem, z obawy że ktoś może odkryć jej prawdziwą tożsamość, wyszła z hotelu.

Podczas spaceru natrafiła przypadkiem na kościół Marii Królowej Męczenników. Jak na ironię, był to kościół poświęcony pamięci męczenników za wolność przekonań i sumienia w latach 1933-1945. Vera dostrzegła w tym jakiś znak i pomyślała, że wejdzie, może w tym wnętrzu zdoła znaleźć wytłumaczenie tego, co się dzieje. Zamiast tego znalazła czekającą na nią na zewnątrz niemiecką policję.

Detektyw Schneider powiedział tylko część prawdy, informując Osborna, że ma rozkaz zabrania go z powrotem do hotelu, jeśli cokolwiek się wydarzy. Był dodatkowy rozkaz: jeśli Vera Monneray zostanie odnaleziona, należy natychmiast zaprowadzić do niej Osborna. Niech sądzą, że są sami. McVey chciał wykorzystać szansę na uzyskanie być może prawdziwych informacji. Plan opierał się na tym, aby Osborn uznał, że to on sam wpadł na ten pomysł. I Osborn dokładnie tak postąpił.

Nagle otworzyły się drzwi pokoju przesłuchań. Osborn odwrócił się i ujrzał McVeya wchodzącego do środka.

- Zabierzcie go stąd, natychmiast! - powiedział ze złością McVey i nagle dwóch mundurowych policjantów federalnych poderwało Paula na równe nogi i bez ceremonii wywlokło.

- Vera! - zawołał, wykręcając głowę. - Vera! - Po jego drugim krzyku rozległ się huk zatraskiwanych ciężkich stalowych drzwi. Po czym szybko poprowadzono go wąskim korytarzem i krótkimi schodami do góry. Otworzyły się drzwi i wprowadzono go do innego białego pokoju. Policjanci wyszli, drzwi zatrzaśnięto i zamknięto na klucz.

Dziesięć minut później wszedł McVey. Twarz miał czerwoną i oddychał ciężko, jakby długo wspinał się po schodach.

- I co masz na taśmie? Interesujące? - spytał lodowatym tonem Osborn w tej samej chwili, gdy drzwi się otworzyły. - O to ci chodziło, że bym

wszedł tam pierwszy, prawda? Być może powiedziałyby mi to, czego nie powiedziałyby tobie, a tu i tak policja i mikrofony wszystko podsłuchają. Ale nie wypaliło, co? Usłyszałeś tylko prawdę z ust przerażonej kobiety.

- Skąd wiesz, że prawdę?

- Bo wiem, do jasnej cholery!

- Czy chociaż raz wspomniała kapitana Cadoux z Interpolu...? Rozmawiała z nim kiedykolwiek, wymieniła jego nazwisko?

- Nie. Nigdy.

McVey spojrzał na niego groźnie, a potem zmiękł.

- Niech będzie. No to uwierzmy jej. Obaj.

- Wobec tego ją wypuść.

- Osborn. Znalazłeś się tutaj z mojego powodu. Chcę przez to powiedzieć, że nie leżysz martwy na podłodze jakiegoś paryskiego bistro z pociśkiem zabójcy ze Stasi między oczami.

- McVey, to nie ma nic wspólnego z nią i ty o tym wiesz! Nie masz powodu, by ją przetrzymać. To także wiesz!

- Chcesz wiedzieć, dlaczego to spotkało twego ojca. - McVey nie spuszczał oczu z Osborna.

- To, co spotkało mego ojca, nie ma nic wspólnego z Verą.

- Skąd wiesz? Skąd możesz mieć taką pewność? - McVey nie był okrutny, po prostu sondował. - Powiedziałeś, że poznałeś ją w Genewie. Czy to ty na nią zwróciłeś uwagę, czy ona na ciebie?

- Ja... To nie ma w ogóle...

- Odpowiedz.

- No... ona.

- Była kochanką Francois Christiana. A gdy ma się odbyć ta impreza z Lybargerem, ni stąd, ni zowąd Christian ginie, a ona zaraz pokazuje się w Berlinie z zaproszeniem na bal.

Osborn był zły. I zdezorientowany. Co McVey próbował osiągnąć? Myśl, że Vera mogłaby być jedną z nich, zakrawała na szaleństwo. To niemożliwe. Wierzył w to, co mu przed chwilą opowiedziała. Kochali się zbyt mocno, żeby miał jej nie uwierzyć! Jej miłość była zbyt ważna. Odwróciwszy się plecami do McVeya, podniósł głowę i popatrzył na sufit. Nad nim, poza zasięgiem kogokolwiek stojącego na podłodze, znajdował się rząd jaskrawych świateł - nigdy nie wyłączanych stu pięćdziesięciowatówek.

- Być może naprawdę jest niewinna - powiedział McVey. - Ale ta sprawa jest poza twoim zasięgiem, w rękach niemieckiej policji.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i wszedł Remmer.

- Mamy wideo domu przy Hauptstrasse. Noble czeka. McVey spojrzał na Osborna.

- Chcę, żebyś to obejrzał - powiedział po prostu.

- Dlaczego?

- To jest dom, gdzie mamy spotkać się z Schollem. A przez „my” rozumie cię i mnie, doktorze.

## 110

Walizka Joanny leżała na łóżku; upychała w niej właśnie ostatnie ubrania, gdy wszedł von Holden.

- Joanno, przyszedłem cię przeprosić. Wybacz mi...

Ignorując jego obecność, podeszła do szafy i wyjęła kreację Uty Baur, którą miała nosić dzisiejszego wieczoru. Rozłożyła ją na łóżku i zaczęła składać. Von Holden stał przez chwilę spokojnie, a potem podszedł do niej z tyłu i położył dłonie na jej ramionach. Zamarła.

- Joanno, żyję ostatnio w takim napięciu... Tak samo jak ty i pan Lybarger. Proszę, wybacz mi, że tak się zachowałem...

Joanna stała nieporuszona, skierowawszy wzrok na błyszczące w oddali okno.

- Muszę ci coś wyznać, Joanno... Przez całe moje życie nikt mi nie powiedział, że mnie kocha... Przeraziłaś mnie.

Usłyszał, jak Joanna głęboko wzdycha.

- Niby ja przeraziłam cię?

- Tak...

Odwróciła się powolutku. Okropne, wypełnione nienawiścią oczy, które ledwie godzinę temu tak ją przestraszyły, patrzyły teraz z czułością.

- Nie rób mi tego...

- Joanno, nie wiem, czy jestem zdolny kochać...

- Nie rób... - Joanna poczuła, że łzy napływają jej do oczu i jedna z nich zaczęła spływać po policzku.

- To prawda. Ja nie...

Nagle przycisnęła palce do jego warg, by mu przerwać.

- Jesteś... - wykrztusiła.

Powoli otoczył ją rękami w pasie, a ona padła mu w ramiona. Pocałował ją łagodnie, oddał pocałunek. Uczucie odbierało jej resztki rozumu. To coś przerażającego, co w nim poprzednio dojrzała, zniknęło. Zapomniała o tym, tak jakby nigdy nie istniało.

Film nakręcono z helikoptera podczas jednego tylko przelotu na wysokości tysiąca pięciuset metrów, ukazywał dziewiętnastowieczną willę

przy Hauptstrasse siedemdziesiąt dwa, trójkondygnacyjny główny budynek z garażem na pięć samochodów w głębi. Aby dostać się na półkolisty podjazd, należało przejechać obok wartowni przez bramę z kutego żelaza wychodzącą na ulicę. Na prawo od domu znajdowała się droga dojazdowa do garażu, z lewej natomiast czerwony ziemny kort tenisowy. Całą posiadłość otaczał wysoki kamienny mur, porośnięty dzikim winem.

-Z tyłu obok garażu też jest brama. Wygląda to na wjazd dla służby - powiedział Noble, przyglądając się lotniczemu zdjęciu na wielkim ekranie firmy Sony.

-I tak jest używany - potwierdził Remmer.

Cała czwórka: Noble, Remmer, McVey i Osborn, siedziała w podobnych do teatralnych fotelach salki wideo znajdującej się nad celami. Osborn, odchyłony do tyłu, z podbródkiem wspartym na dłoni, myślał o tym, że piętro niżej przesłuchiowano Verę. Jego wyobraźnia cofała się przed tym, co mogą jej zrobić. Ale jeśli mimo wszystko to McVey ma rację i ona pracuje dla Organizacji? Czego dowiedziała się od Francois Christiana, co mogłaby im przekazać? I jak do tego pasował on, Osborn? Czego od niego chciała? Może to, że wplątał się w sprawę Merrimana, było przypadkiem, zwykłym zbiegiem okoliczności. Nie mogła przecież o tym wiedzieć w Genewie, ponieważ Merrimana spotkał dopiero wtedy, gdy pojechał za nią do Paryża.

-To zrobiono z należącej do pralni furgonetki, w czasie gdy kierowca oddawał pranie po przeciwnej stronie ulicy - powiedział Remmer, gdy wysokiej jakości obraz wideo pojawił się na ekranie. - Mamy tylko krótkie ujęcia z różnych pojazdów i jedno z powietrza. Nie chcemy wzbudzić ich podejrzeń.

Teraz ukryta kamera zrobiła zbliżenie domu. Na podjeździe stała zaparkowana limuzyna marki Mercedes, a na trawniku pracował ogrodnik. Wyglądało na to, że nic innego się nie dzieje. Kamera przez chwilę utrzymywała zbliżenie, a potem rozpoczęła odjazd.

-Co to takiego? - odezwał się nagle McVey - Ruch w oknie pierwszego piętra, drugim od prawej.

Remmer zatrzymał odtwarzanie i cofnął taśmę. Następnie ruszył z nią do przodu w zwolnionym tempie.

-Ktoś stoi w oknie - odezwał się Noble.

Remmer ponownie pokazał ten fragment. Tym razem niemal klatka po klatce i przy użyciu specjalnego zoomu, by zrobić zbliżenie okna.

-To kobieta. Niewiele widać.

-Daj to do ulepszenia, dobrze? - powiedział Noble.



- Dobra. - Nacisnąwszy przycisk interkomu i poprosiwszy o technika, Remmer wyjął kasetę, odłożył ją i włożył inną na jej miejsce. W zasadzie było to to samo ujęcie domu, tylko pod nieco innym kątem. Lekki ruch w oknie piętra sugerował, że McVey miał rację: ktoś tam stał i wyglądał na dwór. Nagle z ulicy skręciło szare bmw i zatrzymało się koło wartowni. Chwilę później brama się rozwarła, samochód wjechał i zatrzymał się przy głównym wejściu. Wsiadł z niego wysoki mężczyzna i wszedł do środka.

- Wiesz, kto to taki? - spytał McVey.

Remmer pokręcił głową.

- To by dopiero było święto - powiedział obojętnie Noble, otwierając skoroszyt z alfabetycznie ułożonymi fotografiami. Do tej pory Bad Godeberg nadesłał im zdjęcia sześćdziesięciu trzech ze stu zaproszonych gości. Większość z praw jazdy, część stanowiły odbitki fotografii reklamowych, firmowych lub prasowych. - Ja przejrzę od A do F, wy możecie przerzucić resztę.

- Przyjrzyjmy mu się zoomem. - Remmer nacisnął przewijanie wsteczne, a potem przycisk zwolnionego tempa. Tym razem samochód wjechał powoli, a Remmer zrobił jego zbliżenie. Wóz dotarł do frontu domu, zatrzymał się i wysiadł z niego mężczyzna...

- Jezu Chryste... - wychrypiął Osborn. McVey odwrócił głowę.

- Znasz tego typa?

Remmer cofnął taśmę i zatrzymał klatkę z von Holdenem wysiadającym z samochodu.

- Śledził mnie w parku. - Osborn cofnął się od ekranu i spojrzał prosto na McVeya.

- Jakim parku? O czym ty, u diabła...

- O wieczorze, kiedy wyszedłem na spacer. Umyślnie urwałem się Schneiderowi. - Osborn był straszliwie podniecony. Własne kłamstwo uderzyło w niego rykoszetem, ale nie dbał o to. - Szedłem przez Tiergarten do hotelu Scholla. Nagle zdałem sobie sprawę, że mogę zawalić całą sprawę. Właśnie zawracałem, gdy ten typ... ten tutaj - zwrócił spojrzenie na ekran - do mnie podszedł. Miałem w kieszeni broń. Zdaje mi się, że zachowałem się dziwacznie, ponieważ wycelowałem ją w niego. Drugi ukrywał się w krzakach... Powiedziałem im, żeby dali mi spokój. A potem zwałem, jakby mnie gonili wszyscy diabli.

- Jesteś pewien, że to on?

- Tak.

- To znaczy, że mają hotel pod obserwacją - zauważył Remmer.

Noble spojrzał na niego.

- Czy możemy popatrzeć, jak wchodzi do domu? Proszę o normalną szybkość.

Remmer nacisnął „play” i obraz ożył. Von Holden zamknął drzwiczki bmw, przeszedł przez podjazd, a potem szybko do góry po kilku schodkach; ktoś otworzył drzwi frontowe i von Holden wszedł do środka.

Noble wyprostował się.

- Proszą jeszcze raz.

Remmer powtórzył wszystko, zatrzymując taśmę, gdy tylko von Holden zniknął we wnętrzu domu.

- Stawiam sto do jednego, że to był żołnierz Specnazu - powiedział Noble. - Sabotażysta i terrorysta, wyszkolony w specjalnych oddziałach zwiadowczych dawnej armii radzieckiej. Potrzeba trochę doświadczenia, by to rozpoznać. Oni mogą nawet nie zdawać sobie z tego sprawy, ale szkolenie wpływa na sposób, w jaki stawiają kroki, pewnego rodzaju postawę i sposób utrzymywania równowagi, co powoduje, że chodzą jak cyrkowcy po linie. - Noble zwrócił się do Osborna. - Jeśli to on cię śledził, masz niewiarygodne szczęście, że tu siedzisz i opowiadasz nam to wszystko. - Spojrzał na McVeya i Remmera. - Jeśli Lybarger zatrzymał się w tamtym domu, możliwe, że nasz uwieczniony na taśmie przyjaciel jest pracownikiem bezpieczeństwa, nawet szefem.

- Albo zabezpiecza obiekt na polecenie Scholla - zauważył Remmer.

- Albo robi coś zupełnie innego - powiedział McVey, siedząc ze wzrokiem wlepionym w ekran, skupiwszy całą uwagę na nieruchomym wizerunku von Holdena.

- Wrabia nas? - zapytał Noble.

- Nie wiem. - McVey niepewnie potrząsnął głową, a potem spojrzał na Remmera. - Postarajmy się o ulepszony portret także jego, przekonajmy się, czy zdołamy się dowiedzieć, kto to taki. Może uda nam się zacieńnić krąg ewentualnych kandydatów.

Zapaliło się światełko na linii i przy łokciu Remmera zabrzączał telefon.

- Ja - rzucił do słuchawki.

Dotarli tam piętnaście po drugiej. Kordon policji berlińskiej odciął już całą przecnicę. Oficerowie dochodzeniowi z sekcji zabójstw przepuścili Remmera wraz z resztą; weszli do pokoju położonego na tyłach składu antyków na Kantstrasse.

Karolin Henniger leżała na podłodze, przykryta prześcieradłem.

Jej jedenastoletni syn Johann leżał obok niej, również przykryty prześcieradłem.

Remmer przyklęknął i odsunął materiał.

- O Boże... - szepnęła Osborn.

McVey zsunął prześcieradło okrywające chłopca.

- Taaa - powiedział, patrząc na Osborna. - O Boże...

Zarówno matka, jak syn dostali po kuli w głowę.

## 111

Półtorej godziny później, o trzeciej pięćdziesiąt pięć po południu, Osborn stał przy oknie dużego pokoju w starym hotelu Meineke, patrząc na miasto. Jak wszyscy pozostali, próbował nie myśleć o okropności, którą właśnie ujrzeli, lecz o tym, co mają zrobić. Powinni skupić się na Schollu i nikim innym. Ale nie mógł wyrzucić z głowy innych myśli.

Kim naprawdę była Karolin Henniger, dlaczego ktoś zrobił to jej i dziecku? Czy sprawca sądził, że rano coś powiedziała policji? A w takim razie, co wiedziała, co mogła wyznać? I było jeszcze jedno pytanie, to, które dostrzegł w oczach McVeya... Gdyby do niej nie pojechali, czy Karolin Henniger i jej syn nadal by żyli? Wiedział, że ten ciężar musi wziąć na siebie. Kolejni zamordowani z jego powodu.

Przeszedł do łazienki, by umyć twarz i ręce. Przenieśli centrum całej operacji do Meineke, gdy tylko odkryto ciało w bocznym skrzydle hotelu Palace, w łazience przylegającej do pokoju zapewniającego prawie doskonały wgląd w ich własny w głównym budynku. Z Bad Godesbergu przyleciała samolotem specjalna ekipa techniczna, by zbadać ślady.

Wybrali Meineke, ponieważ składał się tylko z jednego budynku, a na górę można się było dostać wyłącznie skrzypiącą windą, jedyną w całym hotelu. Obcy, a nawet przyjaciel, miałby mnóstwo trudności, by przejść niepostrzeżenie obok detektywów BKA w holu czy Schneidera i Littbarskiego czekających na posterunku dwoje drzwi dalej, przy podeście windy. Tak pomyślana ochrona zapewniła McVeyowi i pozostałym spokój pozwalający na przemyślenie poważnej komplikacji.

Cadoux.

Nagle pojawił się jakby znikąd, pozostawiając wiadomość dla Noble'a za pośrednictwem jego biura w New Scotland Yardzie, że znajduje się w

Berlinie. Podkreślił, że wpadł w tarapaty i jest niezwykle ważne, by mógł porozmawiać z Noble'em lub McVeyem tak szybko, jak tylko się da, oraz że zadzwoni jeszcze raz za godzinę.

McVey nie wiedział, co o tym myśleć. Pochwyił spojrzenie Osborna w chwili, gdy wysypywał sobie na dłoń z plastikowej torebki garść mieszanki orzechowej.

-Aha. Za dużo tłuszczu, za dużo soli. Ale zjem, tak czy inaczej. - Starannie wybrawszy duży orzech brazylijski, podniósł go, obejrzał dokładnie, a potem wrzucił do ust. - Jeśli Cadoux mówi prawdę i tamci depczą mu po piętach, to rzeczywiście jest w tarapatach - powiedział, żując. - Jeśli kłamie, pewnie dla nich pracuje. Czyli wie, że jesteśmy w Berlinie. Ma nas zwabić tam, gdzie będą mogli...

Pukanie do drzwi przerwało McVeyowi w połowie zdania. Remmer wstał, wyjął pistolet z kabury pod pachą i podszedł do drzwi.

-Ja.

-Schneider.

Remmer otworzył drzwi i Schneider wszedł do środka, a za nim przystojna brunetka tuż po czterdziestce. Wyższa i tęższa niż Schneider. Błądą kredką podkreśliła usta, których kąci miała uniesione w nieustającym uśmiechu. Pod pachą trzymała dużą brązową kopertę.

-To jest porucznik Kirsch - powiedział Schneider i dodał, że należy ona do zespołu komputerowego ulepszania zdjęć BKA.

Kiwnąwszy głową Remmerowi, popatrzyła na pozostałych i odezwała się po angielsku:

-Cieszę się, że mogę określić tożsamość człowieka, który przyjechał w BMW. Nazywa się Pascal von Holden i jest szefem bezpieczeństwa europejskich operacji handlowych Erwina Scholla. Przygotowujemy jego życiorys. Z kobietą było trochę trudniej, ale ustaliliśmy jej tożsamość. - Otworzywszy kopertę, wydobyła dwie czarno-białe fotografie na błyszczącym papierze. - Wystaliśmy foto zarówno do FBI, jak policji londyńskiej. Pozytywna identyfikacja nadeszła z FBI akurat wtedy, gdy wyjeżdżałam, aby wam przywieźć fotografie. Nazywa się Joanna Marsh, niezamężna, mieszka w Taos w Nowym Meksyku, jest dyplomowaną fizyoterapeutką.

-Pielęgniarka Lybargera - odezwał się Noble. - A jeśli ona się tam znajduje, jest prawie pewne, że Lybarger też musi tam być.

-Danke - powiedział Remmer i porucznik Kirsch wyszła w towarzystwie Schneidera.

Rozległ się głuchy stuk włączanego ogrzewania hotelowego. McVey przyjrzał się najpierw pierwszej fotografii, potem drugiej, zapamiętując twarze, a później podał je Noble'owi i podszedł do okna. Próbował postawić się w sytuacji Joanny Marsh. O czym myślała, stojąc i wyglądając przez okno? Co wiedziała na temat tego, co się dzieje? I co będzie mogła lub chciała im powiedzieć, jeśli do niej dotrą?

Lybarger, tu się zgadzał z Osbornem, był kluczem do sprawy. Jak na ironię, najbardziej irytujący był fakt, że chociaż mieli już wyraźne, ulepszone komputerowo zdjęcie fizykoterapeutki Lybargera, zidentyfikowanej dosłownie w kilka minut przez instytucję po drugiej stronie świata, jedyną fotografią samego Lybargera, którą Bad Godesberg zdołał zdobyć, było czarno-białe zdjęcie paszportowe sprzed czterech lat. I tyle. Nic więcej. Nawet choćby jednego amatorskiego. Czyste wariactwo. Zdjęcie człowieka tak ważnego jak Lybarger powinno się gdzieś pojawić, przynajmniej raz. Gdziekolwiek. W jakimś magazynie, jakiejś gazecie lub choćby czasopiśmie dla finansjery. Ale nie. Wyglądało to tak, jakby jego wizerunek stawał się coraz mniej wyraźny, w miarę jak mu się przyglądali. Odciski palców byłyby darem niebios. Jasne było, iż Elton Lybarger jest najbardziej tajemniczym i najbardziej chronionym człowiekiem w całym cywilizowanym świecie.

McVey popatrzył na zegarek. Czwarta dwadzieścia siedem.

Do spotkania z Schollem zostało ledwie trzydzieści minut. Jedyną ich szansą, a przynajmniej tak to widzieli, był Salettl; McVey rozpaczliwie wprost pragnął spotkać się z nim jeszcze przed wizytą u Scholla. Tylko Salettl mógł im przybliżyć osobę Lybargera. Nie mówiąc już o tym, że mógł być też wmieszany w morderstwa pozbawianych głów mężczyzn. Ale jeśli sytuacja nie zmieni się dramatycznie w bardzo krótkim czasie, do takiego spotkania nie dojdzie i będą musieli zadowolić się tym, co wiedzą. A tego było przysiębiająco mało.

Nagle przyszło mu do głowy, by zatelefonować do Joanny Marsh i wydobyć z niej wszystko, co się da, nim odłoży słuchawkę lub ktoś zrobi to za nią. Warto spróbować. W tym momencie każda próba była coś warta i już miał zapytać Remmera o numer telefonu domu na Hauptstrasse, gdy odezwał się telefon na drugiej bezpiecznej linii.

- Cadoux. Przełączony tutaj przez biuro Noble'a w Londynie - powiedział Remmer.

Skierowawszy Noble'a gestem do równoległego aparatu, McVey

wziął słuchawkę z rąk Remmera, zakrywając mikrofon dłonią.

- Każ ustalić, skąd dzwoni.

Remmer skinął głową i przeszedł do sypialni, gdzie posłużył się pierwszą linią.

- Cadoux, mówi McVey. Noble słucha równolegle. Gdzie jesteś?

- Przy automacie w sklepiku spożywczym w północnej części miasta.

- Cadoux nie władał płynnie angielskim i trochę się zacinał. Głos miał zmęczony i przerażony i najwyraźniej w obawie, by go nie podsłuchano, niemal szeptał. - Klass i Haider to wtyki wewnątrz Interpolu. To oni zorganizowali morderstwa Alberta Merrimana, Lebruna i jego brata w Lyonie.

- Cadoux, dla kogo oni pracują? - McVey od razu zaczął go naciskać, by się przekonać, po której jest stronie.

- Ja... Ja nie mogę ci powiedzieć.

- Cóż to ma znaczyć do diabła? Wiesz czy nie wiesz?

- McVey, proszę, zrozum... To dla mnie bardzo trudne...

- W porządku. Uspokój się...

- Oni... Klass i Haider... zmusili mnie do udziału w zamordowaniu Lebruna, wykorzystując stare powiązania z moją rodziną. Przywieźli mnie do Berlina, ponieważ wiedzą, że tu jesteście. Chcieli się mną posłużyć, żeby was zrobić. Kiedyś z nimi współpracowałem, ale to zła sprawa i to im właśnie powiedziałem... Nie chcę dla nich pracować...

- Cadoux. - W głosie McVeya nagle zabrzmiało współczucie. - Czy oni wiedzą, gdzie jesteś?

- Być może, ale nie sądzę. Przynajmniej nie w tej chwili. Mają wszędzie informatorów. Dzięki nim wiedzieli, jak znaleźć Lebruna w Londynie. Proszę, wysłuchaj mnie. - W głosie Cadoux słychać było naleganie. - Wiem, że macie dzisiaj umówione spotkanie z Erwinem Schollem. Muszę się wcześniej z wami zobaczyć. Mam potrzebne wam informacje. Dotyczą człowieka nazwiskiem Lybarger i jego związku z pozbawionymi głów ciałami.

McVey i Noble wymienili pełne zaskoczenia spojrzenia.

- Cadoux, powiedz mi, na czym to polega...

- Nie mogę zostać tu dłużej, to zbyt niebezpieczne.

- Cadoux, mówi Noble. Czy niejaki doktor Salettl ma coś wspólnego z odcinaniem głów?

- Zatrzymałem się w hotelu Borggreve. Przy Borggrevestrasse numer siedemnaście. Pokój czterysta dwanaście, najwyższe piętro, w głębi. Muszę teraz kończyć. Będę na was czekał.

Noble odłożył słuchawkę na widełki i spojrzął na McVeya.  
- Światelko na końcu tunelu czy nadjeżdżający pociąg?  
- Nie mam pojęcia - przyznał McVey. - Przynajmniej część z tego, co nam powiedział, to prawda.  
- Telefonował ze sklepu spożywczego koło stacji metra Schonholz - powiedział Remmer, wychodząc z sypialni. - Inspektorzy już tam jadą.  
McVey położył ręce na biodrach i popatrzył w dal..  
- No, dobrze, w tym wypadku także mówił prawdę.  
- Niepokoi cię, że to pułapka - rzekł Remmer.  
- Taaa, niepokoję się, że to pułapka. Ale od samego początku męczy mnie jeszcze coś innego. Że poza świadectwem Osborna nie mamy nic na Scholla.  
- Chcesz przez to powiedzieć, że być może Cadoux będzie mógł zapełnić masę białych plam - odrzekł spokojnie Noble. - I czy wynikną z tego kłopoty, czy nie, uważasz, że powinniśmy go odwiedzić.  
McVey zamilkł na dłuższy czas.  
- Nie sądzę, żebyśmy mieli wybór - powiedział w końcu.

## 112

### 4.57 po południu

Wąski pasek czerwieni zachodzącego słońca leżał na horyzoncie w chwili gdy srebrzyste audi skręciło z Hauptstrasse i podjechało do bramy wejściowej numeru siedemdziesiąt dwa. Kiedy z kamiennej wartowni wyszedł ochroniarz, kierowca opuścił szybę i pokazał legitymację BKA.

- Nazywam się Schneider. Mam wiadomość dla pana Scholla - powiedział po niemiecku.

Z zapadających ciemności natychmiast wynurzyło się dwóch ochroniarzy; jeden prowadził na smyczy owczarka alzackiego. Schneiderowi powiedziano, że ma wysiąść z wozu. Zrewidowano go, a następnie poleciono stanąć na skraju trawnika i przeszukano audi. Pięć minut później wpuszczono go przez bramę i pojechał do głównego wejścia.

Frontowe drzwi otwały się i zaproszono go do środka. Błady mężczyzna ze świńską twarzą, ubrany w smoking, czekał na Schneidera w foyer.

- Mam wiadomość dla pana Scholla.

-Może pan mnie powiedzieć.

-Mam polecenie, żeby rozmawiać bezpośrednio z panem Schollem.

Weszli do niewielkiego, wyłożonego boazerią pokoju, gdzie go znów zrewidowano.

-Nieuzbrojony - zwrócił się bladolicy do wchodzącego mężczyzny, również noszącego smoking. Był wysoki i przystojny, a Schneider natychmiast zorientował się, że to von Holden.

-Proszę usiąść - powiedział, a potem wyszedł bocznymi drzwiami.

Wygląda na młodszego i w lepszej formie niż na fotografii. W tym samym wieku co Osborn - pomyślał Schneider.

Upłynęło co najmniej dziesięć minut, podczas których Schneider siedział, pilnowany przez człowieka ze świńską twarzą, nim otworzyły się te same drzwi i wszedł Scholl, a za nim von Holden.

-Jestem Erwin Scholl.

-Nazywam się Schneider, jestem z Bundeskriminalamtu - rzekł policjant, wstając. - Niestety, detektywa McVeya coś zatrzymało. Polecił mi, bym pana przeprosił w jego imieniu i zapytał, czy możliwy jest inny termin spotkania.

-Przykro mi - odrzekł Scholl. - Dziś wieczorem odlatuję do Buenos Aires.

-To fatalnie. - Schneider przerwał na chwilę, próbując ocenić swego rozmówcę.

-Mam teraz bardzo mało czasu. Pan McVey wie o tym.

-Rozumiem. Raz jeszcze przepraszam w jego imieniu. Skłoniwszy się lekko, Schneider kiwnął głową von Holdenowi,

zawrócił na pięcie i wyszedł. Kilka chwil później brama otworzyła się i detektyw odjechał. Miał rozejrzeć się za Lybargerem i dziewczyną z fotografii. Pozwolono mu obejrzeć tylko foyer i mały, wyłożony boazerią pokój. Scholl zwracał się do niego z całkowitą obojętnością. Von Holden był uprzejmy i nic poza tym. Scholl zgodnie z obietnicą znajdował się tu w ustalonym terminie i nic nie wskazywało na to, by miał jakieś inne plany. Czyli istniała szansa, iż nie wiedzą, co zamierza Cadoux, a prawdopodobieństwo, że zastawili pułapkę, zmniejszało się. Schneider westchnął z ulgą. Scholl wyglądał na dobrze trzymającego się starca, przyzwyczajonego do tego, że ludzie są mu ślepo posłuszni, a on sam zawsze osiąga to, co chce. Dziwny był natomiast zygzakowaty ślad głębokich zadrapań gojących się na lewej dłoni i nadgarstku Scholla, który w demonstracyjny



sposób trzymał rękę w górze, jakby wystawiał ją na pokaz i równocześnie mówił: każdy inny człowiek czułby z tego powodu ból i szukał współczucia, ja poczułem przyjemność, a to jest coś, czego nigdy nie potrafisz zrozumieć.

## 113

Jechali dwoma samochodami. Noble z Remmerem w mercedesie, Osborn za kierownicą czarnego forda, z McVeyem na miejscu pasażera. Pod hotelem stały już nieoznakowane wozy BKA; jeden z doświadczonymi inspektorami Kellermannem i Seidenbergiem, drugi z Littbarskim i Holtem, detektywem o chłopięcym wyglądzie. Zespół Kellermann-Seidenberg ulokował się w zaułku z tyłu budynku, Littbarski-Holt naprzeciw wejścia do hotelu po drugiej stronie ulicy. Kellermann i Seidenberg sprawdzili sklepik spożywczy koło wejścia do stacji metra Schonholz, skąd telefonował Cadoux. Właściciel mętnie przypominał sobie mężczyznę o wyglądzie Cadoux, który skorzystał z telefonu i jak mu się zdawało, był tutaj sam, i to dość krótko.

Remmer podjechał do krawężnika i wyłączył światła.

- Jedź dalej aż do rogu. Gdy znajdziesz miejsce, zaparkuj - powiedział McVey do Osborna.

Hotel Borggreve był niedużym pensjonatem przy wyjątkowo słabo oświetlonym odcinku ulicy na północny wschód od Tiergarten. Wysoki na cztery piętra, szeroki na jakieś osiemnaście metrów, przylegał po dwóch stronach do wyższych od niego kamienic. Sądząc z fasady, był stary i w złym stanie. Pokój czterysta dwanaście, powiedział im Cadoux. Najwyższe piętro, w głębi.

Osborn skręcił za róg na końcu przecznicy i zaparkował za białą alfą romeo. Rozpiąwszy guziki marynarki, McVey wysunął spod niej trzydziestkę ósemkę i sprawdził, czy jest nabita.

- Nie lubię być okłamywany - powiedział. Do tej pory nie wspominał o wyznaniu Osborna, teraz chciał mu przypomnieć, że to on kieruje akcją.

- Nie twojego ojca zamordowano - rzekł Osborn, patrząc na niego.

Nie przeproszał ani nie wycofywał się. Nadał czuł złość za sposób, w jaki McVey wykorzystał go przeciwko Verze, Licząc na to, że dziewczyna powie coś, za co mógłby ją zatrzymać. I nadal był zły jak wszyscy diabli za sposób, w jaki policja ją potraktowała. Wszystko to, co się zdarzyło z Verą

- wybuch uczucia, gdy ją ujrzał, gdy ją tulił, a teraz te wątpliwości, kim ona może naprawdę być - sprawiło, że znowu przeżywał huśtawkę uczuć, która nękała go od zawsze. To, że ją zobaczył w takiej sytuacji, wszystko uprościło - zrozumiał, co jest dla niego najważniejsze. Zanim w ogóle zacznie się zastanawiać, kim jest Vera, musi uzyskać odpowiedź od Scholla. Dlatego nie zamierzał przeproszać McVeya teraz ani w przyszłości. Od tej chwili albo będą równymi partnerami, albo nie będą nimi w ogóle.

- To będzie długi wieczór, doktorze, z mnóstwem ryzykownych niespodzianek. Nie próbuj zgrywać waśniaka.

Wsadziwszy rewolwer do kabury, McVey wziął leżący na siedzeniu przekaznik radiowy i włączył.

- Remmer?

- Jestem tutaj, McVey. - Głos Remmera dobiegł wyraźnie z maleńkiego głośnika.

- Wszyscy gotowi?

- Tak.

- Powiedz im, że nie wiemy, czego się spodziewać, niech więc zachowają ostrożność.

Usłyszeli Remmera przekazującego polecenie po niemiecku, po czym McVey otworzył schowek na rękawiczki. Sięgnął do środka i wyjął, a potem wręczył Osbornowi pistolet CZ.

- Trzymaj reflektory zgaszone i drzwi zablokowane.

Rzuciwszy Paulowi ostre spojrzenie, McVey otworzył drzwiczki wozu i wysiadł. Chłodne powietrze wdarło się do środka, potem drzwiczki trzasnęły i detektyw zniknął. W lusterku Osborn widział, jak dochodzi do rogu i rozpina marynarkę. Później skręcił za róg i ulica opustoszała.

Tyły hotelu Borggreve wychodziły na wąski zaułek wysadzany drzewami. Po przeciwnej stronie całą długość ulicy zajmowały stojące obok siebie kamienice. Wydarzenia w zaułku i na tyłach hotelu Borggreve mieli kontrolować inspektorzy Kellermann i Seidenberg. Kellermann stał w cieniu koło śmietnika, Wycelowawszy lornetkę w okno drugiego od lewej pokoju na najwyższym piętrze. W pokoju paliła się lampa, ale nic więcej nie było widać. Usłyszał Littbarskiego w słuchawce swego przekaznika.

- Kellermann, wchodzimy. Dzieje się coś?

- Nein - powiedział cicho do małego mikrofonu na klapie marynarki. Dalej w zaułku widział pod dębem potężną sylwetkę Seidenberga.

Miał w ręku karabin i pilnował tylnego wejścia do hotelu.

- Tu także nic - zameldował Seidenberg.

Salettl stał w obszernej sypialni na piętrze domu przy Haupt-strasse, przyglądając się, jak Edward i Eric, żartując, pomagają sobie wzajemnie zawiązywać muszki pod kołnierzykami wieczorowych koszul. Gdyby nie byli bliźniakami, pomyślał Salettl, mogliby być kochankami.

- Jak się czujecie? - zapytał.

- Dobrze - powiedział Eric, odwracając się szybko i prawie stając na baczność.

- Ja także - odezwał się jak echo Edward.

Salettl stał jeszcze przez chwilę, a potem wyszedł.

Zszedł na dół i skierował się ozdobnym, wyłożonym dębową boazerią korytarzem do równie ozdobnego pokoju, gdzie Scholl, w oślepiąco białym smokingu, stał przed trzaskającym na kominku ogniem, trzymając w ręce kielich z koniakiem. Obok niego na fotelu siedziała Uta Baur w jednej ze swych całkowicie czarnych kreacji, paląc tureckiego papierosa w cygarniczce.

- Von Holden jest z panem Lybargerem - powiedział Salettl.

- Wiem - odrzekł Scholl.

- Żle się stało, że policjant wciągnął kardynała...

- Nie powinno cię nie obchodzić poza Erikiem, Edwardem i panem Lybargerem. - Scholl uśmiechnął się chłodno. - Ta noc jest nasza, zacy doktorze. Całkowicie nasza. - Nagle popatrzył w dal. - Nie tylko tych, którzy jeszcze żyją, ale i tych, którzy już nie żyją, lecz mieli dość wyobraźni, odwagi i poświęcenia, by to rozpocząć. Dzisiejsza noc jest dla nich. Dla nich doświadczymy, posmakujemy i dotkniemy przyszłości. - Spojrzenie Scholla wróciło do Salettla. - I nic, zacy doktorze - dodał po cichu - nam tego nie odbierze.

## 114

- Proszę o klucz do pokoju czterysta dwanaście - powiedział Remmer do szpakowatej kobiety za kontuarem. Nosiła okulary o grubych szklach, a na ramiona miała zarzucony brązowawy szal.

- Ten pokój jest zajęty - odparła z oburzeniem, a potem spojrzała na stojącego po lewej stronie drzwi do windy McVeya.

- Jak się pani nazywa?

- Czemu miałabym odpowiedzieć na to pytanie? Kim wy w ogóle jesteście?

- BKA - odrzekł Remmer, wyjmując legitymację.

- Nazywam się Anna Schubart - odrzekła pośpiesznie. - Czego chcecie?

McVey i Noble stali w połowie drogi od frontowego wejścia do schodów pokrytych wydeptanym ciemnoczerwonym chodnikiem. Niewielki hol pomalowany był na kolor musztardowy. Kryta aksamitem drewniana kanapa stała pod kątem do kontuaru, za nim zaś dwa, nie od pary, miękkie fotele ustawione frontem do kominka, na którym palił się niewielki ogień. Na jednym z nich drzemał podstarzały mężczyzna z gazetą rozłożoną na kolanach.

- Schody prowadzą na samą górę?

- Tak.

- Można się stąd wydostać tylko schodami i windą?

- Tak.

- Ten śpiący starzec to wasz gość?

- To mój ojciec. O co chodzi?

- Mieszkacie tutaj?

- Tam z tyłu. - Anna Schubart ruchem głowy wskazała zamknięte drzwi za kontuarem.

- Proszę zabrać ojca i wejść do środka. Powiem pani, kiedy wyjść.

Kobieta poczerwieniała na twarzy i najwyraźniej zamierzała mu powiedzieć, żeby poszedł sobie do diabła, gdy otwarto drzwi wejściowe i do środka weszli Littbarski z Holtem. Littbarski trzymał karabin. Przy boku Holta dyndał pistolet maszynowy Uzi.

Tego było za wiele nawet dla hardej Anny Schubart. Sięgnąwszy do ściennej tablicy za sobą, wzięła klucz do pokoju czterysta dwanaście i podała Remmerowi. Potem szybko podeszła do starca i potrząsnęła nim.

- Komm, Vater. - Pomógłszy mu wstać, poprowadziła go, mrugającego i patrzącego bezmyślnie, do pokoju w głębi. Ostro spojrzała przez ramię na policjantów i zamknęła drzwi.

- Powiedz Holtowi, żeby tu został - powiedział McVey do Remmera. - Ty i Littbarski pójdzicie schodami. Starsi panowie pojedą windą. Poczekamy na was na górze.

McVey podszedł do windy, nacisnął guzik i drzwi natychmiast się otworzyły. Wszedł z Noble'em do środka. Drzwi zasunęły się, a Remmer i Littbarski zaczęli wchodzić po schodach.

W zaułku na dworze Kellermannowi wydało się, że widzi, jak światło

w pokoju sąsiadującym z pokojem Cadoux pojaśniało, ale nawet posługując się lornetką, trudno to było stwierdzić. Uznał, że nie ma o czym meldować.

Winda z hukiem zatrzymała się na górnym piętrze, drzwi się otworzyły. McVey z trzydziestką ósemką w rękę wyrzął z kabiny. Korytarz był słabo oświetlony i pusty. Zablockowawszy windę, wyszedł na zewnątrz. Za nim Noble, trzymając matowoczarne magnum.

Przebyli ponad metr, gdy McVey zatrzymał się i ruchem głowy wskazał zamknięte drzwi naprzeciw nich.

Pokój czterysta dwanaście.

Nagle po suficie na drugim końcu korytarza przebiegł cień, więc obaj przycisnęli się do ściany. Zza rogu wyłonił się Remmer z bronią w rękę. Littbarski następował mu na pięty. Zrobiwszy krok do przodu, McVey pokazał palcem drzwi numer czterysta dwanaście i mężczyźni podeszli do nich z obu stron korytarza. McVey i Noble z lewej, Remmer i Littbarski z prawej.

Gdy się spotkali, McVey gestem skierował Littbarskiego na środek korytarza; miał zająć pozycję pozwalającą na pewny strzał z karabinu w drzwi.

Przełożywszy broń do lewej ręki, McVey stanął obok drzwi, a potem ostrożnie włożył klucz do zamka i obrócił.

Klik.

Rygiel się odsunął. Zaczęli nadśluchiwać.

Cisza.

Littbarski przyjął pozycję i wycelował karabin dokładnie w środek drzwi. Po policzku Remmera popłynął strumyczek potu, gdy stanął przycisnięty do ściany po przeciwległej stronie drzwi. Noble, trzymając po wojсковemu magnum oburącz, stał w gotowości kilkadziesiąt centymetrów za McVeyem.

Odetchnąwszy głęboko, McVey wyciągnął rękę i chwycił za klamkę. Nacisnął ją i lekko pchnął. Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów i znie-ruchomiały. Wewnątrz widać było tylko część słabo oświetlonej pseudorokokowej lampy stojącej i róg kanapy. Z przyciszonego radia dolatywał walc Straussa.

- Cadoux! - zawołał głośno McVey. Nic. Tylko dźwięki walca.

- Cadoux! - powtórzył. Nadal nic.

Rzuciwszy okiem na Remmera, McVey mocno pchnął drzwi, które otworzyły się dość szeroko, by mogli zobaczyć Cadoux siedzącego naprzeciw nich na kanapie. Ubrany był w ciemną sportową marynarkę ze sztruksu,

włożoną na niebieską koszulę z luźno zawiązanym na szyi wąskim krawatem. Na widocznej części koszuli rozplynęła się purpurowa plama, a w krawacie były trzy dziury, jedna tuż nad drugą.

McVey wyprostował się i popatrzył w oba końce korytarza. Drzwi do pięciu pozostałych pokoi były zamknięte, spod żadnych nie wydobywało się światło. Jedyny dźwięk dolatywał z radia w pokoju Cadoux. Uniósłszy trzydziestkę ósemkę, McVey stanął w drzwiach i stopą otworzył je na oścież. Ujrzeni podwójne łóżko i tani nocny stolik obok niego. Dalej znajdowały się uchylone drzwi do nieoświetlonej łazienki. McVey spojrzął przez ramię na Littbarskiego, który ścisnął karabin w rękach. Skinął głową. Następnie popatrzył na Remmera stojącego głębiej w korytarzu, potem na Noble'a u swego lewego boku.

- Cadoux jest martwy. Zastrzelony - powiedział po niemiecku Remmer do mikrofonu przyczepionego do kołnierza.

W holu wejściowym Holt cofnął się, celując z uzi w drzwi frontowe. W tylnym zaułku Seidenberg zamrugał oczami, by przywrócić im ostrość widzenia, i cofnął się głębiej w cień za dębem, mając w polu równocześnie tylne drzwi i zaułek. Kellermann ponownie skierował lornetkę na okno.

- Wchodzimy do pokoju. - Głos Remmera rozległ się we wszystkich przekaźnikach radiowych. Ludzie zebrali się w sobie, jakby wszyscy równocześnie mieli przecucie, że coś się stanie.

Littbarski stał na pozycji w korytarzu, gdy McVey poprowadził do środka. Nagle pokój zalał blask jaśniejszy niż słońce.

- Uwaga! - wrzasnął.

Rozległa się ogłuszająca eksplozja, Littbarskiego zmiotło z nóg, a całe okno pokoju czterysta dwanaście wraz z ramą wyleciało na zewnątrz. Z dziury wytoczyła się potężna kula ognia, z rykiem wznosząc się ku niebu i ciągnąc za sobą gruby ogon czarnego dymu.

W tej samej chwili otwarto szarpnięciem drzwi do mieszkania recepcjonistki hotelowej i Anna Schubart weszła do holu.

- Co to było? - warknęła po niemiecku do Holta.

- Wracaj do środka! - wrzasnął, podnosząc głowę ku sufitowi, skąd sypał się tynk i tumany kurzu. A wtedy zdał sobie sprawę, że kobieta nie nosi już okularów o grubych szklach. Spojrzął na nią zbyt późno. Miała w ręku pistolet szturmowy kalibru .45 z przykręconym do lufy tłumikiem.

Puf, puf, puf.

Broń podskoczyła w jej rękach, a Holt chwiejnie dał krok do tyłu. Próbował podnieść uzi, ale już nie zdołał. Brakowało mu zuchwy i lewej połowy twarzy.

McVey leżał na wznak na podłodze. Ogień był wszędzie. Słyszał, że ktoś wrzeszczy, ale nie wiedział kto. A potem przez płomienie ujrzał nad sobą Cadoux. Uśmiechał się i miał rewolwer w dłoni. Przetoczywszy się po podłodze, McVey podniósł się i dwukrotnie wystrzelił. W tym momencie zdał sobie sprawę, że z Cadoux pozostała tylko górna część torsu, broń w jego ręku była bezużyteczna.

- Ian! - zawołał, próbując wstać. Żar był nie do zniesienia. - Remmer!

Wydawało mu się, że gdzieś dalej, poprzez ryk płomieni, słychać serię z broni automatycznej, a natychmiast po niej głośny huk karabinu Littbarskiego. Odepchnąwszy się od podłogi, próbował wyobrazić sobie, gdzie są drzwi. A potem usłyszał blisko siebie czyjś jęk i kaszel. Osłoniwszy się ramieniem przed ogniem i gorącym, ruszył w stronę dźwięków. Sekundę później zobaczył Remmera, dławiącego się i kaszlącego w dymie, wspartego na jednym kolanie i próbującego wstać. Podeszedłszy do niego, wsunął mu rękę pod pachę i podniósł go.

- Manny! Wstawaj! Wszystko gra!

Pomrukując z bólu, Remmer wstał i McVey ruszył wraz z nim przez dym, w stronę, gdzie jak sądził, powinny znajdować się drzwi. Wydostali się z pokoju na korytarz. Zobaczyli Littbarskiego rozciągniętego na podłodze, z kilku blisko siebie położonych ran postrzałowych w jego piersi sączyła się krew. W połowie długości korytarza leżało to, co pozostało z młodej kobiety. Obok niej spoczywał pistolet maszynowy. Littbarski odstrzelił jej głowę.

- Chryste! - Podniósłszy głowę, McVey, zobaczył, że płomienie przedarły się już na korytarz i wspinają się po ścianach.

Remmer przykleknął na jedno kolano z grymasem bólu. Lewe przedramię miał zgięte do tyłu, dłoń wisiła pod nienaturalnym kątem.

- Gdzie, u diabła, jest Ian? - McVey cofnął się do pokoju. - Ian, Ian!

- McVey. - Remmer stał, opierając się o ścianę. - Musimy się stąd wynosić do wszystkich diabłów!

- Ian! - wrzasnął McVey w stronę gęstego dymu i piekielnego ryku w pokoju.

Wreszcie Remmer chwycił McVeya za ramię i pociągnął z sobą wzdłuż korytarza.

- Chodźże, McVey. Jezu Chryste! Zostaw go! On by tak zrobił!

McVey wlepił wzrok w Remmera. Miał rację. Martwi są martwi i do diabła z nimi. A potem usłyszeli coś gdzieś u swoich stóp i Noble wypełził przez otwarte drzwi. Paliły się na nim włosy i ubranie.

Dwa strzały z karabinu Steyr-Mannlicher z celownikiem optycznym, oddane z dachu po przeciwnej stronie zaułka, położyły trupem Kellermana i Seidenberga. Teraz Wiktor Szewczenko, odrzuciwszy karabin i chwyciwszy kałasznikowa, biegł po schodach w górę, by dopomóc Natalii i Annie dokończyć dzieła. Kłopot w tym, że była jeszcze jedna osoba, czego nie spodziewały się ani one, ani on: Osborn, który przybiegł na odgłos eksplozji, trzymając w dłoni CZ Bernharda Ovena.

Najpierw stał się ze starszym mężczyzną, który znalazł się przy samochodzie, w chwili gdy on otwierał drzwiczki. Moment zaskoczenia zapewnił Osbornowi ułamek sekundy potrzebny, by zobaczyć w dłoni starca pistolet, wepchnąć mu CZ w brzuch i wystrzelić. Potem przebiegł pędem pół przecznicy do hotelu i wbiegł do holu, gdy Anna dla pewności strzelała jeszcze raz do Holta. Na jego widok skierowała w jego stronę serię pocisków. Nie mając innego wyboru, Osborn po prostu stanął w miejscu i naciśnął spust. Jego pierwszy strzał trafił ją w gardło. Drugi przeorał jej czaszkę, obracając kobietę w miejscu i ciskając twarzą do dołu na fotel koło ciała Holta.

Z echem strzałów jeszcze dzwoniącym w uszach Osborn odwrócił się, kierowany przecuciem. Wiktor wchodził właśnie przez drzwi, trzymając kałasznikowa na wysokości pasa. Nie okazał się dość szybki; Osborn wpakował mu trzy pociski w pierś, nim zdołał przekroczyć próg. Przez sekundę Wiktor tam stał, do głębi zdumiony, że Osborn go zastrzelił i że cokolwiek mogło tak szybko nastąpić. A potem zdumienie zastąpiło niedowierzanie, Szewczenko potknął się, zachwiał, próbował chwycić się poręczy, aż wreszcie spadł ze schodów na ulicę.

Gryzący zapach kordytu nadal wisiał w powietrzu. Osborn spojrzął na ciało Wiktora, po czym rozejrzał się wokoło. Wszystko wydało mu się dziwnie pokręcone, jakby wszedł do środka dziwacznej i krwawej rzeźby. Holt leżał na boku, tam gdzie upadł, koło kominka. Jego zabójczyni na



wpół kłęczała, wciśnięta twarzą w stojący obok niego fotel. Nieprzyzwyczajenie zadarta do połowy pośladków spódnica ukazywała białe, mięsiste uda. Lekki powiew wpadający przez frontowe drzwi nie zdołał oczyścić atmosfery; Osborn niemal w jednej chwili zabił trzy osoby. Jedną z nich była kobieta. Próbował się z tym jakoś uporać, ale nie potrafił. Wreszcie usłyszał w oddali syreny i w tym momencie powrócił do rzeczywistości.

Po jego prawej stronie rozległo się skrzypienie, a po nim głośny huk. Zakręciwszy się w miejscu, zobaczył, że to otwierają się drzwi windy. Cofnął się z bijącym sercem, zastanawiając, czy została mu jeszcze amunicja. Nagle z kabiny wyskoczyła jakaś postać.

- Halt! - wrzasnął, gorączkowo usiłując sobie przypomnieć język niemiecki i równocześnie zaciskając palec na spuście. Wylot pistoletu CZ znalazł się na poziomie piersi postaci.

- Osborn! Jezu Chryste, nie strzelaj! - doleciał do niego krzyk McVeya. Potem zaczęli wychodzić z windy, kaszląc, wymiotując i próbując zaczerpnąć czystego powietrza: McVey i Remmer, zakrwawieni, obdarci i śmierdzący dymem, i Noble, boleśnie poparzony i na pół przytomny, podtrzymywany przez nich obu.

Osborn rzucił się w ich stronę. Spojrzawszy na Noble'a z bliska, skrzywił się.

- Posadźcie go na fotelu. Ostrożnie.

McVey miał oczy przekrwione od dymu. Skierował na Osborna twarde spojrzenie.

- Włącz alarm pożarowy - powiedział, starannie wymawiając słowa, jakby chciał mieć całkowitą pewność, że zostanie zrozumiany. - Pali się całe górne piętro.

## 6.50 po południu

- Czuję się dziś wspaniale - powiedział Elton Lybarger, uśmiechając się swobodnie i przenosząc spojrzenie z von Holdena na siedzącą obok Joannę. Ich wóz był środkowym z trzech pancernych limuzyn marki Mercedes-Benz, jadących zderzak przy zderzaku przez Berlin. Scholl i Uta Baur znajdowali się w pierwszym wozie, w ostatnim Saettl i bliźniaki. - Jestem odprężony i pewny siebie. Podziękowania należą się wam obojgu.

- Po to tu właśnie jesteśmy, żeby czuł się pan swobodnie - oświadczył

von Holden, w chwili gdy limuzyny skręciły w Lietzenburgerstrasse i po-  
dążyły w kierunku pałacu Charlottenburg.

Strzepnąwszy niteczkę z rękawa smokinga, von Holden wziął telefon z konsolety przy tylnym siedzeniu i wystukał numer. Joanna uśmiechnęła się. Gdyby miał uwagę mniej pochłoniętą czym innym, w pełni doceniłby jej wygląd; starała się tylko dla niego. Jej makijaż był bezbłędny, włosy zostały uczesane z przedziałkiem po lewej stronie, potem zaczesane do góry i polakierowane. Dzięki temu opadały naturalną kaskadą po prawej stronie twarzy, podkreślając oszałamiająco uwodzicielską kreację Uty Baur, którą miała na sobie: długą do ziemi, biało-szmaragdową suknię zapiętą pod szyję, ale niżej otwartą aż do mostka, w seksowny sposób ukazującą piersi. Z zarzuconą na ramiona krótką pelerynką z czarnych norek miała wyglądać swej ostatniej nocy wśród arystokracji europejskiej, jakby sama do niej należała.

Von Holden uśmiechnął się do niej lekko, telefon nadal wywoływał rozmówców. Nagle odezwał się po niemiecku nagrany głos: „Proszę zadzwonić później, samochód jest pusty”. Słuchawka wysunęła się z dłoni von Holdena. Odłożył telefon, starając się nie okazać frustracji. Był coraz bardziej przekonany, że powinien postawić na swoim podczas rozmowy z Schollem i że jego miejsce jest w hotelu Borggreve, a nie w mercedesie odwożącym Lybargera do Charlottenburga. Ale nie uparł się i teraz nic już nie mógł zrobić, żeby zmienić sytuację.

O trzeciej dzisiejszego popołudnia ustalił ostatnie szczegóły swego planu z wyszkolonymi przez Stasi agentami. Z Cadoux, Natalią i Wiktorem Szewczenką. Dołączyli do nich Anna Schubart i Wilhelm Pódl, specjaliści od materiałów wybuchowych, wyszkoleni w Libii terroryści, którzy przy-  
byli pociągiem z Polski.

Von Holden spotkał się z nimi w obskurnym pokoju za warsztatem naprawy motocykli koło Ostbahnhofu, jednego z dwóch głównych dworców kolejowych wschodniego Berlina. Posłużył się fotografiami i rysunkami hotelu Borggreve - należącego do licznych budynków stanowiących własność nieistniejącej spółki, służącej za przykrywkę dla sektora berlińskiego - aby szczegółowo przedstawić im taktykę i harmonogram akcji. Jego plan był tak szczegółowy, że określał nawet sposób, w jaki Anna i Wilhelm, grający rolę jej starego ojca, mają się ubrać; jakimi typami broni mają się posłużyć, ile użyć semteksu oraz jak go zdetonować.

McVeyowi i pozostałym stworzono okazję, której nie mogli przepuścić. Von Holden miał tę przewagę, co podkreślił Scholl, a o czym on sam wiedział od początku, że McVey i pozostali byli policjantami. Choćby nie

wiadomo jak sprytni, będą myśleć jak policjanci i przygotowują się do wykonania zadania jak policjanci, w sposób absolutnie możliwy do przewidzenia. Von Holden rozumiał to doskonale, bo wielu jego agentów wywodziło się z szeregów policji i przekonał się, jak całkowicie obcy był im sposób myślenia terrorystów i jak gruntownie musiał to zmienić.

Jeśli się o tym pamiętało, samo działanie było proste. Najpierw skontaktuje się z nimi Cadoux. Gdy przyjadą, zacznie przekazywać potrzebne im informacje, a potem przeprosi, że musi pójść do toalety. Nie będą mu w pełni ufać, więc jeden z nich pójdzie z nim. Gdy wyjdą razem z pokoju, Natalia zdalnie spowoduje wybuch plastiku. Cadoux zastrzeli towarzyszącego mu człowieka, a Natalia zlikwiduje policjantów czekających w korytarzu przed pokojem. Anna i Wilhelm Pódl zastrzelą wszystko, co się będzie ruszało w hotelowym holu i przed budynkiem. Ogólnie rzecz biorąc, akcja była prosta. Zapędzą swe ofiary w ciasny kąt, a potem wytluką.

Dokładnie o trzeciej czterdzieści pięć zakończył odprawę. Tamci poszli do hotelu, a von Holden odwiózł Cadoux do pobliskiego sklepu spożywczego, by stamtąd zatelefonował. Potem pojechali prosto do hotelu, raz jeszcze omówili ze wszystkimi szczegółami cały plan i porozmieszczali materiał wybuchowy. Von Holden powiedział reszcie, że chce porozmawiać z Cadoux na osobności i zamknął drzwi pokoju czterysta dwanaście.

Pokierował tak rozmowę, żeby Cadoux poczuł się ważny, powiedział, że wie, ile dla niego znaczy Avril Rocard i nie ma pretensji. Życzył Cadoux pomyślności i już miał odejść, gdy odwrócił się, bo przecież zapomniał dać Cadoux broń. Otworzył dyplomatkę i wyjął automatycznego Glocka osiemnaście. Można go było przestawiać na ogień ciągły i miał magazynek na trzydzieści trzy naboje. Cadoux się rozpromienił.

- Dobry wybór - pochwalił.

- Jeszcze jedno - oznajmił von Holden, wciąż nie wręczając Cadoux broni. - Panna Rocard nie żyje. Została zabita w wiejskiej posiadłości pod Nancy.

- Co? - ryknął Cadoux, nie wierząc własnym uszom.

- Pech. Szczególnie z mojego punktu widzenia.

- Z twojego punktu widzenia? - Cadoux był błady jak ściana.

- Miała przyjechać do Berlina na moje zaproszenie. Byliśmy kochankami, czyżbyś nie wiedział? Lubiła dobre pierdolenie, a nie te nędzne wysiłki, które musiała u ciebie tolerować.

Cadoux rzucił się na niego jednym skokiem, wrzeszcząc z wściekłości.

Von Holden poczekał, aż go dopadnie, przycisnął mu do tułowia glocka i szybko trzykrotnie wystrzelił. Ciało Cadoux stłumiło eksplozję. Następnie umieścił zwłoki na kanapie i wyszedł.

Z daleka widział jasno oświetloną fasadę Charlottenburga. Raz jeszcze wziął telefon, wystukał numer i czekał, słuchając, jak aparat dzwoni. Znowu usłyszał tę samą nagraną odpowiedź. Odłożywszy słuchawkę, spojrział w dal. Wydał im wyraźne instrukcje: natychmiast po zdetonowaniu semteksu i po prostej operacji oczyszczającej cała czwórka miała opuścić hotel i odjechać niebieską furgonetką marki Fiat, zaparkowaną po drugiej stronie ulicy. Mieli jechać w kierunku południowym, dopóki von Holden się z nimi nie skontaktuje i nie wysłucha sprawozdania. Następnie mieli zostawić furgonetkę na Borussiastrasse koło lotniska Tempelhof i pojedynczo odlecieć w różnych kierunkach. O dziesiątej powinni być już za granicami kraju.

- Coś nie tak, Pascalu? - zapytała Joanna.

- Nie, nic. - Von Holden uśmiechnął się do niej.

Joanna w odpowiedzi też się uśmiechnęła. Przekroczyli żelazną bramę wjazdową Charlottenburga, pojechali wyłożonym kamiennymi płytami podjazdem, by okrążyć pomnik Fryderyka Wilhelma zwanego Wielkim Elektorem. Limuzyna się zatrzymała. Otworzyły się drzwiczki i potężnie zbudowany ochroniarz w smokingu podał rękę Joannie.

Trzy minuty później wprowadzono ich do Apartamentów Historycznych, bogato zdobionego miejsca zamieszkania Fryderyka I i jego żony Sophie Charlotte. Scholl, nagle zachowując się jak podniecony producent teatralny, zapędził do kąta pokoju Lybargera, Erica i Edwarda i zaczął szukać fotografa, by zrobił im zdjęcie.

Odciągnąwszy Joannę na bok, von Holden poprosił ją, by dopilnowała, żeby Lybargera zaprowadzono do pokoju, w którym będzie mógł wypoczywać do chwili, gdy go poproszą.

- Coś jest nie tak, prawda?

- Ależ skąd. Zaraz wracam - odparł pośpiesznie. A potem, unikając Scholla, wyszedł bocznymi drzwiami i przepchnął się przez pełen służby korytarz. Kierując się do głównej recepcji, skręcił do jakiejś alkowy i spróbował połączyć się z hotelem Borggreve. Odpowiedzi nie było.

Wyłączywszy gniewnie radio, kiwnął głową agentowi ochrony i wyszedł głównym wejściem, przez które napływali pierwsi goście. Dostrzegł

niskiego brodacza, Hansa Dabritza, wysiadającego z limuzyny i podającego rękę wysokiej, cudownie szczupłej czarnej modelce, młodszej od niego o trzydzieści lat. Trzymając się cienia, poszedł w stronę ulicy. Na podjeździe dojrzał na tylnym siedzeniu mijającej go limuzyny Konrada i Margarete Peiperów. Za nimi stał długi szereg limuzyn oczekujących w kolejce na przejazd przez główną bramę. Gdyby von Holden przywołał swoją, musiałyby upłynąć co najmniej dziesięć minut do jej przyjazdu. Nie mógłby znieść w tej chwili dziesięciu minut biernego oczekiwania. Po drugiej stronie ulicy zobaczył aktywistkę Gertrudę Biermann wysiadającą z taksówki i zdecydowanym krokiem przechodzącą przez jezdnię w jego stronę. Jej grube kostki nóg migwały spod wojskowego płaszcza z zielonego lodenu. Dotarła do głównego wejścia, a jej pospolity i wojowniczy wygląd spowodował ochroniarzy do pośpiesznej interwencji. Odwzajemniła im się podobnym zachowaniem, okazując wraz z zaproszeniem swój zły humor. Taksówka, którą przyjechała, stała przy przeciwległym krawężniku, czekając na okazję włączenia się w strumień pojazdów. Von Holden szybko do niej podszedł, otworzył tylne drzwiczki i wszedł.

- Dokąd chce pan jechać? - zapytał po niemiecku kierowca, patrząc przez ramię na strumień nadpływających z przeciwka samochodów, a potem nagle ruszając z piskiem opon.

Tego popołudnia von Holden kochał się z Joanną w jej pokoju na Hauptstrasse, a potem natychmiast zasnął. A choć sen trwał tylko kilka minut, był wystarczająco długi, by znów pojawiła się tamta wizja. Owładnięty przerażeniem obudził się z krzykiem, zlany potem. Joanna próbowała go utulić, ale odepchnął ją i wskoczył pod lodowato zimny prysznic. Woda i świadomość trudów dnia ożywiły go szybko; całe wydarzenie wytłumaczył jako skutek wyczerpania. Ale to było kłamstwo. Sen był realny. Vorahnung, przeczucie, znów powróciło. A potem pojawiło się jeszcze raz, w chwili gdy w limuzynie wziął do ręki telefon i poczuł ukłucie lęku, że nie będzie odpowiedzi. Zanim jeszcze zatelefonował, wiedział, że coś poszło nie tak.

- Pytałam, dokąd chce pan jechać? A może mam jeździć w kółko, aż się pan zdecyduje?

Von Holden skierował wzrok na odbicie kierowcy w lusterku. Młody, najwyżej dwudziestodwuletni blondyn, uśmiechnięty i żujący gumę. Jak mógłby domyślić się jedyne go adresu, pod który jego pasażer chciał jechać?

- Hotel Borggreve - rzucił von Holden.

Nie upłynęło nawet dziesięć minut, gdy taksówka skręciła w Borgrevestrasse i natychmiast się zatrzymała. Ulica była odcięta przez barykadę policyjną oraz wozy strażackie, ambulanse i samochody policyjne. Von Holden widział z daleka wznoszące się ku niebu płomienie. Dokładnie to powinien zobaczyć, jeśli wszystko poszło zgodnie z planem. Ale trudno było to przewidzieć, skoro nie nawiązał łączności ze swoimi agentami.

Nagle jego serce zaczęło gwałtownie kołatać. Oblał go zimny pot. Czuł, jakby ktoś zawiązywał mu w piersi supeł. Prerażony, walcząc o oddech, wyciągnął ręce, w obawie że zemdleje i przewróci się. Jakby z oddali dobiegł go głos taksówkarza, który pyta, dokąd ma teraz jechać, bo policja wyrzuca wszystkich z tej okolicy. Von Holden sięgnął zgiętymi palcami do kołnierzyka, niezdarnie grzebiąc przy krawatce. Wreszcie odewiał ją i zwałił się na oparcie fotela, z trudem chwytając powietrze.

-Co się dzieje? - Kierowca odwrócił głowę, by popatrzeć na niego przez ramię.

W tej samej chwili zatrzymał się przy nich ambulans. Jego błyskające światła poraziły wzrok von Holdena. Krzyknął, zakrył twarz ręką i odwrócił się, szukając ciemności.

I wtedy nadeszły.

Monstrualne wstęgi w cukierkowych odcieniach zieleni i czerwieni, falujące w górę i w dół nieomylnym rytmem. Potężne demoniczne tłoki bijące w samo centrum jego świadomości. W oczach von Holdena ukazały się białka, a język zsunął się do gardła, jakby chciał go zadusić. Nigdy jeszcze nie pojawiło się to na jawie. I nigdy w tak okropny sposób.

Pewny, że umrze, jeśli nie wysiądzie z taksówki, rzucił się ku drzwiom. Odepchnąwszy je, zwałił się z siedzenia i wyszedł na nocne powietrze.

-Hej! Dokąd pan idzie?! - wrzasnął ze swego miejsca kierowca. - Co pan sobie wyobraża, że co, darmowy serwis?

Uśmiechnięty, żując gumę wyrostek przedzierzgnął się we wściekłego i rozzłoszczonego kapitalistę. Dopiero w tym momencie von Holden zdał sobie sprawę, że to kobieta. Miała włosy wetknięte pod czapkę i luźną kurtkę, więc początkowo tego nie zauważył. Oddychając głęboko, wlepił w nią wzrok.

-Czy znasz Belirenstrasse? - zapytał.

-Tak.

-Zawieź mnie pod numer czterdzieści pięć.

Reflektory nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów oblewały światłem siedzących w wozie mężczyźni. Prowadził Schneider, Remmer siedział obok niego, McVey i Osborn z tyłu. Dolna część , lewego policzka i niemal cała dolna warga McVeya były spalone do żywego mięsa. Lekarze pokryli je ochronną warstwą maści. Włosy na głowie Remmerna spaliły się do skóry, lewą rękę miał złamaną w kilku miejscach przez kawał sufitu, który spadł ułamek sekundy po wybuchu. Osborn zabawił się w sanitariusza i mocno ją zabandażował, gdyż Remmer upierał się, że dopóki będzie mógł chodzić, ta noc się dla niego nie skończy. Wszyscy mieli jeszcze przed oczyma Noble'a wnoszonego do karetki pogotowia. Miał spalone dwie trzecie skóry na ciele, nad jego głową trzymano pojemnik z kroplówką. Powinien być o krok od śmierci i całkowicie nieprzytomny. A on otworzył oczy, omiótł ich spojrzeniem i ochrypłym głosem wydusił z siebie przez maskę tlenową: „Plastik. Czy nie jesteśmy głupimi skurwysynami... - I dodał mocnym, pełnym gniewu głosem: - Złapcie ich. Złapcie i wykończcie”.

Remmer przytrzymał się uchwytu, gdy Schneider wprowadził audi w ostry skręt, a potem odwrócił głowę i popatrzył na McVeya.

- Nie zaskoczmy Scholla, wiesz o tym. Ochrona zawiadomi go w chwili, gdy przyjedziemy.

McVey patrzył w przestrzeń. Noble miał rację. Byli głupimi skurwysynami, ładując się tak w pułapkę. Ale mogli być zaniepokojeni, poza tym działali pod presją czasu, chcąc dotrzeć do Cadoux przed tamtymi. Teraz wiedzieli, że do tej akcji powinni iść z żołnierzami piechoty morskiej, a nie z policjantami... A przynajmniej sprowadzić drużynę szturmową berlińskiej policji. Ale nie zrobili tego i z ich czwórki Noble zapłacił za to najwyższą cenę. Wściekłością napełniała też McVeya śmierć niemieckich gliniarzy. Ale teraz nic już nie można było na to poradzić. Jedynym pocieszeniem, jeśli w ogóle jakieś istniało, była śmierć czterech ludzi przeciwnika. Mieli nadzieję, że zidentyfikowanie ciał pozwoli skierować sprawę na nowe tropy.

- Ochrona nie tylko poinformuje Scholla, nie będzie też chciała wpuścić nas do środka. - Remmer nie ustępował. - Nakaz aresztowania dotyczy tylko Scholla. Będą twierdzili, że nie obejmuje to wkroczenia do lokalu. Na nic nam nakaz, jeśli do niego nie dotrzemy.

McVey podniósł głowę.

- Powiesz im, że jeśli będą próbowali grać na zwłokę, spowodujemy zamknięcie budynku przez komendanta straży pożarnej. Jeśli i to nie zadziała, ruszysz głową. W końcu jesteś gliniarzem, a oni tylko ochroniarzami.

- Nagle odwrócił się do Osborna i przysunął do niego. Twarz miał paskudnie i boleśnie poparzoną, ale spojrzenie pełne życia i zdecydowania. - Scholl może temu zaprzeczyć albo użyć wymówki - mówił szybko, z determinacją - ale wie, kim jesteś i że wszystko zaczęło się od twojej sprawy z Albertem Merrimanem w Paryżu. Zakłada oczywiście, że Merriman opowiedział ci o nim, a ty przekazałeś to mnie. Ale nie będzie wiedział, przynajmniej tak zakładam, ile zdołaliśmy wyniuchać o całej reszcie. Nawet jeśli ochroniarze go zaalarmują, będzie zdumiony, że nas widzi; uważa przecież, że jesteśmy martwi. Jest również na tyle arogancki, by zdenerwować się, że przeszkadzamy w jego przyjęciu. Na to właśnie liczę. Z przyczyn, których do końca nie znamy, jest to dla niego sprawa wielkiej wagi, więc będzie chciał pozbyć się nas jak najszybciej i wrócić do gości. Ale mu na to nie pozwolimy, co go jeszcze rozwścieczy. A potem zacznie się wściekać jeszcze bardziej.

- Nie rozumiem... - Osborn spojrzał na niego niepewnie.

- Powiem mu wszystko, co wiemy. O zamordowaniu twego ojca, o wynalezionym przez niego skalpeli, zabiciu innych ludzi. Dorzucimy kilka rzeczy, których nie wiemy, ale będziemy udawać, że jesteśmy pewni swego. Myśl jest taka, żeby poddać go silnej presji, tak by się załamał. Nacisnąć mocno, by pękł i przyznał się wynajmowania mordercy. - McVey nagle spojrzał na Remmera. - Ilu jednostek wsparcia zażądałeś?

- Sześciu. I jeszcze sześciu w pogotowiu, czekających na nasze instrukcje. Jeśli będą powody do masowego aresztowania, mamy także mundurowych.

- McVey - odezwał się Osborn. - Powiedziałaś, że opowiemy mu to, czego nie wiemy. Co masz na myśli?

- Powiemy mu na przykład, że poruszyliśmy niebo i ziemię w poszukiwaniu życiorysu jego gościa honorowego, pana Lybargera, nic nie znaleźliśmy. Jesteśmy tak zaintrygowani, że chcielibyśmy się z nim spotkać. Z całej masy powodów odmówi. A my na to: w porządku, ponieważ nie chce pan nam pozwolić się z nim spotkać, musimy założyć, że nie znaleźliśmy nic na jego temat, bo biedak nie żyje. I to od długiego czasu.

- Nie żyje? - zapytał z przedniego siedzenia Remmer.

- Aha. Nie żyje.

- Więc kto odgrywa rolę Lybargera i dlaczego?

- Nie powiedziałem, że to nie jest Lybarger. Po prostu powiedziałem, że nic o nim nie wiemy, bo nie żyje. A przynajmniej... częściowo nie żyje.



- Myślisz, że... - Osborn poczuł, jak ciarki pełzną mu po plecach - eksperyment się udał? Że to głowa Lybargera na ciele kogoś innego? Że wykorzystano chirurgię atomową przy temperaturze zera bezwzględnej?

- Nie wiem, czy tak myślę, ale to niezła teoria, prawda? Czy Cadoux kłamał, czy nie, to on nas na to naprowadził, mówiąc, że ma informacje wiążące Scholla z Lybargerem i Lybargera z pozbawionymi głów ciałami. Jaki mógłby być inny powód tajemniczego braku historii choroby Lybargera, jego izolacji z doktorem Salettlem w szpitalu w Carmel oraz długiej rekonwalescencji w sanatorium w Nowym Meksyku? Mikropatolog Richman powiedział, że jeśli taka operacja zostanie z powodzeniem dokonana, będzie niewykrywalna, nie pozostawi śladu, jakby gałąź wyrosła na drzewie... Nawet jego fizykoterapeutka, ta amerykańska dziewczyna, nie mogłaby nic odkryć. Nawet gdyby była obdarzona niesamowitą wyobraźnią...

- McVey, ty chyba zbyt długo mieszkałeś w Hollywood. - Remmer zapalił papierosa, trzymając go w grubo obandażowanych palcach. - Nie lepiej sprzedać ten pomysł do filmu?

- Założę się, że Scholl właśnie to powie. Ale myślę, że tak czy inaczej powinniśmy spróbować udowodnić to lub uzyskać zaprzeczenie.

- Jak?

- Odciski palców Lybargera. Remmer zagapił się na niego.

- McVey, to nie jest teoria. Ty naprawdę w to wierzysz.

- Powiedzmy, że nie jest tak, bym w to nie wierzył, Manfredzie. Jestem już stary. Mogę uwierzyć we wszystko.

- Nawet jeśli dostaniesz odciski palców Lybargera, co nie będzie najłatwiejszą rzeczą na świecie, na co one się nam przydadzą? Jeśli twoja teoria Frankensteina jest prawdziwa, jego własne ciało od barków w dół jest martwe i pochowane Bóg wie gdzie. Tak czy tak nie będzie tych twoich odcisków z czym porównać.

- Manfredzie, gdyby to twoja głowa miała być złączona z innym ciałem, czy nie wybrałbyś ciała znacznie młodszego?

- Nigdy nie zetknąłem się z pomysłami tak dziwnymi jak twoje. - Remmer się uśmiechnął.

- Założmy, że nie są dziwaczne. Założmy, że to się nieustannie praktykuje.

- Cóż... gdybym był... Tak, oczywiście, młodsze ciało. Pomyśleć tylko, ile pięknych młodych dziewczyn mógłbym mieć z moim doświadczeniem. - Remmer wyszczerzył zęby.

- Dobrze. A teraz pozwól, że ci coś powiem: mamy głowę, z pewnością poddaną głębokiemu zamrożeniu, głowę młodego człowieka, trochę po dwudziestce. Znajduje się w londyńskiej kostnicy. Mężczyzna nazywał się Timothy Ashford. Kiedyś wdał się w bójkę z policjantami i dlatego odnaleźliśmy jego odciski palców w archiwum.

Uśmiech Remmera zniknął.

- Naprawdę sądzisz, że odciski palców Timothy'ego Ashforda mogą należeć do Lybargera?

McVey podniósł rękę i dotknął warstwy maści pokrywającej jego oparzenia. Skrzywiwszy się, odsunął dłoń i popatrzył na czarne strzępki własnej spalonej skóry, otoczone przezroczystą maścią. - Ci ludzie dołożyli ogromnych starań, żeby nikt nie wykrył, co się dzieje. I masa ludzi zginęła z tego powodu. Tak sobie tylko zgaduję, Manfredzie. Ale Scholl o tym nie będzie wiedział, prawda?

## 117

Ściany Galerii Sztuki Romantycznej Charlottenburga pokryte były pracami Runego, Overbecka i Caspara Davida Friedricha; pełnymi zadumy pejzażami, ukazującymi ludzi jako szczegóły bez znaczenia na tle przytłaczającego ogromu natury. Kwartet smyczkowy na zmianę z występującym solo pianistą grał wybrane utwory Beethovena; muzyka miała wprowadzić właściwy nastrój i stanowić tło dla spotkania potężnych gości, przybyłych, by uhonorować Eltona Lybargera. Zebrani dyskutowali głośno o polityce, gospodarce i przyszłości Niemiec, a wokół nich tańczyli w strojach wieczorowych kelnerzy z tacami obfitości, pełnymi napojów i zakąsek.

Salettl stał samotnie koło wejścia do galerii, przyglądając się ludzkiemu wirowi. Jeśli się dobrze orientował, znaleźli się tu prawie wszyscy zaproszeni. Uśmiechnął się, patrząc na zgromadzonych. Przeszedł się po sali. Uta Baur rozmawiała z Konradem Peiperem. Scholl, w towarzystwie niemieckiego magnata prasowego Hilmara Grunela i Margarete Peiper, stał, słuchając swego amerykańskiego adwokata Louisa Goetza. Kilka słów rzuconych przez Goetza w ciągu kilku sekund wskazało przedmiot polowania Scholla. Hollywood. Agencje artystyczne. Sami Żydzi.

W tym momencie wszedł Gustav Dortmund w towarzystwie żony, statecznej białowłosej pani w ciemnozielonej sukni wieczorowej, której prostota stanowiła tło dla olśniewających brylantów.

Prawie natychmiast Scholl podszedł do Dortmundunda i obaj oddalili się do spokojnego kącika na rozmowę.

Przywoławszy kelnera, Salettl wziął kielich szampana, a potem spojrział na zegarek. Była 7.52 wieczorem. O 8.05 goście zostaną zaprowadzeni wspinałymi schodami do Żłotej Galerii, gdzie podadzą im kolację. O 9.00 przeprosi ich, by pójść do Mauzoleum i sprawdzić, czy von Holden przygotował wszystko należycie do zebrania dla uprzywilejowanych, które nastąpi po przemówieniu Lybargera. O 9.10 przejdzie do kwatery Lybargera; powinien być gotów do wyjścia w towarzystwie Joanny, Erica i Edwarda.

Salettl odprowadzi Joannę na bok, powie jej, że wykonała już swe zadanie i poleci kierowcy wywieźć ją natychmiast poza teren pałacu. Gdy tylko Amerykanka odjedzie, w całym budynku nie będzie żadnych obcych, oczywiście pomijając najdokładniej prześwietlonych ochroniarzy oraz służbę. O 9.15 Lybarger wkroczy do Żłotej Galerii; o 9.30 ukończy przemówienie; o 9.45 będzie po wszystkim.

Behrenstrasse to ulica eleganckich willi, wysadzana majestatycznymi starymi drzewami. Pod latarnią uliczną przeszła para w średnim wieku, udająca się na spacer po kolacji. Gdy taksówka von Holdena podjechała pod numer czterdzieści pięć, para nadal szła przed siebie.

Poleciwszy dziewczynie zaczekać, wysiadł, minął żelazną furtkę i wbiegł po schodach czterokondygnacyjnego budynku. Nacisnąwszy dzwonek, cofnął się, podniósł głowę i popatrzył w górę. Czyste dotychczas niebo przesłoniła nisko wisząca warstwa chmur, a prognoza pogody zapowiadała mżawkę i mgłę w późniejszych godzinach wieczornych. Był to zły znak. Podczas mgły nie startują samoloty, a Scholl miał odlecieć do swej posiadłości w Boliwii natychmiast po ceremonii w Charlottenburgu. Mgła mogła pojawiać się każdej nocy, byle nie tej.

Rozległ się ostry dźwięk, drzwi otworzyły się nagle i wychudzony jak szkielet mężczyzna około sześćdziesiątki spojrział na niego zezem.

- Guten Abend - powiedział, rozpoznawszy von Holdena, i stanął z boku, by go przepuścić.

- Dobry wieczór, panie Frazen.

Gdy von Holden przechodził przez salon, by zniknąć w korytarzu, popatrzyły na niego znad stolika karcianego dwie kobiety i mężczyzna, wszyscy w wieku Frazena. Kobiety zachichotały po pensjonarsku na widok

dziarskiej postaci von Holdena w smokingu. Mężczyźni powiedzieli im, by się zamknęły. To nie ich rzecz, jak von Holden się ubiera i co tutaj robi o tak późnej porze.

Na drugim końcu korytarza von Holden otworzył drzwi i znalazł się w małym, wykładanym boazerią gabinecie. Niecierpliwym ruchem zamknął za sobą drzwi, przekręcił klucz w zamku i podszedł do stojącego zegara w kącie za wielkim biurkiem. Otworzywszy zegar, wyciągnął klucz do jego nakręcania i włożył w prawie niewidoczną dziurkę w boazerii. Ćwierć obrotu i drewniana płaszczyzna odsunęła się, ukazując wypolerowane do połysku drzwi ze stali nierdzewnej z wpuszczoną w prawy górny róg tablicą z przyciskami. Von Holden wystukał na niej kod. Drzwi natychmiast się cofnęły, otwierając drogę do małej windy. Von Holden wszedł do środka, drzwi się zamknęły, a boazeryjna płyta w gabinecie powróciła na miejsce.

Kabina opuszczała się przez trzy minuty, a kiedy się zatrzymała, von Holden wyszedł wprost do dużego prostokątnego pokoju sto dwadzieścia metrów pod powierzchnią Behrenstrasse. Pokój był zupełnie pusty. Jego podłoga, sufit i ściany zbudowane zostały z tego samego materiału: mających półtora na półtora metra kwadratów z grubego na dwadzieścia pięć centymetrów czarnego marmuru.

Na drugim końcu pokoju znajdowała się świetlna stalowa tablica, wyglądająca jak kosztowna metalowa abstrakcyjna płaskorzeźba. Echo wtórowało krokom von Holdena, gdy do niej podchodził. Doszedłszy na miejsce, zatrzymał się i stanął dokładnie naprzeciw tablicy. „Lugo” - powiedział, a potem podał swój dziesięciocyfrowy numer identyfikacyjny, po którym nastąpiło słowo „Bertha”; imię jego matki.

Natychmiast płyta ściany po jego lewej stronie cofnęła się i von Holden wszedł do długiego, wypełnionego rozproszonym światłem korytarza, wyłożonego podobnie jak pokój marmurem. Jediną różnicę stanowiło to, że w miejsce błyszczącej czerni pierwszego pomieszczenia tutaj zastosowano niebieskawo-biały kolor, co sprawiało prawie bajkowe wrażenie.

Pasaż ciągnął się niemal siedemdziesiąt metrów, bez żadnych drzwi, innych odchodzących korytarzy czy ozdób. Na jego końcu znajdowała się następna winda. Dotarłszy do niej, podał tę samą identyfikację słowną, tym razem jednak dodając na końcu jeszcze jeden numer: 86 672.

Winda zjechała sto pięćdziesiąt metrów i stanęła. „Lugo” - powiedział ponownie, drzwi się otworzyły, a on wszedł do das Garten, miejsca, o

którego istnieniu wiedział tylko tuzin jeszcze żyjących. Zawsze czuł się tu tak, jakby wpakował się między dekoracje jakiegoś filmu fantastycznonaukowego. Nawet przejście prowadzące przez prywatny dom, ukryte drzwi i przesuwające się płyty wyglądało jak przeniesione z jakiegoś współczesnego melodramatu teatralnego.

Ale, choć tak przesadnie zaplanowane, wszystko to nie było dekoracją filmową. Podziemia zaprojektowano w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, zbudowano zaś w latach 1942-1944, gdy antyhitlerowscy agenci wywiadu infiltrowali najwyższe szczeble Sztabu Generalnego Armii 'Niemieckiej, a alianckie bombowce uderzały coraz głębiej w serce Trzeciej Rzeszy.

Istnienie *das Garten* z jego pospolitą, niewinną nazwą było sekretem tak ściśle strzeżonym, że na początku budowy wykopano boczny tunel do pobliskiej linii metra, linię zamknięto z powodu remontu, a ziemię wydobytą z szybów wind, korytarzy i pokoi wyrzucano do tunelu metra, skąd wywoziły ją górnicze wagoniki. Wyposażenie, robotników i zaopatrzenie dowożono tą samą drogą.

I choć w budowę było zaangażowanych czterystu ludzi pracujących dwadzieścia cztery godziny na dobę przez dwadzieścia jeden miesięcy, nikt, nawet mieszkańcy *Behrenstrasse*, a tym bardziej reszta Berlina, nie miał najmniejszego pojęcia, co się dzieje na dole. Tych czterystu, którzy to budowali - architekci, inżynierowie, robotnicy - zostało zagazowanych i pogrzebanych pod trzystoma metrami sześciennymi betonu u podstawy drugiej windy. Nastąpiło to w czasie, gdy przy szampanie uroczyście świętowali ukończenie robót. Krewnym, którzy zainteresowali się ich zniknięciem, powiedziano, że padli ofiarą alianckiego bombardowania. Tych zaś, którzy upierali się, by dojść prawdy, zastrzelono. W następnych latach, gdy wprowadzano ulepszenia budowlane i elektroniczne, małą liczbę wybranych projektantów, inżynierów i rzemieślników starannie prześwietlonych przed zaangażowaniem spotkał podobny los, chociaż na znacznie bardziej ograniczoną i utajnioną skalę. Wypadek samochodowy, porażenie przez wadliwą instalację elektryczną, przypadkowe zatrucie, omyłkowy postrzał na polowaniu. Wypadki tragiczne, ale zrozumiałe.

Tak więc dla świata - nie licząc garstki wybranych z najwyższego szczebla władz nazistowskich - ogromna konstrukcja, którą był *das Garten*, po prostu nie istniała. I tak było nadal, jeśli nie brać pod uwagę *Scholla*, *von Holdena* i kilku innych na samym szczycie Organizacji.

Przed von Holdenem rozsunęły się następne drzwi. Wszedł do długiego, kolistego korytarza, wyłożonego tysiącami białych płytek ceramicznych. Była już ósma dziesiątka. Wymazał z pamięci hotel Borggreve. Nie miał żadnych informacji, mógł polegać tylko na tym, co zobaczył. Dlatego nie pozostawało mu nic innego, jak zastosować się do otrzymywanych rozkazów.

W połowie obwodu korytarza zatrzymał się twarzą do drzwi, wykonanych z czerwonych płytek ceramicznych przyspawanych do tytanu. Przesunąwszy palcami po kwadracie z wypukłościami podobnymi do znaków alfabetu Braille'a, wystukał pięciocyfrowy kod i czekał, aż światelko nad kwadratem zapłonie zielenią. Gdy to nastąpiło, wystukał trzy dalsze cyfry. Zielone światło zgasło, a drzwi się uniosły. Pochylił głowę i wszedł, a drzwi opuściły się za nim na miejsce.

Upłynęła długa chwila, nim jego wzrok przyzwyczał się do srebrzysto-niebieskiej poświaty, ale nawet wówczas nie miał poczucia głębi ani nawet przestrzeni. Było to tak, jakby wszedł do miejsca, które w ogóle nie istniało, było tworem ze snu.

Na wprost majaczył niejasno zarys ściany. Za nią leżał sektor F, najdalsze pomieszczenie das Garten. Niewielkie i kwadratowe, chronione było ze wszystkich stron ścianami z grubej na czterdzieści centymetrów stali tytanowej, wzmocnionej trzema metrami betonu, co pięćdziesiąt centymetrów przerywanej szczelinami dylatacyjnymi z galaretowatej substancji, tak to zostało zaprojektowane, aby pokój wewnętrzny pozostał nieknięty nawet przy uderzeniu bomby wodorowej lub trzęsieniu ziemi o sile dziesięciu stopni.

-Lugo - powiedział głośno von Holden, a potem zaczekał, aż jego głos zostanie cyfrowo przekształcony i porównany z cyfrowo przekształconym oryginałem w pamięci urzędnika. Chwilę później odsunęła się płyta na ścianie koło niego i ukazał się podświetlony ekran z przezroczystego szkła.

-Zehn... Sieben... Sieben... Neun... Nuli... Nuli... Neun... Nuli... Vier - wyrecytował starannie. Trzy sekundy później na ekranie zmateriałizowały się czarne litery.

Letzte Mitteilung/Leiter der Sicherheit  
Freitag/ Vierzehn/ Oktober  
Ostatni zapis/Dyrektor Bezpieczeństwa  
Piątek/czternasty/października

Następnie litery znikły. Pochyliwszy się do przodu, von Holden mocno przycisnął obie dłonie do szkła, po czym odstaąpił. Szkło natychmiast

pociemniało i płyta się zasunęła. Upłynęło dziesięć sekund, w czasie których skanowano jego odciski palców. Jeszcze siedem sekund i na podłodze pojawiła się macierz z ciemnoniebieskich kropek. Przesuwały się na środek pokoju, aż utworzyły kwadrat o boku sześćdziesięciu centymetrów.

- Lugo - powiedział ponownie. Kwadrat zniknął, a w jego miejscu z podłogi uniosła się platforma. Na niej, w przezroczystej obudowie, stało pudełko o metalicznym wyglądzie, zbudowane z kompozytu z włókien węglowych, polimerów ciekłokrystalicznych i kevlaru. Sześcian o sześćdziesięciocentymetrowym boku. Po to właśnie przyszedł i to miało zostać zaprezentowane nielicznym wybranym na ceremonii w Mauzoleum Charlottenburga kilka minut po ukończeniu przemówienia przez Eltona Lybargera.

## 118

Greta Stassel, kierowca taksówki, której von Holden polecił czekać przed domem numer czterdzieści pięć przy Behrenstrasse, miała dwadzieścia lat. Widziała, że von Holden przyjrzał się jej licencji i teraz zastanawiała się, czy zapamiętał nazwisko. Raczej wątpliwe. Wyglądał na zdenerwowanego, ale był bardzo seksowny, więc zaczęła się zastanawiać, jakby mu tu pomóc i co też go nęka. Gdy tak siedziała, latarnie uliczne niespodziewanie zamrugały i zgasły. Drgnęła, gdy z ciemności wynurzyła się jakaś postać i zastukała do jej okna. A potem zrozumiała, że to jej pasażer daje sygnał, iż chce coś włożyć do bagażnika. Wyjęła kluczyki ze stacyjki, wysiadła i przeszła na tył wozu. Tak, seksowny i bardzo przystojny. Wyglądał na opanowanego, więc być może nic go aż tak nie nęka.

- Gdzie to jest? - zapytała, otwierając z uśmiechem bagażnik.

Von Holden zmieszał się, nigdy dotąd nie widział tak pięknego uśmiechu. Greta dostrzegła sześcienne pudło z białego plastiku, postawione na skraju chodnika. Czerwona poświata z tylnych świateł samochodu oświetlała wymalowane na górze i bokach słowa: OSTROŻNIE INSTRUMENTY LEKARSKIE.

- Przepraszam, nie o to chodzi... - powiedział von Holden, gdy zrobiła ruch, by je podnieść.

Odwróciła się, patrząc ze zdziwieniem. Ale pomimo to uśmiechnęła się.

- Myślałam, że chce pan coś włożyć do bagażnika...

- Owszem...

Ciągle jeszcze się uśmiechała, gdy pocisk z dziewięciomilimetrowego glocka wbił się jej w czaszkę u nasady nosa. Von Holden pochwycił ją w

tym samym momencie, gdy zaczęły się pod nią uginać nogi. Uniósł ją i ułożył w bagażniku w pozycji płodowej. Zamknął pokrywę, wziął kluczyki, postawił pudło na przednim siedzeniu obok siebie, a potem zapalił silnik i odjechał. Pół przecznicy dalej skręcił w jasno oświetloną Friedrichstrasse. Znalazł książkę kierowcy, wydarł stronę z ostatnim zapisem, złożył ją jedną ręką i wsadził kartkę do kieszeni. Zegar na desce wskazywał ósmą trzydzieści.

Pięć minut później von Holden przejeżdżał przez ciemny obszar parku Tiergarten w kierunku Strasse 17 Juni, skąd było już blisko do Charlottenburga. Nie poświęcił ani jednej myśli dziewczynie w bagażniku. To, że ją zabił, nie miało znaczenia: po prostu środek prowadzący do osiągnięcia celu.

Übermorgen, uwieńczenie wszystkiego. Kołyszące się lekko białe pudło na siedzeniu obok niego radowało jego serce i napełniało go odwagą. Wszystko miało się ku lepszemu. Wprawdzie dwukrotne próby połączenia się przez radio z agentami nie dały rezultatu, ale wiadomości nadawane przez reporterów radiowych z hotelu Borggreve donosiły o trzech co najmniej funkcjonariuszach Federalnego Biura Kryminalnego, którzy zginęli podczas strzelaniny, wybuchu i pożaru. Zabrano też dwa niezidentyfikowane ciała, spalone w stopniu uniemożliwiającym rozpoznanie. Nieco później znaleziono jeszcze dwa inne ciała i też ich nie zidentyfikowano. Do policji zatelefonował członek jakiejś organizacji terrorystycznej, która przyznała się do odpowiedzialności za wydarzenia. Von Holden odprężył się i odchylił na oparcie, oddychając głęboko w podzięcie za tak szczęśliwy obrót spraw. Być może jego niepokój był nieuzasadniony, przypuszczalnie wszystko potoczyło się zgodnie z planem.

Półtora kilometra przed nim zaparkowane limuzyny stały rzędem przed Charlottenburgiem wzdłuż Spandauer Damm. Ich kierowcy zbili się w grupki, rozmawiając i paląc papierosy, z podniesionymi kołnierzami i czapkami naciągniętymi dla ochrony przed przejmującym chłodem gęstniejącej mgły.

Na chodniku naprzeciwko Walter van Dis, siedemnastoletni holenderski gitarzysta w czarnej skórzanej kurtce i z opadającymi do pasa włosami, stał w tłumie przyglądających się pałacowi widzów. Właściwie nic się nie działo, ale pomimo to gapili się, przyciągnięci widokiem luksusów, których nigdy nie zaznają, jeśli świat nie zmieni się w jakiś wyjątkowy sposób.

Jego uwagę zwróciło głuche staccato zatraskiwanych drzwiczek samochodowych. Przesunął się nieco, by zobaczyć, co się dzieje.



Czterech mężczyzn właśnie wysiadło z wozu i przechodziło przez jezdnię, kierując się ku frontowej bramie Charlottenburga. Natychmiast wycofał się w cień, zakrywając usta dłonią.

- Walter - powiedział do maleńkiego mikrofonu.

Chwilę później radio von Holdena zapiszczało. Skwapliwie włączył nasłuch, spodziewając się usłyszeć głos kogoś z biorących udział w akcji w hotelu Borggreve. Zamiast tego doleciały go zaniepokojone, gorączkowe głosy Waltera i kilku ochroniarzy z pałacu, domagających się szczegółów. O jakich ludziach mówi? Czy jest pewien? Ilu ich jest? Jak wyglądają? Z którego kierunku nadchodzą?

- Mówi Lugo - odezwał się ostrym tonem. - Wyłączcie się i niech się zgłosi Walter.

- Walter.

- Co masz?

- Czterech mężczyzn. Właśnie wysiedli z wozu i zbliżają się do głównej bramy. Jeden wygląda jak ten Amerykanin, Osborn. Drugi to chyba McVey.

Von Holden zaklął pod nosem.

- Zatrzymajcie ich przy bramie! W żadnym wypadku nie wolno ich wpuścić do środka!

Nagle usłyszał mężczyznę przedstawiającego się jako inspektor Remmer z BKA i mówiącego, że ma sprawę do załatwienia wewnątrz pałacu. Następnie doleciał go znajomy głos Pappena, szefa ochrony, mówiącego, że to prywatne spotkanie, ochrona też prywatna i policja nie ma tu nic do roboty. Remmer oświadczył, że ma nakaz aresztowania Erwina Scholla. Pappen odparł, że nigdy nie słyszał o żadnym Erwinie Schollu i jeśli Remmer nie ma nakazu wejścia na ten teren, nie zostanie wpuszczony do środka.

McVey i Osborn szli za Remmerem i Schneiderem po brukowanym kamieniem polnym dziedzińcu w stronę wejścia do pałacu. Groźba, że komendant straży pożarnej zamknie budynek, nie poskutkowała, więc Remmer wezwał przez radio trzy jednostki wsparcia. Z błyskającymi światłami na dachach pojawiły się w ciągu kilkunastu sekund i szefa bezpieczeństwa oraz jego zastępcę zatrzymano za utrudnianie działania policji.

Zręcznie manewrując w ruchu ulicznym, von Holden zatrzymał się wśród zamętu spowodowanego działaniem Remmiera akurat w momencie,

gdy Pappena i jego zastępcę zabierał wóz policyjny. Wsiadł z taksówki, stanął obok niej i patrzył, jak resztki jego sił bezpieczeństwa broniących głównej bramy cofają się, a intruzi docierają do drzwi frontowych i wchodzi do środka.

Scholl będzie wściekły, ale sam to na siebie ściągnął. Von Holden nie miał absolutnie żadnych wątpliwości, że gdyby był w hotelu Borggreve, ani Osborn, ani McVey nie znaleźliby się teraz w Charlottenburgu.

## 119

Z szerokim uśmiechem człowieka z Hollywoodu Louis Goetz zszedł po paradnych schodach do mężczyzn stojących u ich podstawy.

- Detektywie McVey - powiedział, rozpoznając go natychmiast, ale nie wyciągając ręki do uścisku - jestem Louis Goetz, adwokat pana Scholla. Może pójdziemy gdzieś porozmawiać?

Goetz poprowadził ich labiryntem korytarzy do wielkiej, wyłożonej boazerią galerii i zamknął drzwi. Pomieszczenie miało podłogę ze szlifowanego szarego marmuru, a na obu końcach olbrzymie kominki z tego samego materiału. Boczna ściana ugięła się pod ciężarem grubych gobelinów, a po przeciwnej stronie drzwi balkonowe wychodziły na oświetlony park, którego dalsza część nikła w panujących ciemnościach. Nad drzwiami, przez które weszli, wisiał portret z tysiąc siedemset dwunastego roku, przedstawiający Sophie Charlotte, korpulentną królową Prus o dwóch podbródkach.

- Siadajcie, panowie. - Goetz wskazał gestem fotele o wysokich oparciach, stojące wokół długiego, ozdobnego stołu. - Jezu, detektywie, ależ to paskudne. Co się stało? - powiedział, patrząc na poparzoną twarz McVeya.

- Tak niezdarnie sprawdzałem, co się gotuje - odparł McVey z poważną miną i rozsiadł się w jednym z foteli. - Lekarze podejrzewają, że wyżyje.

Osborn usiadł naprzeciw McVeya, Remmer przysunął sobie fotel obok niego. Schneider stanął koło drzwi. Goetz zasiadł u szczytu stołu.

- Pan Scholl zarezerwował dla was czas trochę wcześniej. Obawiam się, że resztę wieczoru ma zajętą a natychmiast po uroczystości odlatuje do Ameryki Południowej.

- Panie Goetz, chcielibyśmy porozmawiać z nim przez kilka minut, zanim odjedzie - odrzekł McVey.

- Dzisiejszego wieczoru nie będzie to możliwe, detektywie. Może gdy wróci do Los Angeles.

- To znaczy kiedy?

- W marcu przyszłego roku. - Goetz uśmiechnął się, jakby właśnie powiedział doskonały dowcip, a potem podniósł rękę. - Hej, to prawda. Nie próbuję zgrywać cwaniaka.

- Wobec tego chyba będzie lepiej, jeśli zobaczymy się z nim teraz. - McVey mówił absolutnie poważnie i Goetz o tym wiedział.

- Wie pan, kim jest Erwin Scholl? - Adwokat nagle wyprostował się na fotelu. - Wie pan, kogo przyjmuje tam na górze? - Zerknął na sufit. - Co pan myśli? Że on wstanie, gdy to wszystko się dzieje, i zejdzie tu, by z panem pogadać?

Z góry doleciały dźwięki orkiestry grającej walca Straussa. Przypomniało to McVeyowi radio w pokoju, w którym znaleźli Cadoux. Spojrzał na Remmera.

- Obawiam się, że pan Scholl będzie musiał zmienić plany. - Remmer rzucił nakaz aresztowania na stół. - Albo zejdzie, by rozmawiać z detektywem McVeyem, albo pójdzie do więzienia. Natychmiast.

- Na litość boską, a to co znowu takiego? Do kurwy nędzy, wyobrażacie sobie, że z kim macie do czynienia? - Goetz był oburzony. Wziął nakaz, przebiegł go wzrokiem, a potem rzucił z powrotem na stół gestem pełnym obrzydzenia. Nakaz napisany był po niemiecku.

- Jeśli pański klient zdecyduje się z nami współpracować, być może zdołamy oszczędzić mu mnóstwa żenujących przeżyć. Być może nawet nie zakłóci to harmonogramu jego zajęć. - McVey poruszył się na fotelu. Działanie środka przeciwbólowego osłabło, ale nie chciał brać go więcej, z obawy by lek go nie zamroczył. - Może po prostu poprosi go pan, by zszedł tutaj na parę minut.

- A może po prostu powie mi pan, o co w tym wszystkim chodzi?

- Wolałbym omówić to z panem Schollem. Oczywiście ma pan pełne prawo być przy tym. Albo też... pójdziemy sobie wszyscy wraz z tu obecnym detektywem Remmerem i nasza rozmowa odbędzie się w znacznie nowocześniejszym otoczeniu.

Goetz uśmiechnął się. Oto miał przed sobą urzędnika, nie dorastającego do tego świata, działającego poza swym krajem, próbującego ostro pogrywać z jednym z największych na świecie szafarzy władzy. Nakaz, owszem, stanowił problem. Tego żaden z nich się nie spodziewał, bo żaden z nich by nie uwierzył, że McVey przekona niemieckiego sędziego, aby go

wydał. Niemieccy adwokaci Scholla załatwią to, gdy tylko się ich zawiadomi. Ale to wymaga trochę czasu, a McVey nie miał zamiaru im popuścić. Były dwa sposoby załatwienia sprawy: powiedzieć McVeyowi, by się odpiardolił, albo zagrać rolę przyzwoitego, odpowiedzialnego człowieka i poprosić Scholla, by zszedł na dół i mydlił im oczy dostatecznie długo, żeby sprowadzić szkopskich adwokatów.

- Zobaczę, co się da zrobić - oznajmił. Rzucił przelotne spojrzenie Schneiderowi stojącemu przy drzwiach, wstał i wyszedł.

McVey popatrzył na Remmera.

- Masz dobrą okazję, żeby się przekonać, czy potrafisz odnaleźć Lybargera.

Von Holden skręcił w ciemną ulicę kilka przecznic od Charlottenburga. Znalazł wolne miejsce, zaparkował i zgasił reflektory. Otworzył drzwiczki, wysiadł i rozejrzał się. Nikogo nie dostrzegł. Sięgnął do wnętrza, wyciągnął białe plastikowe pudło, przyczepił nylonowy pasek do zatrasków na górze i zawiesił sobie paczkę na ramieniu. Zamknął taksówkę na klucz, kluczyki wrzucił do środka i odszedł.

Dziesięć minut później zobaczył Charlottenburg. Przeszedł kładką dla pieszych nad Szprewą przy Tegeler Weg i podszedł do bramy służbowej na tyłach terenu pałacowego. Za nią widać było majaczące przez mgłę światła pałacu. Zdał sobie sprawę, że w ciągu ostatniej godziny mgła bardzo zgęstniała; lotniska będą zamknięte i jeśli pogoda się nie zmieni, aż do rana nie odleci żaden samolot.

Strażnik na posterunku przy bramie wpuścił go do środka. Von Holden poszedł ścieżką wysadzaną kasztanowcami. Przekroczył kolejny mostek i znalazł się w sosnowej alei. Dotarł do skrzyżowania, skręcił na lewo i zbliżył się do Mauzoleum.

- Jest dziewiąta! Gdzie byłeś?! - Salettl huknął na niego z ciemności, a potem pojawił się na ścieżce tuż przed von Holdenem. Chudy jak szczapa, otulony ciemnym płaszczem; tylko jego łysa czaszka połyskiwała w mroku. - Jest tu policja. Mają nakaz aresztowania Scholla. - Salettl podszedł bliżej. Gdy był zupełnie blisko, von Holden dostrzegł, że lekarz ma zwężone źrenice, niemal do wielkości kropek, wygląda na mocno spiętego, jakby nafaszerował się amfetaminą.

- Tak, wiem - powiedział von Holden.

Salettl rzucił spojrzenie na białe pudło, przewieszzone przez ramię von Holdena.

- Traktujesz to, jakby to był jakiś koszyk piknikowy.  
- Cóż, przykro mi, ale nie było innego sposobu.  
- Ceremonia, która miała się odbyć w Mauzoleum, została odłożona.  
- Na czyj rozkaz?  
- Dortmundu.  
- Wobec tego wrócę do das Garten.  
- Masz rozkaz zaczekać w apartamentach królewskich, aż ci wydadzą następne polecenie.

Gęsta mgła wirowała wokół purpurowych rododendronów przy ścieżce, na której stali. Nieco dalej Mauzoleum majaczyło wśród otaczających je drzew niczym jakaś gotycka senna zmosfera. Von Holden czuł, że coś go do niego przyciąga, jakby ciągnęła go jakaś niewidzialna ręka. A potem to znów się pojawiło, kolosalne czerwone i zielone zasłony zorzy polarnej, falujące z wolna, grożące pochłonięciem samego jądra jego jestestwa.

- Co się dzieje? - warknął Salettl.

- Ja...

- Jesteś chory? - warknął ponownie Salettl.

Walcząc, by się uwolnić od wizji, von Holden potrząsnął głową. A potem głęboko zaczerpnął chłodnego powietrza. Zorza zniknęła i wszystko stało się wyraźne.

- Nie - odpowiedział ostro.

- Więc idź do apartamentów królewskich, tak jak ci polecono.

## 120

### 8.57 wieczorem

Joanna strzepnęła pyłek z ciemnogramatowego fraka Eltona Lybargera, myśląc równocześnie o swoim szczeniaku, w tej chwili znajdującym się gdzieś nad Atlantykiem. Nagle głośno zastukano do drzwi i weszli Eric i Edward w towarzystwie Remmera i Schneidera, a tuż za nimi dwaj goryle Lybargera w smokingach i dwaj ochroniarze.

- Wujaszku - powiedział opiekuńczym tonem Eric - ci ludzie prosili o króciutkie spotkanie z tobą. Są z policji.

- Guten Abend. - Uśmiechnął się. Właśnie miał łyknąć kilka tabletek witaminowych. Wkładał je po jednej do ust, a potem popijał małymi łykami wody ze szklanki.

- Panie Lybarger - odezwał się Remmer - proszę nam wybaczyć to wtargnięcie. - Uśmiechnięty, uprzejmy i bezpośredni, szybko i uważnie przyjrzał się Lybargerowi. Waga około siedemdziesięciu kilogramów, wzrost metr siedemdziesiąt osiem. Stał wyprostowany i wyglądał na zupełnie zdrowego fizycznie. Miał na sobie białą koszulę z krochmalonym gósem, pod szyją zawiązaną białą muszkę. Wyglądał dokładnie tak jak powinien mężczyzna między pięćdziesiątym i pięćdziesiątym piątym rokiem życia, w dobrym zdrowiu, ubrany odpowiednio, by przemawiać do ważnej publiczności.

Lybarger połknął tabletki i odwrócił się.

- Proszę, Joanno. - Wyciągnął ramiona, a Joanna pomogła mu nałożyć górę od fraka.

Remmer natychmiast rozpoznał Joannę. Miał co prawda nadzieję, że spotka tego mężczyznę z taśmy wideo, ale nie było go wśród obecnych w pokoju.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał Eric. - Mój wuj ma wygłosić ważne przemówienie.

Remmer odwrócił się i poszedł na środek pokoju, z rozmysłem ściągając na siebie uwagę Erica, Edwarda i goryli. Równocześnie Schneider cofnął się ukradkiem, obrzucił pokój spojrzeniem, a potem wszedł do łazienki. Chwilę później wyszedł.

- Otrzymaliśmy informację, że mogą być pewne problemy z zapewnieniem bezpieczeństwa panu Lybargerowi – oświadczył Remmer.

- Jakie problemy? - zapytał Eric.

Remmer uśmiechnął się i odprężył.

- Widzę, że nie ma mowy o żadnych. Przepraszam, że wam przeszkodziłem, panowie. Guten Abend. - Odwrócił się i spojrzał na Joannę, zastanawiając się, jak dalece została w to wciągnięta. - Dobranoc - powiedział uprzejmie, a potem wyszedł wraz ze Schneiderem.

## 121

### 9.00 wieczorem

McVey i Scholl patrzyli na siebie w milczeniu. Gorąco panujące w pokoju zmieniło maść na twarzy McVeya w oleisty płyn, pod którym jego oparzenia wyglądały jeszcze bardziej groteskowo.

Przed chwilą Louis Goetz doradził Schollowi, by nie odzywał się ani słowem, dopóki nie przybędą jego adwokaci do spraw kryminalnych, na co

McVey odparł, że wprawdzie Scholl ma do tego pełne prawo, ale ta niechęć do współpracy z policją nie pomoże mu, gdy nadejdzie czas, aby sędzia podjął decyzję, czy zwolnić go za kaucją. Nie mówiąc już o daleko posuniętych spekulacjach, które pojawią się w prasie, gdy dziennikarze wyniu-chają, że człowiek tak wybitny jak Erwin Scholl został aresztowany jako podejrzany o wynajęcie płatnego mordercy i zatrzymany w oczekiwaniu na ekstradycję do Stanów Zjednoczonych.

- Co za gówno próbujesz pan tu nam wciskać? - zapienił się Goetz. - Nie masz pan tu żadnej władzy. Fakt, że pan Scholl opuścił swych gości, jest dostatecznym dowodem współpracy.

- Jeśli potraktujemy to trochę lżej, będziemy mogli pewnie wkrótce wrócić do swoich zajęć - zwrócił się McVey do Scholla, ignorując Goetza. - Cała ta sprawa jest dla mnie równie nieprzyjemna jak dla pana. Mnie dobija wygląd mojej twarzy, a pan chce wrócić do swoich gości.

Scholl porzucił podium na sali bardziej z ciekawości niż z obawy przed nakazem McVeya. Zatrzymawszy się na chwilę, żeby poinformować Dortmundu, co się dzieje, i od razu wysłać go, by zatelefonował do całej armii czołowych niemieckich adwokatów do spraw kryminalnych, opuścił Żółtą Galerię bocznymi drzwiami i zaczął schodzić po schodach. W tej samej chwili podniecony Salettl wybiegł za nim, zapytał, dokąd idzie i jak śmie opuszczać salę w takim momencie. Była wówczas za dziesięć dziewiąta, pełne dwadzieścia pięć minut do wystąpienia Lybargera.

- Mam krótkie rendez-vous z policjantem, który wie gdzie naprawę ekscytujące życie. - Uśmiechnął się arogancko. - Jest na to masa czasu, zacny doktorze, masa czasu.

Scholl, opalony i wspaniale wyglądający w sztytnym na miarę smokingu, odegrał rolę człowieka uprzejmego; jego uprzejmość jakby jeszcze wzrosła, gdy przedstawiono mu Osborna. Słuchał nadzwyczaj uważnie i dokładał starań, by udzielać szczerych odpowiedzi - choć wydawał się autentycznie zdumiony pytaniami - niezrażony nawet tym, że McVey wyrecytował mu, jakie są jego prawa jako obywatela amerykańskiego.

- A więc - powiedział McVey - nigdy pan nie znał ani nie słyszał o Albercie Merrimanie.

- Właśnie. - Scholl siedział z obojętną miną.

- Jeśli nie znał pan Merrimana, czy znał pan niejakiego George'a Osborna?

- Nie.

-Więc dlaczego wynajął pan kogoś, by zabił nieznanego panu człowieka?

-McVey, chyba pan wiesz, że to pytanie to zwykła kupa gówna. - Goetzowi było zupełnie nie w smak, że Scholl zgadza się na to wszystko i pozwala McVeyowi dalej prowadzić przesłuchanie.

-Detektywie McVey - odrzekł spokojnie Scholl, nie zaszczycał Goetza nawet spojrzeniem - nigdy nikogo nie wynajmowałem do popełnienia morderstwa. Oburzający pomysł.

-Gdzie jest ten Albert Merriman? - zapytał Goetz. - Chciałbym się z nim spotkać.

-To jeden z naszych problemów, panie Goetz. On nie żyje.

-No to nie ma o czym mówić. Wasz nakaz aresztowania to taka sama kupa gówna jak wy. Świadek z drugiej ręki od martwego człowieka? - Goetz wstał. - Panie Scholl, skończone.

-Goetz, problem polega na tym... że Albert Merriman został zamordowany.

-Wielka rzecz.

-To jest wielka rzecz. Człowiek, który go zabił, był także płatnym mordercą. Również zatrudnionym przez pana Scholla. Nazywał się Bernhard Oven. - McVey spojrzał na Scholla. - Był członkiem wschodniemieckiej tajnej policji, nim zaczął dla pana pracować.

-Nigdy nie słyszałem o żadnym Bernhardzie Ovenie, detektywie - rzekł obojętnie Scholl. Zegar na kominku powyżej ramienia McVeya wskazywał dziewiątą czternaście. Za minutę otworzą się drzwi i Lybarger wkroczy do Złotej Galerii. Ku swemu zaskoczeniu Scholl był zaintrygowany. Zakres informacji McVeya był niezwykły.

-Proszę mi opowiedzieć o Eltonie Lybargerze. McVey znów go zaskoczył, zmieniając temat.

-To przyjaciel.

-Chciałbym go poznać.

-Obawiam się, że to niemożliwe. Chorował.

-Ale przecież czuje się dość dobrze, by wygłosić przemówienie.

-Owszem, tak...

-Nie rozumiem. Jest zbyt chory, by mówić do jednego człowieka, ale nie dość, by przemawiać do stu.

-Jest pod opieką lekarską.

-Ma pan na myśli doktora Salettla...

Goetz spojrzał na Scholla. Jak długo ma jeszcze zamiar na to pozwalać? O żeż, kurwa, co on wyrabia?!



- Właśnie. - Scholl poprawił prawą ręką lewy mankiet swego smokiga, z rozmysłem wystawiając na pokaz nie do końca zagojoną rękę. Uśmiechnął się. - Co za ironia losu, detektywie, że obaj nabawiliśmy się bolesnych ran w tym samym czasie. Moje są skutkiem zabawy z kotem, pańskie, co oczywiste, zabawy z ogniem. Obaj powinniśmy być mądrzejsi, nie uważa pan?

- Nie bawiłem się, panie Scholl. Ktoś próbował mnie zabić.

- To miał pan szczęście.

- Kilku moich przyjaciół nie miało.

- Przykro mi. - Scholl popatrzył przelotnie na Osborna, a potem znów zwrócił wzrok na McVeya. Bez żadnych wątpliwości McVey był najniebezpieczniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Niebezpiecznym, bo nic go nie obchodziło poza prawdą, a żeby ją poznać, był zdolny do wszystkiego.

## 122

### 9.15 wieczorem

W sali ucichło. Wszystkie oczy wpatrzone były w Eltona Lybargera, podążającego samotnie udekorowanym wstęgami przejściem, biegnącym środkiem wielkiego rokokowego dzieła Georga Wenzeslausa von Knobelsdorffa - wyłożonej zielonym marmurem, pełnej złoceń, hipnotyzującej Złotej Galerii. Lybarger śmiało stawiał stopy. Nie potrzebował już laski ani pomocy pielęgniarki. Wspaniały, aż dech zapierało, powściągliwy, sprawny, pewny siebie. Symboliczny monarcha przyszłości, maszerujący na benefis tych, którzy dopomogli mu się tu znaleźć.

Fala uwielbienia zalała serca Erica i Edwarda, siedzących na podium i patrzących, jak podąża w tę stronę. Obok nich płakała otwarcie Frau Dortmund, niezdolna do opanowania miotających nią uczuć. Wtedy, robiąc gest ogarniający całą salę, wstała Uta Baur i zaczęła bić brawo. Po drugiej stronie galerii zawtórował jej Mathias Noll. A potem Gertrudę Biermann. Hilmar Grunel. Henryk Steiner i Konrad Peiper. Margarete Peiper wstała, by dołączyć do męża. Następnym był Hans Dabritz. Po nim Gustav Dortmund. I wreszcie wszyscy pozostali zerwali się na równe nogi, jednogłośnie składając hołd. Lybarger powiódł wzrokiem po sali z lewa na prawo. Uśmiechał się, przyjmując trybut, a grom ich aplauzu wstrząsał salą, przybierając na sile z każdym krokiem zbliżającym go do podium przed nimi. Oto szedł -

najwspanialsze osiągnięcie ludzkości mieli na wyciągnięcie ręki... Owacja była ogłuszająca.

Salettl popatrzył na zegarek. Cztery minuty po czasie. To, że Scholl jeszcze nie wrócił, było niewybaczone. Podniósł głowę, zobaczył, jak Lybarger podchodzi do stopni podium i zaczyna się po nich wspinać. Gdy dotarł na szczyt i rozejrzał się, aplauz osiągnął apogeum, zatrzęsły się ściany i zachrobotał plafon. Preludium do Übermorgen. Tak się zaczynało „pojutrze”.

Na dworze Remmer i Schneider szli szybko kamiennym chodnikiem dziedzińca, nie odzywając się do siebie. Przed nimi czarny mercedes skręcił z ulicy w bramę, a ochroniarze przepuścili go gestem. Cofnąwszy się, by dać mu przejechać, zobaczyli, że kierowca zatrzymuje się przy głównym wejściu i wchodzi do środka. Remmerowi od razu przyszło do głowy, że to Scholl wyjeżdża. Ale mercedes pozostał na miejscu. Remmer pomyślał, że może tak stać nawet godzinę. Wydobył z kieszeni radio i wydał krótkie polecenie. Potem obaj poszli dalej. Przechodząc przez bramę, Remmer z rozmysłem spojrzął w oczy ochroniarzom na służbie. Obaj odwrócili wzrok, a on i Schneider przeszli nie zaczepiani. Natychmiast ciemnoniebieskie bmw z piskiem wyskoczyło z ulicy i z poślizgiem zatrzymało się koło nich przy krawężniku. Wsiedli do środka i wóz odjechał.

Gdyby Remmer, Schneider czy któryś z dwóch siedzących w bmw detektywów z BKA obejrzał się, ujrzeliby otwierające się główne wejście do pałacu i wynurzającego się z nich kierowcę mercedesa, ale nie w towarzystwie Scholla czy któregokolwiek ze znakomych gości, lecz Joanny.

Pomógłszy jej ulokować się na tylnym siedzeniu, kierowca zamknął drzwiczki i zasiadł za kierownicą. Zapiął pas bezpieczeństwa, zapalił silnik i ruszył. Okrążył dziedziniec, a potem skręcił w lewo na Spandauer Damm, w przeciwnym kierunku do tego, w którym pojechało bmw Remmera. Chwilę później kierowca zobaczył, że od krawężnika odjeżdża srebrny volkswagen, szybko zakręca o sto osiemdziesiąt stopni na jezdni i wjeżdża na pas za nim. A więc śledzono go. Uśmiechnął się. Odwoził ją do hotelu. Żadne prawo tego nie zabraniało.

Samotna na tylnym siedzeniu Joanna otuliła się płaszczem i starała się nie płakać. Nie rozumiała, co się stało; Salettl odesłał ją w ostatniej chwili, nawet nie dając możliwości pożegnania się z Eltonem Lybargerem. Doktor wszedł do pokoju Lybargera i odciągnął ją na bok zaledwie kilka chwil po tym, jak odeszła policja.

- Nie będzie się już pani więcej zajmować panem Lybargerem - rzekł rozkazująco Salettl. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego, wręcz roztrzęsionego. A potem jego zachowanie nagle się zmieniło na wręcz dobrotliwe. - Dla was obojga lepiej będzie, jeśli przestanie pani o tym myśleć. - Następnie wręczył jej małą paczuszkę opakowaną jak prezent. - To dla pani - powiedział. - Proszę mi obiecać, że nie otworzy tego pani przed powrotem do domu.

Wstrząśnięta i zdezorientowana jego obcesowością, pamiętała niejasno, że wyraziła zgodę i podziękowała mu, a potem w roztrągnięciu włożyła prezent do torebki. Myślni była przy Lybargerze. Spędzili razem dużo czasu, wiele ich łączyło, choć nie tylko rzeczy przyjemne. Salettl mógł przynajmniej pozwolić, by powiedziała panu Lybargerowi, że życzy mu wszystkiego najlepszego, i pożegnała się. Z prezentem czy nie, jego zachowanie było szorstkie, prawie niegrzeczne. Ale to, co nastąpiło potem...

- Wiem, że spodziewała się pani spędzić ten ostatni wieczór z von Holdenem - powiedział Salettl. - Proszę się nie zachowywać tak, jakby była pani zaskoczona, że o tym wiem. Von Holden jest pochłonięty wypełnianiem swych obowiązków i natychmiast po kolacji leci z panem Schollem do Ameryki Południowej.

- Nie zobaczę go? - Joanna nagle poczuła dojmującą tęsknotę.

- Nie.

Nie mogła zrozumieć. Miała spędzić noc w berlińskim hotelu, a rano odlecieć do Los Angeles. Von Holden nie wspominał, że odlatuje z Schollem. Obiecał przyjechać do niej po ceremonii w Charlottenburgu. Noc miała należeć do nich obojga.

- Pani rzeczy zostały spakowane. Na dole czeka na panią samochód. Do widzenia, panno Marsh.

It to było wszystko. Ochroniarz zaprowadził ją na dół. A potem znalazła się w samochodzie i odjechali. Odwróciwszy się i popatrzwszy do tyłu, z trudnością mogła dojrzeć pałac. Ledwie widoczny w gęstej mgle, powoli znikał jej z oczu. Tak jakby ten gmach i wszystko, co robiła, zanim tu dotarła, było snem. Z von Holdenem włącznie. Snem, który podobnie jak Charlottenburg, właśnie się rozwiął.

- Helikopter - powiedział Remmer, tuląc radio do złamanej ręki. Samochód przemknął koło kompleksu Szpitala Charlottenburskiego, a potem,

osiemset metrów dalej, nagle skręcił w ciemny teren parku Ruhwald. Przejechawszy dwie trzecie jego długości, siedzący za kierownicą detektyw z BKA włączył żółte światła przeciwmgielne, a potem gwałtownie zahamował. Prawie natychmiast jaskrawe reflektory oświetliły ziemię piętnaście metrów od nich i helikopter z ogłuszającym rykiem usiadł na trawie. Pilot zgasił silnik, a Schneider wyskoczył z samochodu i pobiegł ku maszynie. Dawszy nura pod płaty wirnika, otworzył drzwi i wspiął się do środka. Silniki zaryczały, a potem wśród zamieci wyrwanej trawy i kurzu helikopter wystartował. Wzniósł się ponad drzewa, zrobił skręt o sto osiemdziesiąt stopni w lewo i zniknął w nocnych ciemnościach.

Ze swego miejsca obok pilota Schneider ledwie widział reflektory przeciwmgielne bmw, które zawróciło na polu i skręciło w lewo, w stronę pałacu Charlottenburg. Usiadł wygodnie w fotelu, zacisnął pasy na ramieniu, a potem rozpiął płaszcz i wyjął otuloną chustką zdobycz, którą zabierał do laboratorium odcisków palców w Bad Godesbergu. Szklanka, której używał Elton Lybarger, gdy popijał tabletki.

## 123

-Na kilka dni przed zamordowaniem ojciec doktora Osborna... - McVey wyjął mały notes z pozaginanymi rogami z kieszeni marynarki i zerkając na notatki, mówił dalej do Scholla - zaprojektował bardzo szczególny skalpel. Pracował wtedy w małej spółce pod Bostonem. Była pana własnością, panie Scholl.

-Nigdy nie byłem właścicielem spółki produkującej skalpele.

-Nie wiem, czy produkowała skalpele, wiem tylko, że wykonano jeden.

McVey wiedział, że jeśli Goetz pójdzie na górę, by zawiadomić Scholla, ten opuści swych gości i przyjdzie się z nim spotkać. Własne ego zmusi go do takiego zachowania. Jak mógł pominąć okazję spotkania się z człowiekiem, który właśnie przeżył śmiertelną zasadzkę i miał tyle bezczelności, by wdrzeć się na jego teren? Ale McVey zdawał sobie też sprawę, że ta ciekawość będzie tylko przelotna i zostanie szybko zaspokojona. Jeśli Scholl ma pozostać, McVey musi podniecać jego ciekawość. Na tym polegał trik: wykorzystać zainteresowanie Scholla i rozbudzić jego emocje. Detektyw miał bowiem przecucie, że Scholl jest osobnikiem o wiele bardziej uczuciowym, niż to komukolwiek okazuje. A ludzie, gdy tylko zaczną reagować emocjonalnie, mówią rzeczy nieprzewidziane.

- Spółka nazywała się Microtab i miała siedzibę w Waltham w Massachusetts, kontrolowała ją spółka prywatna Wentworth Products Limited z Ontario. Jej właścicielem był - McVey zerknął do notatek - pan James Tallmadge z Ontario. Między śmiercią Tallmadge'a i reszty członków zarządu spółki Microtab... panów Earla Samuela, Evana Rarta i Johna Harriisa, wszyscy z Bostonu... upłynęło pół roku. Oni zmarli w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym, on w sześćdziesiątym siódmym.

- Nigdy nie słyszałem o spółce Microtab, panie McVey - powiedział Scholl. - Myślę, że poświęciłem panu dość czasu. Pan Goetz mnie zastąpi, a za godzinę zjawią się tu moi adwokaci. - Odepchnął fotel i wstał.

McVey dostrzegł, jak Goetz oddycha z ulgą.

- Tallmadge i pozostali byli powiązani z dwiema innymi pana spółkami - kontynuował McVey, jakby Scholl nic nie powiedział. - Alama Steel Limited z Pittsburgha w Pensylwanii oraz Standard Technologies z Perth Amboy w New Jersey. Standard Technologies, nawiasem mówiąc, była filią spółki zwanej TLT International z Nowego Jorku, rozwiązanej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku.

Scholl popatrzył na McVeya zdumiony.

- Jaki jest cel tej diatryby? - zapytał chłodno.

- Po prostu daję panu sposobność udzielenia wyjaśnień.

- A cóż to chciałby pan, żeby wyjaśnił?

- Pana związki z tymi wszystkimi spółkami oraz...

- Nie miałem żadnego związku z tymi spółkami.

- Doprawdy?

- Absolutnie nie - odparł Scholl zwięźle i ze złością. Dobrze - pomyślał McVey. Wściekaj się.

- Proszę mi opowiedzieć o Liniach Żeglugowych Omega. Goetz wstał. Najwyższy czas położyć temu kres.

- Obawiam się, że to wszystko, detektywie. Panie Scholl, goście czekają.

- Pytałem pana Scholla o Linie Żeglugowe Omega. - McVey wlepił spojrzenie w Scholla. - Podobno nie miał pan powiązań z tymi spółkami. Czy to właśnie mi pan powiedział?

- A ja powiedziałem: żadnych więcej pytań, McVey - wtrącił Goetz.

- Przykro mi, panie Goetz. Próbuję uchronić pańskiego klienta przed więzieniem. Ale nie mogę uzyskać od niego szczerzej odpowiedzi. Tak się składa, że pan Scholl jest głównym akcjonariuszem Linii Żeglugowych

Omega. Wóz albo przewóz, panie Scholl. Jak było?

-Linie Żeglugowe Omega już nie istnieją – odpowiedział głucho Scholl. Nie docenił McVeya. Ani jego uporczywości, ani jego odporności. Popęlił błąd, nie wysyłając von Holdena, by go zabił. Ale to się da naprawić. - Poświęciłem panu tyle uwagi, ile pan chciał, i jeszcze o wiele więcej. Dobranoc, detektywie.

McVey wstał i wyciągnął z kieszeni marynarki dwie fotografie.

-Panie Goetz, zechce pan poprosić swego klienta, żeby na to zerknął? Osborn patrzył, jak Goetz bierze fotografie i uważnie je ogląda.

-Co to za ludzie? - spytał.

-Chciałbym, żeby pan Scholl mi to powiedział.

Goetz popatrzył na Scholla, a potem wręczył mu fotografie. Scholl gniewnie spojrział na McVeya i rzucił okiem na zdjęcia. Drgnął lekko, ale zaraz się opanował.

-Nie mam pojęcia - oznajmił.

-Nie?

-Nie.

-Karolin i Johann Henniger... - McVey zrobił pauzę. - Zostali dzisiaj zamordowani.

Tym razem Scholl nie okazał żadnej emocji.

-Powiedziałem panu, że nie mam pojęcia, kim są.

Oddawszy fotografie Goetzowi, Scholl odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Osborn spojrział na McVeya. Jeśli teraz wyjdzie, nie zobaczą go prędko, jeśli w ogóle kiedykolwiek go jeszcze ujrzą.

-Doceniam, że poświęcił nam pan tyle czasu - rzekł szybko McVey. - Wiem także, że rozumie pan, iż doktor Osborn nigdy nie zdołał pogodzić się z zabójstwem swego ojca. Obiecałem mu, że zadam panu pytanie. Jest proste. I nieoficjalne.

Scholl się odwrócił.

-Pańska bezczelność przekracza wszelkie granice.

Goetz otworzył drzwi i Scholl prawie przez nie przeszedł, gdy odezwał się Osborn.

-Czemu polecił pan chirurgicznie połączyć głowę Eltona Lybargera z ciałem innego człowieka?

Scholl zamarł w miejscu. Tak jak i Goetz. Scholl odwrócił się powoli. Sprawiał wrażenie obnażonego. Jakby nagle zerwano z niego odzież i go zgwałcono. Przez krótki moment myśleli, że się załamie. A potem wyglądało to tak, jakby samym wysiłkiem woli nasuwał na swoją twarz maskę;

najpierw pogardy, a potem wściekłości. I natychmiast, lodowato spokojny, przerażający, znów mógł kontrolować swoje emocje.

- Doradzałbym, żebyście obaj panowie wzięli się do pisania powieści fantastycznych.

- To nie fantazja - odparł Osborn.

Nagle otwały się drzwi w drugim końcu pokoju i wszedł Salettl.

- Gdzie jest von Holden? - zapytał rozkazującym tonem Scholl zbliżającego się Salettla.

Salettl szedł po marmurowej podłodze, a odgłos jego kroków odbijał się echem.

- Von Holden jest na górze, czeka w apartamentach królewskich. - Znikło zdenerwowanie, ogromne napięcie, które ogarnęło go przed chwilą. Był niemal spokojny.

- Natychmiast go tu przyprowadź.

- Obawiam się, że to wykluczone. - Salettl się uśmiechnął. - Apartamenty królewskie i Złota Galeria nie są już dostępne.

- O czym ty mówisz?

McVey i Osborn wymienili spojrzenia. Coś tu się działo, ale nie mieli pojęcia co. Schollowi też się to nie podobało.

- Zadałem ci pytanie.

- Byłoby lepiej, gdybyś znajdował się na górze. - Salettl przeszedł przez pokój i stanął przy Schollu i Goetzu.

- Przyprowadź von Holdena! - warknął Scholl do Goetza.

Goetz kiwnął głową i już miał ruszyć w stronę drzwi, gdy rozległ się ostry odgłos strzału. Goetz podskoczył, jakby otrzymał policzek. Najpierw chwycił się za szyję, potem odsunął dłoń i popatrzył na nią. Była zalana krwią. Spojrzał na Salettla szeroko otwartymi oczami, po czym zwrócił wzrok na jego dłoń i zaciśnięty w niej mały pistolet.

- Strzeliłeś do mnie, ty pierdzielu! - wrzasnął. A potem zadrgał i osunął się na drzwi.

- Rzuć broń, natychmiast! - McVey trzymał trzydziestkę ósemkę w prawej ręce, lewą usunął Osborna z linii ognia.

Salettl popatrzył na McVeya.

- No pewnie. - Zwrócił się z uśmiechem do Scholla: - Ci Amerykanie o mały włos wszystko by zniweczyli.

- Rzuć broń!

- Vida? - Scholl patrzył na Salettla z głęboką pogardą.

- Mieszkała w Berlinie prawie od czterech lat. - Znów się uśmiechnął.

- Jak śmiesz? - Scholl się wyprostował. Był wściekły. Pełen wyższości. - Jak śmiesz brać na siebie...

Pierwszy strzał Salettl trafił Scholla tuż nad muszką. Drugi w pierś powyżej serca, rozdzierając tętnicę i zalewając Salettla krwią. Przez chwilę Scholl chwiał się z wyrazem niedowierzania w oczach, a potem po prostu zwalił się, jakby ktoś kopniakiem podciął mu nogi.

- Rzuć to albo zastrzelę cię na miejscu! - zawył McVey, zaciskając palec na spuście.

- McVey... nie! - krzyknął zza jego pleców Osborn.

Salettl opuścił broń, a McVey zdjął palec ze spustu. Salettl odwrócił się do nich. Twarz miał bladą jak płótno, a ubranie jakby oblane czerwoną farbą. Ponieważ nosił smoking, widok był naprawdę okropny; wyglądał na groteskowego, makabrycznego klauna.

- Nie trzeba było się w to mieszać - powiedział ze złością.

- Rozewrzyj palce i upuść broń na podłogę! - McVey zbliżał się powoli; jeśli będzie musiał, bez wahania zastrzeli tego człowieka.

Osborn wrzasnął ze strachu; nie chciał, by McVey zabił być może jedyną żyjącą osobę, która wiedziała, co tu się dzieje. Ale Salettl właśnie zastrzelił dwóch ludzi, a McVey nie miał zamiaru dać mu okazji do zabicia dwóch pozostałych.

- Upuść broń na podłogę - powtórzył McVey.

- Prawdziwe imię Karolin Henniger brzmiało Vida - powiedział Salettl. - Scholl jakiś czas temu kazał zabić ją i jej syna. Potajemnie przywiozłem ich tutaj, do Berlina, i zmieniłem ich tożsamość. Zadzwoiła do mnie natychmiast potem, jak uciekła przed wami. Myślała, że jesteście z Organizacji. - Salettl przerwał na chwilę. Potem przemówił głosem bliskim szeptu: - Oni wiedzieli, dokąd pojechaliście. Namierzyliby ją bardzo szybko. A potem przyjechaliby po mnie. To by wszystko udaremniło.

- Zabiłeś ich.

- Tak.

Osborn zrobił krok do przodu z oczami błyszczącymi z podniecenia.

- Powiedziałeś, że to by wszystko udaremniło. Co by udaremniło? Co masz na myśli?

Salettl nie odpowiedział.

- Karolin, Vida... jakkolwiek się nazywała, była żoną Lybargera - naciskał Osborn. - A chłopiec jego synem.

Salettl zawahał się.

- Była także moją córką.



- O Jezu. - Osborn spojrział na McVeya. Obaj byli tak samo przerażeni.  
- Fizykoterapeutka pana Lybargera będzie w porannym samolocie do Los Angeles - oznajmił nagle Salettl, zupełnie nie na temat, jakby zachęcając ich, by do niej dotoczyli.

- Co z was za ludzie? - Osborn wlepił wzrok w Salettla. - Zamordowaliście mego ojca, ty własną córkę i wnuka, i Bóg wie kogo jeszcze. - Głos Osborna załamywał się ze złości. - Dlaczego? Po co? By chronić Lybargera? Scholla? Tę waszą Organizację...? Dlaczego?

- Wy, panowie, powinniście byli zostawić Niemcy Niemcom - odrzekł spokojnie Salettl. - Dzisiejszego wieczoru przeżyliście jeden pożar. Nie przeżyjecie następnego, jeśli natychmiast nie opuścicie tego budynku. - Próbował zmusić się do uśmiechu. Nie udało mu się. Poszukał spojrzeniem Osborna. - To powinno być trudne, doktorze. Ale nie jest.

Błyskawicznie włożył lufę w usta i nacisnął spust.

## 124

- Inicjatywa prywatna - mówił Lybarger do mikrofonu, a jego głos rozbrzmiewał w najdalszych zakątkach fantastycznej rokokowej Złotej Galerii - nie może ostać się w epoce demokracji. Jest do pomyślenia tylko wówczas, gdy ludzie wyznają zdrową ideę autorytetu i indywidualności.

Przerwawszy, stał wsparty obiema rękami na mównicy i przyglądał się twarzom zebranych. Jego przemówienie, choć lekko zmienione, nie było oryginalne i większość zgromadzonych o tym wiedziała. Oryginalne zostało wygłoszone przed podobną grupą wielkich biznesmenów dwudziestego lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. Mówcą, zawierającym owego zimowego wieczoru sojusz z finansjerą, był człowiek, któremu właśnie powierzono urząd kanclerza Rzeszy: Adolf Hitler.

Na podium Uta Baur pochyliła się do przodu, złożyłwszy swój mocny podbródek na dłoniach. Pochłonała ją zupełnie cud, którego była świadkiem; człowiek uzasadniający pięćdziesiąt lat udręki, wątpliwości, tajemnych wysiłków stał tu samotnie, przemawiając triumfalnie w jej obecności. Obok niej szef Bundesbanku Gustav Dortmund siedział wyprostowany jak struna, nie okazując cienia uczuć. Po prostu chłodny obserwator. Ale w głębi duszy czuł, jak wszystko w nim gotuje się od emocji wyzwolonej tym, co się działo.

Nieco dalej na podium Eric i Edward z zaciśniętymi pięściami, mięśniami karków naprężonymi pod ciasnymi, wykrochmalonymi kołnierzykami, pochyleni w przód jak dwa identyczne manekiny, chłonili słowa Lybargera. Ich zachwyt wynikał z innych przyczyn. W najbliższych dniach jeden z nich podzieli los Lybargera. Decyzję który, trzeba będzie dopiero podjąć. A ów moment przybliżał się coraz bardziej, z każdym wypowiedzianym słowem, każdym zdaniem; wyczekiwanie na tę chwilę stawało się niemal nie do zniesienia.

CYJANOWODÓR. Silnie trująca bezbarwna, lotna ciecz o zapachu gorzkich migdałów. Uniemożliwia wykorzystanie tlenu przez komórki, gdyż hamuje działanie enzymów oddechowych, co prowadzi do uduszenia się ofiary.

- Wszystkie dobra ziemskie, które posiadamy, zawdzięczamy walce wybranych czystych Germanów! - Słowa Lybargera odbijały się echem od ścian Złotej Galerii oraz w sercach i umysłach ludzi w niej siedzących.

- Nie możemy zapominać, że wszelkie zdobycze kultury muszą być wpajane żelazną pięścią! To właśnie w ten sposób przywrócimy naszą potęgą - militarną i w innych dziedzinach... Odwrotu nie będzie!

Gdy Lybarger skończył, wszyscy obecni w sali zerwali się na nogi, a w porównaniu z owacją, którą mu teraz zgotowano, aplauz przy jego wejściu przypominał grzecznościowe oklaski. Wtedy, być może dlatego że znajdował się blisko końca galerii i jej drzwi wyjściowych, doszło jego uszu to, czego nie zauważyli pozostali.

- Posłuchajcie! - powiedział do mikrofonu, podnosząc obie ręce z prośbą o ciszę. - Posłuchajcie, proszę!

Ułynęła chwila, nim ktokolwiek zastanowił się, o czym on mówi. Czy ma coś jeszcze do powiedzenia? O co mu chodziło? A potem zrozumieli. Nie prosił ich o ciszę. Chciał im powiedzieć, że coś się dzieje.

Po serii stłumionych warkotów nastąpiło pół tuzina głośniejszych mechanicznych huków i sala zatrzęsała się, jakby ktoś zaciągnął z zewnątrz ciężkie zasłony. A potem zapanowała cisza.

Uta Baur wstała pierwsza. Przesunęła się za Erikiem i Edwardem, minęła Dortmundą i zeszała z podium krótkimi schodkami do drzwi wyjściowych w kącie sali. Otworzywszy je, nagle cofnęła się o krok, przyciskając

dłoń do ust. Tam gdzie powinno znajdować się otwarte przejście, tkwiły potężne metalowe drzwi, szczelnie zamknięte i solidnie zamocowane. Dortmund szybko zszedł po schodkach. Podszedł do drzwi i pchnął je. Nic się nie wydarzyło. Przez salę przetoczył się pomruk niepokoju.

Eric zerwał się i przecisnął obok zaniepokojonej, obwieszanej biżuterią pani Dortmund. Wszedł na mównicę i wziął mikrofon z rąk Lybargera.

- Proszę o spokój. Przypadkiem opadły drzwi bezpieczeństwa. Proszę kierować się do głównego wyjścia i opuszczać salę po kolei, zachowując porządek.

Ale główne drzwi wejściowe do Złotej Galerii też były odcięte, jak również wszystkie inne.

- Was geht hier vor? Co się tu dzieje?! - wrzasnął Hans Dabritz. Generał-major Mathias Noll odepchnął swój fotel i podszedł do

najbliższych drzwi. Naciskając barkiem, spróbował je siłą otworzyć, ale nie miał więcej szczęścia niż przed chwilą Dortmund. Henryk Steiner dołożył siły swego mocnego ramienia.

Wraz z Nollem próbowali staranować drzwi. Dołączyło do nich dwóch innych, ale nawet nie drgnęły. A potem nadleciał leciuteńki powiew zapachu gorzkich migdałów. Ludzie popatrzyli po sobie i zaczęły ostrożnie wciągać ten zapach w nozdrza. Co to było? Skąd dochodziło?

- Ach, mein Gott! - wrzasnął Konrad Peiper, gdy ametystowa mgiełka spłynęła nagle na jego stół z wylotu przewodu klimatyzacji w suficie. - Cyjanowódór!

Zapach stawał się coraz intensywniejszy, w miarę jak więcej kryształów trafiało do pojemników z wodą destylowaną i kwasem, poustawianych w kanałach wentylacyjnych; kryształy rozpuszczały się, uwalniając śmierniczośny gaz.

Nagle wszyscy stłoczyli się jak najdalej od otworów wentylacyjnych. Przyciśnięci do ścian, do siebie nawzajem, nawet do zamkniętych i zatrzaśniętych stalowych drzwi, wpatrywali się z niedowierzaniem w okratowane wyloty, z jakże wielkim smakiem poukrywane w złożonych rokokowych ornamentach i zielonych marmurowych ścianach wspaniałej budowli z osiemnastego wieku.

Czekali na śmierć. Ale żadne z nich w nią nie wierzyło. Jakże to mogło być? Jakim sposobem tylu najbardziej wpływowych i najszlachetniejszych obywateli Niemiec, obwieszonych biżuterią i okrytych odzieżą, których wartość wystarczałaby do wykarmienia połowy świata przez cały rok, strzeżonych przez armię ochroniarzy, może być tak bezradnych, schwytanym w pułapkę, i to w sali jednej z najszlachetniejszych budowli historycznych tego narodu?

Skandaliczne? Niemożliwe? Żart?

- Es ist ein Streich! - To żart! - roześmiał się Hans Dabritz. - Ein Streich!

Reszta zawtórowała mu śmiechem. Edward podszedł do swego fotela na podium i uniośł kielich.

- Zu Elton Lybarger! - zawołał. - Za Eltona Lybargera!

- Zu Elton Lybarger! - Uta Baur uniosła swój kieliszek.

Elton Lybarger stał na mównicy i patrzył, jak Konrad i Margarete Peiperowie, Gertrude Biermann, Rudolf Kaes, Henryk Steiner i Gustav Dortmund wracają do swych stolików i podnoszą kielichy.

- Zu Elton Lybarger! - Złota Galeria zatrzęsała się od toastów.

I wtedy się zaczęło.

Głowa Uty Baur nagle odskoczyła do tyłu, a potem opadła; jej łopatki zdrzętały gwałtownie. Po drugiej stronie sali to samo spotkało Margarete Peiper. Wrzasnąwszy, padła na podłogę, wijąc się w męce, jakby wstrząsał nią prąd o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów albo nagle wpuszczono jej pod skórę tysiące owadów, pożerających się wściekle nawzajem w szaleńczej walce o przetrwanie.

Wszyscy, którzy jeszcze byli do tego zdolni, rzucili się do głównego wyjścia. Popychając się i kalecząc nawzajem, szarpali masywne stalowe drzwi i otaczającą je ozdobną drewnianą ramę. Łaknęli powietrza, błagali o ratunek i zmiłowanie. Wbijali palce, w bezlitosny metal, w nadziei że jakoś go przemogą.

Ostatnim z umierających był Elton Lybarger. Siedział w fotelu pośrodku sali, patrząc, jak wokół niego śmierć zbiera żniwo. Wreszcie zrozumiał, tak jak zrozumieli inni, że to dzień zapłaty. To oni sami pozwolili, by nadszedł, ponieważ nie wierzyli, że może nastąpić. A gdy wreszcie uwierzyli, było już za późno.

- Treblinka. Chełmno. Sobibór - powiedział Lybarger, gdy zaczął docierać do niego gaz. - Bełżec. Majdanek... - Nagle skurcz szarpnął jego dłonie. Wziął głęboki wdech. Potem głowa odskoczyła mu do tyłu i oczy zapadły się w głąb czaszki. - Oświęcim, Brzezinka...

## 125

Remmer nie miał pojęcia, co zastanie w Charlottenburgu, dokąd wrócił wraz z dwoma detektywami z BKA, z którymi odwoził Schneidera. Wjechali na dziedziniec i wysiedli z bmw; natychmiast otoczyli ich umundurowani ochroniarze.

- Wróciliśmy - powiedział Remmer, pokazując legitymację i przepychając się do głównego wejścia. Jedno było pewne: ani McVey, ani Osborn nie opuścili pałacu. Jeśli mają choć trochę szczęścia - myślał Remmer, dochodząc do drzwi - tkwią wciąż jeszcze na dole, łudząc się, że coś zrobią. Albo McVey wojuje ze zgrają żądających jego skalpu prawników, a w takim wypadku będzie naprawdę potrzebował pomocy.

I wtedy właśnie wybuchł pierwszy ładunek zapalający. Remmera, dwóch detektywów i ochroniarzy cisnęło na ziemię, a wokół nich spadł grad zaprawy murarskiej i kamieni. Natychmiast potem eksplodował tuzin innych bomb zapalających. Jedna za drugą, jak sznur wybuchowych petard, wystrzeliły po tej stronie pałacu, gdzie znajdowała się Złota Galeria. Rozsadzając mury, ładunki zapaliły piekielnym ogniem przewody gazowe, ukryte w złożonych listwach biegnących wzdłuż podłogi i sufitu galerii, a także w przylegających do niej apartamentach.

McVey oparł się o drzwi i odsunął ciało Goetza; inaczej nie mogliby wyjść. Wybuchy pozwalały książki z półek, strzaskały bezcenną osiemnastowieczną porcelanę i rozbiły jeden z marmurowych kominków. McVeyowi udało się wreszcie szarpnięciem otworzyć drzwi. Uderzył w niego podmuch żaru; na korytarzu za drzwiami i na schodach szalały płomienie. Zatrzasnąwszy drzwi, odwrócił się w sam czas, by zobaczyć ścianę ognia mknącą po zewnętrznej stronie budynku, odcinającą jakąkolwiek szansę ucieczki do ogrodu przez drzwi balkonowe. A potem ujrzał Osborna na czworakach, nieprzytomnie rozrywającego kieszenie Scholla niczym szalenciec przeszukujący trupa w poszukiwaniu łupu.

- Co ty, cholera, wyprawiasz? Musimy się stąd wydostać!

Osborn nie zwrócił na niego uwagi. Skończywszy z Schollem, rzucił się na Salettla, rozrywając mu marynarkę, koszulę, spodnie. Zachowywał się tak, jakby wokół nich nie szalał pożar.

- Osborn! Oni są martwi! Na litość boską, zostaw ich!

McVey rzucił się na niego, siłą podrywając na nogi. Osborn miał dłoń, policzki i czoło usmarowane krwią. Patrzył obłąkanym wzrokiem, jakby to on był mordercą. Miał zamiar uzyskać wyjaśnienia na temat śmierci ojca od jedyńskich ludzi, którzy mogli mu ich udzielić. Fakt, że nie żyli, nic nie znaczył; to był kres jego drogi, dalej już nie miał dokąd iść.

Nagle nad ich głowami zatrzęsło się od wybuchu, gdy od żaru eksplodował przewód gazowy. Natychmiast przez całą długość sufitu przetoczyła się w ciągu milisekundy kula ognia, a sekundę później burza płomieni, wywołanych ryczącym gazem, zbiła ich z nóg, wsysając wszystko, co znajdowało się w pokoju, do centrum pożaru, by się pożywić. Osborn zniknął McVeyowi z oczu; detektyw chwycił nogę stołu konferencyjnego i osłonił głowę zgiętą ręką. Po raz drugi tej nocy osaczył go ogień, tym razem tysiąc razy wścieklej szy.

- Osborn! Osborn! - wrzeszczał.

Żar był nie do zniesienia. Skóra na twarzy, tak paskudnie oparzona w pierwszym pożarze, teraz dosłownie smażyła mu się na czaszce. Ta odrobina powietrza, która tu dochodziła, zdawała się płynąć z pieca hutniczego. Przy każdym wdechu parzyła płuca do żywego.

- Osborn! - wołał McVey. Huk płomieni przypominał ryk morskiego przyboju. Nie sposób było wśród niego cokolwiek usłyszeć. Nagle do McVeya doleciał zapach migdałów. - Cyjanowódór! - powiedział głośno i zobaczył, że przed nim ktoś się porusza. - Osborn! To cyjanowódór! Osborn! Czy mnie słyszysz? - Ale to nie był Osborn. To była jego żona Judy. Siedziała na ganku ich letniego domku nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim. Za jej plecami widział góry, purpurowe w słońcu, u szczytów przyprószone śniegiem. Trawa była wysoka, złocista, a w okalającym ich powietrzu jak małe punkciki unosiły się owady. Wszystko takie czyste i klarowne, a ona się uśmiechała. - Judy...?

Nagle pojawiła się przed nim inna twarz, bardzo blisko, ale nie rozpoznał jej. Czerwone oczy, spalone do cna włosy i twarz jak poczerniały od dymu okoń.

- Daj mi rękę! - wrzasnęła twarz. McVey nadal patrzył na Judy.

- Kurwa mać! - dobiegł go wrzask. - Rękę!

McVey wreszcie otrząsnął się i wyciągnął rękę. Poczul czyjaś dłoń, a potem usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Nagle zaczął przybierać wyprostowaną pozycję. Podtrzymywała go czyjaś ręka; ktoś razem z nim przeciskał się przez rozbite drzwi balkonowe. Nagle zobaczył gęstą mgłę, a płuca wypełniło mu powietrze.

- Oddychaj! Oddychaj głęboko! No, oddychaj, ty skurwysynu! Słyszysz? Oddychaj!

Nie widział nikogo, ale pewien był, że wrzeszczy na niego Osborn. Tak, wiedział, że to Osborn. To on. To był jego głos.

Joanna wyjrzała przez okno pokoju hotelowego. Berlin był mroczny, otulony coraz bardziej gęstniejącą zasłoną mgły. Zastanawiała się, czyjej samolot wystartuje rano. Przeszła do łazienki, umyła zęby, a potem połknęła dwie tabletki nasenne.

Nie miała pojęcia, dlaczego Salettl tak nagle i niegrzecznie zmienił jej plany. Ani dlaczego von Holden w ogóle nie wspomniał o swym wyjeździe z panem Schollem natychmiast po zakończeniu uroczystości. Zaniepokojona, zaczęła się zastanawiać, że może to nieprawda.

Zresztą, kim jest Salettl? Jaką ma władzę, żeby wydawać polecenia komuś takiemu jak von Holden, a właściwie to nawet Schollowi? Zadał sobie trud wręczenia jej prezentu i to przekraczało zdolność pojmowania Joanny. Znaczyła dla niego nie więcej niż komar siedzący na firance, którego można wedle woli albo odpędzić, albo zmiażdżyć. Manipulował ludźmi; była pewna, że ów okropny, tajemniczy incydent seksualny, który przeżyła z Eltonem Lybargerem, można jemu przypisać. Ale to nieważne. Liczył się tylko von Holden, wszystko inne, co się wydarzyło, wydawało jej się po prostu snem.

Poszła do łóżka, myśląc o nim. Widziała jego twarz, czuła jego dotyk i wiedziała, że przez resztę życia nie pokocha już nikogo innego.

Von Holden był niemal całkowicie wyczerpany. Przez cały okres swego szkolenia w Specnazie, w KGB czy w Stasi nigdy nie doświadczył takiego fizycznego i psychicznego zmęczenia. W tej chwili mogliby wziąć jego arkusz ocen ze Specnazu, gdzie napisano, że „wykonuje zadania z uporem, w warunkach maksymalnego stresu, zachowując jasność oceny sytuacji i wybierając właściwą drogę postępowania”... i odesłać go do werifikacji.

Natychmiast po rozmowie z Salettlem udał się do apartamentów w kompleksie Złotej Galerii, by zgodnie z rozkazem czekać tam na Scholla.

Gdy zamykał drzwi, odczuł ukłucie Vorahnung, przecucia. Tylko ukłucie, ale wystarczyło, by jego zegar wewnętrzny zaczął odliczać sekundy jak bomba zegarowa. Po pięciu minutach wyszedł z apartamentów. Salettl był stary, podobnie jak Scholl, Dortmund i Uta. Władza, bogactwo i czas uczyniły z nich despotów. Nawet Scholl, mimo swego całego rzekomego niepokoju, że McVey i Osborn mogą wszystko zniszczyć, w rzeczy-

wistości w to nie wierzył. Nawet cień myśli o prawdziwym niebezpieczeństwie już od dawna go nie nawiedzał. To, że Organizacja mogłaby w jakiś sposób zawieść, było dla tych ludzi absurdem. Nawet przybycie McVeya i inspektorów z BKA z nakazem aresztowania ich nie zaniepokoiło.

Nie odwołali ceremonii w Mauzoleum, tylko ją odłożyli. I odbędzie się zgodnie z planem, gdy adwokaci zrobią swoje, a policja odejdzie. A już dowodem ich skrajnej arogancji było to, że ceremonia obejmowała nie tylko ujawnienie najtajniejszego sekretu Organizacji; jej punktem kulminacyjnym było morderstwo. Druga faza Übermorgen: rytualny mord na Eltonie Lybargerze. Prawdziwe preludium do Übermorgen.

Niech się bawią w beczelnych głupców, skoro nie umieją inaczej, ale on, Leiter der Sicherheit, jest ostatnim strażnikiem bezpieczeństwa Organizacji. Przysiągł strzec jej od wrogów wewnętrznych i zewnętrznych bez względu na cenę. Scholl uniemożliwił mu pokierowanie atakiem w hotelu Borggreve, Salettl zaś przekazał rozkaz Dortmunda, by zaczekał w apartamentach królewskich na dalsze polecenia. Czekał tam w samotności, słyszał pulsujące tykanie Forahnung w swoim wnętrzu i grzmiący aplauz, dochodzący ze Złotej Galerii, którym witano Eltona Lybargera, i zdecydował, że w takim momencie wrogowie wewnętrzni są równie niebezpieczni jak zewnętrzni. To nie oni będą wydawać rozkazy, lecz on. Tylnymi schodami zszedł do bocznego wejścia, zażądał podstawienia jednego z samochodów ochrony i białym audi pojechał prosto do domu przy Behrenstrasse czterdzieści pięć z zamiarem ponownego powierzenia pudła bezpiecznej głębi das Garten. Lecz okazało się to niemożliwe. Ulica była zatarasowana przez wozy i sprzęt strażacki. A sam dom od strychu do piwnic ogarnięty płomieniami.

Siedząc w oddaleniu i ciemności i patrząc na ten niewiarygodny widok, poczuł, że jego zmora ożywa. Zaczęła się od przezroczywych fal, powoli pulsujących jak płamy przed oczami, a potem pojawiła się czerwień zorzy i wraz z nią nieziemska zieleń.

Walcząc z wizją, wziął radio. Cholera z nimi i z tym, co robią, ale ktoś musi poinformować: Scholla, Salettla, Dortmunda czy nawet Utę Baur. W tej samej chwili, gdy chwycił radio, nadeszło wezwanie z pałacu.

- Lugo! - zakrakał rozpaczliwie Egon Prisch, pełniący obowiązki szefa ochrony Charlottenburga. - Lugo!

- Lugo - odpowiedział po chwili wahania.



- Tu wybuchło prawdziwe piekło! Złota Galeria jest zamknięta i płonie! Wszystkie wejścia i wyjścia odcięte!

- Odcięte? Jak?

- Drzwiami bezpieczeństwa. Brak elektryczności, nie ma sposobu, żeby je poruszyć!

Von Holden opuścił Behrenstrasse i w wariackim tempie ruszył ulicami Berlina. Jak to mogło się stać? Nie było żadnych oznak. Na wypadek pożaru, a także by zapobiec aktom wandalizmu drzwi bezpieczeństwa zainstalowano we wszystkich pomieszczeniach pałacu dwa lata temu, osiemnaście miesięcy przedtem, nim ustalono datę czy nawet miejsce uroczystości. W domu przy Behrenstrasse sterowany komputerowo zautomatyzowany system kontroli bezpieczeństwa funkcjonował dwadzieścia cztery godziny na dobę i tak samo było przez ubiegły tydzień w Charlottenburgu. Jeszcze dzisiaj, późnym popołudniem, von Holden osobiście dokonał inspekcji systemu wewnątrz Złotej Galerii oraz w Galerii Romantyzmu, gdzie miało się odbyć cocktail party. Nie wykrył nic niewłaściwego.

Zbliżywszy się do pałacu, zobaczył, że cały obszar jest odcięty. Mógł dostać się zaledwie do skrzyżowania przy moście Capriviego, a i to tylko pieszo. Nawet stąd, z odległości czterystu metrów, widział płomienie szalejące na niebie. Do rana cały pałac obróci się w popiół. Była to tragedia narodowa i wiedział, że nagłówki w gazetach będą ją porównywały z pożarem Reichstagu w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku. Czy znajdą powód, by przyrównywać ją do tego, co zaraz potem wydarzyło się w Niemczech - nie miał pojęcia. Wiedział natomiast, że gdyby posłuchał rozkazu Salettla i pozostał na miejscu, on sam i bezcenne pudło, które przywiózł z das Garten, znajdowałiby się w samym centrum pożogi, na którą teraz patrzył. Żadne z nich by nie przetrwało.

Właśnie wtedy, stojąc na moście Capriviego i patrząc na palący się Charlottenburg, von Holden zdecydował, że uruchomi Sektor 5, Entscheidend Verfahren, Rozstrzygającą Procedurę. Wymyślono ją w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku; miała być podjęta tylko w ostateczności, gdyby wszystko inne zawiodło. Niemal przez pół wieku była ulepszana i wypróbowywana przez tych, którym ją powierzono. Z procedurą zapoznano wszystkich członków najwyższego szczebla Organizacji i każdy z nich wypróbował ją dwa tuziny razy; potrafił się do niej zastosować przez sen. Pomyślano ją celowo tak, by mógł ją przeprowadzić nawet jeden człowiek, działając samotnie i w warunkach skrajnego zagrożenia. Trasę i wybór środków transportu pozostawiono pomysłowości wykonawcy, gdy

już mu przyjdzie się nią posłużyć. Najpiękniejszą jej cechą była prostota i elastyczność i właśnie z tych powodów była niezawodna. I to zawsze, nawet gdy role agentów grali najważniejsi działacze Organizacji, dysponujący nieograniczonymi środkami.

Podjąwszy decyzję, von Holden wrócił do audi i odjechał, rozpraszając na moment hordę gapiów, którzy zbiegli się, by oglądać pożar. Dla von Holdena było oczywiste, że oba pożary, zarówno Charlottenburga, jak ten na Behrenstrasse, są dziełem sabotażystów. Oznaczało to, że musi jak najszybciej opuścić Niemcy. Ci, którzy podłożyli ogień, bez względu na to, czy byli z BKA, niemieckiego wywiadu, CIA, Mossadu, francuskiego lub brytyjskiego wywiadu wojskowego, będą pilnować wszystkich punktów wyjazdowych z kraju w poszukiwaniu każdego, kto mógł się wymknąć. Gęsta mgła, która już wcześniej go niepokoiła, uniemożliwiała ucieczkę drogą powietrzną, nawet prywatnym odrzutowcem. Mógł posłużyć się audi, ale byłaby to długa podróż i mogły ją przerywać blokady na drogach lub zwykła awaria wozu. Z autobusu, gdyby ich zatrzymano, nie dałoby się uciec. Pozostawał tylko pociąg. Na zatłoczonej stacji można się zgubić, a potem wsiąść do jednoosobowego przedziału sypialnego. Na granicach nie kontrolowano już tak dokładnie jak niegdyś. Prócz tego, gdyby wynikły kłopoty, można w dowolnym miejscu pociągnąć hamulec bezpieczeństwa i wymknąć się w powstałym zamieszaniu. Samotny człowiek, kupujący bilet sypialny na nocny pociąg, może zostać zapamiętany, wysledzony i ujęty. Nie było jednak innej drogi i von Holden o tym wiedział. Musiał to im jakoś skomplikować, coś wymyślić...

## 127

Już dwadzieścia siedem oddziałów straży z motopompami walczyło ze strasznym pożarem w Charlottenburgu. Z okęgów podmiejskich przybywały następne. Tysiące widzów utrzymywanych w ryzach przez kilkuset berlińskich policjantów w stalowych hełmach wysilało się, by coś zobaczyć, choćby z daleka. Pomimo gęstej mgły helikoptery policyjne i pożarnicze walczyły o miejsce w powietrzu bezpośrednio nad pożogą.

Strażacy z Drugiej Brygady Straży Pożarnej przedostali się na tyły budynku, rozwalając tymczasowe płotki policyjne i zdeptując park. Próbowali skupić wyloty węży na wściekle płonących górnych piętrach, gdy z ciemności wynurzył się Osborn, wrzeszcząc o pomoc.

Zostawił McVeya jak najdalej od okropnego żaru, tam gdzie zdołał go dociągnąć, leżącego na plecach w trawie. McVey był nieprzytomny, z trudem oddychał, toteż Osborn rozerwał mu marynarkę i koszulę. Ale był bezradny wobec gwałtownych skurczów mięśni szyi i ramion. Antidotum na cyjanowodór jest atropina, ale potrzebował jej zaraz. Po drugiej stronie Szprewy dostrzegł gapiów, więc dławiąc się i czując mdłości, gdyż także on lekko zatrzał się gazem, pobiegł na brzeg, wrzeszcząc i wymachując ramionami. Ale już po krótkiej chwili zrozumiał, że ma nowego wroga. Odległość i ciemność. Nikt nie mógł go widzieć ani słyszeć. Odwrócił się i ujrział McVeya wijącego się w trawie, a za nim szalejące piekło. McVey umierał, a on nic na to nie mógł poradzić, tylko patrzeć. Wtedy właśnie pojawili się strażacy.

-Cyjanowodór. - Kaszłąc i dusząc się, Osborn wrzasnął do potężnego strażaka, który przebiegał obok niego wśród żaru i wirującej mgły. Wiedział, że amerykańskie straże pożarne wożą ze sobą także odtrutkę na cyjanowodór, ponieważ płonący plastik wydziela cyjanowodór. Modlił się, by Niemcy byli równie nowoczesnie wyposażeni.

- Antidotum na cyjanowodór! Azotyn amylu! Czy rozumiesz? Azotyn amylu! To odtrutka!

-Ich verstehe nicht Englisch - powiedział współczująco strażak.

-Doktora! Doktora! Proszę! - błagał Osborn, wymawiając słowa jak najstaranniej. Modlił się, by go rozumiano.

-Arzt! Ja! - Strażak kiwnął głową. - Toktora, tak! - Ich brauche schnell einen Arzt! Zyngas! - powiedział szybko i zdecydowanie do mikrofonu na kołnierzu swej kurtki, domagając się natychmiastowej pomocy lekarskiej.

-Azotyn amylu! - powtórzył Osborn, a potem odwrócił się, zgiął w pół i zwymiotował na trawę.

Remmer jechał z nimi w ambulansie. Lekarstwo zaczęło skutkować. Był z nim niemiecki sanitariusz, który je podał, i jeszcze dwóch innych. Maską tlenową zakrywała nos i usta McVeya. Jego oddech zaczynał się wyrównywać. Osborn, leżący obok McVeya z podłączoną kroplówką, gapił się na Remmera, słuchając szczekliwego głosu jego policyjnego radia, głośniejszego niż zawrozenie syreny ambulansu. Mówiono po niemiecku, ale co nieco Osborn rozumiał. Zniszczono Charlottenburg i niemal wszyscy wewnątrz zginęli w pożarze. Tylko on, McVey oraz kilku ze służby i

z ochrony ocaleli. Złota Galeria nadal była odcięta metalowymi drzwiami, teraz nadtopionymi w pokręconą masę. Upłyną godziny, może nawet dni, nim ratownicy w maskach gazowych będą mogli tam wejść.

Leżąc na plecach, starał się wymazać z pamięci widok McVeya w trawie. Był dorosłym człowiekiem, mającym wiedzę lekarską, ale na nic się to nie zdało. Nic nie mógł zrobić, był bezradny, mógł tylko patrzeć... wreszcie pobiec z wrzaskiem po pomoc. Tyle samo mógł zrobić dla ojca leżącego w rynsztoku na ulicy Bostonu tak wiele lat temu.

Zaczął łkać bezgłośnie, gdy zdał sobie sprawę, że tajemnicę śmierci jego ojca pogrzebał rozpalony gruz Charlottenburga. Po tych wszystkich wydarzeniach zdołał się tylko dowiedzieć, że jego ojciec i nieokreślona liczba innych padli ofiarą skomplikowanego i makabrycznego spisku, związanego przez tajną, elitarną grupę hitlerowców, przeprowadzających eksperymenty z zakresu chirurgii atomowej w niskich temperaturach. A jeśli teoria McVeya dotycząca Eltona Lybargera jest zgodna z prawdą, to odnieśli sukces. Ale dlaczego to wszystko robiono - nadal nie znał odpowiedzi. Być może już i tak dowiedział się zbyt wiele. Pomyślał o Karolin Henniger i jej synu, uciekającymi przed nim w zaułku. Ilu jeszcze ludzi zginęło wskutek jego prywatnych poszukiwań? Większość absolutnie niewinnych. I to wszystko przez niego. Przerzucił zmoreł swojej egzystencji na innych. Tragicznie przerwano życie tylu istot ludzkich.

Kimkolwiek był Bóg, który go zdradził, gdy Osborn miał dziesięć lat, zdradzał go nadal. Zdradził nawet Verę, która przez kilka krótkich dni stała się dla Osborna światłem, o jakim nigdy nie marzył. Cóż innego ów Bóg dla niej uczynił prócz napiętowania jej jako konspiratorki, oderwania od niego i wtrącenia do więzienia?

Nagle wyobraził ją sobie pod przeraźliwym blaskiem nigdy niegasnących świateł. Gdzie jest w tej chwili? Co z nią robią? Jak udaje jej się przetrwać? Chciał wyciągnąć ręce i ją utulić, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. A potem pojawiła się myśl, że nawet jeśli jej to powie, ona cofnie się, odskoczy przed jego dotknięciem, gdyż już mu nie ufa. Czy te wszystkie wydarzenia zniszczyły także i to?

- Osborn... - doleciał nagle ochrypy głos McVeya przez maskę tlenową.

Wykręciwszy głowę, Osborn zobaczył twarz Remmera, oświetloną

wewnętrznymi lampkami ambulansu. Niemiec przyglądał się McVeyowi. Jakby chciał go zmusić do powrotu do życia. I do zdrowia.

- Osborn jest tutaj, McVey. Z nim wszystko w porządku - powiedział Remmer.

Ściągnąwszy własną maskę, Paul zbliżył się, by wziąć McVeya za rękę i przekonał się, że detektyw nie spuszcza z niego wzroku.

- Wkrótce dotrzemy do szpitala - zapewnił, próbując go uspokoić.

McVey zakaszał, jego pierś uniosła się z wysiłkiem i zamknął oczy.

Remmer spojrział na niemieckiego sanitariusza.

- Wyzdrowieje - zapewnił Osborn, nie wypuszczając dłoni McVeya. - Niech tylko odpocznie.

- Do dupy z tym. Posłuchaj mnie. - McVey otworzył oczy. - Salettl... - przerwał, by odetchnąć głęboko - powiedział... fizykoterapeutka Lybargera... będzie w...

- Porannym samolocie do Los Angeles! - dokończył pośpiesznie za niego Osborn. - Jezu Chryste, musiał to powiedzieć z jakiegoś powodu! Ona żyje. I jest tu, w Berlinie!

- Tak...

## 128

Separatka na szóstym piętrze Universitats Klinik Berlin była zaciemniona. McVeya zabrano na oddział ciężkich poparzeń, Remmer poszedł na prześwietlenie i włożono mu rękę w gips, Osborna pozostawiono samego. Trafił tu brudny i wyczerpany, z włosami i brwiami opalonymi tak krótko, że mógłby uchodzić za Yula Brynnera lub rekruta piechoty morskiej; został zbadany, wykąpany i położony do łóżka. Chcieli dać mu środek uspokajający, lecz odmówił.

Policja berlińska przeczesywała miasto w poszukiwaniu Joanny Marsh, a on mógł po prostu spać, ale mu się nie udało. Może był zbyt zmęczony, może lekkie zatrucie cyjanowodorem dało taki nieopisany dotąd skutek uboczny i podziało jak nagły napływ adrenaliny. Bez względu na przyczynę Osborn leżał z szeroko otwartymi oczami. Widział w szafie swój garnitur wiszący obok pogniecionego ubrania McVeya. Przez otwarte drzwi dostrzegł dyżurkę siostry przełożonej. Siedziała w niej wysoka blondynka, rozmawiała przez telefon i równocześnie wprowadzała dane do

stojącego przed nią komputera. Następnie pokazał się doktor na nocnym obchodzie. Osborn zauważył, że pielęgniarka mruga do lekarza, gdy ten się zatrzymał, by sprawdzić jakieś papiery. Ile czasu upłynęło od chwili, gdy on sam odbywał obchody szpitalne? Czy w ogóle to robił? Zdawało mu się, że przebywa w Europie od niepamiętnych czasów. Zakochany lekarz, który przedzierzgnął się w ścigającego, ofiarę, uciekiniera i wreszcie znów ścigającego, w dodatku mającego za sprzymierzeńców policjantów z trzech krajów. Zastrzelił troje terrorystów... kobietę. Jego życie i praktyka zawodowa w Kalifornii istniały jedynie jako niejasne wspomnienie. Tak i nie. Przecież w jakiś sposób było to lustrzanym odbiciem jego życia. Tak i nie. To wszystko zdarzyło się, gdyż nigdy nie umiał pogrzebać wspomnienia śmierci ojca. I nadal nic się nie zmieniło. To właśnie nie pozwalało mu zasnąć. Próbował znaleźć odpowiedź, obszukując ciała Scholla i Salettl. Nie znalazł. I zdawało się, że to już koniec podróży, gdy nagle McVey przypomniał sobie, co mówił Salettl. Joanna Marsh mogła znać odpowiedź lub być całkowicie niewinna. Ale musieli wyjaśnić, jaką w tym wszystkim odegrała rolę, tak jak Osborn musiał wyjaśnić po śmierci Alberta Merrimana, jaką w tym wszystkim rolę odegrał Scholl. A więc podróż jeszcze nie dobiegła kresu. Lecz z McVeyem unieruchomionym na nie wiadomo jak długo... jak ją kontynuować?

## 129

O dwunastej trzydzieści pięć w nocy Baerbel Bracher, z psem szarpiącym się na smyczy, stała i rozmawiała z inspektorami z wydziału zabójstw Polizeipresidium, głównej komendy policji berlińskiej. Baerbel Bracher miała osiemdziesiąt siedem lat. Jej szesnastoletni piesek Heinz miał kłopoty z pęcherzem. Musiała wychodzić z nim na spacer czterokrotnie jednej nocy, a czasem nawet więcej. Ta noc była zła, pani Bracher wychodziła po raz szósty, gdy ujrzała samochody policyjne, a potem policjantów oraz nastolatków otaczających zaparkowaną taksówkę.

- Tak, widziałam go. Młody, przystojny i ubrany w smoking. - Przerwała, gdy podjechała policyjna karetka i wysiadł z niej lekarz w otoczeniu asystentów w białych fartuchach, po czym zbliżyli się do taksówki. - To dziwne, pomyślałam, że przystojny mężczyzna w smokingu wysiada z taksówki, wrzuca klucze do środka i odchodzi. - Starsza pani patrzyła, jak

nowo przybyli zbliżają się z noszami i workiem na zwłoki, otwierają bagażnik, wydobywają z niego ciało młodej kobiety, wkładają je do worka i zasuwiają zamek błyskawiczny. - Ale przecież to nie moja sprawa, prawda? No i poza tym miał przewieszzone przez ramię wielkie białe pudło. Pomyślałam, że to też dziwne: młody człowiek w smokingu, taszczący, ot tak sobie, nieporęczne pudło. Ale w dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe. Ja już staram się nie myśleć.

Smoking wskazywał na ewentualne powiązanie owego człowieka z wydarzeniami w Charlottenburgu i o pierwszej w nocy Baerbel Bracher siedziała w komendzie policji, oglądając fotografie. Ponieważ sprawa mogła mieć związek z Charlottenburgiem, powiadomiono BKA. Bad Godesberg natychmiast skontaktował się z Remmerem.

- Podrzucić do zestawu tę fotografię von Holdena, wykonaną z filmu wideo nakręconego na zewnątrz domu przy Hauptstrasse - polecił ze swego pokoju w szpitalu. - Nie róbcie tego ostentacyjnie. Po prostu dołączcie ją do innych.

Dwadzieścia minut później Bad Godesberg oddzwonił: identyfikacja była pozytywna. Oznaczało to, że członek Organizacji ocalał z pożaru w Charlottenburgu i uciekł. Natychmiast wysłano do wszystkich placówek policyjnych list gończy, a Remmer zażądał międzynarodowego nakazu aresztowania podejrzanego o morderstwo, znanego jako Pascal von Holden, Argentyńczyka ze szwajcarskim paszportem.

W ciągu godziny sędzia w Bad Godesbergu wydał taki nakaz. Kilka chwil później fotografię von Holdena przekazano elektronicznie do wszystkich instytucji policyjnych na kontynencie, w Wielkiej Brytanii oraz do Ameryki Północnej i Południowej. Nakaz opatrzone kodem czerwonym: aresztować i osadzić w więzieniu. Informacja dodatkowa: należy go uważać za uzbrojonego i wyjątkowo niebezpiecznego.

- Jak się czujesz?

Było już po drugiej, gdy Remmer wszedł do pokoju Osborna.

- Dobrze. - Osborn drzemał, ale ocknął się, gdy Remmer wchodził. -

Jak twój nadgarstek?

Remmer podniósł lewą rękę.

- Na razie gips.

- McVey?

- Śpi.

Remmer podszedł bliżej i Osborn zobaczył w jego oczach napięcie.

- Znaleźliście pielęgniarkę Lybargera!

- Nie.

- Więc o co chodzi?

- Ten żołnierz Specnazu, jak twierdzi Noble, człowiek, którego spotkałeś w Tiergarten, uszedł cało z pożaru.

Osborn drgnął. Jeszcze jedna luźna nitka.

- Von Holden?

- Mężczyznę odpowiadającego jego rysopisowi widziano, jak wsiadał do pociągu o dziesiątej czterdzieści osiem do Frankfurtu. Nie ma pewności, że to on, ale tak czy inaczej jadę tam. Za duża mgła na samolot, pociągu nie ma, jadę samochodem.

- A ja z tobą.

- Pewnie. - Remmer wyszczerzył zęby.

Dziesięć minut później ciemnoszary mercedes wyjechał z Berlina autostradą. Był to policyjny model, z sześciolitrowym silnikiem V-8. Jego szybkość maksymalną utajniono, ale plotkowano, że na prostych odcinkach osiąga trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę.

- Muszę wiedzieć, czy nie cierpisz na chorobę lokomocyjną. - Remmer znacząco spojrzał na Osborna.

- Dlaczego?

- Pociąg berliński dojeżdża tam cztery po siódmej. Teraz mamy kilka minut po drugiej. Szybki kierowca na autostradzie potrafi przejechać z Berlina do Frankfurtu w pięć i pół godziny. Jestem szybkim kierowcą. Jestem też gliną.

- Jaki jest rekord trasy?

- Nie ma rekordu.

- No to go ustanów. - Osborn się uśmiechnął.

## 130

Von Holden odchylił się w ciemności na oparcie i wsłuchał w stukot pociągu pędzącego po szynach. W mroku przemknęło jak błyskawica małe miasteczko, wkrótce potem następne. Powoli zostawiał za sobą berlińskie wydarzenia, co pozwalało mu skoncentrować się na zadaniu, które miał wypełnić. Dostrzegł, że z przeciwległego łóżka przygląda mu się kobieta.



- Proszę spróbować zasnąć - powiedział.

- Tak... - odparła Vera, a potem przewróciła się na bok, usiłując wykonać jego polecenie.

Było już po dziesiątej, gdy po nią przyszli. Zabrali z celi i zaprowadzili do innego pokoju, gdzie czekała na nią odzież, którą miała na sobie w chwili aresztowania. Potem jechała windą i wyprowadzono ją na zewnątrz do samochodu, w którym czekał ten człowiek. Był to Hauptkommissar, główny inspektor Federalnego Biura Kryminalnego; polecono jej, by robiła dokładnie to, co powie. Powiedziano jej, że nazywa się von Holden.

Kilka chwil później skuci razem kajdankami przeszli peronem i wsiedli do pociągu na Bahnhof Zoo, centralnym dworcu kolejowym Berlina.

- Dokąd pan mnie zabiera? - zapytała ostrożnie, gdy zamknął na klucz drzwi do przedziału sypialnego.

Milczał; zsunął z ramienia duże pudło, postawił je na podłodze, potem schylił się i otworzył kajdanki.

- Do Paula Osborna - powiedział wreszcie. Paul Osborn. Te słowa ją zelektryzowały.

- Został przewieziony do Szwajcarii.

- Czy dobrze się czuje? - Myśli zawirowały jej w głowie. Do Szwajcarii! Dlaczego? Mój Boże, co się stało?

- Nie dostałem informacji. Tylko rozkazy. - Von Holden wskazał jej łóżko i usiadł na fotelu naprzeciw. Wkrótce pociąg wyruszył ze stacji i zaraz potem von Holden zgasił światło.

- Dobranoc - powiedział.

- Dokąd w Szwajcarii?

- Dobranoc.

Von Holden uśmiechnął się w ciemności. Reakcje Very były spontaniczne: głębokie zaniepokojenie i prawie natychmiast potem nadzieja. Bez względu na to, jak była przestraszona i wyczerpana, w centrum jej zainteresowania pozostawał Osborn. Oznaczało to, że nie sprawi mu kłopotów, dopóki będzie wierzyła, że rzeczywiście ją do niego zabiera. To, iż rzekomo pozostawała w dyspozycji inspektora z BKA, stanowiło dodatkowe zabezpieczenie.

Wcześniej tego samego dnia von Holden został powiadomiony przez agentów sektora berlińskiego o jej aresztowaniu. W owym momencie informacja ta nie miała większego znaczenia, ale bieg wypadków spowodował, że stała się bardzo cenna. Pół godziny od otrzymania jego dyrektywy sektor berliński załatwił jej zwolnienie.

Przez ten czas von Holden zmienił ubranie, przełożył pudło do specjalnego pokrowca z czarnego nylonu, który można było nosić zarówno na ramieniu, jak i na plecach. Otrzymał też legitymację BKA.

McVey, aresztując Verę, jak na ironię i mimowolnie, wyręczył von Holdena w komplikowaniu życia policji. Nie był już samotnic podróżującym mężczyzną, ale kimś dzielącym pojedynczy przedział pierwszej klasy z wyjątkowo atrakcyjną kobietą. Co ważniejsze, była jego zakładniczką i w dodatku osobą bardzo cenną dla policji.

Von Holden popatrzył na zegarek. Za trochę ponad pięć godzin znajdują się we Frankfurcie. Pozwoli sobie na cztery godziny snu, a potem zdecyduje, co robić dalej.

## 131

Obudził się punktualnie o szóstej. Po drugiej stronie przedziału Vera jeszcze spała. Wstał, przeszedł do małej łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Umył twarz i ogolił się, korzystając ze znajdujących się tam przyborów toaletowych. Równocześnie pomyślał o Charlottenburgu. Im dłużej rozmyślał nad tym, co się wydarzyło, tym bardziej stawało się dla niego oczywiste, że musiało to być wynikiem działania kogoś, może nawet kilku osób, wewnątrz Organizacji. Przypomniawszy sobie, jak upiornie wyglądał Salettl koło Mauzoleum. Jak był zdenerwowany, gdy informował go o policji, która pojawiła się z nakazem aresztowania Scholla. Z jakim wyrachowaniem rozkazał mu zabrać pudło i poczekać w apartamentach królewskich, skazując go na pewną śmierć.

Co prawda, podejrzewanie Salettla zakrawało na absurd. Doktor był zaangażowany w Übermorgen od początku, jeszcze od lat trzydziestych. Kierował wszystkimi pracami medycznymi, nadzorował chirurgiczne obcinanie głów i eksperymentalne operacje. Dlaczego miałby nagle uczynić zwrot, zniszczyć wszystko, czemu poświęcał się przez ponad pół wieku? Ale z drugiej strony, któż inny miałby tak otwarty dostęp nie tylko do Charlottenburga, ale i do najgłębszych tajemnic Übermorgen?

Dźwięk gwizdka pociągu wyrwał von Holdena z zadumy. Za czterydzieści minut dotrą do Frankfurtu. Postanowił unikać lotnisk i polegać na pociągach, które przy odrobinie szczęścia przewiozą go bezpiecznie przez

resztę drogi. O siódmej czterdzieści sześć odchodził ekspres Intercity, który dowiezie ich do Berna o dwunastej dwanaście w południe. Stamtąd jeszcze półtorej godziny podróży do Interlaken i ostatnia przesiadka na kolejkę zębatą Kolei Berneńsko-Oberwaldzkiej, zapierająca dech w piersiach jazda w górę Alp, a potem na szczytową stację Jungfrau.

## 132

Remmer praktycznie nie spał przez ostatnie dwadzieścia jeden godzin, a poprzedniej doby przespał ledwie trzy. Z tego powodu z opóźnieniem zareagował na światła migoczące na śliskiej od deszczu autostradzie tuż na północ od Bad Hersfeld. Osborn krzyknął pierwszy i automatyczną odpowiedzią Remmera było naciśnięcie hamulców, co w ciągu kilku sekund zmniejszyło szybkość wielkiego mercedesa z dwustu osiemdziesięciu do poniżej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Zaciśnięte na skórzanym siedzeniu mercedesa palce Osborna pobielały, gdy wóz z szaleńczą szybkością obrócił się poślizgiem o trzysta sześćdziesiąt stopni. Jednocześnie przez ułamek sekundy mignęły mu rozbite samochody niedaleko przed nimi. Co najmniej dwie ciężarówki z przyczepami i pół tuzina osobowych aut było rozrzuconych po całej autostradzie. Mercedes wirował z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę nie dalej niż o pięćdziesiąt metrów od pierwszej przewróconej ciężarówki. Osborn, spięty w oczekiwaniu na zderzenie, zerknął na Remmera. Remmer siedział nieruchomo z dłońmi na kierownicy, jakby jechał prosto w przepaść i nie miał siły, by temu zaradzić. Osborn był już o krok od tego, by wyrwać mu kierownicę z rąk i spróbować objechać ciężarówkę, gdy maska samochodu ustawiła się na wprost. W tym momencie Remmer dotknął pedału gazu. Opony mercedesa odzyskały przyczepność, samochód wyszedł z poślizgu i skoczył do przodu. Remmer zdjął nogę z gazu, lekko nacisnął hamulce i wóz przemknął centymetry obok rozbitej ciężarówki. Znów dotknięcie hamulców, obrót kierownicy i Remmer uniknął zetknięcia z przewróconym volvo. Wpadli na miękki żwir pobocza, mercedes uniósł się na dwóch kołach, zachwiaił, opadł i stanął.

Przecinając tory kolejowe prowadzące do dworca głównego we Frankfurcie, pociąg ledwie pełznął. Gdy wjeżdżali na stację, von Holden stał z boku przy oknie. Patrzył czujnie, jakby na coś czekał.

Vera siedziała na łóżku i nie spuszczała go z oczu. Przez całą noc miała mętlik w głowie, na pół spała, na pół czuwała. Po co Paul pojechał do Szwajcarii? Dlaczego policja ją do niego wiezie? Czy jest ranny, może nawet umierający...?

Poczuła, że pociąg zwalnia jeszcze bardziej, a potem się zatrzymuje. Rozległ się ostry syk hamulców pneumatycznych, po którym nastąpił odgłos otwierania drzwi wagonu.

-Przesiadziemy się do innego pociągu - powiedział wyraźnie von Holden. - Przypominam pani, że jest pani zatrzymana przez Federalne Biuro Kryminalne.

-Zabiera mnie pan do Paula i sądzi, że ucieknę?

Nagle ostro zastukano do drzwi.

-Policja. Proszę otworzyć. Policja?

Vera spojrzała na von Holdena.

Nie zwracając na nią uwagi, podszedł do okna i wyjrzał. Ludzie kręcili się po peronie, ale nie zobaczył policjantów, przynajmniej nie w mundurach.

-Policja. - Pukanie rozległo się ponownie. – Natychmiast otworzyć drzwi!

Von Holden odwrócił się.

-Pomyłka. Pewnie szukają kogoś innego.

Przeszedł przez przedział i uchylił drzwi na tyle, by dało się przez nie wyrzucić.

-Ja? - rzucił, nakładając okulary, jakby chciał się lepiej przyjrzeć policjantom.

Ujrzał dwóch mężczyzn po cywilnemu, jeden był nieco wyższy niż drugi. Za nimi stał policjant w mundurze, z pistoletem maszynowym w rękach.

-Proszę wyjść z przedziału - powiedział ten wyższy.

-BKA - odparł von Holden, otwierając szerzej drzwi, by mogli ujrzeć Verę.

-Proszę wyjść z przedziału! - powtórzył wyższy. Ścigali uciekiniera nazwiskiem von Holden. Ten człowiek mógł nim być, a mógł też nie być. Mieli tylko zdjęcie; sfotografowany mężczyzna nie nosił okularów. A poza tym BKA? Co to za historia? I kim jest kobieta?

-Dobrze. - Von Holden wyszedł na korytarz.

Niższy detektyw przyglądał się Verze. Mundurowy patrzył na niego. Von Holden się uśmiechnął.

-Kim ona jest? - zapytał wyższy mężczyzna.

-Transportowana więźniarka. Podejrzana o terroryzm.

-Dokąd transportowana?

- Bad Godesberg. Centrala BKA.

- Gdzie jest żeńska funkcjonariuszka? Policjantka? Vera spojrzała na von Holdena. O czym oni mówią?

- Nie ma żadnej - odrzekł spokojnie von Holden. - Nie było czasu. To ma coś wspólnego z Charlottenburgiem.

- Poproszę o legitymację.

Von Holden spostrzegł, że mundurowy zerka przez okno na przechodzącą przystojną kobietę. Odpreżali się, zaczęli mu wierzyć.

- Oczywiście. - Sięgnąwszy prawą ręką do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął dokument i wręczył niższemu detektywowi.

- Dobrze się pani czuje, panno Monneray? - Von Holden spojrzał na Verę.

- Nie rozumiem, co tu się dzieje.

- Ja też nie.

Von Holden odwrócił się do niej plecami. Rozległy się dwa jakby ciche splunięcia. Policjant w mundurze nagle wytrzeszczył oczy i kolana się pod nim ugięły. Równocześnie pękaty wylot tłumika znalazł się na poziomie czoła niższego z detektywów. Następne pyknięcie i człowieka odrzuciło do tyłu; miał odstrzelony tył głowy. Von Holden odskoczył na bok, w chwili gdy beretta wyższego z detektywów wysuwała się zza marynarki. Mały pistolet von Holdena trafił mężczyznę dwukrotnie, raz powyżej i raz poniżej mostka. Przez moment na twarzy detektywa malowała się złość, a potem osunął się na podłogę.

Chwilę później von Holden wraz z Verą wysiedli z pociągu i poszli peronem wraz z tłumem pasażerów, kierujących się do hali dworcowej. Von Holden niósł skrzynkę przewieszoną przez lewe ramię, prawą dłonią mocno trzymał Verę. Była blada z przerażenia.

- Posłuchaj mnie. - Von Holden patrzył prosto przed siebie, jakby prowadził swobodną konwersację. - Ci ludzie nie byli z policji.

Vera szła obok niego automatycznie, próbując odzyskać zimną krew.

- Zapomnij o tym, co się wydarzyło - powiedział. - Wyrzuć ten obraz z pamięci.

Byli już w hali dworcowej. Von Holden rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł nikogo wyglądającego na policjanta. Zegar nad kioskiem z gazetami pokazywał siódmą dwadzieścia pięć. Von Holden podniósł głowę i przyjrzał się wiszącej w górze tablicy z rozkładem jazdy pociągów. Gdy znalazł to, czego szukał, skierował Verę do baru szybkiej obsługi i zamówił kawę.

- Proszę to wypić - powiedział. Gdy się zawahała, uśmiechnął się. - Proszę.

Vera wzięła filiżankę. Dłonie jej drżały. Wciąż była przerażona. Upiła łyk i poczuła, jak ciepły płyn spływa do żołądka. Nie tyle zobaczyła, ile wyczuła, że von Holden dokądś odchodzi; gdy wrócił, trzymał w ręku gazetę.

- Powiedziałem, że ci ludzie nie byli z policji. - Pochylił się do niej blisko, tak by nikt ich nie podsłuchał. - W Niemczech po zjednoczeniu narodził się nowy ruch nazistowski. W tej chwili działają w podziemiu, ale są zdecydowani stać się ponownie główną siłą polityczną. Zeszłej nocy setka Niemców o demokratycznych poglądach, ludzi najpotężniejszych i najbardziej wpływowych, zebrała się w pałacu Charlottenburg w Berlinie. Mieli zostać poinformowani o tym, co się dzieje w ich kraju, i poproszeni o poparcie walki z tym ruchem.

Rzuciwszy okiem na zegar na ścianie, von Holden rozłożył gazetę. Na pierwszej stronie zamieszczono dramatyczne zdjęcie Charlottenburga tonącego w płomieniach. Nagłówek niemiecki krzyczał: Charlottenburg brennt! - Charlottenburg płonie!

- Podpalono go bombami zapalającymi. Wszyscy przebywający wewnątrz zostali zabici. To właśnie ludzie z tego nowego ruchu nazistowskiego są za to odpowiedzialni.

- Opowiada mi to pan z jakiegoś powodu. - Vera czuła, że von Holden coś przed nią ukrywa.

W oddali zobaczył pół tuzina umundurowanych policjantów, biegnących do pociągu, z którego właśnie wysiedli. Znów popatrzył na zegar. Siódma trzydzieści trzy.

- Proszę pójść ze mną. - Von Holden wziął ją pod rękę i skierował się w stronę czekającego pociągu. - Paul Osborn odkrył, że ludzie, z którymi przestawał, nie są tymi, za kogo się podają.

- McVey? - Vera nie mogła w to uwierzyć.

- On też.

- Nie, nigdy. Jest Amerykaninem, tak jak Paul.

- Czy to tylko przypadek, że francuski policjant, z którym McVey współpracował w Paryżu, został postrzelony i zabity w londyńskim szpitalu, a wczoraj niemal o tej samej porze znaleziono ciało francuskiego premiera?

- O Boże... - Vera wyraziście przypomniała sobie Lebruna, jak stał z McVeyem w jej apartamencie. Znów zaczynał się horror niemieckiej okupacji we Francji. Przyjrzeć się tysiącowi twarzy i nie zaufać żadnej. To z

tym Francois Christian znów musiał walczyć we Francji. Najbardziej się obawiał, że duch francuski niepostrzeżenie poddawany jest coraz większym wpływom germańskim. A same Niemcy w tym czasie, rozdierane sporami niezadowolonych obywateli, zmierzały krokiem lunatyka w ręce faszystów.

- To jest właśnie rzeczywistość, z jaką mamy do czynienia - kontynuował z naciskiem von Holden. - Zorganizowani, doskonale wyszkoleni neonazistowscy terroryści, działający w Europie i w obu Amerykach. Osborn to wykrył i przyszedł do nas. Wywieźliśmy go poza Niemcy dla jego bezpieczeństwa. To samo dotyczy i pani.

- Mnie? - Vera patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie na mnie w tej chwili polują, lecz na panią. Wiedzą o pani związku z Francois Christianem. Będą uważać, że pani wiele wie, bez względu na to, czy to prawda, czy nie.

Aż nazbyt wyraźnie Vera ujrzała Avril Rocard, zbliżającą się do wiejskiego domu pod Nancy, martwych agentów francuskiego kontrwywiadu rozciągniętych za nią na ziemi.

- Skąd pan wie o Francois? - zapytała z wysiłkiem.

- Osborn nam powiedział. Dlatego właśnie wyciągnęliśmy panią z więzienia, zanim McVey i jego przyjaciele zapuszczą jeszcze dalej swoje macki.

Skęcili na peron i szli wśród ludzi przechodzących koło oczekującego pociągu. Von Holden szukał numeru wagonu. Przez głośnik ogłoszono przybycie jednego pociągu, odjazd drugiego. Jak policja wykryła, dokąd pojechał? Badał wzrokiem twarze i ruchy idących koło nich ludzi. Atak mógł nastąpić z każdej strony. Z daleka dobiegło wycie syreny. I wtedy zobaczył wagon, którego szukał.

O siódmej czterdzieści sześć ekspres Intercity ruszył z dworca. Vera niepewnie usadowiła się obok von Holdena na wygniecionym, krytym czerwonym aksamitem siedzeniu w przedziale pierwszej klasy. Gdy pociąg przyśpieszył, odchyliła się na oparcie i popatrzyła na widok za oknem. To, że McVey mógł okazać się kimś innym, było nieprawdopodobne. Ale przecież Lebrun nie żył i Francois Christian także. A von Holden wiedział o wszystkim zbyt wiele, by mu nie wierzyć. Teraz jeszcze stu ludzi zginęło w pożarze Charlottenburga, nie mówiąc już o trzech zabitych przez von Holdena na dworcu kolejowym. W innym czasie, w innych okolicznościach może myślałaby jaśniej. Ale zdarzyło się zbyt wiele, zbyt szybko i zbyt brutalnie.

Najbardziej z tego wszystkiego przerażało ją to, że wypadki rozgrywały się w cieniu widma wzrastającego w siłę niemieckiego ruchu politycznego, aż nazbyt odrażającego, by móc o nim w ogóle myśleć.

### 133

Przez całą godzinę nie mogli myśleć o niczym poza krwawymi jatkami wokół. Osborn, najpierw z pomocą Remmera, a potem pierwszych przybyłych sanitariuszy, próbował udzielać pomocy ofiarom wypadku, leżącym na zakrwawionym asfalcie autostrady. Musiał odwołać się do całej swej wiedzy chirurga, do wszystkiego, czego się nauczył od pierwszego dnia pobytu w szkole medycznej. Nie miał narzędzi, leków ani środków znieczulających.

Ostrze należącego do kierowcy ciężarówki szwajcarskiego noża wojskowego, trzymane dla sterylizacji w płomieniu zapalniczki, posłużyło za skalpel, gdy dokonywał tracheotomii, by otworzyć tchawicę siedemdziesięcioletniej zakonnicy.

Potem Osborn podszedł do kobiety w średnim wieku. Jej nastoletni syn, bliski hysterii, wrzeszczał, że matka ma odciętą nogę i zaraz wykrwawi się na śmierć. Noga nie była odcięta, tylko rozerwana. Osborn użył własnego paska jako opaski uciskowej, by powstrzymać krwotok, a następnie pouczył chłopaka, co ma robić, by opatrunek pozostawał mocno ściśnięty. Remmer wrzeszczał na niego, żeby przyszedł pomóc wyciągnąć młodą kobietę spod małego samochodu, tak zmiażdżonego, że wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek mógł w nim ocaleć. Położyli się płasko na asfalcie, Osborn ostrożnie wyciągał ją na zewnątrz, Remmer zaś, przemawiając do niej po niemiecku, unosił nogami stos poskręcanej stali. Dopiero gdy ją wydobyli, ujrzeli, że trzyma w ramionach dziecko. Dziecko było martwe. Gdy to zrozumiała, po prostu wstała i odeszła. Chwilę później kierowca autokaru Volkswagen, przytrzymując swą złamaną rękę, pobiegł za nią, gdy zdał sobie sprawę, że kobieta kieruje się obok szeregu zatrzymanych wozów prosto pod nadjeżdżające samochody. Ciągłe przybywały wozy policyjne, ambulanse i samochody strażackie, z Frankfurtu leciał helikopter sanitarny. Na końcu udzielili pomocy wychudzonemu jak szkielet młodemu człowiekowi w ostatnim stadium AIDS; Remmer trzymał go w ramionach, Osborn zaś próbował nastawić mu paskudnie zwichnięty bark. Mężczyzna nie odezwał się ani słowem, nie krzyknął nawet, choć ból musiał



być straszliwy. Dopiero na końcu, gdy było po wszystkim, położył się na plecach i wyszeptał: Danke.

Wreszcie zastąpili ich ratownicy. Gdy Remmer i Osborn zaczęli pracę, wstawał świt. Teraz był już jasny dzień. Teren wokół nich wyglądał jak pole bitwy. Szli właśnie do swego mercedesa miękkim poboczem obok nawierzchni, gdy helikopter sanitarny wylądował z rykiem, podnosząc tuman pyłu. Pobiegli do niego ratownicy z noszami, obok noszy biegł trzeci sanitariusz, trzymając nad głową butelkę z kroplówką.

Osborn popatrzył na Remmera i powiedział spokojnie:

- Myślę, że spóźniliśmy się na pociąg.

- Ja.

Remmer właśnie położył rękę na klamce, gdy przez głośnik mercedesa wywołano ich numer kodowy. Policjant natychmiast chwycił mikrofon i odpowiedział na wezwanie. Ktoś mówił po niemiecku, wyrzucając z siebie pośpiesznie słowa, jakby strzelał z karabinu maszynowego. Osborn zrozumiał tylko dwa z nich, ale i tak go zmroziły. Vera Monneray.

- Została zwolniona z więzienia o dziesiątej trzydziści siedem ubiegłego wieczoru - mówił Remmer, przekrzykując pisk opon, gdy z ogromną prędkością oddalali się od miejsca wypadku. - Człowieka odpowiedzialnego za jej zwolnienie znaleziono martwego mniej niż godzinę temu na tylnym siedzeniu wozu zaparkowanego w pobliżu dworca kolejowego w Berlinie.

Osborn wlepił w niego wzrok.

- I nikt nie wie, gdzie ona jest teraz...

Remmer potrząsnął głową.

- O co tym razem chodzi?

- Sam chciałbym wiedzieć.

Trzech ludzi widziało mężczyznę i kobietę wysiadających z pociągu Berlin-Frankfurt; oboje przeszli przez peron i zniknęli w budynku stacyjnym. Wszyscy trzej głośno wygłaszali zupełnie sprzeczne opinie na temat kierunku, w którym tamci mogli się udać. Za to zgadzali się w jednym: mężczyzna był ten sam co na fotografii policyjnej i niósł przewieszoną przez ramię jakąś skrzynkę.

Na podstawie zeznań tej trójki oraz innych dostępnych dowodów inspektorzy wydziału zabójstw frankfurckiej policji odtworzyli przebieg wypadków. Policjanci weszli do pociągu berlińskiego, gdy tylko przybył, o

siódmej cztery. I zaraz potem, może w ciągu pięciu czy sześciu minut, zostali zamordowani strzałami oddanymi z przedziału zajmowanego przez mężczyznę o nazwisku von Holden. Ich ciała odkryto w przybliżeniu o siódmej osiemnaście. Mniej więcej wtedy włoski biznesmen opuścił sąsiedni przedział. Słyszał, że ktoś rozmawiał na korytarzu, ale nie usłyszał żadnych strzałów, co pozwalało przypuszczać, że broń zabójcy była wyposażona w tłumik. O siódmej dwadzieścia pięć na miejsce przybyli pierwsi policjanci. O siódmej czterdzieści pięć dworzec odcięto kordonem policyjnym. Przez następne trzy godziny ani jeden pociąg, osoba, autobus czy taksówka nie mogły opuścić tego miejsca, dopóki nie zostały gruntownie przeszukane.

Wezwanie radiowe Remmer odebrał o siódmej trzydzieści cztery. O ósmej dziesięć wszedł wraz z Osbornem na stację.

Gdy Remmer omawiał szczegóły z frankfurckimi detektywami i osobiście przesłuchiwał trzech świadków, Osborn przysłuchiwał się pilnie i próbował zrozumieć, co mówią. Ale wyląwiał tylko pojedyncze słowa. Głównym problemem, co Remmer podkreślił od razu, gdy tylko nadeszło wezwanie radiowe, była logistyka. Założył, że von Holden wybrał Frankfurt z tego powodu, iż miasto było dużym węzłem komunikacyjnym; nie był to dla niego punkt docelowy podróży. Oznaczało to, że von Holden udaje się gdzieś dalej. Lotnisko znajdowało się tylko o dziesięć kilometrów od dworca kolejowego i można było do niego dojechać bezpośrednią linią metra. Von Holden najwyraźniej został zaskoczony przez policjantów, inaczej bowiem wysiadłby z pociągu na którejś z poprzednich stacji. Tak więc zabił ich zmuszony sytuacją. Raczej nie będzie próbował dostać się na samolot, szczególnie we Frankfurcie. Pozostawały mu dwie możliwości do wyboru. Uciec do miasta i ukryć się w nim na jakiś czas albo wydostać się z miasta inną drogą niż powietrzna. W tym drugim wypadku mógł skorzystać z pociągu, autobusu lub samochodu. To ostatnie - jeśli nie pozostawiono tu dla niego samochodu lub go nie ukradł - wydawało się nieprawdopodobne, ponieważ nie mógłby wynająć auta, nie zwracając od razu na siebie uwagi. Pozostawał pociąg lub autobus. Dla policji prawdziwy problem, ponieważ Frankfurt miał połączenia autobusowe z dwustoma miastami Europy. I choć przeszukano wszystkie autobusy, zawsze istniała możliwość, że się w jakiś sposób prześlizgnęli przez kontrolę. To samo dotyczyło pociągów. Między siódmą dwadzieścia i ósmą dwadzieścia dzisiejszego poranka z Hauptbahnhof wyjechało dwadzieścia pięć pociągów, a ich przeszukiwanie rozpoczęło dopiero wtedy, gdy stacja została odcięta kordonem

policyjnym. Między przyjętym przez policję momentem dokonania morderstwa a otoczeniem stacji z Frankfurtu wyjechało szesnaście pociągów. Bilety autobusowe kupuje się, zanim się wsiądzie, a żaden sprzedawca biletów nie wydał biletu autobusowego nikomu przypominającemu von Holdena. Natomiast bilety kolejowe można nabyć, i często tak się dzieje, w pociągu, gdy już opuści stację. Ale niczego nie pozostawiono przypadkowi. Policja frankfurcka przeczesze miasto, by się przekonać, czy von Holden gdzieś się tam nie zasztył; lotnisko będzie pod nadzorem przez całe dni, autobusy i pociągi wciąż będą przeszukiwane. Niezależnie od tego Remmer miał przeczucie, że von Holden wsiadł do jednego z szesnastu pociągów, które odjechały, nim stację odcięto kordonem.

- Jak ona według nich wyglądała? - Osborn przepchnął się do Remmera. Był zły i przerażony zarazem.

- Podawane rysopisy kobiety różnią się między sobą - powiedział spokojnie Remmer. - Mogła to być ona, ale też ktoś inny.

- Halo! Ten człowiek ich widział! - Mundurowy policjant przepychał się przez tłum, prowadząc ubranego w fartuch chudego Murzyna.

Remmer odwrócił się w ich stronę.

- Widziałeś ich?

- Tak, proszę pana. - Człowiek uparcie nie odrywał wzroku od podłogi.

- Około siódmej trzydzieści podał tej kobiecie kawę - powiedział funkcjonariusz, stając tuż przy Murzynie; przewyższał go prawie o trzydzieści centymetrów.

- Czemu nie zgłosiłeś się natychmiast? - zapytał Remmer.

- On jest z Mozambiku. Już go kiedyś pobili skini. Boi się wszystkich białych.

- Posłuchaj - zwrócił się do niego Remmer - nikt ci nie zrobi krzywdy. Tylko powiedz mi, co widziałeś.

Czarny podniósł wzrok, spojrzął na Remmera, a potem znowu na swoje stopy.

- Człowiek zamówił kawę dla kobiety - mówił łamanym niemieckim. - Ona bardzo ładna, bardzo przestraszona. Ręce trzęsą, ledwie pić kawę. On odchodzi, a potem wraca z gazetą. Pokazuje jej. Potem oni odchodzą...

- Dokąd, w którą stronę odeszli?

- Tam, do pociągu.

- Którego pociągu? - Remmer zrobił gest w stronę labiryntu peronów i oczekujących pociągów.

- Tam albo tam. Nie być pewny. - Murzyn kiwnął głową w stronę jednego z torów i drugiego biegnącego obok i wzruszył ramionami. - Nie patrzyłem dużo potem, jak odeszli.

- Jak ona wyglądała? - Osborn znalazł się nagle twarzą w twarz z czarnym mężczyzną. Hamował się już wystarczająco długo.

- Spokojnie, doktorze - rzucił Remmer.

- Zapytaj go, jakiego koloru miała włosy - upierał się Osborn. - Zapytaj go!

Remmer przetłumaczył pytanie na niemiecki. Murzyn uśmiechnął się błado i dotknął własnych włosów.

- Schwarz.

- Wielki Boże... - Osborn nie potrzebował tłumaczenia. Vera też miała czarne.

- Chodźmy - odezwał się Remmer do Osborna, a potem odwrócił się i przecisnął przez tłum policjantów i gapiów.

Chwilę później wpadli do biura zawiadowcy stacji. Remmer spojrzał na zegar. Była ósma czterdzieści siedem.

- Jakie pociągi odjechały z torów C3 i C4 pomiędzy siódmą dwadzieścia i siódmą czterdzieści pięć? - zażądał odpowiedzi od zdumionego zawiadowcy. Za jego plecami wisiała mapa ścienna Europy, oświetlona tysiącami maleńkich punkcików i ukazująca wszystkie linie kolejowe na kontynencie europejskim. - Mach schnell! - warknął Remmer. - Pośpiesz się!

- C3 Genewa. Ekspres Intercity. Przybywa o czternastej sześć, jest przesiadka w Bazylei. C4 Strasburg. Intercity. Przybywa o dziesiątej trzydzieści siedem, przesiadka w Offenburgu. - Liczby wyskakiwały z niego jak informacje z pamięci komputera.

- Szwajcaria czy Francja, są już poza krajem. - Remmer się zjeżył. - O której pociągi dojeżdżają do Bazylei i Offenburga?

W ciągu kilku minut Remmer zaanektował gabinet zawiadowcy stacji i postawił w stan gotowości policję w niemieckim mieście Offenburgu, w Bazylei i Genewie oraz we francuskim Strasburgu. Wszyscy pasażerowie wysiadający z pociągów w Offenburgu i Bazylei mają być wypuszczani tylko przez jedno wyjście, a równocześnie zespoły detektywów po cywilnemu wsiądą do pociągów, by je przeszukać, zanim dojadą do Genewy i Strasburga.

- Co się stanie z... - powiedział Osborn, gdy Remmer odkładał słuchawkę - z nią?

- Zostanie aresztowana. Tak samo jak von Holden. - Remmer wiedział, co Osborn ma na myśli. Funkcjonariuszy policji poproszono, by ujęli

mordercę gliniarzy. Jeśli zbiegowie znajdują się w jednym z tych pociągów, a z pewnością tam byli, nie mieli absolutnie żadnych szans ucieczki. A jeśli stawiają jakikolwiek opór, zostaną zastrzeleni.

- A co my będziemy robić? - Osborn wpatrywał się w Remmera. - Ty jedziesz w jedno miejsce, a ja w drugie?

- Doktorze... - Remmer przerwał, a Osborn nagle poczuł się tak, jakby mu się ziemia usuwała spod nóg. - Wiem, jakie to dla ciebie ważne, by być przy tym. Ale nie mogę ryzykować, że w tym zamieszaniu coś się stanie.

- Remmer, zaryzykuję. Nie martw się o to.

- Nie mówię o tobie, doktorze. Tak się martwisz, że możesz sprawę niebotycznie spieprzyć. Z zimną krwią zamordowano młodą taksówkarę i trzech policjantów. Sposób, w jaki to zrobiono, wskazuje, że Noble miał rację: ten von Holden, a być może i kobieta, bez względu na to, kim ona jest, są żołnierzami Specnazu. Oznacza to, że on lub oni zostali wyszkoleni przez armię radziecką, być może później także przez GRU, co oznacza o niebo lepszy trening niż nawet najbardziej sprawnego agenta byłego KGB. Należą do elity najlepiej wyszkolonych i najniebezpieczniejszych morderców na świecie, a ich sposobu myślenia nie masz szans pojąć. Nie będzie łatwo ich schwytać. Nie zaryzykuję utraty kolejnego gliniarza ani dla ciebie, ani dla kogokolwiek innego. Wracaj do Berlina, doktorze. Obiecuję, że we właściwym czasie pozwolę ci ich oboje przesłuchać. - Z tymi słowami Remmer odsunął krzesło od biurka zawiadowcy stacji i ruszył ku drzwiom.

- Remmer! - Osborn chwycił go za ramię i obrócił twarzą do siebie. - Nie pozbędziesz się mnie w taki sposób. Nie teraz. McVey by nie...

- Nie? - przerwał mu Remmer ze śmiechem, a potem strząsnął dłoń Osborna ze swego rękawa. - McVey zabrał cię ze sobą dla siebie wiadomych celów, doktorze Osborn. Dla własnych celów. Nie ludź się, że było inaczej. A teraz zrób to, co ci powiedziałem, dobrze? Wracaj do Berlina. Weź pokój w naszym starym obozowisku, w hotelu Palace. Skontaktuję się tam z tobą.

Remmer otworzył drzwi i obok zawiadowcy przeszedł do hali dworcowej. Osborn udał się za nim, ale trzymał się z daleka. Remmer rozmawiał raz jeszcze z grupą frankfurckich policjantów, a potem króciutko z trzema świadkami i czarnym kelnerem, po czym się rozeszli. Wszyscy. Ich miejsca zajęli obojętni ludzie i wszystko było tak, jakby nic się nie zdarzyło. I jakby Osborn znalazł się sam na frankfurckim dworcu kolejowym.

Jakby był przechodzącym tamtędy turystą, niemyślącym o niczym innym poza tym, co ma dzisiaj w planie zwiedzić.

Von Holden i ta kobieta z nim... To nie była Vera, zdecydował Osborn. To jakaś inna kobieta, może z czarnymi włosami, nawet podobna do niej. Ale to nie była ona... Oboje w drodze do Francji lub Szwajcarii. A potem dokąd?

Co się okaże gorsze? To, że sieć Remmera będzie miała za duże oka i tamci się prześlizgną, czy to, że się nie prześlizgną? Nieważne co ta pielęgniarzka Lybargera powie, oczywiście założywszy, że ją odnajdą, i tak von Holden jest ostatnim członkiem Organizacji, ostatnim człowiekiem bezpośrednio wplątany w zabójstwo jego ojca. Jeśli policja go otoczy, będzie walczył. A to oznacza koniec wszystkiego.

Wracaj do Berlina, powiedział Remmer. Wracaj i czekaj. Czekał od trzydziestu lat. Nie będzie przez to znów przechodził.

Nagle Osborn zdał sobie sprawę, że przez cały czas szedł przez budynek stacji i jest już blisko wyjścia. A potem coś zwróciło jego uwagę: czarny kelner szedł w jego stronę, oglądał się przez ramię, jakby obawiał się, że jest przez kogoś śledzony i równocześnie zdzierał z siebie biały fartuch. Doszedłszy do drzwi, obejrzał się po raz ostatni, wrzucił fartuch do kosza na śmieci i wyszedł na ulicę. Przez chwilę Osborn zastanawiał się, co to ma znaczyć. A potem nagle zrozumiał. Skurwysyn kłamał!

## 134

Jasne, choć jeszcze trochę zamglone promienie słońca zatrzymały Osborna, jakby gwałtownie zderzył się ze ścianą przez chwilę stał oślepiony. Ośloniwszy oczy od blasku, próbował zlokalizować tego człowieka w ruchu ulicznym przed frontem dworca, ale nie zdołał. A potem zobaczył, jak Murzyn pędem przebiega przez jezdnię i skręca za róg. Osborn pobiegł za nim.

Skręciwszy, zobaczył go o pół przecznicy dalej po przeciwnej stronie ulicy, jak mijał pośpiesznie sklepiki ze starociami i kawiarnie ze stolikami na chodnikach. Osborn przeszedł na tę samą stronę ulicy i usłyszał jego kroki. Nagle znów był w Paryżu, a zamiast Murzyna tropił Alberta Merriamana vel Henriego Kanaracka. Kanarack uciekł do podziemi metra i zniknął. Odnalezienie go zabrało całe trzy dni. Tym razem nie pozwoli, żeby do

tego doszło. Za trzy dni von Holden i ta, która z nim jest, znajdują się po drugiej stronie świata.

Osborn zaczął biec. Murzyn obejrzał się i zobaczył go. Też zaczął biec. Po chwili skręcił w zaułek.

Osborn wpadł na kobietę w średnim wieku i wytrącił jej torbę z zakupami, skręcił w ten sam zaułek, nie zwracając uwagi na gniewne okrzyki za plecami. Na końcu zaułka Murzyn przeskoczył przez płot. Osborn zrobił to samo. Po drugiej stronie było podwórze i tylne wejście do restauracji. W momencie gdy Osborn wylądował na ziemi, jej drzwi właśnie się zamykały.

Natychmiast znalazł się w środku. Krótki korytarz, spiżarnia, za nią niewielka kuchnia. Gdy wszedł, trzech kucharzy podniosło głowy. Jedyne pozostałe drzwi prowadziły prosto do restauracji. Osborn przebiegł przez nie i wpadł w sam środek przyjęcia weselnego. Panna młoda i pan młody stali koło tortu, pozując do fotografii. Znajdowali się prosto na drodze do wyjścia z restauracji. Osborn zawrócił na pięcie i wszedł do kuchni.

- Wszedł tu Murzyn. Gdzie on jest? - warknął.

Kucharze spojrzeli po sobie.

- Czego pan chce? - zapytał po niemiecku gruby, spocony kuchmistrz w poplamionym fartuchu. Zrobiwszy krok w stronę Osborna, wziął do ręki topór rzeźnicki.

Osborn popatrzył w prawo wzdłuż korytarza, którym przyszedł.

- Przepraszam... - powiedział do kuchmistrza i ruszył w stronę tylnego wejścia. W połowie korytarza zatrzymał się nagle i napał na drzwi do spiżarni. Otworzyły się z hukiem, on zaś wszedł do środka. Spiżarnia była pusta. Odwrócił się, by wyjść, a potem nagle gwałtownie skoczył w bok. Murzyn próbował się wydobyć zza stosu worków z mąką; Osborn chwycił go za kołnierz. Potrząsnąwszy nim ostro, odwrócił go twarzą do siebie. Murzyn odkręcił głowę i uniośł rękę, by się osłonić.

- Nie bić! - wrzasnął po angielsku.

- Mówisz po angielsku? - spytał Osborn, świdrując oczyma swego jeńca.

- Trochę... Nie bić.

- Ten mężczyzna i kobieta na stacji. Do którego pociągu wsiedli?

- Dwa tora. - Wzruszył ramionami i próbował się uśmiechnąć. - Nie wiem. Nie widział.

- Skłamałeś policji. Nie okłamuj mnie! - wybuchnął Osborn. - Albo ich zawołam i pójdziesz do więzienia. Zrozumiano?

Mężczyzna zagapił się na niego, wreszcie kiwnął głową.

- Inny człowiek mówić on wzięć skóry, jeśli ja powiem. Zbiją mnie. Moją rodzinę.

- Groził ci? Nie zapłacił ci? Czarny gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie, nie płacić. Mówić skóry. Przyjdą bić. Znowu.

- Nie przyjdą żadni skini - rzekł spokojnie Osborn, a potem rozluźnił chwyt i sięgnął do kieszeni. Człowiek wrzasnął i spróbował się wymknąć. Osborn schwycił go znowu. - Nie będę cię bił. - Podniósł banknot pięćdziesięciomarkowy. - Do którego pociągu wsiedli? W którym kierunku?

Murzyn popatrzył na pieniądze, a potem na Osborna.

- Nie bić. Płacić - powtórzył Osborn.

Mężczyźni zadrzała górna warga i Osborn widział, że wciąż się boi.

- Proszę, to bardzo ważne. Dla mojej rodziny. Czy rozumiesz? Murzyn powoli podniósł wzrok na Osborna.

- Berno. Osborn go wypuścił.

## 135

McVey leżał na plecach i gapił się na sufit. Remmer sobie poszedł, Osborn też. I nikt mu nic nie powiedział. Było pięć po dziesiątej rano, a w swym pokoju szpitalnym miał do dyspozycji tylko gazetę i berlińską telewizję. Opatrunki z gazy przykrywały jedną trzecią jego twarzy i wciąż odczuwał mdłości po zatruciu cyjanowodorem. Ale poza tym czuł się świetnie. Tyle że nic nie wiedział i nikt nie chciał mu nic powiedzieć.

Nagle zaczął się zastanawiać, gdzie są jego rzeczy. Widział swój garnitur wiszący w szafie ściennej i stojące pod nim na podłodze buty. Po drugiej stronie pokoju obok krzesła dla odwiedzających była mała komódka. Jego teka z notatkami o sprawie, paszport i walizka powinny nadal być w hotelu. Ale gdzie, do cholery, jest jego portfel i legitymacja? A broń?

Odrzuciwszy pościel, zsunął nogi z łóżka i wstał. Czuł się odrobinę niepewnie, stał więc przez chwilę nieruchomo, by się upewnić, że nie ma zaburzeń równowagi. Zrobił trzy chwiejne kroki i dotarł do komody. W górnej szufladzie leżały jego spodenki, podkoszulek i skarpetki. W następnej klucze do mieszkania, grzebień, okulary i portfel. Broni nie było. Może wzięli ją pod klucz, może ma ją Remmer. Zamknąwszy szufladę, ruszył w



stronę łóżka, ale nagle się zatrzymał. Coś tu się nie zgadzało. Odwrócił się, wyszarpnął drugą od góry szufladę, wyjął portfel i otworzył. Jego odznaka policyjna i list uwierzytelniający z Interpolu zniknęły.

- Osborn! - powiedział głośno. - Jasna cholera!

Bez Remmera. Bez McVeya. Bez policji. Osborn wyprostował się w fotelu samolotu Swissair, lot numer pięćset trzydzieści trzy; kołowali właśnie po pasie startowym, oczekując zezwolenia na start. Osborn zrobił to, co jak sobie wyobrażał, zrobiłby McVey: zatelefonował do Swissair i poprosił o połączenie z szefem bezpieczeństwa. Wyjaśnił, że jest detektywem z wydziału zabójstw z Los Angeles, działającym w porozumieniu z Interpolem. Ściga głównego podejrzanego o podpalenie pałacu Charlottenburg. Człowiek ów przybył do Frankfurtu pociągiem z Berlina i znów się wyknął, zabijając trzech frankfurckich policjantów; teraz ucieka do Szwajcarii. Ważne jest, aby dostać się na lot do Zurychu o dziesiątej dziesięć. Czy w jakikolwiek sposób może uzyskać pomoc przy odprawie?

Trzy minuty po dziesiątej przy wyjściu dla Swissair Osborna witał kapitan samolotu. Osborn przedstawił się jako detektyw William McVey z Departamentu Policji w Los Angeles. Okazał swój rewolwer, odznakę i list uwierzytelniający z Interpolu; to było wszystko, co miał. Cała reszta, jego legitymacja policyjna z Los Angeles i paszport zostały w hotelu, w Berlinie. Jediną rzeczą, którą poza tym dysponuje, jest zdjęcie podejrzanego, człowieka nazwiskiem von Holden. Kapitan obejrzał fotografię, przeczytał list z Interpolu, a potem spojrzął na człowieka, który przedstawił się jako funkcjonariusz policji z Los Angeles. Tak, zdecydowanie wyglądał na Amerykanina, a worki pod oczami i szczecina na brodzie świadczyły, że od długiego czasu jest na nogach. Było sześć po dziesiątej, mieli cztery minuty do startu.

- Detektywie... - Kapitan patrzył Osbornowi prosto w oczy.

- Tak...? - Co on właściwie myśli? Że kłamię? Że w jakiś sposób zdobyłem odznakę i rewolwer i teraz uciekam? Jeśli cię oskarży, zaprzecz. Obstawaj twardo przy swoim. To ty masz rację, bez względu na okoliczności, i nie masz czasu, żeby się o to wykłócać.

- Rewolwery mnie denerwują...

- Mnie też.

- Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, zatrzymam broń w kokpicie, do chwili gdy wylądujemy.

I tak się stało. Kapitan wszedł na pokład, Osborn zapłacił za bilet markami, a potem zajął miejsce w klasie turystycznej. Zamknąwszy oczy, czekał, aż za wyją silniki i pchnięcie na oparcie fotela da mu znać, że się udało, że kapitan nie zmienił zdania ani McVey nie odkrył braku swych rzeczy i nie zaalarmował policji. Silniki przyśpieszyły obroty i poczuł nacisk oparcia. Trzydzieści sekund później byli w powietrzu.

Osborn patrzył, jak pejzaż Niemiec znika mu z oczu, w miarę jak wspinają się ku cienkiej pokrywie chmur. A potem byli już w górze, w jaskrawym słońcu pod ciemnoniebieskim niebem, ponad białymi szczytami chmur.

- Proszę pana. - Osborn podniósł głowę. Uśmiechała się do niego stewardesa. - Nasz samolot nie jest wypełniony. Kapitan zaprasza pana do kabiny pierwszej klasy.

- Bardzo pani dziękuję. - Osborn uśmiechnął się z wdzięcznością i wstał. Lot miał być krótki, nieco ponad godzinę, ale w pierwszej klasie mógł się rozsiąść i może przespać przez jakieś czterdzieści minut. A w umywalniach pierwszej klasy mogą być maszynki i krem do golenia. Będzie miał okazję, by się odświeżyć.

Kapitan musiał być albo fanem sił strzegących prawa, albo gliniarzy z Los Angeles, gdyż nie tylko potraktował go jak gwiazdę filmową, ale załatwił mu coś naprawdę istotnego. Gdy wylądowali na lotnisku, przedstawił go szwajcarskiej policji, osobiście gwarantując tożsamość Osborna-McVeya i tłumacząc, dlaczego znalazł się tutaj bez paszportu. Podkreślił też, że czas jest czymś bezcennym w pościgu za podejrzanym sprawcą katastrofy w Charlottenburgu. Natychmiast pojawiła się eskorta policyjna; przeprowadzili go przez szwajcarską kontrolę i z całego serca życzyli szczęścia.

Po drugiej stronie stanowiska kontroli kapitan oddał mu broń, spytał, dokąd się udaje i czy może go gdzieś po drodze podrzucić.

- Bardzo dziękuję, ale nie - odparł Osborn, czując wielką ulgę, ale z całym rozmysłem nie ujawniając celu swej podróży.

- W takim razie wszystkiego dobrego.

- Jeśli będzie pan kiedykolwiek w Los Angeles, proszę mnie odnaleźć.

- Osborn uśmiechał się, ściskając mu dłoń. - Postawię panu drinka.

- Dziękuję.

Była jedenasta dwadzieścia rano, w sobotę piętnastego października. O jedenastej trzydzieści pięć Osborn siedział w ekspresie Eurocity, opuszczającym Zurych. O dwunastej czterdzieści pięć dotrze on do Berna, trzydzieści cztery minuty po przyjeździe pociągu von Holdena z Frankfurtu.

Do tej pory Remmer przetrząśnie pociągi do Strasburga i Genewy i wyjdzie z pustymi rękami. I z nosem spuszczonej na kwintę. Będzie musiał skierować się na inny trop, ale na jaki?

Nagle uderzyła go myśl, że jeśli Murzyn okłamał Remmera, czemu nie miałby okłamać i jego? Jechał do Berna w nadziei, że zwiększy szanse złapania von Holdena, że tamten będzie już miał tylko nieco ponad trzydzieści minut przewagi. Czy ma zakończyć swe poszukiwania jak Remmer, czyli niczym? Zupełnie niczym... znowu.

## 136

Za czterdzieści pięć minut Osborn miał się znaleźć w Bernie. Musiał przemyśleć, co zrobi, gdy tam dotrze. Nawet jeśli zmniejszył dystans dzielący go od von Holdena, tamten wciąż wyprzedzał go o trzydzieści cztery minuty. Von Holden wiedział, dokąd się udaje, Osborn nie. Musiał postawić się na miejscu von Holdena. Skąd przyjeżdża, dokąd jedzie i po co?

W Bernie, jak dowiedział się we Frankfurcie, gdy próbował znaleźć najszybszy sposób podróży, znajdowało się małe lotnisko z połączeniami do Londynu, Paryża, Nicei, Wenecji i Lugano. Ale loty nie były częste. Codzienne, nie cogodzinne. A małe lotnisko łatwo jest obserwować. Von Holden pomyślałby o tym. Plusem było to, że lądowały na nim samoloty prywatne; jeden z nich mógł czekać na von Holdena.

Z rykiem przeleciał pociąg w przeciwną stronę. Kiedy przejechał, ukazały się pola uprawne, a za nimi strome góry, porośnięte gęstym lasem. Na chwilę Osborn zapatrzył się na piękny krajobraz, przezroczyisty błękit nieba kontrastujący z błyszczącą zielenią. Światło słoneczne zdawało się płaszc z każdym liściem. Minęli małe miasteczko, potem pociąg wziął szeroki zakręt, a na odległej górze Osborn ujrzał wyniosłą sylwetkę ogromnego średniowiecznego zamku. Wiedział, że będzie chciał tu znowu przyjechać.

Trochę niespodziewanej ulgi przyniosła mu nagła myśl, że z von Holdenem nie podróżuje Vera, tylko jakaś zupełnie inna kobieta. Verę zwolniono z więzienia najzupełniej legalnie i teraz jedzie z powrotem do Paryża. Gdy wyobraził sobie, że jest bezpieczna w swym apartamencie i prowadzi takie samo życie jak przed tymi wszystkimi wydarzeniami, ogarnęła go bolesna tęsknota, ale zarazem przyjemna. Tęsknota za byciem z nią

razem, za wspólnym życiem. Na tle szwajcarskiego krajobrazu pojawiły się dzieci, usłyszał śmiechy, ujrzał twarz Very i poczuł dotknięcie jej policzka na swoim. Zobaczył ich oboje, jak uśmiechają się, trzymają ją za ręce i...

- Fahrkarte, bitte.

Osborn podniósł głowę. Obok niego stał młody kontroler z czarną skórzaną torbą przewieszoną przez ramię.

- Przepraszam. Ja nie...

- Proszę o pana bilet. - Konduktor się uśmiechnął.

- Ach tak. - Osborn sięgnął do kieszeni marynarki. A potem przyszedł mu do głowy pewien pomysł. - Przepraszam pana. Chciałbym kogoś spotkać w Bernie. Przyjeżdża pociągiem z Frankfurtu, planowy przyjazd o dwunastej dwanaście. On... cóż, nie wie, że ja będę, to niespodzianka.

- Czy pan wie, gdzie on się zatrzymuje w Bernie?

- No nie... - Ależ właśnie o to chodziło! Von Holden nie mógł pozwolić sobie na zatrzymanie się w Bernie! Wiedział, że po tej strzelaninie musi jak najszybciej się stąd wydostać. Jeśli tak, myśl, że mógł tu czekać na niego samolot, jest błędna. - On chyba ma się zamiar przesiąść do innego pociągu. Może do... - Dokąd? Przecież nie z powrotem do Niemiec. Nie do któregoś z krajów wschodnich; to by wywołało zbyt wiele zamętu. - Może do Francji. Albo Włoch. On jest... komiwojażerem.

- Ale o co właściwie pan mnie pyta? - Konduktor przyglądał mu się uważnie.

- Ja... - Osborn uśmiechnął się nieśmiało. Dzięki rozmowie z konduktorem myślał teraz jaśniej. Ma rację, czego właściwie Osborn od niego oczekuje? - Zdaje mi się, że właśnie próbuję wymyślić, jaki zrobić następny krok, jeśli się z nim rozminę. Wic pan, jeżeli on odjedzie, zanim ja dotrę do Berna.

- Najlepiej, żeby wziął pan rozkład jazdy Eurail i zobaczył, które pociągi opuszczają Berno pomiędzy dwunastą dziesięć, kiedy on tam dojedzie, a pana przyjazdem o dwunastej czterdzieści cztery. Mogę także zaproponować, żeby pan go polecił wywołać, gdy tylko znajdzie się pan na dworcu.

- Wywołać?

- Tak, proszę pana. - Z tymi słowami konduktor kiwnął głową, wręczył Osbornowi rozkład jazdy i poszedł dalej.

Osborn popatrzył w dal. Wywołać...

W głębinach dworca kolejowego w Bernie von Holden czekał przed cukiernią. Vera była w toalecie, dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie stał.

Nie było stamtąd innego wyjścia niż to, przez które weszła. Przez całą drogę prawie się nie odzywała. Ale wiedział, że myślała o Osbornie. Była pewna, że on ją do niego wiezie, i z tego powodu nie miał żadnych wątpliwości, że dziewczyna wróci tutaj zgodnie z obietnicą.

Najbardziej niepokoiła go pierwsza godzina podróży z Frankfurtu do Berna. Jeśli ten czarny okaże się mniej zastraszony, niż na to wyglądał, gdy von Holden wziął go na bok i zagroził, że skini pojawią się u jego drzwi, jeśli nie zachowa się dokładnie tak, jak mu kazał i ujawni policji, do którego pociągu naprawdę wsiedli... w okamgnieniu zatrzymaliby pociąg, wystawiając batalion policji. Ale nic takiego nie nastąpiło. A gdy dotarli do Berna, nie zobaczył na stacji więcej niż zwykle strażników.

Za siedem pierwsza Vera wyszła z toalety i poszli kupić dwie wielodniowe karty przejazdu na pociągi systemu Eurail. Można było z nimi podróżować do dowolnych miejsc na kontynencie. Wy tłumaczył jej, że to im zapewni większą swobodę ruchów. Nie powiedział oczywiście, że dzięki temu może nagle wsadzić ich oboje do dowolnego pociągu, ona zaś nie będzie wiedzieć, dokąd jadą.

- Achtung! Herr von Holden, Telefonanruf, bitte. - Pan von Holden jest proszony do telefonu.

Von Holden drgnął. Wzywano go przez głośniki stacyjne. Co się dzieje? Kto w ogóle mógł wiedzieć, że on tu jest?

- Achtung! Herr von Holden, Telefonanruf, bitte.

Osborn stał przy szeregu telefonów, oparty plecami o ścianę. Z tego miejsca widział prawie całą stację. Kasy, sklepy, restauracje, kantory wymiany. Jeśli von Holden w ogóle jest na stacji, co nie było bardzo prawdopodobne... Od chwili przybycia jego pociągu przynajmniej trzynaście innych odjechało z Berna, z tego sześć do miast w Szwajcarii, jeden do Amsterdamu, reszta do Włoch... Ale jeśli jest tutaj i podejdzie, by odpowiedzieć na wzywający go telefon, Osborn z pewnością go zauważy. Istniała też druga możliwość: że czeka na pociąg na którymś z górnych peronów. Dojeżdżając z Zurychu, Osborn doliczył się co najmniej ośmiu torów.

- Przykro mi, proszę pana. Pan von Holden się nie zgłasza - powiedział po angielsku mężczyzna zapowiadający pociągi.

- Proszę uprzejmie spróbować jeszcze raz, to bardzo ważne.

Rozległo się ponowne wezwanie, więc von Holden wziął Verę za rękę i szybko odciągnął od okienek kasowych do korytarza prowadzącego ku torom.

- Kto to jest? Kto pana wzywa?

- Nie wiem. - Von Holden spojrział przez ramię. Nikogo znanego nie zobaczył. Skręcili za róg i poszli po schodach w stronę torów. Kiedy dotarli na ich szczyt, znaleźli się na peronie. Na drugim końcu stacji czekał pociąg.

Osborn skierował się ku torom. Von Holden nie odpowiedział na wezwanie. Nie widział go w tłumie zdążających ku torom, jeśli więc w ogóle tu był, to albo siedział już w pociągu, albo czekał na peronie.

Osborn poszedł korytarzem prowadzącym do pociągów. Odchodziły stamtąd schody w prawo i w lewo, musiał też wybrać pomiędzy co najmniej czterema peronami. Poszedł na trzeci, wiedząc, że w ten sposób znajdzie się mniej więcej pośrodku stacji.

Gdy dotarł do szczytu schodów, waliło mu serce. Spodziewał się, że ujrzy stację pełną ludzi, jak wtedy, kiedy przyjechał. Ku jego zdumieniu okazała się prawie opuszczona. A potem zobaczył pociąg na samym końcu stacji, odległy o dwa tory. Mężczyzna i kobieta szli pośpiesznie w tamtą stronę. Żadnego z nich nie widział wyraźnie, ale zauważył, że mężczyzna ma przewieszony przez ramię jakiś pakunek. Osborn pobiegł wzdłuż swego peronu. Nie ośmielił się przeskoczyć przez tory, bo obawiał się, że jeśli mają trzecią szynę, zostanie porażony prądem. Teraz ścigana para była prawie przy pociągu, oboje odwróceni do niego plecami. Osborn biegł tak szybko, jak zdołał, i prawie się z nimi zrównał. Zobaczył, jak dochodzą do pociągu i mężczyzna pomaga kobiecie wsiąść. A potem mężczyzna zastygł na miejscu i obejrzał się. W tym samym momencie Osborn poślizgnął się i zatrzymał. Przez ułamek sekundy patrzyli na siebie, a potem tamten zniknął w wagonie. Chwilę później pociąg szarpnął i ruszył przed siebie. Przyśpieszył i wyjechał ze stacji.

Osborn stał nieruchomo na miejscu. To była ta sama twarz, która patrzyła na niego owej nocy w Tiergarten. Ta sama, która spoglądała z powiększonej klatki filmu zrobionego pod domem na Hauptstrasse. Von Holden.

Kobietę widział tylko przez króciutką chwilę, ale to wystarczyło, by jego świat rozpadł się w gruzy. Nie było żadnych wątpliwości, kto to taki. Żadnych.

Vera.

„Pascalu - powiedział wtedy Scholl - okaz najwyższy szacunek młodemu doktorowi. Zabij go pierwszego”. Nie zrobił tego. Z jakichś rozlicznych powodów nie zrobił. I nie miało to znaczenia. Osborn żył i podążył za nim do Berna. Niepojęte, w jaki sposób tego dokonał. Ale to fakt. Jak i to, że ruszy za nimi następnym pociągiem.

- Interlaken - odpowiedział mu dyżurny ruchu na peronie, gdy zapytał o końcową stację pociągu, który właśnie opuścił stację. Pociągi do Interlaken odjeżdżały co pół godziny.

- Danke - rzekł Osborn.

Schodząc po schodach do hali dworcowej, był oszołomiony. Chciał wierzyć, że Vera jest więźniem von Holdena, przetrzymywanym wbrew swej woli. Ale na to nie wyglądało, przynajmniej sądząc po tym, jak szli do pociągu. To, w co chciał wierzyć, było bez znaczenia. Znał prawdę, a McVey miał rację w tej sprawie. Vera należała do Organizacji i jechała tam, dokąd i von Holden. Osborn był głupcem, że jej wierzył, że się w niej zakochał...

Podszedł do okienka kasowego i już miał kupić bilet do Interlaken, gdy przyszło mu do głowy, że może to być tylko przystanek na ich drodze. Mogą przesiadać się do innego pociągu raz, dwa, nawet więcej razy. Nie mógł za każdym razem zatrzymywać się, by kupić bilet. Kupił więc kartę na wszystkie linie, ważną pięć dni. Była pierwsza piętnaście, został kwadrans do odjazdu następnego pociągu do Interlaken.

Osborn przeszedł do restauracji, zamówił filiżankę kawy i usiadł. Musiał pomyśleć. Niemal natychmiast zorientował się, że nie wie, gdzie jest Interlaken. Gdyby to wiedział, mógłby się domyślić, dokąd jedzie von Holden. Wstał, podszedł do pobliskiego kiosku z gazetami i kupił mapę oraz przewodnik po Szwajcarii. Usłyszał w oddali zapowiedź pociągu, wygłoszoną po niemiecku. Zrozumiał tylko jedno słowo, ale to wystarczyło: Interlaken.

- Jak daleko jeszcze do tego miejsca, gdzie jedziemy? - zapytała Vera wśród postukiwania kół, w chwili gdy pociąg powoli wjeżdżał do małego miasteczka Thun. Do tej pory to drzemała, to wpatrywała się w przestrzeń, ale teraz usiadła wyprostowana na ławce i wypytywała go bez ogródek. Za

oknem potężna wieża zamku Thun przesunęła się jak zawisły w powietrzu kamienny olbrzym, schwymany w dwunastym wieku i nadal tu obecny.

Gdy zbliżali się do Thun, von Holden patrzył, czy nie pojawi się policja; jeśli Osborn zaalarmował władze, było to pierwsze dogodne miejsce, by zatrzymać i przeszukać pociąg. Vera, tego był pewien, nie widziała Osborna, inaczej nie zachowywałyby się tak jak teraz. Ale właśnie z tego powodu zabrał ją ze sobą - jako kartę przetargową.

Wreszcie dojechali na wysokość stacji. Jeśli pociąg ma się zatrzymać, zrobi to teraz. Minęli stację i pociąg zaczął przyśpieszać. Von Holden odechnął z ulgą. Chwilę później znów byli na otwartym terenie, jechali wzdłuż brzegu jeziora Thun.

- Pytałam, ile jeszcze czasu upłynie, zanim...

- Nie mam zezwolenia na wyjawienie pani naszego punktu docelowego. - Von Holden patrzył jej prosto w oczy. - Byłoby to wbrew rozkazom, które otrzymałem.

Nagle wstał i przeszedł między ławkami do toalety. Pociąg był prawie pusty. Zatłoczone były wcześniejsze pociągi. Sobotnie wycieczki w góry zaczynały się rano, tak aby ludzie mieli do dyspozycji cały dzień na odkrywanie emocjonujących widoków Alp. W Interlaken musieli przejść z jednego końca stacji na drugi, żeby się przesiąść. Pomiędzy pociągami będzie dość czasu, by von Holden nie zmarnował tej oczywistej okazji.

Wsiądzie do wagonu z Verą, przeprosi ją pod pretekstem, że musi zatelefonować czy coś w tym rodzaju, wysiądzie, wróci na stację, zaczeka na Osborna i zabije go.

## 138

W drodze z Berna Osborn przejechał mostem nad stalowo-zieloną rzeką Aare, za którą wysoko nad miastem stała wspaniała gotycka katedra, Munster. Pociąg pokonał zakręt i przyśpieszył, a bryła Munsteru zniknęła za licznymi torami kolejowymi i magazynami, później przesłoniły ją mijające drzewa i nagle pojawiły się pola.

Wyprostowawszy się na miejscu, Osborn wsunął dłoń pod marynarkę i dotknął twardej kolby trzydziestki ósemki McVeya, zatkniętej za pasek od spodni. Wiedział, że do tej pory McVey zauważył już brak broni, odznaki i dokumentów osobistych. Wydedukowanie, kto to wszystko wzięł, nie zabierze mu zbyt wiele czasu. Ale złość McVeya nie była już ważna.



Przestudiowawszy mapę Szwajcarii, Osborn zorientował się, że Interlaken leży na południowy wschód od Berna. Von Holden posuwał się w głąb kraju, wcale z niego nie wyjeżdżał. Co takiego było w Interlaken lub poza nim?

Przez migające drzewa Osborn widział promienie słońca odbijające się w jakiejś rzece czy jeziorze, a potem zwrócił myśli ku czarnemu plecakowi, który von Holden przerzucił sobie przez ramię, wsiadając do pociągu. Coś było wewnątrz niego, coś dużego i podobnego do pudełka. Osborn pamiętał rozmowę z Remmerem, gdy opuszczali Berlin. Staruszka, która widziała, jak von Holden odchodził od taksówki, powiedziała, że niósł on białą skrzynkę przewieszoną na pasku przez ramię. Potwierdzili to świadkowie na dworcu we Frankfurcie. Wynikałoby z tego, że von Holden zabrał tę rzecz z taksówki w Berlinie i cały czas się z nią nie rozstawał. Gdybym właśnie zabił trzech policjantów i próbował wynieść się stamtąd w diabły, czy martwiłbym się o jakieś pudło? - pomyślał Osborn. Owszem, gdyby było to naprawdę ważne.

Cokolwiek to było, znajdowało się obecnie w czarnym plecaku i nadal miał to von Holden. Tyle że zupełnie nie pomagało to w zrozumieniu, dokąd on się udaje ani co robi, gdy dotrze do celu podróży.

W tym momencie Osborn zdał sobie sprawę, że rozmyślając, przegląda kartki szwajcarskiego przewodnika turystycznego, kupionego w Bernie. A zdał sobie sprawę dlatego, że coś zwróciło jego uwagę. Nie zdjęcie, słowo.

Berghaus.

Przeczytał cały akapit: „Od strony pociągu ze stacji Jungfrauoch, położonej najwyżej w Europie, skalny tunel prowadził niegdyś do Berghaus - najwyżej położonego w całej Europie hotelu i restauracji. Budynek spalił się do fundamentów w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, lecz w jego miejsce zbudowano piękną restaurację i bar samoobsługowy: Gospodę ponad Chmurami.

- Berghaus - powiedział na głos i zmroził go dźwięk tych sylab. Grupa sponsorująca uroczystość na cześć Eltona Lybargera w Charlottenburgu nazwała się Berghaus.

Szybko otworzył mapę Szwajcarii i zaczął sunąć po niej palcem. Przełęcz Jungfrauoch znajdowała się blisko szczytu Jungfrau, jednego z najwyższych w Alpach, siostrzanej góry Mnicha i Eigeru. Wróciwszy do studiowania przewodnika, dowiedział się, że prowadzi tam najwyżej dochodząca w Europie kolej, Jungfraubahn. Nagle poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Punktem wyjściowym do podróży na Jungfrau było Interlaken.

McVey żądał kontaktu z Remmerem i uzyskał go. Wreszcie. O godzinie pierwszej czterdzieści pięć po południu.

- Gdzie się podziewa Osborn, do cholery?! Remmer był w Strasburgu, a na linii słychać było szum.

- Nie wiem - zatrzeszczał na jego tle głos policjanta.

- Remmer...! Ten skurwysyn ma moją odznakę, list z Interpolu i rewolwer! Więc gdzie on jest, u diabła?

Szum wzmógł się, potem nagle rozległ się głośny trzask, trzy takty z Beethovena i dzwonek wywoływania. Rozwścieczony McVey odłożył słuchawkę.

- Jasna cholera!

Gdy pociąg z Berna powoli wtoczył się na stację Interlaken, promienie słoneczne padały ukosem na peron. Rozległ się pisk stali trącej o stal i pociąg stanął. Po stopniach pierwszego wagonu zszedł konduktor, a za nim trzy dziewczynki w mundurkach szkoły parafialnej. Z drugiego wagonu wysiadło pół tuzina pospolicie wyglądających ludzi, którzy przeszli przez peron i weszli do budynku stacyjnego. Ze dwudziestu amerykańskich entuzjastów kolei żelaznych hałaśliwie wysiadło z trzeciego i oddaliło się zwartą grupą. Potem zapanowała zupełna cisza, a pociąg stał na tle dalekich Alp jak porzucona zabawka.

I nagle, po jego drugiej stronie, z dala od stacji, czyjaś stopa dotknęła żwiru usypanego wzdłuż toru. Chwila wahania, a potem opadła druga stopa. Osborn odwrócił się i szybkim krokiem podążył wzdłuż pociągu ku jego końcowi. Ostrożnie wsunąwszy się za ostatni wagon, wyjrzał zza niego. Peron był pusty. Tory przed nim również. Po raz któryś z rzędu dotknął broni za paskiem. Był pewny, że von Holden rozpoznał go na peronie w Bernie. Jak również, że tamten nie będzie żywił najmniejszych wątpliwości, czy Osborn przyjedzie następnym pociągiem. Kiedy o tym teraz myślał, wołałby nie zastosować się do rady konduktora i nie wywoływać von Holdena w Bernie przez głośniki. Tamten wie już, że jest tropiony, i to był jedyny efekt tego wszystkiego. Czy naprawdę myślał, że ów człowiek okaże się aż takim głupcem, by odpowiedzieć na wezwanie? Popułił błąd, a potem następny: pozwolił się rozpoznać. Kolejny błąd może go kosztować życie.

Usłyszał w dali gwizd pociągu. Przez głośniki zawiadomiono pasażerów, że odjeżdża pociąg na Jungfrauoch. Jeśli Osborn się spóźni, do następnego

będzie miał trzydzieści minut. To da von Holdenowi całą godzinę. Podwoi czas, który ich teraz dzieli. Oczywiście jeśli von Holden gdzieś tu na niego nie czeka.

Znów zapowiedziano pociąg na Jungfrauoch. Jeśli ma zdążyć, musi przejść przez tory i pokonać całą długość stacji. Von Holden też to wie. Jeżeli nadal tu jest i czyha w ukryciu, Osborn ma szczęście, że jest wczesne popołudnie, a oni znajdują się na małej stacyjce ogólnie dostępnej kolei. Von Holden musiałby poczynać sobie zuchwale i liczyć na to, że ujdzie mu na sucho. Ale czy z ojcem Osborna nie było dokładnie tak samo?

Osborn rozejrzał się jeszcze raz, wyszedł zza pociągu, przeszedł peronem i skierował się na drugi koniec stacji. Poruszał się szybko, marynarkę miał rozpiętą, dłoń trzymał w pobliżu rewolweru. Był maksymalnie skoncentrowany. Ruch w cieniu, kroki z tyłu, ktoś nagle pojawiający się w otwartych drzwiach. Znów przelotnie przypomniał mu się Paryż i martwy wysoki mężczyzna na chodniku Montparnasse przed La Coupole oraz McVey, odchylający mu nogawkę spodni, by ukazać protezy pozwalające zmieniać wzrost. Czy von Holden stosował takie triki? A może jeszcze inne, nawet dziwniejsze i bardziej pomysłowe?

Osborn znajdował się na otwartej przestrzeni, gdzie każdy mógł go widzieć. Minął starca idącego powoli i podpierającego się laską. Osborn zastanawiał się, czy dożyje takiego wieku.

Starzec z laską!

Osborn zakręcił się w miejscu z dłonią pod marynarką, gotów wyszarpnąć rewolwer i strzelić. Ale starzec był po prostu starcem i spokojnie szedł przed siebie. Znów dał się słyszeć gwizd zapowiadanego pociągu i Paul zwrócił się w jego stronę. Przed sobą widział amerykańskich entuzjastów kolei żelaznej. Oni też kierowali się do pociągu na Jungfrauoch. Jeśli przyśpieszy, zdoła się między nich wmieszać.

-Achtung! Achtung! Doktor Osborn. Telefon, bitte!

Wezwanie przez głośniki rozległo się echem po całej stacji.

Osborn stanął jak wryty. Von Holden nie tylko wiedział, że tu jest, znał także jego nazwisko.

- Doktor Osborn ze Stanów Zjednoczonych proszony jest do telefonu!

Osborn rozejrzał się w poszukiwaniu telefonu. Ujrzał je na rogu budynku. Bliźniacze budki telefoniczne, stojące obok siebie, obie puste. Przyszło mu na myśl, by zapytać kogoś, gdzie pracuje zapowiadający pociągi.

Ale nie miał na to czasu. Ostatni Amerykanie wsiadali do wagonu. Co może robić von Holden? Czy zajął gdzieś pozycję strzelecką z karabinem wycelowanym w telefony? A może podłączył do nich jakieś nowoczesne urządzenie wybuchowe, działające automatycznie przy podniesieniu słuchawki lub po prostu zdalnie detonowane, jak to w hotelu Borggreve?

Po ogłoszeniu odjazdu pociągu na Jungfrauoch natychmiast zapowiedziano pociąg, który miał przyjechać. A potem znów wezwano przez głośniki Osborna. Na zewnątrz budynku stacyjnego konduktorzy poganiali ostatnich pasażerów wsiadających do pociągu na Jungfrauoch.

Myśl! Myśl! - poganiał sam siebie Osborn. Nic nie wiesz o stacji Jungfrauoch ani o tym, co planuje von Holden, gdy tam dotrze. Jeśli to jest trik i spóźnisz się na pociąg, wyprzedzi cię o pełną godzinę. Dość czasu, by zatrzeć ślady, skoro wie, że jesteś już tak blisko. Ale jeśli nadal jest tutaj i obserwuje cię, wystarczy, że wsiądziesz do pociągu i już będzie miał wolną rękę. Wsiada do najbliższego pociągu jadącego w dół i tyle go zobaczysz. Może w ogóle nie miał zamiaru jechać na Jungfrauoch. A jeśli jednak pojechał? Jungfrauoch jest ostatnim przystankiem tej linii. Skoro tam jedzie, to z powodu owego Berghaus... Pomyśl dlaczego! W jakim celu? To coś, co taszczy przez całą drogę z Berlina do Interlaken... szczególnie wzięwszy pod uwagę, że umknął z pożaru Charlottenburga i zabił frankfurckich policjantów... cokolwiek to jest, musi być bardzo ważne dla Organizacji. Jeśli tak, być może ma to przekazać komuś na Jungfrauoch, komuś jeszcze nawet potężniejszemu od Scholla. Jeśli tak stoją sprawy, to co jest ważniejsze? Wypełnienie misji czy rozprawienie się z samotnym człowiekiem, próbującym mu przeszkodzić? Jeśli zabije cię tutaj, będzie miał problem z głowy. Ale jeśli coś pójdzie nie tak i chybi albo zostanie schwytany, to nie wypełni zadania.

- Uwaga! Doktor Osborn jest proszony do telefonu!

Nie! Nie daj się nabrać! Wywołują cię, ale to trik! Już jedzie pociągiem wcześniejszym niż ten! Osborn podbiegł do wagonika, chwycił tylną poręcz i wskoczył na platformę. Niemal w tej samej chwili pociąg ruszył. Z tyłu powoli znikwały w oddaleniu malownicze hotele i domki Interlaken ze skrzynkami na kwiaty pełnymi kwitnących bodziszków. Potem poczuł, że pociąg zaczyna wspinać się po pochyłości i ujrzał soczystą czerwień i żółć jesiennych liści, a za nimi, gdy zbocze, po którym jechali, stało się bardziej strome, ciemnoniebieski przestwór jeziora Thun.

W Specnazie tytułowano go towarzyszem starszym porucznikiem. Kim był teraz? Nadal Leiter des Sicherheit, szefem bezpieczeństwa czy też ostatnim żołnierzem, samotnie wykonującym najważniejsze zadanie w życiu? Jednym i drugim - pomyślał. Jednym i drugim.

Obok niego Vera oglądała mijane krajobrazy, zapewne zadowolając się tym, że czas płynie. Von Holden poruszył się na swym miejscu i wyjrzał przez okno. Kilka chwil temu przesiedli się w Grindelwaldzie i teraz słyszał skrzypienie zębatek, chwytających wręby środkowej szyny. Pociąg piał się stromo w górę wśród żyznych alpejskich łąk, pstrokatych od dzikich kwiatów i pasących się krów.

Za dwadzieścia minut dojadą do Kleine Scheidegg, gdzie łąki nagle skończą się u stóp Alp. Tu przesiądą się jeszcze raz, tym razem do brązo-kremowego pociągu Jungfraubahn, który zawiezie ich do samego serca Alp, wzdłuż podnóża Eigerwandu i Eismeeru i wreszcie na stację Jungfrau-joch. Do szczytu góry, mającej ponad cztery tysiące sto metrów, było stamtąd jeszcze siedemset metrów. Spojrzał do tyłu i przyjrzał się uważnie prze-rażającemu północnemu zboczcu Eigeru, pionowemu wapiennemu urwisku, wznoszącemu się na tysiąc sześćset czterdzieści metrów prosto z łąk Eigeru ku szczytowi i pomyślał o pięćdziesięciu czy więcej alpinistach, którzy zginęli, próbując na nie wejść. Ryzyko... jak wszystko w życiu. Człowiek przygotowywał się, robił, co w jego mocy, a potem zdarzało się coś nie-przewidzianego i koniec. Wszechobecna śmierć po prostu cię chwyciła.

Thun było pierwszym miejscem, w którym policja, logicznie rzecz biorąc, mogła otoczyć pociąg. Ponieważ tego nie zrobiła, pozostawało tylko Interlaken. Ale tam także nie było policji. To zaś oznaczało, że Osborn gonił ich samotnie. Von Holden nie wiedział, ile pociągów dziennie przejeżdżało przez Interlaken. Wiedział natomiast, że pociąg do Lucerny odjechał dziesięć minut po przyjeździe jego berneńskiego pociągu. Lucerna to duży węzeł komunikacyjny; można było stamtąd jechać do Holandii, Belgii, Luksemburga, Włoch. Jungfrau-joch była przystankiem dla turystów, ludzi włączających się po Alpach lub prawdziwych alpinistów. Von Holden uciekał przed strażnikami prawa i raczej nieprawdopodobne było, by ktokolwiek uznał, że udał się na popołudniową wycieczkę w góry trasą, która kończyła się ślepo. Nie, logiczne było, że postara się maksymalnie

wyprzedzić swych prześladowców. A jeśli robiąc to, zdoła przekroczyć granicę z innym krajem, tym lepiej dla niego.

Von Holden porzucił pomysł zabicia Osborna w Interlaken jako zbyt ryzykowny. Zamiast tego odwrócił trik Osborna przeciw niemu samemu i kazał go wezwać przez głośniki, z zamiarem zarówno zbicia go z tropu, jak przestraszenia. Bez względu na to, czy spryt, czy instynkt zaprowadził go aż tak daleko, zamieszaj mu w głowie i skieruj go, zdeorientowanego, do bezładnej pogoni w jedyną pozostałą stronę. Logika. Jeśli przybywało się z Berna, do wyboru były tylko dwie drogi z Interlaken: kolej w góry oraz wąskotorówka do Lucerny. Osborn dowie się, że pociąg do Lucerny odjechał kilka minut po przybyciu von Holdena z Berna. Uzna, że von Holden nie miał innego wyboru, jak tylko wsiąść do niego, i pośpieszy następnym pociągiem do Lucerny w pogoni za cieniem.

Osborn wysiadł na stacji Grindelwald i szybko przeszedł do pociągu, który miał dowieźć go na przesiadkę w Kleine Scheidegg. Tym razem się nie wahał. Był pewien, że von Holden znajduje się w poprzednim pociągu, a nie czyha na niego tutaj. Von Holden miał dość arogancji, by wierzyć, że pozbył się go w Interlaken; przypuszczał zapewne, że albo Osborn nadal tam jest, przerażony i zastanawiający się, co robić dalej, albo zrobił krok najoczywistszy i jedzie za von Holdenem do Lucerny.

Jak się dowiedział z krótkiej rozmowy z jednym z amerykańskich maniaków kolei żelaznej, na stacji Jungfrauoch mieścił się urząd pocztowy i sklep z pamiątkami. Dodatkową atrakcją dla turystów był Pałac Lodowy z rzeźbami wyciętymi w ścianie lodowca, na którym zbudowano stację kolejową, małą automatyczną stację meteorologiczną oraz Gospodę ponad Chmurami. Obiekty te znajdowały się w większości na różnych poziomach i były dostępne dzięki windom. Poza tym nie było innych atrakcji prócz gór i niegościnnych obszarów wielkiego lodowca Aletsch. Osborn doszedł do wniosku, że jeśli von Holden ma przekazać komuś skrzynkę, zrobi to na terenie stacji. Kto to by mógł być i gdzie owo przekazanie nastąpi - nie miał najmniejszego pojęcia. Ale nie mógł nic zrobić, nim się tam dostanie.

Z ostrym zgrzytem zębatek pociąg wszedł w zakręt i po raz pierwszy Osborn ujrzał panoramę gór nad sobą, z ich czysto białymi szczytami odcinającymi się od popołudniowego nieba. Najbliżej był Eiger i nawet z tej odległości widać było niesione wiatrem wiry śnieżne, tańczące tuż pod jego szczytem.

- Pojedziemy prosto w górę, kochasiu, gdy tylko miniemy Kleine Scheidegg. - Uśmiechnięta tleniona blondynka, jedna z grupy Amerykanów, mówiła o szczycie, któremu się przyglądał. Nietrudno było zauważyć, że poddała się liftingowi twarzy, a także, gdy poklepała go po kolanie dłonią bez obrączki, że jest wolna i stara się to podkreślać. - Prosto w ścianę Eigeru i do tunelu wewnątrz niego, skąd możesz wyjrzeć i zobaczyć całą tę dolinę aż do samego Interlaken.

Osborn odpowiedział uśmiechem, podziękował za informację, a potem patrzył na nią obojętnie, dopóki nie cofnęła ręki. Nie szło o to, by przeszkadzały mu agresywne kobiety, lecz o to, że myśli miał pochłonięte czymś innym. Chciałby dysponować oprócz trzydziestki ósemki McVeya choć jedną ampułką paralizującej mięśnie sukcylinylocholiny...

## 141

Również von Holden przyglądał się górom, szukając wzrokiem smugi chmur lub nadmiernej aktywności wirów śnieżnych, co by zapowiadało, że wiatr przybiera na sile i pogoda może się załamać. Ale nic takiego nie zobaczył; wreszcie dla odmiany jakiś dobry znak. Ułatwi mu to późniejsze działania, gdyby wynikły jakieś kłopoty i musiał ruszyć w góry.

Vera siedziała naprzeciwko, patrząc na niego. Widać było, że jest nieobecny, zatopiony w myślach. Było coś, co niepokoiło ją coraz bardziej, czego jednak nie potrafiła określić. Owszem, był policjantem. Owszem, zabierał ją do Paula Osborna. Musiało to być prawdą, ponieważ mogła przebywać poza więzieniem pod jego nadzorem i wiedział o sprawach, o których by nie miał pojęcia, gdyby nie był tym, za kogo się podaje. Niemniej coś tu nie grało i chciałyby wiedzieć co. Podniósłszy wzrok, zobaczyła jego nylonowy plecak, leżący na półce nad ich głowami. Niósł go z sobą od samego Berlina, a ona właściwie tak naprawdę zauważyła to dopiero w tej chwili... Co było w środku?

- Dowody - powiedział spokojnie von Holden.

Pociąg teraz wspinał się stromo, a po obu jego stronach znikaty jedna za drugą formacje skalne, mknące górskie potoki i wodospady.

- Dokumenty i inne rzeczy odstawiające samo jądro ruchu neonazistowskiego. Nazwiska, miejsca, dane finansowe.

Razem z nimi jechało jeszcze pół tuzina innych pasażerów.

Podobnie w poprzedzającym ich wagonie. Zębata lokomotywka małego, dwuwagonowego pociągu pchała ich z tyłu. Vera stawiała się agresywna i von Holdenowi to się nie podobało. Powoli mijał szok wywołany doświadczeniami berlińskimi, pogłębiony jeszcze zabójstwami we Frankfurcie. Zaczynała myśleć przytomnie, oceniać sytuację, sondować von Holdena, może nawet wątpić. Musiał ją uprzedzić, dać coś z siebie, zachować jej zaufanie.

- Myślę, że już bezpiecznie mogę pani wyjawić cel naszej podróży. To stacja Jungfrauoch. - Uśmiechnął się. - Nazywają ją Dachem Europy. Może pani wysłać pocztówkę z najwyższego urzędu pocztowego w Europie.

- I tam jest Paul.

- A także strzeżona składnica na dokumenty.

- Co się stanie, gdy tam dotrzemy?

- Tego nie umiem powiedzieć. Miałem rozkaz, by bezpiecznie dostarczyć tam panią i dokumenty. A potem - uśmiechnął się ponownie - mam nadzieję, że wrócę do domu.

Nagle pociąg zanurzył się w tunelu; światło dawały tylko lampy elektryczne wewnątrz wagonu.

- Jeszcze dwadzieścia minut - powiedział von Holden, a ona odprężyła się i oparła o siedzenie. Chwilowo miał spokój. Gdy tylko dojadą do Jungfrauoch, wysiądą z pociągu wraz z innymi pasażerami i natychmiast pójdą do stacji meteorologicznej. To, co Vera pomyśli lub zrobi potem, nie będzie miało żadnego znaczenia, bo gdy tylko znajdą się wewnątrz, znikną w jej głębinach i nikt na świecie ich nie odnajdzie.

Nagle zwolnili; wjechali na Eigerwand, małą stacyjkę wykutą w skalnym tunelu wewnątrz północnego zbocza Eigeru. Lokomotywa bez wysiłku wjechała na mijankę i zatrzymała się, pozostawiając główny tor wolny, aby mógł przejechać pociąg zmierzający w dół. Maszynista otworzył drzwi wagonów i zaprosił wszystkich, by nacieszyli się widokiem i porobili zdjęcia.

- Proszę wyjść. - Von Holden uśmiechnął się i wstał. - Chwilowo jesteśmy turystami jak wszyscy inni. Powinniśmy się odprężyć i cieszyć z tego.

Wysiadłszy z pociągu, przeszli peronem wraz z innymi pasażerami i weszli do jednego z kilku krótkich tuneli wiodących do miejsca, gdzie w zboczu góry wycięto ogromne okna. Rozciągał się stamtąd przepiękny widok: na osłonecznioną dolinę, Kleine Scheidegg, Grindelwald i Interlaken - na całą przebytą przez nich drogę. Von Holden widział to kilkanaście razy i zawsze robiło to na nim coraz większe wrażenie: jakby oglądało się



świat z punktu widzenia góry. Za ich plecami maszynista uruchomił gwizdek, toteż reszta pasażerów zaczęła wracać do pociągu.

W tym momencie von Holden zauważył, że poniżej nich do Kleine Scheidegg zbliża się pociąg. Nagle zapanowało mu dech i poczuł, że serce zaczyna mu kołatać. W jego głowie coś poczęło pulsować, pojawiły się firanki czerwieni i zieleni.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała Vera.

Przez krótką chwilę von Holden chwiał się, a potem głęboko odechnął i przerwał swą wizję.

- Tak, dziękuję pani... - Wziął ją za rękę i ruszyli z powrotem. - Prawdopodobnie wysokość. - Kłamał. Jego atak nie był wynikiem choroby górskiej, zmęczenia czy czegokolwiek podobnego. Vorahnung. To mogło oznaczać tylko jedno: Osborn był w tamtym pociągu.

## 142

Osborn poczuł ucisk w uszach, gdy pociąg wyjechał z Kleine Scheidegg i rozpoczął długą drogę do góry w stronę zbocza Eigeru. Tleniona na blond rozwódka - miała na imię Connie i tak naprawdę była rozwiedziona dwa razy - nie zaniechała prób nawiązania z nim rozmowy. W końcu przeprosił ją i przeszedł do pierwszego wagonu. Musiał pomyśleć. Za jakieś czterdzieści minut dotrą do Jungfrauoch. Musiał postanowić, co zrobi, gdy pociąg dojedzie do stacji, a on wysiądzie. Raz jeszcze poczuł ciężar trzydziestki ósemki McVeya za paskiem. Z jakiegoś powodu zwróciło to jego myśli ku lawinom. Zdarzało się, że wystrzał wywoływał lawinę. Ratownicy górscy na terenach narciarskich umyślnie używali karabinów bezodrzutowych, by sprowokować zejście lawin przed otwarciem dla publiczności terenów narciarskich. Ale była dopiero połowa października i panowała niezła pogoda. Nie powinien w ogóle myśleć o lawinach.

Ale nie mógł przestać.

Jego podświadomość uparcie mu coś podsuwała. Ale co? Była połowa października, von Holden z rozmysłem kierował się ku terenom zaśnieżonym. Stację meteorologiczną zbudowano tu oraz częściowo wewnątrz lodowca. Właśnie wewnątrz znajdowały się atrakcje dla turystów, sale wyrąbane w lodzie...

Lód.

Zimno. I to porządnie zimno. Lodowiec był najzimniejszym miejscem

na ziemi. Szczególnie jeśli można się dostać do jego głębin. Znajdowano w nim zwłoki ludzi i zwierząt doskonale zachowane przez wieki. Czy możliwe, aby Jungfrauojoch było miejscem, gdzie dokonywano eksperymentów chirurgicznych? Czy Jungfrauojoch, rzekomo jedynie atrakcja turystyczna, była przykrywką dla tajnego zakładu medycznego w głębi lodowca?

Zgrzyt zębatek i stukot kół na szynach stały się wyraźniejsze.

Osborn poderwał się i wrócił do tylnego wagonu.

- Connie - odezwał się, siadając na miejscu obok niej - ty już byłaś na Jungfrauojoch.

- Jasne, kochasiu.

- Czy jest tam jakieś miejsce, gdzie turyści nie mogą wchodzić?

- Co masz na myśli, kochasiu? - Connie uśmiechnęła się i figlarnie przesunęła pomalowane na rubinową czerwień tipsy po wierzchu jego uda.

Osborn był pewien, że po kilku kieliszkach martini w Connie budzi się tygrysyca, ale zupełnie nie miał zamiaru tego sprawdzać.

- Posłuchaj, Connie. Próbuję uzyskać pewną informację. Nic, wierz mi, naprawdę nic więcej. A teraz bądź dobrą dziewczynką i postaraj się sobie to przypomnieć.

- Podobasz mi się.

- Wiem.

- Dobra, pomyślę.

Osborn patrzył na nią, jak wstaje i wygląda przez okno. Nie było to łatwe, wagon wspinał się po zboczu Eigeru pochylony pod kątem prawie czterdziestu stopni. Nagle wjechali do tunelu i wokół zrobiło się zupełnie ciemno.

Pięć minut później Osborn i Connie wyglądali przez okna wycięte w ścianie Eigeru na stacji Eigerwand. Connie trzymała go pod rękę i mocno przyciskała jego ramię.

- Niechętnie się do tego przyznaję, ale kręci mi się w głowie. Osborn popatrzył na zegarek. Von Holden powinien być już

u celu albo prawie u celu. Być może mylił się co do laboratorium w lodowcu, być może, jak myślał wcześniej, von Holden po prostu ma się tam z kimś spotkać. Jeśli tak jest, von Holden przekaże tamtemu to, co ma w plecaku, i wsiądzie do najbliższego pociągu odjeżdżającego na dół. Wszystko to można załatwić w kilka minut.

- Jest stacja meteorologiczna.

- Co?

Connie mówiła do niego i równocześnie wzywano ich do powrotu do pociągu.

- Stacja meteo, wiesz, takie jakieś obserwatorium.

Szli po peronie w stronę pociągu. W tym momencie druga kolejka zjechała z Jungfrauoch; powoli zsuwała się jedynym torem, mijając ich pociąg, stojący na bocznicy.

- Kochasiu, ty mnie słuchasz czy ot tak sobie gadam dla rozrywki?

- Tak, słyszę cię. - Osborn wyteżał wzrok, by zajrzeć do przejeżdżających wagoników. Posuwały się dość wolno, by mógł rozróżnić twarze siedzących w nich ludzi. Nie rozpoznał nikogo.

Potem siedzieli z powrotem na swych miejscach, a pociąg, przyspieszając, posuwał się w tunelu w górę.

- Przepraszam. Mówiłaś coś...

- O stacji meteo. Pytałeś czy nie pytałeś o miejsce, do którego nie wolno wchodzić turystom? No więc jest tam ta stacja. Wchodzi się po schodach w górę, jak myślę. Musi być rządowa czy coś takiego. Oczywiście jeszcze jest kuchnia.

- Co za kuchnia?

- Restauracji. Czemu w ogóle chcesz to wiedzieć?

- Zbieram materiały. Ja... piszę książkę.

- Kochasiu... - Connie znów położyła dłoń na jego udzie i przysunęła się tak blisko, że muskała wargami jego ucho. - Wiem - szepnęła - że nie piszesz książki. Bo jakbyś to robił, zaczękałbyś z tym wypytywaniem, aż tam przyjedziemy, bo chciałbyś to zobaczyć na własne oczy. Wiem też - dmuchnęła mu gorącym oddechem w ucho - że masz spluwę wetkniętą za pasek. Co zamierzasz tym zrobić, zastrzelić kogoś? - Connie wyprostowała się i uśmiechnęła. - Kochasiu, coś mi obiecasz? Najpierw wrzaśnij. Nie chciałabym się znaleźć na linii strzału.

## 143

Ostatnią stacją przed Jungfrauoch było Eismeer. Podobnie jak w Eigerwand, pociąg zatrzymał się, a pasażerowie wysiedli, by wzdychając z zachwytem, porobić zdjęcia z otworów wyciętych w skale. Ale widok z Eismeer różnił się od tego z Eigerwand i od wszystkiego, co dotychczas mijali. Zamiast falujących łąk, jezior i ciemnozielonych lasów skąpanych w rozleniwiającym jesiennym słońcu, widzieli biały, mroźny krajobraz. Ogromne rzeki śniegu i płynącego niedostrzegalnie lodu oddalały się od widzów, by zatrzymać się w miejscu, gdzie wznosiło się poszarpane skalne urwisko. W dali zachodzące słońce zarumieniło różem naniesiony wiatrem śnieg na najwyższych szczytach, nad nimi zaś wisiało puste, bezkresne

niebo, którego gładź przerywały tylko najdrobniejsze strzępki chmur. Rano lub w południe wyglądałoby tu inaczej. Ale teraz, w ostatnich godzinach przed zapadnięciem mroku, wszystko zdawało się zimne i groźne - ogromna i obca człowiekowi przestrzeń. Tak jakby natura udzielała ostrzeżenia: jeśli przypadkiem czy umyślnie się stąd oddalisz, daleko od ludzi, z dala od pociągów, przekonasz się, że to nie twoje miejsce na ziemi. Będziesz zdany tylko na siebie. I Bóg cię nie ochroni.

Rozległ się gwizdek pociągu wzywający pasażerów do powrotu. Osborn popatrzył na zegarek. Była za dziesięć piąta. Z tego wynikało, że przybędą na Jungfrauoch punkt piąta, a ostatni pociąg na dół odjedzie o szóstej. Będzie wówczas ciemno choć oko wykol. Zostaje mu godzina na odnalezienie von Holdena i Very i załatwienie z nimi swoich spraw oraz - jeśli przeżyje - na złapanie ostatniego pociągu jadącego na dół.

Osborn wsiadł ostatni. Drzwi natychmiast zamknęły się za nim, pociąg szarpnął i dało się odczuć, jak zębatki chwytają szynę pod nimi. Odchyliwszy się na oparcie, doktor głęboko zaczerpnął powietrza, a potem rozejrzał się po wagonie.

Connie siedziała w tyle, rozmawiając ze współpasażerami, prawie na niego nie patrząc. W porządku - pomyślał - jeden kłopot mniej. A potem, ze zdziwieniem i zupełnie zaskoczony, poczuł, że brak mu jej towarzystwa. Pomyślał, że może jeśli siądzie samotnie, ona wstanie i przyłączy się do niego. Znalazł wolne podwójne miejsce i usiadł naprzeciw niej. Nawet jeśli go zobaczyła, nie dała tego po sobie poznać, po prostu nie przestawała mówić. Patrzył, jak gestykuje, i zastanawiał się, czemu uparła się na te nienaturalnie długie czerwone tipsy. Albo tleni włosy na tak okropny blond. I wtedy zdał sobie sprawę, że jest śmiertelnie przerażony. Remmer jednoznacznie przestrzegł go, by trzymał się z dala od von Holdena. Noble powiedział, że Osborn ma niebywałe szczęście, skoro spotkał tego człowieka i jeszcze żyje. Gruntownie wyszkolony zabójca, który w ciągu mniej więcej dwudziestu ostatnich godzin jeszcze potrenował sobie, mordując dwudziestoletnią taksówkarę i trzech niemieckich policjantów. Wiedział, kim jest Osborn i że za nim podąża. I czy rzeczywiście okaże się tak naiwny, by myśleć, że Osborn w tej chwili radośnie jedzie sobie ciuchcią do Lucerny? Mało prawdopodobne. Von Holdena nie było w żadnym ze zjeżdżających w dół pociągów, a to oznaczało, że nadal znajduje się na Jungfrauoch. Na Jungfrauoch, gdzie nie można się nigdzie schronić...

Osborn pomyślał, że za pięć minut znajdzie się w piekle, które sam stworzył. Przypomniał mu się cały potok niezakończonych spraw, płynący w wyobraźni jak niekontrolowany wydruk. Pacjenci... dom... raty za samochód... ubezpieczenie na życie... Kto załatwi odwiezienie ciała do kraju? Kto dostanie jego rzeczy? Nie spisał nowego testamentu po ostatnim rozwodzie... Prawie się roześmiał. Co za komedia. Wszystkie niepozałatwiane sprawy życiowe. Przyjechał do Europy, by wygłosić przemówienie. Zakończył się. A potem to był już tylko zjazd po równi pochyłej. La descente infernale - niemal słyszał Verę mówiącą to po francusku. Jazda do piekła.

Vera... Słyszał jej głos, pamiętał ją... Okazała się kimś innym. Wielokrotnie pojawiała się w jego myślach, wielokrotnie usuwał ją z pamięci. Cóż, jest jak jest. Gdy wreszcie stanie z nią twarzą w twarz, stawi czoło rzeczywistości. Ale teraz jego myśli powinien zajmować tylko von Holden.

Poczuł, że pociąg zwalnia. Za oknem przesunął się napis.

Jungfrauojch.

- Jezu Chryste - wyszeptał. Odruchowo dotknął dłonią kolby rewolweru. Przynajmniej to mu pozostało.

Myśl o swym ojcu! - powiedział sobie. Słuchaj odgłosu noża wbijanego mu w brzuch! Zobacz wyraz jego twarzy! Zobacz, jak zwraca ku tobie wzrok, niemo pytając, co się stało. Zobacz, jak uginają się pod nim nogi i wali się na chodnik. Ktoś wrzeszczy. Ojciec jest przerażony. Wie, że umrze. Zobacz jego rękę unoszącą się ku tobie. Żebyś ją ujął i pomógł mu przez to przejść. Zobacz to, Paulu Osbornie. Zobacz i nie bój się tego, co cię czeka.

Zapiszczały hamulce, potem dał się słyszeć stuk i pociąg zwolnił jeszcze bardziej. Tory, światło na ich końcu i już byli prawie na miejscu. Stacja, podobnie jak Eigerwand i Eismeer. Connie mu to powiedziała. Tyle że tutaj szyny nie ciągnęły się dalej, kończyły się ślepo. Jedyłą drogą była ta, którą przybyli. Z powrotem przez tunel.

## 144

- Pożar na stacji meteorologicznej, proszę pana. Wybuchł zeszłej nocy. Nikomu nic się nie stało, ale stacja nie nadaje się do remontu - poinformował go robotnik kolejowy, gdy stali przy stosie zwęglonych szczątków, zwalonych pod ścianą tunelu.

Pożar! Zeszłej nocy. Tak samo jak w Charlottenburgu. Tak samo jak w das Garten!

W miarę zbliżania się do stacji na Jungfrauoch von Holden był coraz bardziej zaniepokojony. Obawiał się, że atak może się powtórzyć. Przyczyną jego niepokoju był nie tyle Osborn, ile Vera. Ostatni odcinek drogi przejechała w milczeniu, niemal nieobecna; wyczuwał, że rozumiała, co się dzieje, i próbuje się zastanowić, co robić. Postanowił, że gdy tylko przyjadą, wyprowadzi ją z pociągu i skieruje ku windzie. Do stacji meteorologicznej mają trzy minuty drogi, najwyżej cztery. Kiedy tam się znajdą, wszystko się ułoży, gdyż zaraz potem będzie martwa.

A teraz patrzył na szczątki i słuchał nowin o pożarze. Zniszczenie stacji było czymś, czego w ogóle nie brał pod uwagę.

- Więc tam był Paul...

- Tak - potwierdził von Holden.

Wspinali się w zapadającym zmierzchu po długich schodach w kierunku wypalonej skorupy tego, co niegdyś było stacją meteorologiczną. Za plecami mieli jasno oświetloną konstrukcję ze stali i betonu, mieszczącą restaurację i Pałac Lodowy. Po ich prawej ręce opadał lodowiec Aletsch, zmrożona, poskręcana, ciemniejąca rzeka lodu i śniegu. Nad nimi wznosił się szczyt Jungfrau pobielony śnieżnym diademem, teraz krwawoczerwonym w zachodzącym słońcu.

- Dlaczego nie ma ratowników? Ani strażaków? Ani ciężkiego sprzętu? - Vera była rozgniewana, przerażona i nie mogła uwierzyć własnym oczom, a von Holden żywił za to dla niej wdzięczność. Uzmysłowała mu, że bez względu na to, co on o tym myśli, głównym powodem jej niepokoju pozostaje Osborn. Już samo to powinno odwrócić jej uwagę, jeśli nie zdolają dotrzeć do wewnętrznych korytarzy - bo wbrew jego nadziejom mogły nie przetrzymać pożaru - i będą musieli wyjść na zewnątrz.

- Nikt nie próbował ratować, bo nikt nie wie, że oni tu są. Stacja meteorologiczna jest zautomatyzowana, tylko od czasu do czasu pojawia się tam jakiś technik. Nasze pomieszczenia są pod ziemią. W razie pożaru zapasowe generatory odcinają wszystkie piętra.

Dotarli na górę. Von Holden szarpnięciem odrzucił ciężki arkusz sklejki zakrywający wejście. Przeszli przez ościeżnicę ze zwęglonego drewna. Wewnątrz było ciemno, powietrze przesyciła gryząca woń dymu i stopionej stali. Ogień musiał osiągnąć niezwykle wysoką temperaturę. Wyższą niż przy jakimkolwiek nieumyślnie wywołanym pożarze. Dowodziły tego stopione stalowe drzwi za schowkiem na narzędzia. Von Holden

znalazł łom pozostawiony przez brygadę rozbiórkową i próbował je otworzyć. Okazało się to niemożliwe.

- Salettl, ty skurwysynu - mruknął pod nosem. Z obrzydzeniem odrzucił łom. Bez sensu było próbować dalej; wiedział, co znajdzie w środku. Wysoki na metr osiemdziesiąt tytanowy korytarz wyłożony płytami ceramicznymi, stopiony na masę nie do przebycia.

- Chodźmy - powiedział. - Jest jeszcze jedno wejście. Jeśli niższe poziomy zostały odcięte od pożaru, jak powinny, wszystko będzie dobrze.

Wyszedłszy pierwszy, von Holden polecił Verze, by schodziła schodami przed nim. Ostatnie promienie słońca dotknęły jej włosów, barwiąc je na cynobrowe. Przez ułamek sekundy von Holden zastanawiał się, jak by to było, gdyby był zwykłym człowiekiem. Pomyślał o Joannie i o tym, jak szczerze wyznał jej w Berlinie, że nie wie, czy jest zdolny do miłości. Ona zaś odpowiedziała z przekonaniem: „Jesteś...”. Myślenie o tym w tej chwili było zupełnie bezsensowne, a jednak nie mógł się powstrzymać. Joanna, choć pospolita i nieładna, była obdarzona prawdziwie pięknym sercem, może najwspanialszym ze wszystkich kobiet, które kiedykolwiek znał. Ze zdumieniem pomyślał, że chyba miała rację; był zdolny do miłości i to właśnie ją mógł naprawdę pokochać.

Jego uwagę przyciągnął duży zegar w ścianie u podnóża schodów. Wskazówka minutowa stała pionowo w górę. Punkt piąta. W tym samym momencie rozległa się zapowiedź nadjeżdżającego pociągu. Przestał śnić swój sen na jawie i skierował myśli ku konkretnemu celowi.

Osborn.

## 145

Osborn odsunął się od drzwi, czekając, aż inni wysiądą. W roztargnięciu otarł pot z górnej wargi. Jeśli nawet drżał, nie zauważył tego.

- Powodzenia, kochasiu. - Connie dotknęła jego ręki, wychodząc z wagonu, i odeszła wraz z pozostałymi entuzjastami kolei w stronę otwartej windy przy końcu szyn. Osborn się rozejrzał. Wagon był pusty, pozostał sam. Podniósł trzydziestkę ósemkę i otworzył bębenek. Sześć naboí.

Wcisnął bębenek na miejsce, wetknął broń za pasek, poła marynarki z powrotem zakryła broń. Odetchnął głęboko i szybko wyszedł z pociągu. Natychmiast poczuł chłód. Taki, jaki odczuwa narciarz, wychodząc z ogrzewanego wagonika kolejki linowej do na wprost otwartego pomieszczenia, w którym wagoniki się zatrzymują.

Zdumiał się na widok stojącego na stacji drugiego pociągu. Przyszło mu na myśl, że ponieważ ostatni wyrusza o szóstej, ten musi być przeznaczony dla załogi, która odjedzie po zamknięciu stacji.

Osborn poszedł peronem i dołączył do kilku angielskich turystów. Następnie wsiadł do tej samej windy, którą odjechała Connie i inni Amerykanie. Kabina przejechała jedno piętro i drzwi się otworzyły, ukazując bar samoobsługowy i sklep z pamiątkami.

Brytyjczycy wysiedli, Osborn za nimi. Zwolnił kroku i zatrzymał się przy sklepie z pamiątkami. W roztargnieniu patrzył na cały asortyment T-shirtów z Jungfraujoch, pocztówek i słodczy, równocześnie próbując przyglądać się twarzom ludzi, tłoczących się w barze na drugim końcu pomieszczenia. Niemal natychmiast po nim wszedł niski puciołowaty chłopak, w wieku około dziesięciu lat, w towarzystwie rodziców. Zwykła amerykańska rodzina, ojciec i syn mieli na sobie identyczne kurtki - byli fanami Chicago Bulls. Osborn poczuł się nagle tak samotny jak nigdy dotąd. Nie był pewien czemu... Czy dlatego, iż tak oddalił się od reszty świata, że gdyby von Holden lub Vera go zabili, to i tak nikt tego nie zauważy i nikt go nie obejdzie, czy jakiś Osborn w ogóle kiedykolwiek istniał? Czy też widok syna i ojca powiększył gorycz tego, co mu odebrano? A może było to jeszcze coś innego, coś, co omijało go przez całe jego życie: własna rodzina?

Opanował się i raz jeszcze uważnie przyjrzał się sali. Nie dostrzegł ani von Holdena, ani Very. Oddalając się od sklepu z pamiątkami, podszedł do windy. Niemal w tej samej chwili drzwi się otworzyły i wysiadła para w podeszłym wieku. Po raz ostatni obrzuciwszy salę spojrzeniem, Osborn wsiadł do kabiny i nacisnął guzik następnego piętra. Drzwi się zamknęły, winda ruszyła do góry. Kilka sekund później zatrzymała się, drzwi się rozsunęły i Osborn wyjrzał na świat z błękitnego lodu. Był to Pałac Lodowy, długi półokrągły tunel wycięty w lodowcu i pełen nisz z rzezbami lodowymi. Przed sobą widział ostatnich dzisiejszego dnia turystów, wśród nich Connie, spacerujących i podziwiających rzeźby - ludzi, zwierząt, naturalnej wielkości samochodu, repliki baru ze staromodną beczką na whisky, zastawionego krzesłami i stolikami.



Zawahał się, a potem wysiadł i ruszył korytarzem, starając się zmieszać ze zwiedzającymi, wyglądać jak wszyscy inni. Przyglądał się badawczo twarzom mijających go turystów. Być może popełniał błąd, może powinien pozostać z nimi. Wyciągnął rękę i delikatnie przesunął palcami po ścianie korytarza, jakby wątpił, czy naprawdę jest z lodu, a nie z jakiegoś naśladowującego go tworzywa. Ale był to lód. Taki sam jak na suficie i podłodze. Utwierdził się w swoim przekonaniu, że to miejsce musi mieć coś wspólnego z zabiegami chirurgicznymi wykonywanymi w skrajnie niskich temperaturach.

Ale gdzie? Jungfraujoch była mała. Operacje, szczególnie tak precyzyjne, wymagały przestrzeni. Sale na sprzęt, sale przygotowawcze, sale operacyjne, pokoje do reanimacji pooperacyjnej. Pokoje mieszkalne dla personelu. Tu brakowało miejsca.

Connie powiedziała, że turyści nie mają wstępu tylko do stacji meteorologicznej. Cztery metry przed nią stała szwajcarska przewodniczka, a grupa nastolatków pozowała do fotografii w tunelu lodowym. Osborn podszedł do kobiety i zapytał, jak dojść do stacji meteo. Usłyszał, że stacja mieści się wyżej, koło restauracji i zewnętrznego tarasu. Ale została spalona.

- Spalona?

- Tak, proszę pana.

- Kiedy to się stało?

- Zeszłej nocy, proszę pana.

Zeszłej nocy. Tak samo jak w Charlottenburgu.

- Dziękuję pani.

Osborn poszedł przed siebie. Jeśli nie był to jakiś wyjątkowy zbieg okoliczności, to, co wydarzyło się tam, wydarzyło się również tutaj. Zatem to, co zostało zniszczone tam, zostało zniszczone także i tutaj. Ale von Holden nie mógł o tym wiedzieć, inaczej by nie przyjechał... chyba że miał tu tylko z kimś się spotkać. Nagle coś zmusiło Osborna do podniesienia głowy. Vera i von Holden stali na końcu korytarza, skąpani w bajkowym błękitnym świetle rozszczepionym przez lód. Patrzyli na niego jeszcze przez pół sekundy, a potem nagle odwrócili się i zniknęli w głębi korytarza.

Osbornowi serce waliło tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Opanował się.

- Ten korytarz... - powiedział do przewodniczki, wskazując miejsce, gdzie tamci przed chwilą stali - dokąd właściwie prowadzi?

- Na zewnątrz, do szkółki narciarskiej i do toru dla psich zaprzęgów. Ale pod koniec dnia są już zamknięte.

- Dziękuję. - Głos Osborna zmienił się prawie w szept. Stopy miał jak z ołowiu, jakby przymarzły do lodu. Wsunął dłoń pod marynarkę i dotknął trzydziestki ósemki. Lodowe ściany połyskiwały kobaltowym błękitem. Widział swój parujący oddech. Chwyciwszy się poręczy, poszedł ostrożnie przed siebie, aż dotarł do zakrętu tunelu, za którym zniknęli von Holden i Vera. Korytarz przed nim był pusty, a na jego końcu widział drzwi. Kierunek wskazywała strzałka na szyldzie szkółki narciarskiej. Inny napis reklamował przejażdżki psimi zaprzęgami.

Chce, żebyś za nim poszedł. Myśli przelatywały przez głowę Osborna. Na tym polega jego pomysł. Przez te drzwi. Na dwór. Zrobisz to i już po tobie. Nie wejdiesz tu ponownie. Von Holden ciśnie gdzieś na dół to, co z ciebie pozostanie. Do jakiejś głębokiej rozpadliny. Nie odnajdą cię aż do wiosny. Albo nigdy.

- Co pan robi? Dokąd pan mnie zabiera?

Vera i von Holden wchodzili do małego, wywołującego klaustrofobię pokoiku wykutego w lodzie w przejściu za głównym korytarzem. Kiedy szli korytarzem, mocno ścisnął jej ramię. Zatrzymał ją w chwili, gdy ujrzeni Osborna. Z rozmysłem czekał, aż wyczuł, że gotowa jest zawołać, a potem obrócił ją w miejscu i szybko pociągnął do tyłu, skręcając do bocznego tunelu i wreszcie do pokoiku.

- Pożar był wynikiem podpalenia. Są tutaj, czekają na nas. Na ciebie, na moje dokumenty.

- Paul...

- Może on też jest jednym z nich.

- Nie. Nigdy! Udało mu się uciec...

- Doprawdy?

- Musiał po prostu... - Nagle we wspomnieniach Very pojawili się ludzie udający frankfurckich policjantów. „Gdzie jest żeńska funkcjonariuszka? Policjantka?” - pytali. „Nie ma żadnej - odparł von Holden. - Nie było czasu”. Wcale nie szukali innego uciekiniera, niepokoiły ich przepisy! Detektyw płci męskiej nie może samotnie transportować aresztowanej kobiety w zamkniętym przedziale, jeśli nie towarzyszy mu policjantka!

- Musimy upewnić się co do Osborna albo żadne z nas nie wyjdzie stąd żywe. - Von Holden uśmiechnął się łagodnie, podchodząc do niej. Nylonowy plecak miał na lewym ramieniu, prawą dłoń trzymał koło pasa. Zachowywał się swobodnie, był odprężony, tak jak wówczas, gdy stał

twarzą w twarz z ludźmi w pociągu. Tak jak Avril Rocard, gdy strzelała do agentów francuskiego kontrwywiadu na farmie pod Nancy.

W tym momencie Vera pojęła, co niepokoiło ją od chwili, gdy opuściła Interlaken. Nie widziała tego do tej pory; była zdruzgotana emocjonalnie i wyczerpana. Tak, von Holden miał na wszystko właściwą odpowiedź, ale to ludzie w pociągu byli policjantami. To nie oni byli nazistowskimi mordercami, to von Holden.

## 146

Osborn szybko wycofał się drogą, którą przyszedł. Zobaczył turystów amerykańskich ładujących się do windy w drugim końcu Pałacu Lodowego. Przyspieszywszy kroku, dogonił ich w chwili, gdy drzwi już się zamykały. Przytrzymał je i przecisnął się do środka.

- Bardzo przepraszam.

Drzwi się zamknęły i winda ruszyła do góry. Co teraz? Słyszał pulsowanie krwi w tętnicy szyjnej: łup! łup! łup! - zupełnie jak uderzenia młota pneumatycznego. Nagle winda stanęła i drzwi otworzyły się na wielką samoobsługową restaurację. Osborn musiał wysiąść pierwszy. Potem się cofnął, starając się jednak trzymać cały czas grupy. Na dworze było prawie ciemno. Przez szereg okien ledwie można było dostrzec szczyty gór po drugiej stronie pochyłości lodowca Aletsch. Nad nimi, w niesamowitym półmroku, rysowały się nadciągające chmury, zwiastujące złą pogodę.

- Co teraz zrobisz?

Connie szła obok niego. Osborn spojrzął na nią, a potem drgnął, gdy nagły poryw wiatru uderzył w okna.

- Zrobię...? - Osborn nerwowo obrzucił spojrzeniem pomieszczenie, gdy szli za innymi do kontuaru z potrawami. - Myślałem, że może... zamówię filiżankę kawy.

- O co chodzi?

- O nic. Dlaczego miałoby o coś chodzić?

- Masz kłopoty czy co? Policja cię goni?

- Nie.

- Na pewno?

- Owszem. Jestem pewien.

- To czemuś taki nerwowo? Płochliwy jesteś jak nowo narodzony zrebak.

Doszli do lady z potrawami. Osborn obrzucił spojrzeniem cały bar.

Niektórzy uczestnicy amerykańskiej wycieczki już siadali, przysuwając krzesła do dwóch stojących blisko siebie stołów. Rodzina, którą zauważył przy sklepie z pamiątkami, zajmowała inny stół; ojciec pokazywał palcem w stronę toalety, a chłopiec w kurtce Chicago Bulls wstał, by do niej pójść. Przy stole koło wejścia siedziało dwóch młodych mężczyzn, palili papierosy i z przejęciem rozmawiali.

- Siadaj tu ze mną i wypij to. - Przeszli już koło kasy i Connie prowadziła go do stołu, daleko od swej wycieczki.

- Co to takiego? - Osborn spojrział na filiżankę, którą przed nim postawiła.

- Kawa z koniakiem. No, bądź grzecznym chłopcem i wypij.

Osborn popatrzył na nią, a potem podniósł filiżankę i wypił. Co robić? Zastanawiał się. Są tutaj, w budynku lub na zewnątrz. Nie poszedłem za nimi. Czyli oni przyjdą po mnie.

- Czy pan doktor Osborn?

Osborn podniósł głowę. Chłopiec w kurtce Chicago Bulls stał tuż przy nim.

- Tak.

- Jakiś pan prosił, by przekazać, że czeka na zewnątrz.

- Co za jeden? - Tlenione brwi Connie zbiegły się nad nosem.

- Koło toru dla psich zaprzęgów.

- Clifford, a ty co? Myślałem, że idziesz do toalety. - Ojciec wziął chłopca za rękę. - Przepraszam - powiedział do Osborna. - Co ty wyprawiasz, zwracasz ludziom głowę - zakończył i obaj odeszli.

Osborn zobaczył swego ojca na chodniku. Ze zwierzęcym strachem w oczach. Prerażonego. Wyciągającego rękę do swego syna, by mu ulżył w spotkaniu ze śmiercią. Nagle Osborn wstał. Nie patrząc na Connie, obszedł stół i ruszył do drzwi.

## 147

Von Holden czekał w śniegu, z tyłu za pustymi zagrodami, gdzie podczas dnia trzymano psy zaprzęgowe. Obok niego stało pudło w czarnym plecaku, w rękach trzymał pistolet maszynowy Skorpion kalibru dziewięć milimetrów z nałożonym tłumikiem ognia wylotowego i huku. Był lekki, łatwy w obsłudze i miał magazynek na trzydzieści dwa naboje. Uznał, że Osborn jest uzbrojony, podobnie jak owej nocy w Tiergarten. Nie miał pojęcia, jak dobre ma wyszkolenie strzeleckie, ale nie robiło mu to większej różnicy; tym razem nie da Osbornowi okazji, by się nim wykazał.

Piętnaście metrów dalej, między von Holdenem i drzwiami do szkółki narciarskiej, stała w ciemności Vera. Była przykuta do poręczy, biegnącej wzdłuż pokrytej lodem ścieżki do zagród dla psów. Mogła sobie krzyczeć, nawet wrzeszczeć. Piętnaście metrów to dość blisko, by ją usłyszał i zobaczył Osborn, gdy będzie wychodził, ale wystarczająco daleko dla każdego, kto wyglądałby z budynku. Von Holden chciał ich oboje wywabić dalej, w mrok za zagrodami dla psów, gdzie najdogodniej byłoby ich zabić. Dlatego właśnie przykuł Verę w tym miejscu. Odgrywała rolę, którą zaplanował dla niej od początku; z tą różnicą, że teraz nie była już zakładniczką, lecz przyręta.

Czterdzieści metrów od niej otworzyły się drzwi szkółki narciarskiej na końcu tunelu Pałacu Lodowego, trysnęło przez nie światło i wyszła samotna postać. Przez moment połyskiwał w ciemności długi szereg ciężkich sopli lodowych. Drzwi się zamknęły i postać stanęła w miejscu - doskonale widoczna na tle śniegu. Chwilę później ruszyła naprzód.

Vera patrzyła, jak Osborn się zbliża. Szedł śladem pozostawionym przez skuter śnieżny, którego tu używano przy przejazdach psimi zaprzęgami, i patrzył prosto przed siebie. Wiedziała, że w ciemności jest wystawiony na strzał, bo potrzebuje czasu, by jego oczy dostosowały się do słabego światła. Obejrzała się i zobaczyła, że von Holden bierze pakunek na ramię, przesuwa się do tyłu, za mały grzbiecik, i znika za nim. Wyprowadził ją z Pałacu Lodowego przewodem wentylacyjnym, potem bez słowa zakuł w kajdanki i odszedł. Przemyślał dokładnie swoje postępowanie i teraz Osborn zmierzał prosto w pułapkę.

- Paul! - Krzyk Very rozległ się w ciemności. - On tu czeka. Cofnij się! Zadzwoń po policję!

Osborn zatrzymał się i spojrzał w jej stronę.

- Cofnij się, Paul! On cię zabije!

Osborn wahał się jeszcze moment, a potem nagle przesunął w bok i zniknął. Natychmiast spojrzała w stronę, w którą oddalił się von Holden, ale nic nie zobaczyła. Dopiero w tej chwili zauważyła, że zaczął padać śnieg. Przez moment panowała absolutna cisza. Jej oddech zamieniał się w parę na zimnym powietrzu. Nagle poczuła nacisk stali na skroń.

- Nie ruszaj się. Nawet nie oddychaj.

Osborn stał tuż przy niej z trzydziestką ósemką McVeya w ręce, wpałując się z natężeniem w mrok za nią.

- Gdzie on jest? - syknął.

Patrzył na nią zawziętym, bezlitosnym wzrokiem.

- Paul...? - zawołała. Boże, co on wyrabia?

- Pytałem, gdzie on jest.

Och, Boże... Nie... Nagle zrozumiała. Uważał, że jest jedną z nich.

- Paul - powiedziała błagalnie - von Holden zabrał mnie z więzienia, mówił, że jest niemieckim policjantem federalnym i zawiezie mnie do ciebie.

Osborn cofnął broń. Znów spojrzął w dal, usiłując przeniknąć ciemność. Nagle mocno kopnął barierkę i rozległ się trzask przypominający strzał z karabinu. Drewniana poręcz rozpadła się na dwoje i Vera stała swobodnie; ale dłonie nadal miała skute przed sobą.

- Ruszaj - rzucił, popychając ją w stronę zagrody dla psów, trzymając ją przed sobą na linii strzału von Holdena.

- Nie, Paul, proszę, nie...

Nie zwrócił uwagi na jej słowa. Przed nimi znajdowała się zamknięta szkoła narciarska, a dalej zbudowana z drewna i drutu zagroda, gdzie trzymano w dzień psy pociągowe. A jeszcze dalej, tuż za nią, przez padający śnieg błysnęło jak miraż słabe niebieskie światełko. Osborn szarpnął ją do tyłu, oglądając się wstecz przez ramię. Pusto. Znów zwrócił się przed siebie.

- To światło. Co to takiego?

- To... - Vera zawahała się - szyb wentylacyjny. Taki tunel. Wyszliśmy nim z Pałacu Lodowego.

- Tam właśnie jest? - Obrócił ją twarzą do siebie. - Tak czy nie? - Nie patrzył na Verę; patrzył na kobietę, która go zdradziła. Był przerażony, zdesperowany, ale pomimo to zamierzał doprowadzić rzecz do końca.

- Nie wiem - wydusiła z siebie Vera, półmartwa ze strachu. Tunel miał tyle zaułków i zakrętów, gdzie można się było zacząć. Jeśli von Holden tam jest, a oni wejdą za nim do środka...

Osborn szybko się rozejrzał, a potem pchnął ją znów w stronę plamy światła padającego z szybu. Słychać było tylko pomruki wiatru i chrzęst śniegu pod stopami. Po kilku sekundach doszli do zagród dla psów; tuż obok padało światło.

- Jego w ogóle nie ma w tunelu, co, Vera? - Osborn przeszywał wzrokiem ciemność, próbując zobaczyć coś przez padający śnieg. - Czeka na zewnątrz, w ciemności, aż zaprowadzisz mnie do światła jak kaczkę na strzelnicę. To ci niczym nie grozi. Jest przecież strzelcem wyborowym, wyszkolonym żołnierzem Specnazu.

Jak mógł nie zrozumieć, co się stało? Nie wierzyć, że mówi mu prawdę?

- Do cholery, Paul! Posłuchaj mnie... - Vera zaczęła odwracać się do niego, by spojrzeć mu w oczy. Nagle zamarła. Przed nimi były ślady w śniegu. W niebieskawej poświacie Osborn też je zauważył. Ślady stóp przyprószone świeżym śniegiem, prowadzące od miejsca, w którym się zatrzymali, prosto do tunelu; von Holden stał tutaj przed chwilą.

Osborn nagle popchnął ją w bok, w cień, na drewno i druty zagrody dla psów. A potem spojrzał do tyłu, uważnie przyglądając się śladom.

Widziała, że próbuje coś postanowić, zdecydować, co robić dalej. Był wyczerpany, ona też goniła resztką sił. Myślał tylko o von Holdenie i niczym więcej. Popępiał błędy i nie zdawał sobie z tego sprawy. A jeśli będzie zachowywał się jak dotychczas, von Holden za chwilę zabije ich oboje.

- Paul, popatrz na mnie! - wrzasnęła nagle na niego głosem drżącym od emocji. - Popatrz na mnie!

Przez długą chwilę stał bez ruchu, a wokoło bezgłośnie padał śnieg. A potem powoli, z ociąganiem, odwrócił się do niej. Pomimo mrozu był mokry od potu.

- Proszę, wysłuchaj mnie - powiedziała. - Nieważne, w jaki sposób doszedłeś do swoich wniosków. Prawda jest taka, że nie mam nic wspólnego z von Holdenem ani nigdy nie miałam. To jest chwila, w której musisz mi uwierzyć... powinieneś mi uwierzyć i zaufać. Wierzmy sobie i ufamy, i to jest rzeczywiste i ważniejsze niż wszystko inne... wszystko... - Jej głos cichł powoli.

Osborn patrzył na nią. Dotknęła struny głęboko w nim ukrytej, nerwu, o którym myślał, że już nie istnieje. Jeśli wybierze „nie”, pozostanie tylko jedno. Proste. Skończyć z tym. Ale wybranie „tak” oznaczało zaufać niezależnie od tego, co wie i czego w życiu doświadczył. Zaprzeczyć sobie, zapomnieć o ojcu. Uznać doświadczenie za nieistotne. Powiedzieć po wszystkim, co się wydarzyło: Ufam tobie i mojej miłości do ciebie... a jeśli przez to zginę, no to zginę.

To musi być absolutne zaufanie. Absolutne.

Vera patrzyła na niego. Czekwała. Za nią przez padający śnieg przeświecały światła restauracji. Wszystko zależało od niego. Od jego wyboru.

Bardzo powoli podniósł rękę i dotknął jej policzka.

- W porządku - powiedział wreszcie. - W porządku.

Von Holden uniósł się na łokciach i zaczął centymetr po centymetrze posuwać się naprzód. Gdzie oni są? Dotarli do samego skrajku światła, a potem zniknęli mu z oczu. Przecież to miało być takie proste. Sprowokował Osborna, pokazując się mu wraz z Verą w Pałacu Lodowym. Gdyby Osborn poszedł za nimi, von Holden wciągnąłby go do bocznego tunelu, gdzie wepchnął Verę, i tam zabił. Ale Osborn tego nie zrobił. Dlatego von Holden posłużył się Verą. Była kartą w grze, niczym więcej. Osborn widział ich razem wsiadających do pociągu w Bernie. Przedtem zobaczył ją w areszcie w Berlinie. Cóż innego mógłby sobie pomyśleć oprócz tego, że ona i von Holden są współspiskowcami, uciekającymi po katastrofie w Charlottenburgu. Przepętniony wściekłością z powodu zdrady, Osborn znajdzie sposób, by ją uwolnić, i bez względu na to, co będzie mówiła, zażąda, by zaprowadziła go do von Holdena - jako zakładniczka albo karta przetargowa.

Tuż przed nim poryw wiatru utworzył wir śnieżny. Wiatr. To mu się nie podobało. Ani też śnieg. Podniósł głowę i zobaczył linię chmur zbliżających się od zachodu. Do tego robiło się coraz zimniej. Powinien był zabić ich wcześniej, gdy tylko ruszyli w stronę szkółki narciarskiej. Ale zlikwidowanie dwóch osób i pozbycie się ich ciał tak blisko głównego budynku było ryzykowne; mogłoby przeszkodzić mu w osiągnięciu jego właściwego celu. Tunel wentylacyjny leżał osiemdziesiąt metrów od niego, w ciemności i śniegu, odległy na tyle, by bezpiecznie w nim zabić. Osborn, zdenerwowany i wytrącony z równowagi, pójdzie śladami jego stóp. Dwa strzały, ułamek sekundy jeden po drugim, nie narobią hałasu. A potem von Holden zatańczy ich ciała na tyły zagród dla psów, gdzie urwisko stromo opada, i ciśnie je w czarną pustkę przepaści. Pierwszego Osborna...

- Von Holden! - rozległ się głos Osborna z mroku. - Vera poszła zatelefonować po policję. Pomyślałem, że pewnie chciałbyś o tym wiedzieć.

Von Holden drgnął, odpełził do tyłu i skrył się za wystającym głazem. Nawet jeśli to prawda, upłynie co najmniej godzina, zanim tu przybędą. Musi uznać, że to nieistotne, i działać dalej.

Na wprost przed nim Jungfrau, jak jakiś widmowy wartownik, wznosiła się wyżej na jakieś siedemset metrów. Sto metrów na prawo i dwanaście niżej ścieżka prowadziła po ścianie urwiska, na którym zbudowano Jungfraujoch. W trzech czwartych jej długości, ukryty wśród skał, znajdował się pomocniczy szyb wentylacyjny, otwarty od tyłu dziewięćset



czterdziestego czwartego roku, gdy zbudowano wewnątrz lodowca pod stacją meteorologiczną niedostępny system tuneli i wind. Jeśli zdoła tam dotrzeć, nim się zjawi policja, będzie mógł się ukryć. Na tydzień, dwa tygodnie. Na dłużej, jeśli trzeba.

## 149

Osborn skulił się niedaleko zagrody dla psów i nasłuchiwał. Ale słyszał tylko cichy świst wiatru, który z wolna nabierał mocy. Gdy wyjeżdżał z McVeyem do Berlina, zmienił buty na parę czarnych reeboków z cholewkami. Poza tym nadal nosił koszulę i garnitur, niezbyt przydatne na wysokości trzech tysięcy czterystu metrów, w ciemności i śniegu, przy nasilającym się wietrze.

Niewiarygodne, ale w jednej chwili rozwiały się cała niewiara i złość Osborna na Verę. Z powodu tego, co powiedziała, i tego, co widział w jej oczach, gdy mówiła. Wyzwanie dla niego: by udowodnił, kim jest i w co naprawdę wierzy.

W tym właśnie momencie jego wątpliwości zniknęły. Miał jeszcze przed oczami obraz tego, jak odciąga ją od zagrody dla psów i idą w śniegu po drugiej stronie klatek, tuląc się do siebie, oboje zalani łzami; powoli docierało do nich to, co się wydarzyło, a także to, co o mały włos by się wydarzyło.

Przez chwilą była oszołomiona, a potem razem się cofnęli. Von Holden nie odważy się przyjść tu za nimi, gdy wokół palą się jasne światła i pełno jest ludzi.

- A jeśli to zrobi? - zapytał Osborn. I nie bez racji. Von Holden był zdolny do wszystkiego. - Jest taka Amerykanka, blondynka - powiedział Verze. - Będzie czekała na odjazd pociągu. Nazywa się Connie. To dobra dziewczyna. Wsiądź z nią do pociągu do Kleine Scheidegg i stamtąd zatelefonuj po szwajcarską policję. Powiedz im, by się skontaktowali z detektywem Remmerem z niemieckiego Federalnego Biura Kryminalnego w Bad Godesbergu.

Pamiętał, że wpatrywała się w niego długą chwilę. Nie przybył tutaj tylko po to, by ją chronić, lecz przede wszystkim z powodu, dla którego do tej pory ścigał von Holdena, usiłował w Paryżu wycisnąć z Alberta Merrimana prawdę i dla którego pojechał z McVeyem do Berlina. Winien to był sobie i ojcu i nie mógł się wycofać. Wtedy właśnie pocałowała go, odwróciła się i odeszła.

Zatrzymał ją. Spojrzenie miał ożywione. Przygotowywał następny krok. Pytał, skupiony i uważny, czy ona wie, co jest w skrzynce, którą von Holden przywiózł z Berlina.

- Powiedział, że dokumenty demaskujące neonazistowskich konspiratorów. Ale jestem pewna, że to nieprawda.

Osborn patrzył za nią, gdy szła przez mrok ku zapewniającemu bezpieczeństwo głównemu budynkowi. Upłynęło kilka sekund i wreszcie pojawił się snop światła, gdy drzwi się otworzyły i Vera weszła do środka. A potem zapanowała ciemność. Natychmiast zaczął się zastanawiać, co von Holden naprawdę niesie w plecaku. Niewątpliwie dokumenty, ale oczywiście nie była to lista neonazistowskich prominentów; z pewnością dotyczyły kriochirurgii. Rozprawy, referaty, procedury zamrażania i odmrażania, programy dla komputerów, schematy projektowe narzędzi, może nawet skalpela jego ojca. Wszystko w jednym egzemplarzu, dlatego strzegł ich tak starannie. Nieważne, na potrzeby jakiej złej potęgi ową procedurę wynaleziono; dla świata medycyny miała fantastyczną wartość i bez względu na to, co się zdarzy, musiał uchronić te dokumenty.

Nagle Osborn zdał sobie sprawę, że jest zbyt bierny; von Holden łątwo mógł zająć go z tyłu. Rozejrzał się szybko, ale nic nie zobaczył. Sprawdził działanie mechanizmu swego rewolweru, a upewniwszy się, że nie zamarzył w zimnie, wsunął go za pasek i zerknął w stronę głównego budynku. Vera już jest w środku i pewnie próbuje odszukać Connie.

Wyprostował się i ostrożnie zaczął iść skrajem zagrody dla psów, póki nie ujrzał światła tunelu. Pewien był, że zostawienie odcisków stóp było trikiem, mającym na celu zwabienie go do światła. Von Holden udał się w stronę tunelu, ale nie wszedł do niego, nie miał tam pola do manewru i łatwo mógł zostać złapany w pułapkę, szczególnie przez kogoś, kto wszedłby z drugiej strony.

Na prawo od Osborna Jungfrau wznosiła się prawie pionowo w górę. Po lewej teren nachylony był w dół i jakby nieco równiejszy. Chuchnąwszy w dłonie, by je rozgrzać, skierował się w tamtą stronę. Jeśli jego rozumowanie jest słuszne, von Holden mógł wybrać tylko tę drogę.

Übermorgen. W pudle w jego plecaku. Von Holden nie mógł zapomnieć o sprawie podstawowej; był ostatnim, który przeżył z całej góry Organizacji. SEKTOR 5, Entscheidend Verfahren, Rozstrzygająca Procedura, pomyślana właśnie na wypadek takiego zagrożenia. Okazała się trudniejsza do przeprowadzenia, niż się spodziewano, i z tego właśnie powodu on został wybranym i dlatego ocalał. Być może najgorsze już minęło. Były wszelkie szanse, że dolne windy nie zostały zniszczone w pożarze;

szyb wentylacyjny nad nimi mógł spełnić funkcję komina, dać ujście dla żaru, co powinno oszczędzić mechanizmy leżące poniżej.

Myśl, że wciąż jeszcze może dotrzeć do wind, i poczucie, że wykonuje swój obowiązek jako żołnierz, podniosły go na duchu, gdy posuwał się wyciętą w łupku elastym ścieżką wzdłuż ściany urwiska. Padający śnieg, wzmagający się wiatr i chłód będą przeszkadzały Osbornowi nie mniej niż jemu. Zapewne bardziej, ponieważ Osborn nie przeszedł tak jak on morderczego treningu w warunkach górskich. To zwiększa szanse ucieczki. Przedostanie się do szybu wentylacyjnego i dalej do środka, a wszystkie ślady zasypie śnieg.

Liczył się tylko Osborn, on sam i czas.

## 150

Osborn poszedł ścieżką, która skręcała ostro w lewo. Szukał w śniegu tropów von Holdena, ale nie znalazł żadnych, choć śnieg nie był tak gęsty, by je skryć. Zakłopotany i pełen obaw, że może iść w złą stronę, doszedł do szczytu wzniesienia i zatrzymał się. Za sobą widział tylko kłębiący się śnieg i ciemność. Przyklękawszy na kolano, spojrział w dół. Poniżej wąska ścieżka wiła się w dół wzdłuż krawędzi urwiska, ale nie miał pojęcia, którą się do niej dostać. Nie miał również pojęcia, czy tą właśnie ścieżką podąży von Holden. Mogła być jedną z wielu.

Wstał i już miał zawrócić, gdy je dostrzegł. Świeże ślady. Ktoś tędy przechodził, i to niedawno. Tropy biegły w dół tuż przy wewnętrznej stronie ścieżki, przecinającej ścianę pionowego urwiska. Ten, kto je zrobił, musiał znaleźć zejście znacznie bliżej początku ścieżki. Ale odnalezienie tego miejsca mogło zająć całe godziny, a przez ten czas śnieg zasypie ślady.

Zrobiwszy kilka kroków w bok, Osborn pomyślał, że zdoła przesunąć się nad krawędzią i ześlizgnąć w dół. Od ścieżki dzieliło go najwyżej siedem metrów. Co prawda ryzyko było spore. Skały, lód i śnieg. Żadnych drzew, korzeni czy gałęzi, nic, czego można by się uchwycić. Nie wiadomo, co go czeka po drugiej stronie; jeśli zsunie się zbyt szybko i nie da rady zatrzymać, może zlecieć na łeb, na szyję po zboczu do ziejącej rozpadliny i spaść jak kamień setki metrów w dół.

Gotów był tak czy inaczej spróbować, gdy dostrzegł występ skalny, opadający prosto na ścieżkę poniżej. Narosła na nim cała masa sopli lodowych, wytworzonych przez nieustanne topienie się i ponowne zamarzanie

części lodowca. Wyglądały na tyle solidnie, by się ich uchwycić. Zsunął się po skale, podpełzał aż do jej skraju i ześlizgnął bokiem. Do ścieżki miał nie więcej niż cztery i pół metra. Jeśli sople go utrzymają, znajdzie się na dole w okamgnieniu. Sięgnął ręką, chwycił sople mający osiem lub dziesięć centymetrów średnicy i wypróbował go. Z łatwością utrzymał jego ciężar, więc zakotłosał się, próbując ześlizgnąć się w dół. Zdołał zaklinować się czubkiem lewej stopy i chciał wypuścić z ręki sople, by chwycić niższy. Ale ciepła dłoń przymarzła do lodu. Został uwięziony z prawą ręką nad głową i daleko wyciągniętą lewą nogą. Pozostawało mu tylko oswobodzić dłoń szarpnięciem, ale to oznaczało zdarcie z niej skóry. Gdyby zatrzymał się tu dłużej, zamarzyłby na śmierć.

Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, Osborn policzył do trzech i pociągnął. Poczuł palący ból i dłoń miał wolną. Ale noga utraciła przy tym oparcie i teraz zsuwał się na plecach. Sekundę później natrafił na czysty lód i zaczął sunąć szybciej. Rozpaczliwie próbował zaczepić się dłońmi, stopami, łokciami, czymkolwiek, by wyhamować. Nie zdołał. Zsuwał się coraz szybciej. Nagle ujrzał pod sobą otwierającą się ciemność i wiedział już, że przeleci nad skrajem ścieżki.

W ostatnim desperackim wysiłku chwycił się jedyne widocznego kamienia. Zatrzymał się, a jego stopy dzieliły centymetry od przepaści.

Czuł, jak cały drży. Położył się na plecach i wbił obcas w śnieg. Miotany podmuchem wiatru śnieg siekł go boleśnie. Osborn zamknął oczy i modlił się: przecież nie po to dotarł aż tak daleko, co mu zajęło tyle lat, by zamarznąć na śmierć nad tym dzikim lodowcem. Jego życie okazałoby się bezużyteczne. Nie chciał tego!

Obok niego w kamiennej ścianie urwiska widniało pokaźne pęknięcie. Ostrożnie przetoczywszy się na bok, wyciągnął jedną nogę i kopniakami wyrył oparcie dla stopy w śniegu. Potem, przewróciwszy się na brzuch, chwycił oburącz krawędź rozpadliny i podciągnął się. Jeszcze trochę i wsunął w szczelinę kolano, potem stopę. Wreszcie zdołał stanąć.

Von Holden był wyżej. Może ze trzydzieści metrów, licząc pionowo po ścianie urwiska. Stał tyłem do skraju ścieżki. Był na niej w chwili, gdy Osborn się zsuwał. Gdyby stał półtora metra niżej, Osborn zabrałby go ze sobą w przepaść.

Ledwie widział w dole Amerykanina, który przywarł do kamienia. Jeśli spróbuje się wspinać, będzie musiał pokonać niemożliwe do przejścia

nachylenie lodu i skały, jeszcze bardziej zdradzieckie przy wietrze i padającym śniegu. Z miejsca, w którym stał von Holden, trzystumetrowa stroma kręta półka wiodła aż do wylotu szybu wentylacyjnego. Droga była zdradziecka, ale nawet w śniegu możliwa do pokonania w dziesięć, piętnaście minut. A Osborn nie miał możliwości, by się wspiąć w tym czasie - jeśli w ogóle da radę się wspiąć - z miejsca, w którym się znajdował, do punktu, gdzie stał von Holden. Cóż dopiero pójść półką tam, dokąd on idzie. Von Holden zniknie, gdy znajdzie się w szybie wentylacyjnym.

Tak, policja się tu zjawi. Ale musieliby zostać przez tydzień lub dłużej, żeby on się pojawił na powierzchni. Bardzo wątpliwe. Dojdą do wniosku, że Vera wprowadziła ich w błąd, by osłonić ucieczkę von Holdena. Albo dojdą do wniosku, że wpadł w rozpadlinę lub zniknął w jednej z setek przepastnych dziur lodowca Aletsch. Tak czy inaczej odejdą, zabierając ze sobą Verę jako współsprawczynię zamordowania frankfurckich policjantów.

Co zaś się tyczy Osborna, nawet jeśli jakimkolwiek sposobem uda mu się przeżyć noc w tym miejscu, jego opowiadanie nie będzie wiarygodniejsze niż jej. Pogonił za człowiekiem w góry. I co dalej? Gdzie ten człowiek? Jaką Osborn ma na to odpowiedź? Oczywiście, lepiej, żeby był martwy. Von Holden mógłby zapuścić się aż na skraj urwiska i zaryzykować strzał w ciemności. Ale nie miało to sensu. Jeśli się poślizgnie albo wystrzeli i chybi, gra okaże się niewarta świeczki. Jeśli zaś trafi Osborna, zabije lub rani, nawet gdy tamten spadnie, stanie się wiadome, że von Holden tu był. To tylko potwierdzi wersję Very. I będą go ścigać dalej. Nie. Lepiej zostawić go, gdzie jest, ufając, że albo spadnie, albo zamarznie na śmierć. To był właściwy sposób myślenia. To dlatego Scholl uczynił go Leiter der Sicherheit.

## 151

Osborn przywarł twarzą i barkami do skały. Czubki reeboków wbił w skalną szczelinę, głęboką co najwyżej na pięć centymetrów. Pod nim była lodowata, ciemna pustka. Nie miał pojęcia, jak daleko spadnie, jeśli się poślizgnie. Duży kamień powyżej niego w jakiś sposób obluźował się i przeleciał obok. Wyteżył słuch, jednak nie usłyszał jego lądowania. Podniósł głowę, próbował dostrzec ścieżkę, ale lodowa półka zasłaniała mu widok. Szczelina biegła pionowo po kamiennej ścianie, której się trzymał. Mógł pójść w lewo, w prawo, lecz nie do góry. Przesunął się po kilkanaście centymetrów w obie strony i przekonał, że z prawej strony półka staje się

wygodniejsza. Rozszerzała się, a nad głową miał poszczerbione występy skalne, których mógł się trzymać rękami. Pomimo mrozu czuł, jakby do prawej dłoni, gdzie zdarł sobie skórę, uwalniając się od sopla lodu, ktoś przyciskał mu rozpalone żelazo. Chwywanie palcami kamiennych występów stało się męczarnią. Ale przynajmniej zmuszało go do skupienia. Do myślenia tylko o bólu oraz tym, jak schwycić kamień, by nie wypuścić go z rąk. Prawa ręka. Chwył. Prawa noga, poślizg, znaleźć oparcie, wypróbować je. Przenieść ciężar ciała. Złapał równowagę. Lewa ręka, lewa noga, wszystko od początku.

Znalazł się już na skraju ściany urwiska, gdzie odchyłała się do tyłu, tworząc coś w rodzaju stromego wąwozu. Narciarze nazywają coś takiego rynną. Żlebem. Ale przy takim śniegu i wietrze nie można było ocenić, czy ta szczelina biegnie dalej, czy po prostu gdzieś się kończy. Nie był pewien, czy zdoła zawrócić i wykonać w odwrotnym porządku wszystkie ruchy, które go tu doprowadziły.

Osborn zatrzymał się, podniósł dłoń do ust i zaczął chuchać. Potem zrobił to samo z drugą. Jego zegarek jakimś sposobem przesunął się w górę, nie miał więc pojęcia, jak długo tu jest. Wiedział natomiast, że do świtu pozostało jeszcze wiele godzin i jeśli przestanie się ruszać, w ciągu kilku minut umrze z wychłodzenia. Nagle chmury rozstały się i na krótką chwilę wyrzał księżyc. W bladym świetle jakieś trzy, trzy i pół metra niżej Osborn dostrzegł po prawej skalną półkę, biegła do góry. Wyglądała na oblodzoną i śliską, ale dość szeroką, by można po niej iść. A potem zobaczył coś jeszcze. Wąską ścieżkę, wijącą się w dół w stronę lodowca. A na niej człowieka z plecakiem.

Księżyc zniknął równie szybko, jak się pojawił, a wiatr się wzmógł. Niesiony nim śnieg żądlił twarz Osborna jak odłamki szkła wyrzucone z węża strażackiego pod ciśnieniem. Musiał odwrócić się twarzą do skały. Tam jest półka - pomyślał. Dość szeroka, by mnie utrzymać. Ta moc, która zaprowadziła mnie aż tak daleko, stworzyła kolejną szansę. Muszę jej zaufać.

Ostrożnie zbliżywszy się do brzegu ścieżki, Osborn wysunął nogę. Zawisła w powietrzu. Ufaj, Paul. Ufaj temu, co widziałeś.

Z tą myślą osunął się w ciemność.

## 152

Nieoczekiwanie von Holden zaczął myśleć o Schollu i jego straszliwym, prawie morderczym lęku przed ukazaniem się komukolwiek bez

ubrania. Krążyły plotki, że Scholl nie ma penisa, że stracił go na skutek jakiegoś wypadku w dzieciństwie albo że jest prawdziwym hermafrodytą, ma macicę i piersi, ale też i penisa, i uważa sam siebie za wybryk natury...

Von Holden argumentował, że Scholl odmawia ukazania się nago, ponieważ czuje obrzydzenie do wszelkiego rodzaju ludzkiego ciepła, a to obejmowało też ciepło ciała. Potęga umysłu była dla niego jedyną ważną rzeczą i z tego powodu potrzeby fizyczne i uczuciowe wywoływały w nim odrazę, choć je odczuwał tak jak każdy człowiek. Nagle von Holden ocknął się z zamyślenia. Uzmysłował sobie, że ma przed sobą ścieżkę, a z lewej strony ciągnący się całymi kilometrami lodowiec.

Podniósł głowę i ujrzał księżyc wśród chmur. A potem dostrzegł cień, poruszający się nad nim po urwisku. Osborn posuwał się wzdłuż skalnej ściany! Tuż pod sobą miał szeroką półkę. Jeśli ją zauważy i dotrze do niej, za kilka sekund natknie się na ślady von Holdena w świeżym śniegu.

Chmury zakryły księżyc i znów zapadła ciemność. Von Holdenowi wydało się, że widzi, jak Osborn odczepia się od ściany i opada na półkę. Do szybu wentylacyjnego było jeszcze co najmniej pięćdziesiąt metrów. Dostyc tego - pomyślał von Holden. Zabij go teraz i możesz zaciągnąć zwłoki do szybu. Nikt ich nigdy nie znajdzie.

Pod wpływem upadku na półkę Osbornowi zamarł dech. Upłynęła długa chwila, nim doszedł do siebie. Wreszcie przykleknął na jedno kolano i spojrzał w stronę, gdzie ostatnio widział von Holdena. Mógł, choć z trudem, dostrzec ślady koło ściany urwiska, ale von Holden zniknął. Osborn wstał i ogarnął go nagły lęk, że zgubił rewolwer McVeya. Ale nie, broń tkwiła za paskiem. Wyciągnął ją, otworzył bębenek i ustawił tak, że iglica i kurek spoczywały bezpośrednio na naboju. Potem, opierając się jedną dłonią o ścianę skalną, w drugiej trzymając rewolwer, ruszył półką przed siebie.

Von Holden zsunął plecak i zajął taką pozycję, by dobrze widzieć biegnącą ku niemu ścieżkę. Następnie wyciągnął pistolet maszynowy, rozluźnił się i czekał.

Gdy Osborn dotarł do wyraźnego tropu, półka nagle się zwężiła. W tym samym momencie księżyc ponownie wychylił się zza chmur. Zupełnie

jakby ktoś nagle oświetlił go reflektorem punktowym. Odruchowo padł na ziemię, w chwili gdy szybka seria roztrzaskała ścianę skalną w miejscu, gdzie stał przed chwilą. Posypały się na niego odpryski kamienia i lodu. A potem księżyc zniknął, jakby wiatr przywiał znowu ciemność i ciszę. Nie miał pojęcia, z której strony padły strzały; nie słyszał ich. Co oznaczało, że von Holden ma broń wyposażoną w tłumik. Jeśli von Holden znajduje się nade mną, ma mnie jak na talerzu - pomyślał Osborn. Pełznąć powoli na brzuchu, zbliżyć się do skraju półki i popatrzeć w dół. Półtora metra poniżej zobaczył występ skalny. Niewielka osłona, ale i tak lepsza niż ta tutaj. Korzystając z ciemności, zerwał się na nogi, podbiegł i dał nura. W tym samym momencie poczuł, że coś twardego uderzyło go w ramię. Cios odrzucił go w bok i do tyłu. Usłyszał potworny huk i uderzył plecami o śnieżną ścianę; na chwilę pociemniało mu w oczach. Gdy je otworzył, widział tylko szczyt urwiska. Poczul zapach prochu i zrozumiał, że to wypalił jego rewolwer. Podparł się ręką i chciał wstać, gdy w jego polu widzenia pojawił się cień.

Von Holden. Stał z plecakiem na ramieniu, trzymając w ręce dziwacznie wyglądający pistolet.

- W Specnazie uczono nas, by uśmiechać się do oprawcy - powiedział spokojnie. - W ten sposób człowiek staje się nieśmiertelny.

Nagle Osborn zrozumiał, że umrze. I nieważne stanie się to, za czym gonił aż tutaj. Poczul smutek; tragiczne, ale zupełnie nic nie może już zrobić. A jednak... ciągle jeszcze żył, istniała więc szansa, że von Holden coś mu wyjawia, zanim go zastrzeli.

- Dlaczego mój ojciec został zamordowany? - zapytał. - Z powodu skalpela, który wynalazł? Z powodu tej operacji Eltona Lybargera? Powiedz mi. Proszę.

Von Holden uśmiechnął się arogancko.

- Für Übermorgen - powiedział triumfalnym głosem. - Za Pojutrze!

Nagle gromowy ryk rozległ się w ciemnościach w górze. Von Holden podniósł głowę. Zupełnie jakby jakiś potworny wicher jęczał i wrzeszczał, jakby ziemię dosłownie coś wrywało z posad. Ryk stał się ogłuszający, posypała się chmura kamieni wraz z iłem. Potem uderzyło czoło lawiny i odrzuciło ich obu do tyłu, cisnęło jak szmaciane lalki za krawędź ścieżki. Polecieli, koziołkując, w głąb wąskiego i bardzo stromego żlebu. W przełocie Osborn dostrzegł niedowierzającą, a jednocześnie zastygłą w wyrazie



nieopisanego przerażenia twarz von Holdena. A potem zmiotła go wyjąca fala lodu, śniegu i rumoszu skalnego.

## 153

Von Holden wynurzył się pierwszy; lawina cisnęła go na prawie poziomą płytę ze skały i luźnych kamieni. Stanąwszy chwiejnie, rozejrzył się wokoło. W górze widział ślady po lawinie i wąski żleb, którym spadli; ciągle osuwały się nim strumyki lodu i śniegu. Odwrócił się i zobaczył lodowiec, tak jak się spodziewał. Ale poza tym nic innego nie wyglądało znajomo. Nie miał pojęcia, gdzie się znalazł i gdzie jest ścieżka, z której spadł. Podniósł głowę, w nadziei że ujrzy wynurzający się znów zza chmur księżyc, ale zamiast niego zobaczył niebo. Już nie szare i zasnutе chmurami, lecz krystalicznie czyste. Ale nie było na nim księżyc ani gwiazd. Zamiast nich daleko w głąb niebios ciągnęła się zorza. Potężne, przytłaczające pasiaste zasłony z jego nocnych koszmarów.

Wrzasnął, odwrócił się i pobiegł. Rozpaczliwie rozglądał się w poszukiwaniu ścieżki, która miała go zaprowadzić do wylotu szybu. Ale nic nie wyglądało tak, jak powinno. Nigdy w życiu nie był w tym miejscu. Przerazony biegł przed siebie, aż w końcu natknął się na kamienną ścianę. Wówczas zrozumiał, że znalazł się tam, gdzie skalne urwisko wznosi się na tysiące metrów prosto w czerwone i zielone niebo.

Bez tchu, z łomoczącym sercem, zawrócił. Czerwień i zieleń stały się jaskrawsze, a niebotyczne zasłony powoli opuszczały się w jego stronę. Równocześnie zaczęły falować w górę i w dół, jak gigantyczne, monolityczne tłoki z jego zwidów.

Zasłony przybliżyły się, falując ohydnie i kąpiąc go w barwach swego blasku. Grożąc, że owiną go jak całun.

- Nie! - krzyknął. Jego głos odbił się echem od masywu skalnego i lodowca w dali. Ale zły czar się nie rozwiął. Zasłony opuściły się niżej, pulsując nieustannie, jakby były jakimś żywym organizmem, do którego należy niebo. Nagle zaczęły przeświecać jak ramiona obrzydliwej meduzy i obniżyły się raptownie, jakby chcąc go zadusić. Koszmarnie przerażony odwrócił się i pobiegł drogą, którą tu przybył.

Znowu znalazł się w potrzasku, patrzył wprost na kamienną ścianę. Odwrócił się i obserwował ze zgrozą, jak macki zbliżają się ku niemu. Prześwitujące, rozżarzone, falujące. Coraz niżej.

Czy to ostrzeżenie przed nadchodzącą śmiercią? Czy też sama śmierć...? Skurczył się cały. Przecież był tylko żołnierzem wykonującym rozkazy. Żołnierzem spełniającym swój obowiązek.

-Ich bin der Leiter der Sicherheit! - Zdarł plecak, odpiął paski i wyciągnął ze środka pudło. Tuląc je w rękach, zrobił krok naprzód. - Das ist mein Pflicht! - To mój obowiązek - powiedział, podnosząc oburącz pudło. - Das ist meine Seele! - To moja dusza!

Nagle zorza znikła, a von Holden stał drżący w świetle księżycyca, trzymając pudło w wyciągniętych rękach. Upłynęła dobra chwila, nim usłyszał własny oddech. Następna, i poczuł, że jego serce zaczyna bić normalnie. Wreszcie ruszył przed siebie; znalazł wyjście z potrzasku - był na górskiej grani ponad lodowcem, a pod sobą widział otwartą drogę do szybu wentylacyjnego. Ruszył nią natychmiast, nie wypuszczając pudła z objęć.

Burza śnieżna już minęła, księżyc i gwiazdy ostro odcinały się od nieba. Czyste światło księżycowe, padające pod kątem, spowodowało, że śnieżny krajobraz nabrał jakiejś surowej ponadczasowości, należał równocześnie do przeszłości i przyszłości; von Holden miał uczucie, że oto zostało mu otworzone przejście przez świat istniejący gdzieś na bardzo odległym planie.

-Das ist mein Pflicht! - powiedział ponownie, podnosząc głowę ku gwiazdom. Obowiązek ponad wszystko! Ponad Ziemię. Ponad Boga. Poza czas.

W kilka minut dotarł do szczeliny skalnej, ukrywającej wylot szybu wentylacyjnego. Skała w tym miejscu wystawała nad skrajem urwiska, musiał więc ją okrążyć. Gdy to robił, zobaczył Osborna rozciągniętego na zaśnieżonej półce trzydzieści metrów niżej; leżał z lewą nogą podkurczoną pod nienaturalnym kątem. Ale żył. Oczywiście miał otwarte i patrzył na von Holdena.

Nie ryzykuj już więcej - pomyślał von Holden. Zastrzel go teraz.

Smużka śniegu osypała się w miejscu, gdzie von Holden postawił but na skraju urwiska. Stał w głębokim cieniu, a za nim rysowała się w świetle księżycyca Jungfrau. Ale nawet w owym cieniu Osborn widział, jak von Holden przerzuca ciężkie pudło i obejmuje je lewą ręką. A potem znowu ruch i jego prawa dłoń uniosła pistolet. Osborn nie miał już rewolweru McVeya, zgubił go w pędzącej lawinie, która ocaliła mu życie. Dano mu jedną szansę. Nie dostanie następnej, jeśli sam czegoś nie zrobi.

Wykrzywiony, cierpiąc katusze z powodu złamanej nogi, wbił łokcie w podłoże i zaczął kopać drugą nogą. Ból nie do zniesienia przeszył całe

jego ciało, gdy pełzł do tyłu, wijąc się jak ranne zwierzę po lodzie i skale, próbując przesunąć się przez półką poza linię strzału. Nagle poczuł, że głowa odchyła mu się do tyłu i zrozumiał, że dotarł do skrajnej półki. Z dołu biło zimne powietrze. Pod sobą ujrzał ogromną czarną dziurę w lodowcu. Powoli uniośł głowę i popatrzył przed siebie. Niemal widział uśmiech von Holdena zaciskającego palec na spuście pistoletu.

Nagle oczy Niemca zabłyśły w świetle księżyca. Broń podskoczyła mu w dłoni, szarpnął ręką w bok, strzały poleciały w powietrze. Nie przestawał strzelać, a całe jego ciało drgało wraz z grzechotem pistoletu, dopóki magazynek się nie opróżnił. Wtedy ręka bezwładnie opadła mu do boku, pistolet wyleciał z dłoni. Przez moment stał w miejscu z szeroko otwartymi oczami, ciągle ściskając pudło w lewej ręce. A potem, jak na zwolnionym filmie, stracił równowagę, zgiął się wpół i poleciał w przepaść; spadał powoli w przezroczystym nocnym powietrzu ku ziejącej w dole czerni.

## 154

Paul pamiętał, że najpierw usłyszał psy, a potem zobaczył twarze: miejscowego lekarza i szwajcarskich sanitariuszy, ratowników górskich, dźwigających go na noszach, w ciemności, przez śnieg; Very w poczekalni. Jej twarz była blada i stężała ze strachu. Mundurowi policjanci towarzyszyli mu w pociągu zmierzającym na dół. Rozmawiali, ale nie pamiętał o czym. Connie siedziała obok niego, uśmiechnięta uspokajająco. Potem Vera trzymała go za rękę.

A później leki, ból lub wyczerpanie musiały go zmóc, bo stracił przytomność.

Potem chyba była mowa o szpitalu w Grindelwaldzie. I jakaś kłótnia na temat, kim on jest. Przysięgłby, że do pokoju wszedł Remmer, a za nim McVey w swym pogniecionym garniturze. McVey przysunął sobie krzesło do łóżka, usiadł i zaczął mu się przyglądać.

A potem ponownie ujrzał von Holdena na górze. Zobaczył, jak chwije się na skraju, zobaczył, jak pada. Przez króciutką chwilę miał wrażenie, że ktoś stoi na półce za Niemcem. Próbował sobie przypomnieć, kto to mógł być i nagle zdał sobie sprawę, że to Vera. Trzymała olbrzymi sople lodowy, pokryty krwią.

A potem ów obraz zbladł i zastąpił go inny. Wyraźniejszy. Von Holden

żył i spadał w jego stronę, ciągle tuląc pudło w ramionach. Nie spadał ze zwykłą szybkością, lecz jakimś zniekształconym, spowolnionym ruchem; leciał łukiem, który miał go przenieść ponad skalną krawędź i cisnąć w dół, w bezdenną ciemność, sięgającą tysięcy metrów. Potem zniknął i Osborn zapamiętał tylko to, co von Holden powiedział w chwili, gdy uderzyła w nich lawina.

- Dlaczego mój ojciec został zamordowany?

- Fur Übermorgen.

## 155

### **Berlin, poniedziałek, 17 października**

Vera siedziała samotnie na tylnym siedzeniu taksówki, skręcającej z Clay Allee w Messelstrasse i zmierzącej do serca Dahlem, jednej z najbardziej eleganckich dzielnic Berlina. Już drugi dzień padał zimny deszcz i ludzie zaczęli się uskarżać na pogodę. Tego ranka portier w hotelu Kempinski osobiście doręczył jej jedną czerwoną różę. Wraz z nią zaklejoną kopertę z pośpiesznie nabazgraną notatką, zawierającą prośbę o zabranie kwiatu do Osborna, gdy będzie mu składać wizytę w małym, ekskluzywnym szpitalu w Dahlem. Notatka nosiła podpis: McVey.

Z powodu prac drogowych do Dahlem prowadził objazd i Vera stwierdziła w pewnym momencie, że przejeżdża obok ruin Charlottenburga. W rzęsimym deszczu pracowali robotnicy, wydzierając wnętrza budynku. Spychacze toczyły się po parku, usuwając ruiny i usypując z nich wielkie stosy osmalonego gruzu, które inne maszyny ładowały na wywrotki. O tragedii donosiły nagłówki pierwszych stron gazet całego świata, a w mieście opuszczono flagi do połowy masztów. W uroczystym pogrzebie ofiar mieli wziąć udział dwaj byli prezydenci Stanów Zjednoczonych, jak również prezydent Francji i premier Wielkiej Brytanii.

- Spalił się już raz, w tysiąc siedemset czterdziestym szóstym roku - poinformował ją taksówkarz, mocnym i pełnym dumy głosem. - Został wówczas odbudowany. I znów będzie odbudowany.

Gdy taksówka skręciła w Kaiser-Friedrich-Strasse, Vera zamknęła oczy. Wróciła z Osbornem z gór i pozostała tak długo, jak jej pozwolono. Odwieziono ją pod eskortą do Zurychu i powiadomiono, że Osborn zostanie zabrany do szpitala w Berlinie. Więc przyjechała. Wszystko to zdarzyło

się w zbyt krótkim czasie. Obrazy i uczucia tłoczyły się jedne za drugimi, piękne, bolesne, przerażające. Miłość i śmierć, splecione razem. I zbyt bliskie. Było tak, jakby prawie przeżyła wojnę.

Przytłaczała ją wszechobecność McVeya. Jawił się jej z jednej strony jako miły, szczerzy starszy pan, którego żywo obchodzą prawa i godność każdego człowieka. Z drugiej zaś - jako odmiana generała Pattona. Samolubny i nieprzejednany, nieustępliwy, nawet okrutny. W nieustannej pogoni za prawdą. Bez względu na koszty.

Taksówkarz osłonił ją przed deszczem i weszła do szpitala. Hol był nieduży, ciepły, ale zaskoczył ją widok umundurowanego policjanta. Nie spuszczał z niej wzroku, póki nie przedstawiła się w recepcji. Wówczas natychmiast sprowadził windę i uśmiechnął się do niej, gdy wsiadała.

Drugi policjant stał przy windzie na drugim piętrze, a przy drzwiach pokoju Osborna detektyw po cywilnemu. Najwyraźniej obaj wiedzieli, kim ona jest; detektyw nawet zwrócił się do niej po nazwisku.

- Czy grozi mu niebezpieczeństwo? - zapytała, zaniepokojona obecnością policji.

- Zwykle środki ostrożności.

- Rozumiem. - Vera stanęła przed drzwiami. Za nimi znajdował się mężczyzna, którego ledwie знаła, ale kochała tak, jakby byli razem od wieków. Spędzili ze sobą niewiele czasu, ale za to intensywnie. Działał na nią jak nikt inny. Być może stało się tak dlatego, że gdy po raz pierwszy spojrzeli na siebie, ujrzeni także jasno swoją przyszłość. I to oboje, tak jakby nigdy nie mieli się rozstać. A potem, tam w górach, mimo całej okropności sytuacji, on to przypieczętował. Za nich oboje.

Tak przynajmniej myślała. A teraz nagle przestraszyła się, że to tylko ona tak czuje. Że wszystko to odczytała błędnie, a to, co się zdarzyło między nimi, było przelotne, nawet jednostronne, i po drugiej stronie drzwi spotka nie dobrze sobie znanego Paula Osborna, lecz obcego człowieka.

- Dlaczego pani nie wchodzi? - Detektyw uśmiechnął się i otworzył przed nią drzwi.

Leżał na łóżku z lewą nogą pod płataniną wyciągów, linek i przeciw-wag. Miał na sobie T-shirt z emblematami Los Angeles Kings, jaskrawo-czerwone spodenki sportowe i nic więcej, więc gdy go zobaczyła, wszystkie jej lęki zniknęły i zaczęła się śmiać.

- Co jest tak cholernie zabawne? - zapytał.

- Nie wiem... - Chichotała dalej. - Zupełnie nie wiem... To po prostu...

W tym momencie policjant zamknął drzwi, ona zaś przebiegła przez pokój i rzuciła mu się w ramiona. I wszystko nagle wróciło: Jungfrau, Paryż, Londyn i Genewa. Na dworze padał deszcz, a Berlin narzekał. Ale im to nie sprawiało najmniejszej różnicy.

## 156

### Los Angeles

Paul Osborn siedział na trawiastym patio swego domu w Pacific Palisades i wpatrywał się w półkole świateł, które wyznaczało granice zatoki Santa Monica. O dziesiątej w nocy było dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza, do Bożego Narodzenia pozostał tydzień.

Wydarzenia na Jungfrau były zbyt zakłócone i złożone, by próbował je w pełni zrozumieć. Szczególnie niepokoiły go ostatnie spędzone tam minuty, ponieważ nie potrafił określić z całą pewnością, co się tak naprawdę wydarzyło.

Jako lekarz rozumiał, że doznał poważnego urazu fizycznego i psychicznego. W ciągu całego swego życia, od dzieciństwa do wieku dojrzałego - nie tylko podczas ostatnich tygodni. Choć oczywiście mógł określić ostatnie dni pobytu w Niemczech i Szwajcarii jako najbardziej burzliwe w swym życiu. Właśnie na Jungfrau granica między rzeczywistością i halucynacją definitywnie się zatarła. Noc i mgła, śnieg i wyczerpanie, okropny lęk przed lawiną, nieuchronność śmierci z ręki von Holdena i rozdzierający ból złamanej nogi zupełnie go zdezorientowały. Nie mogłyby określić, co było rzeczywistością, a co snem. Ale co to za różnica teraz, gdy znalazł się w domu, żywy, i dochodził do siebie?

Wypiwszy łyk mrożonej herbaty, Osborn znowu popatrzył na zatokę. W Paryżu była siódma rano. Za godzinę Vera będzie jechała pociągiem do Calais na spotkanie z babcią. Razem pojedą do Dover, stamtąd zaś pociągiem do Londynu. Następnego ranka o jedenastej odlecą z lotniska Heathrow samolotem British Airways do Los Angeles. Vera była w Stanach Zjednoczonych tylko raz, z Francois Christianem. Jej babcia nigdy. Nie miał pojęcia, co stara Francuzka pomyśli sobie o Bożym Narodzeniu w Los Angeles, ale nie ulegało wątpliwości, że wyrazi swoją opinię. Na temat tutejszego blichtru, światła słonecznego, a także na jego temat.

To, że Vera miała przyjechać, było już samo w sobie wystarczająco podniecające. Fakt, że przywoziła babcię, sankcjonował ich związek. Jeśli zamierzała tu zamieszkać i zostać lekarzem, będzie musiała sprostać surowym wymogom Komisji Kwalifikacyjnej dla Zagranicznych Absolwentów Medycyny. Być może będzie musiała część zagadnień studiować na nowo w uczelni medycznej, na pewno odbędzie nudny staż w szpitalu. Wyczerpująca strata czasu i energii, w dodatku niepotrzebna, bo praktycznie biorąc, we Francji zrobiła już doktorat. Cały kłopot wynikł z tego, że Osborn poprosił, by za niego wyszła. Żeby przyjechała do Kalifornii i żeby żyli razem długo i szczęśliwie.

Wtedy, w pokoju szpitalnym, odpowiedziała z uśmiechem, że... „zobacz”. Tak dokładnie to brzmiało: „zobaczę...”.

Zobaczy co? - zapytał. Czy chce wyjść za niego za mąż? Czy chce mieszkać w Kalifornii? Ale jedyną odpowiedzią, którą udało mu się uzyskać, było to samo „zobaczę...”. A potem pocałowała go na pożegnanie i wyjechała z Berlina do Paryża.

Paczuszka, którą Vera przywoziła mu od McVeya, zawierała jego paszport, odzyskany z Pierwszej Paryskiej Prefektury Policji. Wraz z nim liścik napisany po francusku i podpisany przez dwóch paryskich detektywów, Barrasa i Maitrota; życzyli mu wszystkiego najlepszego i wyrażali najszczerze przekonanie, że w przyszłości uczyni wszystko, co w jego mocy, aby nie przyjeżdżać do Francji.

Dwa dni po odjeździe Very do Paryża, tydzień po zwiezieniu go z Jungfrau, wypisano go ze szpitala.

Przybyły z Bad Godesbergu Remmer odwiózł go na lotnisko i przekazał ostatnie nowiny. Noble został odesłany drogą powietrzną do Londynu i przebywał w ośrodku leczenia poparzeń. Potrwa to całe miesiące i będzie wymagać wielu przeszczepów skóry, nim wróci do normalnego życia, jeśli to w ogóle okaże się możliwe. Sam Remmer, ze złamanym nadgarstkiem, wrócił do pracy w pełnym wymiarze godzin. Prowadzi śledztwo w sprawie przyczyn pożaru Charlottenburga oraz strzelaniny w hotelu Borggreve. Amerykańską fizyoterapeutkę Lybargera, Joannę Marsh, odnaleziono w jednym z berlińskich hoteli. Została gruntownie przesłuchana i odwieziona do Stanów Zjednoczonych pod eskortą McVeya. Remmer nie wiedział, co się z nią stało. Przypuszczał, że wróciła do domu.

- Remmer... - Osborn przypomniał sobie, jak ostrożnie zadał mu to pytanie, gdy cofnął się pamięcią do owej ostatniej nocy na Jungfrau. - Czy wiesz, skąd ona zadzwoniła po szwajcarską policję? Z której stacji, Kleine Scheidegg czy Jungfrauoch?

Siedzący obok kierowcy Remmer odwrócił głowę, by na niego badawczo popatrzeć.

- Masz na myśli Verę Monneray?

- Tak.

- To nie ona wezwała szwajcarską policję.

- Jak to? - Osborn był zaskoczony.

- Telefonowała inna Amerykanka. Kobieta. Jakaś turystka... Connie jakaś tam.

- Connie?

- Zgadza się.

- Mówisz więc, że Vera wiedziała, gdzie jestem tam na dworze? Że powiedziała im, gdzie mnie znaleźć?

- Znalazły cię psy. - Remmer zmarszczył czoło. - Czemu uważasz, że brała w tym udział panna Monneray?

- Była na stacji Jungfrauoch, gdy mnie tam przyniesiono... - odparł niepewnie Osborn.

- I cała masa innych ludzi.

Osborn odwrócił wzrok. Psy. Dobrze, niech i tak będzie. Niech jego wspomnienie Very stojącej na ścieżce, podczas gdy von Holden spadał; Very trzymającej w rękach ogromny zakrwawiony soplek, pozostanie tylko wspomnieniem, iluzją, jedną z jego halucynacji czy snów. Niczym innym.

- Tak naprawdę pytasz mnie o to, czy jest niewinna. Chcesz wierzyć, że tak, ale ciągle nie jesteś pewien.

- Jestem pewien. - Osborn spojrzał na niego.

- No to słusznie. Odnależliśmy drukarnię, w której wykonano fałszywą legitymację BKA dla von Holdena. Znajdowała się w mieszkaniu wtyczki Organizacji; facet pracował na stanowisku dyrektora więzienia i to on przekazał Verę von Holdenowi. Wierzyła, że jedzie do ciebie. Von Holden wiedział zbyt dużo, by mogła się zorientować, w każdym razie nie wcześniej niż przed samym końcem tego wszystkiego.

Osborn właściwie nie potrzebował tego potwierdzenia. Gdyby nie wtedy, w górach, to na pewno uwierzyłby w Berlinie, zanim jeszcze wyjechała do Paryża.

- A co z Joanną Marsh? - zapytał. - Czy wyjaśniło się, dlaczego Salettl wysłał nas za nią?

Remmer milczał długą chwilę, a potem pokręcił głową.

- Może pewnego dnia czegoś się o tym dowiemy...

W jego zachowaniu było coś, co wskazywało, że wie więcej, niż mówi. Osborn powinien pamiętać, że bez względu na to, co razem przeszli, Remmer nadal jest policjantem. Przypomnij sobie tylko, co robili z Verą,



choć już po kilku godzinach, a może i natychmiast wiedzieli, że ona nie ma nic wspólnego z Organizacją i że nie jest Avril Rocard. Dysponowali przerażającą władzą, a także łatwo było jej nadużyć.

- A co z McVeyem? - spytał Osborn.

- Powiedziałem ci. Odwiozł pannę Marsh do domu.

- Przesłał mi mój paszport.

- Bez niego nie mógłbyś wyjechać z Niemiec. - Remmer się uśmiechnął.

- W ogóle ze mną nie rozmawiał. Nawet gdy przyszedł do szpitala w Grindelwaldzie, nie odezwał się ani słowem.

- W Bernie.

- Co?

- Zostałeś zawieziony do szpitala w Bernie.

- Jesteś pewien? - Osborn miał głupią minę.

- Tak. Pracowaliśmy z policją berneńską, gdy zadzwoniono, że znaleźli cię w górach.

- Byliście w Bernie? Ale skąd...?

- McVey znał twoje ruchy. - Remmer uśmiechnął się znowu. - W Bernie kupiłeś bilet okresowy kolei szwajcarskich. Zapłaciłeś za niego kartą kredytową. McVey kontrolował wszystkie twoje rachunki bankowe, tak na wszelki wypadek. Od razu wiedział, gdzie jesteś i kiedy się tam znalazłeś.

- To nielegalne... - Osborn był zdumiony.

- Zabrałeś mu broń, jego dokumenty osobiste i odznakę - odparł surowo Remmer. - Nie miałeś prawa podawać się za funkcjonariusza policji.

- A gdzie byłby teraz von Holden, gdybym tego nie zrobił? - odparł Osborn. Remmer milczał. - Co teraz?

- Nie mogę powiedzieć. Nie ja prowadzę tę sprawę. To sprawa McVeya.

## 157

„Nie ja prowadzę tę sprawę. To sprawa McVeya”. Nie było dnia, by te słowa Remmera nie brzmiały mu w uszach. Jaką karę mogą mu wymierzyć? Zabrał broń i dokumenty funkcjonariusza policji i w dodatku użył ich do przekroczenia granicy międzypaństwowej. Może zostać skazany w Los Angeles, może podlegać ekstradycji do Niemiec czy Szwajcarii, nawet do Francji, jeśli Interpol zechce się w to wmieszać. A może nawet, Boże zmiłuj się, będą to tylko drugorzędne oskarżenia. Uboczne. Głównym będzie

usiłowanie zamordowania Alberta Merrimana. Bez względu na to, czy ukrywał się w Paryżu, czy nie, Merriman był obywatelem amerykańskim. O takich sprawach McVey nie zapomina.

Zbliżała się już Gwiazdka, a McVey się nie odezwał. Mimo to za każdym razem na widok samochodu policyjnego Osborn podskakiwał. Sam wpędzał się w obłąd poczuciem winy i strachem i nie wiedział, co z tym począć. Mógł wziąć sobie adwokata i przygotować obronę. Ale byłby to straszny błąd, gdyby McVey uznał, że Osborn już wszystko odpokutował. W końcu z rozmysłem przestał się nad tym zastanawiać i skupił się na sobie. Trzy wieczory każdego tygodnia zajmowała mu fizykoterapia, która miała przywrócić jego złamanej nodze pełną sprawność. Upłynie jeszcze miesiąc, zanim będzie mógł odłożyć kule, a dwa, nim przestanie utykać. Ale mógł z tym żyć, i dziękował za to, biorąc pod uwagę, co go mogło spotkać.

Stopniowo, dzień po dniu, czas leczył głębsze pokłady jego psychiki. Wyjaśniona została w dużej części tajemnica śmierci jego ojca. Choć prawdziwy cel tego wszystkiego nadal się wymykał. Odpowiedź von Holdena - Für Übermorgen - nawet jeśli ta część przeżyć Osborna na Jungfrau była rzeczywistością, a nie halucynacją... niczego mu nie wyjaśniła, dla niego była bez znaczenia.

Dla własnego zdrowia psychicznego, dla swej przyszłości, dla Very musiał odsunąć od siebie pytanie „dlaczego”, Merrimana, von Holdena, Scholla. Musiał uwolnić się od tragicznych wspomnień o ojcu. Z wolna przekonywał się, że jest do tego zdolny.

Za pięć dwunasta w południe, na dzień przed przyjazdem Very z babcią, zatelefonował McVey.

- Chciałbym ci coś pokazać. Możesz przyjechać?

- Dokąd...?

- Do komendy. Parker Center. - McVey mówił rzeczowo, zupełnie jakby prowadzili takie rozmowy codziennie.

- Kiedy?

- Za godzinę.

Jezu Chryste, czego on chce? Pot wystąpił Osbornowi na czoło.

- Przyjadę - odpowiedział. Gdy odkładał słuchawkę, dłoń mu drżała. Przejazd z Santa Monica do śródmieścia zabrał mu dwadzieścia pięć minut. Było gorąco, w powietrzu stał smog i Osborn nie mógł rozpoznać ulic miasta. Nie pomagało mu też to, że był śmiertelnie wystraszony.

McVey czekał przy wejściu. Powiedzieli sobie „cześć”, nie podając rąk, a potem wraz z kilkoma innymi osobami wsiadli do windy. Osborn oparł się na kulach i patrzył w podłogę. McVey nie powiedział nic ponad to, że chce mu coś pokazać.

- Jak tam noga? - spytał McVey, gdy drzwi windy się otwały i szli już korytarzem. Oparzenia na jego twarzy goiły się dobrze, wyglądał na wypoczętego. Nawet był lekko opalony, jakby grywał od czasu do czasu w golfa.

- Jakoś to idzie... Dobrze wyglądasz. - Osborn starał się zachowywać swobodnie, wręcz przyjacielsko.

- Jak na takiego starego faceta czuję się nieźle. - McVey spojrział na niego bez uśmiechu, a potem poprowadził labiryntem korytarzy pełnych ludzi o zmęczonych, zakłopotanych i gniewnych twarzach.

Na końcu korytarza McVey otworzył drzwi do pokoju, którego połowę zajmowała klatka z siatki drucianej. Wewnątrz piętrzyły się półki z zapieczętowanymi workami na dowody rzeczowe i siedziało dwóch mundurowych gliniarzy. McVey podpisał jakiś papier i otrzymał torebkę zawierającą coś wyglądającego na kasetę wideo. Potem przecięli korytarz i weszli do pustego pokoju biurowego. Osborn nie wiedział, o co McVeyowi chodzi, ale miał już dość.

- Po co mnie tu ściągnąłeś?

McVey przeszedł przez pokój i zasunął żaluzje.

- Oglądałeś telewizję dziś rano? Chodzi o wietnamską rodzinę, tę w dolinie.

- No, mniej więcej... - odparł Osborn apatycznie. Coś tam widział podczas golenia. Całą wietnamską rodzinę w zamożnym osiedlu w dolinie San Fernando znaleziono wymordowaną. Rodzice, dziadkowie, dzieci.

- Prowadzę tam śledztwo. Mam pojechać na wizję lokalną, więc załatwmy to szybko. - McVey otworzył plastikowy woreczek i wyjął kasetę wideo. - Istnieją tylko dwa egzemplarze. To jest oryginał. Kopię ma Remmer w Bad Godesbergu. FBI wczoraj jej zażądało. Powiedziałem im, że mogą ją dostać jutro. To z tego powodu Salettl wysłał nas za Joanną Marsh. Dał jej prezent. Okazało się, że był to klucz do pudełka ukrytego w klatce ze szczeniakiem, którego von Holden podarował jej w Szwajcarii, a którego ona wysłała do Los Angeles. Wewnątrz pudełka znajdował się drugi klucz. Do sejfu w banku w Beverly Hills, gdzie leżała kasetka. - McVey wsunął ją do magnetowidu stojącego pod telewizorem.

- Chyba nie rozumiem. - Osborn był zupełnie zbity z tropu.

- Zrozumiesz. Ale jest kilka rzeczy, o których najpierw powinieneś usłyszeć. Mówiłeś, że gdy von Holden spadł z Jungfrau i znikł za krawędzią, nie widziałeś, by wylądował.

- Było cholernie ciemno.

- A więc wpadł, w każdym razie my zakładamy, że wpadł, do czegoś zwanego czarną rozpadliną. Głębokiej dziury w lodowcu. Zespół alpinistów szwajcarskich zszedł w głąb tak daleko, jak zdołał, ale nie znalazł po nim ani śladu. Oznacza to, że albo nadal gdzieś tam jest i pozostanie przez najbliższe dwa tysiące lat, albo... nie ma go tam. Chcę przez to powiedzieć, iż nie mamy pewności, że nie żyje.

Druga sprawa dotyczy odcisków palców Lybargera. Człowieka, z którym Remmer i Schneider rozmawiali na pół godziny przedtem, nim Charlottenburg poszedł z dymem. - McVey zakaszał i skrzywił się lekko. - Eksperci z BKA stwierdzili, że odciski Lybargera są identyczne z należącymi do Timothy'ego Ashforda, londyńskiego malarza pokojowego, któremu ucięto głowę.

- Wielki Boże. - Osbornowi włosy stanęły dęba. - Miałeś rację...

- Taaa. - McVey kiwnął głową. - Cały kłopot w tym, że Lybarger jest obecnie w takim samym stanie jak wszyscy, którzy znajdowali się w owej sali. Dlatego wszystko, czym dysponujemy, to domysł, że głowa jednego człowieka została połączona z ciałem innego i że ten stwór żył. Chodził, myślał i rozmawiał, jakby był tak rzeczywisty jak ty czy ja. I nie miał widocznych blizn, wedle tego, co mogli powiedzieć Remmer czy Schneider. A nawiasem mówiąc, także i Joanna Marsh. Zeznała nam to wczoraj rano. Jako jego fizykoterapeutka spędziła z nim masę czasu, a nie zauważyła niczego, co by wskazywało na dokonanie jakiegokolwiek zabiegu chirurgicznego.

- Objawy charakterystyczne dla człowieka podczas rekonwalescencji po udarze zostały wywołane nie przez udar, lecz pojawiły się po niesamowitej operacji chirurgicznej - spekulował Osborn. - Czy tego dotyczy ta taśma?

- To, czego dotyczy ta taśma, pozostanie absolutnie między nami chłopakami. Jeśli w ogóle ktoś coś na ten temat powie, będzie to ktoś z Waszyngtonu albo Bad Godesbergu. - McVey podniósł pilota i wręczył go Osbornowi. - Tym razem, doktorze, nikt nie robi niczego na własną rękę. Z przyczyn osobistych czy jakichkolwiek innych. Mam nadzieję, że to rozumiesz, ponieważ są inne rzeczy, do których moglibyśmy powrócić. Jestem pewien, że wiesz, co mam na myśli.

Przez chwilę dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy w milczeniu. A potem McVey nagle otworzył drzwi i wyszedł. Osborn patrzył za nim, jak przechodzi przez pokój przyjęć i przez drewnianą bramkę. Aż zniknął. McVey zdjął go z haczyka i puścił wolno.

## 158

Przez długi czas Osborn siedział w milczeniu, potem podniósł pilota, skierował go na magnetowid i nacisnął „play”. Rozległ się cichy trzask, warkot, ekran telewizora zamigotał i ukazał się obraz: elegancki gabinet ze skórzanym fotelem o prostym oparciu na pierwszym planie. Z lewej było wielkie biurko, z prawej cała ściana zastawiona książkami. Światło padało z okna, tylko częściowo widocznego za biurkiem. Upłynęło kilka sekund i wszedł Salettl. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur i szedł zwrócony plecami do kamery. Gdy dotarł do fotela, odwrócił się i usiadł.

- Proszę mi wybaczyć ten prymitywny wstęp - oświadczył. - Ale jestem sam i osobiście obsługuję kamerę wideo. - Założył nogę na nogę, wyprostował się w fotelu i przybrał ton bardziej oficjalny. - Nazywam się Helmuth Salettl. Jestem lekarzem. Mieszkam w Salzburgu, w Austrii, ale z urodzenia jestem Niemcem. Gdy to nagrywam, mam siedemdziesiąt dziewięć lat. Kiedy będziecie to oglądać, mnie już nie będzie wśród żywych.

Salettl przerwał na chwilę i jego spojrzenie skierowane do kamery nabrało surowości. Zapewne by podkreślić powagę tego, co miał do powiedzenia. Myśl o własnej śmierci zdawała się nie robić na nim żadnego wrażenia.

- Teraz nastąpi przyznanie się do morderstwa, fanatyzmu, wynalazczości. Mam nadzieję, że wybaczycie mi moją angielszczyznę.

W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym byłem młodym chirurgiem na Uniwersytecie Berlińskim. Pełnym optymizmu i być może aroganckim. Zgłosił się do mnie przedstawiciel kanclerza Rzeszy i zaproponował, żebym został członkiem rady doradczej do spraw najnowocześniejszych procedur chirurgicznych. Później, jako członek partii nazistowskiej oraz Gruppenführer SS, zostałem awansowany na komisarza zdrowia publicznego. Część z tego może być wam wiadoma, ponieważ jest powszechnie znana. Bardziej szczegółowe informacje można znaleźć w Archiwum Federalnym w Koblencji.

Salettl przerwał i sięgnął po szklankę wody. Wypił łyk, odstawił szklankę i znów zwrócił się do kamery.

- W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym stanąłem przed Trybunałem Norymberskim, oskarżony o zbrodnię przygotowywania i prowadzenia wojny napastniczej. Uniewinniono mnie i wkrótce potem przeniosłem się do Austrii, gdzie praktykowałem jako internista aż do przejścia na emeryturę w wieku lat siedemdziesięciu. A przynajmniej takie były pozory. Naprawdę nadal byłem ministrem Rzeszy, choć oficjalnie przestała ona istnieć.

W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym pod kierownictwem Martina Bormanna, sekretarza Hitlera, a później zastępcy Führera, człowieka, który podobnie jak Hitler wierzył, że Bóg dopomaga tylko narodowi, który się nie poddaje, zabrano się właśnie do tego: zachowania Trzeciej Rzeszy. Bormann stworzył program i zapewnił środki do jego realizacji.

Zaczęto od kosztownej, skomplikowanej i w najwyższym stopniu szczegółowej społeczno-ekonomicznej i politycznej projekcji przyszłości. Zaangażowawszy znaczną liczbę specjalistów, którym mówiono niewiele albo wręcz nie na temat tego, nad czym pracują oraz w jakim celu, Bormann zdołał w ciągu dwóch lat uzyskać wysoce teoretyczną, ale patrząc z naszego punktu widzenia zadziwiająco dokładną przepowiednię na temat sytuacji światowej od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego aż do dwutyścijnego. Nie wdając się w szczegóły, powiem po prostu, że przepowiedziano klęskę Rzeszy i podział Niemiec. Także ukształtowanie się supermocarstw: Stanów Zjednoczonych Ameryki i Związku Radzieckiego oraz nieuchronną zimną wojnę i wyścig zbrojeń. Jak również rozwój Japonii do poziomu potęgi ekonomicznej, której siłą napędową stanie się światowy popyt na wysokiej jakości samochody oraz nowoczesne technologie.

Przepowiednia wskazywała też na cztery procesy o najwyższym dla nas znaczeniu, które miały przebiegać w ciągu prawie pięciu dziesięcioleci. Odbudowa z popiołów wojny Niemiec Zachodnich, które staną się bastionem przemysłowo-ekonomicznym z być może najmocniejszą gospodarką na zachodniej półkuli; zdanie sobie sprawy z konieczności współpracy gospodarczej pomiędzy państwami europejskimi; zjednoczenie Niemiec; bankructwo Związku Radzieckiego, jego rozpad i rozpad całego bloku radzieckiego. Ogromnie to upraszczam, ale na tej glebie posiano ziarno do zachowania Trzeciej Rzeszy.

Została założona tajna organizacja, która nigdy nie nosiła żadnej nazwy, a ma członków we wszystkich krajach świata... Uformowała ją garść bogatych i potężnych ludzi interesu, zarówno w kraju, jak na emigracji, całkowicie oddanych sprawie nazizmu i nigdy nie zdemaskowanych. Przez lata Organizacja rozrastała się, starannie prześwietlając wszystkich nowych członków.

Ruch miał rozwijać się początkowo powoli, jako mały strumyczek w nurcie niemieckiej prawicy politycznej. Kluczowym hasłem był nacjonalizm. Słów takich jak Rzesza czy Aryjczycy nigdy nie używano. Wszystko miało być robione cicho i ze starannym wyliczeniem; siłą napędową ruchu były ogromne bogactwa oraz wielkie wpływy w różnych warstwach społeczeństwa niemieckiego, od lewicy do prawicy, od starców do tryskających młodością, od odnoszących sukcesy ludzi interesu do intelektualistów, przesiedleńców, ludzi niewykształconych i bezrobotnych. Po zjednoczeniu Niemiec miało to stać się nieco głośniejsze; chodziło o wykorzystanie zamętu po zjednoczeniu, skierowanie zamożnego Zachodu przeciw biednemu byłemu komunistycznemu Wschodowi. Krótko mówiąc, narastająca atmosfera nieufności i złości podsycana przez wielką falę imigrantów, wlewających się do Niemiec ze zdruzgotanych resztek bloku radzieckiego.

I chodziło nie tylko o Niemcy. Od lat współpracowaliśmy potajemnie z sympatyzującymi ruchami wewnątrz rządzących establishmentów Wspólnoty Europejskiej. Pierwsze pomruki miały nadejść z Francji. Ruchy w innych krajach, zaszczerpione w podobny sposób, miały się rozwinąć zgodnie z naszymi instrukcjami.

Aby wykazać, do czego my, przywódcy, jesteśmy zdolni, uruchomiliśmy własny, wysoce ambitny program technologiczny. Najpierw chcieliśmy zjednoczyć wokół niego nas samych, a później, we właściwym momencie, wybranym przez nas, ujawnić go światu.

Podczas wojny zbudowaliśmy eksperymentalny zakład medyczny, ukryty głęboko pod Berlinem i całkowicie zabezpieczony przed alianckimi bombowcami. Nazwaliśmy go das Garten. Stamtąd miało bić źródło. Program został zakodowany pod ściśle tajną nazwą Übermorgen; miała symbolizować ponowne pojawienie się Rzeszy jako przerażającej i dominującej potęgi światowej. Tym razem gospodarczej; wojsko miało być używane jedynie jako siła policyjna.

Nagle Osborn zatrzymał taśmą. Serce mu waliło. Czuł zawroty głowy, jakby zaraz miał zemdleć. Zaczął oddychać głęboko, potem wstał, by przejść się po pokoju. Zawróciwszy, popatrzył na telewizor, jakby ten wyrażał mu psikusa. Ale ujrzał tylko jasnoszary ekran i czerwoną poświatą sygnału gotowości odtwarzacza.

Übermorgen!

W najgłębszej części jego umysłu słowa Salettla zaległy jak kwaśne dymy. To niemożliwe! Musiał coś źle usłyszeć; Salettl musiał powiedzieć coś innego. Wrócił na miejsce i wziął do ręki pilota. Wycelował go w odtwarzacz, kciukiem odnalazł przycisk przewijania wstecznego. Maszyna zawarczała. Natychmiast nacisnął „stop”. A potem, nabrawszy powietrza, ponownie „play”.

- ...das Garten. Stamtąd miało bić źródło - ożył Salettl na ekranie. - Program został zakodowany pod ściśle tajną nazwą Übermorgen.

Palec Osborna ześlizgnął się z przycisku i obraz zamarł. Przypomniał sobie Jungfrau. Ujrzał stojącego nad sobą von Holdena z pistoletem maszynowym wycelowanym w jego pierś. Usłyszał siebie, jak pyta o przyczynę śmierci ojca, a potem odpowiedź von Holdena: Fur Übermorgen!

Jeśli ten fragment jego przeżyć był snem, halucynacją, skąd znał to słowo? Salettl twierdził, że było ściśle tajne. Znane tylko wewnątrz Organizacji i zazdrośnie strzeżone. A więc odpowiedź brzmiała: nie mógłby go poznać. Chyba że... von Holden rzeczywiście mu je zdradził.

Zdenerwowany i ożywiony Osborn znów spojrzął na ekran. Nacisnął kciukiem „play” i Salettl ożył.

- Zmartwychwstanie Trzeciej Rzeszy miała potwierdzić nasza zdolność do manipulowania procesem życia - kontynuował. - Transplantacji narządów ludzkich dokonywano od lat. Ale nikt nie wykonał przeszczepu ludzkiej głowy. To właśnie postanowiliśmy zrobić. I zrobiliśmy.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku wyselekcjonowano osiemnastu mężczyzn spośród tysięcy zbadanych bez ich wiedzy. Kryterium wyboru był kod genetyczny maksymalnie zbliżony z kodem Adolfa Hitlera... charakterystyka osobowości, struktura fizyczna i psychiczna, i tak dalej. Żaden z nich nie miał pojęcia, co go spotyka. Niektórych wyniesiono, podobnie jak Adolfa Hitlera, dano im zakosztować potęgi, innych pozostawiono samym sobie, abyśmy mogli obserwować ich naturalny rozwój.



Rozrzut ich wieku obejmował ponad dekadę, co nam dawało dość czasu na eksperymentowanie, na ponoszenie porażek i w ich wyniku dokonywanie ulepszeń. Dziesięć dni po osiągnięciu przez osobnika pięćdziesiątego szóstego roku życia wstrzykiwano mu silny środek nasenny. Odcinano mu głowę i głęboko zamrażano, ciało poddawano kremacji. Wkrótce potem jego rodzina... - Salettl przerwał, ogarnięty bólem na wspomnienie własnej, ale zaraz się opanował. - Jego rodzina oraz wszystkie bliskie mu osoby albo ginęły w wypadkach, albo po prostu znikwały. W ten sposób zacieraliśmy wszelkie prowadzące do nas ślady.

Jak powiedziałem, wiele eksperymentów się nie powiodło. Wreszcie, z człowiekiem znanym wam jako Elton Lybarger, odnieśliśmy sukces. Dzisiejsza wieczorna uroczystość w Charlottenburgu ma być demonstracją tego sukcesu. A wierni członkowie partii, ci najwyżsi rangą, zapoznani z naszym planem, będą tam obecni.

Dojście na szczyt zabrało nam pięćdziesiąt lat. W tym okresie wielu niewinnych ludzi, którzy nieświadomie nam pomagali, zostało uśmierconych, ponieważ nie ośmielaliśmy się zostawiać śladów. Wynajmowaliśmy zawodowców, by ich zabijali, a potem nasza służba bezpieczeństwa likwidowała zabójców. Pracowała dla nas rzesza zwykłych ludzi. Niektórzy z nich byli pokątnymi wyznawcami wyższości rasy aryjskiej, innych zastraszano lub znęcaniem się zmuszano do pracy dla Organizacji, jeszcze innych zatrudniały legalnie działające przedsiębiorstwa i nie mieli pojęcia, co robią. Cały proces, jak już powiedziałem, trwał pięćdziesiąt lat. A gdy wreszcie odnieśliśmy sukces, sprawy dojrzały do wprowadzenia drugiego etapu Übermorgen.

Drugiego etapu? Osbornowi zamarło na chwilę serce. Przysunął krzesło bliżej do ekranu.

- Wyhodowaliśmy dwóch młodych ludzi, bliźniaków. Kształciliśmy ich w najlepszych wyższych uczelniach, a potem bezpośrednio przed zjednoczeniem skierowaliśmy ich do elitarniej Akademii Wychowania Fizycznego w Lipsku. Wyselekcjonowani dzięki inżynierii genetycznej, urodzeni jako najczystszy Aryjczycy, dziś są najwspanialszymi żyjącymi okazami ludzkimi. Mają po dwadzieścia cztery lata i każdy gotów jest na najwyższe poświęcenie.

Wystąpienie dzisiejszej nocy Eltona Lybargera w Charlottenburgu będzie naukowym i duchowym potwierdzeniem naszych zamiarów. Dowodem naszego zaangażowania się w odrodzenie Trzeciej Rzeszy. Na zakończenie uroczystości zaplanowana jest druga ceremonia w Mauzoleum na

terenach pałacowych, w obecności jedynie najściślej dobranych gości. Wybora jednego z bliźniaków, by zajął miejsce Lybargera i stał się Mesjazsem nowej Rzeszy. Wybrany chłopak zabije Lybargera, a potem zostanie przygotowany do operacji chirurgicznej, która za dwa lata uczyni go naszym przywódcą.

Ja, Erwin Scholl, Gustav Dortmund i Uta Baur jesteśmy najwyższymi członkami wewnętrznego kręgu. Jesteśmy tymi, którzy wytrwali po Norymberdze, po Martinie Bormannie, Himmlerze i pozostałych.

W ciągu pięćdziesięciu lat Scholl, Dortmund i Uta Baur stali się bogaci i potężni, ja natomiast pozostałem w cieniu, by nadzorować eksperymenty. W ciągu pięćdziesięciu lat oni się zestarli, i w miarę jak urzeczywistniały się nasze plany, stawali się skrajnie okrutni i zarozumiali.

Po ustaleniu daty prezentacji w Charlottenburgu pozostało jeszcze siedmiu ludzi, początkowo wyselekcjonowanych, a teraz już niepotrzebnych. Scholl polecił pozabijać ich tak jak poprzednich, lecz zamiast podawać ich ciała kremacji, porzucić je po całej Europie. Ich rodziny pozostawiono w spokoju, by cierpiały katusze... Prasa miała używanie, relacjonując publiczności makabryczne morderstwa. Było to w jego zamierzeniu wyrazem najwyższej pogardy, ciśniętej w twarz całemu światu. Ludzkie życie stawało się niczym, gdy przestawało służyć Organizacji. Dla Scholla stanowiło to chlubne echo przeszłości. Tej, która w jego przekonaniu miała powrócić.

Przez te pięćdziesiąt lat miałem dość czasu, by się zastanowić, co zrobiliśmy. Co robimy. Co przyniesie przyszłość. Pokusiliśmy się o niemożliwe i osiągnęliśmy cel. Pracując w niemal całkowitej izolacji od reszty świata, stworzyliśmy procedurę chirurgii atomowej, posługując się technologią superzimna, o jakiej nawet nie słyszała współczesna medycyna czy współczesna fizyka; naszym celem było wykazanie, jacy jesteśmy świetni. Jacy pomysłowi. Dowiedliśmy, że w świecie głodnym techniki nikt nam nie może dorównać. Ani Japończycy, ani Amerykanie. Bez żadnego problemu opanujemy rynki świata. To na początek.

Ale... - nagle, jakby okryty kirem, Salettl stał się melancholijny i ponury. Wyglądał, jakby w ciągu kilku sekund postarzał się o dziesięciolecie - nasz cel można było porównać z tym, który doprowadził do śmierci sześciu milionów Żydów i śmierci niezliczonych milionów na tysiącu pól bitewnych i w tysiącu bombardowanych miast. Miało to być to samo działanie, które obróciło wielkie miasta Europy w ruinę.

Siedziałem na ławie oskarżonych w Norymberdze, otoczony przez wielu, którzy to spowodowali. Göring, Hess, Ribbentrop, von Papen, Jodl, Raeder, Dönitz... niegdyś dumni i pogardliwi, teraz byli ludźmi starymi, posepnymi, ogłupiałymi. Przypomniałem sobie, jak mnie ostrzegano, bym nie jechał do Vernichtungslager, obozu zagłady: Nie jedź, bo nie będzie ci wolno opisać tego, co tam zobaczysz. Cóż, pojechałem. Do Oświęcimia. Ostrzeżenie było słuszne. Ale nie dlatego, by mi nie pozwolono opisać tego, co widziałem; nie byłem po prostu do tego zdolny. Stosy okularów. Stosy obuwia. Stosy kości. Stosy ludzkich włosów.

I oto byłem tu, ważny członek tajnego stowarzyszenia, spiskującego jeszcze przed upadkiem tej rzeczywistości, by ją odrodzić. To było ohydne. Niemożliwe. Ale gdybym coś takiego powiedział lub próbował wystąpić z Organizacji, zostałbym zastrzelony, a sprawy tak czy inaczej toczyłyby się dalej. Postanowiłem więc nic nie mówić, czekać, aż to wszystko dojrzeje, i osiągnąć pozycję stawiającą mnie poza wszelkim podejrzeniem. A potem, gdy nadejdzie właściwy czas, zniszczyć to.

Niemiecki pisarz Günther Grass powiedział, że my, Niemcy, musimy zrozumieć samych siebie. Jesteśmy być może najsprawniejszymi mistrzami techniki, jakich zna historia. Potrafimy zdziałać cuda. Ale cokolwiek czynimy, nie uciekniemy od Oświęcimia, Trebłinki, Brzezinki, Sobiboru... Są nasze, należą do nas... są obecne w naszych duszach i musimy mieć świadomość, że tam są, zrozumieć, dlaczego są, i nigdy... już nigdy nie pozwolić, by to się znów wydarzyło.

W chwili gdy będziecie to oglądać, wszystko, co stworzyliśmy, zostanie zniszczone. Nowa Trzecia Rzesza przestanie istnieć. W Charlottenburgu. W das Garten. Na stacji w Szwajcarii, ukrytej w jaskiniach lodowca pod Jungfrauojoch.

Nie będzie Übermorgen.

Z tymi słowami Salettl wstał, przeszedł przed kamerą i zniknął. Chwilę później ekran pociemniał.

## 159

Osborn nie pamiętał, kiedy wyjechał ze śródmieścia. Był zdruzgotany, jego myśli i uczucia ogarnął zamęt. Próbował to wszystko rozplatać. Zastanowić się nad tym, co właśnie obejrzał. Skupić się na zasięgu tego, co ujawnił Salettl. Wściekać się na to, co Trzecia Rzesza uczyniła ze światem.

I na zuchwalstwo ludzi, którzy próbowali to wskrzesić! Chciał wyrzeshczyć okropności obozów zagłady. Chciał ujrzeć twarze podłych ludzi na ławie oskarżonych w Norymberdze i nałożyć je na twarze Scholla, Dortmunda i innych, znanych mu tylko z nazwiska. Chciał wiedzieć, czy potajemne mieszanie się Organizacji we francuską politykę doprowadziło bezpośrednio do śmierci Francois Christiana.

W jednej chwili chciał wyrazić uznanie dla Salettla za to, że niósł swój niezwykły ciężar samotnie przez tyle lat, i za ponury heroizm jego „ostatecznego rozwiązania”, w następnej zaś okazać mu całą swą wściekłość za nieujawnienie szczegółów chirurgii atomowej. Jak uzyskano temperaturę zera bezwzględnego lub jej bliską. Jak dokonano operacji! Jak przebiegał proces rekonwalescencji! Dla medycyny, dla ulżenia bólowi i cierpieniu, byłoby to bezcenne.

W pewnym momencie niejasno zdał sobie sprawę, że znajduje się na autostradzie Santa Monica i kieruje w stronę domu. Była godzina szczytu i samochody poruszały się zderzak przy zderzaku w gęstym korku. Ale nie robiło mu to różnicy, jechał jak na autopilocie. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, gdy opuścił komendę policji. Mógł skręcić na północ, na południe czy wschód równie dobrze jak na zachód. Było mu to zupełnie obojętne. Dotarł do końca autostrady i znalazł się na rozjeździe prowadzącym do tunelu McClure. A potem był już za nim i na autostradzie Pacific Coast. Przed nim góry Santa Monica wydawały się wyrastać prosto z morza, a ocean znikał w zachodzącym na horyzoncie słońcu.

Nagle ogarnęły go ciepłe uczucia dla McVeya. McVey pokazał mu nagranie, ponieważ miał nadzieję, że to ostatecznie dobije nękającego go demona i przyniesie mu spokój. Pozwoli na znalezienie jakiegoś bardzo realnego i zrozumiałego sensu we wszystkim, co się wydarzyło. Był to gest człowieka życzliwego i przyzwoitego i Osborn chciałby mu to powiedzieć. Chciałby w jakiś sposób mu podziękować. Nawet go pokochać, jeśli możliwe. Tak jak syn może kochać ojca, choćby nawet prawie przez całe życie kłócili się ze sobą.

Ale jego myśli znów ogarnął emocjonalny wicher, który miotał nim, gdy oglądał nagranie wideo. Było coś, co groziło mu całkowitym rozstrojeniem. Chodziło o to, co Salettl pominął w swym przekazie. Jakaś siła zmuszała Osborna, by stanął czoło temu, o czym nie chciał myśleć. Czemuś, czego nie wiedział McVey i nigdy wiedzieć nie będzie. Ani Noble czy Remmer, ani nawet Vera, ponieważ nie istniał racjonalny sposób, w jaki

Osborn mógłby to przekazać. Być może Salett przemilczał to, ponieważ uważał, że załatwił się z tym tak jak z całą resztą.

Nagle Osborn zorientował się, że pojazdy przed nim cofają się, i musiał z całej siły nacisnąć hamulce, by uniknąć zderzenia. Samochód policyjny i dwie ciężarówki holownicze przejechały obok środkowym pasem. Oznaczało to, że przed nim wydarzył się wypadek. Ruch na drodze mógł zostać wstrzymany na całe godziny. Tego by nie zniósł. Siedzieć i wsłuchiwać się we własne myśli... Pewnie by zwariował. Musi się stąd wydostać.

Obejrawszy się przez ramię, zobaczył, że środkowy pas jest wolny. Nacisnąwszy pedał gazu, zakręcił obok samochodu stojącego przed nim, zrobił na autostradzie skręt o sto osiemdziesiąt stopni i pomknął z powrotem drogą, którą przybył. Chwilę później ściał zakręt w prawo i wjechał na parking przy plaży. Przez moment siedział, patrząc na ocean.

Potem wysiadł. Zostawiwszy drzwiczki otwarte i kluczyki w stacyjce, ruszył przez piasek. Kule zagłębiały się mocno, poruszał się z trudem, ale to nie miało znaczenia. Ruch oznaczał życie, Osborn szedł więc przed siebie, przez plażę aż do fal przybrzeżnych. Do butów nasypało mu się piasku, więc zrzucił je i pozostawił. A potem stopami dotknął twardego, mokrego piasku i omyła go woda. W kilka sekund zanurzył się po kolana, pochylony do przodu na kulach, a łagodny przybój przemoczył mu spodnie.

Ich zuchwalstwo i bezczelność nie miały granic, skoro mogli w ogóle wpaść na taki pomysł; było to nawet gorsze niż jego realizacja.

Po trzydziestu latach zagadka śmierci jego ojca została rozwiązana; nie mógłby przewidzieć takiego rozwiązania nawet w najczarniejszych snach. Gdyby nie kasetę wideo Saletta, uznałby swoje przeżycia na Jungfrau za iluzję, sen, pełną okropności halucynację zrodzoną w jego wyobraźni.

Ale teraz nie miał najmniejszych wątpliwości, że to, co widział, nie było snem. Było rzeczywiste. I wyjaśniało nie tylko przyczyny śmierci jego ojca, ale i motywy podróży von Holdena na lodowiec i zasadność kryjówki głęboko w lodowcu.

Skądś doleciał do niego głos Saletta: Wyhodowaliśmy dwóch młodych ludzi... Wyselekcjonowani dzięki inżynierii genetycznej, urodzeni jako najczystszy Aryjczycy... dwadzieścia cztery lata... najwspanialsze żyjące okazy ludzkie... jeden zostanie wybrany... przygotowany do operacji chirurgicznej... Mesjasz nowej Rzeszy...

- Hej, panie, jest pan całkiem mokry! - wrzasnął z brzegu młody chłopak, ale Osborn go nie słyszał.

Był na Jungfrau. Von Holden spadał w przepaść, kurczowo trzymając w rękach pudło przywiezione z Berlina. Für Übermorgen - słyszał jego wrzask, a potem pudło wypadło mu z rąk i von Holden przeleciał ponad skrajem ścieżki, pochłonięty przez lodową czerń, jakby został zdmuchnięty i przestał istnieć. Ale pudło wylądowało blisko miejsca, gdzie w śniegu leżał Osborn. Otworzyło się, tocząc się własnym ciężarem i rozpędem, i ukazała się jego zawartość. Nim zniknęło za skalną krawędzią, Osborn wyraźnie zobaczył, co było w środku. Właśnie to Salettl pominął. A Osborn nie mógł o tym nikomu powiedzieć, bo nikt by mu nie uwierzył. Przyczyna realizacji Übermorgen. Jego siła napędowa. Rdzeń i jądro. Odcięta, zamrożona głowa Adolfa Hitlera.

## Podziękowania

Za informacje techniczne i porady jestem szczególnie wdzięczny emerytowanemu detektywowi Johnowi St John z wydziału zabójstw Departamentu Policji Los Angeles, porucznikowi Johnowi Dunkinowi z Departamentu Policji Los Angeles, Danny'emu Bacherowi ze Szwajcarskiego Urzędu Turystyki, Robertowi Abramsowi z San Francisco, Imarze z Denver oraz dr. med. Jamesowi W. Howattowi, Bertowi Mandelbaumowi, Herbertowi G. Resnickowi, dyplomowanemu psychologowi Robertowi N. Mohrowi oraz dr. Nortonowi F. Kristy'emu.

Za sugestie i poprawki jestem wdzięczny Frederice S. Friedman, Hilary Hale oraz Frances Jalet-Miller. Ponadto składam wyrazy mego najwyższego uznania Marion Rosenberg oraz Aaronowi Priestowi, czarodziejowi, który przetworzył moje marzenia w rzeczywistość. Na koniec składam najserdeczniejsze podziękowania dr. mcd. Leonowi I. Benderowi, powieść ta bowiem nigdy nie zostałaby napisana, gdyby nie jego umiejętności.